

Boris Starling

MESJASZ

Z angielskiego przełożył Piotr Grzegorzewski

LiBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału MESSIAH

Projekt okładki Ewa Łukasik

Zdjęcie na okładce L East News/AGE Fhtcdtock

Originally published in English by HarperCollin under the title: MESSIAH © Boris Starling 1999

The Author asserts the moral right to be identified as the author of this work

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c.

Poznań 2002

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Libros Warszawa 2002

Dział Handlowy

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

tel. 0-22 645 82 41

fax 0-22 648 47 31

zamowienia@bertelsmann.de

Druk i oprawa GGP Media, Póblisch

ISBN 83-7311-435-1 Nr 3550

12118795

* * *

Mojej rodzinie w podzięcie za miłość i wsparcie

a także lainowi,

bez którego ta książka wciąż byłaby stertą nie uporządkowanego maszynopisu.

PODZIĘKOWANIA.

Jest dużo osób, których pomoc przy pisaniu Mesjasza trudno przecenić. Nie mógłbym na przykład wymarzyć sobie lepszych redaktorów niż Nick Sayers i Fiona Stewart, którzy byli dla mnie niewyczerpanym źródłem zachęt i mądrych porad.

Jestem również wdzięczny wszystkim pracownikom Harper-Collins, TalkLoud i PH2 za ich zaraźliwy entuzjazm i zapał do pracy, dziękuję też Richardowi Fenningowi, który wspaniałomyślnie pozwolił mi pracować na pół etatu, dzięki czemu mogłem postawić pisanie Mesjasza na pierwszym miejscu.

Często mówi się, że w czasie zbierania materiałów do książki pisarze powinni zapoznać się przede wszystkim z lekarzami i prawnikami. Miałem przyjemność korzystać z pomocy przedstawicieli obu tych zawodów. Profesor Anthony Busuttil był dla mnie skarbnicą pasjonujących wiadomości z zakresu nauk medycznych, podczas gdy reszta rodziny Busuttilów konsekwentnie nie dopuszczała, by nasze

rozmowy zakłócały atmosferę podczas obiadu. Mój „ekspercki” zespół, w skład którego wchodził Godwin Busuttill, Toby Riley-Smith i Rory Unsworth, pomagał mi ogromnie we wszelkich problemach natury prawnej i to w dodatku za bardzo umiarkowaną opłatą (krewetkowe vinaloo lub jego ekwiwalent).

Wiele osób czytało maszynopis na różnych etapach pracy nad nim, wyrażając setki pomocnych (i, bardzo rzadko, mało pomocnych) opinii. Nie sposób ich tu wszystkich wymienić, mam wszelako nadzieję, że wiedzą, jak bardzo jestem im wdzięczny. Jeśli, mimo to, w Mesjaszu znajdują się jakieś błędy, to jedyną osobą za nie odpowiedzialną jestem, rzecz jasna, ja sam.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Strzegąc swych ust i języka, chroni się życie przed uciskami.

Księga Przysłów 21,23*.

* Wszystkie cytaty biblijne według: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wyd. III, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980.

Rozdział pierwszy.

Piątek, 1 maja 1998.

Już na progu Red widzi stopy trupa. Dwie odsłonięte stopy dwóch odsłoniętych, zwisających nieruchomo nóg. Podest pierwszego piętra uniemożliwia mu ujście czegoś więcej.

Przechodzi przez hol, omijając pękatą torbę na zakupy z nadrukiem HARTS THE GROCER. Dostrzega zarys paczki croissantów i butelki soku pomarańczowego, tam gdzie naciskają one na plastik.

Chodnik ma kolor głębokiej zieleni, głębszej i ciemniejszej w miejscu, gdzie zrobiło się jezioro krwi, zasilanej strumyczkiem biegnącym od stóp trupa. Red wchodzi po schodach, patrząc prosto przed siebie. Gdy jest na czwartym stopniu, kątem oka widzi stopy trupa. Pięć stopni dalej schody zakręcają lekko w lewo, a potem znów wiodą prosto. Nie chce patrzeć na ciało, dopóki nie będzie mógł objąć go jednym spojrzeniem.

Chce je mieć na wysokości oczu.

Po pokonaniu pięciu stopni szybko zaciska powieki, skręca w lewo, odwraca się i otwiera oczy.

Red ma zwykle jakieś wyobrażenie ciała, zanim jeszcze je zobaczy. Większość wisielców wygląda tak samo: wytrzeszczone oczy, rozwarte usta, wywalony język.

Otwiera oczy, patrzy na ciało i od razu wie, że coś jest nie tak.

Obraz, który miał w głowie, zanim jeszcze otworzył oczy, pozwala mu momentalnie ustalić co to. Z szybkością błyskawicy przegląda listę ułożoną w głowie.

Wytrzeszczone oczy. Zgadza się.

Otwarte usta. Zgadza się.

Wywalony język.

Nie ma języka.

Nie ma języka.

Red przygląda się uważniej. To, co jeszcze niedawno było ustami, jest teraz krwawą miazgą, szeroką czerwoną strugą biegnącą z papki pod nosem na podbródek i pierś, a następnie w dół, ku środkowi tułowia i żeber.

Dużo krwi. Całe litry.

Temu człowiekowi odcięto język.

Red zakrywa dłonią twarz i zamyka oczy. Pod powiekami ma obraz ciała pozbawionego języka, widzi je, nawet na nie nie patrząc.

Odsuwa się i ponownie otwiera oczy, ponieważ nie chce niczego przegapić.

Dostrzega błysk światła w tym, co zostało z ust.

Zbliża się i widzi, co odbija światło. Kawalek metalu, wciśnięty pomiędzy dolne zęby i lewy policzek. Błyszczący metal z zaokrąglonym końcem. Dość mały.

Łyżeczka. Łyżeczka do herbaty. Dziwne.

Red spotykał się z przypadkami, w których zabójcy wkładali ciała obce, takie jak sztucce, w swoje ofiary, ale prawie zawsze w inne otwory - nie w usta. Umieszczenie ciała obcego sugerowałoby zboczenie seksualne. Tyle że to nie wygląda na mord na tle seksualnym. To wygląda na...

No dobrze, niech będzie, że na razie nie wie, na co to wygląda. W tym właśnie tkwi problem.

Red opiera się o ścianę i patrzy na ciało raz jeszcze. Tym razem zaczyna od stóp i przesuwa wzrok coraz wyżej.

Włosy na nogach nieboszczyka są zlepione od krwi. Mężczyzna jest rozebrany do slipek - szarych calwinów w ciemnobrazowe cętki - a ręce ma związane za plecami.

Naprzężony sznur biegnie od szyi ofiary do balustrady powyżej.

Red spogląda mężczyźnie w twarz i stwierdza, że nie potrafi sobie wyobrazić, jak wyglądał, kiedy jeszcze żył.

Słyszy hałas w jednym z pokoi na górze. Na półpiętrze pojawia się ubrany w mundur policjant.

- Niezbyt miły widok, co? - Mężczyzna schodzi po schodach, po czym podaje Redowi rękę. - Detektyw inspektor Andrews.

10

Red nie zadaje sobie trudu, by się przedstawić.

- Co dotąd zrobiliście? - pyta.

- Zdjęliśmy odciski palców i inne ślady. Karetka będzie tutaj za kilka minut i zabiorą ciało do autopsji. Chcieliśmy, żeby najpierw pan rzucił na nie okiem.

- Nie znaleźliście języka? Andrews kręci głową.

- Niestety. Koleżka zabrał go z sobą.

- Niedobrze, bardzo niedobrze. - Red ruchem głowy pokazuje na trupa. - Kto to?

- Philip Rhodes. Trzydzieści dwa lata. Właściciel firmy cateringowej mieszczącej się w starym budynku straży pożarnej w Greenwich. Firma obsługuje głównie przyjęcia wielkich przedsiębiorstw. Pięciu, sześciu pracowników zatrudnionych na stałe, reszta wynajmowana z agencji na umowy zlecenia.

- Kto znalazł ciało?

- Jego narzeczona, Alison Bird. Kilka minut po siódmej rano. Zawieźliśmy ją na Heckfield Place.
- Jak się czuje?
- Kiedy przyjechaliśmy, była w szoku. Posterunkowej udało się ją uspokoić.
- W jaki sposób? Dodała jej valium do herbaty? Andrews wybucha śmiechem.
- Coś w tym rodzaju. W każdym razie niczego gorszego. Red ociera się o ścianę.
- Chciałbym porozmawiać z tą Alison.
- Będzie pan miał nie lada szczęście, jeśli uda się panu wydusić z niej teraz choćby jedno sensowne słowo.
- W takim razie poczekam.
- Chce pan tu jeszcze coś obejrzyć?
- Nie teraz. Ale wrócę na dłużej, kiedy już się tu trochę uspokoi. Proszę dopilnować, żeby cały czas były tu żółte taśmy, a przy drzwiach, co najmniej przez najbliższą dobę, stał posterunkowy.

Andrews kiwa głową.

11

- Tak jest.

Red zbiega po schodach i wychodzi przez drzwi, których strzeże policjant. Kilku sąsiadów stoi za barierą z taśm. Życie i śmierć w wielkim mieście. Temat do plotek na najbliższe kilka dni - potem odejdzie w niepamięć. Red patrzy na gapiów i zastanawia się, czy w ogóle znali Philipa Rhodessa.

Spogląda w dół ulicy i zauważa, że jest prawie idealnie symetryczna. Wszystkie domy są pomalowane na biało lub kremowo, każdy ma ozdobne, wykuszowe, trzystronne okno na parterze. Jedynie dziwaczna tablica agencji nieruchomości łamie jednostajność kolorów i budowli, ogłaszając czerwonymi literami na czarnym tle lub zielonymi na białym, że taka a taka nieruchomość jest wystawiona na sprzedaż. Samochodowy alarm buczy w dwóch tonach, a wielka ciężarówka firmy przeprowadzkowej blokuje ulicę na jej północnym końcu. Nikt jednak nie zwraca na to uwagi.

Red odwraca się do młodego policjanta stojącego przy drzwiach.

- Nie było tu żadnego pismaka?
- Nie, sir.
- Jeżeli zaczną się kręcić, nie mogą się niczego dowiedzieć. Niczego, rozumiecie? Mogą rozpytywać sąsiadów, ile chcą, ale jeśli będą pytać was, macie odesłać ich do Scotland Yardu.
- Tak jest, sir.

Red wsiada do vauxhalla i zawraca na Fulham Road, gestem dłoni dziękując taksówkarzowi, który przepuszcza go na skrzyżowaniu. Miły taryfiarz. Godne zapamiętania. Może ten dzień nie będzie jednak taki zły.

Rozdział drugi.

Na skrzyżowaniu jest korek ciągnący się do Fulham Road, a prawdopodobnie jeszcze dalej. Samochody posuwają się o cal,

mrugając czerwonymi światłami i tworząc szereg jak świecące kostki domina. Red przeklina pod nosem. Szybciej byłoby piechotę.

Wyjmuje telefon i dzwoni do biura prasowego Scotland Yardu. Niektórzy z jego kolegów chętnie obarczają innych współpracą z mediami. Co innego Red - on lubi się z nimi kontaktować. Jeśli ma powstać reportaż - a w przypadku wyjątkowo brutalnych morderstw powstaje prawie zawsze - chce mieć kontrolę nad tym, kto, gdzie, co i jak powiedział. Odpowiednio prowadzone, media mogą nawet pomóc złapać mordercę. Niekontrolowane, mogą sprawić, że zejdzie na zawsze do podziemia. To prawda, że społeczeństwo ma prawo wiedzieć, nie należy jednak zapominać, że w skład owego społeczeństwa wchodzi też osoba najbardziej zainteresowana: morderca. Zbyt wielkie przecieki mogą powiedzieć mu, na jakim etapie pracy jest policja, i dadzą mu możliwość zmiany zwyczajów i zatarcia śladów. Red patrzy na zegarek. Dochodzi wpół do dziewiątej. Większości personelu biura prasowego nie ma jeszcze na miejscu.

Telefon po drugiej stronie dzwoni chyba z dziesięć razy, zanim ktoś podnosi słuchawkę.

- Biuroprasowe - mówi czyjś zasapany głos, zlewając te dwa słowa w jedno.
- Tu Red Metcalfe. Kto mówi?
- Chloe Courtauld.

Nie rozpoznaje tego nazwiska. Może to ta blondyna, którą widział parę razy kilka miesięcy temu. Wie, że zatrudnili kogoś nowego. To by wyjaśniało, czemu jest tak wcześnie - chce zrobić dobre wrażenie. Długo to nie potrwa.

- Masz tam gdzieś długopis, Chloe?
- Tak.

- To dobrze. Było morderstwo w Fulham. Facet nazwiskiem Philip Rhodes.

Właściciel firmy cateringowej. Mieszkał na Radipole Road. Jeśli ktoś będzie dzwonił w tej sprawie, powiedz mu, że dochodzenie trwa i podejrzewa się motyw rabunkowy. Proste włamanie, które poszło nie tak. I tak dalej w ten deseń. Staraj się

mówić o tym tak, jakby to nie było nic wielkiego. Powiem ci więcej po powrocie do Yardu.

- Jak został zabity?

Red zastanawia się przez chwilę.

- Graj na zwłokę. Powiedz, że ustali to sekcja zwłok i będziemy mieć pewność dopiero po niej. Dam jeszcze znać.

Rozłącza się.

Cyfrowy termometr na desce rozdzielczej informuje Reda, że temperatura na zewnątrz wynosi już dziewiętnaście stopni. Synoptycy przewidywali, że po południu dobiegać będzie trzydziestu. Letnie upały przychodzą wcześnie tego roku. Świetnie, jeśli można grać w parku we frisbee przez cały dzień. Niezbyt dobrze, jeśli jest się detektywem inspektorem z lekką nadwagą myszującym wokół ciał pozbawionych języków.

Przejechanie jednej czwartej mili dzielącej go od komisariatu w Fulham zajmuje Redowi piętnaście minut. Skręca w lewo w Heckfield Place, mijając ciężarówkę z

przyczepą wyjeżdżającą z parkingu na końcu ulicy i parkuje na podwójnej żółtej linii. Umieszcza na przedniej szybie plaketkę z napisem POLICJA i pyta przy wejściu o Alison Bird.

- To ta, której zabito chłopaka? - Pełniący dyżur sierżant sprawia wrażenie, jakby to była najbardziej ekscytująca rzecz, jaka wydarzyła się w ciągu roku. - Jest w pokoju 13A. Gdzieś tak od godziny. Półprzymnna. - Otwiera szlaban i przepuszcza Reda. - W górę po schodach, przez obrotowe drzwi, drugie wejście po lewej. Zza drzwi powinny dochodzić płacz i zgrzytanie zębów.

Red bez problemu znajduje pokój 13A i puka cicho do drzwi. Wewnątrz rozlega się odgłos kroków i pojawia się posterunkowa, o której mówił Andrews. Red dostrzega odwróconą Alison.

- Red Metcalfe.

- Posterunkowa Lisa Shaw.

- Jak ona się czuje?

- Dobrze. W każdym razie można się z nią porozumieć. Chce pan z nią porozmawiać?

14

- Jeśli tylko będzie w stanie. Czy czegoś się pani dowiedziała?

- Tyle co nic. Ja ją głównie pocieszałam. Myślę, że może odpowiadać na pytania. Chyba nawet lepiej, żeby przeszła przez to teraz. - Otwiera szerzej drzwi. - Proszę. Red wchodzi i staje przed Alison, która podnosi wzrok i patrzy na niego.

- Alison Bird? Detektyw Redfern Metcalfe. Przykro mi z powodu Philipa.

Alison kiwa w milczeniu głową. Jej oczy są ciemnoróżowe od płaczu.

Red siada naprzeciwko, ogarniając ją szybkim spojrzeniem. Jasne włosy ścięte na pazia. Tleniona blondynka, widać ciemne odrosty. Trochę za duży nos. Ładne usta.

Bez makijażu - i dobrze. Tyle łez, ile ona wylała, rozpuściłoby najlepszy tusz do rzęs.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań. Czy czuje się pani na siłach odpowiadać?

Alison znów kiwa głową.

- Może chciałaby pani napić się kawy albo herbaty, zanim zaczniemy?

- Herbaty, jeśli można. - Głos Alison jest zachrypnięty od płaczu.

- Ja przyniosę - mówi Shaw, patrzy na Reda i dodaje: - Dla pana też?

- Dla mnie kawę. Z mlekiem i jedną kostką cukru. - Red myśli przelotnie o rytualnej pierwszej filiżance kawy, którą porzucił nie dopitą, kiedy tego ranka zadzwonił telefon z Fulham.

Tego ranka. Ściśle mówiąc, mniej niż półtorej godziny temu. A wydawało mu się, że lata całe. Shaw wychodzi.

- Czym się pani zajmuje, Alison?

Red czuje się, jakby prowadził pogawędkę na coctail party.

- Pracuję w firmie komputerowej. W Reading. Spóźnię się do pracy. - Mówi to takim tonem, jakby właśnie to do niej dotarło. Może i tak jest, myśli Red.

-- Jestem pewien, że zrozumieją.

15

- Mam spotkanie handlowe o dziewiątej piętnaście. Zdaje się, że nie dojdzie do skutku.

Twój narzeczony został brutalnie zamordowany, a ty się martwisz, że się spóźnisz do

pracy. Typowe. To szok, który sprawia, że głos staje się odległy, a myśli odlatują.

- Chciałbym zapytać o parę rzeczy. To zajmie tylko kilka minut, dobrze?

-- Jasne.

- Od jak dawna zna pani Philipa?

Powinien powiedzieć „znała”, a nie „zna”. Cholera. Alison nie zwraca jednak na to uwagi.

- Od pięciu lat.

- A od jak dawna byliście zaręczeni?

- Oświadczył mi się sześć tygodni temu. Piętnastego marca. W idy marcowe. Często na ten temat żartujemy.

Tym razem sama używa niewłaściwego czasu - i znów zdaje się tego nie dostrzegać.

- Wyznaczyliście datę ślubu?

- Tak. Na siedemnastego października.

- Czy może pani opowiedzieć mi o tym, jak znalazła go pani dzisiaj rano?

- Przyszłam tam wcześniej. Poprzedniej nocy pokłóciliśmy się. O pewien drobiazg związany ze ślubem. Chciał zaprosić kogoś, kogo nie chciałam tam widzieć.

Byłą dziewczynę, myśli Red. Założę się, że to nie był wcale taki drobiazg. Daje jej znak, by kontynuowała.

- Więc wróciłam do domu...

- Do domu? Nie mieszkaliście razem?

- Nie, moi rodzice są katolikami. Nie pochwalają takich rzeczy.

- A ten dom to gdzie?

- W West Kensington. Przy Castletown Road. Niedaleko stąd.

- Tak, wiem, gdzie to jest. O której godzinie wróciła pani do domu?

- Między dziesiątą trzydzieści a jedenastą...

16

- I co potem?

- Poszłam spać, ale nie mogłam zasnąć. Byłam zbyt wściekła na Philipa. W końcu musiałam zasnąć, bo pamiętam, że obudziłam się około czwartej rano i nagle postanowiłam zobaczyć się z Philipem i powiedzieć mu, że się myliłam i że może zaprosić Ke... to znaczy, tę osobę, jeśli naprawdę mu na tym zależy. W końcu to miał być również jego ślub. Więc poszłam tam, gdy tylko się zdobyłam na odwagę. Nie chciałam, żeby zrywał się skoro świt, więc jakiś czas spacerowałam. Po drodze kupiłam coś na śniadanie w tym całodobowym sklepie naprzeciwko szpitala... - To stąd ta torba z zakupami na schodach, myśli Red - .. i w końcu tam poszłam.

- Ma pani swoje klucze?

- Tak. Oczywiście.

- I otworzyła pani drzwi?

- Tak. - Alison patrzy ze zdziwieniem.

- To znaczy, że drzwi nie były wyłamane?

- Ach, o to panu chodzi. Nie.

- Czy ktoś jeszcze ma klucze?

- Nie.

- Na pewno nikt? Krewni? Przyjaciele? Administracja? Sprzątaczką?

- Nie. Philip miał sprzątaczkę, ale zwolnił ją w zeszłym tygodniu. Szukał nowej.

- I zabrał jej klucz?
- Tak.
- Czy mogła go dorobić?
- Nie. To jeden z tych kluczy Bonhama, które może dorobić tylko właściciel.
- Dobrze. Co było dalej?
- Zaczęłam wchodzić po schodach i wtedy zobaczyłam jego stopy dyndające tam i... Drzwi się otwierają i pojawia się Shaw z trzema plastikowymi kubkami. Stawia je na stole.

Alison wyciera oczy, usiłuje wykorzystać przerwę na uspokojenie się. Red odwraca się do Shaw.

17

- Czy mogłaby pani załatwić samochód, który zawiózłby panią Alison do domu za jakieś pięć minut? I powiadomić jej firmę, że nie przyjdzie dziś do pracy?
- Jasne.

Shaw znowu wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

- Była dla mnie naprawdę bardzo miła - mówi Alison. - Czy mogłaby ze mną jeszcze trochę zostać?
- Jestem pewien, że tak. - Red uśmiecha się. - Już kończymy. Wróćmy do momentu, gdy znalazła pani ciało Philipa... Co pomyślała pani w pierwszej chwili?
- Pomyślałam, że się powiesił. Pomyślałam, że popełnił samobójstwo z powodu naszej kłótni.
- Czy uważała to pani za prawdopodobne?
- Co takiego?
- To znaczy, czy Philip był osobą, która mogła... - Red szuka odpowiedniego określenia - ...która mogła zareagować w taki... hm... skrajny sposób?

Alison krzywi się.

- Nie, zdecydowanie nie. Był bardzo zrównoważoną osobą. Nie popadał w skrajności - od nieustannego szczęścia do bezgranicznej depresji. To zdecydowanie nie byłoby do niego podobne.
- Ale pani pierwsza myśl była taka, że popełnił samobójstwo?
- Tak, ale... ale czułam się winna z powodu kłótni. Myślałam, że to moja wina.
- Więc jeśli nie pokłóciłibyście się i znalazłaby pani jego ciało, nie pomyślałaby pani, że targnął się na własne życie?
- Nie. To znaczy... Nie, zdecydowanie nie. Ale to jest pierwsza rzecz, która przychodzi nam do głowy, gdy widzimy kogoś powieszzonego, prawda? Myśl, że to samobójstwo. Mordercy zwykle zabijają w inny sposób, prawda?
- Prawda.
- A potem zobaczyłam krew i to, co on mu zrobił, i... obawiam się, że nie pamiętam zbyt dużo z tego, co nastąpiło potem.
- Pamięta pani, jak dzwoniła na policję?
- Tak. Pamiętam to, bo dzwoniąc, popatrzyłam na torbę

18

z zakupami. Musiałam upuścić ją na schodach, kiedy zobaczyłam Philipa, i zdałam sobie z tego sprawę, gdy mówiłam policjantom, gdzie mają przyjechać. I nie mogłam powstrzymać się od myśli... nie mogłam się powstrzymać od myśli, że gdybym tylko

tam była, gdybym nie wyszła, prawdopodobnie moglibyśmy go pokonać, przecież byłoby nas dwoje... Red pochyła się do przodu.

- Alison, gdyby pani tam była tej nocy, zapewne leżałaby pani w tej chwili w kostnicy obok Philipa. Przepraszam, że tak mówię, ale taka jest prawda. Kłótnia z narzeczonym uratowała pani życie.

Dziewczyna patrzy pustym wzrokiem.

- Och...

- Jeszcze tylko jedno pytanie i będziemy to mieć za sobą. Czy przychodzi pani do głowy, komu mogłoby zależeć na śmierci Philipa?

- Nie. - Odpowiedź jest natychmiastowa. - To był naprawdę uroczy człowiek. Dobry człowiek. Nie miał wrogów. Nie, nie mam pojęcia, komu mogłoby zależeć na jego śmierci.

Red wstaje.

- Alison, była pani wspaniała. Dziękuję za pomoc, jaką pani okazała.

Niewykluczone, że będziemy musieli jeszcze kiedyś porozmawiać. Jeśli tak będzie, zadzwonimy najpierw do pani, żeby ustalić dogodny termin. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała albo jeśli przypomni sobie pani coś ważnego, proszę śmiało do mnie telefonować. - Wręcza jej wizytówkę i pokazuje na numery telefonów. - To mój numer do Scotland Yardu, a to - na komórkę.

Odprowadza ją na korytarz i przekazuje Shaw, która właśnie wraca. Na pożegnanie Red i Alison podają sobie ręce. Detektyw życzy jej powodzenia.

Bidulka. Nic zabawnego zobaczyć narzeczonego zabitego w taki sposób. Bóg jeden wie, co się z nią będzie działo za kilka godzin, gdy naprawdę do niej dotrze to, co się stało.

Red wychodzi z budynku komisariatu. Jego telefon komórkowy zaczyna dzwonić. Wyciąga go z kieszeni marynarki, szarpiąc tak gwałtownie, że o mało nie rozrywa podszewki.

19

- Metcalfe.

- Tu detektyw inspektor Robert Nixon z Wandsworth. Mamy tu zwłoki.

Chcielibyśmy, żeby rzucił pan na nie okiem.

Red wzdycha.

- Dlaczego właśnie ja? Dlaczego właśnie ja i dlaczego akurat dzisiaj?

- Po pierwsze, ofiara została brutalnie pobita. A poza tym jest jeszcze kilka innych rzeczy, które wyglądają dość dziwnie.

- Na przykład?

- Zdaje się, że facet ma odcięty język.

Red staje jak wryty. Wypuszcza wolno powietrze. Chce mieć pewność, że jego głos będzie opanowany, gdy się odezwie.

- Jest pan pewien?

- Cholernie pewien. Nie badaliśmy go dokładnie, ale miał otwarte usta, było tam pełno krwi i nie widzieliśmy języka.

- Co jeszcze?

- Słucham?

- Powiedział pan, że jest kilka rzeczy, które dziwnie wyglądają. Co jeszcze oprócz

języka?

- W ustach ma łyżeczkę.

Red przytrzymuje telefon brodą i wyjmując z kieszeni notatnik.

- Poproszę adres.

- Wandle Road, w bok od Trinity Road. To dom biskupa.

- Czyj?

- Biskupa Wandsworth. To właśnie on został zabity. I w tym momencie Red rusza biegiem do samochodu.

Rozdział trzeci.

Trinity Road biegnie prosto jak strzała, dzieląc południowy Londyn na pół. Z mostu Wandsworth wygląda, jakby ciągnęła się w nieskończoność. Prosta nitka asfaltu, którą Red jedzie tak szybko, jakby goniła go sfora diabłów.

20

Skreca w Earlsfield, a potem w prawo w Wandle Road. O ile Radipole Road jest przykładem idealnego wielkomiejskiego porządku, o tyle Wandle Road stanowi przykład czegoś wręcz odwrotnego. Domy w różnych stylach i kolorach rozpychają się przy chodniku, ciemnoczerwone, żółte i bladoniebieskie. Dwa białe kamienne lwy siedzą po obu stronach drzwi z numerem 26, a rośliny pnące rozchodzą się promieniście od wejścia z numerem 32. Przedmieścia klasy średniej, takie jak Fulham; miejsca, gdzie morderstwo po prostu nie ma prawa się przydarzyć.

Nixon czeka przed domem biskupa. Red wysiada z samochodu i podchodzi do niego.

- Proszę za mną, sir - mówi Nixon i prowadzi Reda przez hol do salonu.

Ciało Jego Ekscelencji Jamesa Cunninghama, biskupa Wandsworth, leży pośrodku pokoju. Red kuca przy nim, a słowa Nixona o brutalnym pobiciu pulsują w jego głowie.

Słowo „brutalne” nawet w najmniejszym stopniu nie oddaje rzeczywistych rozmiarów obrażeń.

Biskup, rozebrany do slipów, został zaatakowany z niewyobrażalnym okrucieństwem. Za życia jego tłuste, rozlazłe ciało było prawdopodobnie niezdrowo blade, jeśli nie liczyć popękanych naczyń krwionośnych z powodu picia. Po śmierci to ciało krzyczy wściekłymi kolorami: czerwonym od krwi, ciemnoniebieskim i fioletowym od siniaków, brązowym od smug kału na nogach. Rzadkie plamy bieli wyrwywają się na powierzchnię poprzez to anarchistyczne szaleństwo barw, tak jakby chciały udowodnić, że to naprawdę był kiedyś człowiek.

Cunningham leży na boku. Jego lewa ręka przykrywa twarz, a kość przedramienia wychodzi przez skórę, złamana potężnym ciosem. Rzadki wianuszek siwych włosów, wiodący od skroni do skroni poprzez tył głowy, przesiąknięty jest krwią.

Krew. Dużo krwi. Podobnie jak w przypadku Philipa. Krew jest na całym ciele Cunninghama: na twarzy, szyi, ramionach, z tyłu i przodu, i tworzy archipelagi na podłodze.

Red spogląda na twarz Cunninghama: żółte zęby, usta, bez

21

języka. Łyżeczka jest wyraźnie widoczna, wepchnięta nie tak mocno jak w przypadku Philipa. Jej trzonek opiera się lekko na podłodze, jak nitka śliny pomiędzy ustami a dywanem. Red podnosi się z klęczek i odwraca do Nixona.

- Kto ostatni widział go żywego?

- Jego brat Stephen. Jedli wczoraj obiad w restauracji w dole ulicy. Stephen mówi, że podrzucił brata około osiemnastej trzydzieści, a potem pojechał do swojego domu w Battersea.

- Czy biskup mieszkał sam?

- Tak.

- Był kiedyś żonaty?

- Nie, nigdy.

- Kto znalazł ciało? Nixon kartkuje notes.

- Facet nazywający się Gerald Glazer. Jeden z kościelnych w katedrze Wandsworth. Biskup miał odprawić nabożeństwo o siódmej trzydzieści dziś rano. Nie zjawił się.

- Z wiadomych powodów.

- No tak... Po nabożeństwie Glazer zadzwonił do biskupa, a ponieważ nikt nie podnosił słuchawki, przyszedł. Katedra jest niedaleko stąd. Glazer zapukał do drzwi, nie otrzymał odpowiedzi, spojrzął przez okno i zobaczył ciało.

- To, że Glazer tu przyszedł, to lekka nadgorliwość, prawda? Na jego miejscu pomyślałbym, że biskup po prostu zasnął albo jest chory.

- Glazer mówił, że Cunningham od ponad dziesięciu lat nie opuścił żadnego nabożeństwa. To dlatego wydało mu się to takie podejrzane. Inna sprawa, że pewnie nie zawracałby sobie głowy przychodzeniem tutaj, gdyby katedra znajdowała się dalej. To nie było z jego strony żadne poświęcenie.

- Gdzie jest teraz?

- Na komisariacie.

- A brat Cunninghama?

- Też.

- Złożyli zeznania?

22

- Właśnie to robią.

- Nie są w zbyt dużym szoku?

- Nie.

Red myśli przelotnie o Alison Bird i zastanawia się, jak ona teraz się czuje, po powrocie do domu, za całe towarzystwo mając Lisę Shaw i wspomnienie Philipa.

- Wracam do Yardu. Czy mógłby mi pan przefaksować ich zeznania? - Podaje

Nixonowi numer. - Wrócę tu jeszcze. Do tego czasu to miejsce musi być zaplombowane i strzeżone. Dziennikarzy odsyłajcie do Scotland Yardu.

Red odwraca się do wyjścia, a potem zatrzymuje.

- Byłbym zapomniał - mówi. - Czy są jakieś ślady włamania?

Nixon potrząsa głową.

- Nie. Żadnych. Zamek nie został wyłamany ani naruszony, a wszystkie okna były zamknięte.

Red kiwa w zamyśleniu głową i idzie do swojego samochodu.

Rozdział czwarty.
Piątek, 12 lutego 1982.

To tutaj wszystko się zaczęło. Pod latarnią, gdzie jeden ze studentów z drużyny wioślarskiej, idąc na siłownię, znalazł o świetle ciało Charlotte Logan. Sińce na jej szyi i charakterystyczny wytrzeszcz oczu zdawały się aż nadto mówić o sposobie, w jaki została zabita. Charlotte Logan, studentka drugiego roku nauk przyrodniczych w Clare College, osoba mająca większą część życia dopiero przed sobą, była teraz na pół zamrożonym, uduszonym ciałem.

Policjantom z Cambridge udało się ustalić wszystko z wyjątkiem najważniejszego: kto ją zabił. Odkryli, że feralnej nocy Charlotte była na imprezie i że po raz ostatni widziano ją za kwadrans trzecia. Nikt nie pamiętał jej wyjścia, więc nikt też nie

23
przypominał sobie, czy wyszła sama czy z kimś. Zdaje się, że na tym etapie w ogóle nikt niczego nie pamiętał.

Charlotte najwidoczniej zdecydowała się wrócić do college'u, nigdy jednak jej się to nie udało. Wykluczono seksualny motyw napaści, nie została też obrabowana. Na jej szyi nie znaleziono odcisków palców; zresztą nic dziwnego - zimą, we wschodniej Anglii, gdy temperatura spada poniżej zera, nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodzi w nocy bez rękawiczek. Morderstwo bez śladów i bez oczywistego motywu.

Brama wjazdowa Clare College wtulona była w królewską kaplicę przy końcu ślepej uliczki. Ta ślepa uliczka była teraz oblegana przez ekipy telewizyjne, fotografów i reporterów - wejścia strzegł cały oddział ponurych portierów, którzy od czasu do czasu opuszczali posterunek, by eskortować niektórych studentów narażonych na szturm mikrofonów i notatników. Policjant prowadzący śledztwo, detektyw inspektor Derek Hawkins, pojawiał się na tle muru z brunatnego kamienia i czarnej metalowej bramy trzy razy na dzień i używał różnych eufemizmów mających na celu ukrycie faktu, że policja niczego nie znalazła.

Ojciec Charlotte, Richard, który przed rokiem zarobił ponad dwadzieścia milionów funtów na sprzedaży swojej fabryki dywanów, wyznaczył nagrodę w wysokości trzydziestu tysięcy funtów dla każdego, kto udzieli informacji, mogących pomóc w aresztowaniu i oskarżeniu winnego. Jeden z dziennikarzy zapytał go, czy myśli, że te pieniądze przywrócą życie jego córce. „Nie - odpowiedział - ale mogą przywrócić sprawiedliwość, a to też jest coś”.

Nie udało się jednak jej przywrócić. W miarę jak zimne dni mijały wolno jeden po drugim, szansę na odnalezienie mordercy Charlotte rzedły jak poranna mgła na rzece Cam. Mieszkańcy Cambridge pracowali, bawili się i śmiali tak jak zawsze - nie mogli już dłużej smucić się z Loganami i przyjaciółmi Charlotte.

Red znał Charlotte, choć nie był pewien, gdzie i jak ją poznał. Był rok wyżej od niej w innym college'u i na innym

24

kierunku. Współczuł jej rodzinie i czuł lekki gniew wobec nie znanej osoby, która pozbawiła ją życia. Jej śmierć jednak nie wyróciła jego życia do góry nogami.

A przynajmniej tak mu się wydawało. Tydzień później zmienił zdanie. Tydzień później dowiedział się, kto ją zabił.

Rozdział piąty.

Po powrocie do siedziby Yardu Red zastaje na biurku przefaksowane kopie zeznań Stephena Cunninghama i Geralda Glazera. Przegląda je tylko po to, by stwierdzić bez zaskoczenia, że nie znajduje się w nich nic, czego by już nie wiedział.

Dla policjantów, którzy prowadzili przesłuchania, morderstwo Cunninghama jest jedynie kolejną tego rodzaju sprawą, jedną z wielu. Dla Stephena Cunninghama i Geralda Glazera jest to coś, co będą pamiętać przez całe swoje życie.

Red zakłada ręce za głowę i patrzy na ścianę. Jego wzrok prześlizguje się po gazetowych wycinkach oprawionych w ramki i porozwieszanych po całym biurze.

Wielki artykuł z „Daily Telegraph”, szczegółowa biografia ze zdjęciem Reda sprawiającego wrażenie zamyślonego, zajmuje honorowe miejsce nad biurkiem.

Przypomnienie jego sukcesów, zagadek, które rozwiązał, łagodny kult jednostki, który tak bardzo spędza sen z powiek niektórym z jego kolegów.

Ani słowa o porażkach. Te artykuły trzyma upchnięte w teczce, zamknięte w biurku.

Jeśli zapytalibyście go, gdzie one są, udałby, że nie pamięta, ale możecie być pewni, że doskonale wie, gdzie je położył - nigdy o nich nie zapomina. Zbiera prawie wszystko, co się o nim pisze i mówi, ale na swojej wystawce umieszcza jedynie te artykuły, które wychwalają go pod niebiosa i każą w nim widzieć Bruce'a Wayne'a z Gotham City, którym jest Londyn.

Zegarek wskazuje dziesiątą piętnaście rano. Trzy godziny

25

temu Red wstał. W tym czasie dwa morderstwa. I w rezultacie jeden straszliwy ból głowy.

Wstępnych wyników autopsji obu ciał można spodziewać się w porze lunchu. Red musi do tego czasu skompletować zespół. To jego dziecko. Dostanie carte blanche, jeśli chodzi o tę sprawę. Tak długo, jak będzie miał rezultaty, władze będą mu pobłażać.

Najpierw jednak musi mieć zespół. Niewielki, ale zarazem nie za mały. Dwoje ludzi to na przykład za mało. Na filmach jest to zwykle para nie pasujących do siebie gliniarzy, którzy w miarę rozwoju akcji zaczynają się darzyć coraz większym szacunkiem, aż w końcu zostają przyjaciółmi. Niestety, w rzeczywistości dwie proste linie myślenia nie łączą się ze sobą. Potrzebuje przynajmniej trzech. Trzy umysły tworzą trójkąt, zgrabnie zbiegający się w kątach. Ale trzy to też niedobra liczba. Jest nierówna i może doprowadzić do układu: dwóch na jednego, i ktoś poczuje się zepchnięty na margines.

Niech więc będzie czworo. Czworo to akurat. On plus troje. Pytanie tylko, kto ma wchodzić w skład tej trójki?

Nie chodzi o to, kto jest dobry. Każdy, kogo bierze pod uwagę, taki jest. To się rozumie samo przez się. Nie chodzi też tylko o umiejętność pracy w zespole. To tak, jakby Red poprosił o przyniesienie na przyjęcie różnych trunków. Nie będzie dobrze,

jeśli wszyscy przyniosą lagera, podczas gdy on prosił o białe wino, wódkę i brzoskwińówkę. Chciał ludzi, którzy będą iskrzyć między sobą, ponieważ myślą w odmienny sposób, dzięki czemu całość będzie lepsza niż suma części.

Red prześlizguje dłonią po swoich jaskrawomarchewkowych włosach, bierze kosmyk z grzywki i zawija go na palec przed oczami. Cofa rękę i patrzy, jak zakręcone włosy powoli się rozprostowują. Potem otwiera notes i zapisuje w nim w porządku alfabetycznym sześć nazwisk.

Adamson, Beauchamp, Clifton, Pritchard, Warren, Wilkinson.

Przez kilka chwil wpatruje się w te nazwiska, obracając długopis wokół środkowego palca.

Pierwsze cięcie. Wykreśla Adamsona i Wilkinsona, stawia

26

znaczkę przy Beauchamp i Cliftonie oraz znaki zapytania przy Warrenie i Pritchardzie.

Przepisuje cztery nie skreślone nazwiska. Najpierw Cliftona i Beauchamp. Potem robi odstęp i wpisuje Warreną i Pritcharda, przy których przedtem postawił pytańki. Clifton i Beauchamp zdecydowanie tak. Clifton dlatego, że Red pracował z nim przez pięć ostatnich lat i dlatego, że jest dobry - na tyle dobry, by pewnego dnia zostać następcą Reda. Beauchamp dlatego, że jest najlepszą kobietą, jaką tu mają, a Red musi mieć kobietę w zespole - nie z powodu orędowników politycznej poprawności, ale dlatego, że przejść przez jedną z tych spraw bez kobiecego punktu widzenia to tak, jakby mieć jedną rękę związaną z tyłu.

Poza tym ona i Clifton dobrze się znają. Zbyt dobrze, zdaniem niektórych. Krążą plotki, że mają romans. Red podejrzewa, że może to nawet odpowiadać prawdzie, ale osobiście nic go to nie obchodzi. Clifton to przystojny facet, a i z niej atrakcyjna kobieta. Oboje mogli trafić gorzej. Jeśli parzą się jak króliki, to wszystkiego najlepszego.

Tak więc Clifton i Beauchamp, zakochani w sobie czy nie, przechodzą dalej.

Pozostają Warren i Pritchard.

Potrzebuje tylko jednego z nich. Trudny wybór.

Pritchard ma duży potencjał, ale to żółtodziób. Jest dobry - pełen entuzjazmu, energiczny, nigdy nie okazuje przygnębienia ani nie traci ducha. Ale chyba jest zbyt podobny do Cliftona i Beauchamp, dublowałby ich siły i słabości.

Co do Warreną... cóż, stara gwardia: po czterdziestce, zahartowany na ulicach manchesterskich osiedli i znudzony łapaniem handlarzy narkotyków oraz nastolatków kradnących samochody, by się nimi przejechać. Czasami może sprawiać wrażenie wypranego z wszelkiej radości, zwłaszcza kiedy przybiera cyniczną maskę człowieka, który wszystko już widział na tym świecie. I może się nie przystosować do pozostałych dwojga, chyba że miałby na to dziesięć lat - i to na każde z nich.

Red sięga do kieszeni marynarki, otwiera paczkę marlboro

27

i wyjmując papierosa. Od lat ma zwyczaj wyjmowania papierosów z paczki bez wyciągania jej z kieszeni. Nie pamięta, gdzie i dlaczego zaczął tak robić. Niektórzy zarzucają mu, że próbuje w ten sposób wymigać się od częstowania innych, ale to nieprawda. Poza tym tak niewielu ludzi pali w dzisiejszych czasach. Większość z

nich sama się oszukuje. Red widział wystarczająco dużo sekcji, by wiedzieć, że mieszkańcy Londynu mają czarne płuca niezależnie od tego, czy palą, czy nie. Płomień zapalniczki robi się większy, gdy pociera krzemień. Reguluje gaz i zapala papierosa.

Przez następne dziesięć minut Redowi nic nie przychodzi do głowy. Jedyne element, którego nie brał pod uwagę, to grafik zajęć. Ten, kogo wybierze, zostanie odsunięty od wszystkiego, czym się zajmuje, i to w trybie natychmiastowym. Dopóki nie złapią tego skurwysyna, który dla zabawy odcina ludziom języki, ich życie prywatne nie będzie istnieć.

Będzie musiał rzucić monetą.

Sięga do kieszeni spodni i wyjmuje pięćdziesięciopensówkę. Monety jednofuntowe są cięższe, ale nie tak duże, więc nie latają tak dobrze jak pięćdziesiątki.

Zgodnie z porządkiem alfabetycznym. Najpierw Pritchard, potem Warren. Orzeł i reszka.

Moneta obraca się kilka razy w powietrzu.

Łapie ją w prawą dłoń, kładzie na grzbiecie lewej i odkrywa.

Reszka.

Rozdział szósty.

Jez Clifton jest solidnie spocony, gdy zatrzymuje swój rower na parkingu pod budynkiem Scotland Yardu. Ranek jest ciepły, a on pedałowal ostro z Islington. Jego sztywne buty do jazdy stukają o beton, gdy idzie do pryszniców w podziemiach. Przebieralnie są puste, jeśli nie li-

28

czyć dwóch detektywów z wydziału pornografii, którzy właśnie idą grać w squasha. Patrzą z udawanym przerażeniem na pomarańczowy podkoszulek Jeza i jego szorty z lycry w brytyjską flagę.

- Kurwa mać, Clifton - mówi jeden z nich. - Powinniśmy cię za to aresztować.

Noszenie krzykliwych strojów w obszarze zabudowanym to nie przelewki.

Jego towarzysz wybucha śmiechem. Jez uśmiecha się i pokazuje im środkowy palec.

Zrzuca strój rowerzysty i wchodzi pod prysznic. Mimo że wciąż jest spocony, odkręca wodę tak gorącą, jaką tylko może wytrzymać.

Nieważne: lato czy zima, zawsze robi sobie parówkę. Nie może zrozumieć ludzi, którzy ostatnie trzydzieści sekund spędzają pod lodowato zimną wodą. Spróbował tego kiedyś i jedyne, co zapamiętał, to uczucie, że jego jaja cofają się do brzucha z prędkością jednego macha i że nigdy już nie wyjdą z powrotem.

Jez zmywa z siebie brud miasta. Powszechnie uważa się, że zanieczyszczenie jest większe latem, ale Jez czytał gdzieś, iż tak naprawdę większe jest zimą, gdy nie ma gorącego powietrza, które podnosi się i zabiera smog ze sobą. Tak czy owak, powinien raczej jeździć po Londynie w orzeźwiającej rzeźkością styczniu niż bliskiej zadymienia gorącej lipca.

Kręci głową w strumieniach wody i szczypie się w brzuch, żeby sprawdzić, czy nie jest za tłusty. Letni sezon triathlonu zaczyna się ledwie za kilka tygodni, a Jez chce być

w dobrej formie w pięciu wyścigach, w których będzie brał udział. Ze śmiertelnie poważnym narcyzmem atlety napina wszystkie mięśnie i podziwia to, co widzi. Nieźle. Zupełnie nieźle.

Mija pięć minut. Jez zakręca wodę, wyciera się i ściąga z wieszaka jedną z koszul wiszących w jego szafce, ziewając przy tym. Pracował wczoraj od czwartej po południu do północy, co tłumaczy, dlaczego przyjeżdża do Yardu dopiero o jedenastej trzydzięci i wciąż jest śpiący.

Kompletnie ubrany, wjeżdża windą na czwarte piętro. Wychodzi na korytarz i nagle słyszy, że jego telefon dzwoni. Tylko

29

pojedynczy dźwięk. Połączenie wewnętrzne. Mogą poczekać. Dzwoniący z budynku zwykle rezygnują po pięciu lub sześciu sygnałach. Ale tym razem telefon wciąż dzwoni, w czasie gdy Clifton wchodzi do swojego biura. Odbiera bez entuzjazmu.

- Clifton.

- Jez, tu Red.

- Cześć. Jak leci?

- Źle albo kurewsko okropnie. Co wolisz?

- Kurewsko okropnie. Choć nie może to być gorsze od tego, na co właśnie patrzę. - Jez przegląda bez zainteresowania swoją korespondencję. Notatki służbowe, papiery konferencyjne, rządowe zalecenia. Kolejne ziewnięcie.

- Stawiam dychę, że może.

- Przyjmuję zakład.

- Przyjdź do mojego biura.

- Już idę.

Rozdział siódmy.

Kate Beauchamp nudzi się jak mops. Sądząc z min i gestów, większość z pozostałych delegatów na konferencji czuje to samo.

Po raz któryś z rzędu tego ranka patrzy na zegarek. Jedenasta dwadzieścia. Co najmniej godzina do lunchu, prawdopodobnie więcej. Żeby się czymś zająć, przegląda się w szkiełku zegarka. Wciąż nie może przyzwycząić się do swojej nowej, krótkiej fryzury. Włosy do ramion, które przedtem nosiła, okalały jej twarz i wygładzały rysy. Teraz widać jej odstające uszy i wygląda o pięć lat starzej. Jej chłopak David twierdzi, że nowa fryzura do niej pasuje, ona jednak nie jest tego taka pewna.

Kate zaczyna bazgrać w notesie. Rysuje profil faceta siedzącego bokiem przed nią, obdarzając go na rysunku szeroko otwartymi ustami z ogromnym „Chr...” wychodzącym spomiędzy nich.

Dlaczego konferencje są urządzone tak, że interesujący faceci

30

występują zawsze rano? Wszystkie konferencje, w których uczestniczyła, przebiegały według tego samego schematu: najlepsi mówcy na początku, kiedy wszyscy jeszcze są zainteresowani i nie śpią. Zawsze kilku delegatów wychodzi podczas lunchu i jest

pewien rodzaj milczącego porozumienia, że drugi popołudniowy mówca będzie mówił do sali pełnej śpiochów. To martwy czas, zaraz po tym, jak lunch usadowił się w żołądku, a przed tobą jest jeszcze wizja herbaty.

Jeśli ten jest najlepszym mówcą, jakiego mają, niech Bóg ma w swojej opiece najgorszego. Mówi o testach psychometrycznych monotonnym tonem z tak silnym holenderskim akcentem, że czyni to wypowiedź niemal całkowicie niezrozumiałą. Nie robi nic, żeby przyciągnąć uwagę publiczności. Nie ma pomocy wizualnych, nie gestykuluje, nie zmienia wysokości głosu i tempa. Wielka sala, małe zainteresowanie. Kate kartkuje program, aż znajduje nazwisko mówcy. Rolf van Heerden. Obecnie reprezentuje Unię Europejską w Igrzyskach Nudy i stara się o miejsce w drużynie Ziemi, która ma być zabrana na Marsa na przyszłoroczne Mistrzostwa Układu Słonecznego.

Kate ma naprawdę dużo roboty po powrocie do Yardu, a tu jest bliska zanudzenia się na śmierć.

Jedna z osób obsługujących konferencję, młoda kobieta w okularach i zielonej garsonce o dwa numery za dużej, wbiega do sali i kieruje się na scenę. Kate obserwuje ją. Może przysłano ją tutaj, by wyświadczyła im wszystkim przysługę i zabiła Rolfa van Heerdena.

Kobieta wchodzi po stopniach na scenę. Van Heerden, wyraźnie zirytowany, przerywa w połowie zdania. Kobieta szepcze mu coś do ucha. Mężczyzna odpowiada, cicho i ostro. Kobieta znów coś mówi. Van Heerden wzrusza gniewnie ramionami i robi krok do tyłu. Mała pantomima.

Kobieta pochyla się do mikrofonu i mówi:

- Detektyw inspektor Kate Beauchamp proszona jest o zgłoszenie się do biura organizacyjnego, zaraz przy wejściu do sali. Pilny telefon.

Kate jest tak oszołomiona, że mija dobra chwila, nim zdaje

31

sobie sprawę, że słowa kobiety skierowane są do niej. Zaskoczona, wstaje, bierze torebkę i przepycha się pomiędzy krzesłami, przeciskając się między plecami ludzi pochyłonych nad stołami. Kilku z nich patrzy na nią z zainteresowaniem, zastanawiając się, jaki kataklizm na ziemi jest na tyle ważny, by przerywać mówcy w połowie przemówienia.

To jest coś, nad czym i ona się zastanawia. Złe wieści? Jej matka była niedawno chora. Ma nadzieję, że to nie nawrót choroby.

Kobieta w zielonym zakiecie dogania Kate przy wyjściu z sali.

- To tutaj.

Prowadzi ją do biura organizacyjnego zainscenizowanego w holu i pokazuje na telefon ze słuchawką leżącą obok. Kate podnosi ją.

- Kate Beauchamp.

- Kate, tu Red.

- Cześć.

- Czy możesz wrócić do biura?

- Teraz?

- Tak, w tej chwili. To ważne.

- Dobrze. Będę tam za dwie minuty. - Znajduje się w centrum konferencyjnym

naprzeciwko Westminster Abbey. Scotland Yard jest rzut beretem stąd. Kate odkłada słuchawkę i uśmiecha się. Nie musi siedzieć przez następne czterdzieści pięć minut i słuchać Rolfa van Heerdena. A jednak Bóg istnieje.

Rozdział ósmy.

Duncan Warren trzyma słuchawkę między szyją i prawym ramieniem i niecierpliwie bębni palcami. Helen jak zwykle długo nie odbiera telefonu.

Głupie krówsko. Robi to chyba tylko po to, by go zirytować.

Wie, że nie powinien przejmować się takimi drobiazgami,

32

a jednak się przejmuje. Dziesięć lat po rozwodzie jego antypatia do Helen - a jej do niego - powinna przeobrazić się w wystudiowaną obojętność. Tak się jednak nie stało. Wciąż istnieje, tak silna, zawzięta i wyniszczająca jak zawsze. Gdy Duncan rwie się do walki, czasami dzwoni do Helen tylko dlatego, że wie, iż go to nabuzuje. A jeśli ten koniobijca Andy, który teraz mieszka z nią, wtrąci swoje trzy grosze, nie może być lepiej. Przy swoim wzroście (sześć stóp i dwa cale) i tuszy (dwieście pięćdziesiąt dwa funty) Duncan wie, że może zrobić z Andy'ego krowi placek, nawet jeśli na te dwieście pięćdziesiąt dwa funty w tej chwili przypada więcej tłuszczu niż mięśni.

Teraz jednak nie chce walczyć z Helen ani dawać wycisku Andy'emu. Ma zbyt dużo roboty. Wszystko, czego teraz chce, to umówić się na weekend i odłożyć słuchawkę. Nagle w jego uchu rozlega się jej cichy głos.

- Helen Rowntree.

Wróciła do panińskiego nazwiska chwilę po tym, jak dostała rozwód.

- Cześć. To ja, Duncan.

- Wiem. Czego chcesz? Tego mu właśnie trzeba.

- A jak myślisz? Ustalić, co z weekendem.

- Do licha ciężkiego, Duncan. Ustalenia są takie same jak zawsze. Zabierasz Sama dzisiaj o szóstej wieczorem, a przywozisz go z powrotem o szóstej wieczorem w niedzielę. I bądź punktualnie. Nie zamierzam Bóg wie ile czekać.

- Dokąd idziesz?

- Pilnuj swojego nosa. Duncan wzdycha.

- Dobrze. Zobaczymy się o szóstej. Co u Sama?

- W porządku.

- To dobrze. A co u ciebie?

- A co cię to obchodzi?

Od wielkiej miłości do wielkiej nienawiści. Duncan nie chce zawracać sobie tym głowy. Nie dzisiaj.

33

- To na razie.

Helen rozłącza się bez pożegnania. Duncan rzuca słuchawkę i klunie do czterech ścian swego biura. I wtedy telefon zaczyna dzwonić. Odbiera.

- Tak?

- Duncan? Tu Red.
- Cześć.
- Czy możesz przyjść do mnie do biura?
- W tej chwili?
- Tak, w tej chwili. To ważne.
- Lepiej, żebyś nie spieprzył mi weekendu, Red. Zabieram Sama.
- Duncan, po prostu przyjdź.

Telefon milknie. Najpierw Helen, teraz Red. Oboje odłożyli słuchawki bez pożegnania. To musi być zaraźliwe.

Rozdział dziewiąty.

Czwartek, 18 lutego 1982.

To nie tak, że Red się tego spodziewał. Nie było żadnego wstępu, żadnej wskazówki. W jednej chwili nie wiedział jeszcze, kto zabił Charlotte Logan, a w następnej - już tak. Chwila ta rozdarła jego życie na pół.

Siedział w pokoju swego brata w Trinity. Było już późno, po północy, Byli razem w barze college'u, a potem Red wstąpił tu jeszcze na kielicha. Padał na nos i chciał już iść. Był wstawiony, a Eric był pijany, bardzo pijany. Upił się nie na głośno, tak żeby śpiewać piosenki, tylko rzewnie, filozoficznie. Gadali o tym i tamtym. I nagle Eric powiedział: - Zabiłem Charlotte Logan. - Powiedział to z tak wielką rozpaczą, że Red ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że mówi prawdę i że te słowa nie są jakimś głupim żartem. Zanim zdołał zareagować, tama ostatecznie puściła i jego brat począł z siebie wylewać potok słów.

34

- Szedłem z nią do domu po tej imprezie. Wyszedłem przed nią, ale zatrzymałem się na ulicy, żeby się odlać, i mnie dogoniła. Byliśmy oboje zalani w trupa. Toczyliśmy się z miejsca na miejsce, od czasu do czasu przystając, żeby się pocałować, i gdzieś na Parker's Piece jej dłoń powędrowała w dół moich spodni i...

Przerwał, jakby wspomnienie tego, co nastąpiło później, było zbyt bolesne.

- Mów dalej - zachęcił go łagodnie Red. - Ja tylko słucham. Wcale cię nie osądzam, Eric przełknął głośno i kontynuował.

- Wyśmiała mnie, bo nie miałem erekcji. Było naprawdę zimno, do kurwy nędzy, a ja miałem opuszczone spodnie. Jak mogłem mieć tę pierdoloną erekcję? Ale ona zaczęła się ze mnie śmiać, robić sobie ze mnie jaja. Wzięła do ręki mojego wacka i powiedziała: „Gdybym chciała papierosa, ty chujku, to bym poprosiła”. I dalej w ten deseń. Początkowo traktowałem to jak żart, ale gdzieś w środku bolało mnie to. W końcu... przyłożyłem jej.

- Przyłożyłeś jej?
- Tak. Z otwartej dłoni. To był bardziej klaps niż uderzenie.
- I co ona na to?
- Oddała mi. Z pięści. Naprawdę mocno.
- I co wtedy?
- Nie pamiętam. Przypominam sobie tylko, że sięgnąłem do jej szyi, bo miała

rozwiązany szal, i pamiętam, że usiłowała odtrącić moje ręce. Następna rzecz, jaką pamiętam, to że ona leżała na ziemi- pod latarnią, a mnie bolały palce. Chyba je trochę nadwreżyłem.

- Jezu Chryste, Eric.

- Nie wiedziałem, co robić. Wiedziałem tylko, że ona nie żyje. Nie miała pulsu.

Dałem nogę.

- Jak ci się, kurwa, udało utrzymać to wszystko tak długo w tajemnicy?

- Boże, to było straszne. Nie wiem, jak mogłem zrobić to,

35

co zrobiłem. Byłem pewien, że ktoś na pewno mnie widział i pójdzie na policję.

Przez ostatni tydzień za każdym razem, gdy ktoś pukał do drzwi, byłem przekonany, że to gliny przyszły, żeby mnie aresztować. Ale najgorsze było to, że musiałem o tym komuś powiedzieć. Wczoraj o mało nie poszedłem na policję i nie przyznałem się.

- Czemu tego nie zrobiłeś?

- Nie wiem. Chyba obleciał mnie strach.

- Myślałeś, że jeśli spróbujesz to zignorować, to przejdzie?

- Tak, chyba tak.

Red wypił nieco whisky i spróbował zebrać myśli. Być szczerym czy go pocieszać?

Widział strach Erica, ale wiedział, że jego brat zabił kogoś, i myśl ta budziła w nim odrazę. Dlatego łatwiejsze dla niego okazało się bycie szczerym, dzięki czemu mógł zdystansować się do tego, co Eric zrobił.

- Musisz komuś o tym powiedzieć.

- Powiedziałem. Tobie.

- Nie. Komuś innemu. Na przykład policji.

- Nie. Zdecydowanie nie.

- Dlaczego nie? Wczoraj omal tego nie zrobiłeś.

- Wiem, Ale jednak nie zrobiłem, I cieszę się z tego. Nie masz pojęcia, Red, jak bardzo wystraszyło mnie to, co zrobiłem. To, przez co przeszedłem przez ostatni tydzień, było wystarczającą karą. Za żadne skarby nie chciałbym znów przejść przez coś takiego.

Eric przerwał, jakby próbując sam siebie o czymś przekonać. Red czekał.

- Jeszcze będzie dobrze, trzeba tylko czasu - powiedział Eric. - Wszystko wróci do normy.

Do normy. Nie dla rodziny Charlotte Logan. Red wstał,

- Dokąd idziesz? - spytał zaniepokojony Eric,

- Po prostu idę.

- Dokąd? Chyba nie zamierzasz komuś o tym powiedzieć? Red popatrzył na brata zmęczonym wzrokiem i pominął to pytanie milczeniem.

36

- Jestem wykończony, chcę się trochę przespać.

- Nie możesz o tym nikomu powiedzieć. Nikomu.

- Dlaczego?

- Dlatego, że sprowadzisz na mnie kłopoty. Kłopoty. Łagodnie powiedziane.

- Eric...

- Przysięgasz, że nikomu nie powiesz? Przysięgasz? Red westchnął.

- Przysięgam,

Eric objął go - niezręczne splecenie kończyn, w którym Red nie chciał uczestniczyć. Nie pozwolił rękom na kontakt z łopatkami Erica i spróbował wyswobodzić się niezbyt ostentacyjnie i niezbyt szybko. Eric podszedł do gramofonu stojącego w kącie. Red ruszył w kierunku drzwi.

- Wychodzę.

- Nie. Poczekaj chwilę.

- Już ci mówiłem, że nikomu nie powiem. Eric wyjął płytę z koperty.

- Posłuchaj ze mną tego, a potem będziesz mógł sobie iść.

Red usiadł ciężko na krześle, ulegając bratu ostatni raz. Głośniki zatrzeszczały, gdy igła dotknęła rowków płyty,

W pokoju rozległ się dźwięk instrumentów smyczkowych, łagodny i kojący.

- Co to?

Eric podszedł do drzwi i zgasił górne światło. Muzyka wypełniła mrok.

- Mesjasz Haendla. Część druga, Aria z kontraltem. Nosi tytuł Wzgardzony.

Red usłyszał skrzypienie, gdy Eric położył się na podłodze.

- Dlaczego mi to puszczasz?

- To z Księgi Izajasza, Rozdział 53, wers 3: „Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści, oswojony z cierpieniem”.

- Dlaczego mi to puszczasz?

- Słuchałem tego, gdy wróciłem z... ,gdy wróciłem tamtej

37

nocy, Wydawało mi się, że będzie to pasowało. Jesteś moim spowiednikiem.

Powinieneś tego wysłuchać.

Ponad dźwiękiem smyczków rozległ się kobiecy głos. Przeciągający nuty, czysty i pewny. Wzgardzony. Odepchnięty. Słowa spadły w ciszę, a potem wzniosły się ponad muzykę.

Red słuchał Mesjasza w ciemności przez pięć minut, a potem podniósł się do wyjścia. Pierś leżącego przy drzwiach Erica unosiła się i opadała w rytmie snu. Jego usta były otwarte, a oddech przesycony ostrym zapachem whisky. Mimo ciemności Red zauważył, że sen wygładził zmarszczki smutku i bólu widoczne przedtem na twarzy jego brata.

Podszedł do łóżka, wziął kołdrę i przykrył nią Erica. Przykucnął, zawijając kołdrę pod niego i otulając ją szczelniej stopy, by mieć pewność, że Eric nie zmarznie.

Przysięgasz, że nikomu nie powiesz?

Przysięgam.

Red pochylił się i pocałował Erica w policzek.

Mój bracie. Mój kochany braciszku. Wybacz mi to, co zamierzam zrobić.

Rozdział dziesiąty.

Pokój jest ciasny, gorący i duszny. Red próbował znaleźć lepszą salę, ale wszystkie były zajęte. Scotland Yard oblegają ważne zagraniczne delegacje: jedna z Interpolu,

druga z Japonii, a trzecia z Chile. Bóg jeden wie, co one wszystkie tu robią. Red siada u szczytu stołu. Jez i Kate zajmują miejsca po jego lewej stronie, oboje wyglądają na wyszorowanych do czysta. Duncan siada po prawicy Reda, wypełniając pokój zapachem tytoniu. Po drugiej stronie stołu siada profesor Andreas Lubezski, patolog z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który badał ciało Philipa. Za nim wisi biała tablica, do której małymi czerwonymi

38

magnesami, jak kroplami krwi, przyczepionych jest ponad czterdzieści zdjęć z dwóch miejsc zbrodni.

Wszyscy znają Lubezkiego i go lubią. Jest Polakiem, który przyjechał do Edynburga w latach sześćdziesiątych w ramach wymiany z Uniwersytetem Warszawskim i nigdy nie wrócił już do domu. Był szefem patologów w Lockerbie*, gdzie spędził trzy i pół dnia bez snu, robiąc sekcję ponad dwustu ciał.

* Lockerbie - miasteczko w Szkocji, na które 21 grudnia 1988 spadł samolot PanAm 103. W katastrofie, będącej wynikiem eksplozji bomby, zginęło 259 osób znajdujących się na pokładzie i 11 mieszkańców miasteczka.

Z tysięcy przypadków, jakie badał, ten był jedyny, o którym nigdy nie mówił. W 1992 roku Uniwersytet Londyński zaoferował Lubezkiemu objęcie katedry na wydziale medycyny sądowej. Porzucił wtedy Edynburg dla londyńskiego smogu, a celtyckich przestępców dla tych, którzy mówią cockneyem.

Ani upodobanie Lubezkiego do fularów, ani przedziwna kombinacja polskich i szkockich naleciałości w jego akcencie nie mogą przesłonić oczywistego faktu, że jest znakomitym fachowcem. Tak jak Red, stawia on czoło przerażającym rzeczom z tym samym niezmaconym spokojem, z jakim czyta się książkę albo prowadzi samochód. Red podejrzewa jednak, że w profesorze spokój jest solidnie zakorzeniony, podczas gdy w jego przypadku zagłębił się ledwie pod skórę.

Lubezski chrząka.

- Przeprowadziłem wstępną sekcję ciała Philipa Rhodesa i rozmawiałem z doktorem Slatteryem, który kierował podobnym badaniem na ciele Jamesa Cunninghama. - Lubezski wymachuje kartką papieru, na której znajdują się notatki zrobione podczas rozmowy ze Slatteryem. - Wszystko wskazuje na to, że obydwa zabójstwa były dziełem tego samego mężczyzny. Świadczą o tym: wyrwany język, łyżeczka, slipki. A mówiąc: „tego samego mężczyzny”, mam na myśli dokładnie to. Obrażenia, których doznał James Cunningham, nie mogły być dziełem kobiety. Nic nie wskazuje również na to, że napastników było wielu.

39

Odsuwa krzesło i podchodzi do zdjęć na białej tablicy.

- Philip Rhodes został prawie na pewno zamordowany pierwszy, jeśli przyjąć, że w temperaturze pokojowej każdej godziny od śmierci ciepłota ciała spada o półtora stopnia Fahrenheita. Jego ciało zostało znalezione około siódmej rano, czyli co najmniej pięć godzin po śmierci. Z moich ustaleń wynika, że został zabity między północą a drugą w nocy. James Cunningham natomiast zginął prawdopodobnie pomiędzy trzecią a piątą nad ranem. Jego ciało było po prostu odrobinę cieplejsze, gdy zostało znalezione przed dziewiątą.

Red w leżącym przed nim notesie pisze: „Rhodes zabity najpóźniej o drugiej,

Cunningham - nie wcześniej niż o trzeciej". To daje zabójcy co najmniej godzinę na dotarcie z Fulham do Wandsworth. Możliwe do wykonania każdym środkiem transportu, szczególnie o tej porze.

Ale co z krwią? Londyn nigdy nie jest zupełnie opustoszały, nawet w środku nocy. Jak dostał się z jednego miejsca na drugie, zakrwawiony, nie będąc przez nikogo zauważonym?

Lubezski kontynuuje.

- Przyczyną śmierci Philipa Rhodesa było powieszenie. Siła upadku złamała mu kark. James Cunningham natomiast został dosłownie zatłuczony na śmierć.

Bezpośrednią przyczyną zgonu były powtarzające się ciosy w głowę. Nawet jednak gdyby jego głowa pozostała nietknięta, umarłby z powodu licznych obrażeń ciała kilka godzin później. Wyłączając zmiżdżenia w wyniku wypadków samochodowych, rzadko widywałem ciała o tak rozległym krwotoku wewnętrznym. Lubezski wskazuje na zdjęcia przedstawiające ciało Cunninghama. To samo miejsce sfotografowane w różnych ujęciach, na wszystkich fotografiach widać jedno zastygłe, martwe ciało.

- Przypuszczam, że napastnik użył jakiejś drewnianej pałki -być może kija baseballowego. Nie widać tu tego zbyt wyraźnie z powodu krwi i siniaków, ale w czasie sekcji doktor Slattery odkrył wyraźne ślady uderzeń. Ślady te były prawie idealnie okrągłe. Tworzą one elipsę o przeciętnej średnicy trzech, czterech cali i szerszym końcu wiodącym do centrum ciała. To wskazuje, że broń była szersza na jednym końcu, jak kij baseballowy. Zresztą Slattery powiedział mi, że znalazł kilka odprysków drewna we włosach z tyłu głowy Cunninghama.

- Dlaczego uważasz, że był tylko jeden napastnik? - pyta Jez.

- Dlatego, że większość ciosów została zadana w ten sam sposób: z jednej strony, pod tym samym kątem i z tą samą siłą. Gdyby napastników było kilku, ciosy padałyby z różnych stron i z różną siłą. Poza tym Cunninghama bito w różne miejsca. Gdy napastników jest kilku, zwykle zadają oni ciosy w jedno miejsce na przemian, jak drwale ścinający drzewo.

Red znowu pisze. „Jeden zabójca. Motyw? Dlaczego różne metody? Dlaczego jedną ofiarę powiesił, a drugą zatłukł?”

- Co do pozostawionych znaków - mówi Lubezski - wiemy już o nich całkiem dużo. Po pierwsze, języki. Obu mężczyznom odcięto je za pomocą bardzo ostrego noża, a może nawet skalpela. Wygląda na to, że nasz człowiek wie, co robi. Zaczyna pod językiem, nacinając z obu stron, a kończy w poprzek. To tak jak otwieranie jednej z tych walizek z dwoma suwakami, które spotykają się na środku. W każdym przypadku przecięto frenum

- „klapkę”, która przywiązuje język do podstawy jamy ustnej, a trzy ważne naczynia krwionośne, włączając w to dwie arterie

- przerwano. To tłumaczy ogromną ilość krwi. Zabójca musiał zabrać języki ze sobą. Nie zostawił żadnych śladów ani na ciele, ani w miejscach zbrodni.

Red zapisuje pojedyncze słowa., Języki. Seks? Milczenie? Kapuś. Mafijne porachunki. Zdradzenie tajemnicy. Ostrzeżenie???”

Duncan otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Lubezski wyprzedza pytanie.

- Języki zostały odcięte, gdy mężczyźni jeszcze żyli. Jez krzywi się. Lubezski nie

zwraca na to uwagi.

- Gdyby odciął je po śmierci ofiar, nie byłoby tyle krwi. Krew na ciałach i w ustach wskazuje na to, że morderca przerwał arterie, gdy jeszcze pompowały one krew pod dosyć wysokim

41

ciśnieniem. Krew trysnęła tak mocno w tej ograniczonej przestrzeni, że to rozdarło „klapki” w podniebieniach ofiar.

- A co z łyżeczkami? - pyta Duncan.

- Łyżeczki zostały umieszczone w ustach po odcięciu języków. Są wykonane ze srebra, nie z nierdzewnej stali. Technicy właśnie je badają. Mam ich zdjęcia, jeśli chcecie odkryć źródło ich pochodzenia.

„Srebrne łyżeczki. Oczywista symbolika. Urodzony/zmarły ze srebrną łyżeczką w ustach. Uraza do bogaczy. Sprawdzić stan majątkowy ofiar”.

Red wiecie od tych dwóch ostatnich słów dwie strzałki, pisząc przy końcu jednej „cateringowiec”, a przy końcu drugiej - „biskup”. Następnie stawia kilka znaków zapytania.

- Jak wiecie - mówi Lubezski - obaj mężczyźni ubrani byli jedynie w slipki i obaj oddali stolec podczas ataku lub w drgawkach przedśmiertnych. Przy drzwiach na podłodze sypialni Cunninghama leżała koszula nocna (nie zakrwawiona, ale odrobinę rozdarta).

Red znów pisze: „Slipki. Motyw seksualny?” Dwa ostatnie słowa łączy z wyrazem „seks”, który napisał, zastanawiając się nad odciętymi językami. „Ubrania. W czym spali? Wyciągnięci z łóżek? Godziny napadu - niemożl. - prawdopodobnie spali”.

- Ślady wskazujące na motyw seksualny? - pyta Kate.

- Żadnych.

Red spogląda do góry.

- W ogóle żadnych?

- Żadnych. Żadnych śladów penetracji analnej przez jakikolwiek obcy obiekt. Brak nasienia na ciałach. Zresztą w ogóle na ciałach nic nie znaleźliśmy. Ani nasienia, ani włosów, ani śliny, ani odcisków palców, ani włókien, ani kawałków naskórka. Nic. Oczywiście, obejrzymy je jeszcze, cał po calu, pod mikroskopem. To zajmie kilka dni, ale może przyniesie jakieś rezultaty. Jeśli tylko coś znajdziemy, zbadamy kod DNA. To z kolei potrwa około dwóch tygodni. Ale nie robiłbym sobie większych nadziei, zwłaszcza jeśli chodzi o włókna. Często miałem przypadki, że nie

42

znajdowałem żadnych włókien. Jeśli ciało zostało przeniesione albo leży w przeciągu - czasem wystarczą otwarte drzwi - włókna odlatują i nigdy ich nie znajdujemy.

Pamiętajcie poza tym, że obie ofiary były półnagie, co również zmniejsza szansę na znalezienie czegoś na ich ciałach. Ubranie zatrzymuje więcej skrawków niż nagie ciało.

- Zapewne nie znaleźliście nic pod paznokciami? - pyta Kate. - Jeśli ofiary się broniły, pod paznokciami mogły się znajdować kawałki skóry napastnika.

- Niestety, nic nie znaleźliśmy. Nie w tym przypadku. „Żadnych śladów”, pisze Red. „Zawodowiec”.

Rozlega się pukanie. Drzwi otwierają się. Po sali rozgląda się niepewnie młoda

kobieta.

- Detektyw Redfern Metcalfe?

- To ja.

- Chloe Courtauld, z biura prasowego. Przez cały dzień urywają się telefony.

Byłabym wdzięczna, gdyby powiedział mi pan coś więcej niż dziś rano.

Red mlaska. Naprawdę miał dobre intencje, ale zdarzenia go przytłoczyły i najzwyczajniej w świecie zapomniał o oświadczeniu dla prasy.

Wstaje.

- Pójdę z tobą, Chloe - mówi, po czym dodaje do Lubezkiego: - Wielkie dzięki, Andreas. Daj mi znać, jeśli coś znajdziesz, dobrze?

- Jasne.

Red odwraca się do pozostałych.

- Duncan, pójdiesz ze mną. Kate i Jez, pojedziecie do domów ofiar. Sprawdzicie jeszcze raz sąsiadów, przyjaciół, krewnych, wszystkich. Widzę was z powrotem o... - zastanawia się przez chwilę - o wpół do dziesiątej jutro rano.

- Czy to dotyczy również mnie? - pyta Duncan. Red patrzy na niego jak na idiotę.

- Oczywiście, że tak.

- Ale mam wziąć na weekend Sama.

43

- Duncan, możesz mieć nawet umówione spotkanie z papieżem i Nelsonem Mandelą. Nic mnie to nie obchodzi. Jesteś mi potrzebny.

- Ale...

- Żadne „ale”. Idziemy.

Duncan podnosi się niechętnie. Red wychodzi z Chloe za drzwi.

- Kto dzwonił?

- Wszyscy. BBC, ITN, Sky, wszystkie gazety. Wydzwanają bez przerwy, zupełnie jakbyśmy wiedzieli coś więcej, niż im powiedzieliśmy. Wysłali swoich ludzi do tego domu w Wandsworth...

- Wandsworth?

- Tak, do domu biskupa.

- A co z tym z Fulham?

- Parę osób dzwoniło w tej sprawie z samego rana, potem już nikt. Ja nawet nie wiedziałam, że w Wandsworth było jakieś morderstwo, dopóki nie odebrałam pierwszego telefonu w tej sprawie. - W jej głosie słychać łagodną przyganę.

- Chloe, słowo honoru, że gdy do ciebie dzwoniłem, nie miałem pojęcia o morderstwie w Wandsworth. Przepraszam. Kompletnie wyleciało mi to z głowy.

Więc nikt już nie interesuje się naszym panem Rhodesem?

- Na to wygląda. Wszyscy chcą wiedzieć jak najwięcej o biskupie.

Red zastanawia się przez chwilę.

- Dobrze, niech i tak będzie. Duncan pojedzie do Wandsworth i pogada sobie z nimi, a wtedy może skurwiele się zwiną.

Rozdział jedenasty.

- Dzień dobry. Jestem detektyw inspektor Duncan Warren. Przepraszam, że musieliście państwo tak długo czekać. Wygłoszę krótkie oświadczenie, a potem odpowiem na państwa pytania.

44

Duncan stoi na chodniku przed domem biskupa tak, by fotoreporterzy i kamerzyści mieli w kadrze drzwi wejściowe. Patrzy na tłum wyczekujących ludzi, walczących ze sobą o jak najlepsze miejsce. Tak na oko, dziennikarzy jest ze trzydziestu. Tłoczą się na chodniku, a samochody i wozy transmisyjne stoją po obu stronach ulicy. Niezbyt dobry dzień dla mieszkańców Wandle Road.

Duncan chrząka.

- James Cunningham, biskup Wandsworth został znaleziony około dziewiątej rano przezjednego z kościelnych. Zamordowano go. Podejrzewamy motyw rabunkowy. Postanowili trzymać się wersji o nieudanym rabunku. Dlatego to Duncan rozmawia z mediami. Twarz Reda i jego charakterystyczna szopa rudych włosów są zbyt dobrze znane, by ktoś dał wiarę, że w grę wchodzi zwykły rabunek, a czterdziestopięcioletni Duncan bardziej wygląda na członka Sił Policyjnych Jej Wysokości niż Jez czy Kate. Stoi przed kamerami niczym filar prawa, szerokie ramiona i wyprężona pierś wypychają marynarkę.

- Ten haniebnny atak na bezbronnego staruszka wydarzył się pomiędzy trzecią a piątą rano. Prosimy każdego, kto w tych godzinach widział lub słyszał coś podejrzanego, o jak najszybszy kontakt z najbliższym posterunkiem policji. Czy są jakieś pytania?

Zgiełk. Kilkanaście osób zaczyna mówić jednocześnie, podsuwając Duncanowi pod nos mikrofony i dyktafony. Policjant podnosi swe ogromne dłonie.

- Proszę. Nie wszyscy naraz.

- Co zostało ukradzione z domu?

Duncan o mało nie odpowiada, że nic. Na szczęście, w porę gryzie się w język.

- W tej chwili trudno powiedzieć. - Używa pięciu słów, podczas gdy wystarczyłoby jedno. - Biskup Cunningham mieszkał sam i nie było formalnej inwentaryzacji jego majątku. Z pomocą jego krewnych przeszukujemy dom. Sami państwo rozumiecie, że zajmie to trochę czasu, tym bardziej że są oni, oczywiście, zrozpaczeni.

45

- Czy przewidujecie, że uda wam się aresztować sprawcę w najbliższym czasie?

- Jesteśmy pewni, że znajdziemy tego, kto to zrobił.

- Jakiej broni użył napastnik?

- Wydaje się nam, że było to jakieś drewniane narzędzie, na przykład kij baseballowy.

- Jakiej osoby szukacie?

- Silnego mężczyzny.

- To wszystko?

- Tak, na razie to wszystko. Jeśli będziemy coś mieli, będziecie państwo pierwszymi, którzy się o tym dowiedzą.

Na chwilę zapada cisza. Duncan korzysta z okazji.

- Panie i panowie, mam nadzieję, że jesteście usatysfakcjonowani. Przykro mi, że w tej chwili tylko tyle mogę wam powiedzieć. Oczywiście, będziecie na bieżąco informowani o wynikach śledztwa. Tymczasem chciałbym prosić, żebyście

uszanowali spokój okolicznych mieszkańców. Naprawdę, nie ma tu już nic więcej do zobaczenia. Dziękuję państwu za uwagę.

Wie, że nie odjadą natychmiast. Prędzej piekło zamarznie, niż dziennikarze dobrowolnie posłuchają prostego policyjnego rozkazu. Duncan jednak przewiduje, że powinni stąd zniknąć w ciągu najbliższej godziny, gdy tylko uświadomią sobie, że nic tu nie znajdują. Nic, o czym by już nie wiedzieli. Jeśli ofiarą byłby jakiś zwykły szaraczek, mógłby liczyć co najwyżej na wzmiankę w lokalnym dodatku. Ale ponieważ jest to biskup, jutrzejsze gazety pałac będą staromodnym chrześcijańskim oburzeniem - szczególnie brukowce, „Mail” i „Express”, mówiące to, co środkowa Anglia chce usłyszeć.

Duncan ma nadzieję, że cała sprawa będzie sensacją jednego dnia. Wie, że i bez tego ich czteroosobowy zespół będzie mieć wystarczająco dużo roboty.

46

Rozdział dwunasty.

Było kilka minut po pierwszej w nocy. Niedługo miał nadejść martwy czas, kiedy ci, którzy nie śpią, robią się najwolniejsi,

Red nie spotkał żywego ducha. Szedł Jesus Lane, mijając domy studenckie po prawej stronie i ADC Theatre po lewej. Na białej ścianie teatru widać było wielki czarny napis. Przeszedł obok stacji benzynowej. Za nią zaczynała się droga, która długim, łagodnym łukiem skręcała w prawo i wiodła do Jesus College, a kończyła się w Newmarket.

Szedł samotnie, spowity chłodnym kokonem mgły. Wiedział, dokąd idzie i że z każdym krokiem zwiększa dystans między sobą a tym mężczyzną-dzieckiem, który śpi niespokojnym snem na podłodze w Trinity,

Przyrzekasz, że nikomu nie powiesz?

Przyrzekam.

Pytanie Erica i jego odpowiedź, przebiegły mu po raz wtóry przez głowę.

Przechodząc obok Jesus College, popatrzył przelotnie w dół Chimney, długiej ścieżki rowerowej dla studentów, która prowadziła prosto do głównego wejścia do college'u. Zamknięta brama ziała czernią. Redowi nie dane było skorzystać ze skarbnicy wiedzy mieszczącej się za bramą, nie tylko z powodu nieprzyzwoitej godziny, ale przede wszystkim dlatego, że musiał zrobić to, co postanowił.

Szedł jedną drogą, a jego myśli biegły drugą.

Ochrona. Milczenie oznacza ochronę.

Jeśli nikomu nie powie, nikt nie będzie wiedział. Nikt, z wyjątkiem jego i Erica, spowiednika i grzesznika. Jeszcze jeden sekret między braćmi i jeszcze jedna nie rozwiązana zagadka kryminalna. Dzisiejsza gazeta, w którą jutro zawinie się frytka i rybę.

Ochrona.

Red zobaczył również inne rozwiązanie: Eric aresztowany, osądzony, idzie na dno, a jego rodzice zdruzgotani, całkowicie zdruzgotani, do końca życia rozpamiętują to, co się stało,

i zadają sobie pytanie, gdzie popełnili błąd. Mama usiłująca zagłuszyć ból obsesyjnym dbaniem o porządek i tata patrzący pustym wzrokiem przez okno w pracy i w szklanke whisky w domu. Firma jego ojca zajmująca się rozprowadzaniem krawatów już wcześniej podupadała; dom miał obciążoną hipotekę, a tydzień temu rodzice musieli sprzedać drugi samochód. Wątpliwe, czy to, co się stało, powstrzyma ich przed bankructwem.

Ojciec był na prostej drodze do tego, by przyłożyć sobie dubeltówkę do ust, a matka - by zostać pensjonariuszką domu bez klamek.

Ochrona.

Red doszedł do ronda przy końcu Jesus Lane.

Nie mógł iść dalej.

Zaczął wracać.

Szum silnika przedarł się przez mgłę, Dwa snopy światła prześlizgnęły się po nim, stamtąd, skąd przyszedł, w dół Jesus Lane i na rondo. Pierwsza rzecz, jaką napotkał, odkąd wyszedł z pokoju Erica.

Red stanął na krawędzi chodnika, więc mógł dokładnie przyjrzeć się mijającemu go samochodowi, Volvo z czworgiem ludzi w środku, z nartami na dachu, walizkami i torbami podróżnymi upchanymi z tyłu. Matka, na przednim siedzeniu dla pasażera, popatrzyła na Reda, gdy samochód go mijał. Zobaczył, że odwróciła od niego głowę, a usta poruszyły się bezgłośnie za szybą, gdy mówiła coś do swego męża, a potem nieznaczny uśmiech rozświetlił twarz mężczyzny, gdy wolno jechał w kierunku ronda. Z tyłu siedziało dwoje nastolatków, chłopak śpiący przy drzwiach i dziewczyna patrząca przed siebie pomiędzy dwoma przednimi siedzeniami.

Samochód minął go. Błysnął jasno światłami przeciwmgielnymi, a potem skręcił w prawo i zniknął we mgle.

Rodzina wracająca z ferii,

Rodzina.

Gdyby ta dziewczyna była starsza o pięć lat, mogłaby zostać uduszona tylko dlatego, że komuś nie stanął z powodu

48

zimna i alkoholu, a ona ośmieliła się z niego śmiać, Chłopiec ciągle spał przy drzwiach samochodu, ale tam, gdzie wpatrywała się dziewczyna, nie było nic, tylko pustka i dręczące wspomnienia, Co by było, gdyby ta rodzina straciła córkę? Gdyby tę rodzinę spotkał los Loganów? Ich życie ległoby w gruzach, a oni nie wiedzieliby nawet dlaczego. Stracić dziecko i nigdy nie dowiedzieć się, kto je zabił, W każdej minucie życia wiedzieć, że zabójca jest na wolności, bezkarny, a śmierć jego dziecka nie została pomszczona. Widzieć przechodniów na ulicach i zastanawiać się, czy któryś z nich nie jest osobą, której się szuka. Chcieć tylko wiedzieć i nawet tego być pozbawionym.

Taki los miał czekać rodziców Charlotte Logan, jeśli Red dotrzyma słowa i nie wyda Erica. A co jeśli policja złapie kogoś innego? Wszyscy chcą kogoś aresztować i obciążyć go oskarżeniem o zabicie Charlotte. Co jeśli policja w akcie desperacji

złapie niewłaściwego człowieka? Red nie mógłby stać beczynnym i patrzeć, jak skazują kogoś niewinnego.

A jeśli ktoś inny zostałby schwytany i oskarżony i dopiero wtedy Red poszedłby na policję i powiedział prawdę, on sam mógłby mieć kłopoty. Naruszenie litery prawa. Pomoc. Współudział w morderstwie, Przypadkowe pojęcia obracające się w jego głowie.

Przestał się dręczyć. Nie miał wyboru. Musiał zrobić to, co zrobione być musi.

Przeciął rondo i skierował się w prawo. Szedł teraz szybciej. Skręcił w lewo w Parker Street, gdzie rowery stały nie przywiązane przed domami i nikomu nie przychodziło do głowy, żeby je ukraść. Minał rozległe tereny Parker's Piece, którego trawa sztywna była od mrozu. Mgła przesłaniała latarnię, przy której przed tygodniem znaleziono ciało Charlotte Logan.

Red pchnął drzwi komisariatu Parkside i wszedł do środka. Wewnątrz pachniało środkiem dezynfekującym, a pasek podłogi przy przeciwległej ścianie był mokry: pijackie wymiociny, pospiesznie starte, Posterunkowy w dyżurce popatrzył na Reda znad kubka z herbatą.

49

- W czym mogę panu pomóc?

- Chciałbym zobaczyć się z kimś starszym rangą. Posterunkowy krzyknął coś przez ramię i odwrócił się z powrotem do Reda.

- Proszę chwilę poczekać.

Red podziękował skinieniem głowy.

Pod ścianą stał rząd winylowych krzesełek. Wybrał to, które stało najdalej od paska zdezynfekowanej podłogi, i wpatrzył się w ścianę przed sobą. Bładożółta farba zawirowała mu przed oczami.

Przyrzekasz, że nikomu nie powiesz? Przyrzekasz?

Drzwi na lewo otworzyły się i pojawił się w nich wysoki mężczyzna w okularach i ze starannie zaczesanymi włosami. Jeden z naramienników przy jego ciemnoniebieskim mundurze odpadał.

- Sierżant Ackerman. Słucham pana. Red wstał.

- Czy możemy porozmawiać bez świadków?

- Jasne. - Ackerman odsunął się, by przepuścić go obok siebie, - Tędy proszę.

Pierwsze drzwi po prawej.

Posterunkowy w dyżurce odprowadził Reda wzrokiem i podniósł pytająco brwi do Ackermana. Ackerman w odpowiedzi wzruszył ramionami,

Pierwsze drzwi po prawej wiodły do sali przesłuchań, małej i spartańskiej. Cztery krzesła, jeden stół, bez okna. Red zastanawiał się chwilę, jacy przestępcy mogli przewinać się przez ten pokój przez lata, i spytał sam siebie, czy to, co ma zamiar zrobić, nie czyni go czasami gorszym od nich wszystkich razem wziętych.

Usiedli, Ackerman popatrzył na Reda wyczekująco,

Ostatnia szansa na odwrót.

Red nabrał powietrza w płuca i powiedział szybko, chcąc mieć to już za sobą:

- Wiem, kto zabił Charlotte Logan.

Ackerman milczał, Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Może każdej nocy miał tu takie wizyty.

Red kontynuował.

- Nazywa się Eric Metcalfe. Studiuje w Trinity. I już. Powiedział to.

Ackerman wreszcie się odezwał.

- Skąd pan wie?

Red widział odbicie swojej głowy i ramion w okularach policjanta. Soczewki zniekształcały rysy jego twarzy, sprawiając, że oczy zdawały się patrzeć z boków głowy, co czyniło go podobnym do żaby. Ale nawet mimo tych zniekształceń mógł dojrzeć smutek na swej twarzy. Głęboki, bezgraniczny smutek. Żal po stracie kogoś bliskiego.

- Eric Metcalfe to mój brat.

Rozdział trzynasty.

Susan nie ma w domu, kiedy Red wraca. Jest zadowolony, że ma całe mieszkanie dla siebie i zwalcza poczucie winy z tego powodu. Potrzebuje odpoczynku. Chciałby przespać cały rok. Wie jednak, że nie może, ponieważ późnym wieczorem musi zrobić to, czego najbardziej nie cierpi: pójść znów na miejsce obu zbrodni - i to sam. To właśnie dlatego wrócił do domu tak wcześnie: żeby zebrać siły przed maglem, który go czeka.

Zamyka za sobą drzwi wejściowe i idzie do kuchni. Mieszkanie Reda i Susan zajmuje dwa górne piętra trzypiętrowego budynku: kuchnia i bawialnia znajdują się na dole, sypialnia i łazienka na górze.

Red wyjmuje z lodówki ostatnią puszkę heinekena i przechodzi przez podwójne drzwi do bawialni, gdzie ciężko opada na sofę. Pod wpływem jego ciężaru pilot telewizora spada z poduszek na podłogę. Zbyt zmęczony, żeby się schylić i go podnieść, Red siedzi, gapiąc się w czarny ekran.

Dwa ciała jednej nocy. Szybka robota.

Red zapala papierosa i przywiera ustami do chłodnej metalo-

51

wej puszki, mając nadzieję, że mieszanka nikotyny i alkoholu postawi go na nogi. Nie stawia.

Kończy heinekena pięcioma, sześcioma łykami. Zmusza się do wstania i przez podwójne drzwi wraca do kuchni. Może jedzenie doda mu energii. W szafce nad zlewem znajduje makaron, a w lodówce - warzywa. Czerwona i żółta papryka, awokado i ogórek. Może być.

Red słyszy, że drzwi do budynku otwierają się. Susan?

Trzaśnięcie drzwi do mieszkania na dole. Nie Susan. To kroki Mehmeta Shalego, producenta płytowego, który mieszka pod nimi.

Napełnia rondel wodą i wstawia na gaz. Najostrzejszym nożem, jaki udało mu się znaleźć, zaczyna kroić warzywa. Poleje je resztką francuskiego sosu, zmiesza z makaronem i może uda mu się oszukać samego siebie, że odżywia się zdrowo, pomimo marlboro i heinekena.

Red ciągle obiecuje sobie, że zacznie o siebie dbać, podając sobie za przykład Jeza.

W młodości był w dobrej kondycji, teraz jednak zaczął sobie pobłażać i wymyślać setki usprawiedliwień, dlatego nie trenuje.

Przez kuchnię łagodnym pomrukiem przetaczają się odgłosy miasta. Dołącza do nich linia basu, wydobywająca się ze sprzętu Shalego i przenika przez podłogę aż do nóg Reda.

Do kurwy nędzy, myśli Red. Właśnie dzisiaj, kiedy jak nigdy należy mu się chwila spokoju.

Od około roku Red i Shali toczą regularną wojnę dotyczącą głośności muzyki, w którym to czasie Red skarżył się do administracji co najmniej dziesięć razy.

Urzednicy z wydziału ochrony środowiska zjawili się tu dwa razy, uzbrojeni w decybelomierze, ale nie zrobili nic poza wysłaniem do Shalego kilku upomnień.

Red próbował załatwić sprawę polubownie, bez wykorzystywania swego stanowiska, ale teraz jego cierpliwość sięgnęła kresu. Zmęczenie trzyma go jak w okowach.

Naprawdę nie zawracałby sobie głowy, gdyby nie to, że jego głowa i tak będzie zawracana przez wiele godzin dudniącym basem.

52

Schodzi do mieszkania Shalego i naciska dzwonek. Muzyka dalej gra. Red ponownie przykłada palec do dzwonka i tym razem odrywa go dopiero wtedy, gdy słyszy ze środka zirytowane:

- Dobra! Już dobra!

Shali otwiera drzwi. Jest ubrany w cytrynowo-zieloną jedwabną koszulę i we wrogie nastawienie.

- Tak?

- Ścisz muzykę.

Żadnego „proszę” ani „czy mógłbyś?” Żądanie, a nie prośba.

Shali przenosi wzrok z twarzy Reda na jego prawą rękę i jego oczy otwierają się szerzej. Red wciąż trzyma nóż, którym siekał warzywa. Ostrze jest ubrudzone miąższem awokado.

- Człowieku, grozisz mi nożem?

- Ścisz muzykę.

Shali zanurza dłoń w kręconych czarnych włosach na szczycie swego szerokiego czoła.

- Poproś ładnie, to pomyślę o tym.

- ŚCISZ TĘ PIERDOLONĄ MUZYKĘ.

- Wiesz, co jest z tobą nie tak, człowieku? Jesteś zbyt spięty. Musisz się...

I nagle Red leży na Shalim, wciskając go w podłogę, i nożem przejeżdża po jego gardle; oczy Shalego są wybałuszone i oszalałe z zaskoczenia, krew pokrywa miąższ z awokado i przyska na twarz Reda i ścianę za nim, gdy nóż przedziera się przez zieloną, jedwabną koszulę i zagłębia w brzuchu, raz za razem; linia basu jest straszliwą ścieżką dźwiękową towarzyszącą scenie zabijania, Shali krzyczy wysoko i głośno, a ciepła maź jego jelit jest na rękach Reda, gdy wyślizgują się z rany ziejącej w jego brzuchu...

Shali stoi przyparty do ściany ręką, która ścisza go za szyję. Red przenosi wzrok z dłoni na ramię i zawinięte rękawy białej koszuli.

Jego białej koszuli. To jego ręka trzyma Shalego.

Red powtarza jeszcze raz:

- Ścisz. Tę. Pierdoloną. Muzykę.

Shali odwraca głowę i krzyczy coś w głąb mieszkania. Najwidoczniej nie jest sam.

53

Muzyka się urywa.

Cisza, jeśli nie liczyć urywanego oddechu Shalego. Żadnej krwi - ani na ścianie, ani na nożu. Żadnych ciepłych jelit w dłoni Reda.

Red zabiera rękę z szyi Shalego. Mężczyzna poprawia kołnierzyk i wchodzi do mieszkania, trzaskając za sobą drzwiami, jakby dla podreperowania swej męskości. Red opiera się o ścianę, próbując uspokoić galopujące serce.

Wracając do swojego mieszkania, Red trzęsie się cały. Woda w rondlu wrze, najwyższy czas, by wrzucić makaron. Zakręca kurek. Nie ma ochoty najedzenie. Bierze ze stołu słuchawki i podłącza do wieży. Olbrzymie muszle słuchawek zasłaniają zupełnie uszy. Włącza odtwarzacz kompaktowy i wyciąga się na sofie. Słuchawki odcinają Reda od świata zewnętrznego, pozbawiają wszystkich zmysłów, z wyjątkiem słuchu.

Narastający początek uwertury, poważny, masywny i ponury, z grzmotami przewalającymi się przez głowę. Red zamyka oczy i pozwala się nieść muzyce. Zna to oratorium na pamięć. Wie o nim wszystko-kiedy muzyka wznosi się i opada, kiedy wchodzi głośnie, kiedy milkną, kiedy grają tylko instrumenty dęte, a kiedy dołączają do nich smyczki. Wiedza ta sprawia mu przyjemność.

Mesjasz Haendla. Jedyne płyta, jaką Red posiada.

Rozdział czternasty.

Red macha swoim identyfikatorem przed oczami posterunkowego - innego niż ten, który był tu rano - strzegącego drzwi domu Philipa Rhodesa.

- Czy miejsce zbrodni jest zabezpieczone?

- Tak, sir. Technicy wyszli kilka godzin temu. Nikogo nie było od wczesnego wieczora.

- Trzymajcie tak dalej. Dobra robota.

Posterunkowy otwiera drzwi i Red wchodzi do domu. Jest kilka minut po pierwszej w nocy. Sobota trwa ledwie od godziny.

Red zamyka za sobą drzwi i włącza światło w holu. Ciało Philipa zniknęło, a część dywanu u podstawy schodów, która była zakrwawiona, została odcięta i zabrana do analizy. Kwadrat brudnoszarego betonu, zimna wysepka na oceanie puszystej zieleni, łypie na Reda.

Robi kilka głębokich wdechów i przygląda dłońmi włosy na skroniach.

W domu panuje całkowita cisza. Tak samo musiało być dobiegłemu, zanim przyszedł morderca.

A teraz Red zamierza odtworzyć wzajemne oddziaływania zabójcy i ofiary. Jaki był przebieg spotkania i jaki niezwykły związek zrodził się między nimi? Kto co zrobił? Kto co powiedział?

Gdyby Redowi udało się to odtworzyć, mógłby, podążając tą samą drogą, odtworzyć sposób myślenia zabójcy. Ale nie mógł tego zrobić w czasie, gdy kręciła się tu połowa policyjnych techników z Londynu. Więc pozwolił im dokończyć robotę i gdy już poszli, przyszedł tutaj w spokoju nocy.

Wielka cisza zaraża Reda jak wirus. Patrzy w swoje notatki, czując się, jakby robił to setny raz. „Motyw”? „Języki”. „Sprawdzić stan majątkowy ofiar”. „Cateringowiec”. „Biskup”. „W czym spali?” „Zawodowiec”.

Słowa na papierze, ośmieszające go swoją nonsensownością.

Dlaczego to robisz, człowieku? Dlaczego robisz właśnie to?

Red mówi do mordercy, ale równie dobrze mógłby zadać te pytania sobie.

Dlaczego występujesz przeciwko tym ludziom?

Red zna odpowiedź.

Ponieważ jesteś w tym dobry. Ponieważ jesteś lepszy od nich.

Teraz mówi już do siebie.

To właśnie dlatego ich łapiesz. Nawet teraz, kiedy stoisz w obcym domu i nie potrafiłbyś odróżnić północy od południa, i tak jesteś od nich lepszy.

Red chowa notatnik do kieszeni i klepie się po policzkach.

No, do roboty.

54

55

Rozdział piętnasty.

Dom Philipa Rhodesa jest ładny, ale trudno go nazwać rezydencją. Dlaczego więc pojawił się motyw srebrnych łyżeczek, z całą tą zazdrością i urazą, które zdaje się on sugerować? Może Philip miał gdzieś ukryte kosztowności? Red jakoś nie może w to uwierzyć.

Chodzi wolno po domu, zaznajamiając się z jego rozkładem. Na parterze hol, kuchnia i bawialnia. Na pierwszym piętrze sypialnia Philipa, łazienka i garderoba. Tylne drzwi z kuchni prowadzą do ogrodu. Red włącza latarkę i świeci nią przez szybę w drzwiach. Belkowe łuki w poprzek małego wybrukowanego obszaru, barbecue i klomby kwiatów przy ogrodzeniu.

Ogród jest z każdej strony ogrodzony. Nie ma przejść do innej części budynku, dlatego też jeśli zabójca wszedł przez ogród, musiał przechodzić przez czyjaś posesję. Buszowanie po ogrodach o pierwszej w nocy? Wykluczone. To Fulham. Tu wszędzie nad tylnymi drzwiami palą się światła.

Zabiłeś dwóch ludzi i jak dotąd nie znaleźliśmy najmniejszego śladu, mówi Red do zabójcy. Nie ryzykowałbyś wszczęcia alarmu, prawda? Poza tym drzwi od kuchni są zamknięte na zasuwę. Nie wszedłeś przez ogród. Nie mogłeś. Na ścieżkach nie ma śladów. Więc wszedłeś od ulicy.

Red wraca do frontu domu i szuka możliwości wejścia od ulicy. Na parterze - tylko dwie. Oczywiście, frontowe drzwi i okno bawialni.

Idzie na górę, usiłując nie myśleć o ciele wiszącym tam jeszcze wczoraj rano. Skręca do sypialni Philipa i podchodzi do otwieranego do góry okna. Otwiera je do połowy i

wygląda. Dobre piętnaście stóp do ulicy. Żadnych rynien. Potrzebowałbyś drabiny, żeby się tu dostać. A jeśli nie chciałeś ryzykować buszowania po ogrodach, nie wspinałbyś się po drabinach na oczach sąsiadów.

Wszedłeś więc dołem, czyli od frontu. Drzwi frontowe czy okno bawialni?

Red schodzi na parter i idzie do bawialni. Okno jest zamknięte.

Czyżbyś otworzył okno, a potem je zamknął? Niemożliwe. Więc musiałeś wejść drzwiami.

Red ogląda drzwi od środka. Trzy zamki, wszystkie otwierane tym samym kluczem. Przy żadnym nie majstrowano ani żaden nie został wyłamany. To zostawia trzy możliwości.

Pierwsza, otworzyłeś zamki wytrychem.

Nie. Czasochłonne i niebezpieczne. Zbyt wielkie ryzyko, że zostanie się zobaczonym lub usłyszanym.

Druga, miałeś swój klucz.

Tylko że nikt nie miał klucza, z wyjątkiem Philipa i Alison. A zabójca prawie na pewno jest mężczyzną.

Pozostaje więc tylko jedna możliwość.

Philip Rhodes otworzył ci drzwi.

O pierwszej w nocy?

W drzwiach jest judasz. Red patrzy przez niego i widzi plecy posterunkowego absurdalnie szerokie w rybim oku.

Philip musiał widzieć cię przez judasz. Z pewnością nie otworzyłby drzwi o pierwszej w nocy, nie zrobiwszy tego. I poczuł się na tyle bezpiecznie, by ci otworzyć.

Ktoś, kogo Philip znał. Nie inkasent z gazowni. Nie facet do telewizora.

A jeśli nie ktoś, kogo znasz, to ktoś w potrzebie.

Albo udający kogoś w potrzebie.

Kto? Kim jesteś?

Wróćmy do sedna. Kimkolwiek jesteś, Philip otworzył ci drzwi.

Philip idąc do drzwi, prawdopodobnie miał na sobie slipy. Nie zszedłby nagi, a noc była ciepła, więc zapewne nie narzucił na ramiona nawet szlafroka.

Philip w slipach otworzył drzwi.

Ale ty musiałeś wejść na górę, żeby powiesić Philipa. I musiałeś mieć jakiś prawdopodobny pretekst, skoro wszedł tam z tobą. Nie można powiesić kogoś ot, tak sobie, wbrew jego woli. Nie można ot, tak po prostu przełożyć komuś pętli przez głowę

56

57

i zrzucić z podestu. Oni nie robią tego z własnej woli, chyba że zmuszasz ich do posłuszeństwa. A na ciele Philipa nie było śladów, jeśli nie liczyć nadgarstków i - rzecz jasna - szyi. Żadnych oznak walki.

Więc Philip nie wiedział, co nastąpi.

Wszedł z powrotem po schodach. Gdzie w tym czasie byłeś ty? Przed nim? Za nim?

Prawdopodobnie za nim. Wszedłeś na podest i skoczyłeś na Philipa z pętlą. Jeden koniec zawiązałeś na balustradzie, drugi poprowadziłeś wokół jego szyi.

A potem pchnąłeś go w pustkę. Philip chciał chwycić się powrozu, próbując odciągnąć go od szyi. Ale nie mógł. Miał związane ręce. Musiałeś go nieźle czymś przestraszyć, skoro pozwolił sobie związać ręce. Ufał ci na tyle, żeby otworzyć ci drzwi. Co znaczy, że nie wiedział, że masz broń. Co to mogło być? Miałeś sznur i nóż...

No tak, jasne. Nóż, którego użyłeś do odcięcia języka. Musiałeś go nim postraszyć. Jego ręce były związane, gdy zepchnąłeś go z podestu. A kiedy odciąłeś mu język? Zanim go zepchnąłeś czy potem?

Red wchodzi na podest. Widzi otarcie na balustradzie w miejscu, gdzie był sznur. Na podeście nie ma krwi. Krew jest na podłodze na parterze. Jeśli odciąłbyś mu język, zanim go zepchnąłeś, cały podest byłby we krwi. A nie jest.

Zepchnąłeś Philipa, a potem... gdy już wisiał, łapiąc powietrze... schyliłeś się, by sięgnąć do jego ust i odciąć mu język.

Redowi krew napływa do głowy. Jest teraz Philipem, ciałem szarpiącym się na końcu sznura.

Nachylasz się, dopóki nie wypełniasz sobą całego widoku. Twoja lewa ręka zaciska się na mojej szyi, by mnie przytrzymać nieruchomo, a prawa wsadza ostrze w moje usta.

Red słyszy słowa Lubezkiego: „Krew musiała trysnąć tak mocno w tej ograniczonej przestrzeni, że to rozdarło »klapki«

w podniebieniach ofiar", po czym wsadza dłoń do ust i wymiotuje przez palce.

Rozdział szesnasty.

Red wciąż czuje w ustach posmak wymiocin, gdy pół godziny później sprawdza dom Jamesa Cunninghama.

Nie chce tego robić. Najchętniej poszedłby na łatwiznę i orzekł, że w każdym miejscu wydarzyło się to samo. Ale nie może powiedzieć tego, dopóki nie nabierze pewności. A nie nabierze pewności, dopóki znów nie przepuści się przez wyżymaczkę.

Musi traktować każde zabójstwo jako oddzielne wydarzenie. To, co przydarzyło się Jamesowi Cunninghamowi, jest związane z tym, co przydarzyło się Philipowi Rhodesowi, ale nie jest tym samym.

Zaczyna od wejścia, tak jak przedtem. Nie ma innej drogi, tylko przez drzwi. Żadnych ścieżek w ogrodzie i żadnej możliwości dostania się na pierwsze piętro bez pomocy. Dokładnie jak na Radipole Road.

Wniosek jest jeden: również Cunningham sam otworzył drzwi zabójcy.

Ktoś, kogo znał? Czy możliwe, żeby on i Philip Rhodes mieli jakichś wspólnych znajomych?

Raczej nie. Dzielili ich różnica pokoleń, robili różne rzeczy i mieszkali w różnych częściach miasta.

Była czwarta w nocy, gdy rozległ się dzwonek.

Gdzie był w tym czasie James Cunningham? Oczywiście w łóżku.

Red idzie na górę do sypialni. Cunningham śpi - spał - w wielkim, podwójnym łóżku. Pościel na lewej stronie jest zmięta, widać kawałek prześcieradła i wgniezione poduszki. Druga strona łóżka jest nietknięta. Żadnych śladów walki. James Cunningham odrzucił pościel, gdy usłyszał dzwonek.

58

59

Nie został wywleczony z łóżka ani zaatakowany w sypialni. Dlaczego więc jego koszulę nocną znaleziono na podłodze? Nie poszedłby do drzwi w samych slipkach, a tym bardziej nagi. Czyżby spał w koszuli nocnej i slipkach? Wykluczone.

Red odwraca się i schodzi powoli po schodach.

Była czwarta nad ranem, gdy rozległ się dzwonek. Cunningham zszedł i otworzył drzwi. I co wtedy?

I wtedy otrzymał cholerny cios, który zwałił go na podłogę, ot, co. Ale tymczasem zdążył jeszcze zdjąć koszulę i włożyć slipki.

Obrazy pojawiają się i znikają sprzed oczu Reda. Muszą się jeszcze wykrystalizować. Powiązania z Philipem.

Slipki. Gdzie Cunningham może trzymać slipki?

W sypialni.

A więc zagoniłeś go na górę do sypialni, gdzie zmusiłeś go do włożenia slipek i zdjęcia koszuli nocnej.

Jak go do tego zmusiłeś? W prosty sposób. Byłeś młodszy i silniejszy. I miałeś co najmniej dwa rodzaje broni: drewnianą pałkę, którą go potem zmasakrowałeś, i nóż, którym odciąłeś mu język.

Red wraca na górę do sypialni. Zatrzymuje się zaraz za drzwiami i rozgląda po wnętrzu.

Byłeś tutaj, zmusiłeś Cunninghama, by się przebrał. Podeszedł do bieliźniarki pod ścianą i wyjął z niej parę slipek. Potem je włożył.

Czy pokazał ci się nagi?

Nie rozebrałby się do rosołu, chyba że go do tego zmusiłeś. Nie chciałby ci się pokazać nagi. Włożył majtki pod koszulą i dopiero wtedy ją zdjął. A jeśli zmusiłbyś go do całkowitego rozebrania się, dlaczego miałbyś mu pozwolić, by włożył majtki, zanim go zabijesz?

Więc nie pokazał ci się nagi. Co znaczy, że pozwoliłeś mu zachować przynajmniej resztki godności.

Red stoi tuż za drzwiami sypialni. Ma wrażenie, że gdyby się

60

mocno postarał, mógłby sprawić, że biskup wyskoczyłby z jego umysłu i powrócił do życia, tutaj, w tym pokoju.

A ty? Gdzie byłeś w tym czasie?

Wzdrygając się, Red uświadamia sobie, że stoi dokładnie tam, gdzie mógł stać zabójca.

Wszedłeś za Cunninghamelem po schodach, a potem do sypialni. I stałeś tuż przy drzwiach, by mieć pewność, że nie ucieknie. Więc dlaczego sprowadziłeś go z powrotem na dół, by go zabić? Dlaczego nie zrobiłeś tego tutaj, w sypialni? Czyżbyś na dole zostawił broń? Nie. Wzięłaś ją z sobą, by zagrozić nią biskupowi, gdyby

chciał uciec. Zatem zabieranie Cunninghama z powrotem na dół nie miało sensu. Chyba że...

Przez głowę Reda przebiegają słowa Lubezkiego: „Przy drzwiach na podłodze sypialni Cunninghama leżała koszula nocna - nie zakrwawiona, ale odrobinę rozdarta”.

Odrobinę rozdarta.

Red stoi nieruchomo przy drzwiach sypialni i czeka, aż to do niego dotrze.

Biskup stał tutaj w slipkach i trzymał koszulę, którą właśnie zdjął.

I nagle rzucił nią w ciebie. Oto, co zrobił. Rzucił ci ją prosto w twarz, unieszkodliwiając cię na chwilę. I w tym momencie, gdy zrzuciłeś koszulę z twarzy, Cunningham odepchnął cię i wybiegł. Pociągnąłeś mocno za koszulę. To dlatego jest rozdarta. Pociągnąłeś mocno, żeby zdjąć ją z twarzy.

Cunningham był już za drzwiami, ale był stary, gruby i powolny - bez trudu go złapałeś.

Red rozgląda się i prawie natychmiast zauważa odłupany kawałek drewna na framudze drzwi na wysokości ramienia.

Machnąłeś za Cunninghamek pałką, ale chybiłeś i uderzyłeś we framugę. Jesteś jednak szybki. Uderzyłeś raz jeszcze i tym razem go trafiłeś. Musieliście być wciąż na pierwszym piętrze, ponieważ uderzyłeś Cunninghama, zanim miał szansę podnieść wrzask. Ponieważ jest tutaj mało krwi, biskup wciąż musiał mieć język.

61

Jeśli pozwoliłbyś Cunninghamowi zbiec na dół, pobiegłby do drzwi z dzikim wrzaskiem. Ale skoro tego nie zrobił, najwidoczniej dopadłeś go u szczytu schodów. Dlaczego w takim razie ściągnąłeś go na dół? Równie dobrze mogłeś go przecież zabić w pokoju na górze.

Dlatego, że...

Dlatego, że uderzyłeś Cunninghama tak mocno, że spadł ze schodów. Właśnie dlatego. A ponieważ w korytarzu nie było wystarczająco miejsca, żeby zakręcić kotem, a co dopiero kijem baseballowym lub pałką, wziąłeś go do bawialni i tam go zabiłeś.

Broń podnosiła się i opadała jak w ostatniej scenie Czasu Apokalipsy, a biskup niczym Brando leżał gruby i bezbronny na podłodze.

Kiedy odciąłeś mu język? Lubezski twierdzi, że jeszcze wtedy, gdy żył. Ale nie mogłeś mieć całkowitej pewności, jak szybko wykorkuje. Więc musiałeś to zrobić zaraz po rozpoczęciu bicia, kiedy jeszcze zdradzał oznaki życia. A dopiero potem się na nim w pełni wyżyłeś.

Kropelki potu pojawiają się na ciele Reda i to bynajmniej nie dlatego, że jest ciepła noc.

Teraz już wiem, jak to zrobiłeś, myśli policjant. Ale wciąż nie wiem dlaczego.

Rozdział siedemnasty.

Dwa policyjne radiowozy przemykały cicho przez noc, rozpraszając mrok niebieskimi błyskami kogutów.

Wjechały na Trinity Street razem, a potem się rozdzieliły niczym myśliwce: jeden skręcił w lewo, a drugi w prawo. Pierwszy zatrzymał się przed Whewell's Court, drugi - na bruku, który wiódł do Great Gate.

Gdy drzwi pojazdów się otworzyły, wylał się z nich przytłumiony dźwięk zastrzeżonych kanałów radiowych. Mężczyźni,

62

którzy wysiedli z samochodów, mieli jeden cel: aresztować mordercę.

Red wysiadł z jednego z radiowozów, Czterej policjanci włożyli kaski. Wskazał im drogę.

- Trzecie piętro, ostatnia klatka po lewej. Klatka schodowa J, pokój numer pięć.

Drzwi nie są zamknięte,

Kiwnęli głowami i zniknęli za bramą.

Red usiadł na wysokim do kolan murku, który otaczał Trinity, i schował głowę w dłoniach. Niebieskie koguty na dachach radiowozów obracały się leniwie we mgle, a tylne światła samochodów odbijały się czerwienią na bruku.

Kolory. Niebieski - chłód. Czerwony - wstyd, gniew i zdrada.

Brama Whewell's Court otworzyła się ponownie.

Eric szedł pomiędzy policjantami, z postawionym kołnierzem starego tweedowego płaszcza, ze wzrokiem wbitym w ziemię i otwartymi ustami, Policjanci trzymali go za ręce. Obijał się o nich, gdy szli do radiowozu, zupełnie jakby był pijany i miał iść do izby wytrzeźwień. Wyglądał bardziej na drobnego pijaczka niż na mordercę, Jeden z policjantów schylił Erikowi głowę, gdy popychali go na tylne siedzenie samochodu stojącego bliżej bramy. Nie opierał się. Dwaj policjanci usiedli po obu stronach, a jeden za kierownicą, Czwarty miał prowadzić drugi radiowóz, Eric nie widział swego brata siedzącego na murku dziesięć jardów od niego, ponieważ ani razu nie podniósł wzroku,

Rozdział osiemnasty.

Sobota, 2 maja 1998

Poranne gazety zaścielają wielki stół pośrodku nowo przywłaszczonego pokoju, a każda z nich donosi o zamordowaniu Cunninghama. „Sun”, „Independent” i „Daily Mail” rozpoczynają artykuły na pierwszej stronie, a „The Times” i „Daily Tele-

63

graph” oprócz relacji na stronach z najświeższymi wiadomościami zamieszczają również nekrologi.

W większości artykułów znaleźć można to samo: cytaty z wypowiedzi Duncana, wyrazy żalu od arcybiskupa Canterbury, komentarze sąsiadów. Wszyscy bez zastrzeżeń kupili bajkę o włamaniu. Morderstwo Philipa Rhodesa przemknęło nie zauważone. Zamordowany biskup to temat na pierwszą stronę, zamordowany cateringowiec jest niczym.

Ponieważ jest sobota, wszyscy przychodzą do pracy w niezobowiązujących strojach, a ponieważ Jez jest Jezem, doprowadza to do granic przesady. Pojawia się ostatni, w krótkich spodenkach i podkoszulku.

- Rany julek - mówi Kate. - Też chciałabym mieć takie ubranko. Jez przesyła jej pocałunek.
- Nie dotykaj tego, na co cię nie stać, kochanie - odpowiada. - Poza tym nigdy mnie nie złapiesz. Jestem dla ciebie zbyt szybki.
- Zacząłeś już trenować? - pyta Red.
- Pewnie. Triathlon na nikogo nie czeka. Duncan gapi się na Jeza.
- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to lepiej by ci zrobiło, gdybyś się napił, a potem kogoś bzyknął.
- A ty lepiej byś zrobił, gdybyś nie śmierdział jak browar, więc lepiej się do mnie nie zbliżaj.
- Czy ty czasem bzykasz, Jez? A może jesteś tak zakochany w sobie, że bzykasz się tylko sam ze sobą?
- Wy dwaj. Skończcie z tym - interweniuje Red.

Wie, na czym polega problem. Duncan ma pretensje o to, że nie mógł zabrać Sama na weekend, a jego wściekłość jest spotęgowana przez kaca. Musi się więc na kimś wyładować. A Jez - błyskotliwy, młody, jedno z dzieci thatcheryzmu - jest dobrym celem.

Red postanawia rozładować napięcie, zaganiając ich do roboty.

- Proponuję, żebyśmy zebrali do kupy to, co do tej pory

znaleźliśmy, a potem przedyskutowali nasze teorie na temat: kto, co i dlaczego. Kto zaczyna? Kate zgłasza się pierwsza.

- Od czego mam zacząć? Od złych czy dobrych wiadomości? Red zastanawia się przez chwilę.
- Od złych.
- Nie znaleźliśmy zupełnie nic na żadnym z miejsc zbrodni. Jez i ja sprawdziliśmy wczoraj wszystkie możliwe tropy, żeby nabrać pewności, czy czegoś nie przegapiliśmy, ale nie znaleźliśmy zupełnie nic. Żaden z sąsiadów nic nie widział ani nie słyszał. A nawet jeśli, to żaden z nich nam o tym nie powiedział. Sami wiecie, jak to jest w wielkich miastach - każdy pilnuje swego interesu. Czyjeś kłopoty nie są jego kłopotami.
- A co z ekipą techniczną? Znalazła coś?
- Nie, zupełnie nic.
- Dobrze. Co jest tą dobrą wiadomością?
- Kilka rzeczy. Po pierwsze, znaleźliśmy firmę produkującą srebrne łyżeczki.

Red podnosi brwi.

- Jestem pod wrażeniem.
- Mieści się w Sheffield, jak nietrudno się domyślić. Rivelin Valley Metalworks. Wczoraj późnym popołudniem rozmawiałam z dyrektorem generalnym Malcolmem Fremantlem. - Pokazuje na kartkę w swoim notatniku. - Łyżeczki sprzedawane są w kompletach po dwanaście sztuk, zrobione są ze srebra. Cena detaliczna wynosi około dwustu pięćdziesięciu funtów. Można je też nabyć taniej-takie same, ale nie ze srebra, tylko posrebrzane - cena wynosi wówczas mniej niż osiemdziesiąt funtów. To, oczywiście, orientacyjne ceny. Detaliści narzucają jeszcze swoje marże. Fremantle szacuje, że od 1989 roku sprzedali około sześciu tysięcy kompletów.

- Dlaczego od 1989?
- Dlatego, że właśnie wtedy Rivelin Valley Metalworks przejęły fabrykę. Nie mają danych o wcześniejszej sprzedaży. Fremantle obiecał sprawdzić i wysłać mi to w poniedziałek.

64

65

- Czy macie listę detalistów, z którymi Rivelin Valley współpracuje?
- To kolejna rzecz, którą Fremantle obiecał mi wysłać w poniedziałek. Ale z tego, co mówił, wynika, że prowadzą sprzedaż w całym kraju.
- Jeśli jednak sprzedali zaledwie sześć tysięcy kompletów w ciągu dziesięciu lat, nie powinno być zbyt wiele miejsc do sprawdzenia.

Kate kiwa głową.

- Też tak myślę.
- A poza tym, skoro komplet kosztuje dwieście pięćdziesiąt funtów, większość ludzi kupiła go zapewne za pomocą karty kredytowej albo czeku, nie za gotówkę. To powinno ułatwić znalezienie kupujących. No dobrze, miało być kilka dobrych wiadomości. Jaka jest następna?
- Również dotyczy łyżeczek. Symbolika srebrnych łyżeczek jest tak oczywista, że sprawdziliśmy stan majątkowy ofiar. I wiesz co?
- Co?
- Philip Rhodes miał całkiem pokaźny majątek. Nie udało nam się w tak krótkim czasie, jakim było wczorajsze popołudnie, ustalić zbyt wielu szczegółów, z racji tego, że biura kończyły już godziny urzędowania, ale nawet to, co znaleźliśmy, wygląda interesująco.

Przewraca kilka kartek.

- Tutaj. Zapis rozmowy z ojcem Philipa Rhodesa, którą odbyliśmy wczoraj o siedemnastej piętnaście przy Heckfield Place. Przyjechał do Londynu na wieść o śmierci syna. W tej rodzinie pieniądze są od pokoleń. Rodzice Philipa mieszkają w zamku czy czymś takim w Warwickshire. A Philip miał solidny fundusz powierniczy, zarządzany przez firmę maklerską z City. Fundusz powierniczy wart ponad milion funtów.
- Jasna cholera. A przecież w Fulham prowadził zupełnie normalne życie.
- Zdaje się, że nie miał dostępu do pieniędzy przed ukoń-

66

czeniu trzydziestego piątego roku życia. Poza tym odniosłam wrażenie, że Philip i jego ojciec byli ze sobą poróżnieni.

- Skąd taki wniosek?
- Stary Rhodes nie powiedział tego wprost, ale czytając między wierszami, można się było domyślić, że chciał, żeby Philip wrócił i zajął się posiadłością. Należy do rodziny od stuleci, a Philip był jedynym potomkiem. Jeśliby się nią nie zajął, rodzina straciłaby ją po śmierci ojca.
- A Philip nie chciał współpracować?
- Na to wygląda. Jego ojciec mamrotał coś o „życiu na własny rachunek” i „potrzebie stanięcia na własnych nogach”, jakby to była śmiertelna choroba.
- Ale ta różnica zdań nie była na tyle poważna, żeby Philipa wydziedziczyć?

Kate wzrusza ramionami.

- Prawdopodobnie nie. Inna sprawa, że te pieniądze nie miałyby gdzie iść, z wyjątkiem organizacji charytatywnych. Żadnych zachłannych krewnych czy czegoś takiego. Sprawdzałam.

- Dobra, Rhodesa mamy rozpracowanego. A co z Cunninghamem?

- Nim zajmował się Jez. Red odwraca się do niego.

- Jez?

- Nie zdążyłem dokładnie tego sprawdzić, ale wszystko wskazuje na to, że, w odróżnieniu od Philipa, nie był jakoś szczególnie zamożny. Duchowni raczej nie zbijają kokosów. Dopadłem wczoraj dyrektora banku Cunninghama, ale nie powiedział mi nic konkretnego.

- Może myślał, że się pod kogoś podszywasz?

- Nie, na pewno nie. Wiedział, że jestem tym, za kogo się podaję. Dałem mu swój numer i połączył się ze mną przez centralę Yardu.

- I co powiedział?

- Nie podał mi stanu konta, ale stwierdził, że środki na nim zgromadzone nie są -jak się wyraził - „niebotyczne”. Rozma-

67

wiałem również z bratem Cunninghama, który powiedział mi właściwie to samo. Red kładzie dłonie na stole.

- Myślisz, że facet zabił nie tego, kogo chciał?

- Kto wie? Może. Cała sprawa jest jedną wielką zagadką. Jeśli ten facet tak nie lubi bogaczy, to dlaczego nie obrabia ich domów? To nie ma sensu. Powinien kraść wszystko, co jest w zasięgu wzroku. I dlaczego nie wybrał któregoś z tych wielkich domów w Mayfair czy Belgravia? Niektóre z nich wcale nie są jakoś nadzwyczajnie strzeżone. Te dwa, które wybrał, to nic szczególnego, prawda?

Nikt nie odpowiada. Red wstaje.

- Zgadza się. Na razie te pytania pozostaną bez odpowiedzi. - Podchodzi do białej tablicy. - Wczoraj w nocy byłem w tych domach i mam kilka przemyśleń.

Najbardziej rzuca się w oczy fakt, że nie ma żadnych śladów włamania. Wynika z tego, że zarówno Cunningham, jak i Rhodes otworzyli drzwi zabójcy.

W ostrym białym świetle pokoju Red mówi trzem członkom zespołu o rezultatach swego nocnego rekonesansu - o tym, że Philip Rhodes nie wiedział, że będzie powieszony, a James Cunningham próbował uciec. Nie mówi im tylko o tym, że zwymiotował ze strachu na myśl, że jest sam na nocnym czuwaniu w domach umarłych.

- Nie mam monopolu na prawdę - kończy Red - ale uważam, że zbraku innej, jest to najlepsza teoria. Z pewnością zdajecie już sobie sprawę, z jaką osobą mamy do czynienia.

Red bierze marker i rysuje na tablicy kontur człowieka.

- Czekam na pomysły.

- Biały - mówi Jez.

- Co takiego? - to Kate.

- Jest biały. Morderca jest białym mężczyzną. Znacnie tę teorię - seryjni mordercy rzadko atakują ludzi nie swojej rasy. Jest więcej niż pewne, że morderca jest tego

samego koloru skóry co jego ofiara. - Red kiwa głową i pisze na tablicy obok człowieczka słowo „biały”.

68

- Poniżej pięćdziesiątki - to znowu Jez. - Byłbym zaskoczony, gdyby ktoś starszy miał taką siłę, żeby zatłuc biskupa na śmierć.

- Wykształcony - tym razem Duncan. - Zwyczajny robot nie zawracałby sobie głowy srebrnymi łyżeczkami.

- Racja - mówi Red, zapisując to na dole. - Mówcie dalej. Kate?

- Obeznany z Londynem. Ten facet musiał zrobić jakieś rozpoznanie, zanim zaatakował tamtej nocy. To nie jest jakiś wieśniak. Mieszka w Londynie. Prawdopodobnie gdzieś blisko centrum.

- Więc mamy do dyspozycji około ośmiu milionów ludzi - zauważa Duncan. - Świetnie.

- Może mieć przygotowanie medyczne - mówi Jez. - Lubezski twierdzi, że te języki zostały odcięte fachowo.

- Dobrze. - Red pisze „med.?” obok rysunku, po czym odwraca się do swoich współpracowników.

- Dlaczego odcina im języki? I dlaczego zabiera je ze sobą?

- Przeprowadza eksperymenty medyczne? - sugeruje Kate. - Jeśli ma wiedzę medyczną, może chce się nimi trochę pobawić.

- Hm... Niewykluczone.

- To zupełnie tak, jak robi mafia, nie? - mówi Duncan. - No wiecie, z kapusiami i im podobnymi. Odcina im języki, bo mówili, kiedy nie powinni byli mówić. Nie myślicie, że ofiary mogły być związane ze światem przestępczym albo co?

- Tych dwóch? - prycha Jez. - Nie bądź śmieszny. Duncan patrzy na Jeza i Red musi znów szybko wkroczyć do akcji.

- Nie mamy co do tego pewności, Jez. Sprawdzimy to, podobnie jak wszystko inne.

- Dobrze, przepraszam. Ale skoro mowa o informatorach, to myślałem o czymś podobnym. Do czego służą języki?

- Do mówienia - odpowiada Duncan. - Jak już wspominałem.

69

- Do czego jeszcze?

- Do jedzenia - mówi Kate. - W każdym razie do smakowania.

- Właśnie. Do jedzenia i mówienia. Philip był cateringowcem, James - biskupem. Philip zajmował się przygotowywaniem posiłków - czyli jedzenia. James natomiast wygłaszał kazania, czyli zajmował się mówieniem. Obaj posługiwali się językami niejako zawodowo.

Red drapie się za uchem.

- Ciekawy punkt widzenia. Ale właściwie to wszyscy używają języka w swojej pracy.

- Tak, ale niektórzy bardziej od innych - mówi Jez. Sarkazm Duncana walczy o lepsze z jego bólem głowy.

- Więc kto znajdzie się na twojej liście, Jez? Konduktorzy, domokrażcy, politycy, piosenkarze, aktorzy i ci goście, którzy krzyczą do ciebie, żebyś kupił „Evening

Standard"? Świetny początek.

- Duncan, wcale nam nie pomagasz, wiesz? - mówi Red.
- Daj spokój, Red. Błądzimy po omacku, dobrze o tym wiesz. Całe to pieprzenie o motywie jest... cóż, pieprzeniem właśnie. To nie posuwa nas naprzód ani o krok.
- Więc co mamy, według ciebie, robić?

Duncan rozpiiera się na krześle i wodzi wzrokiem po pokoju.

- Modlić się.

Rozdział dziewiętnasty.

Pozostawili Erica na dwie godziny w areszcie, zanim go przesłuchali, po części po to, żeby go zmiękczyć, a po części po to, by zdążył przybyć detektyw Hawkins i poprowadził przesłuchanie osobiście.

Przesłuchanie trwało ponad półtorej godziny. Eric ani razu nie zapłakał. Nie krzyknął też ani nawet nie podniósł głosu, nie

70

uśmiechnął się ani nie zażądał obecności adwokata. Nie przechwalał się ani nie zapewniał o swojej niewinności. Eric odpowiadał na pytania Hawkinsa cicho i grzecznie, mimo że przez większość przesłuchania miał wzrok wbity w podłogę. W sumie zachowywał się bardziej jak ofiara wypadku samochodowego niż człowiek, który jeszcze kilka godzin wcześniej był najbardziej poszukiwanym przestępcą w mieście. Sprawiał wrażenie zdruzgotanego.

Wbrew sobie Hawkinsowi zrobiło się go żal. To było przelotne uczucie, które w sobie stłamsił. A jednak wciąż tam było, ciągnąc się za nim, gdy wyszedł z sali przesłuchań i poszedł korytarzem, żeby napić się herbaty i przygotować wniosek do prokuratury.

Za kwadrans dziewiąta rano Eric Metcalfe został formalnie oskarżony o zamordowanie Charlotte Logan.

Rozdział dwudziesty.

Interludium.

Nie znajdują nic. Zupełnie nic.

Jez i Kate porównują listy znajomych Philipa Rhodesa i Jamesa Cunninghama, ale żadne nazwisko nie pojawia się na obu. Sprawdzają wszystkich, którzy mogli mieć jakikolwiek zawodowy kontakt z każdym z mężczyzn, i znów z tym samym rezultatem. Jedyne, co łączyło obu mężczyzn, to ich śmierć. Dlaczego morderca wybrał właśnie ich spośród milionów mieszkańców tego miasta?

Pytanie zapytaniem i żadnych odpowiedzi. Jedyne, jaka przychodzi im do głowy, to pseudonim dla mordercy: „Srebrny Język”.

Duncan sprawdza listę osób, które kupiły łyżeczki. Spośród sześciu tysięcy kompletów niecałe pięćset sprzedano w Londynie. Znaleziono i przesłuchano każdego nabywcę. Większość z nich ma swoje komplety zupełnie nienaruszone.

Kilku twierdzi, że dali

71

łyżeczki w prezencie krewnym lub znajomym. Ci z kolei to potwierdzają. Dwoje ludzi mówi, że zostały im ukradzione karty kredytowe i złodzieje kupili za nie (między innymi) łyżeczki. Banki potwierdzają to i dodają, że zrefundowały kradzieże. Cztery osoby twierdzą, że straciły swe łyżeczki, gdy były włamaniami do ich domów. Potwierdzają to policyjne raporty i ekspertyzy towarzystw ubezpieczeniowych. Jedenaście osób kupiło swoje komplety poza Londynem, ale potem przeprowadziło się do Londynu. Wszyscy zostają przesłuchani i oczyszczeni z podejrzeń.

Portret psychologiczny zabójcy przynosi niewiele więcej informacji, niż Red i jego ludzie zdołali ustalić podczas sesji z człowieczkiem narysowanym na tablicy. Sławna Sekcja Behawioralna FBI jest zbyt zajęta, by wypożyczyć swoich ludzi: pracuje właśnie nad poważną sprawą w Gary w stanie Indiana, które ma wątpliwy zaszczyt być nie tylko miejscem o największym w USA współczynniku przestępczości, ale i rodzinnym miastem zespołu Jackson Five. Urzędnicy zaprzeczają, jakoby pomiędzy tymi dwoma faktami istniał jakiś związek. A poza tym Srebrny Język zabił jak na razie tylko dwóch ludzi. Według FBI musi być pięć morderstw, żeby ich sprawca został oficjalnie uznany za seryjnego mordercę.

Media tracą zainteresowanie sprawą z przewidywaną szybkością. Telefony odzywają się coraz rzadziej, aż w końcu urywają się zupełnie cztery dni po tym, jak ciało Jamesa Cunninghama zostało znalezione. W całym kraju nie ma chyba dziennikarza, który zdawałby sobie sprawę z istnienia Philipa Rhodesa, nie mówiąc już o jego śmierci.

Red, Jez, Duncan i Kate gonią w piętę. Błądzą po omacku. Badają wciąż to samo, podążając uliczkami, o których doskonale wiedzą, że prowadzą donikąd, i przekonują się, że każdy nowy trop okazuje się ślepą uliczką, jeszcze zanim zaczynają nią iść. Przez cały ten czas Red ani na krok nie zbliża się do zrozumienia dlaczego. Dwa morderstwa jednego dnia, a potem nic. Red zastanawia się, dlaczego Srebrny Język nie uderza ponownie. Może zamknęli go za jakąś inną, nie związaną z tymi, zbrodnię

72
i siedzi teraz w areszcie. Może umarł albo wyjechał za granicę. A może po prostu jest tutaj, czekając na właściwy moment, obserwując, przeczekując i drwiąc z nich swoim milczeniem. Nie uczynił najmniejszej próby kontaktu z nimi. Żadnych wiadomości, telefonów, faksów ani e-maili. Żadnej konieczności zamieszczania tajemnych przesłań w ogłoszeniach drobnych w gazetach albo w teletekście w telewizji.
Nic.

Red pamięta przypadek Colina Irelanda, który w 1993 roku zdażył zabić pięciu homoseksualistów, zanim został złapany. Ireland skontaktował się z policją. Powiedział, że będzie zabijał jednego homoseksualistę tygodniowo, dopóki go nie złapią. Red dobrze to pamięta. Pamięta również apel, który wystosowali do Irelanda. „Musimy porozmawiać. Wystarczy już. Wystarczy bólu, strachu i tragedii. Poddaj się - w dowolnym czasie, na dowolnych warunkach”.

Ale teraz nie mogą wystosować takiego apelu, nie w tym przypadku. Srebrny Język nie odzywa się, więc nie mogą się do niego zwrócić. Poza tym jego istnienie

ukrywają przed opinią publiczną, nie mogą więc apelować do niego za pośrednictwem mediów.

Żadnego kontaktu. Przed nimi rozciąga się milczenie. Tydzień. Dwa tygodnie. Miesiąc. Dwa miesiące. Młot uderzający bez przerwy. Każdego dnia biorą kanapki do St James Park i siadają pod tym samym drzewem, próbując w myślach ułożyć tę układankę, i każdego dnia, gdy wracają do domów, nie są ani o krok bliżej znalezienia Srebrnego Języka, niż byli, gdy jechali rano do pracy. Pierwszego lipca zakładają się, czy dotrwią do pierwszego sierpnia-dokładnie trzy miesiące od morderstw Philipa Rhodesa i Jamesa Cunninghama - bez kolejnej śmierci. Każdy stawia dwadzieścia pięć funtów. Jez i Kate liczą na to, że nic nie stracą, bo nastąpi szczęśliwy przełom i złapią mordercę. Duncan mruczy i chrząka, a w końcu decyduje się obstawić tak jak oni, bardziej dlatego, że uważa, iż Srebrny Język poszedł do piachu, niż dlatego, że myśli, iż go złapią.

73

Tylko Red jest zdania, że Srebrny Język zabije znowu, zanim nastanie sierpień. Tak więc Jez, Kate i Duncan wyjmą po trzydzieści trzy funty i trzydzieści trzy pensy, jeśli nikt nie zostanie zabity, Red zaś otrzyma sto funtów, jeśli znów będzie morderstwo. Kate mówi, że to nie fair, iż ich troje wygra tak mało. Red zwraca uwagę, że mają większe szansę wygranej - a przynajmniej oni są tego pewni, w przeciwnym razie nie stawialiby swoich pieniędzy przeciwko jego. Jednak to Red wygrywa.

Rozdział dwudziesty pierwszy.
Sobota, 25 lipca 1998.

James Buxton nie odpowiada na dzwonek do drzwi.

- Jestem pewna, że powiedział: dwunasta trzydzieści - mówi Caroline.
- Może po prostu wyskoczył na chwilę do sklepu - odpowiada Rupert. - Zawsze, możemy iść do pubu i spróbować raz jeszcze za pół godziny.
- Akurat! Wszystkie puby w dole rzeki w Putney są teraz zapchane. Za żadne skarby nie uda nam się znaleźć miejsca w ogródku, a w środku będzie piekarnik. Swoją drogą, to bardzo niepodobne do Jamesa tak się spóźnić. Może zaraz tu będzie.
- Spróbuję zadzwonić. - Rupert zanurza dłoń w kieszeni. - Cholera. Zapomniałem telefonu. Nie masz przypadkiem dziesięciopensówki?

Caroline otwiera torebkę i przedziera się przez błyszczące srebrne monety.

- Nie, tylko dwudziestki. - Podaje mu jedną. - Automat jest chyba za rogiem. Tam, za tym słupem telefonicznym.

Rupert odwraca się, chcąc odejść, ale zatrzymuje się w pół

74

kroku. Patrzy, mrużąc oczy, w dół ulicy na mężczyznę, który taszczy cztery ciężkie torby z zakupami, trzymając je z dala od ciała, żeby nie obijały się o nogi.

- To chyba Nick, prawda? - mówi. Caroline podąża za jego wzrokiem.
- Tak, chyba tak. - Po czym woła: - Nick! Nick!

Nick Buxton podnosi prawą rękę z torbami na wysokość pasa, co zdaje się oznaczać

powitalny gest, i przyspiesza kroku. Kiedy dochodzi do nich, nie może złapać tchu, a strużka potu spływa z jego lewej skroni.

- Ja piernicę, ale mam kiepską kondycję - mówi, pochylając się, by pocałować Caroline w oba policzki. - Caroline, miło cię widzieć.

Odwraca się do Ruperta i wystawia środkowy palec pod uchem toreb, by potrząsnąć jego ręką.

- Rupert, stary druhu. Jak się, u licha, miewasz? I po kiego czorta stoicie tu jak te dwie sieroty?

- Mieliliśmy zjeść lunch z twoim bratem, ale wygląda na to, że go nie ma - mówi Caroline.

- Nie ma go? Mówił, że będzie. Wyobraźcie sobie, że dopiero co wróciłem z Newmarket. - Nick pokazuje głową dużą torbę podróżną przewieszoną przez ramię. - Pomyślałem sobie, że po drodze do domu zrobię zakupy. Cholernie gorąco, nie? Podaje dwie torby Rupertowi i otwiera drzwi. Korytarz jest ciemny i chłodny. Rupert i Caroline podążają za Nickiem po schodach na pierwsze piętro. Nick kładzie torby na kredensie w kuchni i ociera pot z czoła.

- James? James?! - nawołuje brata. - Rupert i Caroline przyszli.

Bez odpowiedzi.

Rupert pociąga nosem, stawiając torby na stole w kuchni.

- Co tu tak śmierdzi?

Nick w drzwiach kuchni odwraca się przez ramię.

- Pewnie James. Wiesz, jacy są żołnierze. Założę się, że nie kąpał się od miesiąca.

75

Wchodzą do bawialni.

I wtedy Caroline zaczyna krzyczeć i rozlega się hałas - to Rupert osuwa się na podłogę bez czucia. A Nick stoi tam i wie, że to, co widzi, będzie prześladować go do końca życia.

Rozdział dwudziesty drugi.

Red mówi cicho do dyktafonu:

- James Buxton. Biały mężczyzna. Dwadzieścia cztery lata. Wojskowy, Coldstream Guards. Ciało znaleźli niedługo przed trzynastą jego brat Nicholas i dwoje przyjaciół. Żadnych śladów włamania.

Podchodzi bliżej do ciała, przyciskając dyktafon do ust. Czarna plastikowa obudowa ociera się o jego usta, gdy mówi:

- Ciało pozbawione jest głowy. Leży ona mniej więcej dwie stopy dalej. Denat rozebrany do slippek, leży nalewym boku. Ręce zostały związane za plecami.

Przerywa i dodaje, jakby tego było mało:

- Język został odcięty, a w usta wetknięto srebrną łyżeczkę. Red spogląda na to, co zostało po Jamesie Buxtonie.

- Krew rozprysła się aż na przeciwległą ścianę przy kominku. Zebrała się też na podłodze wokół ciała.

Wyłącza dyktafon i chodzi wolno dookoła.

To ładny pokój, gustownie wytapetowany i umeblowany. Na ścianie pokrytej ciemnoróżową tapetą wiszą stare ryciny ze scenami polowań i łowienia ryb, a zasłony przewiązane taśmą z frędzlami. Wygląda to jak reklama Liberty*.

* Liberty (The National Council for Civil Liberties) - niezależna organizacja brytyjska, której celem jest obrona praw obywateli.

Red dochodzi do stojaka na czasopisma przy telewizorze i przebiega wzrokiem po ich grzbietach: „Tatler”, „Harpers & Queen”, „Horse and Hound”, „The Field”, „Top Gear”, „What Car?” Typowe

76

zainteresowania brytyjskiego ziemiaństwa - bale, zabijanie małych zwierzątek i prowadzenie szybkich samochodów.

Myszkuje po pozostałych pomieszczeniach. Sypialnia Jamesa jest nienagannie wysprzątana, a jego łóżko - posłane. Red patrzy na fotografie na ścianach i na większości z nich znajduje twarz Jamesa. James stoi wyprostowany jak struna w pułkowym mundurze; James uśmiecha się, lekko wstawiony na raucie. Sympatyczna i pogodna twarz.

A teraz leży na podłodze w sąsiednim pokoju bez języka.

Rozdział dwudziesty trzeci.

- Co z Caroline? - pyta Nick.
- Lekarz zaordynował jej środki uspokajające - mówi Red. - Sam pan widział, w jaką histerię wpadła.
- A Rupert?
- W szoku. Jest przy nim policjant.
- Wie pan, zemdlał na widok ciała.
- Tak, wiem.

Nick spogląda przez okno na Upper Richmond Road, na której jest korek, a spaliny odkładają się ciemną warstwą na murze posterunku w Putney.

Aż trudno uwierzyć, że Nick i James byli braćmi. Zupełnie nie byli do siebie podobni. James miał wydatną szczękę i zakrzywiony nos; podbródek Nicka sprawia wrażenie, jakby przechodził niepostrzeżenie w szyję. Brat niepodobny do brata. Nick i James. Red i Eric. Red usiłuje o tym nie myśleć.

Zdejmuje skuwkę z długopisu.

- Gotowy?

Nick odwraca się do Reda i kiwa głową.

- Kiedy po raz ostatni widział pan swojego brata Jamesa?
- Jakies dwa, trzy tygodnie temu. Kiedy ostatni raz był w Londynie.

77

- I spodziewał się pan zastać go dzisiaj w domu?
- Tak, byliśmy umówieni na lunch. Mam robotę w Newmarket i mogłem wyrwać się tylko dzisiaj.
- Co to za praca?

- Jestem konsultantem ochrony. Sprawdzamy zabezpieczenia antyterrorystyczne w kilku instytucjach.
- A od jak dawna James był w domu?
- Och, co najwyżej od zeszłej nocy.
- Skąd pan wie?
- Dzwoniłem do niego na komórkę około wpół do dziesiątej i był w pubie. Więc do domu dotarł jakiś czas później.
- Który to był pub?
- Mówił, że jest w Star and Garter. To jeden z tych w dole rzeki.
- Wiem. Z kim tam był?
- Z parą przyjaciół. Mogę podać ich namiary, jeśli pan chce.
- Bardzo proszę.

Nick wyjmuje z kieszeni terminarz i otwiera go na części adresowej z tyłu, gdzie ma długą listę nazwisk i numerów telefonów. Wskazuje dwa. Red przepisuje je.

- Nie wie pan, czy potem jeszcze dokądś poszli?
- Trudno mi to sobie wyobrazić. Nie o tej porze.
- Nie mogli pójść do klubu nocnego?
- Nie. James nie lubił takich klubów. Jedyne miejsce, do którego mogli pójść, to restauracja indyjska.
- A potem każdy poszedł w swoją stronę?
- Tak.

Red liczy głośno.

- Tak więc... pub zamykają o jedenastej, dwadzieścia minut na dopicie drinków, potem godzina albo coś koło tego na curry, kilka minut na dojście... Najpóźniej był w domu około pierwszej w nocy. - Pół stwierdzenie, pół pytanie.
- Tak sędzę.
- Zresztą, będę to wiedział od jego towarzyszy. - Red przerywa. - Nick, następne pytania, które chcę panu zadać, mogą się panu wydać nieco dziwne. Proszę mi jednak wierzyć, że są one niezbędne i mogą w istotny sposób pomóc nam złapać mordercę pańskiego brata.

- Jasne.
- Kto mieszkał w tym mieszkaniu?
- James i ja.
- A kto jest jego właścicielem?
- My, wspólnie.
- Wzięliście kredyt hipoteczny?
- Nie, kupiliśmy je za gotówkę.
- Za co?
- Za pieniądze z funduszu powierniczego.
- Czy pana rodzice są bogaci?
- To zależy od tego, co pan rozumie przez słowo „bogaci”. Red wie, że Nick nie mówi tego z chęci wdawania się w czcze dyskusje, a jedynie dlatego, że zależy mu na klarowności.
- Dobrze. W ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa, czy można nazwać pana

rodziców bogatymi?

- Chyba tak.
- Czym zajmuje się pana ojciec?
- Jest bankierem.
- Z powodzeniem?
- Jest współwłaścicielem dużej firmy w City. Nieźle mu się wiedzie.
- Czy jest milionerem?
- Cóż... w dobre dni, gdy jego akcje zwyżkują...
- Hm...

Srebrna łyżeczka. Srebrna łyżeczka pasuje, podobnie jak w przypadku Philipa. Chociaż nie pasowała w przypadku Jamesa Cunninghama.

Red splata palce i opiera na nich brodę. Wraca myślą do tego, co widział w mieszkaniu Buxtonów.

Ciało Jamesa, rozebrane do majtek.

Głowa Jamesa, równiutko odcięta.

Zdjęcia Jamesa na ścianie, młodego, sympatycznego i pełnego nadziei.

78

79

Coś ze zdjęciami.

Zdjęcia były poukładane w kolaże za szkłem. Tego rodzaju kolaże, jakie ludzie robią zwykle ze zdjęć swoich i swoich przyjaciół.

Coś ze zdjęciami.

Red już prawie to ma. Pozwala, żeby to do niego dotarło, jak przedtem pozwolił, by dotarł do niego obraz Jamesa Cunninghama w koszuli nocnej, wiedząc, że obraz uleci, jeśli za bardzo będzie się starał go chwycić.

Ludzie na zdjęciach.

Już wie.

Ludzie na zdjęciach to prawie sami mężczyźni. Na ścianie musiała być z jakaś setka zdjęć, a tylko na nielicznych były kobiety.

Red patrzy uważnie na Nicka. Chce przewidzieć, jaka będzie jego reakcja na to, co powie.

- Nick?
- Tak?
- Czy James był homoseksualistą?
- Nie. Nie, zdecydowanie nie.
- Nawet troszkę?
- Co pan ma na myśli, mówiąc „nawet troszkę”? Albo się nim jest, albo nie. Albo jest się biseksualnym, co podwaja szansę na podryw w sobotnią noc.
- To znaczy, czy miał kiedykolwiek jakieś homoseksualne doświadczenia?
- Nie.
- Jesteś pewien?
- Tak.
- Całkowicie pewien?
- Tak!

Prawie krzyk. Oczywiście kłamstwo.

- Nick, kłamiesz. Wiem, że kłamiesz.
- Nie kłamię.
- Ależ tak. Wiesz, po czym poznałem? Po tym, że nawet nie zadałeś mi najbardziej oczywistego pytania.
- Jakiego?
- „Dlaczego?” Dlaczego myślę, że James był homoseksualistą? Gdyby nie było powodów, by myśleć, że był, pierwsza rzecz, jaką byś chciał wiedzieć, to dlaczego doszedłem do takiego mylnego wniosku.
- Powtarzam raz jeszcze. Mój brat był heteroseksualny.
- W takim razie dlaczego na większości fotografii w jego pokoju są tylko mężczyźni?
- Nie mam pojęcia. Miał mnóstwo przyjaciół.
- Przyjaciół mężczyzn?
- Tak.
- A co z dziewczynami?
- Ma pan na myśli dziewczyny w ogóle, czy to, czy miał dziewczynę?
- I to, i to.

Nick przetyka ślinę. Wzrokiem błaga Reda, by nie drażył już tego tematu.

To nie jest jakaś zakazana rzecz, myśli Red. Nie uważam przecież twojego brata za pedofila czy kanibala.

- Nick... Muszę wiedzieć. Nie zaszkożysz pamięci Jamesa. Jeśli chcemy złapać tego, kto to zrobił, musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz, niezależnie od tego, czy uważasz to za ważne, czy nie. Nie wiesz o wszystkim, a ja nie mogę ci o tym powiedzieć. Ale proszę, zaufaj mi.

Nick patrzy w dół, potem z powrotem na Reda i w końcu podnosi ręce w geście poddania się.

- Dobrze, powiem. James nie miał szczęścia do dziewczyn. To znaczy, miewał jakieś tam romanse, ale żaden z nich nie trwał zbyt długo. Najdłuższy związek -jakieś sześć tygodni. Nie czuł się zbyt swobodnie w towarzystwie dziewcząt. Och, uczestniczył w tych wszystkich piwnych, chłopięcych rytuałach - wie pan, wyjmowanie panienek, chwalenie się podbojami, tego rodzaju rzeczy - ale nie wkładał w to serca. To tak naprawdę nie był jego numer kołnierzyka.
- Ale czy był homoseksualistą?

80

81

Odpowiedź Nicka nadchodzi określną drogą.

- Musi pan pamiętać, że James był woj skowym. Zawsze chciał być żołnierzem. Nie chciał być nikim innym. Ani kierowcą wyścigowym, ani graczem w krykieta, nikim innym. Tylko żołnierzem. Odkąd skończył dziesięć lat. I tak bardzo tego chciał - tak bardzo - że zepchnął wszystkie wątpliwości daleko na tył głowy.
- Wątpliwości co do czego? Swojej seksualności?
- Tak. On... hm... eksperymentował w szkole. - Palce Nicka robią znak cudzysłowu, gdy wypowiada słowo „eksperymentował”. - Nie sądzę, żeby to było zupełnie serio. Jestem pewien, że pół jego rocznika to robiło. Ale James bał się, że ludzie mogą się o

tym dowiedzieć, że ludzie w armii mogą się o tym dowiedzieć.

- Z iloma osobami eksperymentował?
- Och. Tylko z jedną.
- Kto to był?
- Kto był kto?
- Ta osoba, z którą James eksperymentował.
- Niejaki Justin Rizzo.
- A co ten Justin Rizzo porabia obecnie?
- Nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym na ostatnim roku.
- Ach, tak.

Red wyjmując papierosa z paczki w kieszeni i zapala go. Poprzez dym patrzy zmrużonymi oczami na Nicka.

- Więc nie byłoby dobrze, gdyby ktoś dowiedział się o Jamesie i Justinie?
- Oczywiście. Wyrzuciliby go z wojska, prawda? Armia nie toleruje w swoich szeregach gejów. Psują morale i takie tam. A nawet jeśli by go wyrzucili, zmieniliby jego życie w piekło. James był cholernie dobrym żołnierzem. Nie potrzebował smrodu z powodu czegoś, co wydarzyło się lata temu.
- Jak wiele osób o tym wiedziało?
- Tylko ja.
- Byłeś jedynym, któremu o tym powiedział?

82

Tak

- A rodzicom?
- Tylko tego brakowało! Tatę chyba trafiłby szlag. Nie, byłem jedynym człowiekiem, któremu James o tym powiedział. Więc proszę nie mówić o tym nikomu.
- Nick, nie mogę ci tego obiecać. To może mieć decydujące znaczenie dla sprawy.
- Ale... Red unosi rękę.
- Mogę ci co najwyżej obiecać, że nikt nie dowie się, że wyszło to od ciebie. Będę utrzymywał, że to moje własne podejrzenia. Mamy wystarczająco dużo materiałów, żebyśmy mogli sami się tego domyślić.

Oczy Nicka rozszerzają się w niejasnym zrozumieniu.

- Myśli pan, że ten facet, który to zrobił, był... Myśli pan, że to były jakieś gejowskie porachunki?
- Nie wiem. Ale tak samo nie wiem, czy nie były.

Rozdział dwudziesty czwarty.

Telefonując do Parkside po śniadaniu, Red słyszał, jak Hawkins ssał zęby, zanim pozwolił, by to Red osobiście powiadomił rodziców o Ericu. Informowanie najbliższej rodziny o śmierci, wypadkach lub aresztowaniach to zadanie policji, ale Hawkins zgodził się, że okoliczności były wyjątkowe.

Red był bliski odwieszenia słuchawki, gdy usłyszał, że policjant życzy mu powodzenia. Wymamrotał zaskoczone i niewyraźne podziękowanie i trzy razy próbował odłożyć słuchawkę na widelki, zanim mu się udało.

Gdy Red szedł w poprzek Great Court, mgła opadała, w jej miejsce zaś pojawiało się niczym nie zmaćcone sklepienie lazuru nieba, w które wznosiły się ostre iglice i blanki budynków college'ów Cambridge. Rzeński, zimowy poranek z zimnem

83

i słońcem, które połączyły się, by oczyścić dusze tych, którzy ten dzień traktowali jak każdy inny.

Dla Reda ten dzień trwał już od siedmiu godzin i z pewnością nie był taki jak inne. Piętnaście minut zajęło mu dotarcie do Grange Road, gdzie stało jego wysłużone, szare mini metro. Studenci nie mogli mieć w Cambridge samochodów bez oficjalnego zezwolenia, ale Red lekceważył ten przepis, odkąd w październiku rozpoczął ostatni rok swej edukacji. Zostawiał samochód na Grange Road, ponieważ nie było tam zakazu parkowania i ponieważ jedyną osobą z jakąkolwiek władzą, która mogła go tam widzieć, był dozorca pilnujący boisk Trinity.

Dotarcie z Cambridge do domu rodziców w miasteczku Much Hadham zajęło Redowi niespełna pół godziny. Wjechał na główną ulicę osady krótko przed dziesiątą i nagle znienawidził to miejsce, w którym mieszkał. Nienawidził drobnomieszczaństwa, którego Much Hadham było nie tylko ucieleśnieniem, ale wręcz gorliwym wyznawcą: pobocza obsiane białymi tudorowskimi domami o czarnych belkach, śliczniutki stacje benzynowe, które są tak małe, że zdają się być wielkości trzech czwartych normalnych stacji, tablica z dumą głosząca, że jest to **NAJLEPIEJ UTRZYMANE MIASTECZKO w HERTFORDSHIRE**. Parszywe, samolubne, torysowskie życie, bezpieczne w swojej wygodzie i nieświadome wściekłości narastającej poza tymi starannie utrzymanymi trawnikami.

Red wyobraził sobie efekt, jaki aresztowanie Erica wywoła w miasteczku, i zacisnął ręce na kierownicy tak mocno, że kostki dłoni zbieleły. Już słyszał te wszystkie plotki przy porannej kawie i wieczornym piwie w pubie: dwulicowe harpie podniecone dramatem i wstydem Metcalfów, oferujące pomoc, choć dobrze wiedzą, że nie zostanie przyjęta, zwierające się sobie, że one zawsze, zawsze wiedziały, że z tym chłopakiem jest coś nie tak.

Robert i Margaret Metcalfe'owie mieszkali właściwie poza miasteczkiem, w pierwszym domu za znakiem drogowym znoszącym ograniczenie prędkości w terenie zabudowanym. Red

84

skręcił na podjazd i o mało nie zderzył się z landroverem swego ojca, zaledwie kilka cali za bramą. Ojciec opuścił szybę.

- Red! Co za niespodzianka, Miałeś cholerne szczęście, żeś we mnie nie przywalił. Na długo? Trochę się spieszę, ale wrócę po popołudniu.

Kochany tata. Jak zawsze przyjaźnie nastawiony do życia, mimo że jego interesy nie stoją najlepiej. Dostał od losu po uszach, a dalej był pewien, że wszystko jeszcze będzie dobrze. Red wychylił się przez swoje okno,

- Tato. Muszę z tobą porozmawiać. Z tobą i mamą.

- Czy to nie może poczekać? Mam spotkanie w City z ludźmi z banku o wpół do jedenastej. Boję się, że orzekną przepadek mienia na poczet mojego zadłużenia, jeśli się nie zjawię migiem z jakimś dobrym wytłumaczeniem. Zaczęli już coś przebąkiwać o ustanowieniu syndyka. Naprawdę powinienem tam być o czasie.

- Tato,, coś się stało,

Na twarzy Reda musiał się malować ból, skoro krzaczaste brwi jego ojca uniosły się w zdumieniu.

- Co? Co takiego się stało?

- Czy mama jest w domu?

- Tak. Tak, oczywiście, że tak. Co się stało, Red?

- Lepiej, jeśli powiem o tym wam obojgu.

- Co to jest? Czy z tobą wszystko w porządku? Czy coś się stało Ericowi?

- Tato, Proszę.

Red pojechał po zwirze do wolnego miejsca pod oknem spiżarni. Ojciec puścił go przodem, a potem podjechał na wstecznym i zatrzymał się obok niego. Weszli do środka w milczeniu.

Matka Reda prasowała przed telewizorem w kuchni, Zachłysnęła się powietrzem ze zdumienia na widok syna i wyszła zza deski do prasowania, by go objąć.

- Margaret - rozległ się głos jej męża. - Red przynosi złe wieści.

85

Zatrzymała się kilka stóp od nich, popatrując niepewnie to na jednego, to na drugiego.

- Co? Co się stało?

Red wysunął krzesło spod kuchennego stołu.

- Usiądź, mamó. Ty też, tato.

Usiedli posłusznie, jak psy czekające na żarcie.

Red nie wiedział, co powiedzieć, więc po prostu zaczął od początku. Stał całkowicie nieruchomo, jedynymi poruszającymi się częściami jego ciała były usta i oczy.

Trzymał dłonie przyciśnięte mocno do kieszeni swych spodni i nawet się nie zachwiał.

Opowiedzenie całej historii zajęło mu dwadzieścia minut. Jedyną rzeczą, jaką pominął milczeniem, było przyrzeczenie, które złożył Ericowi. Poza tym opowiedział im o wszystkim - o spowiedzi Erica, Mesjaszu, zeznaniu na posterunku, aresztowaniu, oskarżeniu. Nie wiedział, czego im oszczędzić, więc nie oszczędził im niczego.

Przez cały swój monolog obserwował rodziców. Widział, jak ręka matki powędrowała do serca i pozostała tam, jakby jej dotknięcie było jedyną rzeczą, dzięki której jeszcze żyło. Ojciec kręcił wolno głową i mamrotał pod nosem: - O mój Boże. O mój Boże. - Łzy wypływały spod powiek matki i spływały po twarzy, dopóki nie zaczęła zlizywać ich z ust. Zwykli, przyzwoici ludzie, którzy nie zasługiwali na to, żeby ich życie zostało zdruzgotane w ten sposób.

Gdy Red skończył, zapadła cisza, wieczność odmierzana przez sekundnik ściennego zegara.

- Gdzie popełniliśmy błąd? - spytała matka, bardziej siebie niż kogokolwiek innego.

- Mamó...

- Nieważne - powiedział ojciec, starając się nadać swemu głosowi przekonujący ton.

- Nieważne, gdzie popełniliśmy błąd. Pytanie brzmi, co teraz możemy zrobić?

- Nic nie możemy zrobić, tato.

- Nic? Musi być coś, co możemy zrobić. Na przykład zobaczyć się z Erikiem.

- Nie wiem. Musimy dowiedzieć się na policji.
 - Ale on jest naszym synem - zawodziła matka. - Musimy się z nim zobaczyć. Mamy do tego... prawo, prawda?

- Mamo. - Red położył dłoń na jej dłoni. Skrzywienie nogi krzesła o linoleum. To ojciec wstał.

- Muszę zadzwonić do banku. Powiedzieć im, że nie przyjadę.

- Czy tylko o tym potrafisz myśleć? Ty i ten twój cholerny bank! Twój syn został... Red nacisnął mocniej rękę matki,

- Puść go, mamo. Tata ma rację. Powinien najpierw to załatwić.

Zanim to wszystko do reszty utonie, pomyślał Red, ale nie powiedział tego głośno. Patrzyli, jak Robert wychodzi z kuchni, z wyprostowanymi plecami, nie chcąc się ugiąć pod ciężarem szoku, i po chwili usłyszeli jego głos, gdy rozmawiał przez telefon.

- Michael? Tu Robert Metcalfe... Bardzo dobrze, dziękuję. A ty?... To wspaniale, wspaniale... Słuchaj, coś się stało... Nie... Obawiam się, że nie będę w stanie tego zrobić... Coś naprawdę poważnego... Czy możemy ustalić nowy termin, jak tylko to wszystko się wyprostuje?... Tak, to bardzo miło z twojej strony. .. nie, wcale nie... Bardzo ci dziękuję... Na razie.

Robert wrócił do kuchni. Usiadł na krześle i potarł oczy, wyczerpany zachowywaniem pozorów podczas czegoś tak prostego jak rozmowa telefoniczna. Rodzice Reda wpatrzyli się w niego.

- Co mamy robić, Red? - spytał ojciec. To nie była prośba o radę. To było błaganie o pomoc,

Jego mama i tata, niezdolni do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Red był teraz dla nich rodzicem, opiekującym się nimi tak, jak kiedyś oni opiekowali się nim, podejmującym za nich decyzje tak, jak oni podejmowali je za niego, gdy był dzieckiem. Red i Eric, było nie było ludzie czynu, przetarli szlaki i wywołali zdarzenia, które z wściekłością huraganu wyróciły wygodny

świat Roberta i Margaret Metcalfe'ów. Rodzice byli zależni od starszego syna, który musiał im pomóc pogodzić się z tym, co zrobił ich młodszy syn. Red widział ich bezradność i wiedział, że nie może ich zawieść.

- Wyjedziemy stąd natychmiast do Cambridge. Zameldujecie się w hotelu pod fałszywym nazwiskiem i...

- Red, jestem winien bankowi tysiące funtów - przerwał mu ojciec. - Dom ma już zajętą podwójną hipotekę, a mnie dzieli tyle od bankructwa. - Trzymał kciuk i środkowy palec milimetr od siebie. - Skąd weźmiemy pieniądze na hotel?

Jowialność jego ojca zniknęła, jakby powoli zaczynał sobie zdawać sprawę z tego, co się stało.

- Tato, nie mamy wyboru. Gdy dziennikarze dowiedzą się o Ericu, a może to nastąpić w każdej chwili, będą tu w try miga. To miejsce będzie wyglądało jak Piccadilly Circus w porze lunchu. Nie będziesz mógł się wysmarkać, żeby to nie zostało odnotowane. Musicie stąd wyjechać. I to natychmiast.

- Nie zamierzam pozwolić, by jacyś cholerni... dziennikarze się tu kręcili. Zostaję.

Nie pojedę do hotelu.

Próba buntu Roberta była żałosna w swojej daremności. Red położył dłoń na ramieniu ojca.

- To nie musi być elegancki hotel, tato. Wokół jest mnóstwo tanich hotelików, które idealnie się nadają. Możecie zameldować się w jednym z nich, a potem znajdziemy sposób na zobaczenie się z Erikiem. Ale nie możecie zostać tutaj. Poprosimy policję, żeby miała oko na dom pod waszą nieobecność. - Spojrzał na matkę. - Mamo, czy mogłabyś spakować walizki?

Skinęła nieznacznie głową i wyszła. Ojciec i syn siedzieli w kuchni, słuchając odgłosów pakowania dobiegających z góry.

Dziesięć minut później jechali roverem do Cambridge. Za kierownicą siedział Red, ponieważ nie uważał, żeby w tej chwili którekolwiek z jego rodziców było w stanie dojechać nawet do bramy frontowej bez wypadku.

88

Rozdział dwudziesty piąty.

Poniedziałek, 27 lipca 1998.

- Ściął mu głowę jednym cięciem? Fiu, fiu... Ładny cios, stary.

Jez przegląda zdjęcia z miejsca zbrodni zrobione w mieszkaniu Jamesa Buxtona.

Trzyma kolana ściśnięte razem, tak żeby raport z autopsji nie zsunął się pomiędzy nimi na podłogę samochodu. Ciepłe powietrze z zewnątrz dmucha w jego twarz. Red jedzie vauxhallem osiemdziesiąt pięć na godzinę. Na przeciwnej nitce autostrady czteromilowy korek ślimaczy się w stronę Londynu.

Raport Lubezkiego mówi, że zabójca prawdopodobnie użył do dekapitacji Jamesa jakiegoś miecza. Linia cięcia była bardzo ostra, bez śladu piłowania albo rąbania - które byłyby, gdyby głowa nie została ucięta tak szybko.

Po prostu odciął mu głowę jednym cięciem.

Jez przygląda się badawczo słowom napisanym na maszynie. Jest tam mało rzeczy, których nie mógłby sam się domyślić. Odcięty język i łyżeczka umieszczona w ustach przed śmiercią. Otarcia na kolanach sugerujące, że James klęczał w chwili odcinania głowy. Za czas śmierci przyjęto godziny pomiędzy drugą i czwartą nad ranem. Żadnych śladów włamania. Żadnych śladów penetracji seksualnej.

Jez wsuwa zdjęcia pomiędzy kartki raportu i odwraca się do Reda.

- Cóż, panie Metcalfe, wygląda na to, że należą się panu gratulacje. Jest pan bogatszy o sto funtów.

Red krzywi się.

- Wolałbym ich nie mieć, jeśli chcesz wiedzieć.

- Więc ich nie weźmiesz? Red uśmiecha się.

- Tego nie powiedziałem. Sto funtów piechotą nie chodzi. A już szczególną satysfakcję będę miał z tego, że wygrałem je od was, szmondaki. Ale poważnie mówiąc, chętnie bym je oddał - i nawet dołożył - za jakąkolwiek przyzwoitą wskazówkę posuwającą śledztwo naprzód.

89

- I myślisz, że ponowne spotkanie z Alison Bird może pomóc?
- Nie wiem. Ale nie zaszkodzi spróbować, zwłaszcza po tym, co usłyszałem od brata Jamesa.

- Którego Jamesa?

Red patrzy na niego przenikliwie.

- A niech mnie. Nie pomyślałem o tym. Mówię o Jamesie Buxtonie, a tymczasem równie dobrze mogłoby to dotyczyć Jamesa Cunninghama. Obaj mieli braci, prawda? W każdym razie, miałem na myśli Nicka Buxtona. Próbowałem dorwać Stephena Cunninghama, ale bezskutecznie. Wyjechał na dwa tygodnie na urlop.

- Myślisz, że to ma jakiś związek z imieniem James?

- Może. Ale w takim razie dlaczego został zabity Philip Rhodes?

- Może ma na drugie James. Nie pamiętasz?

- Nie mam tego wszystkiego w głowie, a nie zabrałem ze sobą jego akt osobowych. Kiedy dojedziemy, zapytamy Alison.

Red kiwa w kierunku wielkiego niebieskiego znaku na trawiastym poboczu.

- To nasze skrzyżowanie. - Sygnalizuje skręt w lewo i skręca w wąską uliczkę.

- Więc co takiego powiedział ci brat Jamesa Buxtona? - pyta Jez.

- Powiedział, że James w szkole miał doświadczenia homoseksualne.

- I co z tego?

- A to z tego, że Lubezski mógł się mylić, wykluczając motyw seksualny.

- Tylko dlatego, że jedna z ofiar przeprowadzała jakieś tam eksperymenty jako nastolatek? Nie żartuj. Poza tym nie zapominaj, że nie znaleziono śladów penetracji.

- To niekoniecznie musi mieć znaczenie. Spójrz na to z innej strony. Weźmy choćby slipki. Przyjmijmy, że nasz człowiek jest gejem albo myśli, że może nim być. Tak czy owak, jest troszkę świętoszkowaty, a na dodatek seksualnie niedorozwinięty. Zado-
90

wala się patrzeniem na tych rozebranych gości. Może każe im zdjąć ciuchy i paradować wkoło, zanim z powrotem włożą majtki. Może mówi im świństwa. Lubi patrzeć, ale nie próbuje nic poza tym. Nie ma erekcji. Jest impotentem. Tylko patrzy na nich, a potem ich zabija. Stąd brak penetracji.

- Jak dla mnie, strasznie to wszystko naciągane.

- Dla mnie też, ale nie mamy lepszych pomysłów, prawda?

- A jak mają się do tego język i łyżeczka?

- Łyżeczka wciąż jest dla mnie zagadką. Philip Rhodes i James Buxton pasują jak ulał, ponieważ obaj mieli znaczne dochody. Ale nie biskup. Nigdy nie był bogaty, wedle jakichkolwiek kryteriów. Więc albo biskup został zamordowany przez pomyłkę, albo szczekamy pod niewłaściwym drzewem. I chociaż niechętnie, to muszę przyznać, że to drugie wydaje mi się bardziej prawdopodobne.

- No dobrze. A co z językami?

- Jeśli w grę wchodzi jakiegoś rodzaju dewiacja seksualna, może być kilka powodów, dla których zabiera języki. Jeśli każe im, żeby mu obciągali czy coś w tym stylu, może nie chce ryzykować, żeby zostały ślady jego spermy albo skóry.

- Dopiero co powiedziałaś, że jest impotentem.

- Racja. Co wcale nie oznacza, że nie biorę pod uwagę tego, że zmusza ich, by robili mu różne rzeczy. Tyle że odcinanie języków niekoniecznie niszczy dowody

pozostawione gdzieś w ustach albo w żołądku. Trzeba to więc wykluczyć. Spójrzmy na to pod innym kątem. Języki są używane do całowania. Języki są oznaką intymności. Nie całuje się prostytutki, nie? Wsadza się w nią po prostu wacka i zaczyna jazdę. Ale jeśli Srebrny Język uważa, że łączy go coś intymnego z tymi ludźmi, języki mogą być dla niego oznaką tej intymności. Co znaczy, że może je zabierać z sobą, żeby je przechowywać i napawać się ich widokiem. A jeśli jest impotentem, języki symbolizują poziom jego przeżyć. Z tego punktu widzenia to ma sens.

- A co z biskupem?

- Z tego, co się orientuję, był raczej aseksualny. Ale gejów

91

duchownych jest na pęczki. Wystarczy, że Srebrny Język myślał, że Cunningham był gejem.

Jez myśli o Cunninghamie, tłustym, spuchniętym i odpychającym po śmierci.

- Nie wyobrażam sobie, żeby nawet najbardziej zwyrodniały zboczek mógł go uważać za atrakcyjnego.

- Jez, mówimy o facecie, który odcina ludziom języki, gdy oni jeszcze żyją, i wkłada im łyżeczki w usta. Niekoniecznie jest wymieniany wśród kandydatów do Pokojowej Nagrody Nobla.

- Ale dlaczego zmienia metodę zabijania, podczas gdy inne rzeczy pozostawia nie zmienione? Dlaczego jednego powiesił, drugiego zatłukł, a trzeciego pozbawił głowy? Dlaczego? To nie ma sensu.

- Wiem. Wiem, że to nie ma sensu. Ale wciąż uważam, że trop gejowski jest wart sprawdzenia.

- Nie przekonałeś mnie. Ale masz rację co do jednego.

- Mianowicie?

- Nie mamy lepszych pomysłów.

Mają niezły czas. Ruch na drogach wyjazdowych z Londynu w porannej godzinie szczytu nie jest zwykle duży, wyjąwszy sporadyczne korki w okolicy Heathrow lub na skrzyżowaniu, na którym M4 łączy się z M25. Dostanie się ze Scotland Yardu na peryferie Reading zajmuje im około trzech kwadransów.

- Zatem jedziemy zapytać Alison Bird, czyjej zmarły chłopak był gejem? - pyta Jez.

- Ano.

- Jak to miło. To powinno ją podniecić. Co za uroczy początek tygodnia.

Powinniśmy mieć własny program w telewizji. Rozpocznij tydzień z Metcalfe'em i Cliftonem. Zrobilibyśmy konkurencję Richardowi i Judy*.

* Richard Madeley i Judy Finnegan - para prezenterów programu telewizyjnego This Morning with Richard and Judy.

Wyjmuje wizytówkę Alison z kieszeni i czyta głośno.

- SoftCentre. Oprogramowania komputerowe. - Prycha.

92

- SoftCentre. Co za okropna nazwa. - Wybiera numer na swoim telefonie i szybko zapisuje informacje, których udziela mu recepcjonistka.

- Cóż, nie czuję się za dobrze ze świadomością, że wchodzimy z butami w jej życie - mówi Red, podczas gdy Jez rozłącza się.

Zapada cisza. Myślą o tym, co ich czeka. Nie tylko o tym, że zamierzają grzebać w żarze przeszłości, o której Alison prawdopodobnie chce zapomnieć, ale także o tym, że biuro -jakiegokolwiek biuro - jest najgorszym miejscem do przeprowadzania policyjnych przesłuchań. Gdy przyjedzie do ciebie policja, nie uda ci się uciec od ukradkowych spojrzeń i potajemnych kuksańców swoich kolegów z pracy. Red chciał przesłuchać Alison w domu w weekend, ale jej współlokatorka powiedziała, że dziewczyna wyjechała w podróż służbową na cały weekend i wróci prosto z Heathrow do biura w poniedziałek rano. Nie, nie wie, którym lotem wróci Alison. Nie, nie wie również, gdzie dokładnie Alison jest. Gdzieś w Skandynawii, tak myśli, ale nic pewniejszego nie może powiedzieć. Czy pan naprawdę jest z policji? Chcieli, żeby Kate była z nimi, na wypadek gdyby Alison potrzebowała wsparcia, ale Kate pojechała do szpitala na kontrolę. Sprawy kobiece, powiedziała im, i nie wnikali w szczegóły. Planuje wrócić do pracy tego popołudnia, ale ponieważ zależy im na czasie, nie czekają na nią. Duncan zgłosił się na ochotnika, że zostanie w Yardzie i będzie dyżurował przy telefonie.

SoftCentre House jest budynkiem z niebieskiego szkła stojącym pośrodku centrum biznesu, z błyszczącymi fontannami i wypolerowanymi samochodami zaparkowanymi równiutko w wyznaczonych miejscach. Red i Jez biorą marynarki z tylnego siedzenia samochodu i wychodzą na zewnątrz, prosto w słońce. Przed nimi kolejny dzień paraliżującego umysłu, pozbawiającego energii i smażącego mózgi upału.

Recepcja jest klimatyzowana i przyjemnie chłodna. Red podaje recepcjonistce swoje nazwisko, ale nie mówi, że są z policji.

93

Chce oszczędzić tego Alice, jeśli to tylko będzie możliwe. Gdyby powiedział recepcjonistce, kim są, to tak, jakby ogłosił to w Radio!

- A czy jesteście panowie umówieni?

- Nie.

Recepcjonistka otwiera usta, by coś powiedzieć, ale Red jest szybszy.

- Po prostu proszę do niej zadzwonić.

Kobieta wybiera cztery cyfry na telefonie i mówi do słuchawki:

- Alison? Tu Lorraine z recepcji. Jakiś pan Metcalfe do ciebie. Lorraine wygląda na zaskoczoną odpowiedzią. Odwraca się z powrotem do Reda.

- Mogłabym wiedzieć, w jakiej sprawie pan przychodzi? Red pochyla się nad wysoką ladą, sięga do biurka i zabiera słuchawkę.

- Alison? Tu Redfern Metcalfe. Spotkaliśmy się w... pewnych nieszczęśliwych okolicznościach kilka miesięcy temu... Nie przyjeżdżałbym, gdyby to nie było ważne... Tak, tak, właśnie to... Dziękuję bardzo.

Red oddaje słuchawkę Lorraine.

- Zejdzie tutaj - mówi.

Jez śmieje się z tej zaimprovizowanej zamiany ról. Lorraine wygląda na jeszcze bardziej zaskoczoną niż przedtem.

Policjanci siadają na sofie w recepcji. Red kartkuje „Daily Telegraph”, podczas gdy Jez prostuje nogi i masuje ścięgna.

Red spogląda do góry.

- Czy ty nigdy nie przestajesz? - pyta.

- Nie przestaję czego?

- Ćwiczyć. Doskonalić swoje idealne ciało. Jez uśmiecha się i klepie Reda po brzuchu.

- Jejku, panie Metcalfe - mówi. - Jakie ma pan milusie brzusio.

- Musisz wiedzieć, że za młodych lat byłem bardzo wysportowany - oświadcza Red.

- Za młodych lat? Jesteś tylko trochę starszy ode mnie, koleś. Nie wciskaj mi tu kitu.

94

Alison schodzi po schodach. Red zrywa się na równe nogi, potrząsając mocno jej ręką.

- Alison. Jak miło panią znowu widzieć. To mój kolega, Jeremy Clifton.

Nie mówi „detektyw inspektor”, nie w obecności Lorraine.

- Co się stało? - pyta Alison. - Czy znaleźliście zabójcę Philipa?

Lorraine nadstawia uszu. Red gromi ją wzrokiem.

- Czy jest tu jakieś miejsce, w którym moglibyśmy porozmawiać bez świadków? - pyta Jez.

Alison wkracza za ladę recepcji i wertuje małą książeczkę.

- Pokój Błękitny jest wolny - stwierdza. - Lorraine, czy możesz zarezerwować go na...?

- Pół godziny - mówi Red.

- Jasne - odpowiada Lorraine.

Widzą, że aż ją swędzi, żeby się dowiedzieć, co się dzieje.

Pokój Błękitny okazuje się salą posiedzeń pomalowaną na kolor jasnoturkusowy.

Zajmują trzy miejsca wokół jednego z końców stołu: Alison u szczytu, a mężczyźni po obu jej stronach.

- Znaleźliście zabójcę? - pyta raz jeszcze.

- Jeszcze nie, ale...

- Więc co mogę dla panów zrobić? Red wyraża się delikatnie.

- Na światło dzienne wyszło kilka spraw.

- Na przykład...?

Jez, obcesowo i bezceremonialnie, włącza się do rozmowy.

- Czy Philip miał skłonności homoseksualne?

Red o mało nie wybucha śmiechem. To on tu próbuje jak najdelikatniej, żeby tylko jej nie urazić, a Jez strzela z grubej rury. Patrzy ostro na współpracownika, który podnosi rękę, jakby chciał powiedzieć: „Pozwól mi zrobić to po swojemu”.

Alison otwiera szeroko usta.

- Czy co miał?

- Czy miał skłonności homoseksualne.

- Nie panów sprawa.

95

Nie zaprzecza. Red i Jez patrzą na siebie.

- Z całym szacunkiem, Alison - mówi Jez - to właśnie jest nasza sprawa.
- Skłonności seksualne Philipa to jego prywatna sprawa.
- I pani również, jak mniemam. Czy pani i Philip prowadziliście udane życie seksualne?
- To również nie panów sprawa.

Red czuje się winny z powodu traktowania Alison jak podejrzanej, ale wie, że to może być jedyna droga do wyciągnięcia z niej informacji. Jakikolwiek informacje miała o Philipie, nie chciała ich zdradzić. Więc albo Jez je z niej wyciągnie, albo spowoduje, że Red będzie wydawał się tak rozsądny w porównaniu z nim, że Alison to jemu o wszystkim powie.

- Alison, proszę - mówi Red swoim najbardziej uspokajającym tonem. - Detektyw inspektor Clifton zadaje pani tak osobiste pytania dlatego, że mamy powody, by sądzić, że morderstwo Philipa miało podtekst seksualny.

- Nasze życie seksualne było udane.
- Jak często uprawialiście seks? - to znowu Jez.
- Wystarczająco często.
- Jak często odbywało się to „wystarczająco często”?
- Prawdopodobnie częściej niż u pana, detektywie inspektorze.
- Czy Philip kiedykolwiek prosił panią o zrobienie czegoś niecodziennego?
- Co pan ma na myśli?
- Czy na przykład próbował nakłonić panią do seksu analnego?

Dziewczyna przygryza dolną wargę i czerwienieje.

To wystarczy. Wiedzą.

Jez chce jeszcze coś powiedzieć, ale Red gromi go spojrzeniem. Zaszedł wystarczająco daleko, teraz jego taktyka powinna zacząć przynosić efekty.

Alison odwraca głowę do Reda. To jemu powie, nie Jezowi.

- Dobrze. Philip był biseksualny. Za młodu traktował seks jak zabawę. Mężczyźni i kobiety, normalni i zбочeni. Co tylko chcecie. Kiedy pierwszy raz byliśmy razem, chciał mnie związać, zsodomizować... Powiedziałam mu, że nie zrobię żadnej z tych rzeczy.

- I co wtedy?
- Kiedy dotarło do niego, że mówię poważnie, przerwał. Powiedział, że mnie kocha i że będzie robił tylko to, co zechcę. Powiedział, że jego życie było puste, zanim mnie poznał. Powiedział, że dzięki mnie uświadomił sobie, że mężczyzna powinien kłaść się z kobietą, nie z mężczyzną. To był jakiś biblijny cytat.
- Biblijny? Czy odrodził się religijnie?
- Nie. Chyba po prostu lubił ten cytat.
- Czy kiedykolwiek panią zdradził? Szybki grymas bólu przebiega po jej twarzy.
- Tak.
- Ile razy?
- Tylko jeden raz. To znaczy, wiem o jednym razie.
- Kiedy powiedziała pani „jeden raz”, miała pani na myśli jeden taki wypadek czy jedną osobę?
- Jedną osobę.
- Czy to była przygoda na jedną noc, czy romans?

- Romans.
- Jak długo to trwało? Tym razem jej głos nie drży.
- Półtora roku.
- Jak się nazywała ta kobieta?
- To nie była kobieta. To był mężczyzna. Niejaki Kevan Latimer.

Patrzy, jak Red zapisuje to nazwisko.

- Kevan przez „a” - mówi.
- Co to za jeden, ten Kevan Latimer?
- Jeden ze znajomych Philipa. Pozuje na playboya. Kawał skurczybyka.
- Czym się zajmuje?
- Bóg jeden raczy wiedzieć. Podaje się za biznesmena. Z tego, co wiem, siedział w więzieniu.

96

97

- Czy wie pani, gdzie mieszka?
- Gdzieś w okolicach Paddington. Nie znam dokładnego adresu. Powinien być jednak w waszej kartotece.

Red zastanawia się chwilę.

- Dlaczego ten romans się skończył? Czy dlatego, że dowiedziała się pani o nim?

Alison potrząsa głową.

- Nie miałam o nim zielonego pojęcia, dopóki Philip mi o tym nie powiedział. Tylko że on powiedział mi, gdy było już po ptakach.

- Czy mówił, dlaczego to się skończyło?

- Tak. Podobno przestali uprawiać seks. Kevanowi przestał stawać.

Impotent. Red i Jez znów patrzą na siebie.

Alison stara się nie płakać, tak jakby przeniosła się w czasie do maja po śmierci Philipa, tyle że teraz nie ma posterunkowej przynoszącej herbatę i dającej jej czas, by się pozbierała.

Red pochyła się.

- Alison, nie ma pani pojęcia, jak nam pani pomogła. Dziękuję.

Kobieta kiwa w milczeniu głową.

Red szuka odpowiednich słów. Czuje się w obowiązku ją pocieszyć.

- To musiało być dla pani bardzo ciężkie. Alison przełyka.
- Jakoś to przeżyłam. Najgorsze było to, że mnie okłamał. Powiedział mi, że skończył z facetami, a za moimi plecami dupczył się w najlepsze. Nie byłam pewna, czy byłoby lepiej czy gorzej, gdyby to była kobieta. Pomyślałam... że przynajmniej obyło się bez bezpośrednich porównań. - Jej niepewność zawisa w powietrzu. - Najlepsze, co mogłam zrobić, to zapomnieć o tym. A potem... a potem Philip to wszystko zepsuł.

- W jaki sposób?

- Chciał zaprosić Kevana na nasz ślub.

To ten drobiazg związany ze ślubem, o którym mówiła, gdy

98

Red przesłuchiwał ją pierwszy raz. „Chciał zaprosić kogoś, kogo ja tam nie chciałam”.

Nie eksdziejczyna, jak podejrzewał Red. Ekschłopak. Nic dziwnego, że nie wytrzymała.

A potem wróciła nad ranem, żeby powiedzieć Philipowi, że Kevan może jednak przyjść na ślub. Ustąpiła, podczas gdy większość ludzi trzymałaby się swojego stanowiska. Była albo bardzo wyrozumiała, albo bardzo uległa. Red nie może się zdecydować. Tak czy owak, nie zasługiwała na to, co ją spotkało.

Red i Jez podnoszą się. Alison potrząsa ręką Reda i wyciera nos, by uniknąć podawania ręki Jezowi.

- Traficie panowie do wyjścia? - pyta.

- Tak. Dziękujemy.

Jez naciska przycisk windy i wtedy coś sobie przypomina.

- Alison?

Dziewczyna jest w połowie korytarza. Zatrzymuje się i odwraca. Spogląda na niego wrogo.

- Tak?

Drzwi windy otwierają się.

- Jak miał Philip na drugie imię?

- Na drugie? John. Dlaczego pan pyta?

- Ze zwykłej ciekawości - mówi Jez i dziękuje drzwiom windy, że zamykają się za nim i za jego kłamstwem.

Rozdział dwudziesty szósty.

Red siedział przy biurku w swoim pokoju, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Popatrzył na zegarek. Dwunasta dwadzieścia pięć. To nie mogli być jego rodzice, ponieważ wyjechali przed niespełna dwudziestoma minutami. Za radą Hawkinsa pojechali odwiedzić Erica sami. Wyraźnie zakłopotany Hawkins powiedział przez telefon Redowi, co się stało. Eric, wróciwszy do celi po

99

tym, jak postawiono go w stan oskarżenia, nagle zaczął walić do drzwi, krzycząc, że przetrąci pierdolony kark Reda, dokładnie tak, jak przetrącił pierdolony kark Charlotte Logan, i dopiero czterech policjantów i groźba podania środka uspokajającego sprawiły, że przestał się drzeć. Nagła i drastyczna przemiana, z potulnego pogodzenia się z losem we wściekłość na Reda za złamanie przyrzeczenia. Tak więc, w sumie, proszę pana, chyba lepiej by było, gdyby pan na razie trzymał się z daleka. Proszę pozwolić swoim rodzicom odwiedzić Erica. Zobaczy się pan z nim, gdy się uspokoi.

Redowi nie pozostało nic innego, jak się zgodzić. Pukanie rozległo się po raz drugi, tym razem głośniejsze. Red wstał zza biurka, podszedł do drzwi i otworzył je. Mężczyzna stojący za nimi wyglądał znajomo, ale Red nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna. Lśniące, brązowe włosy przyprószone siwizną na skroniach. Szary garnitur, Koszula w różowe paski z białym kołnierzykiem, złota spinka u krawata, frędzle na butach. Miał ponad sześć stóp wzrostu i był odpowiednio do tego szeroki w ramionach, ale wydawał się jeszcze większy. Człowiek przyzwyczajony do władzy,

do rozkazywania, a nie do wykonywania rozkazów.

- Redfern Metcalfe? - spytał.

- Tak.

- Jestem Richard Logan.

Richard Logan, ojciec Charlotte, dywanowy magnat.

Błysk nagłego rozpoznania rozświetlił umysł Reda, Logan po znalezieniu ciała córki kierował apele przez telewizję do wszystkich, którzy mogliby udzielić jakichkolwiek informacji, Red pamiętał siwiznę we włosach Logana i zaciętość jego twarzy, gdy patrzył w telewizyjne kamery. Przypominał też sobie, zamieszczone następnego dnia przez niektóre gazety, zdjęcie z wakacji, na którym córka tuliła się do ojca, Stając oko w oko z ojcem dziewczyny, którą jego brat zabił, Red nie wiedział, co ma powiedzieć.

Logan wyciągnął do niego dłoń. Szaro odziana ręka uniosła

100

się, by wgnieść Reda w podłogę w dzikim szale. Red wzdrygnął się ze strachu.

Logan chwycił prawą rękę Reda.

- Miło mi poznać,

Red wyczuł twardość uścisku dłoni. Serce zatrzepotało mu z ulgą.

- Czy mogę wejść? - spytał Logan.

- Słuch...? Ach, oczywiście, proszę.

Red odsunął się o krok. Logan schylił głowę, żeby zmieścić się w drzwiach,

- Może się pan czegoś napije? - spytał Red, żeby wypełnić nerwową ciszę, - Kawy? Herbaty?

- Nie, dziękuję,

- Proszę spocząć.

Logan podszedł do niskiego fotela przy mansardowym oknie. Zatrzymał się tam na chwilę, spojrzął na Great Court, po czym odwrócił się i usiadł.

Nawet siedząc, z plecami tuż nad podłogą i kolanami na wysokości ramion, Logan zdawał się wypełniać sobą cały pokój. Red usiadł na krześle przy biurku i czuł, jak siła tego człowieka otacza go niczym mgłą.

- Ładny pokoik, Z pewnością niewielu studentów w Great Court ma takie.

- To prawda, Miałem szczęście. Przy końcu pierwszego roku zrobiliśmy losowanie, a potem, przy końcu drugiego roku, odwróciliśmy listę. Na pierwszej liście byłem w ostatniej dziesiątce, więc w następnym roku mogłem przebierać do woli. Niech pan żałuje, że pan nie widział tej nory, w której mieszkałem na pierwszym roku. - Red zaśmiał się nerwowo. Logan uśmiechnął się - szybki wilczy grymas rozciągający usta.

- Słyszałem o twoim bracie - powiedział Logan i uśmiech zniknął z jego twarzy.

Red przełknął, nic nie mówiąc.

- Detektyw Hawkins dzwonił do mnie dziś rano, Powiedział mi, że policja oskarżyła twojego brata o zamordowanie Charlotte.

101

- Tak mi przykro, panie Logan,

- Mnie też, Redfern, Mnie też.

Zegar na Great Court wybił połowę godziny. Ding-dong, ding-dong. Ostatnie

uderzenie rozeszło się echem po pokoju. Logan odkaslnął.

- Hawkins powiedział mi również, w jaki sposób policja znalazła Erica.
- Panie Logan., Nie wiem, co powiedzieć.
- Nie musisz nic mówić. Przyszedłem tu, żeby ci podziękować.
- Podziękować mi?
- Tak. Za to, że mogę wreszcie spać spokojnie. Zabójca Charlotte został złapany. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.
- Ale to i tak nie przywróci jej życia, prawda? Logan pominął to pytanie milczeniem.
- Dokonałeś bardzo odważnego czynu, chłopcze. To dlatego jestem ci tak wdzięczny. Wydać własnego brata... myślę, że niewielu ludzi odważyłoby się to zrobić. Co zrobić? Złamać przyrzeczenie? Zdradzić rodzinę?

- Ja naprawdę nie miałem wyboru. Zrobiłem to, co każdy by zrobił na moim miejscu.

- Nie, nie zrobiłeś tego, co zrobiłby każdy. Ty zrobiłeś coś, czego nie zrobiłby nikt. Gdybym był na twoim miejscu i byłby to mój brat... nie wiem, czy zrobiłbym to co ty.

Red wbił wzrok w podłogę.

- Dziękuję - wymamrotał, zawstydzony niespodziewaną pochwałą. Czuł szczypanie pod powiekami. Mógł pogodzić się z nienawiścią brata i konsternacją rodziców, ale nie z życzliwością nieznajomego. Ściągnął łyzy z kącików oczu, pocierając obie strony nosa, mając przy tym nadzieję, że Logan zrzuci to raczej na karb zmęczenia niż emocji.

Głos ojca Charlotte przebił się przez jego ból.

- Nie przyszedłem tu tylko po to, by ci podziękować.

102

Red spojrzał do góry.

- Kiedy Charlotte została zamordowana, wyznaczyłem nagrodę dla każdego, kto przekaze informacje, które pozwolą złapać zabójcę. Pamiętasz?

Red skinął głową.

- Pamiętam.

Wiedział, co zaraz nastąpi. Nie mów tego, pomyślał. Proszę. Nie zdążył wypowiedzieć tego na głos. Logan już mówił, nieświadom, jak wielkim poczuciem winy go obarcza.

- Znalazłeś zabójcę. Jeśli tylko zechcesz, nagroda będzie twoja.

Rozdział dwudziesty siódmy.

Jez bierze wydruki z drukarki i gwizdże.

- Niezły ptaszek z tego Kevana - mówi. - Sześć miesięcy odsiadki trzy lata temu za posiadanie kokainy. Próby resocjalizacji przyniosły jedynie połowiczne skutki. Poza tym drobne kradzieże, kilka mandatów za przekroczenie prędkości i jedna kara za nieprzystojne obnażenie. Wygląda na niezłego czarusia. Biznesmen, nie ma co!
- Pod jakim adresem go zastaniemy? - pyta Red. Jez wertuje kartki.
- Norfolk Square, W2.
- Jasna cholera-mówi Red.-Wiem, gdzie to jest. Dosłownie naprzeciwko mojego

mieszkania po drugiej stronie ulicy.

- Cóż za czarujących sąsiadów posiadasz. Złożymy mu wizytę?

- Nie wiem, czy nam się uda - ten adres może być nieaktualny. Ale co nam szkodzi spróbować?

Dojechanie ze Scotland Yardu na Norfolk Square zajmuje im kwadrans. Dom, którego szukają, znajduje się po południowej stronie, ale ponieważ ulica jest jednokierunkowa, muszą obje-

103

chać plac dookoła. Większość budynków, które mijają, to tanie hotele.

- Jezu Chryste - mówi Jez. - Popatrz na to miejsce. Raj dla turystów. Bóg jeden wie, dlaczego zawracają sobie głowę przyjeżdżaniem do Anglii, skoro kończą swą podróż w takiej dziurze jak Paddington.

Red omija vauxhallem mężczyzną w poplamionych farbą dżinsach, który odkurza wnętrze białego mercedesa, i jedzie wokół placu.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że mój dom znajduje się jakieś sto jardów stąd, gdzieś tam. - Red macha ręką przed nosem Jeza.

- Daj spokój. To musi być naprawdę okropna okolica, skoro pozwalają tu mieszkać takim obwiesiom jak ty.

- Pierdol się. Który to dom?

Jez patrzy na numery domów, gdy przejeżdżają wolno obok nich.

- Tamten. Przed nami. Ciemnozielone drzwi.

Wzmiankowanemu domowi przydałoby się malowanie i solidne czyszczenie.

Trójkąty brudu zatykają kąty okien, a mdłe żółte światło sączy się przez paski szkła nad drzwiami frontowymi.

Przed nimi miejsce do parkowania długości dwóch samochodów. Red zatrzymuje się przed nim i cofa, odwracając głowę. Jez spogląda w lusterko boczne.

- Jak wygląda ten cały Kevan Latimer? - pyta.

- Nie mam pojęcia - odpowiada Red. - Czemu pytasz?

- Bo jakiś gość wyszedł właśnie z domu. Zastanawiam się, czy to nie on.

- Co ci szkodzi zapytać?

Red włącza pierwszy bieg i odwraca przód wozu. Jez otwiera drzwi i wychyla się tak daleko, na ile pozwalają mu pasy bezpieczeństwa. Mężczyzna idzie po schodach od ciemnozielonych drzwi na chodnik. Średniego wzrostu, w białym podkoszulku, brązowych bawełnianych spodniach i adidasach.

- Kevan Latimer? - krzyczy Jez.

104

Mężczyzna zatrzymuje się i patrzy na niego. Jez woła powtórnie.

- Czy to pan jest Kevan Latimer?

Mężczyzna patrzy na niego pustym wzrokiem, jakby nie mówił po angielsku. I nagle rzuca się do ucieczki.

- Jezu Chryste! - krzyczy Jez.

Odpina pasy i wyskakuje z wozu. Pasy opadają wzdłuż jego ciała. Stopy wykręcają się na zewnątrz, a ramiona przecinają powietrze, gdy zrywa się do biegu, zupełnie jak prawdziwy sprinter. Za sobą słyszy trzask drzwiczek samochodu - to Red wybiega za nim. Tyle że Red ma czterdziestkę na karku, a do tego jeszcze pali. Nigdy nie zdoła

go dogonić.

Latimer dobiega do końca placu i skręca w prawo w stronę stacji. Uskakuje przed taksówką i rusza środkiem ulicy, pod prąd. Jez jest dziesięć jardów za nim. Biegną w stronę Paddington. Przed sobą mają wielkie sklepienie dachu stacji.

Mijają obrotowe stojaki z pocztówkami po jednej stronie ulicy i Burger Kinga po drugiej. Przez minirondo i szerokim podjazdem na stację. Taksówkarze jadący podjazdem grają wściekłą symfonię na klaksonach.

Jez czuje gorąco napływające do twarzy i pod koszulę. Latimer jest wciąż przed nim, jest szybki, ale Jez jest sprawniejszy fizycznie. Musi być. Sezon triathlonu w pełni. Gdyby poddać jego i Latimera jakimkolwiek testowi na wytrzymałość, zgniółby go na proszek.

Latimer zbiega z podjazdu dla taksówek i skręca gwałtownie w lewo, biegnąc poprzez hol dworca. Na białej podłodze holu pojawiają się odbicia ruchu, kiedy śmigają obok motorowych wózków na bagaże i strumienia ludzi wychodzących z pociągu, który przed chwilą wjechał na peron czwarty. Przecinają strumień ludzi. Jez jest ledwie świadomy twarzy odwracających się za nimi, starych twarzy w okularach na oczach i z fajkami w ustach. Nikt nie rusza się, by któremuś z nich pomóc. Pewnie myślą, że Jez i Latimer są dwójką wygłupiających się przyjaciół.

Latimer przecina hol, zostawiając po lewej stronie ośmiokątną

105
kabinę informacji, a potem skręca gwałtownie na peron. Biało--zielony pociąg Great Western Railways właśnie odjeżdża. Latimer omija dwóch mężczyzn pchających wózek pocztowy. Przebiega pod wielkim trójstronnym zegarem w połowie peronu i nagle skręca gwałtownie w lewo, między filarami, i rusza na podjazd, gdzie samochody wyrzucają i zabierają pasażerów. Jez jest teraz pięć jardów za nim i wciąż się przybliża.

Paddington Street jest położona niżej. Dokądkolwiek Latimer by pobiegł, w lewo czy w prawo, zawsze będzie musiał biec do góry. Wybiera prawą stronę i Jez wyraźnie zyskuje. Gdy wpadają na most, dzieli ich co najwyżej kilka kroków. Latimer skręca znów w prawo, ale zbyt gwałtownie i potyka się, podpierając się ręką o ziemię, gdy próbuje odzyskać równowagę.

To wystarcza. Jez rzuca się na plecy Latimera jak gigantyczny pajak. Latimer upada, przygwożdżony do ziemi, z łokciami przed klatką piersiową. Pozbawiony tchu upadkiem i ciężarem Jeza, chwytając powietrze jak astmatyk.

Minimum siły. Właśnie tyle, ile policjant powinien użyć. Ale są od tego wyjątki. Jez podnosi się i kopie Latimera dwa razy w żebra. Mężczyzna nie ma nawet tyle powietrza w płucach, żeby krzyknąć.

- Ja pierdołę! - rozlega się za nimi głos.

To Red, ciężko dyszący. Jego twarz jest prawie tak czerwona jak jego włosy.

- Złapałeś go. - Dech-dech. - Dobry chłopak. - Dech--dech. - Przeczytaj mu jego prawa.

Jez wykręca ręce Latimera do tyłu.

- Kevanie Latimerze, aresztuję pana pod zarzutem morderstwa. Ma pan prawo do odmowy zeznań, ale muszę pana ostrzec, że utrudni to pana obronę. Wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu.

Latimer odwraca głowę. Ruch marszczy skórę na jego szyi. Uśmiecha się.

- Gliny. Ale numer! A ja myślałem, że to ludzie McAllistera przyszli po pieniądze.

106

Rozdział dwudziesty ósmy.

- Więc to nie on? - pyta Kate.

- Nie. Całkowite pudło - mówi Red. - Nie wiedział nawet, o co nam chodzi. Myślał, że przyszliśmy upomnieć się o jakiś dług, i śmiał się jak głupi, kiedy dowiedział się, że nie. Jeśli chce zadzierać z pożyczkowymi rekinami, to jego problem, ale to jeszcze nie przestępstwo. Nie, Kevan Latimer nie jest człowiekiem, którego szukamy, niestety. Nic nie mogliśmy zrobić.

- Nie mogliście go oskarżyć o stawianie oporu przy aresztowaniu?

- Nie. Nie przedstawiliśmy się jako policjanci, dopóki Jez go nie złapał.

- A sprawdziliście, czy ma alibi?

- Niestety, ma.

- Mogę zerknąć? - pyta Duncan. Red popycha w jego stronę zeznanie.

- Wszystko jest koszerne - mówi. - Tej nocy, gdy zostali zabici Philip Rhodes i James Cunningham, był w jakiejś klinice niedaleko Hurstpierpoint w Sussex. Spędził tam prawie miesiąc. Przyjęty 17 kwietnia, wypisany 15 maja. Beznadziejny przypadek, według dyrektora. Odniosłem wrażenie, że naprawdę ma dosyć widoku Kevana, ale nie mógł mu odmówić przyjęcia.

- Dlaczego? - pyta Duncan, studiując zeznanie.

- Ponieważ płaci za to ratusz.

- I nie było żadnego sposobu, żeby Kevan wymknął się tej nocy?

- Nie. Zupełnie nie. Klinika jest zamknięta w nocy, a strażnik zapewnia, że nikogo nie brakowało. Kevan został odhaczony jako obecny o jedenastej wieczorem, a potem znów o siódmej rano.

- W tym czasie mógł pojechać do Londynu i wrócić.

- Nawet gdyby jakimś cudem udało mu się wymknąć z tej pieprzonej kliniki, to nie zajechałby daleko. Ostatni pociąg do Londynu odjeżdża o dziesiątej czterdzieści osiem, a on nie miał samochodu.

107

- Mógł ukraść.

- W promieniu trzech mil od kliniki nie zgłoszono tamtej nocy kradzieży jakiegokolwiek pojazdu.

- Może miał współnika?

- Lubezski obstaje przy tym, że zbrodni dokonał jeden człowiek. Myślisz, że Kevan Latimer ma szofera, który czekał na niego przed domami ludzi, których tamten brutalnie mordował? Bądźmy realistami.

- A co z ostatnim piątkiem?

- Był z przyjacielem w Potter's Bar. Całą noc.

- Z jakim przyjacielem?

- Z męskim przyjacielem, chociaż odnoszę wrażenie, że opłacił jego usługi. Miejscowa policja sprawdziła to i jest pewna, że i tam wszystko było koszerne. Duncan rzuca zeznanie na stół.
- Jak dla mnie, to wszystko wcale nie jest niepodważalne. Ten facet zaczyna doprowadzać Reda do rozpaczy.
- Widzisz, tak samo jak ty chciałbym, żeby to Latimer był Srebrnym Językiem. Chciałbym, żeby to był on, bo jest niemłą, małą parówką. Ale Latimer nie jest Srebrnym Językiem. Po prostu nie jest. Żeby zrobić to, co zrobił Srebrny Język, trzeba mieć jaja. A on ich nie ma. Latimer jest nieudacznikiem. Nie jest... wystarczająco dobry, żeby być Srebrnym Językiem.
- Wystarczająco dobry "- powtarza Duncan, podnosząc brwi. - Dziwnie to ująłeś. Red wzrusza ramionami.
- Wiesz, co mam na myśli.
- Nie, nie wiem. „Wystarczająco dobry" oznacza pochwałę. Czyżbyś podziwiał tego gościa? Lubisz go?
- Nie zaczynaj, Duncan. Nie tutaj.
- Więc co teraz? - pyta Kate.
- Będziemy szukać wśród gejów - mówi Red. Duncan patrzy ostro.
- Chyba żartujesz.
- W najmniejszym stopniu. Dwie spośród trzech ofiar miały tendencje homoseksualne, a trzecia wykonywała zawód duchownego, który nie jest zupełnie wolny od podejrzeń o homoseksualizm. Wszyscy oni byli prawie zupełnie rozebrani. Jak dotąd, to nasz najlepszy trop.
- Jeśli myślisz, że będę się uganiał za chłopaczkami w skórach i z wąsami...
- Tak, Duncan. Właśnie to będziesz robił. Kiedy Colin Ireland był na wolności, Jez i ja właśnie to robiliśmy.
- Pedzie musiały mieć niezły ubaw. Miałeś branie, Jez? Jez przeszywa Duncana wściekłym spojrzeniem, ale nic nie mówi.
- Za to Red i owszem.
- Zamknij się, Duncan. Chodziliśmy od jednego baru dla gejów do drugiego, rozmawiając z ludźmi, pytając, czy czegoś nie widzieli. Przyznaję, było to dziwne. Mieszkałem w tym mieście od ponad dziesięciu lat i nawet nie zdawałem sobie sprawy z istnienia tej całej subkultury. Nie miałem pojęcia, że w niektórych pubach możesz zastać w toalecie dwóch mężczyzn uprawiających seks pod pisuarami. Nie miałem pojęcia, że geje reklamują swoje preferencje chusteczką o odpowiednim kolorze w tylnej kieszeni spodni.
- Przynajmniej tyle twojego.
- Co masz na myśli?
- A to, że całe to przeczesywanie pedrylskich klubów było niepotrzebne. Bo Ireland zgłosił się sam, próbując wyeliminować siebie z kręgu podejrzanych, i w ten sposób go złapałeś. Więc nie musieliście zawracać sobie tym głowy.
- Ale sobie zawracaliśmy. Przynajmniej próbowaliśmy coś robić. I jeśli nie spróbujemy tym razem, pewnego dnia, gdy sprawa wyjdzie na jaw, wszystkie organizacje gejowskie w tym kraju podniosą larum, że policja ma ich gdzieś i że

zawraca sobie głowę zbrodniami tylko wtedy, gdy ofiary są białymi mężczyznami, którzy należą do właściwego klubu.

Red otwiera kartonową teczkę i wyjmuje z niej zdjęcia zamordowanych mężczyzn. Nie są to zdjęcia z miejsc zabójstw, lecz

108

109

fotografie zrobione im, gdy jeszcze żyli. Zdjęcie paszportowe Philipa Rhodesa, z poważną miną. Zdjęcie Jamesa Cunninghama, odprężonego przy obiedzie z kieliszkiem wina w dłoni. I portret z Sandhurst* Jamesa Buxtona, dumnego w mundurze swego regimentu.

* Sandhurst - The Royal Military Academy w Sandhurst w południowej Anglii. Renomowana uczelnia wojskowa, w której pobierają nauki przyszli oficerowie brytyjskiej armii wywodzący się z klasy średniej i wyższej.

Każda fotografia zrobiona jest w czterech kopiach. Red rozkłada je wokół jak rozdający w oczko.

- W Londynie jest około stu dwudziestu gejowskich barów, pubów i klubów. Wybrałem spośród nich, wraz z członkami społeczności gejowskiej, te, które są najbardziej obiecujące. Uznaliśmy West End i Earl's Court za najlepsze miejsca, więc właśnie od nich zaczniemy dziś wieczorem.

Red rozkłada dwie skserowane strony planu miasta z pośpiesznie narysowanymi czerwonymi kółkami wyróżniającymi się ostro spośród patchworku czarnych i białych ulic.

- Podzielimy się na pary. - Posuwa jedną z kartek do Duncana. - Ty i Kate zrobicie obchód West Endu. Pójdziecie w miejsca, które zaznaczyłem. Jez i ja weźmiemy się za Earl's Court. Chyba nie muszę wam mówić, że macie robić wszystko, żeby nie wywołać powszechnej paniki. Ograniczcie się do zadawania pytań barmanom, bramkarzom, właścicielom i tym podobnym - oni widzą wszystkich i wszystko, co dzieje się w ich lokalach. Po prostu pytajcie, czy nie widzieli któregoś z tych ludzi. Nie mówcie, dlaczego ich szukacie, i nie kręćcie się wokół klientów. Miejcie oczy i uszy otwarte. Jasne? Pozostawajcie tam tak długo, jak będziecie potrzebować. Zobaczymy się jutro rano, punktualnie o dziesiątej.

Kate odwraca się do Jeza.

- Uważaj na siebie, młody człowieku - mówi, grożąc mu żartobliwie palcem. - Nie flirtuj z każdym niegrzecznym chłopcem, jakiego spotkasz.

110

- A bo co? - pyta Jez. - Czyżbyś była zazdrosna?

- Żebyś wiedział - odpowiada Kate. - Chcę cię mieć tylko dla siebie.

- Więc rzuć tego swojego nudziarza. A wtedy może dam ci szansę.

Kate czerwienieje.

- Pierdol się, Jez. Nie mów tak o nim. Nie znasz go.

- Nie, ale...

- Czasami straszny z ciebie dupek, wiesz? Zamknij się. Podnosi się do wyjścia.

Duncan podąża za nią.

- Aha, Duncan... - mówi Red, wciąż siedząc.

- Tak?

- Spróbuj nie rzucać się w oczy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty.

Pora lunchu nadeszła i minęła, a Red nawet tego nie zauważył. Trzymał wizytówkę Logana za krawędzie i obracał ją w dłoniach. Pokój wydawał się mniejszy po jego odejściu, zupełnie jakby Logan zabrał ze sobą jakąś jego część. Cały czas Red słyszał słowa rzucone na odchodnym: „Przemyśl to. Nie spiesz się. Zadzwoń, gdy już podejmiesz decyzję”.

Red wciąż o tym myślał, gdy wrócili jego rodzice.

Od chwili, gdy przekroczyli próg mieszkania, wiedział, że spotkanie z Erikiem nie poszło dobrze. Miejsce nad górną wargą Margaret było czerwone od wycierania nosa, a węzeł krawata Roberta był mocno ściągnięty przez jego ciągle poprawianie. Red położył wizytówkę Logana na biurku i podszedł do nich. Poprowadził matkę do fotela, na którym jeszcze niedawno siedział Logan, a ojcu wskazał miejsce na małej kanapie naprzeciwko niego. Sam wysunął zza biurka twarde krzesło i postawił je obok kanapy, tyłem do przodu, po czym usiadł, kładąc ramiona na jego oparciu.

111

- Jak poszło? - spytał cicho. Ojciec wzruszył ramionami.
- Tak, jak można się było spodziewać.
- A jak Eric?
- Ten policjant... jak to on się nazywa?
- Hawkins.
- A tak, Hawkins. Powiedział, że Eric rano był bardzo spokojny.
- A teraz, tato?
- Wydaje mi się, że nie wie, co czyni.
- Czy wciąż jest spokojny?
- Nie. Nie jest.
- Więc o czym rozmawialiście?

Robert znów poprawił krawat. Margaret wlepiła wzrok w paznokcie.

Red wiedział, o czym, a raczej o kim rozmawiali, O nim. Westchnął,

- Co powiedział, tato?
- Nie mówmy teraz o tym, Red.
- Nie, tato. Chcę wiedzieć. Co on powiedział?
- Red, porozmawiamy o tym później. Twoja matka i ja jesteśmy bardzo...
- TATO!
- No dobrze, powiem ci. Chociaż jestem pewien, że wolałbyś tego nie słyszeć.
- Tato, po prostu mi powiedz, I tak domyślam się, co to może być. Eric obwinia mnie o to, co się stało, prawda? Chce przetrącić mi pierdolony kark.

Matka zachłysnęła się ze zdumienia. Red nie zwrócił na to uwagi,

- Czy to właśnie tych słów użył, tato? „Chcę przetrącić mu ten jego pierdolony kark”?
- Skąd wiesz?
- Użył ich już wcześniej, Właśnie dlatego Hawkins chciał, żebyście pojechali beze

mnie.

112

- Eric twierdzi, że przyrzekłeś mu, że nie powiesz o tym nikomu, a ledwo zasnął, poszedłeś na policję i go wydałeś.
- Czy to prawda? - zapytała matka,
- Tak. Przyrzekłem mu to, bo inaczej by mnie nie wypuścił. Co jeszcze powiedział?
- Powiedział, że gdybyś trzymał... gębę na kłódkę - odparł ojciec - coś byśmy z tym zrobili.
- My?
- Ty. Ja. Twoja matka. Rodzina.
- Co to znaczy: „coś byśmy z tym zrobili”? Zczym? On zabił człowieka. Co, u licha ciężkiego, można z tym zrobić?
- Nie wiem. Coś.
- A co ty o tym myślisz, tato? Uważasz, że powinniśmy... - Red palcami zrobił w powietrzu cudzysłów - „coś z tym zrobić”?
- Red...

Wahanie ojca było wystarczającym dowodem.

- Czy zgadzasz się z nim, tato?
- A czy to ważne?
- Jak jasna cholera. Czy uważasz, że zrobiłem źle, idąc na policję?
- Ja... myślę, że najpierw powinienś powiedzieć nam.
- Dlaczego? Co dobrego by z tego wyszło?
- Może moglibyśmy w jakiś sposób pomóc Ericowi. Moglibyśmy zapanować nad tym, co się z nim stało.
- Zapanować? Tato, on kogoś zabił. Wiem, że trudno się z tym pogodzić, ale taka jest prawda. To, że ci się to nie podoba, nie zmienia w niczym faktu, że to się stało. A może uważasz, że w ogóle nie powinienem wam o tym mówić? Może uważasz, że powinienem utrzymać to w sekrecie? Jeszcze jeden sekret między braćmi, jak te, które mieliśmy, gdy byliśmy dziećmi? Wtedy nigdy o niczym byście się nie dowiedzieli.
- To nie tak, Red.
- Właśnie tak, tato, Bardzo mi przykro, że ty i mama odkryliście, że Eric jest mordercą.
- Był, Był mordercą.

113

- Był. Jest. Co za różnica, tato. I tak to zrobił. Bardzo mi przykro, że Eric prawdopodobnie spędzi większość życia w więzieniu. I bardzo mi przykro, że najwyraźniej obwiniacie mnie o to, co się stało. Ale to nie moja wina. To nie ja zabiłem Charlotte Logan. To on to zrobił,
- Nikt cię nie obwinia, Red.
- Nie oszukacie mnie.
- Red, powiedziałem tylko, że były inne możliwości, które można było rozważyć.
- Tato, zrobiłem to, co uważałem za słuszne. Mój brat zrobił coś złego. Zasłużył na karę. Przynajmniej...
- „Zasłużył na karę”? Od kiedy to bawisz się w Boga?

- „przynajmniej w ten sposób sprawiedliwości stało się zadość. Przynajmniej jej rodzina zaznała spokoju.

- Z kim ty trzymasz, Red? Z nami czy z nimi?

Milczenie, gniew i wrogość. Nie chcieli uwierzyć, że to prawda. Nie chcieli uwierzyć, że Eric zrobił to, co zrobił. Woleli zabić posłańca przynoszącego złe wieści.

Zakwestionowali jego lojalność. Red milczał.

Tym razem usłyszał matkę, jej głos dobiegał jakby z daleka.

- Eric chce wiedzieć, czy Logan przyszedł już do ciebie z nagrodą.

Rozdział trzydziesty.

Pub Coleherne łatwo przeoczyć. Szyby w oknach są przyciemnione, zasłony - często zaciągnięte, a wewnątrz tak słabo oświetlone, że nawet szybkie spojrzenie ponad ramieniem wchodzącego lub wychodzącego niewiele daje. Wszystko, co widać, to żywy obraz łagodnych ruchów, kształtów i form o zamglonych konturach wyłaniający się z mroku.

Coleherne znajduje się przy ruchliwym, ale niczym się nie wyróżniającym odcinku Old Brompton Road. Chodnik odbija

114

żółty neon salonu sprzedaży telefonów komórkowych mieszczącego się tuż obok, a ze skrzynek wystawionych przed nocnym sklepem spożywczym po drugiej stronie ulicy wylewają się owoce. Kilka metrów dalej ciągnący na północ ruch uliczny grzmi na Finborough Road. Prawie nic nie zdradza, że Coleherne jest najśłynniejszym gejowskim pubem w Londynie.

Nic, rzecz jasna poza klientelą. Jeśli się postoi na rogu ulicy przez pięć minut, nie sposób nie zauważyć stałych i przypadkowych członków gejowskiej sceny Earl's Court. Opięte, białe T-shirty. Dżinsy podwinięte około ciała nad kostką. Czasami skórzane marynarki lub kurtki. Prawie zawsze fryzura na jeża. Czasami wąsy. Młodzi i starzy, grubi i chudzi, muskularni i wymoczkowaci ściągają do Coleherne i pobliskiego nocnego klubu Brompton jak ćmy do płomienia.

To Coleherne jest tym pubem, w którym Colin Ireland poderwał pięć swoich ofiar w 1993 roku. Właśnie przy tym śledztwie Red i Jez spotkali się po raz pierwszy.

Wszystkie ofiary Irelanda przed uduszeniem były związane. Większość policjantów uważała, że mordercą jest członek społeczności gejowskiej - mężczyzna, który porusza się z łatwością w tych kręgach i który zyskiwał swego rodzaju satysfakcję seksualną poprzez akt torturowania i zabijania ofiar.

Jez, w tym czasie zaledwie dwudziestosiedmioletni i po raz pierwszy prowadzący taką poważną sprawę, nie zgadzał się z tym. Utrzymywał, że morderca wcale nie jest homoseksualistą ani „homofobem”, chcącym zemścić się na gejach, tylko osobą, która po prostu chce zyskać rozgłos jako seryjny morderca i która uderza akurat w homoseksualistów, ponieważ są łatwym celem. Dlatego też udaje geja aż do momentu, gdy jego ofiary są związane i może zrobić z nimi, co chce. Tracą więc

tylko czas, szukając homoseksualisty. To, co powinni robić, to szukać kogoś z kryminalną przeszłością i na tyle silnego, by mógł mordować ofiary w taki właśnie sposób.

Inni prowadzący śledztwo wyśmiali go. Ale Red wysłuchał i zapamiętał. Kiedy Ireland został złapany, opis Jeza pasował

115

wprost idealnie. I tak to Red wziął Jeza pod swoje skrzydła, nie tylko dlatego, że miał wtedy rację, ale też dlatego, że nie bał się przedstawić swych poglądów całemu tłumowi ludzi o wiele starszych i o niebo bardziej doświadczonych niż on.

I oto wracają do Coleherne, ale tym razem okoliczności są inne. Podczas polowania na Irelanda wiedzieli, że morderca - wtedy jeszcze nie znany - był w pubie w pięć nocy, chociaż było trudno ustalić jego tożsamość, skoro trzy czwarte klienteli miało takie same ubrania i fryzury.

Tym razem nie mają nic. Jedynie trzy zdjęcia i wiedzę, że przynajmniej dwie z ofiar miały jakieś doświadczenia homoseksualne.

Red zatrzymuje vauxhalla na Coleherne Road, przy pubie.

- Dlaczego Duncan mnie nie lubi? - pyta Jez, gramoląc się z samochodu.

Red wzrusza ramionami.

- To znaczy, czy nie pomyślałeś o tym, gdy brałeś nas do jednego zespołu - ciągnie Jez - czy też to jeszcze jeden Metcalfe'owy sposób na tworzenie twórczego napięcia?

Red uśmiecha się nieznacznie.

- Ty przebiegły skurczybyku - mówi Jez.

- Popatrz na to z innej strony. Przynajmniej nie wysłałem cię z nim tej nocy.

Wyobraź sobie, jak miło spędzilibyście czas.

- Jestem pewien, że Kate ci za to podziękuje.

- Kate może o wiele lepiej sobie z nim radzić niż ty, Jez. W każdym razie nie zamierzam cię z nią donikąd posyłać. Pewnie poszlibyście na chatę, żeby pieprzyć się jak króliki.

- Nie na służbie, szefie - mówi Jez, ciągnąc w tym samym stylu. - Nigdy na służbie.

- Tak czy siak, jesteś tu ze mną, czy ci się to podoba, czy nie. Czy zechciałbyś oprowadzić mnie po tym pubie? - Red wystawia łokieć, by Jez wziął go pod ramię. Jez śmieje się.

- Daj spokój. Nie musimy aż tak dobrze wtapiać się w tło.

Wchodzą do pubu. Zapadł już zmierzch, więc w środku Coleherne nie jest ciemniej niż na zewnątrz, ale mimo to potrzebują kilku chwil, by przyzwycząić wzrok.

116

Kilka głów odwraca się, by oszacować ich wzrokiem, gdy stoją w drzwiach. Wiedzą, że nie wyglądają na stałych bywalców ani na takich, co są w potrzebie. A to znaczy, że albo są turystami, którzy niechcący tu wdepnęli, albo gliniarzami. Turyści zaś nie chodzą w garniturach.

Ani Red, ani Jez nie byli tutaj od sprawy Irelanda, jakieś pięć lat temu. W jednej chwili powracają dwa najsilniejsze wspomnienia z ich poprzedniej bytności: wrogość wobec ich statusu policjantów i lubieżne spojrzenia, jakimi są obrzucani.

- Jezu - wzdycha Jez. - Teraz wiem, co czują kobiety.

- Powtarzasz się. Ostatnim razem, gdy tu byliśmy, mówiłeś dokładnie to samo. Kto

jak kto, ale ty akurat powinieneś się tym przejmować, kochasiu. Jesteś super zbudowanym triatlonistą z cudownym ciałem. Ja jestem tłustym rudzielcem pod czterdziestkę. Dziękuj Bogu, że nie przyszedłeś tutaj w tym opiętym ubranku z lycry, w które zwykle się przyoblekasz. Nie wyszedłbyś stąd z nienaruszonym odbytem.

- Czy w takim razie, dziadku, mogę ci postawić drinka?

- Wątpię. Wyglądasz zbyt młodo, żeby stawiać innym. Jez chichocze i pokazuje Redowi środkowy palec. Podchodzą do baru, rozglądając się. Ich oczy metodycznie przeszukują salę, jak zielona linia na monitorze radaru. Pewni siebie, lecz nie agresywni. Tak jakby chcieli powiedzieć: nie szukamy zaczepki, ale jeśli ty szukasz, to nie oddamy pola.

Niechęć jest odczuwalna, nawet mimo tego, że relacje między policją a społecznością gejowską poprawiły się znacząco od czasu sprawy Irlandia. Policja umieściła wtedy najbardziej zatwardziałyhomofobów w zespole śledczym, a potem się dziwiła, że jest krytykowana.

Przy barze jest miejsce tylko dla jednego z nich. Jez podchodzi pierwszy i nieznacznie odpycha mężczyzn stojących po obu jego bokach o kilka stóp, tak że Red może stanąć obok niego.

Barman ubrany jest w dżinsową koszulę z łatami na łokciach i nieco sepleni.

- Cym mogę służyć, panowie?

117

- Chciałbym mówić z właścicielem:- mówi Red.

- A ja nawet nie zdążyłem zrobić nic złego. Jez uśmiecha się. Red nie.

Koszula z łatami podchodzi do drugiego barmana, gawędzącego z parą pijących, i klepie go po ramieniu.

- Jeff, ci dwaj panowie chcieliby zamienić z tobą słowo. Jeff niechętnie zdejmuje swoje masywne przedramiona z baru i odwraca się do nich.

- Słucham panów?

- Jestem detektyw Metcalfe, a to jest detektyw inspektor Clifton. Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- W jakiej sprawie?

Podenerwowany i podejrzliwy. Jez oczyszcza atmosferę.

- Proszę się nie obawiać - mówi. - Nie jesteśmy z obyczajówki i nie zamierzamy nikogo aresztować. Chcielibyśmy, żeby obejrzał pan kilka zdjęć i powiedział nam, czy kogoś rozpoznaje.

- Jeśli nie jesteście z obyczajówki, to skąd?

Red pochyla się do przodu, jego głos jest zimny jak stal.

- Proszę pana, słyszał pan, co powiedział mój kolega. Teraz, jeśli to panu nie sprawi kłopotu, chcielibyśmy, żeby przyjrzał się pan tym fotografiom.

Jeff patrzy na Reda i Jeza, po czym kiwa głową.

Red rozkłada zdjęcia. Jest ich sześć. Dodał na podpuchę trzy fotografie nieżyjących mężczyzn, którzy nie mogli być znani w Coleherne.

Jeff zgarnia swym wielkim łapskim zdjęciami i przypatruje im się przy świetle kasy.

Przesuwa je szybko dwa razy pomiędzy kciukami, miesza je, po czym oddaje Redowi.

- Rozpoznaję tego. - Pokazuje na fotografię, którą umieścił na wierzchu. - Był tu parę razy.

Red patrzy na zdjęcie i sapie z przejęcia. Fotografia, którą wskazał Jeff, przedstawia Jamesa Cunninghama, świętej pamięci biskupa Wandsworth.

118

Rozdział trzydziesty pierwszy.

Są w kuchni w mieszkaniu nad pubem. Red i Jez piją wodę mineralną, podczas gdy Jeff wymachuje butelką piwa Beck's, dla podkreślenia wagi swych słów.

- Ostatni raz widziałem go... och, to musiało być jakieś pół roku temu. Jeszcze zimą, zdecydowanie, ponieważ miał na sobie ten wielki płaszcz.

- Ile razy był tu przedtem? - pyta Red.

- Jeden albo dwa, z tego, co wiem. Oczywiście, mógł być tutaj, gdy miałem wolne noce albo zanim zacząłem tu pracować, około trzech lat temu.

- Więc widział go pan co najwyżej trzy razy w ciągu tych trzech lat?

- Tak.

- Przez ten czas musiały się przez ten pub przewinać tysiące ludzi. Jakim cudem tak dobrze go pan zapamiętał?

Nie powiedzieli Jeffowi nawet tego, jak Cunningham się nazywał, tak samo jak nie zdradzili, czemu robią wywiad na jego temat, a Jeff nie pytał. Miał do czynienia z policjantami wystarczająco często, by wiedzieć, że zadawanie im pytań, na które nie chcą odpowiadać, tylko ich irytuje. I tak powiedzą ci to, co będą chcieli.

- Bo był stary. A w każdym razie starszy niż większość moich klientów. I dlatego, że... zawsze sam przychodził i sam wychodził.

- Czy to takie niezwykle?

- Dosyć. Ludzie przychodzą tutaj albo ze swoimi chłopakami, albo sami i wtedy kogoś podrywają.

- Ale na pewno wielu przychodzi tutaj na podryw i nie ma szczęścia?

- Tak, oczywiście. Rzecz w tym, że ten gość w ogóle nie próbował. Z nikim. Po prostu przychodził tutaj, wypijał kilka drinków, zamieniał kilka słów z tym, kto zagadał do niego, a potem wychodził.

- Proszę nie zapominać - mówi Jez - że nie był dokładnie tym, o kim marzą młodzi chłopcy.

119

Jeff wzrusza ramionami.

- Bo ja wiem? Ludzie tutaj nie przebierają w towarze.

- Czy jest tu dzisiaj ktoś, z kim on rozmawiał?

- - No, teraz to mnie pan zastrzelił. Zaraz, niech pomyślę. - Jeff marszczy brwi. - Nie, nikt, kogo pamiętam. Przypominam sobie jednego, może dwóch ludzi, ale żadnego z nich dziś tutaj nie ma.

Red podaje mu wizytówkę.

- Czy może pan do nas zadzwonić, gdyby się pojawili?

- Jasne.

Jeff idzie po schodach z Redem i Jezem i patrzy, jak wychodzą bocznymi drzwiami. Są już przy vauxhallu, gdy zaczynają mówić.

- I co myślisz? - pyta Red.

- Nieczynni homoseksualiści, wszyscy trzej. Nie mogący się pogodzić ze swoją seksualnością. Może Srebrny Język poluje na takich. Może chciał, żeby myśleli, że jest gejem, a może tylko chciał ich przestraszyć. Nie wiem. Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Ani mnie - przyznaje Red. - Nie dotykał ich. Nie posuwał ich, nie spuszczał się na nich, w ogóle nic. Nie rozbierał ich zupełnie, kiedy miał ich zabić. To tak, jakby... to prawie tak, jakby był tak niepewny siebie jak oni.

Red sięga do kieszeni po kluczyki od wozu.

- Kurwa - mówi Jez.

Red patrzy na niego ponad dachem vauxhalla.

- Co?

- Coś mi przyszło do głowy. Pamiętasz Emmanuela Spiteriego?

- Ostatnią ofiarę Irlandia?

- Tak.

- Co z nim?

- Miał firmę cateringową. Red natychmiast załapuje.

- Tak jak Philip Rhodes.

- Właśnie.

120

Red znajduje kluczyki, obraca jeden w zamku. Centralny zamek zaskakuje z głośnym hałasem.

- To może być przypadek - mówi, siadając za kierownicą.

- Ale nie musi. Może on rozpoczął tam, gdzie Ireland skończył. Spiteri ostatni, Rhodes pierwszy. Płynne przejście.

Red włącza silnik, sprawdza boczne lusterko i wyjeżdża na ulicę.

- Dobry Boże. Ireland numer 2. Właśnie tego nam trzeba.

Rozdział trzydziesty drugi.

- Nie cierpię takich miejsc - mówi Duncan.

- Przecież nawet jeszcze nie weszliśmy do środka - odpowiada Kate.

- Czy to naprawdę konieczne? Popatrz sama. Jakiś syfiasty klub dla pedałów gdzieś na tyłach obskurnej uliczki w Soho.

Duncan odchrząkuje i pluje z obrzydzeniem na ziemię. Kate wyprzedza go i podchodzi do drzwi wiodących do Substation.

- Pospiesz się, Duncan - mówi. - Miejmy to już za sobą. W drzwiach stoją dwie osoby: kobieta o fioletowych włosach

i z kółkiem w nosie oraz bramkarz, którego sięgające do ramion włosy falami opadają na kark. Kate sięga po swoją legitymację, kiedy kobieta o fioletowych włosach mówi:

- Przykro nam, proszę pana, ale nie może pan wejść.

W pierwszej chwili do Kate nie dociera, że słowa skierowane są do Duncana.

- A to czemu, do jasnej cholery? - pyta gniewnym tonem policjant.
- Bo jest pan nieodpowiednio ubrany.
- Przecież mam na sobie garnitur. Co jeszcze mam zrobić...
- Żadnych krawatów, proszę pana - mówi bramkarz.
- Więc jeśli zdejmę krawat, zostanę wpuszczony?
- Tak.

Duncan stuka się palcem w czoło.

121

- Co za kretyństwo.

Bramkarz robi krok w jego stronę. Kate wyciąga legitymację i podstawia ją bramkarzowi pod nos, wchodząc między nich.

- Detektyw inspektor Kate Beauchamp, a to jest detektyw inspektor Duncan Warren. Bramkarz cofa się.

To Kate mówi, zupełnie jakby Duncan i ona to uzgodnili. Prawdopodobnie dalej też tak będzie.

- Długo tu pracujecie?
- Dwa miesiące - odpowiada kobieta.
- Rok - mówi bramkarz.

Kate odwraca się do bramkarza i czyta nazwisko na jego plakietce: Edwin Green.

- I pracował pan tu każdej nocy, panie Green?
- Większość nocy.
- W takim razie, czy mógłby pan rzucić okiem na te zdjęcia i powiedzieć, czy rozpoznaje pan kogoś?

Bierze od niej fotografie. Trzy ofiary i trzy podpuchy.

- A czemu? Co się stało z tymi ludźmi?
- Proszę po prostu się im przyjrzeć.

Green ogląda je szybko, zbyt szybko, po czym potrząsa głową.

- Nie. Nigdy nie widziałem żadnego z nich.
- Będzie pan łaskaw spojrzeć raz jeszcze i tym razem zwrócić na nie trochę pierdolonej uwagi.

Zaskoczony upomnieniem, robi to, co powiedziała Kate. Kiedy potrząsa głową tym razem, dziewczyna wie, że faktycznie nikogo nie rozpoznał.

Green oddaje zdjęcia Kate, a ona podaje je kobiecie.

- Pani również.

Ta sama procedura. Ten sam rezultat.

- Czy możemy rozejrzeć się w środku? - pyta Kate. Green pokazuje w dół schodów.
- Proszę.

Kate i Duncan idą w dół krótkiej klatki schodowej pamiętającej lepsze dni. Muzyka, która do tej pory była stłumioną wibracją pod

122

ich stopami, przybiera na sile, gdy skręcają za róg schodów. Na ścianie nad ich głowami znajduje się ekran telewizyjny i Kate instynktownie spogląda na niego, gdy przechodzi obok, spodziewając się klipów muzycznych albo może obrazu z kamery telewizji przemysłowej.

Ani jedno, ani drugie. To, co widzi, to ostry gejowski pornós.

Dwóch mężczyzn, obaj nadzy, jeden za plecami drugiego. Ten z przodu ma zaciśnięte oczy, sięga do tyłu, przytrzymując partnera za pośladki. Ten z tyłu trzyma genitalia pierwszego w dłoniach, równocześnie zagłębiając członek w jego odbycie. Obaj poruszają się w szalonym rytmie.

- Sam nie wiem - mówi Duncan, podążając za jej wzrokiem. - Z tymi ludźmi naprawdę jest coś nie tak.

Kate nie podejmuje rozmowy.

Klub jest duszny, mroczny i głośny; dźwięki perkusji i syntezatorów przedzierają się poprzez czerwoną duchotę. Twarze tańczących zastygają, zniekształcone przez stroboskopowe światła. Kate i Duncan stają plecami do baru i rozglądają się. W najciemniejszych kątach widać jedynie nie dającą się odróżnić masę. Na skraju parkietu tańczy para w białych podkoszulkach i wojskowych mundurach, wyglądają jak bliźniacy w odwróconym negatywie: jeden czarny z włosami ufarbowanymi na srebrno, drugi biały z czarną jak węgiel czupryną. Klawiatura fortepianu z pomieszanymi klawiszami.

Kate rozgląda się po klubie i nagle uderza ją jedno: nikt z nikim nie rozmawia.

Jakie to przygnębiające. To tak, jakby każdy kładł sam siebie niczym towar na wystawie, czekając, aż ktoś go poderwie i będzie z tym kimś mógł wrócić do domu. I po co? Tymczasowe fizyczne spełnienie, a potem cierpienie, bo telefon milczy i pozostaje strach przed AIDS. Rozwiązłość i pożądanie w podziemiach Londynu, jak we współczesnej Sodomie i Gomorze.

Kate zastanawia się, czy tak samo reagowałaby, gdyby to był klub dla heteroseksualistów. Co budzi jej sprzeciw? Czy to, że oni wszyscy są gejami, czy też to, że czuje się, jakby była na targowisku ciał? Bierze kilku mężczyzn i przypasowuje im damskie twarze, a potem zmienia je z powrotem na męskie i patrzy znowu.

123

To nie ma znaczenia, czy oni są gejami, czy nie - to wciąż jest jednakowo przygnębiające.

Pochyliła się do Duncana i mówi głośno wprost do jego ucha, tak żeby słyszał ją poprzez muzykę.

- Nie rozumiesz, prawda?

- Czego?

- Tego wszystkiego.

- Nie. Zupełnie nie.

- Ja też.

Patrzy na nią zaskoczony.

- Myślałem, że ich lubisz - mówi.

- Kogo?

- Pedziów.

- Nie mam nic przeciwko nim. Nie kręcą mnie, ale nie rozumiem też, czemu ludzie ich nienawidzą. Kiedy powiedziałam, że nie rozumiem, chodziło mi o to, że nie rozumiem, dlaczego ludzie poniżają się tak bardzo, żeby tu przychodzić i uczestniczyć w tego typu przedstawieniach. Nie ma żadnej różnicy, czy byliby heterykami, lesbijkami czy wyłupiastookimi potworami z Marsa. To wciąż byłoby

targowisko ciał.

Duncan odwraca głowę i mówi jej do ucha:

- Spadamy stąd.

- Dlaczego? Nawet nikogo jeszcze o nic nie spytaliśmy.

- Dlatego, że tak powiedziałem. Mam dość. - Kieruje się w stronę wyjścia.

Liberalne przekonania Kate nie są aż tak liberalne, by pozwoliła się tu zostawić, i

Duncan wie o tym równie dobrze jak i ona. Zmusił ją do odkrycia kart i wygrał.

Na schodach jest tłum i Kate musi torować sobie przezeń drogę. Do czasu, gdy udaje jej się dotrzeć do głównych drzwi, Duncan jest już w połowie ulicy. By go dogonić, musi biec.

- Co się z tobą dzieje?

Gdy na nią naskakuje, dziewczyna po raz pierwszy widzi, jaki jest wściekły. Nie z powodu tego wieczoru, z powodu wszystkiego.

- Posłuchaj mnie, Kate. Ta sprawa nie przynosi mi nic poza

124

kłopotami, odkąd zostałem w nią wciągnięty. Straciłem weekend z synem i o całe lata cofnąłem swoje relacje z Helen, jakkolwiek słabe one były. Od samego początku gonimy za cieniem, tak jest i teraz. Wielkie teorie Reda to bzdety i on sam doskonale o tym wie. Szuka igły w stogu siana. Nie ma absolutnie żadnych dowodów na to, że Srebrny Język jest pedałem lub dorywa pedałów. Całe to gadanie o młodzieńczych eksperymentach albo biseksualności niewarte jest funta kłaków. Funta kłaków.

Gdybyśmy mieli choć mały ślad, wyrzucilibyśmy natychmiast całe to gówno. Ale tak długo, jak nie mamy nic, będziemy się kręcić wokół takich dziur w zadku jak ta - pokazuje za siebie na klub - zupełnie bez powodu.

- Ale jeśli to się nie wiąże z tym, to z czym?

- Nie mam pojęcia. Przyjdzie czas, to się dowiemy.

- Czas? Chyba nie sądzisz, że powinniśmy beczynn timer czekać, pozwalając, żeby Srebrny Język dopadł kilka następnych ofiar, zanim zaczniemy go ścigać.

- Nie. Nie to powinniśmy robić. Powinniśmy wyrzucić wszystkie nasze dotychczasowe podejrzenia i zacząć raz jeszcze, od początku. Wiem, że mówię rzeczy niepopularne, ale tak się akurat składa, że mam rację. Jeśli ty, Red i Jez uważacie, że ścigamy jakąś pieprzoną parówkę, to wszystkiego najlepszego.

Niezależnie od tego, gdzie i kim Srebrny Język jest, złałby się w majtki ze śmiechu, gdyby to usłyszał.

Rozdział trzydziesty trzeci.

Jest po drugiej w nocy, gdy Kate wraca do domu. Światła w mieszkaniu są pogaszone. Kiedy wchodzi do sypialni, słyszy oddech śpiącego Davida, głęboki i regularny. Rozbiera się szybko i cicho i kładzie obok niego. David nie porusza się, z czego Kate jest rada.

Dopiero co zamieszkali razem, a ona już zaczyna myśleć, że to był błąd. Kiedy David zasugerował, że mogliby wspólnie zamieszkać, powinna się była z nim rozstać, zamiast się zgadzać. Są razem

od dwóch lat i dla niej nic już nie zostało z ich związku. A jednak zgodziła się, ponieważ tak było najłatwiej. Jez miał rację, kiedy tego wieczora nazwał Davida „nudziarzem”, bo David faktycznie nim się stał. Może zresztą zawsze nim był, tylko Kate tego nie dostrzegła. Z pewnością jednak teraz nim jest. To dlatego właśnie była taka agresywna w stosunku do Jeza - po prostu uderzył w czuły punkt.

Kate Beauchamp, która radzi sobie ze Srebrnym Językiem i wszystkimi jego okropieństwami każdego dnia, nagle okazuje się zbyt słaba, by zakończyć coś, co powinna zakończyć dawno temu. Nie wie nawet, czy David w ogóle zdaje sobie sprawę, że mają problem, nie mówiąc już o tym, czy wie, jak może sobie z nim poradzić.

Ale Kate wie, jak ona może sobie z nim poradzić. Myśli o Jezie.

Pragnie, by to Jez, a nie David, leżał w łóżku obok niej. Jez, z jego ciałem atlety. Pragnie obcałować jego silne ramiona pływaka, a potem przejść do umięśnionego brzucha, po czym sunąć ręką niżej po mięśniach, które wybrzuszają się, kiedy je napina. Pragnie budzić się, zanim on się obudzi, i patrzeć na niego pogrążonego we śnie, z włosami zmierzwionymi od poduszki. Pragnie, by ją rozśmieszał w domu tak, jak to robi w pracy, kiedy flirtuje z nią i daje jej odczuć, jakkolwiek na krótko, że jest - że może być - najważniejszą dla niego osobą na świecie. Chce razem z nim rozwiązać sprawę Srebrnego Języka.

Kate jest zakochana, i to wcale nie w Davidzie.

Dwie noce temu śniła o Jezie, tak żywo i mocno, że jest przekonana, iż David musiał to wyczuć. David zresztą też był w tym śnie, gapił się w telewizor, podczas gdy ona i Jez kochali się w sypialni. Kiedy się obudziła, pobiegła do salonu, żeby się przekonać, czy David tam jest, tak jak był w jej śnie. Nawet gdy już się uspokoiła, z trudem powstrzymała się przed wyznaniem mu wszystkiego podczas śniadania.

W łóżku z Davidem. W łóżku z kłamstwem.

A poza wszystkim innym, wcale nie ma pewności, czy Jez myśli w ten sam sposób. Są dobrymi przyjaciółmi i flirtują jak

wariaci, ale on nie wie - nie może wiedzieć - co ona tak naprawdę do niego czuje. Flirtują, bo mogą, bo ona mieszka ze swoim chłopakiem i dlatego jest „bezpieczna”. Nie ma pojęcia, co Jez robi po pracy, z wyjątkiem tego, że uprawia triathlon. Nie wie, czy ma dziewczynę. Nie wie nawet, czy nie jest gejem. Może został dzisiaj w którymś z klubów dla gejów, żeby zbadać teren na prywatny użytek. Może ona jest „bezpieczna” nie dlatego, że jest z kimś związana, a po prostu dlatego, że jest kobietą.

Kate ma pewność tylko co do jednego - a mianowicie, że przynajmniej pięć dni w tygodniu będzie widywać Jeza, i to łamie jej serce na pół.

Rozdział trzydziesty czwarty.

Red wstał i podszedł do biurka. Wziął z niego wizytówkę Logana i podał ją matce. Patrzyła na nią przez kilka chwil, po czym odłożyła ją na oparcie fotela.

- Przyszedł tu, kiedy byliście u Erica, mamó.
- Szybko.

Red wzruszył ramionami, wracając na miejsce.

- Chyba tak.
- Co mówił?
- Powiedział, że nagroda jest moja. Jeśli tylko chcę. Powiedział, że podziwia moją odwagę, czym doprowadził mnie do łez. Oto, co powiedział.
- Co ty na to?
- Odparłem, że to przemyśle. To było dla mnie zaskoczenie.
- Więc nie spodziewałeś się tego?
- Czego?
- Nagrody.
- Nie, oczywiście, że nie. Zapomniałem, że Logan ją oferował.

127

- Kiedy sobie przypomniałeś?
- Kiedy powiedział mi o niej. Do tej pory nie miałem zielonego pojęcia, dlaczego przyszedł.
- Więc nie pamiętałeś o nagrodzie aż do chwili, gdy ci o niej przypomniał?
- Tak.
- Tak? Naprawdę?

Dopiero teraz Red zdał sobie sprawę, do czego matka zmierza.

- Nie wierzę własnym uszom.
- Pytam tylko dlatego, że Eric.
- Eric? Czyżbyś w ten sposób próbowała mi powiedzieć, że Eric uważa, że wydałem go dla nagrody?
- On... tak, właśnie tak myśli.
- Możesz mu powiedzieć, że przetrączę mu ten jego pierdolony kark, jeśli nawet będzie tylko podejrzewał coś takiego.
- Redfern!
- Zaklinam się na Boga, że pierwszy raz pomyślałem o nagrodzie, gdy Logan o niej wspomniał. Jeśli Eric poważnie myśli, że przez cały czas, kiedy słuchałem jego wyznania, zacierałem w duchu ręce, przewidując, że zgarnę trzydzieści tysięcy, to... To sam nie wiem. Sam nie wiem, za kogo on mnie uważa, skoro w ogóle coś takiego bierze pod uwagę.
- Więc dlaczego w takim razie nie wyrzuciłeś Logana za drzwi?
- Dlatego, że byłem zaskoczony. Nie chciałem podejmować pochopnej decyzji.
- Takiej jak ta z pójściem na policję dziś rano? Uwierzyła Ericowi, Ona naprawdę myślała, że Red wydał go dla pieniędzy.

Red wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je przez nos, żeby powstrzymać się przed rozbiciem czegoś.

- Wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy, mamó. Niezależnie od tego, co o tym myślisz, nie wydałem Erica dla pieniędzy. Nie sądzisz, że gdyby tak było, od razu odebrałbym nagrodę?

- Może właśnie tak zrobiłeś. Może ją odebrałeś, tylko utrzymujesz to przed nami w tajemnicy.
- Czy to oskarżenie?
- Tylko przypuszczenie. Nic więcej.
- Ile razy mam ci powtarzać? Nie wziąłem tych pieniędzy. Pieniądze nie były czynnikiem, który brałem pod uwagę, gdy zastanawiałem się, czy iść na policję. Nawiasem mówiąc, wierzę, że należało to zrobić. Naprawdę nie zrobiłem tego dla nagrody. Poza tym uważam, że nie należało z miejsca odpowiadać definitywnie „tak” lub „nie” Loganowi. Jeśli ty - albo ty, tato - nie zgadzacie się z tym, to trudno. Każde z nas zostanie przy swoim zdaniu.

Matka podniosła brwi.

- Ale chyba odmówisz przyjęcia nagrody, prawda?
- Chyba tak.
- Nie jesteś zdecydowany?
- Nie, nie jestem. Być może moglibyśmy przeznaczyć ją na jakiś szczytny cel.
- Na przykład jaki?
- Jeszcze nie wiem. Nie myślałem z takim wyprzedzeniem. Ale pozwól, mam, że cię o coś zapytam. Dlaczego jesteś tak święcie przekonana, że nie powinienem wziąć tej nagrody? Dlatego, że wciąż myślisz, że wydałem dla niej Erica, czy dlatego, że uważasz, że my - jako jego rodzina - nie powinniśmy brać pieniędzy od kogoś, kto doznał krzywdy na skutek jego działania?

Nie odpowiedziała. Nie musiała. Red wiedział, o czym myśli. Wiedział, że łatwiej widzieć w jednym ze swoich synów zachłannego na forszę skurczysyna, niż pogodzić się z faktem, że drugi jest mordercą.

Niezależnie od tego, co się jeszcze stanie, pomyślał, życie nie będzie już takie samo dla żadnego z nas.

- Co zrobiłbyś z tymi pieniędzmi? - spytała. - Przeznaczyłbyś je na pomoc dla Erica?
- Nie, mam, oczywiście, że nie. Jakbym mógł? Jakbym

128

129

mógł wziąć pieniądze od Logana i użyć ich przeciwko niemu? To tak, jakbym opłacił adwokatów człowieka, który zabił jego córkę. To śmieszne. On nie może finansować Erica w ten sposób. Może? Cisza.

- Może?

Redowi wydawało się to takie oczywiste. Nie mógł pojąć, dlaczego jego rodzice nie myślą tak samo.

Z kim ty trzymasz, Red? Z nami czy z nimi?

To, o czym myśleli, rozświetliło mu mózg. I nagle zrozumiał. To twoja szansa na rehabilitację, Red. Wzięcie pieniędzy od Logana i przeznaczenie ich na najlepszego adwokata, jakiego zdołasz znaleźć. To ty umieściłeś go w więzieniu i ty musisz go stamtąd wydostać. Tylko tak możesz wyciągnąć żądło swojej zdrady. Lecz ty odmawiasz definitywnie. Z kim ty trzymasz, Red? Z nami czy z nimi?

Red zerwał się z fotela, sprawiając, że zakołysał się on do przodu i do tyłu.

- Wypchajcie się. Podszedł do drzwi.
- Dokąd idziesz? - spytała nerwowo matka.

- Na dwór. Muszę się przejść. Dopóki wy dwoje nie nabierzecie rozumu. Trzasnął za sobą drzwiami tak mocno, że opadły znad nich małe obłoczki tynku. Student, który mieszkał piętro niżej, wyszedł na korytarz, by poskarżyć się na hałas, wystarczył mu jednak rzut oka na twarz Reda, gdy szedł on po schodach, żeby zniknął z powrotem w swoim pokoju.

Red nie wziął płaszcza, a na dworze było zimno. Wyszedł z Great Court przez boczną bramę, za którą ciągnęła się Trinity Lane, i skręcił w prawo, w kierunku Backs. Jeżeli będzie szedł wystarczająco szybko, powinien się rozgrzać. Podejrzenia rodziców dokuczały mu jak igły wbite w skórę.

Były jeszcze inne możliwości, które należało rozważyć. Więc nie pamiętałeś o nagrodzie aż do chwili, gdy ci o niej przypomniał? Tak, Red? Naprawdę?

A jednak Red, mając nadzieję, że jakoś się to wszystko ułoży.

130

próbował znaleźć dla nich usprawiedliwienie. Byli w szoku. Nie wiedzieli, jak zareagować na to, co się stało. Przerwaliby, gdyby się tylko słyszeli. Tak, Red? Naprawdę? Jego matka, przekręcająca wszystko, co powiedział o nagrodzie, nie pozwalająca nawet ojcu dojść do słowa.

Nie. To nie tak. Było mnóstwo okazji, żeby ojciec zabrał głos - jak choćby wtedy, gdy Red zarzucił im, że nie wierzą w powód, dla którego poszedł na policję, albo w czasie tej długiej ciszy, jaka zapadła, kiedy powiedział im, że nie przeznaczy pieniędzy Logana na opłacenie adwokatów Erica.

Ale jego ojciec zachował milczenie. Z wyboru nie wypowiedział ani jednego słowa, od kiedy po raz pierwszy została poruszona kwestia nagrody.

I nagle Red uświadomił sobie, dlaczego, i wraz z tym wpadł na pomysł, jak choć trochę posprzątać ten straszliwy bałagan.

Rozdział trzydziesty piąty.

Wtorek, 28 lipca 1998

- Wciąż nie widzę w tym sensu - mówi Duncan. Jez rozkłada ręce.

- Mamy dowody, że wszystkie trzy ofiary przejawiały skłonności homoseksualne. Mamy dowody, że wszyscy trzej byli nieczynni i niepewni swojej seksualności, tak jak, zdaje się, i Srebrny Język. Mamy trzech ludzi, którzy prowadzili podwójne życie, skrywając jakąś część siebie przed światem. Philip Rhodes miał narzeczoną, ale na boku pieprzył się z chłoptasiem, James Cunningham - biskup - chadzał samotnie do baru dla gejów, a James Buxton srał w gatki na samą myśl, że wyrzucą go z armii, jeśli na światło dzienne wyjdą figle, jakim z upodobaniem oddawał się przed laty. Czego jeszcze chcesz?

- Mówiłem to już Kate wczoraj wieczorem, a teraz powtórzę to wam. Myślę, że szczekamy pod niewłaściwym drzewem.

131

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu tak myślę.

- To nie wystarczy.

Duncan pochyla się, pokazując palcem na Jeza i Kate.

- Słuchajcie no. Jestem w policji dłużej niż wy oboje razem wzięci...
- Naprawdę nie widzę związku...
- ...i wiecie równie dobrze jak ja, że wiele spraw zostało rozwiązanych tylko dlatego, że ktoś miał jakieś przeczucie. Przeczucie, to wszystko. Za dużo rzeczy się tu nie zgadza. Nie wiem, jaki związek istnieje między tymi morderstwami, ale wiem jedno: na pewno nie jest to ten związek.

Red, do tej pory milczący, podnosi rękę.

- Dobrze. Do stołu, szybko. Duncan, jeśli to zależałoby od ciebie, co byś zrobił?
- Przyjrzałbym się temu raz jeszcze. Wróciłbym do tego, co już mamy, i sprawdził, czy czegoś nie przegapiliśmy. Przyjrzałbym się temu z punktów widzenia, o których nie pomyśleliśmy, niezależnie od tego, jak głupie będą się nam one wydawać.
- Jez?
- Ogłosiłbym, że seryjny morderca jest na wolności i że jego celem są nieczynni homoseksualiści. Ostrzegłbym organizacje gejowskie przed tym, co się dzieje, i powiedziałbym im, że powinni strzec swoich tyłków.

Duncan zrywa się w przypływie gniewu na równe nogi.

- Jez, czy ty wiesz, jaką...
- Siadaj, Duncan - warczy Red.
- .. .panikę to wzbudzi?
- DUNCAN!

Duncan patrzy na Jeza przez chwilę lub dwie i w odpowiedzi otrzymuje takie samo spojrzenie. Potem podnosi swoje krzesło i odkurza siedzenie, zanim na nim siada.

Red odwraca się do Kate.

- Kate?
- Trzymałabym się drogi, którą idziemy. Może dopuściła-

132
bym kilka odpowiedzialnych gejowskich organizacji i pism do naszego śledztwa, chociaż oczywiście nie mówiłabym im zbyt dużo. Ale jeśli miałabym podać coś do publicznej wiadomości, to nie na tym etapie.

Jez odwraca się, by zaprotestować.

- Daj spokój, Kate. Jeśli wypuścimy kota z worka, to tylko na naszych warunkach. Jak tylko wyjdzie to poza policję, rozejdzie się lotem błyskawicy i nie będziemy w stanie nad tym zapanować. A co będzie sprzecznych ze sobą pogłosek! Jeśli wydamy oświadczenie, przynajmniej jest nadzieja, że będziemy mieli kontrolę nad tym, co zostanie powiedziane i zrobione.

Red potakuje.

- Jez ma rację, Kate - mówi. - Ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to żeby opinia publiczna otrzymywała wiadomości z innego źródła niż nasze. Nie możemy powierzyć tajemnicy kilku ludziom i nakazać im, żeby byli cicho. To się nie uda. Pytanie więc jest proste: wydać oświadczenie czy milczeć?

Jez obstaje przy swoim.

- Wydać oświadczenie. Ostrzec ludzi. Nie trzymać tego w tajemnicy.
- To sprawi, że Srebrny Język zejdzie do podziemia - mówi Duncan. - Stracimy go.
- Nie, nie stracimy. Zabije znowu, a przynajmniej będzie próbował. Jeśli damy

ludziom znać, że znajdują się w niebezpieczeństwie, może będziemy mieli szansę złapać go, zanim uderzy ponownie. Jeśli będzie zachowywał się podejrzanie albo kogoś zaczepi, wtedy może ktoś na niego doniesie i będziemy go mieć. Jak dotąd zabijał każdego, kto go widział. Jedyni ludzie, którzy wiedzą, kim on jest, znajdują się na tych zdjęciach, i wszyscy są teraz sześć stóp pod ziemią. To, czego nam potrzeba, to ktoś, kto widział go i przeżył, więc będzie mógł go opisać. Najlepszym sposobem na realizację tego celu jest ostrzeżenie ludzi. To najlepsze, co możemy zrobić.

- A jeśli się mylimy? - pyta Duncan.

- Co masz na myśli?

133

I

- Niezależnie od tego, jak bardzo chcesz uwierzyć w swoją teorię, Jez, wiesz, że ma ona więcej dziur niż szwajcarski ser. Osobiście uważam, że się mylisz. Ale nie wykluczam, że z czasem udowodnisz, że masz rację. I jeśli będziesz miał dowody, powinieneś podać to do publicznej wiadomości - ale tylko kiedy będziesz miał pewność. Wciąż jednak jest zbyt wiele wątpliwości. A co, jeśli wydamy oświadczenie i okaże się, że jednak się myliłeś? Co jeśli cała ta teoria o geju - seryjnym zabójcy okaże się mrzonką? Nie tylko stracimy wiarygodność, ale jeszcze skierujemy wszystkich w złą stronę i nasz zabójca nie będzie posiadał się ze szczęścia. Jak dla mnie, to ryzyko jest za duże.

Oskarżenie i obrona przedstawiają swoje argumenty. Red występuje w charakterze sędziego. Patrzy na swoje dłonie i myśli o tym, co usłyszał.

Jeśli wydadzą oświadczenie, oczywiście wszelkie szczegóły dotyczące morderstw utrzymają w tajemnicy. Nic o językach, łyżeczkach czy slipkach. Poza ich czworgiem i Lubezskim nikt też nie będzie wiedział, że nazywają zabójcę Srebrnym Językiem. W ten sposób będą mogli odrzucić setki, jeśli nie tysiące, telefonów od nawiedzonych ludzi, którzy będą utrzymywać, że to oni są zabójcami. A będą tego rodzaju telefony. Od pedałożerców, zalanych studentów, frustratów i samotnych - wszyscy oni sięgną po słuchawki telefonów, ledwo tylko oświadczenie ujrzy światło dzienne.

A co, jeśli nie wydadzą oświadczenia i ktoś jeszcze zostanie zabity? Młody mężczyzna, który pewnej nocy będzie sam w domu. Na przykład ktoś taki jak James Buxton. Dzwonek do drzwi. Idzie otworzyć. I następnego dnia znajdują jego ciało, sponiewierane, powieszane, pozbawione głowy albo inaczej okaleczone. Czy ten młody człowiek, wiedząc, że morderca jest na wolności, otworzyłby od razu drzwi? Czy zadzwoniłby na policję i być może został uratowany? Jedno życie stracone i jeden morderca wciąż na wolności, kiedy Red może zapobiec jednemu i drugiemu. Co za odpowiedzialność. Zbyt duża.

Red poprzedniej nocy w Coleherne był pewien, że są na właściwym tropie. Ale Duncan sprawił, że znów zaczął mieć wątpliwości. Duncan mógł sobie być ponurym, starym draniem, ale tkwił w tym interesie dłużej niż ktokolwiek z nich, co było jednym z powodów, dla których Red chciał go mieć w zespole. Red jest człowiekiem pływającym między rekinami, podczas gdy Duncan dostrzega żałosny plankton, który tworzą społeczne wyrzutki. Nie zabierałby głosu bez powodu.

Stoisz na rozstajach i nie wiesz, którą drogę wybrać. Będziesz czekał na widoczną

wskazówkę czy też dokonasz wyboru i skreścisz w jedną stronę, wiedząc, że z każdym krokiem możesz oddalać cię od celu?

Więcej dziur niż w szwajcarskim serze.

Red spogląda w górę. Trzy pary oczu patrzą na niego wyczekująco.

Zna już odpowiedź.

- Trzymamy gęby na kłódki - mówi. - Przynajmniej na razie.

Rozdział trzydziesty szósty.

Gdy pół godziny później Red wrócił do swego pokoju, zastał tylko ojca.

- Gdzie mama? - spytał, chuchając w zaczerwienione z zimna rękę.

- Poszła do hotelu. Powiedziała, że musi się położyć.

- Chyba wszystkim nam by się to przydało.

- Też tak myślę. - Przerwał. - Red... Przykro mi, że się pokłóciliśmy. Nie powinniśmy tak na ciebie nakrzyczeć. Po prostu chcieliśmy...

- ..wyładować się na kimś?

Ojciec wykrzywił twarz w słabym uśmiechu.

134

135

- Tak. Coś w tym stylu.

Red wzruszył ramionami, ale nie powiedział nic, co mogłoby być uznane za oznakę wybaczenia.

- Napijesz się kawy, tato?

- Nie, dziękuję. Właściwie to muszę już lecieć. Chciałem cię jeszcze tylko złapać przed wyjściem.

- Zostań chwilę. Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Tak? A o czym?

- Pozwól, że najpierw zrobię kawę. Na pewno się nie napijesz?

- No dobrze, poddaję się. Niech będzie.

Red przeszedł do małej kuchni na podwyższeniu i wrócił z dwiema filiżankami kawy. Jedną podał ojcu, z drugiej zaczął ostrożnie pić.

- Opowiedz mi o swoich interesach, tato. Ojciec spojrzał na niego zaskoczony.

- Czemu?

- Po prostu opowiedz. Potem wyjaśnię, dlaczego pytam.

- Dobrze. Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Dlaczego masz kłopoty. Jak duże. W ogólnych zarysach wiem, czym się zajmujesz, ale nie w pełni rozumiem mechanizmy, jakie tym rządzą.

- Naprawdę nie uważam, żeby...

- Tato, po tych wszystkich oskarżeniach, którymi ty i mama mnie obrzuciliście, nie znajdujesz się w najlepszej pozycji, by się targować.

Robert podniósł ręce w geście kapitulacji.

- Dobrze, już dobrze. Przez dłuższy czas sprowadzałem krawaty bezpośrednio od producenta z Humberside. Kupowałem je prosto ze źródła, a potem sprzedawałem z

zyskiem detalistom. Tanie krawaty, nic specjalnego, sprzedawane na kopy w domach towarowych. Nadążasz?

- Tak.

- To dobrze. Jakies trzy albo cztery lata temu zaczęliśmy mieć poważne problemy ze związkami. Prawo pracy, strajki, pikiety, wiesz, o co chodzi. Cokolwiek wymienisz, my to mieliśmy. Szczególnie nasiliło się to tej okropnej zimy na przełomie lat 78-79. Pamiętasz? Właśnie ta zima skutecznie wykończyła Callaghana i rząd labourzystów. A także skutecznie wykończyła mnie. Myślałem, że za rządów Thatcher będzie lepiej - i było, tyle że w niewielkim stopniu - ale upadek zaczął się na długo przedtem. Nawet po tym, jak do rządów doszli torysi, produkcja spadała, dostawy były niesolidne, a wszystkie te kłopoty z robotnikami sprawiły, że po prostu nie byłem pewien swoich pieniędzy. W zeszłym roku rozwiązałem umowę z fabryką w Humberside i postanowiłem otworzyć nowy rozdział. Wszedłem w spółkę z zakładami z Włoch, spod Mediolanu. Produkcja na znacznie mniejszą skalę, ale za to z większą klasą: ręcznie robione, jedwabne krawaty, a nie ta poliestrowa szmira, którą rozprowadzałem przedtem. Oczywiście, ceny pomiędzy fabryką a sklepem były o wiele wyższe, więc to, co traciłem w ilości, zyskiwałem w marży, Takie były przynajmniej plany.

- Co poszło nie tak?

- Nie ma aż tak dużego popytu na drogie krawaty, jak myślałem. Droga do sprzedawców, którzy docierają do ludzi bogatych, jest - że tak powiem - zaciśnięta jak węzeł krawata i wszystko wskazuje na to, że nie ma dla mnie miejsca na rynku. Może po prostu szukałem w złych miejscach albo w ogóle nie nadaję się do tej gry.

- Innymi słowy, zadłużyłeś się w banku?

- Tak.

- Ile jesteś winien?

- Było tego dużo. Większość spłaciłem dzięki sprzedaniu drugiego samochodu, zastawieniu domu i upłynnieniu akcji, ale wciąż jestem sporo winien.

- Ile, tato?

Robert nie chciał odpowiedzieć. Red milczał, zmuszając ojca do mówienia.

W końcu ojciec ustąpił.

136

137

- Dwadzieścia dwa tysiące.

- Ile czasu bank dał ci na znalezienie tej sumy?

- Kilka dni. Czekają do następnego tygodnia. Nie dłużej. - Robert potrząsnął głową. - Myślę, że ich cierpliwość już się wyczerpała.

- Czy masz jakiś pomysł, jak zdobyć te pieniądze? Słyszałem, jak mówiłeś przez telefon tego ranka o paru pomysłach, które masz w głowie.

- Ach, o tych. - Robert głośno przetyka. - Czcza gadanina. Jestem wyprany z pomysłów.

- Więc nie wiesz, skąd wziąć te pieniądze?

- Nie. Raczej nie.

- „Raczej nie” czy „nie”?

- Jezu Chryste, Red. Nie. Zdecydowanie nie.

- I co się stanie?
- Dostanę syndyka i ogłoszę bankructwo.
- Więc trzydzieści tysięcy Richarda Logana może okazać się całkiem przydatne? Red powiedział to od niechcenia, bez zmiany wysokości lub tonu głosu, i chwila lub dwie minęły, zanim jego ojciec zareagował.
- Redfern! Nigdy w życiu nie mógłbym wziąć tych pieniędzy. To nie do pomyślenia.
- Dlaczego?
- Te pieniądze są splamione krwią. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.
- Och, tak. Ja sobie zdaję. Ale wątpię, czy twoi bankierzy również.
- Nie. Wolę ogłosić upadłość, niż przeznaczyć tę nagrodę do uratowania moich interesów. Nie zrobię tego.
- Daj spokój, tato. Nie mów, że nawet przez chwilę o tym nie myślałeś.
- Oczywiście, że nie.
- Nie wmówisz mi, że nie myślałeś o tym pół godziny temu, kiedy mama na mnie naskoczyła.

138

- Nie. Zdecydowanie nie. Jak w ogóle możesz coś takiego sugerować?
 - Ponieważ nie powiedziałeś ani słowa podczas całej tej kłótni. Byłeś taki zapalczywy, upominając mnie za to, że poszedłem na policję, a potem wyszła sprawa nagrody i nagle zacząłeś być cicho jak myszka. Wiem, że o tym myślałeś. To było widać na twojej twarzy,
 - Więc dlaczego nie powiedziałeś tego wtedy?
 - Dlatego, że byłem tak rozwścieczony atakiem mamy, że w pierwszej chwili to do mnie nie dotarło. Uświadomiłem to sobie dopiero potem, analizując tę sytuację w połowie drogi do Backs. A zresztą nawet gdybym wiedział już wtedy, nie poruszyłbym tej kwestii przy mamie. Słyszałeś, co powiedziała o wzięciu przeze mnie nagrody. Znowu by mnie opieprzyła,
- Robert uśmiechnął się nieznacznie.
- Ja bym tak tego nie nazwał, ale faktycznie, pewnie właśnie to by zrobiła.
 - Właśnie dlatego chciałem porozmawiać z tobą na osobności.
 - To ma sens, ale wciąż jest... niemoralne.
 - Dlaczego? Możemy przynajmniej uzyskać coś dobrego z całego tego bałaganu. Nie ma powodu, dla którego ty albo mama - czy nawet ja - mielibyśmy cierpieć dlatego, że Eric zrobił to, co zrobił. To nie nasza wina. Powinieneś wziąć pieniądze i odegnąć wilki spod drzwi.
 - Co pomyśli sobie Logan?
 - Logan? Ten człowiek jest multimilionerem. Prawdopodobnie będzie cię podziwiał za podjęcie inicjatywy. Boże, tato, on może nawet cię zatrudnić.
 - Nie żartuj, Red.
 - Przepraszam. Ale co cię obchodzi, co Logan sobie pomyśli? Kiedy zaoferował te pieniądze, prawdopodobnie liczył się z tym, że je straci. Dla niego nie ma żadnego znaczenia, kto te pieniądze zgarnie, skoro dzięki nim jego córka będzie pomszczona. Dla niego te pieniądze mogłyby powędrować na-

139

wet do ajatollaha Chomeiniego. Więc co to ma za znaczenie, że jesteśmy rodziną

Erica?

- Nasz syn - a twój brat - zabił jego córkę. To ma znaczenie.
 - Nie, nie ma. Miałoby to znaczenie tylko wówczas, gdybyśmy przeznaczili te pieniądze na pomoc dla Erica. Ale nie przeznaczymy ich na to. Naprawdę, nie możesz oczekiwać, że Logan zgodzi się przeznaczyć nagrodę na pomoc dla człowieka, który zamordował mu dziecko.
 - Za to ty możesz oczekiwać, że uratuje interesy ojca człowieka, który zamordował mu dziecko?
 - Tak. A dlaczegóż by nie? Robert westchnął.
 - Nie podoba mi się to wszystko.
 - Wiem. Mnie również. Ale to najlepsze, co można zrobić w tej sytuacji.
 - Co na to powie twoja matka?
 - A co powie, gdy ogłosisz upadłość, tato? Co powie twój bank, gdy dowie się, że mogłeś mieć pieniądze na spłatę długu, ale nie skorzystałeś z okazji?
 - Nie zasłużyliśmy na te pieniądze, synu.
 - A Charlotte nie zasłużyła na to, żeby zostać zamordowana. Ten czyn zrujnował życie wystarczającej liczbie osób. Możemy coś z tego uratować.
- Red jeszcze raz postanowił odegrać ojca w stosunku do swojego ojca.
- Weź te pieniądze, tato. To, że ci się to nie podoba, nie znaczy jeszcze, że jest to coś złego.

Robert zmierzwił palcami włosy, a potem przyklepał je wnętrzem dłoni.

- Dobrze. Zrób to. Zadzwoń do Logana i powiedz mu, że bierzemy jego nagrodę.

140

Rozdział trzydziesty siódmy.

Piątek, 7 sierpnia 1998.

Kate toruje sobie zreżniętą drogę pomiędzy białymi kołnierzykami przy barze, siada na krześle naprzeciwko Reda i stawia drinki na stoliku. Duży lager dla niego, wódka z tonikiem dla niej. Barmanka zabiera z ich stolika popielniczkę i opróżnia ją do plastikowego worka.

Odkąd większość klientów wyniosła się na chodnik przed lokalem, Kate i Red mają prawie cały pub dla siebie. Siedzą przy stoliku najbardziej oddalonym od drzwi, tak że widzą wszystkich wchodzących. Pod nogami mają ciemnoczerwoną wykładzinę, a nad stolikami unosi się chmura papierosowego dymu.

Red przeciera oczy.

- Wiem, jak się czujesz - mówi Kate. Patrzy na nią.
- Cholernie gówniany tydzień, co?
- Mów mi jeszcze.

Przechyla kufel, już trzeci tego wieczora, i czuje, jak alkohol wsącza się w jego zmęczone mięśnie. Niczego tak nie pragnie, jak urznąć się do nieprzytomności. Cztery lub pięć kufli przed urwaniem się filmu, tak żeby do czasu zamknięcia pubu jego mózg pływał swobodnie w czaszce, a język wysychał szybciej niż pustynia. Upije się z Kate, jeśli będzie miała ochotę, lub sam ze sobą, jeśli będzie musiał;

siądzie przy barze, patrząc przed siebie, podczas gdy etanol będzie zabijać gorycz porażki.

Pieprzyć jutrzejszego kaca. Musi się urżnąć.

Nie są bliżej znalezienia Srebrnego Języka niż trzy miesiące temu, gdy zaczęły się zabójstwa. Red pracuje po szesnaście godzin dziennie, zaczyna o ósmej rano, a kończy grubo po północy, sześć lub siedem dni w tygodniu, w nadziei, że wyteżona praca w jakiś sposób przyniesie oczekiwane rezultaty. To głupota i w głębi duszy wie o tym. Wie, że lepiej by było robić coś zupełnie odwrotnego. Powinien zaszyć się w jakimś miejscu

141

I

odległym i dzikim, na przykład na wschodnim wybrzeżu Szkocji, i czekać na świeże powietrze, które przyniesie mu odpowiedź.

Nie wystarczy, że ciężko pracujesz. Muszą to jeszcze zauważyć. A wyjazd do Szkocji może wyglądać na chęć wymigania się od obowiązków. Tak więc Red zostanie w brudzie i smogu miasta i każdego dnia będzie przepuszczał siebie samego przez ten sam wyniszczający cykl adrenaliny i zmęczenia. Poranki, które może przetrwać tylko dzięki kofeinie. Czasami, późnym popołudniem, kiedy następna kawa grozi ciężką chorobą, znajduje pusty pokój i pada na podłogę na pół godziny, balansując między czuwaniem i snem w tym narkotycznym stanie, w którym pomiędzy tobą i rzeczywistością pojawia się nieprzezroczysta, rozrzedzona mgiełka. A wieczorami, gdy ludzie wracają do domu z pracy, a potem wychodzą znowu, by się zabawić, Red dalej pracuje.

I dokąd go to doprowadziło? Donikąd. Zupełnie donikąd. Wory pod jego oczami są jak torby kangurów, a skóra sprawia wrażenie, jakby miała odpaść z twarzy ze zmęczenia.

- Wyglądasz na zarżniętego.

- I tak samo się czuję.

- Nie, poważnie, Red, powinieneś zrobić sobie wolne. Popatrz na siebie. Widziałam trupy, które były w lepszej formie.

Pokazuje jej język.

- Lepsza taka niż żadna.

- Nie żartuj sobie z tego.

- Przepraszam. Masz rację, że jestem zarżnięty. Dzięki za troskę.

- Chociaż nic sobie z tego nie robisz, bo jesteś upartym gnojkiem.

Wypuszcza głośno powietrze.

- Spójrz na to z innej strony. Nic sobie z tego nie robię, bo pragnę złapać tego skurwiela bardziej niż czegokolwiek innego na całym bożym świecie. W tej chwili może być tuż pod moim nosem, a ja nawet o tym nie wiem.

Jego brzuch wydał się od piwa. Powinien był coś zjeść, zanim tu przyszedł, ale ma tego wieczora iść z Susan na przyjęcie. Skoro i tak pokaże się tam pijany, przynajmniej będzie miał apetyt. Red czuje piwo w swoim oddechu, gdy mówi.

- Do tej pory, Kate, miałem kontrolę nad wszystkimi sprawami, nad którymi pracowałem. Nad wszystkimi, z wyjątkiem tej jednej. Jakkolwiek przerażające były

inne zabójstwa, zawsze wiedziałem, że koniec końców złapiemy sprawcę. To jak zabawa w chowanego, z tym że szukamy go dłużej, niż on się może chować. Nie ma nieskończonej liczby kryjówek. Nieważne, jak anonimowy lub niewidzialny jest we własnym odczuciu, wciąż musi oddychać, jeść, pić i spać. Wciąż musi utrzymywać się przy życiu. I przez cały czas robi rzeczy, które zwiększają szansę, że zostanie złapany. Więc my, policja, wiemy, że go znajdziemy, i dlatego inicjatywa należy do nas. Wygramy. Problem tylko w tym, gdzie i kiedy wygramy.

- I w tym, ilu jeszcze ludzi zdoła zabić, zanim wygramy.

- Tak, w pewnym stopniu. Musisz pogodzić się z tym, że to nieuniknione, że zanim go złapiesz, może kogoś sprzątnąć. Ale wiążą się z tym jeszcze dwie rzeczy.

Pierwsza: im więcej ludzi zabije, tym bardziej prawdopodobne jest, że popełni jakiś błąd, zostawi ślad albo dowód, cokolwiek. Musi popełnić błąd. Popatrz na przypadek Colina Irelanda. Zabił pięć osób i popełnił jeden błąd. Wiesz, co to było?

- Oczywiście. Czytałam akta śledztwa. Odcisk kciuka na kracie okiennej w Dalston. Podszedł sprawdzić, co jest przyczyną hałasu na ulicy, i zostawił odcisk kciuka.

- Właśnie. Nawet nie cały odcisk, tylko część. Malutki błąd, ale to wystarczyło.

- Co jest tą drugą rzeczą?

- To, że niezależnie od tego, ilu ludzi zabił, zawsze będzie zabijał więcej, aż do momentu, gdy go złapiemy. Seryjni mordercy nie przestają zabijać z własnej woli.

- Dobra. Wiem, o czym mówisz.

- Ale ten, Srebrny Język... Nie mam zielonego pojęcia, co zrobi następnym razem. W ogóle nic o nim nie wiem. Nie zostawił najmniejszego śladu. Żadnego. Popełnił dwa morderstwa jednego

142

143

dnia, a potem zszedł do podziemia na prawie trzy miesiące. Wiemy, że jest na tyle silny, żeby zatłuc Jamesa Cunninghama na śmierć. Ale nie wiemy, czy to jest siła wielkiego, grubego faceta czy małego, silnego człowieczka. Nie mamy pojęcia, jak wygląda. Wszystkie osoby, o których wiemy, że go widziały lub z nim rozmawiały, nie żyją.

A jeszcze żeby wiedzieć, co on myśli... Kate, to było coś, w czym, jak sądziłem, byłem naprawdę dobry. Przeniknąć do ich umysłów. Poczucie to, co oni czuli. Nawet ci najprawdziwsi psychole. Rozmawiałem z Sutcliffem, rozmawiałem z Nielsenem, rozmawiałem z Rosą West, wiem, co myśleli - w każdym razie na tyle, na ile znali samych siebie. Wiem, co jest motorem ich działania. Mój brat odsiaduje dożywocie, do kurwy nędzy. Nie istnieje nic, co mogłoby sprawić, że się zatrzymam i pomyślę: „Kurczę, to jest dla mnie zbyt popierdolone”. Jakkolwiek zwyrodniałe lub zboczone by to było, jest dla mnie wciąż zrozumiałe. Ale jeśli chodzi o Srebrnego Języka... Wciąż nie mam pojęcia, co może myśleć. Za każdym razem, gdy wychodzimy z jakąś teorią, pojawia się sto jeden powodów, które sprawiają, że bierze ona w łeb. Nigdy dotąd tego nie miałem. Nigdy.

- Red, potrzebujesz...

- Nie, słuchaj mnie, Kate. - Język mu się już trochę płacze i to „słuchaj” brzmi jak „szłuchaj”.

- Dobrze. Słucham.

- Wiesz, jakie to uczucie? Jesteś w czymś dobra, twoje nazwisko jest z jakiegoś powodu znane, tak? W moim przypadku ten powód to tropienie morderców. To z tego jestem znany. To dlatego jestem sławny, to dlatego piszą o mnie w gazetach i dlatego ludzie z telewizji dzwoniли dziś, ponieważ chcą zrobić o mnie film dokumentalny. „Oto Red Metcalfe. Człowiek, który wnika do wnętrza głów morderców i wyciąga z nich, co chce”. To właśnie mój dar. Nadażasz?

- Jak dotąd tak.

- Więc wyobraź sobie, że pewnego dnia przychodzi ktoś i pozbawia cię tego daru. Podchodzi do ciebie i wyciąga go

144

z twojej głowy, ot, tak sobie. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, że już go nie masz. On kradnie ci w jednej chwili wszystko, w czym byłeś dobra. Nieważne, jak dobra jesteś, czy też raczej byłeś, on jest lepszy. To on rozdaje karty. Ja patrzę na lewo, on jest po prawej. Ja patrzę na prawo, on jest po lewej. Ktoś kiedyś powiedział, że George Best* był taki sprytny, że przyprawiał swoich przeciwników o zimny pot.

* George Best - słynny w latach sześćdziesiątych piłkarz irlandzki.

Tak właśnie czuję się teraz. Zalewa mnie zimny pot z powodu uciekających cieni. Czy wiesz, jak to boli?

- Red, znajdziemy go. Przysięgam, że go znajdziemy.

- Tylko wtedy, gdy nam na to pozwoli. On nie jest taki jak inni, ten Srebrny Język. Jest od nas lepszy. Rozumiesz? To nie będzie nasz wybór. Jeśli zechce, żebyśmy się dowiedzieli, kim jest lub gdzie jest, jeśli zechce przestać, wtedy przyjdzie. Tyle że on tego nie robi. Nie przestanie.

- Daj spokój, Red. To dopiero trzy miesiące. Dobrze wiesz, że większość tego rodzaju spraw ciągnie się o wiele dłużej, zanim złapie się sprawcę.

- Tak, ale przez te trzy miesiące nie znaleźliśmy nic. Po trzech miesiącach ma się już zwykle jakiś pomysł. A my nie mamy. Nie mamy nawet jednego pieprzonego pomysłu.

- Red, nie wolno ci się tym tak przejmować.

- Ale ja się przejmuję. O to właśnie chodzi. Nie mogę iść do domu i zapomnieć o wszystkim. To jest ze mną cały czas. Kiedy idę w nocy do łóżka, on już tam jest. Kiedy budzę się rano, również jest. I oczywiście przez cały boży dzień. Więc to moja osobista porażka...

- Nie powinieneś rozpatrywać tego w kategoriach porażki...

- ...i to nie tylko moja porażka jako detektywa. To moja osobista porażka, moja, Redferna Metcalfe'a.

- Red, zaczynasz gadać głupoty.

- Nieprawda. Pozwól, że ci coś powiem. Mój najlepszy

145

przyjaciel ze studiów na egzaminach końcowych uzyskał najniższą pozytywną ocenę. Pracował naprawdę ciężko, łebski był z niego facet. Był nastawiony na to, że dostanie piątkę, a dostał tróję. Dostał drugą od końca ocenę na swoim roku. Dla mnie wciąż był tym samym facetem. Spierdolił egzaminy? I co z tego? To nie czyniło z niego mniej wartościowej osoby. Poszliśmy do pubu i starałem się go pocieszyć, a wtedy on odwrócił się do mnie i powiedział: „Nie rozumiesz”. „Czego nie

rozumiem?", spytałem. „Nie rozumiesz, że to chodzi o mnie osobiście", powiedział. „To nie chodzi o mój umysł ani o moje wyobrażenie o sobie jako inteligentnym facecie. To nie chodzi o kilka niemiarodajnych egzaminów. To dotyka czegoś głębiej. Zaczęłem wątpić w swoją wartość jako człowieka. Harowałem ze wszystkich sił, a wypadłem naprawdę kiepsko. To wada charakteru". I tak właśnie ja się teraz czuję, Kate.

Kate wpatruje się w swoją wódkę z tonikiem. Nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

- Mój kumpel wyznaczył sobie cel i nie sprostał mu. Łatwo jest przegrać i powiedzieć potem, że to nieważne, bo pracowało się na pół gwizdka. O wiele trudniej przegrać i mieć odwagę przyznać, że dało się z siebie wszystko. Staram się teraz, jak mogę, a efekty tego są żadne. - Red spogląda na zegarek. - O cholera. Spóźnię się. - Jednym łykiem kończy piwo i podnosi się. - Kate, muszę lecieć. Dzięki za piwo. I za wysłuchanie mojej przemowy. Co planujecie z Davidem na ten weekend?
- David cały weekend zamierza grać w krykieta. Ja jadę do koleżanki do Windsoru.
- Przyjdiesz zobaczyć Jeza w niedzielę?
- Zobaczyć go? A gdzie? - pyta od niechcienia, jakby nie wiedziała. Akurat.
- W triathlonie. Zawody odbywają się akurat w Windsorze.
- Ach, to. Jak dla mnie, to zaczynają się zdecydowanie za wcześnie. Niewykluczone, że pójde w twoje ślady i zaleję się w trupa.
- Nieźle kombinujesz.

146

Red podnosi swoją aktówkę.

- A tak przy okazji, czy ciebie i Jeza coś łączy? Kate udaje zaskoczenie.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- No, wiesz. Chodzą plotki, że... A poza tym wygląda na to, że się lubicie.
- Faktycznie, lubię go. To miły facet.
- Nie to miałem na myśli. Kate wybucha śmiechem.
- Jestem związana.
- A ja jestem Rockefellerem. Jedyna rzecz, jaka cię może związać, to łańcuch u nogi, moja droga.

Kate kończy drinka i przewiesza torebkę przez ramię.

- Red, spóźnisz się. Dokąd jedziesz?
- Do Fulham. A ty?
- Niestety, w przeciwną stronę. Wracam do Docklands. Dopiero później, kiedy jego taksówka jest w połowie King's Road, Red uświadamia sobie, że Kate nie udzieliła mu jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o Jeza.

Rozdział trzydziesty ósmy.

- Co się z tobą dzieje, Red?

Światła na skrzyżowaniu zmieniają się z zielonych na pomarańczowe, a potem na czerwone, zanim Susan naciska na gaz. Przejeżdża skrzyżowanie i wyprzedza samochód, ledwo dotykając kierownicy. Jest wściekła. Jeździ tak szybko tylko wtedy,

gdy jest wściekła.

- Pytałam, co się z tobą dzieje?

Nowozelandzki akcent, jeszcze jedna cecha, która świadczy o jej gniewie. Żadnej szansy na rozsądną rozmowę. Ona wściekła, on pijany. Skończy się na tym, że zaczną na siebie wrzeszczeć. Red nie chce tego. Próbuje załagodzić sytuację.

147

- Po prostu miałem ciężki tydzień, nic więcej.

- Ty miałeś ciężki tydzień? - Sarkazm w jej głosie jest wyraźny. - I to daje ci prawo, żeby się zjawić na przyjęciu pijany jak bela i zacząć się kłócić z kimś, kogo pierwszy raz na oczy widzisz?

To właśnie cała Susan. Bardziej przejmuje się uczuciami całkowicie obcych ludzi niż bliskim załamania mężem. Nadciąga burza. Red po raz ostatni stara się ją zażegnać.

- Susan, przepraszam. Ta sprawa pochłonęła mnie bez reszty.

Szybkie zwężenie oczu, gdy posyła mu pełne wściekłości spojrzenie.

- Powiem ci coś. Wracasz do domu po północy, wychodzisz przed śniadaniem, nie mówiąc mi ani słowa, nie dzwoniąc, że wrócisz później, nie zadając sobie trudu, by poświęcić mi choćby jeden wieczór - Red zauważa, że powiedziała „mi”, nie „nam” - i myśląc, kurwa, tylko o sobie. Jezu, Red, podobno jesteśmy małżeństwem.

- Przykro mi, Susan.

- Nawet kiedy jesteś w domu, to tak jakby cię nie było - myślami jesteś mile stąd. I tak dobrze, że nie ma żadnych tajemniczych telefonów. Inaczej myślałabym, że masz romans.

To ostatecznie sprawia, że Red traci panowanie nad sobą.

- Na miłość boską, Susan! Naprawdę chcesz wiedzieć, co robię? Chcesz wiedzieć, co Srebrny Język robi ofiarom? Chcesz pojechać do Yardu i zobaczyć zdjęcia trupów? Chcesz? To najbardziej popierdolona sprawa, jaką w życiu prowadziłem, a wszystko, na co potrafisz się zdobyć, to zrzędenie, bo wkurzyłem jakiegoś żalosnego księgowego. Gdybyś miała oczy i uszy na swoim miejscu, może zrozumiałabyś, przez co przechodzę.

Krzyczą teraz oboje, głosy odbijają się od ścian samochodu i wędrują wokół ich głów.

- Więc to wszystko moja wina, tak? Red, przecież ty nic mi nie powiedziałeś o tej sprawie. Nigdy mi o niczym nie mówisz. I masz jeszcze czelność odwracać kota ogonem i oskarżać mnie

148

o to, że cię nie słucham. Jeśli chciałbyś mi coś powiedzieć, to bym cię wysłuchała. Nie pytałam, bo wydawało mi się, że nie chcesz mówić.

Red opanowuje gniew i próbuje być rozsądny.

- Susan, nie proszę cię, żebyś była moim doradcą. Proszę cię tylko o to, żebyś dała mi trochę luzu, dopóki się to wszystko nie skończy.

- Skończy? A kiedy to nastąpi, jeśli wolno spytać?

- Nie mam pojęcia.

- Za tydzień? Miesiąc? Czy za rok?

- Mówiłem już, że nie wiem.

- Więc zamierzasz spędzić całe życie na tropieniu go? Czy chcesz przez to

powiedzieć, że w całej policji nie ma nikogo, kto mógłby cię od czasu do czasu zastąpić? A może ten morderca będzie na wolności, dopóki nasz superdetektyw go nie przyskrzyni?

- Susan, proszę. Nie kpj z mnie. Nie kpj z tego, co robię.

- Red, jesteśmy małżeństwem.

- Wiem.

- Cóż, mam nadzieję, że ten psychol jest wdzięczny, że myślisz o nim tysiąc razy częściej niż o własnej żonie.

Odwołuje się do jego lojalności. Zupełnie tak jak kiedyś Eric.

- Nieprawda.

- Owszem, prawda. Nie bądź taki pewien, że jestem z tobą na zawsze.

Nie odpowiada, bo wie, że faktycznie był tego pewien. Nie jest w stanie przedstawić jej swego punktu widzenia, nie dzisiaj.

W milczeniu patrzy na latarnie uliczne znikające za oknem samochodu.

Na Shepherd's Bush Susan wjeżdża wiaduktem na drogę A40, kosząc zakręty, gdy jedzie przez pustkowia wielkowiejskiej depresji. Szare, wysokie bloki z rozświetlonymi oknami, jak plasterki cytryny, kryjące w sobie setki gównianych istnień. Ludzie wypełniają je szczelnie jak mrówki, żyjąc w beczce z prochem i krzesząc iskry.

Red jest pijany i w myśli rozmawia ze Srebrnym Językiem.

149

Wiesz jedno z tych gównianych żyć, przyjacielu? Może nawet stoisz teraz w oknie, obserwując ruch uliczny? Czyżbyśmy byli dwoma przeciwnikami przyglądającymi się sobie nawzajem i nieświadomymi swojej tożsamości?

Susan przecina trzy pasy ruchu, by skręcić do Paddington.

Czy ty w ogóle wiesz, kim jestem, Srebrny Języku? Bo ja jestem kurewsko pewien, że nie wiem, kim jesteś ty.

Do domu wchodzi w milczeniu. Red sprawdza wiadomości na sekretarce i przełącza kanały w telewizorze. W końcu ustala, że nie ma nic wartego oglądania. Susan leży w łóżku, a światło jest zgaszone.

Red zasypia prawie natychmiast i budzi się jeszcze przed świtem. Alkohol i niepokój przywracają go do życia, dorwał go też kac. Patrzy na plecy Susan i zastanawia się, czy przepaść pomiędzy nimi była kiedykolwiek tak wielka jak teraz.

Rozdział trzydziesty dziewiąty.

Piątek, 9 kwietnia 1982.

Red stawił się przy głównej bramie więzienia Highpoint. Napięcie skręcało mu jelita.

- Nazywam się Redfern Metcalfe. Przyszedłem zobaczyć się z bratem - powiedział do interkomu umieszczonego w ścianie po prawej stronie.

Interkom zabuczał i w ogromnej, szarej bramie otworzyły się malutkie drzwiczki.

Red wszedł do środka i stanął oko w oko z dwoma strażnikami.

- Proszę pójść z nami, sir.

Poprowadzili go przez trzydziestojardowy trawnik do dyżurki. Ich twarze były porwane zmarszczkami ze stresu i z niewyspania. Red zastanawiał się, czy można poznać, ile lat strażnik jest na służbie tylko po samych zmarszczkach, tak jak można odczytać wiek drzewa ze słojów na jego pniu.

Podpisał się w dyżurce, przeszedł przez bramkę z wykrywaczem metalu i trzymał ręce rozłożone na boki, gdy go przeszukiwano. Kolejny strażnik poprowadził go korytarzem. Przechodzili przez metalowe bramy, które ciągnęły się od podłogi do sufitu. Za każdym razem, gdy przeszli przez bramę, strażnik sprawdzał, czy zamknęła się za nimi. Po drodze poinstruował:

- Proszę nie próbować podawać bratu czegokolwiek podczas widzenia. Przez cały czas w sali będzie z wami dwóch strażników. Będą tam dla pana bezpieczeństwa i pod żadnym pozorem nie wolno im się oddalić. Ma pan najwyżej pół godziny. Kiedy każą panu wyjść, musi pan zrobić to bezzwłocznie. Jasne?

Red skinął głową. Bolał go kark.

Strażnik wprowadził go do małej, surowej salki. Stół, krzesła, szare ściany. Zupełnie jakby widział posterunek przy Parkside, gdzie zdradził swego brata, którego przyszedł teraz odwiedzić.

- Będą tu za kilka minut - powiedział strażnik, po czym opuścił salę.

Red usiadł na krześle stojącym najdalej od drzwi, tak że mógł widzieć, kto wejdzie. Przyłożył dłoń do karku i zaczął go masować.

Sześć tygodni zajęło przekonanie Erica, żeby się zgodził na wizytę Reda, sześć tygodni, podczas których rodzice dosłownie błagali go, by pozwolił Redowi na odwiedzin. W końcu, gdy Eric się zgodził, Red nie był już nawet pewien, czy chce się z nim spotkać. Był na tyle arogancki, że wierzył, iż uda mu się przekonać Erica do swojego punktu widzenia. Teraz jednak, gdy przyszło co do czego, arogancja przeszła w lęk na myśl o tym, że znów zobaczy swojego brata.

Po pierwsze, dlaczego Eric się zgodził? Pewnie po to, by uciszyć mamę i tatę.

Zgodził się na jedno widzenie i zrobił to tak opryskliwie, że już nigdy go o to nie poproszą.

Proszę cię. Boże, niech wszystko pójdzie dobrze.

Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich jego brat.

I już było jasne, że nic nie pójdzie dobrze. Zupełnie nic.

150

151

W oczach Erica widać było czystą, ślełą nienawiść. Wyrwał się strażnikom i pobiegł szybko przez salę, jego sztywne jak szpony ręce dopadły Reda, by wyrwać mu duszę, a jego usta przeciągle krzyczały, zniekształcone i szeroko otwarte.

- PRZETRAĆĘ CI TEN TWÓJ PIERDOLONY KARK.

Ruch zamazał się wzdłuż i wszerz. Red spadł z krzesła i poczuł ostry ból w kolanach od upadku na podłogę. Krzesło zakołysało się na dwóch nogach, a potem straciło równowagę, potracone przez atakującego Erica. Strażnicy skoczyli na Erica, jeden z nich wykręcił mu do tyłu rękę w półnelsonie, podczas gdy drugi usiadł na jego nogach.

Red podniósł się, szorując o ścianę, a Eric krzyczał do niego z wściekłością:

- Ty pizdo pierdolona wzięłeś pieniądze wzięłeś pieniądze Logana ty pierdolony

Judaszu ufałem ci powiedziałem ci wszystko bo ci ufałem i z tym skończyłem a ty kurwa poszedłeś na policję dla pieniędzy mój pierdolony bracie pierdolony kutwo zniszczyłeś rodzinę głupi samolubny gnojku mama i tata przyszli do mnie i tak jakby mnie nie znali byłem dla nich jak obcy jak jakiś potwór to ich zabije a kiedy to się stanie to będzie twoja wina nie moja ty pierdolony onanisto...

Strażnik siedzący na nogach Erica odwrócił się do Reda.

- Wyjdź stąd, Natychmiast. Zadzwoń do pierwszej bramy i niech cię stąd zabierają.

- Ale...

- Jazda.

Red podszedł do drzwi.

Chciał wyjść, nie oglądając się, ale nie mógł. Rzucił jedno szybkie spojrzenie ponad ramieniem, by utrwalić sobie obraz Erica, ponieważ czuł, że prawdopodobnie widzi go po raz ostatni.

Twarz Erica była czerwona z gniewu i od ciężaru przygniatających go mężczyzn. Na lewej skroni wyszła mu żyła, a z kącika ust spływała na podłogę strużka pienistej śliny.

Tak właśnie Red zapamiętał swego brata.

152

Rozdział czterdziesty.

Niedziela, 9 sierpnia 1998.

W perspektywie ponad dwie godziny piekącego bólu, a Jez nie jest gotowy nawet na minutę.

Jego myśli są gdzie indziej, przemierzają dalekie szlaki strachu i cierpienia. Dawno temu miał już rzucić triathlon w cholere. Nie ma czasu ani energii na należyty trening. Od czasu do czasu biega wczesnym rankiem, pływa późnym wieczorem i, oczywiście, codziennie jeździ na rowerze do pracy i z powrotem - ale wszystko to o wiele za mało.

Potrzebuje jednak tych zawodów. Jakichkolwiek zawodów. Musi pobiec i się porządnie zmęczyć. Red i Duncan znajdują pocieszenie w butelce, Jez w endorfinach. To jego odskocznia. Wymęczenie ciała i oczyszczenie myśli.

Tamiza jest brudna od zielonych alg i brązowego mułu. Wejście do tej rzeki to ostatnia rzecz, jakiej Jez pragnie. Zastanawia się przelotnie, ile jest w niej zwykłych ścieków. Równie dobrze mógłby wykapać się we własnym kiblu.

Zawodnicy ustawiają się w rzędzie na brzegu jak pingwiny w tych swoich kostiumach pływackich. Pełna skupienia cisza.

Zamieszanie, gdy pada komenda „do wody”. Większość skacze na nogi, jedną ręką ściskając się za nosy, w drugiej trzymając okulary. Jez skacze na płask i szybko prześlizguje się dalej, żeby nie zeskrobywać siebie z dna. Woda, którą czuje przez kostium, zimno topniejące w zetknięciu z ciepłym ciałem. Jego czepek pływacki przylega ściśle do koniuszków uszu, a okulary uciskają głowę. Przebiega palcami wzdłuż paska od okularów, aby nabrać pewności, że nigdzie się nie przekręcił.

Mięśnie słabną i tężeją w napięciu. Nerwy chcą ucieczki, nie walki, to ten rodzaj

nerwów, które mówią: „Nie chcę być tutaj”, a nie te, które mówią: „Dalej, zrobmy to”.

Żółte pływackie czepki podskakują jak kaczki w mętnej wodzie. Gwizdek startera brzmi głośno i czysto w rześkim powietrzu poranka i wtedy cztery dwudziestki kopiających nóg czynią wodę

153

lekko wzburzoną i białą pianistą. To najgorszy odcinek, kiedy nie wszedłeś jeszcze w swój rytm i opadasz z sił. Uderzenie za uderzeniem. Łagodny kontakt z wodą, a potem ostry ból i odrętwienie, jakby czyjaś stopa uderzyła Jeza prosto w twarz. Okulary przekrzywiają się, poprawia je jedną ręką. Dopiero dwadzieścia uderzeń. Wejść we właściwy rytm.

Prawa ręka, lewa ręka, wdech na prawo, prawa ręka, lewa ręka, wdech na prawo. Ból sączy się przez ramiona i dalej w dół ramion. Odepchnięcie, dwa uderzenia dla równowagi, nie sześć tak jak sprinter. Trzymać się faceta z przodu.

Zawracają pod mostem kolejowym. Siedemset pięćdziesiąt metrów za nimi, połowa dystansu do przepłynięcia. Zawracają w zbitych grupach. Jez trzyma się w środku, żeby mieć mniej do przepłynięcia.

Słońce grzeje go w ręce i twarz, gdy zawraca, a światło załamuje się na kropelkach wody, sprawiając, że stają się czerwone.

Jak krew.

Krew na rękach Jeza, na jego twarzy i kostiumie, na jego stopach, tryskająca z przeciętych arterii w pozbawionych języka ustach.

Krew zamordowanych.

Biała panika na oceanie czerwieni. Jez otwiera usta, by zaczerpnąć powietrza, podczas gdy jego głowa wciąż znajduje się pod wodą. Tamiza jest ciepła, słodka i mdła w jego gardle.

Jak krew.

A potem Jez zawraca i słońce jest nagle za nim. Krople wody znów są klarowne i przezroczyste. Zatrzymuje się i pływa na stojąco, oddycha głęboko przeponą.

Wysiłek i strach nadają sercu szybkie tempo.

Jezu Chryste. Jezu Chryste, spokojnie.

Chce być już na lądzie i na rowerze, chce, by wiatr osuszył jego skórę.

Dwanaście minut później ręce organizatorów biorą go pod pachy i, wyciągają z wody na podest, żeby nie blokował pozostałych. Gdy biegnie do strefy zmian, rozsuwa zamek błyskawiczny na plecach i ściąga górę kostiumu.

154

Ponumerowane stojaki błyszczą od świecącego metalu rowerów. Wie, co robić.

Mokry kostium łatwo schodzi z nóg posmarowanych wazeliną. Podkoszulek.

Spodenki. Kask. Rower ze stojaka. Ze strefy zmian. Na rower. Stopy w buty przytroczone do pedałów. Dokręcić buty. I naprzód.

Przez przedmieścia Windsoru, obok na żółto ubranych organizatorów kierujących ruchem. Przed nim dwadzieścia pięć mil samotnej jazdy. Nie ośmieli się spojrzeć do tyłu.

Pierwsze z długich wzniesień w bezkresie wiejskiego krajobrazu i początek prawdziwego bólu. Jez zmienia przerzutki i staje nad siodełkiem, balansując na

pedałach, by utrzymać prędkość. Klujący ból w napiętych udach. Jego oddech jest głośny, pot ścieka z czoła.

Zupełnie jak wtedy, gdy widział ciała.

Obrazy pojawiają się przed oczami, jak zdjęcia Lubezkiego na tablicy. Rhodes, Cunningham i Buxton, nazwiska na identyfikatorach zawieszonych na palcach stóp. Dociera do szczytu wzniesienia. Przełącza przerzutki i pochyla się nad kierownicą, kręcąc pedałami coraz szybciej, aż w końcu nie może nadażyć za prędkością roweru. Opony bucza na asfalcie.

Dogania zawodnika jadącego przed nim. Kołysze się szeroko, by go wyprzedzić. Przez chwilę lub dwie oba rowery jadą obok siebie i zawodnik spogląda w bok. To Philip Rhodes, jego twarz wykrzywiona z bólu. Głowa Philipa Rhodesa i ciało kolarza.

Mężczyzna odwraca się z powrotem. Na rowerze widnieje numer 273.

Na zakręcie przed wzniesieniem Jez znów staje nad siodełkiem i ucieka Rhodesowi z numerem 273. Spogląda przez ramię. Numer 273. wciąż tam jest, dziesięć albo dwanaście długości roweru za nim. Po prostu jeden z wielu zawodników, który przez ułamek sekundy był Philipem Rhodesem.

Jez wyprzedza jeszcze wielu kolarzy, kilku też wyprzedza jego, ale na żadnego już nie patrzy. Jest w swoim własnym tunelu, szerokim na szerokość jego ramion i długim na długość drogi, po której jedzie.

155

Ostatnie mile przez Windsor Great Park, kiedy zapasy energii są już wyczerpane i nie może zacząć bardziej boleć. Na ostatnich nogach wchodzi do strefy zmian i powoli wkłada buty.

Z powrotem na drodze. Nogi Jeza po prostu odmawiają posłuszeństwa. Cała krew, która płynęła w jego udach podczas jazdy na rowerze, przeniosła się do łydek. To tak, jakby wziąć największe szpilki i igły, jakie można sobie wyobrazić, pomnożyć je przez dziesięć i dodać cały zbiornik kwasu mlekowego. To będzie mniej więcej zbliżone do tego, co Jez teraz czuje.

Chce się zatrzymać i zwinąć w kłębek. Ale musi biec. Wejść w rytm.

Jego buty uderzają o drogę, a pod nimi pojawiają się twarze zabitych.

Trzydziestokilkuletni cateringowiec, tłusty biskup i młody żołnierz. Depcze po nich, a twarze pod jego stopami się zmieniają. Prawa, Rhodes. Lewa, Cunningham. Prawa, Buxton. Lewa, Rhodes. Prawa, Cunningham. Lewa, Buxton. I znów od początku. Nie kończący się cykl szóstek.

Temperatura wzrasta w miarę upływu czasu. Trasa do przebiegnięcia liczy sześć mil, trzy okrążenia dwumilowej pętli, która zaczyna się na Windsor Bridge i biegnie do Eton, po czym wraca.

Ostatnie kilka mil miesza się w głowie Jeza: pot spływający do oczu i twarze na drodze; tłum krzyczący do wiosłarzy płynących pod Windsor Bridge; zniekształcony głos mówiący przez megafon, że w wyścigu kobiet zwyciężyła Sian Brice; wskazówki na zegarku kpiące z jego bólu i nie wystarczającej ambicji; stopniowe wypalanie się.

Wielki elektroniczny zegar na mecie wskazuje dwie godziny i dziesięć minut, gdy Jez pod nim przebiega. Chwiejąc się, podchodzi do barierki i zgięty we dwoje wymiotuje

bladożółtą ciecżą. Przez pięć minut ma torsje, dopóki nie opróżnia do reszty żołądka.
156

Rozdział czterdziesty pierwszy.

Red siedział na masce swojego samochodu przez dobrych kilka minut, zanim poczuł, że jest w stanie prowadzić. By stłumić drzenie kończyn, trzymał sztywno kolana i ręce, co czyniło go podobnym do postaci z kreskówki. O mało się nie zesrał.

Nieruchome oko kamery na parkingu obserwowało Reda, gdy patrzył na osiedle pracownicze. Osiedle wyglądało na normalną osadę złożoną z grupy domów-bliźniaków z samochodami zaparkowanymi na zewnątrz i placem zabaw, na którym troje dzieci grało w piłkę. Gdy jednak Red odwrócił się, jego oczom ukazała się ponura, monstrialna bryła Highpoint, za podwójnym ogrodzeniem z drutem kolczastym i czujnikami alarmów. Wysepka brudu pośród wiejskiego krajobrazu, trzymająca po jednej stronie muru dobrych, a po drugiej - złych.

Kiedy Red poczuł, że ostatecznie zapanował nad swoim ciałem, wszedł do samochodu i ruszył. Zamierzał wrócić do domu, do Much Hadham, ale po drodze planował przystanek w Cambridge, żeby zabrać ze swojego pokoju kilka książek. Semestr zaczynał się za dwa tygodnie i chciał zrobić sobie powtórkę przed egzaminami końcowymi.

Droga do Haverhill była opustoszała. Był Wielki Piątek i większość ludzi zdążyła już wrócić do domu lub dokądś wyjechać. Samochód Reda tworzył samotną brudę na asfalcie drogi, wiodącej przez równiny Suffolk. Obszar monotonnej zieleni, łagodzonej miejscami przez żółte plamy pól rzepaku.

Przetracę ci ten twój pierdolony kark. Przetracę ci ten twój pierdolony pierdolony kark kark.

Red wjechał na długie wzniesienie przed Haverhill, koncentrując się na jeździe. U podnóża góry skręcił w prawo, zmieniając biegi i rzucając okiem we wszystkie trzy samochodowe lusterka.

Wzięłeś pieniądze wzięłeś pieniądze Logana ty pierdolony Judaszu.

157

Ściemniło się. Red zaczął szukać włącznika świateł. Najpierw włączył wycieraczki, a potem kierunkowskazy. Dopiero za trzecim razem trafił na właściwy przycisk.

Przecież potrafił znaleźć każdy przełącznik w tym aucie z zamkniętymi oczami.

Widocznie jednak wciąż był roztrzęsiony.

Włączył radio, przeskakując przez wszystkie stacje. Nic wartego posłuchania. Już lepsza cisza. Sam ze swoimi myślami. Znowu. Przydałaby się jakaś odmiana.

Kolana wciąż go bolały. Wykrzywiona twarz Erica, jego ślina spływająca na podłogę, to tylko jeden z tysięcy obrazów, które miał przed oczami.

Wjechał na szczyt wzgórza w Wandlebury i zobaczył białe confetti świateł w oknach szpitala Addenbrooke.

Cambridge. Już? Cholera.

Red nie pamiętał nic z ostatnich piętnastu minut, od chwili, gdy dotarł do Haverhill.

Przypominał sobie, jak się koncentrował przed pierwszym rondem, a potem... nic. Zupełnie jakby prowadził po pijanemu albo jakby porwali go kosmici. Luka w życiorysie.

Zatrzymał się na jakichś światłach, klepnął się po policzku i odetchnął głęboko. Zaczynało padać. Włączył wycieraczki.

Nawet w mieście był bardzo mały ruch. Nie musiał się zatrzymywać ani razu przez całą drogę, jadąc w górę Hills Road, przez most, obok dworca kolejowego, a potem w prawo i prosto Regent Street, przynębiającym obszarem ciągnących się na milę agencji nieruchomości i małych kawiarenek, które bez jednego szwu można by było przeszczepić do jakiegokolwiek innego miasta.

Zakaz wjazdu w Market Square spowodował, że Red musiał jechać dłuższą drogą do Trinity. Skręcił w prawo za przystankiem autobusowym i skierował się do Parkside, gdzie zaczął się łańcuch wypadków, których kulminacja nastąpiła pół godziny temu w wybuchu wściekłości jego brata.

Red nie chciał jechać do Parkside. Za późno zobaczył skręt w lewo w Emmanuel Road i wziął go zbyt ostro. Pisk opon złamał ciszę wewnątrz samochodu.

158

W dół Emmanuel Road, w stronę ronda Jesus. Znajoma trasa, którą pokonał, gdy szedł do Parkside, żeby wydać Erica.

Wycieraczki szorowały zawzięcie przednią szybę, rozmazując krople deszczu.

Patrząc przez łuk, jaki zostawiały, Red przypomniał sobie samotną postać, która powłócząc nogami we mgle, szła na posterunek policji w pewien przejmująco zimny, lutowy poranek.

Ta sama droga, tylko w odwrotną stronę.

Poczuł nagle dławiące pragnienie odwrócenia tego, co zrobił. Nagłą nadzieję, że może uda się przewinać film tak daleko w czasie, że ostatecznie Charlotte Logan w ogóle by nie istniała, a jego mały braciszek miałby szansę normalnie dorastać.

Dojechał do ronda. Kierunkowskaz zaczął migać pomarańczowo, gdy Red skręcał w lewo i skierował się w dół Jesus Lane. Droga była gładka i lśniąca od deszczu.

Szybkościomierz wskazywał pięćdziesiąt pięć mil na godzinę przy ograniczeniu do trzydziestu. Za szybko.

Jego prawa stopa nie chciała przejść z pedału gazu na hamulec. Nie jechał szybciej, ale też nie zwolnił.

Na drodze nie było innych samochodów. Nikomu więc nie zagrażał.

Przed sobą, na chodniku naprzeciwko głównego wejścia do Jesus College, Red ujrzał chłopca, który zaczynał przechodzić na drugą stronę ulicy. Był ubrany w spodnie od dresu i workowatą bluzę i żonglował piłką, przenosząc ją z nogi na nogę. Deszcz przykleił mu włosy do głowy. Wyglądał na jakieś szesnaście, może siedemnaście lat. Chłopak wciąż był daleko. Powinien przejść bezpiecznie na drugą stronę ulicy, zanim Red dotrze do tego miejsca.

Red nie zwalniał.

Chłopak pozwolił piłce spaść na ziemię i położył na niej prawą stopę, by ją opanować.

Piłka była śliska. Wytoczyła się spod stopy chłopaka i zderzyła się z jego drugą nogą, sprawiając, że otworzył usta ze zdumienia, po czym zaczął machać rękami, by

utrzymać równowagę.

159

Piłka odbiła się i potoczyła wolno do rynsztoka.

Chłopak upadł na środku drogi i teraz nie miał już szans znaleźć się po drugiej stronie na czas.

Red nacisnął mocno na hamulec.

Za mocno.

Koła zablokowały się i samochód wpadł w poślizg na mokrym asfalcie.

Red przypomniał sobie, co o poślizgach mówił instruktor jazdy. Jakakolwiek jest twoja pierwsza reakcja, zrób coś przeciwnego. Zamiast wyprowadzać samochód z poślizgu, jedź dalej. Zamiast wciskać hamulec, wciśnij gaz. W ten sposób może odzyskasz panowanie nad wozem. Wtedy - tylko wtedy - możesz zmniejszyć poślizg. Tyle teorii.

Red wpadł w panikę. Kręcił kierownicą zgodnie z ruchem wskazówek zegara, byle wyjść z poślizgu, i znów nacisnął na hamulec.

Samochód obrócił się wokół własnej osi, jak pies goniący własny ogon.

Red pozostał przypięty do siedzenia, podczas gdy wokół niego wirował cały świat.

Uderzy w coś. W krawężnik. W ścianę. W latarnię.

W chłopca.

Samochód zakreślił pełne koło. Znow jechał przodem.

Red poczuł, że znalazł oparcie w jezdni.

Dzieciak. Nie widział nigdzie dzieciaka. Gdzie ten pieprzony dzieciak?

Dwa uderzenia, jedno po drugim, pod samochodem, szarpnięcie od kół do pedałów i kierownicy, a z nich do stóp, rąk i głowy Reda.

O Boże.

Red zahamował na tyle gwałtownie, na ile się ośmielił. Samochód zatrząsł się odrobinę, a potem zatrzymał się, tam, gdzie ulica zaczynała skręcać w lewo do tylnego wejścia Trinity.

160

Popatrzył w lusterko wsteczne. Chłopak leżał na jezdni. Bez ruchu.

Leżał na plecach, nie na brzuchu, co znaczyło, że samochód musiał go obrócić.

O Boże. O Boże o Boże o BOŻE.

Red powinien coś zrobić. Wrócić i pomóc chłopakowi, wezwać karetkę, zawieźć go do szpitala. Wszystko jedno co.

A co, jeśli chłopak nie żyje?

Na liczniku było pięćdziesiąt pięć mil, w terenie zabudowanym. Za dużo, o wiele za dużo,

Beztroska i nieuwaga. Lekkomysłna jazda. Nieumyślne spowodowanie śmierci. Co go czeka za nieumyślne spowodowanie śmierci? Pięć lat więzienia, prawdopodobnie, Siedem, jeśli będzie miał pecha.

Obaj synowie Metcalfów w więzieniu. To by zabiło jego rodziców, to tak pewne, jak gdyby ich zastrzelił.

Red stracił grunt pod nogami.

Jeśli chłopak nie żył, i tak było za późno na próby ratowania, Jeśli chłopak żył, z pewnością zostanie znaleziony, To główna ulica. Na pewno będzie tędy przejeżdżał

jakiś samochód za minutę albo dwie, nawet w Wielki Piątek.

Co znaczy, że musi uciekać, i to natychmiast.

Red nie mógł uwierzyć, że przyszło mu to do głowy.

Rozejrzał się gorączkowo, by przekonać się, że nikt nie widział wypadku.

Nikogo przed nim. Nikogo za nim, Nikogo z lewej strony ani z prawej.

Drugi raz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy Red pomodlił się o wybaczenie za to, co zamierzał zrobić.

Zwolnił sprzęgło i pojechał w stronę Trinity.

161

Rozdział czterdziesty drugi.

Poniedziałek, 24 sierpnia 1998.

Kartka papieru z namalowanym sercem. Serce wypełnia mnóstwo małych serduszek, niektóre z nich narysowane są zbyt pośpiesznie, przez co wyglądają jak pochyłe litery „B”. W środku zaś słowa: „List miłosny dla Susan Metcalfe. Kensington Place, 8.30 dziś wieczorem. Tajemniczy wielbiciel”.

Żaden tam tajemniczy. Dzisiaj jest rocznica ślubu Reda i Susan. Czas na nocne zawieszenie broni, udawanie, że wszystko między nimi jest w jak najlepszym porządku.

Red przez chwilę podziwia swoje dzieło, a potem umieszcza kartkę w faksie.

Jez zagląda mu przez ramię i chichocze cicho.

- Ty sentymentalny skurczybyku.
- Powiedziałbym raczej: wrażliwy skurczybyku.

Kartka wychodzi z faksu i Red wrzuca ją do niszcarki dokumentów.

- Wychodzę coś zjeść. Idziesz ze mną? - pyta Jez.
- Jasne. Zaczekaj chwilę. Wyjmę tylko pieniądze z marynarki.

Red podchodzi do biurka. Jego marynarka jest przewieszona przez oparcie krzesła.

Obszukuje kieszenie, znajduje całą garść drobniaków i rozdziela je na dłoni. Ze dwie monety funtowe, reszta to dwudziestopensówki. W sumie coś około czterech funtów.

Powinno wystarczyć, nawet zważywszy na ceny w centrum Londynu.

Jez stoi przy drzwiach.

- Już?
- Tak.
- To chodźmy. Ten wysoko wykwalifikowany atleta, którego masz przed sobą, umiera z głodu.

Nagle zaczyna dzwonić telefon. Jez krzywi się. Red odbiera.

- Metcalfe, słucham.

Jez słyszy tylko jedną stronę, ale to mu wystarcza.

162

Red przytrzymuje słuchawkę ramieniem i zaczyna pośpiesznie zapisywać.

- Gdzie... Gdzie to jest?... Tak, wiem... A ciało nosi wszelkie znaki... Został co? Jezu Chryste... Tak... Tak. Będziemy tam za piętnaście minut.
- Odkłada słuchawkę i patrzy na Jeza. Jego twarz jest blada.

- Następny? - pyta Jez.

Red nie odpowiada. Chwyta marynarkę i biegnie do drzwi.

Rozdział czterdziesty trzeci.

Wozy patrolowe zawożą całą czwórkę ze Scotland Yardu do Wapping w dwanaście minut. Duncan zastanawia się, dlaczego tak się spieszą. Policyjny chirurg zdążył już ponad wszelką wątpliwość stwierdzić zgon. Temu biednemu gnojkiowi, który nie żyje, raczej nie robi różnicy, czy przyjadą kilka minut czy kilka dni po jego śmierci. Red i Jez jadą w jednym wozie, Kate i Duncan w drugim. Pierwszy raz będą na miejscu zbrodni wszyscy razem.

Gdy zjeżdżają na pobocze, Red dostrzega tabliczkę: Green Bank, El. Po lewej stronie znajduje się Jackman House, brązowy blok komunalny obsiany talerzami anten satelitarnych. Naprzeciw wznosi się nowiuteńkie osiedle mieszkaniowe z ogromnym przemysłowym kominem na zewnątrz. Tabliczka na murze głosi: CHIMNEY COURT. KOMFORTOWE APARTAMENTY.

Red wysiada z samochodu i idzie w kierunku osiedla.

- To nie tam - krzyczy za nim Jez. - To tutaj, w bloku. Red odwraca się, zaskoczony.

- W komunałce? Chyba nie za dużo tam srebrnych łyżeczek, co? Myślałem, że nasz morderca dorwał jakiegoś japiszona. - Pokazuje za siebie na osiedle.

Jez wzrusza ramionami.

- Wiem. Trochę nie pasuje, co?

163

Wchodzą przez główne wejście na teren Jackman House. Ściany pokryte są graffiti, a na studziencie ściekowej leży niefortunnie różowy, zużyty kondom. Mieszkańcy posesji, w której policjanci postrzegani są niejako stróże prawa, lecz jako przedstawiciele klasy rządzącej, rzucają wrogie spojrzenia.

Policjant w samej koszuli stoi przed pierwszymi drzwiami za wejściem. Red czuje pot ściekający mu spod pach. Policjant odsuwa się od drzwi.

- Parter. Na samym końcu po prawej. Nie wygląda to najładniej.

Odór śmierci sączy się smugami z otwartych drzwi na końcu korytarza. Wchodzą do małego przedpokoju i nieznośny smród płynów fizjologicznych rozkładających się w upale uderza jak obuchem, przytłaczając ich. W pokoju po ich lewej stronie błyska flesz - to jeden z policjantów robi zdjęcia miejsca zbrodni. Red udaje się w tym kierunku, a Jez, Kate i Duncan tłoczą się za nim.

Nie wygląda to najlepiej. Będzie gorzej niż w przypadku poprzednich. Red czuje to. Policjant robiący zdjęcia stoi do nich tyłem. Kiedy wchodzą do pokoju, odwraca głowę, ale nie rusza się.

- Kto to? - pyta Red.

- Prawdopodobnie Bart Miller. Pracował jako garbarz w fabryce za mostem. Został znaleziony po tym, jak sąsiedzi zaczęli coś podejrzewać.

- Gdzie jest ciało?

- Właśnie tutaj.

Nagle staje się jasne, dlaczego policjant się nie rusza. Znajduje się między nimi a

trupem.

- To naprawdę nie wygląda najładniej - mówi.

- Już to słyszeliśmy - odpowiada Duncan. Policjant robi ostrożnie krok w prawo, odsłaniając widok.

O Boże. Boże wszechmogący. Gorąca zółć podnosi się w gardle Reda.

Gorzej niż w przypadku poprzednich. Gorzej niż wszystko, co do tej pory widział w życiu.

Czuje rękę Kate zaciskającą się na jego ramieniu i słyszy jęk obrzydzenia Duncana. Mój Boże, myśli Red. Jeśli miałbym zginać, zróbcie ze mną wszystko, tylko nie to. Bart Miller został obdarty ze skóry.

Rozdział czterdziesty czwarty.

Red kładzie dłonie na kolanach, żeby nie upaść. Oddycha głęboko, ale powietrze, które wciąga, przesycone jest odorem zła.

Gorzej niż wszystko, co do tej pory widział w życiu. W całym swoim życiu.

Prostuje się i zmusza do podejścia bliżej. Jego stopy pozostają jednak nieruchome.

Synapsy strajkują, a mięśnie odmawiają wykonywania rozkazów mózgu. W końcu jedna stopa bardzo wolno wysuwa się przed drugą. Jego stopy sprawiają wrażenie, jakby były mile stąd.

Ciało Barta znajduje się na drewnianym krześle z wysokim oparciem. Red patrzy na przód trupa, potem robi kilka kroków dalej i spogląda na plecy.

Ani z przodu, ani z tyłu nie ma skóry.

Tułów Barta został obdarty ze skóry. Staranna linia wokół podstawy szyi, gdzie morderca - potwór - zaczął ciąć, i druga, wokół talii, tuż ponad majtkami. Dwie linie biegną jeszcze przez każdą pachę i nad barkiem.

Nie ściągnął skóry z rąk. Tylko z tułowia. Kamizelka ze skóry.

Tam, gdzie była skóra, teraz są aureole. Tysiące łątek jak malutkie sieci pajaków, ściśle do siebie przylegające, każda osobno, ale razem stapiające się w bezkształtną białą masę, jak morze, gdy patrzy się na nie z odległości kilku jardów.

To właśnie tropimy. To jest naszym przeciwnikiem.

Nie kto. Co. Bo to nie jest człowiek.

Na twarzy Barta widać przerażenie, mimo że oczy są zamknię-

164

165

te, zaciśnięte tak mocno, że siateczka zmarszczek pokrywa skórę wokół nich. I podobnie jak w przypadku innych, z krwawej miazgi ust sterczy srebrna łyżeczka, jak mieszaśdelko w Krwawej Mary. W którym momencie przerażenie znika, a pojawia się całkowite niezrozumienie? Kiedy zło staje się tak silne, że twój mózg po prostu nie może go zaakceptować, nerwy ogłaszają przerwę w wyścigu dookoła ciała? Red patrzy na martwą twarz Barta i uznaje, że musi być on bliski tej wiedzy jak nikt inny. Lewa ręka Barta Millera zwisa bezwładnie pod udem, coś trzymając. Jez kuca po drugiej stronie krzesła, żeby sprawdzić, co to.

Wygląda to jak złożona ścierka.

Red podąża za wzrokiem Jeza.
To nie ścierka.
To skóra.
Bart Miller trzyma swoją własną skórę.

Rozdział czterdziesty piąty.

Ruch na Tower Bridge kołysze się od brzegu do brzegu. Są w wozach patrolowych, ale nie używają syren. Red chce mieć czas, by się pozbierać. Pamięta, co powiedział Kate w pubie kilka tygodni temu: „Nie istnieje nic, co mogłoby sprawić, że się zatrzymam i pomyślę: »Kurczę, to jest dla mnie zbyt popierdolone«”.

Jednak istnieje.

Ciężarówki jadące w przeciwną stronę odbijają nieznacznie, gdy przejeżdżają przez środek mostu, przez tę jego część, która podnosi się, gdy przepływają statki. Red czuje łagodny wstrząs wozu policyjnego. Turyści kręcą się na chodniku. Kilka mil na wschód Canary Wharf połyskuje głębokim złotem w słońcu.

Dziesięć minut zajmuje im pokonanie mostu i już niemal są na miejscu. Pod torami, które wiodą ze stacji London Bridge, następnie w prawo, a zaraz potem w lewo, obok kontenerów przy bramie i podjazdem do garbarni.

166

Umówili się wcześniej z Ashleyem Lowe'em, byłym pracodawcą Barta Millera, więc czeka na nich przed wejściem. Red i Duncan idą z nim na górę. Zostawili Kate i Jezowi przesłuchanie mieszkańców Wapping.

W biurze Lowe'a, przycupniętym nad halą fabryczną, jest gorąco i duszno. Przez podarte rolety światło pada na stary kalendarz Pirelli, który zatrzymał się na listopadzie 1985. Lowe siada na obrotowym fotelu za biurkiem. Red i Duncan zajmują krzesła naprzeciwko niego.

- To miejsce, Tanner Street, było kiedyś centrum całego przemysłu - mówi Lowe. - To taka skórzana wersja Fleet Street. Wszystko to było nasze, aż do sklepu ze skórą na końcu ulicy. A co tutaj jest teraz? W większości bloki dla bankierów pracujących po drugiej stronie rzeki. Jesteśmy tu w tej chwili jedyną garbarnią i chyba też niezbyt długo pociągniemy. Wykończy nas przemysł ciężki i mechanizacja. Jesteśmy małym zakładem. Po prostu nie możemy z nimi rywalizować.

Przez zakurzone okno wychodzące na halę produkcyjną Red widzi kilku mężczyzn pochylonych nad długimi stołami. Są tam też trzy duże maszyny, ale wszystkie stoją bezczynnie. Odwraca się do Lowe'a.

- Panie Lowe, czym dokładnie się tu zajmujecie?

- Obróbką skór. Ściągamy je z ich naturalnych form...

- To znaczy, że zwierząt?

- ... no właśnie, a potem obrabiamy i konserwujemy je tak, że mogą być użyte do produkcji butów, torebek i innych tego typu wyrobów. Nie można zedrzyć, ot tak, po prostu, skóry z krowy i wepchnąć jej sobie na stopy. - Lowe śmieje się śmiechem palacza, niskim i zgrzytliwym, który stopniowo przechodzi w kaszel. - Przepraszam - mówi, ścierając drobinę śliny z kącika ust. - Nie jestem już taki zdrow jak kiedyś.

Kolejny rechot i kolejny napad kaszlu.

Red robi notatki. „Skóra”, zapisuje i podkreśla. „Sado-maso?”

- Więc ściągacie skórę ze zwierząt? - pyta.
- O, nie. To odbywa się jeden szczebel niżej, pomiędzy

167

rzeźnią a nami. My dostajemy skóry, a potem na nich pracujemy. Ale nie ściągamy ich sami.

- A czym zajmował się Bart Miller?
- Wszystkim. Tutaj wszyscy robią wszystko. Jak już mówiłem, jesteśmy małym zakładem. Nie możemy sobie pozwolić na specjalizację. Jeśli coś ma być zrobione, wszyscy to robią. Wiecie panowie, o czym mówię?
- Czy Bart nosił kiedyś skórę? Czy ubierał się w skórzane rzeczy?

Lowe prychnął.

- Miał skórzaną kurtkę, jeśli o to panu chodzi, a czasami chodził też w butach ze skóry, ale nic poza tym.
- Czy nosił kiedykolwiek skórzane spodnie i łańcuchy?
- Bart? Niech pan nie żartuje. Bart nie był ciotą.
- Czy jest pan pewien?
- Czy jestem pewien? Oczywiście, że tak. Bart był największym macho ze wszystkich macho, jakich znam. Nie mógł się opędnąć od dziewczuch. Miał pięć albo sześć naraz, naprawdę. Ciągłe się chwalił, jak to na przykład zaliczył jedną laseczkę jednej nocy, a jej najlepszą przyjaciółkę następnej, i że żadna z nich nie wiedziała o drugiej, a potem jak spotkał nowy towarek i dołączył go do listy. Bóg jeden wie, jak on to robił.
- Czy kiedykolwiek spotkał pan którąś z tych kobiet?
- Kilka.
- Gdzie je pan widział?
- Kiedy tu przyłaziły. Czasami zabierały go stąd wieczorami albo przywoziły rano. Wiecie, panowie, o czym mówię? - Lowe mruga porozumiewawczo. - Ciągłe też wydzwaniały do niego jakieś baby. Musiałem zakazać mu używania telefonu. Nie mogłem wyciągać go z hali za każdym razem, kiedy któraś z tych jego latawic miała kisiel w majtkach.
- Więc z całą pewnością istniały?
- Kto?
- Te kobiety.
- O, tak. Z całą pewnością.

Red wsuwa w zamyśleniu skuwkę na długopis.

Więc Bart nie był gejem. I nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł omyłkowo wziąć go za geja.

Motyw skóry był zbyt dobry, żeby był prawdziwy. Chyba że... chyba że Bart figlował w skórze z dziewczynami i jakimś sposobem Srebrny Język znalazł jego sprzęt do zabaw sadomasochistycznych, i omyłkowo wziął go za homoseksualistę.

„Sprawdzić garderobę Barta”, pisze Red, chociaż wie, że szansa jest naprawdę niewielka.

- Jeszcze jedno. Ile pan płacił Bartowi?

- Pięć pięćdziesiąt za godzinę.
- Więc rocznie to dawało... ?
- Około dwunastu tysięcy.
- Czy miał jakieś inne źródło dochodów?
- Z tego, co wiem, to nie. Gdyby miał, wątpię, czy by tu pracował.
- Więc nie wiodło mu się za dobrze?
- Och, niech pan nie żartuje. Jeśli ktoś chce dorobić się tutaj milionów, to chyba tylko grając w totka. Wie pan, o czym mówię?
- Jasne, panie Lowe. - Red wstaje. - Dziękujemy, że zechciał pan poświęcić nam tyle czasu. Jeśli będzie nam potrzebne pańskie zeznanie albo będziemy chcieli porozmawiać z którymś z kolegów Barta, damy panu znać.

Ashley Lowe odprowadza ich wzrokiem, gdy idą po schodach i wychodzą na podjazd, a potem wkłada przyciemniane okulary, gdy wychodzą na słońce. Uświadamia sobie, że nie powiedział żadnego z tych pełnego żalu słów, których, jak sobie wyobrażał, zawsze używa się przy takich okazjach. Nie powiedział im, jak dobrym pracownikiem lub przykładowym obywatelem był Bart. Ma nadzieję, że policjanci nie zwrócili na to uwagi. Nie, żeby nie było mu smutno z powodu śmierci Barta. Ale teraz musi szukać jego następcy, a to kosztuje. A Bart był dobrym pracownikiem. Znał się na rzeczy, to na pewno. Te chłopaczki na dole to niewiele więcej niż terminatorzy.

Słyszy, jak policyjny samochód odjeżdża.

168

169

Zabawne, że tylko jeden z policjantów z nim rozmawiał. Drugi, wielki gruby facet, przez cały czas nie powiedział ani słowa. Tylko siedział i nie spuszczał z niego wzroku, zupełnie jakby go osądzał.

Rozdział czterdziesty szósty.

Biała tablica znów pokryta jest fotografiami.

- To morderstwo lokuje Srebrnego Języka w zupełnie innej lidze - mówi Lubezki. - Trzy poprzednie morderstwa były demonstracją siły i wściekłości. To ostatnie wymagało umiejętności.

Pokazuje na zdjęcia przedstawiające tułów Barta, z przodu i z tyłu.

- To dopiero wstępne ustalenia, ale wystarczą. Popatrzcie na ślady cięcia. Dookoła szyi, nad ramionami i pasem. Zupełnie jak kamizelka albo bezrękawnik. Według mnie, zaczął tutaj.

Lubezki dźga się palcem w klatkę piersiową, na prawo, u podstawy szyi, w miejsce pomiędzy wewnętrznymi krawędziami obojczyków.

- Potem ciął cały czas w dół. Wędruje palcem w dół piersi, do pasa.
- Wszyscy nadążacie?

Red, Jez, Kate i Duncan kiwają głowami.

- Następnie wykonał cięcie wokół szyi. Potem prawdopodobnie pod pachami, z obu stron. Później dwa długie cięcia tutaj.

Podnosi prawą rękę i kreśli linię od pachy w dół, do pasa.

- Z dwóch stron. A potem dookoła pasa. Widzicie? Widzą. Aż za dobrze.

- I mógł już ściągnąć skórę.

- Tak po prostu? - Kate wygląda na nie przekonaną.

- Tak. Skórę można oderwać jak taśmę klejącą, pod warunkiem że nacięcia są prawidłowe. A nacięcia naszego człowieka takie były. Skóra nie ma wszędzie jednakowej grubości. Najgrubsza jest na podszewkach stóp, gdzie liczy średnio jakieś osiem milimetrów, a najcieńsza na twarzy - powiedzmy, dwa milimetry. Oczywiście, nie dotykał akurat tych części ciała. Skóra na piersi jest nieznacznie grubsza niż na twarzy, ale cieńsza niż na plecach. Wiedział o tym i przystosował do tego swoje cięcia.

- Skąd ta pewność? - pyta Jez.

- Stąd, że w ręce Barta Millera znaleźliśmy trzy oddzielne kawałki skóry. Dwa kawałki były niemal takie same, a trzeci był od nich większy i grubszy. Ten ostatni, wielki kawał, pochodził z pleców. Dwa mniejsze - z przodu ciała. Srebrny Język ściągnął skórę z przodu klatki piersiowej, aż spotkała się z cięciami pod pachami. To dało mu dwa kawałki. Potem z pleców ściągnął jeden kawałek.

- Ile czasu mu to zajęło? - to znów Jez.

- To zależy od kilku rzeczy.

- Na przykład?

- W pewnym stopniu od tego, czy ofiara opierała się, ale również od nerwów i zręczności Srebrnego Języka. Myślę, że w przybliżeniu zajęło to jakieś pół godziny. Może mniej.

Red splata palce.

- A co z językiem? Odciał go przed czy po obdarciu ze skóry?

- Po. Zdecydowanie po.

- Dlaczego tak uważasz?

- Po pierwsze, dlatego że na skórze znalezionej w ręce Barta było mało krwi. Gdyby odciał język przed obdarciem ze skóry, wtedy krew byłaby wszędzie. Widzieliśmy to już przy okazji poprzednich morderstw.

Po drugie, dlatego że jeśli odciałby najpierw język, musiałby poczekać, aż krwawienie ustanie, a tym samym dłużej pozostawałby w mieszkaniu, co z kolei zwiększałoby ryzyko wpadki - bo inaczej musiałby pracować pod prysznicem krwi. Po trzecie, dlatego że, moim zdaniem, odwrócił Barta do góry nogami, zanim zaczął go obdzierać ze skóry.

- Do góry nogami? - pyta Red. - A to czemu?

171

- Srebrny Język jest sadystą. Zadawanie bólu sprawia mu przyjemność. A jeśli ofiara jest odwrócona, ciśnienie krwi utrzymuje się w głowie, czyniąc ją dłużej świadomą i tym samym zwiększając ból. Poza tym na slipach Barta Millera było stosunkowo mało krwi. Musiały znajdować się powyżej linii cięcia, co byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby Bart był odwrócony.

- Ale w końcu odwrócił go z powrotem?

- Najwidoczniej. Tak to się właśnie, moim zdaniem, odbyło, niezależnie od tego, jak szybko działał. Ponieważ Bart Miller nie umarł z upływu krwi.

,

- Nie?

- Nie, chociaż ostatecznie tak by się stało. W zasadzie jednak umarł na atak serca, prawdopodobnie na skutek szoku. Jego ciało mogło znieść to, co z nim wyrabiano, umysł - nie.

Głos Lubezkiego jest spokojny, jakby czytał wyniki meczów piłkarskich.

- Myślę - kończy - że Bart Miller umarł ze strachu.

Rozdział czterdziesty siódmy.

Umarł ze strachu. Słowa Lubezkiego krążą po głowie Reda, gdy chodzi po mieszkaniu Barta. Na dworze ciepłe popołudnie przechodzi w kolejny parny wieczór. Najpierw sprawdza szafę. Żadnych pejczy, łańcuchów czy skór. Bart najwidoczniej lubił seks bez ekstrawagancji. Może po całym dniu pracy ze skórami nie mógł na nie patrzeć w domu.

Red wraca do salonu. Krzesło, na którym znaleziono ciało Barta, wciąż tam stoi. U góry, w rogach jego oparcia, tam gdzie Bart był przywiązany, są wyżłobione rysy. Byłeś przywiązany do krzesła za kostki i nadgarstki, plecami po przeciwnej stronie do siedzenia, więc wisiłeś prosto. Krew spływała ci do głowy i utrzymywała przytomność, podczas gdy ktoś przystąpił do ciebie z nożem.

172

Red czuje ból Barta Millera. Przetacza się po jego języku, po górnych i dolnych dziąsłach, a potem schodzi w tył gardła. Straszliwy ból Barta Millera i wyraźna przyjemność Srebrnego Języka. Rzemieślnik, chirurg, zatapiający ostry błyszczący metal w lśniącym mięsie, obierający ze skóry, jakby to była skórka pomarańczy. Nie podarłeś skóry, ściągając ją. To, co robisz, to pieprzone dzieło sztuki. A my cię mieliśmy za zwykłego bandziora. Wybacz, że cię nie doceniliśmy.

Ale jeśli nie zabrałeś skóry ze sobą, dlaczego obdarłeś z niej tego biedaka? Ludzie, którzy obdzierają ze skóry, zwykle zabierają ją dla własnych celów. Srebrny Język natomiast nie chciał skóry. Zostawił ją w lewej ręce Barta Millera. Jedyna rzecz, którą zabrał, to, jak zwykle, język. Dlaczego?

Może ktoś go wystraszył i musiał szybko uciekać, woląc raczej umieścić skórę w dłoni Millera, niż tracić czas na staranne jej złożenie i zabranie ze sobą. Nie, to bez sensu. Gdyby musiał uciekać, rzuciłby ją po prostu na podłogę. A poza tym Lubezski powiedział, że język został odcięty już po obdarciu ze skóry. Jeśli więc musiał uciekać zaraz po obdarciu, język Barta byłby wciąż nietknięty.

Zostawmy dlaczego. Spróbujmy zastanowić się nad tym kto.

Lowie mówił, że żaden z jego pracowników nie zajmuje się obdzieraniem zwierząt ze skóry. Że następuje to, zanim skóra do nich dotrze. „Pomiędzy rzeźnią a nami”, powiedział.

Kto znajduje się pomiędzy rzeźnią a nimi? Jeden z dostawców?

Obdzieranie zwierząt ze skóry powinno być dobrym ćwiczeniem przed egzaminem na ludziach. Z tym że to niekoniecznie muszą być martwe zwierzęta. FBI ma teorię „morderczej triady”: trzech charakterystycznych zachowań dziecięcych, z których

prawie wszyscy seryjni mordercy mają co najmniej dwa. Pierwszym jest moczenie nocne, drugim - podpalanie.

Trzecim jest dręczenie zwierząt.

Jak dużo dzieli wieszanie kotów na trzepaku od obdzierania ze skóry ludzi?

173

Red stara się to wszystko powiązać. Mordercza triada. Podpalanie.

Podpalacze lubią podziwiać swoje dzieło. Policja zawsze przeszukuje tłum wokół miejsca podpalenia. Jeśli pożar został spowodowany celowo, istnieje duże prawdopodobieństwo, że podpalacz stoi wśród gapiów. Srebrny Język jednak nie wraca, by popatrzeć. Jedyne morderstwo, które zgromadziło tłum gapiów, to morderstwo Philipa Rhodesa, nie licząc oczywiście dziennikarzy pod domem Jamesa Cunninghama. Nie było jednak nikogo na miejscu zbrodni. Nikogo na miejscu zbrodni i żadnych śladów na ciałach.

Red łapie się za głowę. To beznadziejne. Czterech ludzi nie żyje, a on nie może nic z tym zrobić.

Co gorsza, nie może nic zrobić również z tymi, którzy jeszcze nawet nie wiedzą, że znajdują się w niebezpieczeństwie.

Rozdział czterdziesty ósmy.

Jest po dziewiątej, gdy Red wraca do domu. Susan jeszcze nie ma. Najwidoczniej pracuje do późna.

Zostawia samochód i zaczyna iść w stronę Paddington Station. Przechodzi Sussex Gardens, linię graniczną, która oddziela świat bogactwa od świata biedy tak skutecznie, jak ogrodzenie z drutu kolczastego. Na południe od Sussex Gardens, aż do Hyde Parku, przy czystych chodnikach wznoszą się wielkie, wspaniałe domy. Na północ - śmieci i pijacy podobnie wyglądający w rynsztokach. Dwa światy oddzielone nitką jezdni. Red zastanawia się, ile jeszcze czasu upłynie, zanim biedacy przejdą przez jezdnię i zaśmiecą to miejsce.

Idzie w dół ulicy, którą Kevan Latimer uciekał jak królik w zeszłym miesiącu. Kątem oka widzi mijane wystawy: sklep z alkoholem, którego kierowniczka śmierdzi jak kozi ser, pobielony i odremontowany pub, delikatesy na rogu, które sprawiają wrażenie, jakby co kilka miesięcy zmieniały właściciela.

Wieczorny gwar z osobliwym pomieszaniem języków chara-

174

teryistycznym dla Londynu latem: holenderscy turyści, bengalscy kioskarze i szkoccy robotnicy. Na rogu ulicy stoi grupka kibiców piłkarskich z tatuażami na odsłoniętych klatkach piersiowych. Ich twarze są czerwone od gorąca i alkoholu. Śpiewają głośno i groźnie, a przechodnie omijają ich szerokim łukiem.

Red wchodzi w sam ich środek, pogrążony w swym własnym świecie; rzeczywistość nie jest niczym więcej, jak tylko kartonowym tłem dla jego myśli i obaw kotłujących się w głowie. Skręca w lewo, idzie obok sklepu „7-11” i schodzi do stacji metra.

Ostatni raz korzystał z metra ponad dziesięć lat temu i nie jest całkiem pewien,

dłaczego teraz to robi.

Kolory na planie metra krzyżują się jak poplątane jelita. Brąz linii Bakerloo pomiędzy Harrow i Charing Cross. Żółta elipsa Circle Line otaczającej Strefę 1, zawija się wokół siebie w nie kończącym się węźle. Red uśmiecha się. To jest ich już dwoje.

Może jechać na zachód albo na wschód. Jeśli wybierze zachód, pojedzie przez St James' Park, w bezpośrednie sąsiedztwo Scotland Yardu. Z powrotem do pracy. Z powrotem do bezwocnych poszukiwań. Wybiera wschód.

Pierwszy pociąg przyjeżdża po dwóch minutach. „Circle Line, przez Liverpool Street”, układa się napis z pomarańczowych kropek na tablicy. Niektóre z liter mają dziury tam, gdzie kropki się nie zapaliły.

Drzwi do wagonu otwierają się z sykiem. W środku prawie nikogo nie ma. Red siada. Porzucona część „Evening Standard” leży na siedzeniu naprzeciwko, łososioworóżowe strony gazety zawijają się na tkaninie. Dział biznesowy. Nie będzie zawracał sobie głowy czytaniem.

Pociąg wjeżdża do tunelu i Red widzi swoje zniekształcone odbicie w czerni okna naprzeciwko. W szybie nie widać jego czoła, Red ma wrażenie, jakby zniknęło w dachu wagonu.

Pociąg zapełnia się na Edgware Road, a potem znowu na Baker Street, aż w końcu wszystkie miejsca są zajęte. Ludzie w ruchu, przemieszczający się z jednego miejsca w drugie w granicach swych małych istnień.

175

Czy jeden z nich jest Srebrnym Językiem?

Red rozgląda się wolno po wagonie, szukając podejrzanych. Odrzuca kobiety, dzieci i emerytów, i patrzy, kto mu został. Gruby facet dokładnie naprzeciwko niego w baseballówce i zielonej bluzie. Ma na sobie spodnie od dresu i błyszczące białe buty sportowe. Strój nie uczyni sportowca z niechlujem z nadwagą. A co z tym facetem obok niego, z tym, co to wygląda trochę jak Salman Rushdie? Ma podwójny podbródek, a przez jego cieniutkie ciemne włosy prześwituje łysa czaszka. A obok niego mężczyzna w garniturze w prążki, różowej koszuli i żółtym krawacie w wiatraczki. Jego jasne włosy są króciutko przycięte po bokach i zaczesane do tyłu na górze. Bankowiec. Amerykański psychopata*.

* Aluzja do słynnej książki Breta Eastona Ellisa American Psyche, której bohaterem jest amerykański yuppie, po pracy przemieniający się w seryjnego mordercę. To śmieszne. Żaden z nich. Nie może patrzeć na każdą osobę, jakby była ona seryjnym mordercą.

Ale właśnie to robi. Dokładnie to.

Red liczy w myślach: ile osób korzysta z metra każdego dnia? Dwa albo trzy miliony, gdzieś o tym czytał. Większość z nich przynajmniej dwa razy dziennie -jadąc do pracy i wracając do domu. A z kolei większość z nich korzysta z metra w godzinach szczytu. A teraz, piętnaście po dziewiątej, w letni wieczór, ilu ludzi może być w metrze? Pół miliona?

Pół miliona. Osiem milionów w centrum Londynu. Jedna szansa na szesnaście, że

Srebrny Język jest teraz, właśnie teraz, w pociągu lub czeka najego przyjazd. Jedna na szesnaście. Prawie warte zatrzymania wszystkich linii i zażądania od jadących alibi.

Tak. Racja. Jakby to było możliwe.

I wtedy szansę powodzenia zmniejszają się gwałtownie. Jaka jest szansa, że Srebrny Język znajduje się akurat w tym pociągu, którym jedzie Red? Albo w tym potem, albo w tym przed? Albo na którejś ze stacji, którą mijali, jedna z twarzy migających za oknem w szybkim przeblysku światła pomiędzy tunelami? To tak,

176

jakby rzucić kośćmi. Ile byś postawił, żeby on, ja i następna ofiara jechali jednym pociągiem? W tym wagonie? Masz większą szansę wygrania w totka, bo to jest szansa jedna do czternastu milionów.

To Ashley Lowe mówił coś dzisiaj o wygrywaniu w totka.

Red siedzi, opracowując kombinacje i zapisując szansę na czarnej tablicy swego umysłu, dopóki liczby nie zaczynają ścigać się ze sobą i biec w jego głowie zbyt szybko, by mógł je zliczyć. Wtedy klepie się po policzkach, żeby się obudzić, i uświadamia sobie, że ludzie patrzą na niego dziwnie, a pociąg zatrzymuje się na St James' Park, przy Scotland Yardzie. Pokonał dwie trzecie drogi wokół Circle Line, nawet o tym nie wiedząc.

Rozdział czterdziesty dziewiąty.

Kiedy Red wraca do domu, Susan już jest, wściekła.

Siedzi przed telewizorem, oglądając reklamy w przerwie wiadomości o dziesiątej. Ekran pulsuje kolorami i potem, obrazami sportowych wyczynów. Jakaś reklama firmy Nike.

- Lepiej, żebyś miał cholernie dobre wytłumaczenie - syczy.

Red patrzy na nią, zaskoczony.

- Wytłumaczenie. Czego? Przeszywa go wściekłym spojrzeniem.

- Kensington Place. Nasza rocznica ślubu. Pamiętasz? Poczucie winy i wstyd skrecają Redowi jelita.

- Och, Susan. Mój Boże. Przepraszam. Tak bardzo mi przykro. Możemy jeszcze...

- Wysłałeś do mnie faks, w którym zapraszałeś mnie na kolację. Faks z serduszkami, napisem „List miłosny” i mnóstwem małych serduszek w środku. Pamiętasz?

Susan nie krzyczy. Na razie. Co czyni rzecz całą jeszcze gorszą. Łatwiej by było Redowi, gdyby straciła panowanie nad sobą i zaczęła krzyczeć. Wtedy mogliby zacząć wzajemnie ob-

177

rzucać się obelgami i oboje byliby tak samo winni. Ale kiedy ona jest spokojna, zrzuca całą winę na niego, aż wreszcie on nie wytrzyma i też jej wygarnie, a wtedy będzie podwójnie winny: nie tylko dlatego, że spieprzył całą sprawę, ale i dlatego, że wyładował na niej swój gniew. Kiedy tylko chce, Susan potrafi pogrywać sobie z Redem jak nikt na świecie.

- Susan. Kochanie.

Red robi krok w jej stronę, nie więcej. Wie, że lepiej jej nie dotykać, gdy jest w takim nastroju. Gdy jest wściekła, przemienia się w kolczastego jeżozwierza.

- Wiem, że to, co powiem, nie zrobi żadnej różnicy, Susan, ale pozwól mi wyjaśnić, co się stało. Mieliśmy dzisiaj kolejne morderstwo. Musiałem się tym zająć.

Pracowałem na najwyższych obrotach od lunchu.

Nie do końca odpowiada to prawdzie, ale już lepiej powiedzieć to niż: „Powoli popadałem w obłęd na Circle Line”.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, Red, masz w ogóle jakiegokolwiek pojęcie, co zrobiłeś?

- Susan, ja...

- Nie. Pozwól mi skończyć. Potem będziesz mógł powiedzieć, co masz do powiedzenia.

Przerywa, jakby próbowała ułożyć w głowie, od czego ma zacząć, chociaż musiała ćwiczyć tę mowę na okrągło, gdy czekała na niego w domu.

- Dobrze, Red. Próbujemy coś naprawić. Zdobywasz się na romantyzm, jak gdybyśmy dopiero zaczynali, a nie jakbyśmy usiłowali uratować nasze pieprzone małżeństwo. Wysyłasz mi faks, naprawdę uroczy faks, który sprawia, że w środku robi mi się odrobinę cieplej i który dopinguje mnie do tego, żebym odrobinę się postarała, żeby ten wieczór był naprawdę wyjątkowy, wracam więc do domu i perfumuję się odrobinę tu i tam - dotyka nadgarstka i szyi - i czekam tutaj do ósmej, a potem dochodzę do wniosku, że pewnie pojechałeś tam prosto z pracy, bo przecież jesteś zajęty do późna, więc jadę taksówką na Kensington Place, żeby mieć pewność, że będę na czas, i gniję tam

później przez godzinę jak cytryna, i dzwonię do ciebie na komórkę trzy razy - trzy razy - i za każdym razem odzywa się ten pieprzony automat, który mi mówi, że telefon, na który dzwonię, jest wyłączony, i wszyscy w restauracji się na mnie gapią - ukradkowe spojrzenia, nic nazbyt natarczywego - i wszyscy pewnie myślą: „Biedna, żalosna dziwka, ktoś ją wystawił”, i w końcu poddaję się, i wracam do domu, i przez całą drogę płaczę, myśląc, jak bardzo chciałabym cię zabić, bo jeśli jesteś świnią, to trudno, ale jeśli obiecujesz, że się postarasz i wciąż zachowujesz się jak świnią, to jesteś pierdolonym ścierwem i nie wiem, dlaczego zawracam sobie tobą głowę.

Wstaje i przechodzi obok niego, po czym kieruje się na korytarz, a potem po schodach do sypialni. Nie trzaska drzwiami. Najwyraźniej ani myśli wysłuchać jego wyjaśnień, mimo że obiecała.

Red idzie do kuchni i włącza czajnik. Wrzuca torebeczkę herbaty do kubka, wlewa do niego trochę mleka i nabiera na łyżeczkę cukier ze słoika. Biały cukier upstrzony jest ciemnobrązowymi plamkami kawy. Łyżeczka dociera do brzegu kubka, odwraca się i cukier wysypuje się na blat kredensu. Red klnie i zmiata kryształki prawą dłonią do lewej.

Mam znajomych, których małżeństwa się rozpadły, myśli. Wysłuchiwałem ich i rozpacziałem z nimi. Ale aż do teraz tak naprawdę nie wiedziałem, co to znaczy.

Wszystkie te drobne rzeczy, które sprawiają, że małżeństwo prześlizguje się przez palce jak kryształki cukru, a im bardziej staram się je uratować, tym bardziej mi się wymykają.

Znam też ludzi, którzy celowo wywołują kłótnie, bo seks na pojednanie jest taki

dobry. To prawda, na tyle dobry, żeby nadrobić to, co się straciło. Związki, które utrzymują się tylko dzięki dochodzeniu do granic, a potem w pośpiechu wracające do punktu wyjścia, bo się boją, że jeśli pozwolą sobie na stanie w miejscu, ujdzie z nich powietrze.

Woda się gotuje. Nalewa ją do kubka, miesza i dźga torebkę, aż wreszcie herbata jest wystarczająco ciemna, a wtedy wyrzuca

178

179

torebkę do kosza i idzie do sypialni. Susan jest już w łóżku, odwrócona plecami do drzwi. Red upija łyk herbaty, po czym odstawia kubek na bielizniarkę.

- Czy mogę teraz przedstawić swoją wersję?

Susan nie rusza się. Red czeka kilka chwil, po czym postanawia wziąć jej milczenie za oznakę zgody.

- Znowu zabił.

- Kto?

- Srebrny Język.

- Kiedy?

- Dzisiaj. Zaraz po tym, jak wysłałem ci faks. Dosłownie. Właśnie odchodziłem od faksu, żeby iść coś zjeść z Jezem, gdy zadzwonił telefon.

- Nie chcę tego słuchać, Red. - Jej głos dobiega przytłumiony spod kołdry.

- To już czwarty, Susan. Czwarty! Niejaki Bart Miller. Wiesz, jak Srebrny Język go zabił? Obdarł go ze skóry, Susan. Obdarł go na żywcę ze skóry, a potem zostawił tę skórę w jego ręce. Piętnaście minut po tym, jak wysłałem do ciebie faks, oglądałem mężczyznę bez skóry na tułowiu. Rozumiesz teraz?

Kołdra opada jej z głowy, gdy odwraca się do niego.

- Red, już to przerabialiśmy. Nic by mnie nie obchodziło, gdyby nawet ten twój Bart Miller został znaleziony w Tamizie z nogami w cemencie. On nie jest moim pieprzonym mężem ani nawet moim pieprzonym przyjacielem. Nic mnie to nie obchodzi. Rozumiesz?

Red zrywa się na równe nogi. Lawa wrze w jego gardle.

- Bart Miller został powieszony głową w dół, więc dłużej zachował świadomość.

Wiedział, co się z nim dzieje. Lubezski szacuje, że trwało to jakieś pół godziny.

Wszystko to, łącznie ze ściąganiem skóry, mógł czuć. Jesteś w stanie sobie to wyobrazić, Susan? Jesteś? Pół godziny, kiedy każda pełna bólu sekunda zdaje się ciągnąć całe wieki. Pomyśl o tym, choćby chwilę, a może wtedy dotrze do ciebie, czemu zachowuję się tak, jak się zachowuję.

180

Susan odwraca się z powrotem i odsuwa od niego. Red skacze na łóżko i łapie ją za ramiona, krzycząc z wściekłości i rozżalenia, które wywołała jej niechęć do słuchania.

I nagle ogrom jego bezsilnej rozpaczycy dociera do Susan. Odwraca się na plecy i przyciąga go do siebie, otaczając go ramionami i zanurzając usta w jego włosach. Oboje mówią bezładnie, jego krzyki zamieniają się w szloch, ona wydaje z siebie krótkie, nonsensowne, uspokajające dźwięki.

On zbliża i oddala swoją twarz, potem przywierają do siebie ustami, a gdy ich języki

- języki! - dotykają się, jakby prąd elektryczny przechodził w środku ich otwartych ust; jego ręka wsuwa się pod jej koszulę nocną, podciągając ją nad jej uda, tak że widać ciemną kępkę pod pępkiem, potem w górę do piersi, a ona podnosi głowę z poduszki, tak że on może łatwo ściągnąć jej koszulę przez głowę, ona zaś sięga do jego koszuli i spodni, a pomiędzy tym odrzucają kołdrę na bok, tak że leży w połowie na łóżku, a w połowie na podłodze, i są już całkiem nago, i on jest pomiędzy jej udami, podczas gdy ona sięga w dół, by pomóc mu w sobie wejść, i on zamyka oczy...

Obdarty żywcem ze skóry.

Czuje kości bioder Susan przesuwające się pod skórą pod jego dotykiem i to jest tak, jakby ten dotyk był jedyną rzeczą łączącą go z rzeczywistością. Odlatuje w inny wymiar. Wszystko, co widzi pod powiekami, widział już poprzednio: skóra w zaciśniętej pięści, ciała powieszona na poręczach, łyżeczki wetknięte w usta i jeziora, jeziora krwi w miejscach, gdzie były języki, a gdy otwiera oczy, obrazy wcale nie znikają, nakładają się na twarz Susan, zanim roztopią się w smugach pary.

Red patrzy w dół. Jego penis zwisa bezwładny i bezużyteczny, kpiąc sobie z niego.

To tyle, jeśli chodzi o wielką namiętność, którą podobno jest seks na pojednanie.

Gramoli się z łóżka, sięgając w dół tylko po to, by włożyć z powrotem majtki i ukryć swą hańbę. Bierze wciąż gorący kubek z herbatą z bieliźniarki i schodzi do salonu, gdzie siada przed telewizorem, nic nie widząc i nienawidząc siebie.

181

Rozdział pięćdziesiąty.

Środa, 14 lipca 1982.

Eric wytrzymał tydzień bez spowiedzi. Red wytrzymał trzy miesiące i czuł, że nie wytrzyma już ani dnia dłużej.

Nie było dnia, żeby nie myślał o chłopcu i nie zastanawiał się, co się z nim stało.

Umarł czy przeżył, a jeśli przeżył, to czy doszedł do siebie, czy skończył jak warzywo. Jak się nazywał. Nie było dnia, żeby Red nie przeżywał na nowo tych kilku przerażających sekund poślizgu, kiedy wyrzuty sumienia i cierpienie jeszcze nim nie targały.

Przez dwa tygodnie unikał słuchania lokalnych wiadomości i czytania gazet, bojąc się, że się dowie, iż - tak jak jego brat - przekroczył linię z napisem MORDERCA. Każdego dnia jednak przechodził obok miejsca, gdzie potrafił chłopca. Policja zdjęła już żółtą tabliczkę z napisem WYPADEK: CZY MOŻESZ POMÓC?, ale nie zabrała wraz z nią poczucia winy. Red wiedział już, przez co przeszedł Eric. Wiedział już, jakie to uczucie dusić się pod naciskiem tego czegoś, co skrywasz głęboko w sobie, tajemnicy tak dużej, że boisz się, iż twoje ciało nie jest na tyle silne, by to wytrzymać. Większość czasu ten potwór siedzi w twoim żołądku, ale czasami podchodzi do gardła, próbując rzucić okiem na świat na zewnątrz, wzywając do ujawnienia prawdy.

Nie mógł zliczyć, ile razy sięgał po telefon, żeby zadzwonić na policję i przyznać się do winy. Zaszedł już tak daleko, że podnosił słuchawkę i wybierał numer. Ale nigdy

nie wytrwał na tyle długo, by usłyszeć odpowiedź, ponieważ gdyby odpowiedzieli, musiałby wyznać im wszystko. Zawsze odkładał słuchawkę, gdy połączenie było nawiązywane. Nigdy nie słyszał telefonu dzwoniącego po drugiej stronie.

Co dobrego by z tego przyszło? Nie pomogłoby to chłopcu. Nie służyło to żadnemu celowi, ponieważ to był tylko wypadek, bardziej przypadkowy - o wiele bardziej przypadkowy - niż to, co się przydarzyło Ericowi z Charlotte Logan. Eric chciał

zrobić jej krzywdę, a może nawet zabić. Red nie chciał uderzyć w tego chłopca. Nie mógł iść do więzienia za wypadek.

To właśnie mówił sam sobie. To właśnie mówił sam sobie przez trzy miesiące. Ale teraz nie był pewien, czy pójście do więzienia nie byłoby lepsze. Nie udźwignie już tego ciężaru. Nie chce spędzić reszty życia zżerany przez poczucie winy.

Zdał egzaminy końcowe, dostał dyplom i teraz rozglądał się za pracą. Jego życie było w stanie zawieszenia.

Zaraz po lunchu, gdy słońce wyjrzało zza chmur po raz pierwszy tego dnia, Red odbył długi spacer na posterunek policji. Oczywiście droga ta nie była mu obca - odbył ją już tego dnia, gdy wydał Erica. Tym razem szedł wydać samego siebie.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy.

Środa, 9 września 1998.

Komisarz ściska prawą dłoń Reda w dwóch swoich.

- Red. Miło cię widzieć. - Wskazuje mu fotel. - Siadaj, proszę. Kawa? Herbata?

- Nie, dziękuję.

Red zagłębia się w fotelu i czuje, jak poduszki z białej skóry uginają się pod jego ciężarem. Komisarz siada po drugiej stronie biurka. Jego głowa znajduje się o dwie stopy wyżej niż głowa Reda. Prymitywna socjotechnika. Z czeluści fotela Red musi cały czas zadzierać głowę, żeby patrzeć na rozmówcę. Komisarz mógłby po prostu usiąść w drugim fotelu kilka stóp dalej albo zaoferować Redowi zwyczajne krzesło. Dlaczego nie poszedłeś na całość i nie wyznaczyłeś spotkania na późne popołudnie, myśli Red, tak żeby słońce świeciło mi prosto w oczy, oślepiając mnie?

- Jak idzie ta sprawa, Red?

Ta sprawa. Tylko jedna. Z wszelkich innych zostali wyłączeni, gdy przystępowali do tej. No i dobrze.

182

183

Komisarz przynajmniej nie owija w bawełnę. Red postanawia być równie bezpośredni.

- Niezbyt dobrze. Minęły ponad cztery miesiące, a nie mamy zupełnie nic.

- Nic?

Wiesz dobrze, że nic, głupku. Nie pytałbyś - ani nie wzywał - mnie, gdybym miał podejrzanego w areszcie i gotowy wniosek do prokuratury.

Red zachowuje kamienną twarz.

- Nic. Nasz morderca - Red nie określa go mianem „Srebrny Język”, nie w obecności

komisarza - nie zostawia żadnych śladów na ciałach. Autopsje wszystkich czterech ofiar nie przyniosły zupełnie nic. Znajomi, sąsiedzi, przechodnie, nikt nic nie widział. Żadnych śladów włamania. Albo nasz człowiek przekonuje ofiary do otwarcia drzwi - a my nie wiemy, jak to robi - albo wchodzi przez otwarte okna. Morderstwa rozpoczęły się w maju, kiedy nastaly ciepłe dni, więc ludzie zostawiali okna otwarte na noc. A ofiar nic nie łączy, poza faktem, że to właśnie je wybrał morderca. Żadnych wspólnych znajomych, żadnych wspólnych interesów. Wszystkie powiązania, jakie ustalaliśmy, okazywały się, wcześniej lub później, błędne, o czym z pewnością wiesz.

- Tak. Wiem o tym. Ale i tak mnie oświeć. Ty dupku. To ostatnia rzecz, jakiej chcę.
- Myśleliśmy, że w grę wchodzi klucz homoseksualny. Pierwsze trzy ofiary eksperymentowały z tą samą płcią. Ale ostatnia ofiara, Bart Miller, był, według wszelkich zeznań, tak heteroseksualny, jak to tylko możliwe, z nadzwyczaj rozwiniętym libidem. Myśleliśmy również, że nasz człowiek wybiera mężczyzn, którzy żyją samotnie, ale trzecia ofiara, James Buxton, mieszkał z bratem. Nawiasem mówiąc, ich mieszkanie było jedynym miejscem zbrodni, które nie mieściło się na parterze. Zastanawialiśmy się również, czy to, że Bart Miller został obdarty ze skóry, nie ma związku z faktem, że pracował jako garbarz, ale żadna z wcześniejszych ofiar nie została zabita w sposób, który sugerowałby związek z zawodem, jaki wykonywała. Oczywiście,

184

jeśli mielibyśmy księgowego, który zanudził się na śmierć, szybko zmienilibyśmy zdanie. Komisarz się nie śmieje.

- Więc czekasz na przełom, Red?
- Niezupełnie. My nie „czekamy” na nic. Robimy wszystko, co w naszej mocy, by ten przełom nastąpił.
- Czy uważasz to za prawdopodobne?
- Nie wiem. Nie ma oczywiście żadnych znaków, że nastąpi. Ale to nic nie znaczy. Przełom to przełom. Może przyjść w najmniej spodziewanym momencie. Jeśli nasz człowiek zostawi gdzieś odciski palców albo jakąś wydzielinę, albo ktoś go zobaczy, wtedy nagle możemy go rozpracować.
- Na razie jednak gonicie za cieniem? Red wzdycha.
- Tak. Na razie gonimy za cieniem.

Komisarz obraca w rękę zielony szklany przycisk do papieru.

- A ty, Red? Nie tracisz ducha? Więc o to chodzi.
- Och, myślę, że zgodnie z oczekiwaniami.
- Nie odbieraj tego jako ataku na siebie, ale... hm... żadnych kłopotów z psychiką? Kłopoty z psychiką? Ależ nie. Ja tylko niepostrzeżenie popadam w szaleństwo. Nie martw się o mnie.
- Cóż, oczywiście ja i mój zespół pracujemy bardzo ciężko, tak więc jesteśmy ciągle zmęczeni i pewnie trochę wyczerpani...
- Czy byłeś u psychologa?
- Rozmawiałem z jedną taką któregoś dnia, w ramach obowiązkowych badań kwartalnych.
- Wiesz, co stwierdziła?
- Nie, nie wiem. Chociaż przypuszczam, że była zadowolona.

- Dlaczego tak sądzisz?
- Dlatego, że już się do mnie nie odezwała.
- Ale do mnie tak.

Przycisk wraca na biurko, a w dłoniach komisarza znajduje się teraz cienka papierowa teczka.

185

- Była tak zmartwiona twoim stanem, że swój raport przysłała bezpośrednio do mnie. Chcesz wiedzieć, co stwierdziła?

Ani trochę, myśli Red. Macha jednak przyzwalająco dłonią z beztróską, której nie czuje.

Komisarz nie otwiera teczki. Najwyraźniej starannie zapoznał się z raportem.

- Stwierdziła, że nie możesz sobie poradzić ze stresem, który jest, cytując: „nie do zniesienia”. Według niej, twoje poczucie własnej wartości zostało nadkruszone przez brak widocznych postępów w tej sprawie. Kończy stwierdzeniem, że jesteś na skraju załamania nerwowego.

- To śmieszne.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Jestem gotów zgodzić się z dwoma pierwszymi stwierdzeniami, tymi o stresie i poczuciu własnej wartości. W tym akurat ma rację. Nie trzeba być genialnym psychologiem, żeby to stwierdzić. Ale nie jestem na skraju załamania nerwowego. Jakikolwiek sugestie, że jestem, są całkowicie niedorzeczne.

Komisarz chrząka.

- Czy zgodziłbyś się na odsunięcie od tej sprawy?

- Nie, nie zgodziłbym się. - Red mówi z głębi serca i gwałtownie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że przyniesie to skutki odwrotne do zamierzonych.

- To mogłoby uratować twoje zdrowie.

- Z moim zdrowiem wszystko w porządku. No, w każdym razie wystarczająco dobrze. O wiele ważniejsze jest, że odsuwając mnie od tej sprawy, drastycznie zmniejszasz szansę na wykrycie sprawcy.

- Czy ty aby nie przesadzasz? Nie działałeś zbyt wiele, jak do tej pory.

Au. Red krzywi się.

- Nie. Ale mamy niezły zespół i ufamy sobie. Morderca jest dobry. Bardzo dobry. Szczerze mówiąc, najlepszy, jakiego spotkałem. I naprawdę nie uważam, żeby ktokolwiek inny zaszedł

w tej sprawie dalej. Mój zespół i ja jesteśmy najlepszymi z dostępnych ludzi.

Odsuniesz mnie - w ogóle kogokolwiek z nas - i zaczynamy od zera.

Red wpatruje się w zieleń przycisku do papieru i brąz teczki w milczeniu, podczas gdy komisarz zastanawia się nad tym, co robić. Zieleń i brąz. Kolory natury.

- Niech będzie, Red. Zaufam twojej ocenie sytuacji, choć muszę dodać, że różni się ona od mojej. Chcę jednak, żebyś się zgodził na częstsze wizyty u psychologa niż te raz na kwartał, do których jesteś zobowiązany.

- Jak częste?

- Co miesiąc.

Red ma wątpliwości. Nienawidzę psychologów, myśli. Nie mogą wytrzymać dłużej niż pięć minut, żeby nie wspomnieć mojego pieprzonego braciszka. Cztery razy w roku to aż nadto. Dwanaście razy w roku skończy się morderstwem. Tyle że nie mam wyboru. Albo się zgodzę, albo stracę sprawę.

- Dobrze.

- I jeśli psycholog zaleci odsunięcie od sprawy, nie będę się ani chwili zastanawiał.

Red nic nie mówi.

Komisarz wstaje, dając tym samym sygnał, że rozmowa skończona. Odprowadza Reda do drzwi i zwraca się do niego, kiedy jeszcze ich ręce są złączone w uścisku.

- Tak samo jak ty chcę, żeby ten człowiek został schwytany. Nie chcę jednak, żebyś w końcu wylądował w wariatkowie. No, na razie. Informuj mnie na bieżąco.

Rozdział pięćdziesiąty drugi.

Ostatnim razem, gdy Red szedł do Parkside, był w stanie niemal nadprzyrodzonej czujności - szczegóły, dźwięki, obrazy, wszystko to obijało się w jego mózgu, gdy walczył ze swoim

186

187

sumieniem. Tym razem czuł się, jakby był na autopilocie. Uświadamiał sobie, że szedł po chodniku albo skręcał w prawo lub w lewo, ale nie widział ani nie słyszał prawie nic. Kiedy doszedł do posterunku policji, wzdrygnął się lekko, jakby zaskoczony, że się tu znalazł.

W dyżurce nie było nikogo. Red postął chwilę przy kontuarze, usiłując pozbierać myśli. To było tak, jakby decyzja o przyznaniu się pozbawiła go sił umysłowych. Nie myślał o niczym i niczego nie czuł. Nie ćwiczył tego, co powie. Nie ścisnęło go wżółądku. Nic.

Odwrócił się od kontuaru i wpatrzył w tablicę ogłoszeń na ścianie. Apel o pomoc w sprawie wypadku wywieszony był na samym środku, jedyny, który nie był na pół zasłonięty przez inne. Proste CZY MOŻESZ POMÓC?, a pod spodem podane miejsce i czas wypadku. Bez nazwisk. Bez szczegółów. To mogło się przydarzyć komukolwiek.

Za chwilę pojawi się policjant i będzie musiał powiedzieć wszystko, ponieść karę jak mężczyzna i zacząć życie od nowa. Więc dlaczego czuł się taki wypompowany?

- Słucham pana?

Red podskoczył na dźwięk głosu. Odwrócił się od tablicy ogłoszeń i spojrzał na mężczyznę, który pojawił się przy kontuarze jakby za sprawą czarów. Młody posterunkowy, niewiele starszy od Reda. Dwadzieścia parę lat. Na tyle młody, że wciąż miał na twarzy ślady trądziku. Młoda twarz i duży zapal.

Było coś w sposobie, w jaki posterunkowy stał - prosto, choć nie wyprostowany jak struna - co powiedziało Redowi, że ten człowiek kocha swoją pracę, kocha ją dlatego, że naprawdę wierzy, że to, co robi, jest dobre i słuszne.

Red podszedł do kontuaru. Wiedział już, co ma powiedzieć. Osłabienie minęło.

- Chciałbym wstąpić w szeregi policji - oświadczył.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci.

Poniedziałek, 21 września 1998.

Keith Thompson stoi w połowie drabiny i robi leniwe okrążenia gąbką po szybie. Widzi smugi białych mydlin powstające i przemieszczające się pod jego dyktando, a w końcu znikające pod jego wycieraczką, która odsłania idealnie czyste okno, rozstępujące się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Firanki po drugiej stronie okna uniemożliwiają Keithowi zajrzenie w głąb pokoju. Mlaska.

Keith nie jest potencjalnym złodziejem wypatrującym odpowiedniego lokalu do obrobienia ani zboczeńcem - chociaż, prawdę mówiąc, zdarzało mu się w jego piętnastoletniej karierze czyściciela okien widzieć za szybami nagie kobiety. Prawda jest o wiele bardziej prozaiczna. Keith po prostu lubi patrzeć, jak się żyje innym ludziom. Nawet z nieruchomego obrazu pustego pokoju można się dużo dowiedzieć, patrząc na czasopisma, książki, zdjęcia i popielniczki.

Keith wyobraża sobie, że jest detektywem, zbierającym skrawki dowodów i tkającym z nich kompletne życiorysy. Kłójące się rodziny, rodzice krzyczący na dzieci i na siebie. Młode pary rozpoczynające wspólne życie, kiedy bycie ze sobą jest jeszcze wciąż przygodą. Młodzi kawalerowie pijący piwo i przechwalający się swoimi seksualnymi wyczynami. Trzydziestokilkulatkwowie mieszkający samotnie i usiłujący nie przyznać się przed samymi sobą, że małżeństwo prawdopodobnie przeszło im koło nosa - albo, dla odmiany, zastanawiający się, czy nie podejść do małżeństwa jak do kontraktu, który zadowala obie strony emocjonalnie i finansowo, bo to lepsze niż nic. Keith Thompson, superdetektyw. Oczywiście, często stawia złe diagnozy, ale nigdy się o tym nie dowie i nic go to nie obchodzi. Mycie okna niekoniecznie jest najbardziej intelektualnym zajęciem pod słońcem i te łamigłówki zabijają nieuniknioną nudę jego zawodu.

Kończy mycie okna z firanką i wspina się na szczyt drabiny, by rozpocząć mycie okna powyżej. Budynek jest podzielony na

188

189

mieszkania, więc to kolejne okno należy już do kogoś innego. Nowy widok i nowe życie.

Cholera. Zasłony są zaciągnięte. Wielkie, ciężkie zasłony, nie firanki. W środku pewnie śpi jakiś leniwy gnojek. Zanurza gąbkę w wiadrze z mydlinami i przeciąga nią po szybie.

Zasłony nie są jednak zasunięte do końca. Pomiedzy nimi jest szpara, szeroka na jakąś stopę. Keith przyciska twarz do szyby i osłania dłońmi oczy.

Za drzwiami wpada do pokoju przyćmione światło. Nie za dużo, ale wystarczająco. Po lewej stronie Keith widzi kanapę obok stojącego na kominku telewizora. Po drugiej stronie pokoju, przy przeciwnej ścianie, klęczy jakaś postać. Wygląda jak niewielki posąg. Obok niego jest rozlane coś, co plami jasny dywan. Pewnie czerwone wino.

Oczy Keitha wędrują dalej. Nie tylko jedna plama. Jeszcze jedna i jeszcze jedna, i jeszcze, aż wreszcie dostrzega, że cały dywan jest nimi pokryty.

Patrzy znowu na postać przy ścianie.

To nie jest posąg.

To człowiek. Człowiek z ranami na plecach. To krew jest przyczyną plam.

Keith czuje, że traci równowagę. Odrywa ręce od szyby i chwyta górę drabiny. Jego prawa stopa ześlizguje się ze szczebla i zawisa w powietrzu. Drabina chwieje się nieznacznie na boki.

Keith jest dwadzieścia stóp nad chodnikiem. Jeśli spadnie, z pewnością złamie jedną nogę. Może dwie. Może również i rękę. Sześć tygodni w gipsie, niezdolny do pracy. Niezbyt poręczny dla kogoś, kto prowadzi własny, jednoosobowy interes. Keith zna kobietę, która wypadła z okna znajdującego się na wysokości dwudziestu stóp. W zbyt wielkim szoku, żeby krzyczeć, siedziała i przez pół godziny rozmazywała na ścianie swoje własne odchody, zanim ktoś ją znalazł.

Trzyma się kurczowo drabiny, starając się jej nie przewrócić, wiedząc, że jest bezradny. Jeśli drabina upada, kreśli męcząco wolną parabolę, stopniowo nabierając prędkości, gdy tylko ciężar

190

obraca się wokół własnego punktu ciężkości. A on będzie świadomy każdej przeciągającej się sekundy.

Rozluźnij się, myśli. Po prostu miękko opadniesz i nie doznasz nawet połowy tych obrażeń, którymi skończy się upadek na chodnik z każdym mięśniem napiętym ze strachu.

Czeka, czeka i czeka, a potem nagle uświadamia sobie, że drabina przestaje się chwiać. Keith Thompson nie spadnie. Jeszcze nie dziś.

Schodzi z drabiny z przesadną ostrożnością, czując podszwami nierówność powierzchni każdego szczebla i stawiając ostrożnie obie stopy na każdym szczeblu przed zrobieniem następnego kroku. Jest tak bardzo skupiony na bezpiecznym dotarciu na ziemię, że nawet nie wie, kiedy do niej dociera, i próbuje zrobić następny krok w dół, ciężki, chwiejny krok, jakby schodził w ciemnościach po schodach. Trzęsącymi się rękami odpina telefon komórkowy od paska i dzwoni na policję.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty.

Kolejny poniedziałek, kolejny trup. Gorzkie myśli zgorzkniałego człowieka.

Red patrzy do swoich notatek. Matthew Fox, trzydzieści pięć lat. Inspektor podatkowy, prawie trzynaście lat w urzędzie skarbowym, ostatnio w sekcji Blackheath w biurze Lancaster House przy Newington Causeway. Zaszlachtowany na śmierć, prawdopodobnie maczetą. Nie był to taki zimny sadyzm jak w przypadku obdarcia ze skóry Barta Millera czy taka szybkość jak w przypadku odcięcia głowy Jamesowi Buxtonowi. Po prostu wściekłość, która znalazła ujście w ciosach maczetą. Matthew Fox został uderzony ponad dwadzieścia razy. Rany są długie i postrzępione, niektóre tak głębokie, że przez czerwoną masę widać białe kości. Większość z nich - na plecach i ramio-

nach. Prawe ramię ledwo się trzyma - zwisa bezwładnie, połączone z barkiem cienkim zawiasem z chrząstki i ścięgna.

Silne ślady są oznaką technicznej biegłości. Bardzo niewiele w nich artyzmu.

Ciało zostało porzucone tak, jak je znalazł Keith, na kolanach, twarzą do ściany, jakby w błaganiu. Srebrny Język musiał je tak ułożyć po śmierci. Red nie wyobraża sobie, żeby ktoś mógł utrzymać się w tej pozycji podczas nieprzerwanego ataku.

Nawet jeśli Matthew byłby związany, z pewnością osunąłby się na podłogę, próbując zwinąć się w kłębek. Jeśli nic innego, to siła uderzeń wcisnęłaby go w ziemię.

Nie ma widocznych ran na głowie. Albo Srebrny Język ją omijał, albo Fox osłaniał ją rękami. Co by znaczyło, że jednak nie był związany.

Red kuca, żeby przyjrzeć się twarzy z dołu. Wie, co znajdzie, ale chce mieć pewność. Jest, tak samo jak u poprzednich. Srebrna łyżeczka wepchnięta w usta. Cały nagi tułów ofiary jest we krwi, i to nie jest krew od ran zadanych maczetą, to krew z powodu odcięcia języka.

Krew jest wszędzie. Wszędzie. Nie tylko na dywanie, ale i na ścianie nad głową ofiary, a nawet na suficie. Red wyciąga szyję, żeby przyjrzeć się krwawym znakom nad swoją głową. Wyobraża sobie krew leącą z ostrza maczety, gdy Srebrny Język wyszarpywał ją z ciała i podnosił wysoko, zamierzając się do kolejnego morderczego cięcia.

Srebrny Język musiał mieć całe ubranie we krwi. Musiał. To była pierwsza rzecz, o jakiej pomyślał Red, gdy znaleziono ciało Philipa Rhodesa, i wciąż nie wpadł na rozwiązanie tego problemu.

Jak stąd uciekłeś, mój drogi? Szedłeś ulicami cały we krwi? Miałeś samochód i wysmarowałeś krwią siedzenia? Czy zmieniłeś ubranie i gdzieś je wyrzuciłeś? Tylko gdzie? Za każdym razem przeszukiwaliśmy wszystkie kosze na śmieci i śmietniki w najbliższej okolicy miejsca zbrodni i nigdy nic nie znajdowaliśmy.

Red podchodzi do okna i patrzy przez nie w stronę Westcombe Park Station. Słyszy pisk hamującego pociągu. To jeden ze sta-

rych pociągów Southern Region, pobrzękujących poprzez szarą nędzę Deptford i Bermondsey w drodze do miasta. Na tym właśnie polega problem z Blackheath. To ładne miejsce, ale jadąc do niego, mija się same obskurne dzielnice.

Odwraca się do pokoju.

To już piąty. Ilu jeszcze?

Rozdział pięćdziesiąty piąty.

Kiedy Red wraca do Scotland Yardu, robi coś, czego od dawna już nie robił. Zamyka drzwi swojego biura, wysuwa jedną z szuflad i wyjmuje teczkę wypełnioną artykułami, których nie powiesił na ścianie.

Czasami przegląda je bez powodu, dzisiaj jednak szuka czegoś konkretnego.

Wywiadu, który ukazał się w niedzielnym magazynie zaraz po skazaniu Erica, kiedy Red był pierwszy rok policjantem. Nawet teraz wciąż nie jest pewien, czy był bardzo

szczerzy, czy po prostu bardzo głupi, mówiąc to, co powiedział, kiedy próbował wyjaśnić ślicznej młodej dziennikarce Janinę Bloom, dlaczego bał się, że szaleństwo tkwiące w Ericu może tkwić również w nim.

Znajduje złożony na pół artykuł i rozkłada go na stole. Przebiega oczami po tekście. „Mam na myśli na przykład taką sytuację, gdy idzie się ulicą, widzi kogoś obcego i myśli: »Ciekawe, co bym czuł, zabijając cię? Co by było, gdybym dźgnął cię prosto w serce albo kopał cię, dopóki nie rozwalilibym ci głowy? Może mógłbym odgryźć ci nos albo odciąć ci ucho. Ciekawe, jak wyglądałyby twoje jelita, gdybym rozpruł ci brzuch? Czy krew trysnęłaby mile w górę, czy kapałaby żałośnie na ziemię? Jaki dźwięk wydałbyś z siebie w momencie, gdy życie by z ciebie uchodziło?«” Powiedział to, ponieważ tak myślał. I dlatego, że próbował wyjaśnić, jak to jest być kimś, kto zdradził własnego brata.

193

Rozdział pięćdziesiąty szósty.
Piątek, 25 września 1998.

Prośba Erica o zwolnienie warunkowe została odrzucona, tak jak się spodziewał. Złożył ją tak szybko, jak tylko mógł. Większość wyroków skazujących na karę więzienia zawiera klauzulę określającą, ile lat kary musi minąć, zanim skazany będzie mógł być zwolniony warunkowo, jeśli tylko rada do spraw zwolnień zdecyduje, że nie zagraża już bezpieczeństwu publicznemu. Kiedy Eric został skazany w 1983 roku, ustalono, że będzie mógł się ubiegać o zwolnienie warunkowe po piętnastu latach - nie licząc czasu, który spędził w areszcie przed i w trakcie procesu. Piętnaście lat właśnie upłynęło, a oni wciąż nie chcą go wypuścić. Są ludzie, którzy w ogóle nie mają prawa ubiegać się o zwolnienie warunkowe. Aż do czerwca 1993 roku minister spraw wewnętrznych mógł po cichu zmieniać terminy zwolnień, nikogo o tym nie powiadamiając, tak że niektórzy więźniowie, nie wiedząc, że i tak nie wyjdą na wolność, składali co roku podania. W czerwcu 1993 roku Izba Lordów zarządziła jednak, że więźniowie, których terminy zostały przedłużone przez ministra spraw wewnętrznych, będą o tym informowani i da się im szansę odwołania.

Pozostaje jeszcze „lista przebojów” przestępców, którzy nigdy nie wyjdą na wolność. Wśród nich znajduje się Jeremy Bamber, który zabił dla pieniędzy pięciu członków swojej rodziny, i Myra Hindley - połowa Morderców z Wrzosowisk. Jednak partner Hindley - Ian Brady nie znajduje się na tej liście, podobnie jak Peter Sutcliffe, Rozpruwacz z Yorkshire.

Nie ma na niej również Erica Metcalfe'a. A mimo to nie chcą go wypuścić. Nie za pierwszym razem. Eric zna nawet przyczynę tego stanu rzeczy.

To jego brat Red, Pan Pierdolony Superdetektyw, który zamknął go tu lata temu, jest tą przyczyną, ponieważ chcą uniknąć zarzutu o faworyzowanie rodzin swoich ludzi. Gdyby był bratem

194

kogoś innego, już dawno by go wypuścili, ale ponieważ jest, kim jest, odsiedzi swoje.

Cała ironia polega na tym, że Eric mógł być zwolniony w każdym momencie bez najmniejszej obawy, że wróci na ścieżkę zła. To właśnie próbował im powiedzieć. To dlatego był wzorowym więźniem-piętnaście lat odsiadki i jedyny przypadek złego zachowania to moment, kiedy próbował zabić swego brata. Skazany na życie za kratkami za chwilę szaleństwa, chwilę, kiedy nie był sobą. Ledwie pamięta, jak wyglądała Charlotte Logan, to było tak dawno. Wspomnienie jej twarzy bladło wraz z upływem lat. Czasami wydaje mu się, że może ją uchwycić na chwilę w myśli, ale od razu ten obraz znika, rozplywa się niczym Kot z Cheshire.

Przynajmniej ma własną celę. Jest ciasna, ale własna. Czasami zastanawia się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby popełnił zbrodnię w jakimś innym kraju. Na przykład w Stanach. Cóż, musiałyby starannie wybrać stan. Na przykład w dystrykcie Columbia nie obowiązuje kara śmierci, a na Florydzie i owszem. To był właśnie wielki błąd Teda Bundy'ego: został stracony, ponieważ zabił kilka ofiar na Florydzie. Gdyby Bundy wybierał miejsca swoich zbrodni z większą starannością, do dzisiaj pozostawałby wśród żywych.

Z drugiej jednak strony, Eric mógłby być w Bangkoku, Bogocie lub Bagdadzie. Latem cele rozgrzane jak piece, skóra przesiąknięta smrodem potu, ekskrementów i strachem, bo nigdy nie wiesz, czy następnym razem, gdy będziesz brał prysznic, nie przyprą cię do ściany i nie wypierdola bez litości tak, że będziesz miał wrażenie, jakby miecz zagłębiał się w twoich trzewiach.

Tak więc, w sumie, mógł trafić gorzej. Przeżył dzięki temu, że całą swoją wściekłość i nienawiść przepuszczał przez lejek do jednej butelki. Nie nienawidzi strażników - ani tych, którzy odnoszą się do niego przyjaźnie, ani tych, którzy traktują go jak szmatę. Nic dla niego nie znaczą. Nie nienawidzi nawet systemu, który odmawia mu wyjścia na wolność ze względu na stanowisko jego brata.

Jest tylko jedna osoba, której Eric nienawidzi. Tą osobą jest właśnie jego brat: Red. Nienawidzi go tak samo, jak wtedy, gdy próbował go zabić

195

w Highpoint. Twarz Charlotte mogła spłowić z upływem czasu, ogrom zdrady Reda - nigdy.

Eric wylicza powody, dla których nienawidzi Reda-szybko przychodzą mu do głowy. Nienawidzi go za przedkładanie innej rodziny nad własną. Za wzięcie pieprzonej nagrody. Za brak zrozumienia. Eric może pogodzić się z tym, że nie rozumie go społeczeństwo, ale nie jego własny brat. Przykro mu z powodu tego, co zrobił Charlotte, ale nigdy by nie zrobił czegoś takiego raz jeszcze. Cokolwiek zrobili i jeszcze zrobią z nim samym, nie przywróci to życia tej małej.

Słyszycie oczywiście o Redzie. Od czasu do czasu widzi go w telewizji albo jego nazwisko w gazetach.

To, czego Eric nie widzi, to Red każdego ranka balansujący na krawędzi szaleństwa. Braterstwo broni. Kto wie, który z nich jest bardziej niebezpieczny.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy.

Niedziela, 27 września 1998.

Wczesna jesień, ale w mieście wciąż gorąco. Jeszcze goręcej, gdy stoi się zderzak za zderzakiem w korku na High Street w Stoke Newington. Duncan i Sam siedzą w milczeniu w samochodzie. Jest koniec weekendu. Kolejne czterdzieści osiem godzin za nimi. Ich następny wspólny weekend za miesiąc. Cenny kawałek czasu dla Duncana, gdy może zabrać syna daleko od zgorzkniałej Helen.

- Tato?

- Tak?

- Czy mogę cię o coś zapytać?

Duncan posuwa się w korku kilka cali do przodu, próbując wcisnąć się przed forda fiestę stojącego na sąsiednim pasie. Kierowca fiesty zajeżdża mu drogę. Duncan wświdrowuje się

w niego wzrokiem, ale facet patrzy prosto przed siebie. Drzwi jego samochodu są zamknięte. Duncan odwraca się od kierowcy fiesty i spogląda na Sama.

- Jasne.

- Czy ty... kiedy jesteś w pracy, czy robisz ludziom krzywdę?

- To znaczy?...

- No, wiesz. Uderzasz ich. Bijesz.

- Nie. Nie ja. Ja jestem detektywem. Rozwiązuję zagadki kryminalne.

- Ale aresztujesz ludzi, prawda?

- Tak, czasami.

- A kiedy ich aresztujesz, czy ich bijesz?

- Nie.

- Nigdy?

- Jeżeli się opierają, niezbędne jest użycie minimalnej siły, żeby ich uspokoić. - Daj spokój, myśli Duncan. Jak głupio musisz brzmieć, gawędząc ze swoim dziewięcioletnim synem.

- Andy mówi co innego, tato. Andy. Mógł się tego domyślić.

Któżby inny, jak nie Andy? Andy, wykładowca na uniwersytecie westminsterskim.

Helen i Sam przeprowadzili się pół roku temu do jego domu w Stoke Newington. Od tego czasu poświęca niebywałą ilość czasu, próbując zatruć umysł Sama nienawiścią do policji w ogóle, a do Duncana w szczególności. Duncan spotkał Andy'ego tylko raz, gdy przyjechał zabrać syna ze Stoke Newington, i, jak nietrudno było przewidzieć, natychmiast znienawidzili się wzajemnie - tak bardzo, że Andy teraz ulatnia się za każdym razem, gdy Duncan zabiera albo przywozi Sama.

Andy. Pieprzony, modny, czytujący „Guardiana” koniobijca.

To zresztą typowe dla Helen. Nie trzeba być Freudem, żeby widzieć logikę w tym, że zaprzyjaźniła się z mężczyzną będącym skrajnym przeciwieństwem jej byłego męża.

Duncan jest reakcyjny, jątrzący, skryty i pragmatyczny. Andy jest postępowy, pojednawczy, wylewny i zasadniczy. Nic dziwnego, że się nie znoszą.

Duncan ze wszystkich sił stara się być rozsądny. Przede

196

197

wszystkim to nie wina Sama. Jest zbyt mały, żeby zrozumieć złożoność sytuacji.

- Co takiego mówi Andy?

- Że brutalność policji jest coraz większa i że większość ofiar milczy, bo jest zbyt przestraszona albo myśli, że ich skargi i tak zginą w biurokratycznej maszynie. Przytoczył to dosłownie, bez zrozumienia, jakby wyuczył się tego na pamięć. Słowa Andy'ego umieszczone w umyśle Sama.

- Co to jest biurokratyczna maszyna, tato? - pyta Sam, przemieniając się z powrotem z papugi w zmieszanego dziewięciolatka.

- Hm... to po prostu biurokracja.

- A co to znaczy biurokracja?

- To... hm... pewien system. Różnego rodzaju ministerstwa, jak na przykład te, które zajmują się szkołami i szpitalami, a także służby ratownicze, takie jak policja, straż pożarna czy pogotowie - wszyscy są potrzebni, żeby państwo mogło jakoś funkcjonować. Ale Andy pewnie miał na myśli policyjną procedurę. To są przepisy mówiące, co możemy, a czego nie możemy, żeby mieć pewność, że wszyscy, którzy mają kłopoty, otrzymają pomoc. A ponieważ tych przepisów jest bardzo dużo, załatwienie sprawy zajmuje bardzo dużo czasu.

- Aha.

Znowu zapada milczenie. Samochody z przodu ruszają, gdy światło zmienia się na zielone. Sam znowu się odzywa.

- Czy to prawda, tato? Z tymi ofiarami?

- Nie wiem. Jeśli ludzie chcą złożyć skargę na policję, są sposoby, żeby to zrobić, i te sposoby są doskonale znane. Próbujemy traktować wszystkich tak sprawiedliwie, jak tylko się da.

Zjeżdżają z głównej ulicy i jadą szybko bocznymi uliczkami, przy których pobielone domy walczą o lepsze z osiedlami mieszkaniowymi. Dziesięć lat temu Stoke Newington było po prostu jeszcze jedną ubogą, śródmiejską dzielnicą. Teraz dotrzymuje kroku Islington i Bayswater jako kolejne pole walki między nowym a starym.

Duncan skręca w lewo w Evering Road, przy której mieszkają
198

Helen i Andy. Zatrzymuje samochód na rogu, jak najbliżej ich domu i patrzy na Sama.

- Naprawdę świetnie się bawiłem - mówi.

Sam nie odpowiada. Spogląda ponad prawym ramieniem Duncana.

- Mama - szepcze.

Helen stoi przed drzwiami wejściowymi, ze skrzyżowanymi rękami. Pewnie patrzyła na zegarek, żeby mieć pewność, że Duncan nie przekroczył czterdziestu ośmiu godzin: od szóstej do szóstej, od piątku do niedzieli, bez żadnych wyjątków. Kiedyś tak bardzo zakochani, obecnie Helen i Duncan dziurkują kartę przy zegarze jak robotnicy kończący zmianę w fabryce. Od szóstej do szóstej. A potem już tylko pusta niedzielna noc, bardziej samotna przez tę pustkę, którą Sam na krótko wypełnił. Ale Duncan przestrzega umowy, ponieważ wie, że jej nieprzestrzeganie przyniosłoby więcej złego niż dobrego.

Sam wysiada z samochodu i przebiega przez ulicę, by objąć mamę. Rodzice w obecności dziecka powinni być wobec siebie uprzejmi. I zawsze są.

Duncan wysiada z wozu i patrzy na dom. Drzwi wejściowe są otwarte, ale wokół ani

ślada Andy'ego.

Helen wyswobadza się z objęć Sama i spogląda na syna. Ignoruje Duncana, nie mówi mu nawet zwykłego „cześć”.

- Dobrze się bawiłeś? - pyta Sama.

- Tak, dziękuję.

- Co robiliście?

- Poszliśmy do tego miejsca przy Queensway. Tego, w którym można jeździć na łyżwach, grać w kręgle i w gry wideo. Było super.

Duncan uśmiecha się.

- Tak. Dostałem łupnia w Grand Prix. Wygląda na to, że będziemy mieć nowego Damona Hilla.

„My będziemy mieć”. Niezły dowcip, myśli Duncan. Gdyby nie Sam, on i Helen nigdy by się już nie spotkali, żałując, że w ogóle spotkali się kiedykolwiek.

199

Gdy Helen patrzy na Sama, na jej twarzy pojawia się ciepło, a w oczach miłość.

Potem przenosi wzrok na Duncana i nie ma

ani jednego, ani drugiego.

- W każdym razie, Duncan, dziękuję, że go przywiozłeś.

Sądzę, że chcesz już jechać.

To oznacza: „Chcę, żebyś jak najszybciej się stąd wyniósł”.

- Właściwie, Helen, jest kilka spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać.

Wie, że mu nie odmówi, nie w obecności Sama. Helen posyła mu wściekłe spojrzenie za to, że ją tak podszedł. Patrzy ponownie na syna.

- Sam, tata i ja musimy wyjaśnić sobie parę spraw. Idź do domu i weź sobie coś albo coś w tym stylu, dobrze? Zaraz do ciebie przyjdę.

Myślą, że go oszczędzili, ale Sam zna rodziców wystarczająco długo, by wiedzieć, że kłótnia wisi w powietrzu i to samo w sobie jest wystarczającą tragedią. Odsuwa się od Helen i niezręcznie obejmuje Duncana w pasie.

- Cześć, tato. Trzymaj się.

- Ty też się trzymaj.

Duncan mierzwi włosy Sama, w szybkim ojcowskim geście, po czym chłopiec wbiega po schodach i wchodzi do domu. Ledwie Sam znika z pola widzenia, Helen wybucha:

- Czego chcesz?

- Co takiego Andy nagadał Samowi?

- O czym?

Duncan naśladowuje zatroskany liberalny głos:

- „Brutalność policji jest coraz większa. Większość ofiar milczy, bo jest zbyt przestraszona albo myśli, że ich skargi i tak zginą w biurokratycznej maszynie”.

- Brutalność policji?

- Tak. Dokładnie takich słów użył Sam. Jak wielu znasz dziewięciolatków, którzy

posługują się takim słownictwem? Co jeszcze Andy mu powiedział?

- To się stało podczas kolacji pewnego wieczoru. Andy

200

przyniósł do domu jakąś ekspertyzę czy coś w tym stylu, której przeprowadzenie zlecono uniwersytetowi. Sam zapytał, co to jest. Andy pokazał mu. Rozmawialiśmy o tym trochę. To wszystko.

- Powiedz Andy'emu, żeby się odpieprzył.

- Daj spokój, Duncan. Andy może robić, co mu się podoba.

- Jeśli Andy chce mieć moją pieprzoną żonę...

- Byłą żonę.

- .. to proszę bardzo. Ale syna mu nie oddam. Rozumiesz?

- Nie bądź kutasem, Duncan. Andy nie próbuje wepchać się między ciebie a Sama.

Nie próbuje zastępować mu ojca i nie próbuje nastawiać Sama przeciwko tobie. Andy mieszka ze mną i Samem. On i Sam są przyjaciółmi. Rozmawiają o wielu rzeczach. Byłbyś zdziwiony, gdybyś się dowiedział, że wcale nie jesteś głównym tematem ich rozmów.

Duncan grozi Helen palcem.

- Jeśli usłyszę, że Andy wciska Samowi jakiś kit, pokażę mu, na czym polega brutalność policji.

- Czy to groźba?

- Po prostu mu to powiedz.

Helen wbiega po schodkach i zatrząskuje za sobą drzwi, barierę pomiędzy jej starym mężem a nowym życiem. Duncan wraca do samochodu i odjeżdża powoli, postanawiając, że nie da Helen tej satysfakcji i nie usłyszy ona wściekłego pisku opon.

Zaciska zęby ze złości.

Manowce małżeństwa. Manowce życia.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy.

Być może w innych okolicznościach rodzice Reda zaakceptowaliby jego decyzję o wstąpieniu do policji. To nie była praca w księgowości, bankowości czy wymiarze sprawiedliwości, której jego ojciec oczekiwał, ale jednak dawała ona widoki na dobrą, solidną karierę. W innych okolicznościach, być może.

201

Jednak po tym wszystkim, co się stało, widzieli we wstąpieniu Reda do policji ostateczną zniewagę, dołożoną do poprzednich ran, których tak wiele zadał. Ojciec odwiedził go pewnego dnia bez uprzedzenia, by oświadczyć, że nie wezmą udziału w próbie ratowania jego sumienia i jeśli o nich chodzi, to nie chcą go już więcej znać. Red próbował temu staremu człowiekowi przemówić do rozsądku, a kiedy to się nie udało, zaatakował go. To był błąd - wiedział, że nawet gdyby cofnął pięści i tylko się bronił, nic nie zmieniłoby faktu, że chybił. Ojciec zniknął za drzwiami i, jakkolwiek trąci to banałem, z jego życia.

Samotny i zawzięty podczas ćwiczeń i zawsze wcześniej w pracy, biorący dodatkowe

dyżury, gdyż według własnego mniemania nie nadawał się do związków - Red niemal poddał się, jeśli chodzi o kobiety, kiedy poznał Susan w Addenbrooke's Hospital w Cambridge, gdzie pracowała jako pielęgniarka i była przesłuchiwana w sprawie mężczyzny pchniętego nożem. Następnego wieczora poszli razem na drinka, a po trzech miesiącach zostali małżeństwem. Szybko - kto wie, może za szybko. Red pokonał swą dumę i zaprosił na ślub rodziców, widząc okazję do pojednania. Nawet nie odpowiedzieli, nie mówiąc już o przyjeździe. Od chwili gdy Susan i on zostali małżeństwem, uważał ją za swoją jedyną rodzinę - swoją drugą połowę pod każdym względem, osobę, z którą zbuduje przyszłość i która pomoże mu zapomnieć o przeszłości.

To było przed tym, jak wszystko zaczęło iść źle.

Nawet teraz, po ponad siedmiu latach, Red naprawdę nie ma pojęcia, jak i dlaczego zaczęło iść źle. Przez pierwsze parę lat, kiedy małżeństwo i oni sami dla siebie byli czymś nowym i świeżym, wszystko układało się jak najlepiej. Potem urok nowości przeminął, a wraz z nim odeszły błysk i iskra. Może byłoby inaczej, gdyby mieli dzieci, coś, co oderwałoby ich od siebie, równocześnie trzymając ich razem. Pojawiły się pierwsze nieporozumienia związane z pracą Reda i jego coraz większą popularnością.

Większość ludzi cieszyłaby się, będąc partnerem kogoś sław-
202

nego, myśli Red. Trochę odbitej sławy, poczucie dumy, gdy się widzi swego małżonka na łamach gazet. Na dodatek Red nie jest jakąś tam gwiazdą pop albo piłkarzem, nie jest kimś, u kogo reporterzy z brukowców grzebią w śmietniku, by zdobyć dowód, że ma kochankę albo utrzymywaną w tajemnicy skłonność do kokainy.

A mimo to Susan tego nie lubi. Czasami Red myśli, że stale jest urażona uwagą, jaką mu się poświęca, że nie toleruje faktu, iż jej mąż jest człowiekiem sukcesu.

Oczywiście, Red może zrozumieć, że nie lubi, gdy pracuje do późna w nocy i że w każdej chwili może zostać wezwany. Chce, żeby jej poświęcał więcej uwagi, nie chce czuć się tą drugą - ale ostatnio nie okazywała mu zbyt wiele zainteresowania, nawet kiedy był w pobliżu. Chce, żeby jej poświęcał więcej uwagi, nie dając tego samego w zamian. Tak właśnie myśli Red.

I tak w kółko. Nie mówi jej o swojej pracy, ponieważ nie czuje, by ją to interesowało. Kiedy jej to wykazuje, ona wykręca kota ogonem i mówi, że nie pyta, bo on i tak jej nie powie. Stała się nieszczerą, ale on również taki jest. Czasami zostaje w pracy dłużej, niż musi. Nie chce mu się wracać do domu, bo raczej woli sam stawić czoło bezsennej nocy i niewysłowionej grozie, niż próbować przedrzeć się przez ślepią ścianę obojętności.

Czasami zaś, tak jak teraz, Red chciałby wszystko naprawić, nawet tylko po to, by udowodnić sobie, że może. Choć niechętnie, przyznaje, że psycholog miała rację. Pracuje teraz krócej i zatarł złe wrażenie po ich katastrofalnej rocznicy, zabierając Susan na weekend. Może to tylko zmiecie problemy pod dywan, zamiast zrobić solidne porządki, ale lepsze to niż nic.

A może nie? Ponieważ wszystko zacznie się od nowa, kiedy Srebrny Język uderzy znowu, kiedy niewidzialny lalkarz Reda pociągnie za sznureczki i zmusi go do tańca.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty.
Sobota, 17 października 1998.

- Och, kochanie - mówi Susan, udając amerykański akcent. - Czuję, jak moje tętnice odżywają od samego patrzenia na to.

Red szczerzy do niej zęby i wpatruje się w talerz. Jest pora lunchu, ale zamówił pełne angielskie śniadanie - kiełbaski, bekon, fasola w sosie pomidorowym, smażony chleb, jajka, pieczarki i kaszanka. Nakłada trochę kaszanki na widelec i wsadza go sobie do ust. Susan krzywi się.

- Jak możesz coś takiego jeść? Przecież to krew świni. Myślałam, że miałeś dosyć krwi przez ostatnie kilka miesięcy.

Red bierze następny kęs i popija piwem. Susan patrzy ponad nim, pełen widelec sałatki wędruje do jej ust.

- Skąd ja znam tego faceta? - pyta.

Red odwraca się, podążając za jej wzrokiem.

- Którego?

- Tego przy barze. W czarnym podkoszulku i zamszowej marynarce. Barmanka właśnie go obsługuje.

- To Nick Beckett. Studiowałem z nim. Był na naszym ślubie.

Red krzyczy przez cały pub:

- Nick!

Nick odwraca się w stronę, skąd dochodzi głos Reda, i jego twarz rozjaśnia się w pełnym zaskoczenia rozpoznaniu. Bierze od barmanki swoją resztę i podchodzi do nich, w jednej ręce trzymając piwo, drugą wyciągając na powitanie.

- Red i Susan Metcalfe'owie. A niech mnie.

Potrząsa ręką Reda, całuje Susan w oba policzki i siada przy stoliku.

- Dawno się nie widzieliśmy. Będzie z jakieś trzy albo cztery lata.

- Więcej, sześć albo siedem. Chyba ostatni raz na naszym ślubie.

- Jasna cholera, jak ten czas leci. No, ale oczywiście na okrągło oglądam pana Metcalfe'a w telewizji. Jak to jest być wielkim detektywem?

Red śmieje się.

- No, wiesz. Wciąż próbuję uczynić świat bezpieczniejszym miejscem. A co u ciebie? Dalej malujesz?

- Ostatnio niewiele. Otworzyłem galerię. Spędzam czas na wciskaniu ludziom gówna innych malarzy.

- Galerię? Gdzie?

- Tutaj, niedaleko. - Nick pokazuje za szybę. - Dosłownie na sąsiedniej ulicy.

Wpadam tutaj w porze lunchu na oranżadkę.

- Więc White Horse to twój lokal?

- Tak. Miły pub, z zawstydzającą klientelą.

- Co masz na myśli? - pyta Susan. Nick patrzy na nią.

- Cuda bez brody i sloanesi* bez mózgów, prawie bez wyjątków.

* Sloanes - absolwenci elitarnych szkół pochodzący z klas wyższych, charakteryzujący się konserwatywnymi poglądami i takimż stylem ubierania.

To jedyny pub, o którym wiem, że mogę do niego przyjść o wpół do jedenastej w sobotnią noc prosto z wesela, z twarzą ociekającą szampanem, we fraku i w ogóle okropny, i nikt nawet nie mrugnie. W większości miejsc gnojki wykopaliby cię, zanim byś zdążył wejść do środka. Kiedy przychodzę tutaj z ludźmi z galerii, gramy w Fantasy Sloanes. Gra się w to tak, jak w Fantasy Football, tyle że zamiast piłkarzy mamy sloanesów. Dostajesz dziesięć punktów za znalezienie sloanesa w czerwonych dzinsach albo żółtych sztruksach, piętnaście punktów za koszulkę rugby i całe pięćdziesiąt, jeśli ma obie te rzeczy i blezer na górze.

- A dziewczyny?

- „Bliźniak” i perły, obowiązkowo. Klapki z różowymi skarpetkami też są w cenie.

- Co się dzieje, gdy zdobędziesz pięćdziesiąt punktów?

- O, to jest właśnie najlepsze. Wszystko przebiega według

204

205

następującego scenariusza: latem w piątkowe i sobotnie wieczory wszyscy stają na podwórku, rycząc, gdy ten robi to albo tamten tamto. Wtedy możesz wybrać jeden z trzech sposobów zabicia wszystkich w pubie.

- Co to za sposoby?

- Po pierwsze, bomba zrzucona na dziedziniec. Dużo okaleczonych i sypiące się szkło. Dotyka bezosobowo, ale niezaprzeczalnie skutecznie. Po drugie, strzelanina w czasie jazdy. Ostrzelanie sukinkotów z jadącego samochodu. Bardzo w stylu cosa nostra. I w końcu - to mój ulubiony sposób - wynajmujesz pokój na najwyższym piętrze, po drugiej stronie ulicy, i zaczynasz strzelać. Zgromadzić ich wszystkich o jednej porze, tak jak w Zabójczej broni, kiedy myśleli, że Mel Gibson nie żyje, a on leżał na pustyni i wybijał ich jednego po drugim. Maksimum paniki, maksimum satysfakcji. Nie mogą uciec.

- Beckett, ty naprawdę jesteś chorym sukinkotem.

- Wiem. Masz jakiś wakat? Byłbym świetny w łapaniu świrów.

Śmieją się. Nick osusza kufel.

- No, to by było na tyle. Nie ma odpoczynku dla ludzi pracy.

- Wracasz do galerii?

- Tak. Chcecie iść ze mną?

Red patrzy na Susan, która kiwa głową.

- Czemu nie?

Nick czeka, aż Red i Susan skończą jeść, a potem prowadzi w dół bocznej uliczki.

- Na tej ulicy znajdują się głównie garaże, jak widzicie - mówi Nick. - Jest jedna wytwórnia płytowa, tam - pokazuje zielony budynek w rogu - i mój magazyn. Ten niebieski budynek po prawej. Poza tym tylko samochody, samochody i samochody. Dziwi mnie bardzo, że nie spędzają całego czasu na rozwalaniu jeden drugiego. To kawałek ubitej ziemi, ale niski czynsz i dobry punkt.

Wchodzą przez podwójne, szklane, rozsuwane drzwi do ogromnego pobielonego

pomieszczenia. Galeria.

- Jezu Chryste, Nick - mówi Red. - To jest wielkie jak hangar.

Nick uśmiecha się szeroko.

- Tak. Nazywamy to raczej „magazynem sztuki” niż galerią, ale nie mówiłem wam tego, bo pewnie uznalibyście, że Beckett jest pretensjonalny.

- Nick, wszystko, co robisz, uważam za pretensjonalne - mówi Red.

Nick idzie obsłużyć klienta, a Red i Susan przechadzają się wokół. Obrazy wiszą w rzędach na prześcieradłach, które zwisają z góry jak stalaktyty. Obok każdego obrazu znajduje się karteczka, na której każdy artysta napisał coś o swoim dziele. Jakość zarówno prac, jak i opisów jest różna - niektóre są dobre, niektóre poślednie, niektóre poruszające, a niektóre całkowicie chybione.

Susan lubi stać godzinami, gapiąc się na obrazy. Red nie. Dla niego, albo rozumie się obraz od razu, albo wcale. Jeśli potrzebujesz kawałka papieru, żeby wyjaśnić, co jest na twoim obrazie, to znaczy, że obraz jest po prostu kiepski. Czy można wyobrazić sobie van Gogha, który opatruje Słoneczniki komentarzem: „A to kawałek, który namalowałem wcześniej”?

Reda szybko nudzi chodzenie w ciszy pomiędzy prowizorycznymi korytarzami obrazów. Dochodzi do kontuaru, na którym jest ekspres do kawy z napisem:

PROSZĘ, POCZĘSTUJ SIĘ, co też Red robi, po czym niesie parującą kawę do kanapy ze sztucznej skóry. Na niskim stolyczku przy niej leży sterta albumów. Siada i bierze pierwszy z brzegu. Odwraca go, żeby przeczytać tytuł: Michał Anioł. Kaplica Sykstyńska.

Red nieuważnie kartkuje album. To już bardziej lubi. Nie propozycje miernot, a dzieła prawdziwego geniusza.

Pierwsza reprodukcja to widok całej kaplicy, ciemnoczerwonej w późnopołudniowym słońcu, z postaciami wspinającymi się na ściany i sufit, jakby przyszytymi przez szalonego tatuażystę.

Red odwraca stronę na akt stworzenia człowieka. Ręka Adama, słaba mimo swej muskulatury, gdy wyciąga ją do Boga.

206

207

Stworzenie Słońca i Księżyca, z brodatą twarzą Boga, zmarszczoną w skupieniu i jego ramiona rozwarte szeroko jak u dyrygenta. Ponownie Bóg, przechylający się do tyłu, trochę jak bramkarz, gdy wprowadza Porządek do Chaosu. Peleryna Dawida owinięta w pasie, gdy stoi okrakiem na leżącym twarzą do ziemi Goliacie. Dusza przeklęta daremnie zapierająca się, gdy demony wloką ją do piekła.

Obrazy przechodzą z kartek do głowy Reda.

Coś opuścił. Przewraca kilka kartek do tyłu i patrzy znowu.

Ściana Sądu Ostatecznego. Chrystus u podstawy ściany na krzyżu i jeszcze raz na górze, jego prawa ręka podnosi się, podczas gdy Dziewica odwraca się skromnie do tyłu. Stwórca przedstawiony niejako brodata postać, ale jako prawdziwe wcielenie nieodpartej odwiecznej siły kosmosu. Róż dobrze zarysowanych ciał na tle pełnego błękitu nieba. Tak wiele się dzieje, a jednak nic nie następuje. Dziwna kombinacja

dramatycznego podniecenia i pogodnego spokoju.

Znów przewraca kilka kartek. Tutaj.

Obraz, który opuścił. Pod Chrystusem, po jego lewej stronie.

Kilka kartek dalej powinno być powiększenie. To właśnie je zapamiętał.

Red przewraca gorączkowo kartki, prawie drąc papier palcami.

Znalazł.

Święty Bartłomiej, patrzący dzikim wzrokiem w górę na Mesjasza. Ma ogromną kręconą brodę i jest kompletnie łysy, a jego masywne uda przywierają do skały, na której siedzi okrakiem.

Bartłomiej wymachuje nożem trzymanym w prawej ręce, a w lewej trzyma swoją skórę.

Tak jak Bart Miller.

Czas staje w miejscu.

Red zdaje sobie sprawę z tego, co widzi, ale nie może skupić się na tyle, by dotarła do niego doniosłość tego odkrycia.

Przeciążenie zmysłów.

Oczy wpatrują się w obraz, dopóki nie wypełnia on całego pola widzenia.

Uszy tłumią dźwięki, jakby wjechał do tunelu.

Palce zaciskają się do białości na błyszczącej twardej okładce albumu.

Posmak jajka w nagle wyschniętym gardle.

Zapach kawy z kubka obok niego.

Spojrzenie Reda wędruje w dół do czarnych pajęczków tekstu pod ilustracją: „Rycina 26. Święty Bartłomiej. Według legendy apostoł Bartłomiej został żywcem obdarty ze skóry. Ta postać - najsłynniejsze zobrazowanie losu Bartłomieja - ujawnia głębię rozpacz Michała Anioła. Twarz na zdartej skórze, którą święty trzyma w dłoni, jest twarzą Michała Anioła właśnie”.

Red przenosi wzrok z powrotem na reprodukcję i po raz pierwszy dostrzega na skórze twarz, straszliwie wykrzywioną, zniekształconą i z ciemnymi dziurami w miejsce oczu i ust.

Święty Bartłomiej. Bart Miller. Bartholomew - Bartłomiej - Miller.

Coś z imionami.

Jez wspomniał o tym, gdy jechali, by przesłuchać Alison Bird w Reading. Ale mówili o imieniu James. Cały czas był na właściwym tropie, tylko o tym nie wiedział. Był tak blisko wtedy, jadąc do Reading, a potem zmarnował tyle tygodni. Aż do teraz, gdy, zakreśliwszy pełne koło, wraca do punktu wyjścia.

Red czyta jeszcze raz tekst pod reprodukcją i znajduje słowo, którego szukał.

Apostoł.

Coś z imionami.

Philip Rhodes. James Cunningham. James Buxton. Bart Miller. Matthew Fox.

Filip. Jakub. Jakub. Bartłomiej. Mateusz.

Apostołowie.

To nie jest morderca gejów. To nie jest ktoś żywiący urazę do bogaczy.

Red w końcu wie, przeciw komu występują, i ta wiedza przeraża go bardziej, o wiele bardziej, niż poprzednia niepewność. Ale znalazł klucz i teraz ma siłę dziesięciu ludzi.

Odkłada album powoli na kanapę i zamyka oczy.

Do głowy przychodzi mu cytat. Cytat z Milczenia owiec, który stoi oprawiony w ramkę na jego biurku w Scotland Yardzie.

„Rozwiązanie problemu jest niczym udane polowanie; daje dziką radość, radość, do której jesteśmy zrodzeni”*.

* Thomas Harris, Milczenie owiec, przeł. A. Szulc, Wydawnictwo Amber, Warszawa 1999.

CZEŚĆ DRUGA.

Żyję dla grzechu... Życie mrze we mnie.

Michał Anioł (przeł. Leopold Staff).

Rozdział sześćdziesiąty.

Siedzą, wszyscy czworo, przy stole w kuchni Reda. Susan wyszła na przyjęcie, zabrawszy ze sobą butelkę białego wina i przeprosiny męża. Wiedziała, że lepiej nie zmuszać go do wyjścia, nie teraz, gdy odżył po raz pierwszy, odkąd cała ta sprawa się zaczęła.

Kate zajmuje się gotowaniem, zrzedząc żartobliwie na temat męskich szowinistycznych świń, po czym stwierdza, że chyba jest na służbie żywieniowej, a poza tym to, co oni by zrobili, byłoby niejadalne. Serwuje im steki w sosie musztardowym i ogromną miche surówki z ogórka, kukurydzy, sałaty i awokado. Jedzą szybko i łapczywie, jakby ledwo mogli opanować podniecenie z powodu rozpracowania przez Reda Srebrnego Języka.

Red otwiera Biblię.

- O, tutaj. Ewangelia świętego Mateusza, rozdział 10, wersy od 2 do 4: „A oto imiona dwunastu apostołów: pierwszy Szymon, zwany Piotrem, i brat jego Andrzej, potem Jakub, syn Zebedeusza, i brat jego Jan, Filip i Bartłomiej, Tomasz i celnik Mateusz, Jakub, syn Alfeusza, i Tadeusz, Szymon Gorliwy i Judasz Iskariota, ten, który Go zdradził”.

Jego oczy błyszczą w świetle.

- Porównałem tę listę z innymi ewangeliami i znalazłem kilka nieścisłości. Od razu dodam, że nie w imionach tych, którzy zostali zabici, a tych, którzy wciąż żyją. - Zerka na kartkę przy talerzu. - Nie znalazłem pełnej listy u Marka, jest taka natomiast u Łukasza, gdzie imię „Tadeusz” zostało zmienione na „Juda, brat Jakuba”.
- Co się w takim razie stało z Judaszem Iskariotą?-pyta Jez.
- Jest tam również. U Łukasza jest Juda i Judasz. A Jan

wspomina o kimś o imieniu Natanael, chociaż w jego ewangelii również nie ma pełnej listy.

Red wyjmuje grubą książkę z ciemnożółtą okładką.

- Trzecią listę znalazłem tutaj. To najlepsza z nich.

- Co to za książka? - pyta Duncan.

Red odwraca ją tak, żeby pozostali mogli odczytać tytuł: Słownik zwrotów i mitów Brewera, wydanie rocznicowe.

- To bardzo stary egzemplarz - mówi Red. - Znalazłem go na półce. Nie wiem nawet, skąd go mam. Nie przypominam sobie, żebym go kupował. Może należy do Susan albo do moich rodziców. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Otwiera słownik na stronie, którą wcześniej zaznaczył żółtą karteczką, i kładzie go na stole, żeby pozostali również mogli widzieć.

Apostołowie. Atrybuty lub symbole czternastu apostołów (to jest oryginalnych dwunastu oraz Macieja i Pawła):

Andrzej - krzyż X, ponieważ został na takim ukrzyżowany.

Bartłomiej - nóż, ponieważ został obdarty ze skóry za pomocą noża.

Jakub Starszy - muszla, kij pielgrzyma albo bukłak, ponieważ jest patronem pielgrzymów.

Jakub Młodszy - pałka folusznika, ponieważ został zabity uderzeniem pałką w głowę przez Symeona folusznika.

Jan - kielich ze skrzydlatym wężem, co jest aluzją do legendy o Aristodemosie, kapłanie Diany, który nakłaniał Jana do wypicia trucizny. Jan uczynił znak krzyża na kielichu. Szatan pod postacią węża wyleciał z niego, a Jan wypił zawartość kielicha, która była już zupełnie nieszkodliwa.

Judasz Iskariota - trzos, ponieważ „mając trzos, wykradał to, co składano” (Jan 12,6).

Juda - maczuga, ponieważ został zatłuczony na śmierć maczugą.

Mateusz - topór albo halabarda, ponieważ został uśmiercony w Nadabar halabardą.

214

Maciej - topór, ponieważ najpierw został ukamienowany, a potem ścięto mu głowę toporem.

Paweł - miecz, ponieważ został ścięty mieczem.

Piotr - pęk kluczy, ponieważ Chrystus dał mu „klucze królestwa niebieskiego”.

Również kogut, ponieważ wyparł się Jezusa trzy razy, zanim zapał kogut (Mt 26,75).

Filip - długa laska zakończona krzyżem, ponieważ poniósł śmierć powieszony za szyję na wysokim filarze.

Szymon - piła, ponieważ, według tradycji, został przepiłowany.

Tomasz - włócznia, ponieważ został przebity włócznią w Mailapur.

Red zamyka głucho książkę.

- O mój Boże - szepcze Kate. - O mój Boże. On myśli, że jest Jezusem Chrystusem, prawda? On naprawdę myśli, że jest Mesjaszem. Zbiera apostołów. Zabija ich zgodnie z ich symbolami.

Red kiwa głową.

- Zestawiłem to ze wszystkimi morderstwami. Posłuchajcie, co mi wyszło.

Odszukuje odnośny ustęp i powtarza na głos:

- Filip doznał śmierci w wyniku powieszenia na wysokim filarze; Jakub Młodszy

został zabity przez uderzenie głowy pałką; symbolami Jakuba Starszego są muszla, kij pielgrzyma albo bukłak; Bartłomiej został obdarty ze skóry nożem; symbol Mateusza to topór albo halabarda, ponieważ został zgładzony za pomocą halabardy. Widzicie? Wszyscy pasują, z wyjątkiem jednego. Jeśli przyjmiemy, że biskup jest Jakubem Młodszym - tym, który został zatłuczony pałką folusznika - wtedy James Buxton musi być Jakubem Starszym. Tyle że Jamesowi Buxtonowi ścięto głowę. Sprawdziłem jeszcze raz protokoły śledztwa. W domu, w którym został zabity, nie było żadnych śladów muszli, kijów ani bukłaków.

Kate bierze słownik ze stołu i przygląda się liście.

- Ale jak on ich wybierał? - Duncan wygląda na dezorientowanego. - Po prostu na podstawie imion?

215

- Wygląda na to, że tak - odpowiada Red. - W każdym razie jak do tej pory.

- Więc jak mamy go szukać? - pyta Duncan. - Ostrzec wszystkich Londyńczyków o imionach Andrew, Simon, John i tak dalej, że grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony szaleńca, który myśli, że jest Mesjaszem? Chyba wołałem już, kiedy szukaliśmy mordercy gejów.

- O ile sobie przypominam - dodaje Jez - to mówiłeś wtedy, że szczekamy pod niewłaściwym drzewem. Wygląda na to, że miałeś rację.

Duncan łaskawie nie triumfuje ani nie wygląda na zadowolonego z siebie. Kate przewraca kilka kartek w słowniku i nagle zachłystuje się powietrzem, patrząc w tekst.

- Co jest? Znalazłaś coś? - pyta Red.

- Spójrzcie na to hasło. - Wskazuje na tekst i zaczyna czytać: - „Apostolskie łyżeczki. Srebrne łyżeczki z figurą jednego z apostołów na zwieńczeniu rączek, w dawnych czasach dawane przy chrzcie”. - Kate podnosi wzrok. - Nasz morderca używał zwykłych srebrnych łyżeczek, ponieważ nie chciał, żebyśmy od razu wpadli na właściwy trop.

- Racja - mówi Jez. Kate czyta dalej:

- Dzieci obdarowywano dwunastoma łyżeczkami, symbolizującymi dwunastu apostołów, czasami czterema, symbolizującymi czterech ewangelistów, a czasami tylko jedną. Sporadycznie - kompletem, zawierającym dodatkowo „Pana Łyżeczkę” i „Panią Łyżeczkę”. Srebrne łyżeczki są dawane dzieciom wywodzącym się z najbogatszych klas, stąd powiedzenie: „urodzony ze srebrną łyżeczką w ustach”.

- Cóż, to wyjaśnia zagadkę łyżeczek - mówi Duncan.

- Niewykluczone, że nie tylko ją - stwierdza Red.

- To znaczy?

- To znaczy, że wyjaśnia to, czy nasz człowiek poluje na wszystkich czternastu apostołów wymienionych w słowniku czy tylko na oryginalną dwunastkę - bez Macieja i Pawła. Ponieważ

216

komplet łyżeczek liczy dwanaście sztuk, to, moim zdaniem, oznacza tylko dwunastu apostołów.

- Naciągane - stwierdza Jez.

- Być może - przyznaje Red. - Ale spójrz na to w szerszym kontekście. Weź pod

uwagę również języki.

- Dlaczego języki?
- Do czego służy ci język?
- Rozważaliśmy już tę kwestię - mówi Duncan.
- Tak, tamtej soboty w maju, po pierwszych dwóch morderstwach. I mieliśmy rację. Tylko jeszcze o tym wtedy nie wiedzieliśmy. Języki i imiona, wspomniane w początkowej fazie śledztwa. Małe przypadkowe rzeczy, o których mówiliśmy, i dopiero teraz odkrywamy, co one znaczą. Tak czy owak, spróbujmy znowu. Do czego służy język?
- Do jedzenia - odpowiada Kate.
- I mówienia - dorzuca Duncan.
- Właśnie. Do jedzenia i mówienia. A teraz powiążcie to z waszą wiedzą o apostołach.
- Cóż - mówi Jez - jeśli chodzi o jedzenie, przychodzi mi na myśl ostatnia wieczerza.
- Albo cudowne rozmnożenie chleba - dodaje Kate.
- A mówienie? Patrzą pustym wzrokiem.

Red ponownie otwiera Biblię i szybko przerzuca kartki.

- Tutaj, ewangelia świętego Mateusza, rozdział dziesiąty. Jezus posyła uczniów. Po co? Po to, żeby głosili słowo. „Idźcie raczej do owiec, które poginęły z domu Izraela. Idźcie i głoscie: Bliskie już jest królestwo niebieskie”. Rozumiecie? Głoscie. Głoscie Słowo.

Jez potakuje.

- Rozumiem. Ostatnia wieczerza, cudowne rozmnożenie chleba, posłanie apostołów
- tylko oryginalnych dwunastu uczestniczyło we wszystkich tych wydarzeniach, prawda?
- Właśnie. Zbiera języki, ponieważ mają dla niego wartość symboliczną. Stanowią kamień węgielny tego, czym apostołowie

217

-jego apostołowie - są. Nie potrzebuje ich ciał, tylko ten mały kawałek, który żyje w nim. Cała dusza w małym kawałku ciała. I to ostatecznie wyklucza Pawła i Macieja. Oni nie byli apostołami Jezusa. Obaj dołączyli do apostołów już po tym, jak został ukrzyżowany.

W tym szaleństwie jest metoda. Red widzi to teraz. Misja od Boga, całkiem dosłownie.

- To wyjaśnia również, dlaczego ofiary były prawie kompletnie rozebrane - mówi Jez.

Ogólne zdziwienie. Jez uśmiecha się.

- Pomyślcie tylko. Za kogo nasz człowiek się uważa? Za Jezusa Chrystusa, prawda? Bardzo wielu seryjnych morderców tak o sobie myśli. Pamiętacie Larry'ego Gene'a Bella? W latach osiemdziesiątych zabił w Stanach dwie dziewczyny, a kilka lat temu został stracony. Utrzymywał, że jest Jezusem i chciał ponieść śmierć na krześle elektrycznym, a nie przez śmiercionośny zastrzyk, ponieważ krzesło było zrobione z „prawdziwego dębu” -jak krzyż Chrystusa. Przekonaliśmy się już, że nasz człowiek, Srebrny Język, bardzo dosłownie traktuje swoje powołanie. A co jest najbardziej trwałym obrazem chrześcijaństwa? Ukrzyżowanie, prawda? Bardziej niż z powodu

narodzin w Betlejem, bardziej niż z powodu cudów, Jezus był słynny z powodu swojej śmierci. Pomyślcie o tym krzyżu. Srebrny Język wierzy, naprawdę wierzy, że jest wcieleniem Jezusa. Więc kiedy zabija, myśli też o swojej śmierci na krzyżu, kiedy za całe odzienie miał przepaskę na biodra. Wszystkie jego ofiary są w zasadzie ubrane tak, jak Jezus w chwili śmierci.

Kate pokazuje na pozostałe steki.

- Jedzcie, bo wystygną. Możemy skończyć dyskusję później. Jeśli o mnie chodzi, to było w tym za dużo religii jak na jeden raz.

Gdy jedzą, jedynym dźwiękiem jest stukanie sztućców o porcelanę.

„Rozwiązanie problemu jest niczym udane polowanie; daje dziką radość, radość, do której jesteśmy zrodzeni”.

Red jedząc, przeżuwa swój sukces. Dźga wielkie kawały steku widelcem i nakłada na szczyt sałatę. Kończy długo przed innymi i, wciąż żując ostatni kęs, wstaje, by przynieść wodę. Pozostali nadal siedzą przy stole.

Red znajduje szklany dzbanek w jednej z szafek nad zlewem i napełnia go wodą.

Mięso ciąży mu w ustach. Może zjadł trochę za dużo. Stawia dzbanek na kredensie i przetyka. Kawałek mięsa utkwiał mu w tchawicy. Przetyka raz jeszcze, solidniej.

Bezskutecznie.

Otwiera usta, by wciągnąć powietrze, ale stek wciąż mocno tam tkwi. Jego oddech gwizdże, jakby próbował znaleźć drogę obok zapory. Red po raz trzeci próbuje przełknąć i znowu nic.

Panika rośnie.

Usiłuje krzyknąć: „Nie mogę oddychać. Nie mogę wydać z siebie głosu”.

Zamyka oczy, a kiedy otwiera je z powrotem, świat staje się monochromatyczny.

Patrzy na małe doniczki z ziołami ustawione w rzędkach na półce przed nim. Zieleń i brąz teraz stają się różnymi odcieniami szarości. Zabawne. Pamięta, jak myślał tego popołudnia, że zdjęcia Kaplicy Sykstyńskiej znacznie lepiej wyglądają w kolorze. A tu nagle cały jego świat stał się czarno-biały.

Dźwięk również odszedł. Żadnego szczęku sztućców o talerze, żadnego brzęku szklanek. Nie ma nawet niskiego pomruku ruchu ulicznego za oknem, który stanowi stały element życia w wielkim mieście.

Zupełna cisza.

I nagle nic go to już nie obchodzi.

Czuje, że odwraca się do pozostałych, ale to jest tak, jakby ktoś inny nim poruszał.

Ma absurdalne poczucie wolności. Tlen odpływa z jego mózgu, ale nie martwi się tym. To jak najlepszy ze snów, sen, którego nie chce się dośnić do końca.

Red widzi pozostałych. Poruszają się w zwolnionym tempie. Usta Duncana wolno otwierają się i układają w kształcie idealnie okrągłej litery „o”. Oczy Kate rozszerzają się, aż w końcu zajmują pół twarzy.

218

219

I Jez, wstając tak, że krzesło przewraca się za nim bezgłośnie na podłogę.

Jez pokonuje przestrzeń między nimi w dwóch ogromnych susach, wypełniając pole widzenia Reda, a potem znów znika.

Red widzi teraz zlew. Czuje tępy ból między łopatkami.

I nagle dźwięki wracają, i kolory zalewają jego załzawione oczy, i wszystko porusza się w normalnym tempie, i Red pochyla się nad zlewozmywakiem, wykasłując wnętrzności. Długie kropelki płwociny kapią wolno z jego ust, a przeżuty szary kawałek mięsa ląduje w zlewie.

Red kończy kasłać, nabiera powietrza w płuca, po czym patrzy w górę.

- Dzięki - mówi i uśmiecha się słabo. Jez wygląda, jakby zobaczył ducha.

- Jasna cholera, Red - mówi z trudem. - Myślałem, że już po tobie.

- Zdaje się, że jesteś bardziej przerażony ode mnie.

- A pewnie, że jestem. - Jez nie uśmiecha się. - Poważnie, człowieku, cholernie mnie wystraszyłeś.

Kładzie rękę na krzyżu Reda i wracają do stołu. Kate zrywa się i całuje Jeza w usta w podziękowaniu.

- Nawet nie zauważyłam, co się dzieje - mówi do Reda. - W jednej chwili bierzesz wodę, a w drugiej Jez przechyla cię nad zlewem i wali ciosem karate w plecy.

Przez chwilę rozmawiają o wypadku, zgadzając się, że Red miał szczęście, i wnoszą toast na cześć Jeza za to, że uratował mu życie. Duncan zmywa i przygotowuje kawę, a potem siadają nad parującymi kubkami i próbują ustalić, co powinni zrobić.

Duncan pokazuje na książki leżące na stole.

- Wszystko pięknie - mówi - ale w jaki sposób to może nam pomóc? Niech będzie, że wiemy, według jakiego klucza działa Srebrny Język. Wiemy, ile ostatecznie będzie ofiar. Znamy ich imiona i mniej więcej wiemy, w jaki sposób zostaną zabite. Ale to wszystko. Wydaje się, że to dużo, ale tak naprawdę to niewiele. Gdy trzeba będzie przewidzieć jego następne uderzenie,

okaże się, że nie wiemy, kiedy, gdzie i kto będzie ofiarą. I nie jestem pewien, czy to nie jest gorsze, niż gdybyśmy nie wiedzieli nic. Nasze szansę na złapanie go właściwie wcale nie wzrastają.

- Ale wiemy przynajmniej, gdzie zacząć szukać - mówi Red. - Osobiście obstawiam religijnych fanatyków. Nowe tysiąclecie jest tuż za progiem, na miłość boską. Wokół tysiące świrów, którzy głoszą koniec świata i całe to gówno. Pierwsza rzecz, jaką zrobimy w poniedziałek rano, to zaczniemy ich sprawdzać. Chcę sprawdzić wszystkie sekty, a ich przywódców przesłuchać. Chcę porozmawiać z każdym wikarym każdego kościoła w Londynie. Wszystko, co ma jakikolwiek związek z chrześcijaństwem, chcę mieć pod pieprzonym mikroskopem. Nawet facetów, którzy stoją na rogach, krzycząc o Biblii. Właściwie możemy zacząć już od jutra. Kto ma ochotę na wycieczkę do Speakers' Corner*? Zawsze można tam znaleźć solidną reprezentację biblistów.

* Speakers' Corner (Róg Mówców) - część Hyde Parku.

- Nie sądzę, żebyś chciał podać to do publicznej wiadomości - mówi Kate.

- Nie - odpowiada Red. - Zdecydowanie nie.

- Ale musimy wziąć paru mundurowych do pomocy, prawda? Sami nie damy rady wszystkich sprawdzić. Robilibyśmy to do końca świata.

- Zgoda, pod warunkiem że nie powiemy mundurowym, dlaczego to robimy. Nie możemy zdradzić im klucza. Będziemy rozpracowywać wątek religijny aż do skutku. Na pewno coś gdzieś znajdziemy. Srebrny Język uważa się za Jezusa Chrystusa - i to

dosłownie. Musi mieć jakiś związek z religią. Trzeba go tylko znaleźć.

- Ale teraz, gdy już wiemy, czy nie jest naszym obowiązkiem ostrzec ludzi?
- Jak, Kate? Jak mamy ich ostrzec? Wydać oświadczenie ostrzegające ludzi o danych imionach, żeby się pilnowali, dopóki, cytuję, Miejskie Siły Policyjne nie zatrzymają podejrzanego, koniec cytatu? To by dopiero się zrobił chaos. Całkowity, pie-

220

221

przony chaos. Zmąciłibyśmy tylko wodę, a sobie zapewnili tysiące godzin bezsensownej roboty więcej.

- Dlaczego?

- Dlatego, że zostalibyśmy zalani fałszywymi donosami i wszystkie musielibyśmy sprawdzić. Prawdopodobnie mielibyśmy na dodatek kilka przypadków naśladowania zbrodni i to tylko byśmy uzyskali, że Srebrny Język zszedłby jeszcze głębiej do podziemia. Nie. Nie ma mowy, żebyśmy podali to do publicznej wiadomości.

- To mogłoby odnieść przeciwny skutek.

- Co takiego?

- Jeśli podalibyśmy to do publicznej wiadomości, Srebrny Język mógłby wyjść z ukrycia. Chciałby wszystkim udowodnić, że to on jest prawdziwym Mesjaszem.

- Kate, on już jest przekonany o tym, że jest Mesjaszem, przynajmniej w swojej głowie. Pewnie spędza całe popołudnia na przemienianiu wody w wino i chodzeniu po pieprzonej Tamizie. On ma misję, w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Nie wyjdzie z ukrycia tylko po to, żeby zaznaczyć swoją obecność.

- Ale to może trwać całe lata.

- Nie - mówi Jez. - Nie może. Patrzą na niego.

- Dlaczego nie? - pyta Kate.

- Już o tym mówiliśmy. Milenium. Właśnie dlatego to robi. Niebawem będzie rok 1999. Jeśli przeczytacie jakąkolwiek przepowiednię, traktat religijny, cokolwiek, zawsze tam będzie mowa - czy też zawsze będzie to można tak interpretować - o tym, że w 1999 roku wydarzą się wielkie rzeczy. Koniec świata, trzecia wojna światowa, czterej jeźdźcy Apokalipsy, Armagedon, Sąd Ostateczny. Długo można wyliczać. Nasz człowiek będzie się tego trzymał. Zakończy dzieło w przyszłym roku, i prawdopodobnie wcześniej niż później, tak żeby mieć czas, jeśli coś pójdzie nie po jego myśli.

Nie w pełni rozumieją.

- On ma plan. Nie powoduje nim zwykłe pragnienie zabijania ludzi. On przygotowuje sam siebie.

222

- Do czego?

Boski wiatr wieje przez pokój, gdy Jez wypowiada tę nieznośną prawdę.

- Do swego Powtórnego Przyjścia.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy.

Interludium.

Euforia Reda jest krótkotrwała.

Szukają przez tydzień, pracując dwadzieścia cztery godziny na dobę, i nie znajdują nic.

Na Speakers' Corner w tę sobotę występuje pięciu domorosłych kaznodziejów. Red i Kate mieszają się w tłum i słuchają ich, gdy wychodzą i mówią swoje. Niebo jest pochmurne i pogoda zaczyna się psuć, jesień skrada się za długim gorącym latem, a mężczyźni stojący na odwróconych skrzynkach po mleku powtarzają się albo odbiegają od tematu tak szybko, jak odchodzą tłumy, które ich słuchały.

Red wie, że Srebrnego Języka próżno szukać wśród kaznodziejów. Srebrny Język jest bardzo dobrze zorganizowany: nie tylko ma określoną misję, ma również na swoim koncie zabicie pięciu ludzi bez pozostawienia najmniejszego śladu. Żaden z tych smutnych nieudaczników, paradujących w niebieskich kamizelkach i prawiących kazania, nawet się do niego nie umywa.

Red w każdym razie bierze na siebie kaznodziejów, którzy wierzgają i krzyczą o wolności słowa, gdy pojawia się cała ciężarówka mundurowych, by ich zwinąć.

Wszyscy mają alibi na przynajmniej jedno z morderstw: dwóch z nich to imigranci, którzy pojawili się w Wielkiej Brytanii dopiero w czerwcu. Wychodzą na wolność jeszcze przed zmrokiem, jęcząc o naruszeniu swobód obywatelskich i grożąc procesem. A pierdolcie się, myśli sobie Red.

Pierwsze, co Red robi następnego ranka - w poniedziałek -

223

to zmontowanie ekipy pięćdziesięciu detektywów i wysłanie ich do wszystkich chrześcijańskich kościołów według ściśle wyznaczonych sektorów. Wracają w piątek po południu i nie mają nic do powiedzenia z wyjątkiem tego, że frekwencja w kościołach spada. Przesłuchali wszystkich miejscowych wikariuszy i księży, nie tylko dlatego, że chcieli sprawdzić ich uprawnienia, ale także po to, by przyjrzeć się tym członkom ich zgromadzeń, którzy dziwnie się zachowują. Nie powiedzieli im, dlaczego zadają takie właśnie pytania. Kilku z nich wskazało niepewnie „świrów” lub nowych członków swoich kościołów, ale to nic nie dało.

W Londynie jest więcej sekt, niż Red się spodziewał. Red, Jez, Duncan i Kate dzielą pomiędzy siebie większość z nich, ale i ich sprawdzenie nic nie daje. Jez określa wszystkich należących do sekt jako „szczęśliwych, cholernych klakierów” - Red jest skłonny się pod tym podpisać.

Sprawdzają wszystkich pacjentów szpitali dla umysłowo chorych w Londynie, którzy zostali wypisani w ciągu ostatnich pięciu lat, przed pierwszym maja tego roku. Żaden z nich nie uważa się za Jezusa Chrystusa.

Pewnego dnia, w porze lunchu, zjawia się pani psycholog i wdaje się w półgodzinną szermierkę słowną z Redem. Policjant mógłby się bez niej obyć. Zwraca jej uwagę, że teraz, gdy wiedzą już, według jakiego klucza działa morderca, jest jak najdalszy od załamania nerwowego. Pieprzyć ją, tak samo zresztą jak i komisarza, jeśli da wiarę jej sprawozdaniu. To sprawa Reda i rozwiąże ją, nawet jeśli miałoby go to kosztować życie. Spojrzenie na twarz pani psycholog mówi mu, że powinien to ująć nieco łagodniej.

Cierpliwość. Muszą uzbroić się w cierpliwość.

Ale Red nie jest cierpliwy. Włożył nogę w drzwi umysłu Srebrnego Języka i, chociaż

nie zamknęły się one, trzaskając go w twarz, to i nie otworzyły się ani o cal szerzej. Wie, że to niedorzeczne oczekiwać efektów tak wcześnie. Wie, że złamanie kodu to dopiero początek. Duncan miał rację, kiedy mówił, że to może im nic nie dać. Prawdę mówiąc, ograniczona wiedza jedynie

224

zwiększa poczucie bezsilności Reda. Jest w stanie przewidzieć coś związanego z następnym morderstwem, ale nie jest w stanie mu zapobiec.

Imiona na kartce papieru. Kronika zapowiedzianych śmierci.

Jak rozpieszczone dziecko Red spodziewa się nagrody, ponieważ wykazał się bystrością. Cały czas rozmawia w myślach ze Srebrnym Językiem. Ja robię ruch, ty robisz ruch, myśli. Ale ty grasz znaczonymi kartami, mój przyjacielu. Jestem wciąż kawałek drogi za tobą. Nosisz maskę i zaglądasz mi w karty. Ja w zamian nie mam nic.

Wciąż gonią na oślep. Wciąż szukają igły w stogu siana.

Mimo że wiedzą już, według jakiego klucza działa, wciąż nazywają go Srebrnym Językiem. Żadne z nich nie czułoby się zbyt dobrze, nadając mu jakieś miano związane z religią, a poza tym przyzwyczaili się już do Srebrnego Języka. Tak o nim myślą i tak o nim mówią.

Red zastanawia się nad sprawą przez całe popołudnie i wieczór następnej soboty. Susan wychodzi, wraca, a później znów wychodzi na babski wieczór do koleżanki z pracy. Przez cały tydzień Red prawie jej nie widuje. Kładzie się do tego samego łóżka co ona, gdy wraca do domu nad ranem, i pije z nią poranną kawę, zbyt zmęczony, by się odzywać. Wie, że może ją stracić, budując ścianę wokół siebie. Jeśli nawet Susan ma coś przeciwko, w ciągu tych kilku minut każdego dnia, gdy się widzą, nie mówi nic, a w każdym razie nie do niego. Może po prostu pogodziła się z tym. Może tłumi to wszystko w sobie, gotowa wybuchnąć któregoś dnia. Może Red nie ma czasu, by zastanawiać się, co ona myśli.

Zapada w głęboki, pozbawiony snów sen późną sobotnią nocą i budzi się w niedzielę rano, znajdując Susan odsypiającą kaca na kanapie. Na podłodze leży egzemplarz „News of the World”. Musiała kupić wczesne wydanie w jednym z nocnych sklepów w drodze do domu.

Red siada na podłodze i podnosi gazetę. Odwraca ją tak, żeby widzieć pierwszą stronę.

225

Nagłówek krzyczy do niego wielkimi dwucalowymi literami. Temat dnia. Zajawka na pierwszej stronie, reszta na czterech stronach w środku. Od strony pierwszej do piątej. MORDERCA APOSTOŁÓW NA WOLNOŚCI.

Rozdział sześćdziesiąty drugi.

Niedziela, 25 października 1998.

- To musiał zrobić ktoś z was. Jestem pewien. Wszyscy czworo znów siedzą w kuchni Reda. Ostatniego

tygodnia, kiedy świętowali złamanie kodu, zżyli się ze sobą. Teraz są podzieleni. Ktoś ujawnił całą historię „News of the World”, ale nikt się nie przyznaje. Red próbuje wykryć wtyczkę. Tajemnica wewnątrz tajemnicy.

Podejrzenie. Wszyscy czekają na to, co powiedzą inni, nikt nie chce obciążyć sam siebie. Kate pierwsza zabiera głos.

- Red, szafowanie oskarżeniami nic nie da. To wcale nie musiało być któreś z nas. To mógł być ktokolwiek. To mógł być Lubezski albo komisarz, albo któryś z policjantów sprawdzających w ostatnim tygodniu kościoły, który w jakiś sposób dowiedział się więcej, niż chcieliśmy. Albo może po prostu dziennikarze „News of the World” mieli szczęście, badając sprawę w tym samym czasie co my. Może pracowali nad tym i nie pytali nas o komentarz, bo wiedzieli, że skończy się to nakazem sądowym.

- Kate, po prawie pół roku daremnych prób znalezienia tego skurwiela przestają wierzyć w szczęście. Rozumiesz? Nie, to nie mógł być ktokolwiek. - Red dźga palcem wewnętrzne strony gazety. - Popatrz tutaj. Zwróć uwagę na szczegóły. Ten artykuł zawiera rzeczy, o których wie tylko nasza czwórka. Na przykład wizyta w galerii Nicka Becketta. Nikt o niej nie wiedział, chyba że się przed kimś wygadaliście. Zamieścili reprodukcję Bartłomieja z Kaplicy Sykstyńskiej. „Reprodukcja, dzięki której rozwiązano zagadkę zabójstw”, głosi podpis. Mają szczegóły dotyczące naszych wizyt w Coleherne i Substation. Mają zdjęcia z domów ofiar i szczegółowe informacje na temat zabójstw. Wspominają nawet o aresztowaniu Kevana Latimera. To szczegółowy materiał. Mógłbym w zasadzie użyć go jako raportu. Jeśli złoży się to wszystko razem, pozostaną nam tylko dwa możliwe wyjaśnienia. Pierwsze, dziennikarze „News of the World” są jasnowidzami, co oznacza, że powinniśmy bez zwłoki przekazać im tę sprawę, ponieważ będą w szukaniu Srebrnego Języka lepsi niż my. Albo drugie, jeden z was poszedł do nich ze szczegółami sprawy.

- Nie wspomnieli o tym, jak go nazywamy - mówi Duncan.

- Tak, i to jest jedyne, co im trzeba przyznać. Możliwe, że nawet oni nie są aż tak nieodpowiedzialni, by opublikować takie szczegóły, chyba że po prostu o tym się nie dowiedzieli. Bo jeśli napisaliby o językach i łyżeczkach albo o tym, że nazywamy go Srebrnym Językiem, siedzielibyśmy w gównie po uszy. Dzięki tej wiedzy będziemy mogli odrzucić dziewięćdziesiąt dziewięć procent telefonów i odróżnić prawdziwego mordercę od naśladowców. Ale to nie jest dostateczna rekompensata za podanie tej sprawy do publicznej wiadomości.

Red patrzy po kolei na każde z nich. Jedno z nich pobiegło do najlepiej sprzedającego się brytyjskiego brukowca z kryminalną historią dziesięciolecia i rozbiło złożoną strukturę małego zespołu, który pracował wyłącznie nad tą sprawą przez prawie pół roku. Które? I dlaczego?

W ostatnim tygodniu Kate domagała się podania sprawy do publicznej wiadomości. Nie zgodzili się. Czyżby zrobiła to na własną rękę?

Jez kilka miesięcy temu chciał ostrzec społeczność gejowską. Czyżby w ten sposób wrócił do tego pomysłu?

Duncan zawsze twierdził, że trop gejowski jest błędny. Czyżby pragnął spóźnionego uznania za własną przenikliwość?

Red patrzy na każde z nich, po kolei, i w zamian otrzymuje trzy spojrzenia, które są solidne jak skała. Nie są buntownicze,

226

227

ukradkowe ani wyzywające. Spojrzenia ludzi, którym nie można nic udowodnić, ale którzy też nie mają nic do ukrycia. Tyle że jedno z nich ma coś do ukrycia i jest na tyle dobrym aktorem, żeby się z tym nie zdradzić. Red chrząka.

- Najwyraźniej teraz do tego nie dojdziemy. Nie spodziewam się, żeby winny się przyznał, nie w obecności pozostałych. Nie spodziewam się nawet, żeby któreś z was powiedziało mi to na osobności. Cokolwiek zrobiliście, zrobiliście to z własnych powodów i jestem pewien, że te powody nie przybliżą chwili, gdy któreś z was zacznie odpowiadać na pytania. Nie zamierzam wciskać wam kitu. Nie zamierzam mówić, że jeśli się przyznacie, zostaniecie łagodniej potraktowani. Bo nie zostaniecie. W najlepszym razie zostaniecie zawieszeni, a ja będę obstawał przy waszym zwolnieniu. Ponieważ osoba, która to zrobiła, zniszczyła- całkowicie zniszczyła - wzajemne zaufanie, dzięki któremu ten zespół pracował. Dopóki tego kogoś nie złapię - a złapię, możecie być pewni - będziemy wszyscy patrzeć sobie na ręce. Ilekroć powiecie cokolwiek komukolwiek, w waszych umysłach zawsze będzie gościć wątpliwość. Bo osoba, której ufacie, może być tą, która pchnie was nożem w plecy. Po drugie, przeciek pociąga za sobą wszystko, czego się baliśmy, gdy w zeszłym tygodniu podejmowaliśmy decyzję, że nie podajemy tego do publicznej wiadomości. Głupie telefony, panika w mediach, może nawet kilka morderstw naśladowców. Winny ponosi całkowitą odpowiedzialność za tysiące godzin straconych na odbieranie nawiedzonych telefonów i za każdą śmierć poniesioną w wyniku naśladowania zbrodni.

Jego wściekłość wypełnia kuchnię i uderza w ich umysły jak fale o plażę.

- Ktokolwiek z was to jest, mam nadzieję, że to było tego warte. A teraz wynoście się.

228

Rozdział sześćdziesiąty trzeci.

Poniedziałek, 26 października 1998.

Trzy szybkie wdechy i wydechy przeponą. Ciało napina się i odpręża. Palce poruszają się, aż wreszcie krew dociera do ich koniuszków. Musisz sprawić, żeby poziom adrenaliny się podniósł. Przygotować się psychicznie.

To jest to, co sportowcy robią przed każdymi zawodami, a politycy - przed każdym przemówieniem. To, co czeka Reda, jest nie mniejszym wyzwaniem. Giętkie ciało, giętki umysł.

Red słyszy zgiełk w sąsiedniej sali. To największa konferencja prasowa, jaką pamięta od czasu, gdy zaczął pracować w Scotland Yardzie. Biuro prasowe zostało zalane telefonami zaraz po tym, jak „News of the World” opublikowały artykuł wczoraj rano. Telefonów było tak dużo, że musieli do ich obsługi odwołać ludzi z weekendu.

Red drży na samą myśl o tym, ile jeszcze telefonów musieli wykonać dziennikarze do swoich nieoficjalnych informatorów, próbując dowiedzieć się, co się stało, chociaż nie mógł sobie wyobrazić, żeby zdobyli więcej informacji, niż zostało opublikowane. „News of the World” wykonały naprawdę kawał dobrej roboty. To trzeba im przyznać.

Chronić przydomek „Srebrny Język”. Za wszelką cenę Red musi też utrzymać w tajemnicy łyżeczki i języki. Jeśli mu się nie uda, może pożegnać się z szansą rozwiązania tej sprawy. Ta wiedza jest siem, które pozwoli im przesłać świrów i zostawić prawdziwego mordercę.

Na korytarzu pojawia się komisarz.

- Jak się czujemy?

- Jak chrześcijanie przed spotkaniem z lwami. Komisarz oczywiście nie dostrzega ironii w jego słowach.

- Będzie dobrze. Zostawiam gadkę tobie, sam ograniczę się do wyrażenia poparcia, jeśli to będzie konieczne.

-- Świetnie. Dziękuję bardzo. Komisarz patrzy na zegarek.

- Punkt trzecia. Idziemy?

229

Red otwiera drzwi do głównej sali. Błyski fleszów jak wybuchy gwiazd sprawiają, że mruży oczy. Rozważnie powstrzymuje się od osłaniania oczu ręką. Wie, w jak wielu gazetach zobaczyłby to na zdjęciu, jak wiele artykułów zaczynałoby się od słów: „oślepiiony błyskiem fleszów”.

Pod ścianą ciągnie się długi stół z olbrzymim emblematem policji za nim. Red podchodzi do stołu i siada na bardziej odległym z dwóch krzeseł. Komisarz zajmuje miejsce przy nim. Tylko ich dwóch przeciwko ponad stu pięćdziesięciu dziennikarzom wciśniętym w każdy kąt i zakamarek sali. Ci, którzy przyjechali najwcześniej, zajęli wszystkie wolne krzesła, pozostali rozproszyli się po całej sali. Niektórzy stoją z tyłu, inni siedzą z wyprostowanymi nogami na podłodze po bokach. Mikrofony przypięte do stołu celują prosto w usta Reda. Red, a naprzeciwko białe światła na telewizyjnych kamerach wpatrujących się w niego. Odchrząkuje.

- Proszę państwa, jestem detektyw inspektor Redfern Metcalfe. Prowadzę śledztwo w sprawie tak zwanego „mordercy apostołów”, którego istnienie zostało ujawnione wczoraj przez jedną z gazet. Zgromadziliśmy się tutaj, bym odpowiedział na wszelkie państwa pytania dotyczące tej sprawy. Z pewnością rozumiecie, że nie mogę zdradzić szczegółów operacyjnych, ale postaram się okazać państwu tak wiele pomocy, jak w przypadku innych spraw. Prosiłbym o podawanie nazwisk i zadawanie krótkich pytań. Dziękuję. Kto pierwszy?

Las rąk. Red wskazuje mężczyznę w pierwszym rzędzie.

- Iain Wakefield, „Daily Telegraph”. Te morderstwa dokonywane są od pół roku.

Dlaczego aż dotąd nie ujawnialiście sprawy?

- Mamy do czynienia z nadzwyczaj inteligentnym mordercą. Związek między morderstwami stał się jasny dla nas dopiero niedawno.

Ponownie Wakefield, szybko, zanim ktoś zdoła go wyprzedzić.

- Czy wyraził pan zgodę na publikację materiałów w „News of the World”?

230

- Nie. Pani po lewej, w czerwonym żakiecie.
- Czy „News”...
- Pani nazwisko, proszę.
- Przepraszam. Louise Farrington, „Daily Mail”. W artykule zamieszczonym w „News of the World” nie został zacytowany ani jeden policjant. Czy dziennikarze „News of the World” kontaktowali się z panem przed publikacją?

- Nie.

Również ona jest szybka.

- Jak pan myśli, dlaczego?
- Pewnie uważali, że powstrzymam ich przed opublikowaniem tego materiału.
- Więc sprzeciwiał się pan podaniu do publicznej wiadomości szczegółów sprawy?
- Tak. To zagraża naszym staraniom, by złapać przestępcę.
- A nie uważa pan, że społeczeństwo ma prawo wiedzieć? Piorunuje ją wzrokiem.
- Pani Farrington, nie przyszedłem tu po to, żeby dyskutować o dobrych i złych stronach wolności prasy z panią lub z kimkolwiek innym.

Znow się rozgląda i wskazuje.

- Pani z tyłu. - Kobieta podnosi pytająco brwi. - Tak, pani.
- Claire Stewart, radio BBC Szkocja. Czy aresztowaliście już kogoś w związku z tymi morderstwami?
- Nikomu nie postawiliśmy jeszcze zarzutu.
- Czy według pana uda się to zrobić w najbliższym czasie?
- Tą sprawą zajmują się nasi najlepsi ludzie. Jestem pewien, że uda nam się postawić tego mordercę przed sądem.

Szybki ruch ręką.

- Pan w trzecim rzędzie.
- Guy Dunn, „Newcastle Evening Chronicle”. Czy morderca w jakikolwiek sposób kontaktował się z policją?
- Nie. W żaden. - Wskazanie.
- Alex Hayter, „Evening Standard”. Czy ktoś już przyznał się do winy?

231

- Tak, dzisiaj do lunchu siedmiuset osiemdziesięciu dwóch ludzi, a są już następni.

Sala wybucha śmiechem.

- I wszyscy oni okazali się wariatami?
- Jak dotąd, tak. - Wskazanie.
- Roy Pembridge, „South London Press”. Czy zgodzi się pan ze mną, że cała ta sprawa dowodzi niekompetencji policji?

Red wzdycha. Zawsze to samo: jakiś dziennikarzyna z tezą do udowodnienia.

Uśmiecha się nieznacznie do Pembridge'a.

- Nie, panie Pembridge. Zgodzę się z panem, pod warunkiem że umie pan udowodnić swoją tezę.

Pembridge korzysta z furtki, którą mu zostawił Red, i podrywa się na nogi, wyczuwając, że nadeszła jego chwila.

- Przyjrzyjmy się faktom - mówi. - Tropicie tego faceta od... ilu?... prawie sześciu miesięcy. Nie macie żadnych poważnych podejrzanych. Jedyne osoby, jakich aresztowaliście, okazała się zupełnie nie związana z tą sprawą. Na miejscach zbrodni

nie znaleźliście nic wartego zachodu.

- Jak już mówiłem, mamy do czynienia z wyjątkowo inteligentnym mordercą. On nie wskoczy nam ot tak, po prostu, w ramiona.

- Ma pan bardzo chwalebłą przeszłość, panie detektywie Metcalfe...

- Dziękuję - wchodzi mu w słowo Red, nie bez ironii.

- ...ale sześć miesięcy bez żadnego sukcesu to dużo. Nie myślał pan o wycofaniu się ze śledztwa?

- Nie.

- A nie uważa pan, że powinien?

- Nie. Zdecydowanie nie.

- Dlaczego?

- Panie Pembridge, nie muszę bronić przed panem swojego stanowiska...

- Wydaje mi się, że pan jednak musi.

Jest coś w samozadowoleniu Pembridge'a, coś w tonie jego

głosu, co sprawia, że Red chce przetrącić mu kark. Odwraca się do dwóch policjantów czekających przy drzwiach i robi coś, czego nie powinien robić.

- Adams. Morris. Zabierzcie go stąd. Patrzą na niego osłupiali.

- Zabierzcie go stąd!

Zamieszanie. Podniesione głosy, niczym nawoływanie dzikich gęsi. Niedowierzanie na twarzach dziennikarzy.

Adams i Morris torują sobie drogę przez tłum. Dziennikarze odsuwają się od policjantów, a potem przysuwają, zupełnie jak woda w wannie. A wszystko to przed kamerami telewizyjnymi, które odwracają się od Reda, podążając za awanturą.

Adams pierwszy chwytą Pembridge'a, który nierozważnie bije go na oślep. Napad na funkcjonariusza policji. Teraz mają już podstawę do aresztowania. Adams i Morris chwytają dziennikarza pod ramiona, pochylają mu głowę i wyprowadzają z sali.

Red, zgarbiony nad stołem, wyprostowuje ręce, by powstrzymać je przed drżeniem.

Ciekawe, jaki dźwięk wydałbyś z siebie w momencie, gdy życie by z ciebie uchodziło, panie Pembridge.

Komisarz coś mówi, ale Red nie słyszy go poprzez hałas.

Warczy na zwarte szeregi dziennikarzy i idzie sztywno do drzwi, nie ufając sobie na tyle, by się obejrzeć, gdy za nim wołają.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty.

Wtorek, 27 października 1998.

Następnego ranka wszystkie ogólnokrajowe gazety zamieszczają relacje z konferencji Reda, większość z nich na pierwszej stronie. W „Guardianie” ukazuje się palający słusznym oburzeniem artykuł redakcyjny o prawie społeczeństwa do wiedzy. Fotograf „Independent” jest natomiast jedynym, który uchwycił moment, gdy Red warczy pod koniec konferencji. Zdjęcie jest

232

233

ogromne i znajduje się w górnej części pierwszej strony. Wizualnie oszałamia na tyle, by wypaść korzystnie w porównaniu z fotografią strzelca wyborowego na dachu podczas zjazdu Partii Konserwatywnej, która pojawiła się na pierwszej stronie tej gazety jeszcze w latach osiemdziesiątych.

Warczenie człowieka z obnażoną duszą.

W końcu wypuszczają Pembridge'a z ostrzeżeniem, chociaż mogliby postawić mu zarzut zakłócenia porządku publicznego i napaści na funkcjonariusza policji. Red podejrzewa, że to komisarz osobiście nalegał, żeby go zwolnić i odstąpić od zarzutów. Niezależnie od tego, co Red myśli o Pembridge' u, ma na tyle oleju w głowie, by wiedzieć, że wypuszczenie go jest najcichszym sposobem rozwiązania sprawy.

Tak czy owak, Red ma na głowie ważniejszą sprawę, związaną zresztą z innym przedstawicielem prasy. Odnajduje egzemplarz „News of the World” i analizuje, linijka po linijce, artykuł o mordercy apostołów, określany jako „światowa wyjątkowość” na górze każdej strony. Artykuł został napisany przez dziennikarza o nazwisku Roger Parkin, którego zdjęcie znajduje się obok tytułu. Red przewraca stronicę gazety, aż dociera do stopki redakcyjnej. Na samej górze znajduje numer telefonu. Dzwoni.

- Dział międzynarodowy.
- Z Rogerem Parkinem, proszę.

Krótką przerwę, a potem jeszcze jeden sygnał.

- Parkin.
- Panie Parkin, tu detektyw inspektor Metcalfe ze Scotland Yardu.
- Dzień dobry - rozlega się ostrożny głos. Parkin wie oczywiście, kim jest Red. Prawie na pewno był na wczorajszej konferencji. A nawet jeśli nie był, z pewnością czytał relacje.

- Z zainteresowaniem przeczytałem w niedzielę pana artykuł - mówi Red.
- Nie wątpię.
- Był bardzo dobry. Bardzo wyczerpujący. Jest kilka spraw, które chciałbym jednak z panem wyjaśnić, a poza tym mam trochę

234

więcej informacji, które mogą się okazać dla pana przydatne. Może moglibyśmy o tym pomówić?

- Jasne. Czy możemy to zrobić przez telefon?
- Właściwie to mam kilka dokumentów, które chciałbym panu pokazać. Lepiej będzie, jeśli odwiedzi mnie pan tutaj, w Scotland Yardzie.
- Dobrze. Jaki termin panu odpowiada?
- Wszystko jedno. Im wcześniej, tym lepiej. Mówiąc szczerze, próbowałem pana złapać już wczoraj, ale zapomniałem, że niedzielne gazety pracują od wtorku do soboty.
- Proszę chwilę poczekać.

Szelest kartek. Parkin mruczy coś pod nosem po drugiej stronie linii. Próbuje sprawiać wrażenie, że ma coś lepszego do roboty. Akurat. Chyba że widział Elvise układającego towar na półkach w miejscowym supermarkecie. W innym wypadku będzie się trzymał apostołów. Po prostu nie chce okazywać, że mu zależy.

- Jestem umówiony z kimś na lunch, ale mogę to odwołać. Czy pierwsza panu pasuje?
- Oczywiście. Po przyjeździe do Scotland Yardu proszę zapytać o mnie w recepcji.
- W takim razie, do zobaczenia o pierwszej.
- Do zobaczenia.

Red odkłada słuchawkę i uśmiecha się do siebie. Rybka połknęła haczyk.

Rozdział sześćdziesiąty piąty.

Roger Parkin jest bardziej łysy i puciołowaty niż na zdjęciu w gazecie. Red z pełnym papierów pomarańczowym segregatorem pod pachą spotyka się z nim w recepcji i jadą kilka pięter do góry do sali przesłuchań. Parkin jest szary i bezpłciowy. W windzie ucinają sobie małą pogawędkę.

235

- Na zdjęciu wygląda pan trochę inaczej - mówi Red.
 - Tak - śmieje się Parkin. - Było robione pięć lat temu, kiedy miałem jeszcze włosy na głowie. Dziennikarska próżność. Powinien pan zobaczyć kilku innych. Przekonałby się pan, jak łatwo zrobić z quasimodo Roberta Redforda. Red prowadzi go do sali przesłuchań. Siadają po przeciwnych stronach stołu. Parkin wybiera miejsce najbliższe drzwi. Red kładzie segregator na stole. Parkin kiwa głową w jego stronę.

- To są te dokumenty?
- Tak. Zanim jednak do nich przejdziemy, chciałbym zadać panu kilka pytań.

Oczy Parkina zwiężają się.

- Proszę bardzo.
- Jak zdobył pan materiał do artykułu?
- Niech pan da spokój, panie inspektorze... Wie pan, że nie mogę tego powiedzieć.
- Chroni pan swoje źródło informacji?
- Oczywiście.
- Panie Parkin, to, co zrobiła pańska gazeta, było strasznie nieodpowiedzialne. To nie ulega kwestii. To śledztwo jest niewiarygodnie delikatne i czasochłonne, a pana artykuł sprawił, że znalazło się w poważnym i być może nieodwracalnym niebezpieczeństwie. Do mnie należy zmniejszenie zniszczeń. Większą część z tego stanowi odkrycie, kto panu sprzedał tę historię, dlaczego to zrobił i co panu powiedział poza tym, co znalazło się na łamach gazety. W grę wchodzi ledwie kilku ludzi.
- Panie inspektorze, przecież pan wie, że nie będę z panem współpracował.
- Dlaczego? Ma pan nadzieję, że pańskie źródło przekaże panu jeszcze jakieś informacje?

Parkin wzrusza ramionami. Red kontynuuje.

- Jeśli zajdzie taka potrzeba, wyślę zaraz dwudziestu pięciu policjantów do Wapping i skonfiskują oni wszystkie pana zapiski i dokumenty. Mogę oskarżyć pana o utrudnianie śledztwa i umieścić za kratkami szybciej, niż pan zdoła powiedzieć: „wolność słowa”.

- Dobrze. Pójdę siedzieć.
- Pójdzie pan do więzienia?
- Jeśli będę musiał...
- Panie Parkin, jeśli chce pan być męczennikiem swego zawodu, proszę bardzo. Ale jeśli o mnie chodzi, to nie po to spędziłem sześć miesięcy, zawiązując się w supełek nad tą sprawą, żeby teraz pana gazeta to spieprzyła.
- Panie inspektorze, jeśli ma pan jakiś problem z tym, co opublikowaliśmy, proponuję, żeby skontaktował się pan z moim wydawcą, zamiast próbować mnie zastraszyć.
- Herbaty?

Nagła zmiana tonu głosu. Podczas gdy Parkin spodziewa się awantury, on wychodzi z idealnie uprzejmą prośbą. Zmiana uspi jego czujność.

- Co?
- Herbaty. Czy napije się pan herbaty? Albo kawy?
- Dziękuję, herbaty. Z mlekiem i jedną łyżeczką cukru.
- Zaraz będę z powrotem.

Red wstaje i przechodzi obok Parkina, udając, że wychodzi z pokoju. Dziennikarz nie odwraca się, jest zajęty zapisywaniem czegoś w notesie.

Red wyjmuje z kieszeni plastikowe kajdanki. Łapie Parkina za lewą rękę i ciągnie ją za oparcie krzesła, zaciskając jedną obręczkę na nadgarstku dziennikarza, po czym sięga szybko po drugą rękę.

Parkin jest zbyt wolny. Na papierze połyskuje krecha atramentu w miejscu, skąd jego ręka została wyszarpięta, a pióro łąduje na linoleum.

Red przeciąga prawą rękę Parkina przez kratki krzesła i zaciska na niej drugą obręczkę. Parkin jest przykuty do krzesła, jego dłonie przytwierdzone są do siebie, a ręce zaklinowane przez kratki oparcia.

- Co jest, kurwa... ?

Red pochyła się nad lewym ramieniem Parkina i dotyka marynarki dziennikarza.

Jego ręka kieruje się prosto do lewej kie-

szeni. Nie do prawej. Większość mężczyzn nosi portfel w prawej kieszeni, Red szuka jednak czegoś innego.

Od razu to znajduje. Malutki notes z czerwonym grzbietem i czarną okładką, strony pręgowane kolejnymi literami alfabetu. Notes z informatorami Parkina.

- Nie możesz tego zrobić! - Głos dziennikarza jest pompatyczny z oburzenia.
- Niech pan da spokój, panie Parkin. Oczywiście, że mogę. I niech pan nie zawraca sobie głowy krzykami. Mamy to tutaj na okrągło. Policjanci nie zwracają uwagi na krzyki dochodzące z sali przesłuchań tak samo, jak większość ludzi nie zwraca uwagi na alarmy samochodowe.

Red kartkuje notes. Znajduje w nim setki nazwisk zapisanych starannym pochyłym pismem. Większość - czarnym atramentem, ale kilka zielonym, czerwonym lub niebieskim, kiedy najwidoczniej tylko taki długopis dziennikarz miał pod ręką. Po niektórych nazwiskach w nawiasie znajduje się tytuł artykułu, przy którym dana osoba pomogła. Inne nazwiska są tak znane, że nie potrzebują żadnych dodatkowych

znaczków. Numery wewnętrzne i telefonów komórkowych bogatych i sławnych. Naprawdę imponująca lista.

Red zaczyna szukać swojej wtyczki.

Nic pod „B”.

Nic pod „C”.

Przeciąga kciukiem w dół, aż dochodzi do litery „W” i otwiera ponownie notes.

To takie proste.

Ostatnia - bo najświeższa - pozycja w kolumnie nazwisk na „W”.

Duncan Warren. Tylko numer do domu i na komórkę. Duncan musiał zakazać Parkinowi dzwonięcia do Yardu.

Duncan. Dlaczego?

Tak więc wiesz już, kto to jest, myśli Red. Czy to lepiej, że wiesz, że możesz przestać podejrzewać dwóch członków swojego zespołu, którzy nie zrobili nic złego, czy gorzej, bo gaśnie ostatni

238

błysk nadziei, że może to wcale niejeden z twoich cię sprzedał? Ktoś, komu ufałeś, zdradził cię.

Eric. To właśnie musiał czuć Eric. Prawda?

Red okrąża krzesło i siada na krawędzi stołu, twarzą do Parkina.

- To Duncan Warren jest wtyczką, tak?

- Tego się ode mnie nie dowiesz.

- Panie Parkin, jego nazwisko znajduje się w pana notesie. To bardzo świeży dopisek. Tylko dwóch innych ludzi mogło jeszcze panu opowiedzieć o sprawie apostołów, a ich nazwisk tam nie ma. Więc to Duncan Warren jest pańskim źródłem informacji. Tak czy nie?

- Nie ujawniam nazwisk swoich informatorów.

Red opiera się stopą o pierś Parkina. Jego noga napina się.

- Jeśli kopnę teraz krzesło, na którym siedzisz, wywróci się do tyłu, a twoje ręce utkwia pod nim. Jest duża szansa, że złamiesz przynajmniej jedną rękę, a może i dwie. Niewykluczone, że również palce. Albo nadgarstek. Ja nie chcę, panie Parkin, żeby pan ujawnił mi nazwisko swojego informatora, ja chcę tylko, żeby potwierdził pan jego tożsamość. Z tego - wskazuje na notes z wtyczkami - dowiedziałem się już tego, co chciałem wiedzieć. Wszystko, czego chcę, to żeby pan postawił kropkę nad „i”. Może pan to nazwać zasięgnięciem opinii innego specjalisty.

- Jeśli zranisz mnie w jakikolwiek sposób, wniosę oskarżenie.

- Myślisz, że będziesz mógł pisać złamaną ręką? Nawet na maszynie?

- Przysięgam na Boga, wniosę pieprzone oskarżenie. Parkin przesuwając krzesło, próbując wyswobodzić rękę. Strach

kryjący się za jego pogroźkami przyprawia Reda o dreszcze. Kot bawiący się kłębkami wełny.

- Wie pan, panie Parkin, wpędzi się pan w straszne kłopoty przez taką drobnostkę.

Zaczyna popychać go stopą, rozprostowując nogę. Krzesło przechyla się. Stopa Reda utrzymuje mężczyznę i krzesło w niepewnej równowadze. Jego decyzja. Jego siła.

239

Parkin pęka.

- Dobrze. To Duncan Warren. To on jest moją wtyczką. Zadowolony?
Parkin opuszcza głowę, wstydząc się swego tchórzostwa. Red cofa stopę, pozwalając krzesłu opaść z powrotem na cztery nogi.

- Dziękuję. A teraz, skoro podał mi pan swoje źródło informacji, nie piśnie pan nikomu ani słówka o tej małej transakcji, prawda? Ponieważ nie zdobędzie pan już ani jednego gorącego tematu, jeśli ludzie dowiedzą się, że z byle powodu ujawnia pan zawartość swojego notesu z wtyczkami. Obaj więc jesteśmy żywo zainteresowani tym, żeby rzecz całą utrzymać w głębokiej tajemnicy.

Red otwiera kajdanki. Parkin wyciąga ręce przed siebie i rozprostowuje je, masując nadgarstki tam, gdzie plastikowe obrączki wbiły się w skórę.

Red podaje Parkinowi notes. Dziennikarz wpycha go pospiesznie do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Drogę windą na parter odbywają w milczeniu i nie podają sobie rąk przy drzwiach frontowych.

Rozdział sześćdziesiąty szósty.

Duncan jest sam w pokoju, gdy wchodzi do niego Red. Je właśnie lunch. Brązowa bułka z białym kawałkiem sera brie wystającym z każdej strony. Podnosi dłoń na powitanie.

- Gdzie Jez i Kate? - pyta Red. Duncan przeryka kęs.

- Wyszli na lunch.

- To dobrze. Chcę z tobą porozmawiać. - Red siada naprzeciwko niego.

Duncan pociąga łyk coli.

- Wal śmiało.

Jedno słowo. Jedno słowo, szukające zrozumienia.

240

- Dlaczego?
- Co dlaczego?
- Dlaczego to zrobiłeś, Duncan?
- Dlaczego co zrobiłem?
- Dlaczego rozmawiałeś z „News of the World”?
- Nie rozmawiałem.

Red zrywa się na równe nogi i wali pięścią w stół.

- Tak, kurwa, właśnie, że to zrobiłeś. Widziałem twoje nazwisko w notesie Parkina. Powiedział mi, że to ty. Więc dlaczego? Dlaczego poszedłeś tam i spierdoliłeś wszystko?

Wściekłość Reda powoduje, że buta ulatuje z Duncana jak powietrze z przedziurawionego balonika.

- Dla pieniędzy - mówi cicho.

- Dla pieniędzy? - Red siada z powrotem.

- Tak.

- Zapłacili ci?

- Tak.

- Ile?

Duncan wlepią wzrok w stół.

- Ile, Duncan?

- Dwadzieścia tysięcy.

- Dwadzieścia tysięcy?

- Potrzebowałem ich. Potrzebowałem pieniędzy. Alimony. Rujnują mnie. Nie mówiąc już o czesnym za szkołę Sama. Helen wprowadziła się z nim do tego kutasa Andy' ego, ale wciąż ciągnie pieniądze. Zaciągnąłem kredyt hipoteczny i kasa mieszkaniowa grozi, że przejmie mój dom. Staram się to wszystko dźwigać na jednej gliniarskiej pensji, ale nie daję rady. Nie daję rady.

- Kto zwrócił się do kogo?

- Hm... Trudno powiedzieć. Chyba obie strony tego chciały. W poniedziałek w nocy piłem ze swoim starym informatorem, który pracował w „News of the World”, reporterem kryminalnym, i gadaliśmy o różnych sprawach. Zapytał, nad czym obecnie pracujemy - nie zrobił tego specjalnie, po prostu w luźnej rozmowie. Nic mu nie powiedziałem, oczywiście, ale coś musiało

241

mnie zdradzić, bo naciskał dalej. W końcu zapytał, niby żartem, ile kosztowałoby wyciągnięcie ode mnie jakichś informacji. A ja spytałem dla odmiany, jaka suma wchodziłaby w grę. Powiedział, że da mi znać. Początkowo to wszystko były żarty. W każdym momencie mogliśmy się z tego wycofać. Ale gdzieś między wierszami mówiliśmy poważnie. W każdym razie powiedziałem, że to przemyślę, i umówiliśmy się na następny wieczór.

- I?

- Następnego wieczoru zostałem przedstawiony Parkinowi. Targowaliśmy się trochę, w końcu stanęło na dwudziestu kawałkach.

- Zapewne opowiedziałeś mu trochę o sprawie?

- Niedużo. Tylko tyle, żeby rozbudzić jego ciekawość.

- To znaczy, ile?

- Tylko to, że jest seryjny morderca, który uważa się za Jezusa i gromadzi apostołów.

- Nazywasz to „tylko tyle”? Nic dziwnego, że rozbudziłeś jego ciekawość. Kiedy ostatecznie puściłeś farbę?

- W środę w nocy, a potem w piątek. Było za dużo tego wszystkiego na jedno posiedzenie.

- Duncan, przez cały ostatni tydzień pracowaliśmy na okrągło. Nie wychodziliśmy stąd przed dziesiątą albo jedenastą w nocy. Kiedy ty, kurwa, znalazłeś na to czas?

- Po fajrancie. Późno w nocy.

- I wypaplałeś mu wszystko?

- Wszystko, z wyjątkiem znaków rozpoznawczych mordercy.

- Czy pytał cię o to?

- Tak. Szczególnie o to, czy morderca zostawia jakiegoś rodzaju podpis.

- I co powiedziałeś?

- Że nie. Wiedziałem, że jeśli mu powiem o językach i łyżeczkach, nigdy nie złapiemy Srebrnego Języka.

- Nie „my”, Duncan. Dla ciebie nie ma już żadnego „my”. Od tej chwili jesteś

zawieszony.

Duncan nie rusza się. Red wstaje.

- Idziemy. Wyprowadzę cię z budynku.
- A co z moimi rzeczami?
- Spokojna głowa, jestem pewien, że ci je przyślą. Zbieraj się.
- Czy mogę się pożegnać z Jezem i Kate?

Grzesznik, który spodziewa się wybaczenia. Red chwytą go za klapy marynarki.

- Duncan, do kurwy nędzy. Ze wszystkich ludzi na całym bożym świecie tych dwoje najmniej pragnie spotkania z tobą. Nie licząc mnie, rzecz jasna. A teraz wynoś się. Po raz drugi w ciągu ostatnich trzydziestu minut Red zjeżdża windą w milczącym towarzystwie. Idą do recepcji, nie okazując jakichkolwiek oznak konfliktu. Przy głównym wejściu Redowi nagle przychodzi coś do głowy.

- Czy tego wieczoru u mnie w domu, gdy Kate chciała podać wszystko do publicznej wiadomości, a ty byłeś za tym, żeby utrzymać szczegóły w tajemnicy, już o tym myślałeś? Poważnie rozważałeś użycie naszej tajemnicy dla swoich własnych korzyści, już wtedy?

Milczenie Duncana jest wymowne.

Red zabiera mu przepustkę. Patrzy, jak jego były współpracownik przechodzi przez ulicę i idzie do stacji metra St James' Park. Szalona staruszka, która stała tam tego ranka z plakatem ogłaszającym żydowski spiszek, zniknęła.

Duncan odwraca się jeden raz. Jego spojrzenie wciąż błaga o wybaczenie.

Red wraca myślami do początku sprawy, kiedy rzucił monetą, by wybrać pomiędzy Duncanem i Pritchardem. Wypadła reszka i wybrał tego pierwszego. Bardzo kosztowna pomyłka.

Nie ma sensu dobierać teraz kogoś do zespołu. Nowa osoba zbyt wiele musiałaby się nauczyć, zbyt trudno byłoby im zbudować w tak krótkim czasie wzajemne zaufanie. Dalej będą walczyć tylko we trójkę.

Trzy ślepe myszki. Oto, czym są. Trzema ślepyimi myszkami, błądzącymi w mroku. Red odwraca się i idzie do windy.

242

243

Rozdział sześćdziesiąty siódmy.

Światelko na automatycznej sekretarce błyska, gdy Red wraca do domu. Włącza odtwarzanie i idzie do kuchni zrobić sobie drinka. Głos Susan, zapłakany i drżący, powoduje, że wraca biegiem do salonu.

- Red, to ja. Jestem... jestem w Rickmansworth. Zostaję u Shelley na kilka dni. Shelley, z pracy. Czy... zadzwonisz do mnie?

Dwa razy podaje mu numer, raz szybko, raz wolno. Red zapisuje go w notesie przy telefonie, podczas gdy Susan mówi dalej.

- Muszę z tobą porozmawiać, Red. I to szybko. Zadzwon. Cześć.

Krótki urywek rozmowy z kimś, zanim połączenie zostaje przerwane.

Zostawia go. Nie powiedziała tego, ale Red dobrze wie. Zostawia go. Co za kurewski

dzień.

Nieszczęścia chodzą trójkami. Parkin, Duncan, a teraz to.

Red zaczyna wybierać numer Shelley. W połowie odkłada słuchawkę na widelki i idzie do kuchni. Chyba lepiej będzie stawić temu czoło z mocnym drinkiem pod ręką. Znajduje puszkę heinekena w lodówce i nalewa solidną porcję whisky do szklanki. Utrwalacz z popitką. To utrzyma go chwilę przy życiu.

Wraca do salonu i wybiera numer. Natychmiast odzywa się kobiecy głos. Nie Susan. To musi być ta Shelley.

- Czy mógłbym prosić Susan Metcalfe?

- Proszę chwileczkę poczekać.

Po drugiej stronie linii rozlegają się kroki, stukot obcasów po twardej podłodze.

Odległy głos mówiący: „To Red”. Znowu kroki, coraz głośniejsze tym razem, gdy zbliżają się do telefonu.

- Red? - rozlega się głos Susan. Drżący. Musiała płakać.

- Skarbie, dobrze się czujesz?

- Świetnie. To znaczy... dobrze. Świetnie to za mocne słowo. Ja tylko... ja tylko potrzebuję trochę czasu, żeby przemyśleć kilka spraw.

- Dlaczego?

- Och, Red, nie rozumiesz? To śledztwo. Przesłania ci całe życie. Przez ostatnie pół roku w ogóle dla ciebie nie istniałam.

- To nieprawda. Wiesz, że...

- Nie, Red. Siedź cicho i pozwól mi skończyć. To śledztwo zdominowało twoje życie. Nie zostawiłeś miejsca dla nikogo ani niczego na świecie. Nie mogę już tego wytrzymać. Wiem, że próbowałeś znaleźć czas, i doceniam to, ale jesteś niewolnikiem tej sprawy. Widzę cię przez chwilę, a potem coś się dzieje i znikasz na następny tydzień. Słyszysz, co mówię? Nie mogę dalej żyć gdzieś, gdzie albo jestem ignorowana, albo czuję się, jakbym chodziła po skorupce jajka, ilekroć powiem coś nie tak.

Przerwa. Red wstrzymuje oddech.

- Widziałam cię wczoraj w nocy w wiadomościach, a dzisiaj w gazecie.

O Boże. Susan zawsze kupuje „Independent”. Widziała jego „warczące zdjęcie”.

- To mnie przeraża, Red, naprawdę. Widziałam materiał filmowy z tobą i to zdjęcie, na którym widać, jak warczysz, i czytałam, co ten okropny Pembroke powiedział, i dla mnie w żadnym z tych przypadków to nie byłeś ty. Tylko że to byłeś ty. To tak, jakby nagle... sama nie wiem, jakbym wyszła za mąż za połowę ciebie, a to jest druga połowa, której nigdy przedtem nie widziałam. Nigdy. Ty, którego znam, to nie jest ten człowiek z pierwszych stron gazet, który wygląda, jakby zamierzał rozerwać kogoś na strzępy. A to wszystko przez tę sprawę, Red. To ona cię tak zmieniła.

- Nie, Susan, wcale mnie nie zmieniła. Naprawdę.

Nie, żebym taki nie był. Bo jestem. Ta twarz zastygła w gniewie jest moja.

- Ależ tak. A jeśli nie, to w takim razie oszukiwałeś mnie cały czas i to też jest źle.

- Susan... nie powinniśmy rozmawiać o tym przez telefon. Czy mogę się z tobą gdzieś spotkać?

245

Po drugiej stronie telefonicznego kabla zapada cisza, jakby Susan pozwała swemu gniewowi wyparowywać i zmieniać się w smutek.

- Red, ja nawet nie wiem już, gdzie góra, a gdzie dół. Po prostu chcę przez chwilę побыć sama. To wszystko.
- Jak długo potrwa ta „chwila”?
- Nie wiem.
- Chociaż w przybliżeniu.
- Red. Mówiłam ci, nie wiem. Ale przynajmniej do czasu, aż złapiesz tego swojego Srebrnego Języka. Wtedy się zobaczymy.
- Susan, to może potrwać miesiące. Może nawet lata. Kurwa, możemy nigdy go nie złapać.
- Red, tak długo, jak będziesz miał obsesję na punkcie tej sprawy, nie ma absolutnie żadnej szansy, żeby nam się udało. Nie ma sensu przeprowadzanie wielkich, szczerych rozmów, gdy ty jesteś zbyt zmęczony, żeby rozmawiać, albo kiedy w każdej chwili możesz rzucić wszystko w cholerę, bo musisz jechać na miejsce zbrodni. To nie fair w stosunku do ciebie ani tym bardziej w stosunku do mnie. Skup się na jednej rzeczy naraz. Kiedy go dostaniesz, będziemy mogli porozmawiać szczerze i racjonalnie.
- A nie mogę przyjść do ciebie do pracy? Zabrać cię na lunch czy coś w tym stylu?
- I odwołać wszystko w ostatniej chwili? Red, proszę cię. Daj spokój. Na pewien czas.

Red wie, kiedy trzeba się zatrzymać.

- Dobrze - mówi.
- Dziękuję. Słuchaj, muszę już kończyć. Zadzwońię...
- Kiedy?

Instynktowne błaganie. Zbyt rozpaczliwe.

- Kiedy będę gotowa. Przerwa.
- Uważaj na siebie.
- Ty też.
- Cześć.
- Cześć.

246

Słuchawka jest już prawie na widelkach, gdy słyszy jej głos, wołający go.

- Red?
- Tak?
- Ten twój morderca... Nienawidzę go tak samo jak ty. Łagodny sygnał telefoniczny rozbrzmiewa w jego uchu. Red gasi światło, wkłada słuchawki i pozwala, by Mesjasz wypełnił to, co zostało z jego świata.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy.

Policja mówi, że zabijam niewinnych ludzi- Ale to nieprawda. Ja ich nie zabijam, ja czynię z nich męczenników. To co innego. Kiedy czynię z nich męczenników, ich

dusze przychodzą do mnie. To dlatego pozbawiam ich języków. Czytaliście Księgę Przysłów? Rozdział 11, wers 23: „Strzegąc swych ust i języka, chroni się życie przed uciskami”. Pozbawiam ich języków, gdy umierają, więc ich dusze przychodzą do mnie. W ten sposób żyją, głosząc Słowo przeze mnie. W śmierci ofiarowują mi siebie całych, coś, czego nigdy by nie zrobili - nigdy by nie mogli zrobić - za życia. Zanim ich zabiorę, są niczym. Kiedy Jezus wybierał swoich dwunastu, to wszystko byli zwykli ludzie. To jego obecność, jego wpływ, uczyniły ich wyjątkowymi. Tak samo jest ze mną. Wziąłem tych ludzi i coś z nimi zrobiłem. Zmieniłem ich. Od życia do śmierci, przejście z jednego wymiaru w drugi. Ale to działa również w drugą stronę. Kiedy byli żywi, byli martwi duchem. Teraz są martwi, ale mają we mnie życie wieczne.

247

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty.
Środa, 28 października 1998.

- Samarytanie, w czym mogę pomóc?

Janet 749 ściera z oczu resztki snu, odbierając telefon. Patrzy, mrużąc oczy, na zegar wiszący na ścianie. Wpół do piątej rano. Pod zegarem druga wolontariuszka, Abigail 552, drzemie niespokojnie na łóżku polowym otulona szczelnie dwoma szarymi kocami.

Ze względu na zasadę anonimowości wolontariusze Samarytan posługują się numerami zamiast nazwisk. Częściowo nie znani swoim towarzyszom, zupełnie nie znani ludziom, którzy do nich dzwonią.

Po drugiej stronie telefonicznego kabla jest cicho. Janet cierpliwie czeka. To niemal norma. Ludzie dzwoniący do Samarytan często potrzebują kilku sekund, by zebrać się na odwagę i zacząć mówić. Wykorzystuje ten czas do pełnego otrząśnięcia się ze snu.

Wciąż cisza. Janet odzywa się ponownie:

- Jestem tutaj, jeśli chcesz porozmawiać. Cisza.

Wie, że nie może się rozłączyć, wolontariuszom nie wolno przerwać połączenia, dopóki nie zrobi tego druga strona.

I wtedy rozlega się głos, przytłumiony, ale niewątpliwie męski.

- Zabiłem kogoś.

Janet przytrzymuje słuchawkę między szyją i ramieniem, zakrywając mikrofon lewą ręką, a pstrykając palcami prawej. Abigail otwiera jedno oko, widzi wyraz twarzy Janet i zdejmuje nogi z łóżka. Koce spadają na podłogę. Przechodzi po cichu przez pokój i podnosi drugą słuchawkę. Janet zdejmuje dłoń z mikrofonu i zaczyna mówić.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Słyszałaś o mordercy apostołów?

- Przepraszam, nie dosłyszałam - mówi Janet.

Głos mężczyzny jest głuchy i przytłumiony, jakby mówił przez chusteczkę.

- Pytałem, czy słyszałaś o mordercy apostołów?

- Tym, o którym było we wszystkich gazetach?

- Tak.
- Tak, słyszałam o nim.
- To ja.

Jasne, jasne, myśli Janet. Ty i tysiące innych świrów, którzy już dzwoniли na policję. Mężczyzna znów się odzywa, robiąc wyłom w sceptycyzmie Janet.

- Nie wierzysz mi, prawda?

Nie przerabiali tego na ćwiczeniach. Uczyli się tam, jak radzić sobie z kimś, kogo zostawił partner, i z nastolatkami, którzy myślą, że pryszczki i szkolne kłopoty to już koniec świata. Nie uczyli cię, co powiedzieć komuś, kto podaje się za brytyjskiego wroga publicznego numer jeden. Janet mówi pierwszą rzecz, jaka przychodzi jej do głowy:

- Chcesz o tym porozmawiać?
- Gliny wiedzą, dokąd zmierzam. Ale nie mogą mnie powstrzymać. Zabiłem więcej ludzi, niż im się wydaje.
- Zabiłeś więcej ludzi?
- Zgadza się.
- O ilu więcej?
- Tej nocy dwóch. Dwóch w ciągu ostatnich trzech godzin. To właśnie dlatego dzwonię.
- Dlaczego?
- Żeby powiedzieć, gdzie ich znaleźć. To znaczy, gdzie znaleźć jednego z nich. Myślę, że powinniście wiedzieć przynajmniej o tym jednym.
- Dlaczego?
- Dlatego, że z wami pracuje.

Janet przełyka głośno, próbując znaleźć trochę śliny w nagle wyschniętych ustach.

- Kto to? - pyta. - Kogo zabiłeś?
- Nazywa się Jude Hardcastle. Znasz go?
- Przepraszam, ale nie wolno nam ujawniać takich szczegółów...

248

249

- Właściwie to nie ma żadnego znaczenia, czy go znałaś, czy nie. Jest teraz ze mną, w swoim domu, nieżywy. Chcesz adres?

- Tak.
- Westwick Gardens, Londyn W12. Mieszkanie w suterenie. Nie pamiętam numeru, ale przed wejściem stoi czerwona toyota. Zapisalaś?
- Tak.

- To przeczytaj. Dziewczyna wykonuje polecenie.
- Dobrze. Jude będzie tutaj, kiedy przyjdziecie. Ja wychodzę.
- A co z tym drugim? Tym drugim, którego zabiłeś? Za późno. Rozłącza się.

Janet drży. Przeciaga dłonią po włosach.

- O mój Boże - szepcze Abigail.
- Dobra. Dzwonię do Alexa - mówi Janet. Alex 192 jest dyrektorem ich Centrum Samarytan.
- Nie sądzisz, że powinniśmy zawiadomić bezpośrednio policję?
- Najpierw trzeba powiedzieć o tym Alexowi. To zajmie raptem kilka minut.

Janet przebiega palcem po spisie ważnych telefonów, by znaleźć domowy numer szefa, po czym dzwoni. Trzy sygnały, cztery, pięć, zanim udaje się wyrwać Alexa z ciemności snu. Czekając, aż mężczyzna podniesie słuchawkę, Janet szuka Jude'a Hardcastle'a na liście wolontariuszy. Bez skutku.

- Tak? - odzywa się Alex, zaspany i poirytowany.

- Tu Janet 749. Miałymy bardzo dziwny telefon. - Nie zawraca sobie głowy przeprosinami. Alex wie, że żaden z wolontariuszy nie budziłby go za piętnaście piąta rano bez ważnego powodu. - Dzwonił do nas mężczyzna, który twierdził, że zabił Jude'a Hardcastle'a.

- Jude'a Hardcastle'a?

- Tak. Prawdopodobnie pracował dla nas, chociaż nie mogę znaleźć jego imienia w spisie.

- Zajmował się reklamą i kontaktami z prasą. Zrezygnował z odbierania telefonów jakieś pół roku temu. To dlatego nie ma go w spisie.

- Aha. Ten człowiek podał mi jego adres. Podyktować ci?

- Tak, proszę. Czyta mu adres.

- Dobrze - mówi Alex. - To niedaleko ode mnie. Rzucę na to okiem.

- Czy powinniśmy zadzwonić na policję?

- Nie. Jeszcze nie. Jeśli ten facet był świrem, ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, to policyjne samochody zatrzymujące się przed domem Jude'a i wyrywające go i jego sąsiadów z łóżek bez powodu. Pójdę tam sam. To zajmie mi dziesięć minut. Dzięki za telefon.

Rozdział siedemdziesiąty.

Red nie śpi już, gdy dzwoni telefon.

Mało spał. Skłębione myśli krążyły w ciemności i obracały się wokół pustego miejsca w łóżku, które dotąd zajmowała Susan. Twarze nie dawały mu spokoju, malując się w mroku: Parkin uderzający o podłogę z rękami przykutymi do krzesła; Duncan grzmiący przeciwko homoseksualistom; Eric jak Dorian Gray, w więziennej celi, z twarzą, jaką zapamiętał Red w czasie ostatniego spotkania piętnaście lat temu, podczas gdy jego twarz na zdjęciach, które trzyma ukryte wśród nieprzychylnych mu artykułów, starzeje się i zniekształca. Czasami Red musiał wpadać pod powierzchnię płytkiego snu bez snów, ale na jak długo, nie ma pojęcia.

Chwyta słuchawkę, zanim pierwszy dzwonek dobiega końca, a jego żołądek już napina się z nerwów. Jest tylko jedna rzecz, z powodu której ktoś może dzwonić o tej porze.

Pięć minut później pędzi opustoszałą A40 w kierunku Shepherd's Bush.

250

251

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy.

Czaszka Jude'a Hardcastle'a została zgnieciona. Jest zniekształcona i eliptyczna - jej szczyt jest teraz płaski, a nie okrągły.

Jego zwłoki znajdują się dokładnie w takiej samej pozycji jak zwłoki Jamesa Cunninghama: leżą na boku, z ręką zarzuconą na twarz. Ten sam morderca, prawdopodobnie ta sama broń. Gdyby nie fakt, że Jude ma na głowie więcej włosów i jest jakieś czterdzieści funtów lżejszy od biskupa, Red mógłby przysiąc, że patrzy na to samo ciało, wykopane i pokazane mu znowu w jakiejś upiornej wersji Dnia Świstaka.

Mdle pomarańczowe światło ze stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy wpada przez okno.

Red nie musi patrzeć na usta Jude'a, ale jednak to robi.

Nie ma języka. Tak, jak myślał.

Przypomina sobie hasło w słowniku: „Juda - maczuga, ponieważ został zatłuczony na śmierć maczugą”.

Sześciu za nami. Sześciu przed nami.

Rozdział siedemdziesiąty drugi.

- Jak pan znalazł tego człowieka? - pyta Red zszokowanego Alexa 192. - I co pan w ogóle robił w mieszkaniu Jude'a Hardcastle'a o piątą rano?

- Nie chciałbym, żeby to zostało źle zrozumiane, ale obawiam się, że nie mogę tego panu powiedzieć.

- Nie może mi pan powiedzieć, dlaczego pan tu przyszedł?

- Właśnie.

- Czy usłyszał pan coś? Szamotaninę, krzyk?

- Nie. Mieszkam dziesięć minut drogi stąd.

- To może w takim razie Jude do pana dzwonił?

- No... nie. Niezupełnie.

Red patrzy chwilę na Alexa, a potem wstaje i podchodzi do
252

telefonu. Naciąga rękawy na dłonie, podnosi słuchawkę i naciska klawisz powtórzenia ostatniego numeru. Zgłasza się damski głos.

- Samarytanie, w czym mogę pomóc? Red odkłada słuchawkę i patrzy na Alexa.

- Pracuje pan dla Samarytan? Alex potakuje niechętnie.

- Dobrze - mówi Red. - Znam zasady waszej działalności. Wiem, że trzymacie wszystko w tajemnicy, i szanuję to. Ale prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa, więc muszę wiedzieć wszystko, co i pan wie. Jeszcze raz, pracuje pan dla Samarytan?

Alex ustępuje.

- Jestem dyrektorem miejscowego oddziału - mówi.

- Gdzie jest jego siedziba? Alex podaje mu adres.

Jedziemy - postanawia Red, wyjmując komórkę, żeby zadzwonić do Kate i Jeza.

Tłoczą się w sześcioro w recepcji siedziby Samarytan: troje detektywów, Alex, Janet i Abigail. Pokój operacyjny jest większy, ale policjanci nie zostali do niego

zaproszeni.

- Jak opisałyby pani jego głos? - pyta Red.

- Wydaje mi się, że starał się go zmienić - odpowiada Janet. - Był przytłumiony, jakby mówił przez chusteczkę albo co. To, co docierało do mnie, niczym się nie wyróżniało. Nie mówił gwarą. Ot, po prostu, zwyczajny głos.

Zwyczajny, czyli klasa średnia, środkowa Anglia. Biały, mężczyzna i wykształcony. Wszystko to już i tak wiedzą.

- A jak brzmiał? To znaczy, czy wyrażał jakieś emocje?

- Zupełnie żadnych.

- Nie stwarzał wrażenia wściekłego?

- Nie.

- Zdenerwowanego? Skruszonego?

- Nie.

- Zadowolonego z siebie?

- Nie. Nawet nie to. Nie sprawiałby wrażenia mniej zmar-

253

twionego, gdyby zadzwonił powiedzieć mi, że zapomniałam wypuścić na dwór kota. Zimny jak głaz. Z drugiej strony jednak, musi taki być, prawda?

Jak na kogoś, kto właśnie wysłuchał spowiedzi - czy czegoś w tym rodzaju - wroga publicznego numer jeden, Janet jest zadziwiająco spokojna. Albo też zbyt zmęczona, by to wszystko do niej dotarło.

- Przypuszczam, że nie nagrała pani tego telefonu, prawda? - pyta Red.

Do rozmowy włącza się Alex.

- Nie nagrywamy żadnych telefonów. To świadoma polityka. Nie możemy nagrywać telefonów ani zostawiać ich śladów.

- Śladów? - dziwi się Jez.

- Tak. No, wie pan, wciska się 1471 i otrzymuje ostatni numer, z którym się rozmawiało. Prosiłszy operatora, by ta dodatkowa funkcja została usunięta. Z tego samego powodu nie mamy telefonów, które pokazują numer dzwoniącego, zanim podniesie się słuchawkę. Istota działalności Samarytan polega na tym, że oferujemy pomoc w tajemnicy. Nie wiemy, kim są dzwoniący, chyba że sami nam to mówią.

- W każdym razie-mówi Janet-dzwonił z domu Jude' a, prawda? Przynajmniej tak twierdził. Może zostawił jakieś odciski palców.

- Może - zgadza się Red bez przekonania.

Nigdy w życiu. Srebrny Język zabił już pięć osób, nie zostawiając najmniejszego śladu. Mało prawdopodobne, by stał się nagle nieostrożny i upadkał odciskami swoich łap cały telefon.

- I nie ma go w waszej kartotece? - upewnia się Red.

- Nie prowadzimy kartoteki - odpowiada Alex.

- Czy mogę się sam o tym przekonać?

- Ten człowiek nigdy przedtem do nas nie dzwonił. Ma pan na to moje słowo.

- Możemy zdobyć nakaz rewizji - grozi mu Jez.

- Och, z pewnością - mówi Alex. - Ale straciecie tylko czas.

254

Red kapituluje.

- Jestem pewien, że nakaz nie będzie potrzebny. Dziękuję wszystkim za współpracę. Są już przy drzwiach, gdy Red odwraca się i patrzy na Janet.

- Wie pani co?

- Co?

- Jest pani jedyną osobą na świecie, która rozmawiała z tym człowiekiem, i wciąż jeszcze żyje.

Wychodzą, zanim dziewczyna jest w stanie odpowiedzieć.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci.

- Trzy duże cappuccino na wynos, proszę.

Jest dopiero wpół do ósmej rano, a Red już czuje się, jakby pół dnia był na nogach.

Bar lśni metaliczną czystością. Zważywszy na ceny, rzeczywiście powinien.

Cappuccino podają tu w dużych kartonowych kubkach z małą dziurką w wieczku, przez którą się pije. Dziurka zrobiona jest podobno dla lepszego wymieszania pianki i kawy. „Styl Seattle”, głosi napis z boku kubka.

- Całe to gadanie o mieszaniu pianki i kawy to jedno wielkie gówno - mówi Jez. -

Jeśli napijesz się przez tę dziurkę, pianka zostaje w środku. Musisz zdjąć przykrywkę i zlizać ją. To jest w tym wszystkim najlepsze.

Ich oddechy unoszą się w dymkach w kształcie płuc, gdy wychodzą z baru i idą w stronę Scotland Yardu. Pierwsza grupka dojeżdżających do pracy wychodzi ze stacji metra, większość z nich kieruje się w stronę japońskiego banku po drugiej stronie Victoria Street. Mogliby to być pracownicy administracji publicznej, gdyby nie to, że żadne ministerstwo nie zaczyna pracy tak wcześnie.

- Swoją drogą, to ciekawe - mówi Red.

255

- Co?

- To, że Srebrny Język nawiązuje kontakt zaraz po tym, jak sposób jego działania został ujawniony przez prasę. Przedtem w ogóle się nie kontaktował, a teraz dzwoni do Samarytan.

- Gdzie wie, że nie zostanie nagrany - mówi Jez.

- To prawda. Ale kontakt to kontakt. Więc dlaczego to zrobił?

- Może stał się próżny - sugeruje Kate.

- A może chce przestać - dopowiada Jez.

- Nie. - Red jest nieugięty. - Nie chce przestać. To wiemy. Chce doprowadzić sprawę do końca. Więc myślę, że Kate może mieć rację, mówiąc, że stał się próżny.

Komórka Reda dzwoni. Zatrzymują się instynktownie. Red podaje swoje cappuccino Kate, odpina telefon z paska i odbiera.

- Metcalfe.

Kate i Jez patrzą na niego, gdy rozmawia. Całkowite znużenie w głosie i postawie. Nie jest już przestraszony ani podekscytowany. Jest po prostu znużony, czeka, aż to wszystko się wreszcie skończy. Patrzy na nich, rozmawiając, i kiwa nieznacznie głową.

Jeszcze jeden trup. Dwa jednego ranka. Zupełnie jak na samym początku.

Nagle w głosie Reda pojawia się ton zaniepokojenia.

- Kto? ... Tak, oczywiście, wiem, kto to jest... Tak, wiem. Trudno nie wiedzieć, prawda? Jest w wiadomościach dosłownie każdego cholernego wieczoru... Gdzie?...

Tak, wiem. Który numer?... Dobrze. Zaraz tam będziemy... Mam tu ze sobą swoich ludzi... Nie, dojdziemy, to dosłownie dwa kroki stąd... Po prostu w dole ulicy...

Zresztą, po co się, kurwa, spieszyć? I tak już nie żyje, nie?

Kończy rozmowę i mówi do nich dwa słowa:

- Simon Barker.

- Ten polityk? - pytają równocześnie.

- Właśnie on.

- O mój Boże - szepcze Kate. - Gdzie on jest?

- Przy Catherine Place. - Red pokazuje w stronę Victoria Station. - Pięć minut drogi stąd.

Bierze od Kate swoje cappuccino.

- Chodźmy. Wypijemy po drodze.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty.

Szymon - piła, ponieważ, według tradycji, został przepiłowany.

Rozdział siedemdziesiąty piąty.

To, że Simon Barker zginął z rąk Srebrnego Języka, było ironicznym końcem jego barwnego życia. Barker przez dwadzieścia pięć lat swojej kariery w Izbie Gmin narobił sobie tak wielu wrogów, że tylko JR z serialu Dallas i JFK mieli ich więcej. Wymieńcie dowolną grupę społeczną, a okaże się, że Barker ją obraził. Nazywał homoseksualistów „diabelskim nasieniem”, samotne matki - „nieodpowiedzialnymi dziwkami”, członków IRA - „skretyniałymi Murphymi” albo „cholernymi szumowinami”, parlamentarzystki były dla niego albo „lesbami”, albo „bezmózgowcami”, Palestyńczycy - „ręcznikogłowymi”, Afrykanie - „czarnuchami z dżungli”. Dziecinne, prostackie i obraźliwe epitety z ust kogoś, kto sam siebie kiedyś określił, nie do końca żartując, jako człowieka, który mógłby „przerobić Czyngis-chana na Kena Livingstone'a”*.

* Ken „Red Ken” Livingstone - kontrowersyjny polityk związany z Labour Party.

W świecie według Simona Barkera wspólna europejska waluta była najpewniejszym sposobem na doprowadzenie brytyj-

256

257

skiej polityki i gospodarki do upadku, policja powinna mieć właściwie nieograniczone prawo do zatrzymywania i przeszukiwania, surowe prawodawstwo było słuszne i stosowne, a napływ imigrantów powinien być zatrzymany raz na zawsze. Ponadto odkąd przestał mieć ochotę na obejmowanie jakichkolwiek

wysokich stanowisk, wyrażał te opinie głośno, spokojny, bo wiedział, że reprezentuje konserwatywną większość w tym kraju. Simon Barker miał czas antenowy, o jakim większość ministrów mogła tylko marzyć.

A teraz jest martwy. Przepiłowany na pół.

Catherine Place to cicha, elegancka boczna uliczka po drugiej stronie Buckingham Palace. Czarne latarnie uliczne pochodzące z czasów wiktoriańskich i małe mosiężne tabliczki przedsiębiorstw mających tutaj swoje siedziby. Catherine Place leży prawie dokładnie w połowie drogi między Izbą Gmin na wschodzie a Kensington i Chelsea - okręgiem wyborczym Simona Barkera - na zachodzie.

Simon był umówiony w programie BusinessBreakfast w BBC tuż przed szóstą trzydzieści na rozmowę o ostatnich zmianach w prawie karnym. Kierowca BBC, który przyjechał po niego o piątej trzydzieści, zastał czarne drzwi wejściowe uchylone. Kiedy nikt nie odpowiedział na dzwonek, kierowca wszedł do środka, by poszukać swego klienta. Zawartość jego żołądka leży w widocznym miejscu na dywanie przy drzwiach do salonu.

Ciało Simona leży przed kominkiem. Zostało przecięte na wysokości pasa. Srebrny Język odsunął nieznacznie dół od góry. Dwie połówki ciała przedzielone są morzem krwi.

Za każdym razem Red myśli, że na żadnym miejscu zbrodni nie może być tyle krwi, co na tym, które już widział, teraz jednak okazuje się, że się mylił. To jest najgorsze ze wszystkich. Krew Simona płynęła, buchała i tryskała z miejsca, które Srebrny Język przepiłował, i chlupie teraz pod stopami Reda, gdy podchodzi do zwłok i kuca. Skóra Simona jest rozdarta w miejscu, gdzie ostrze piły weszło po raz pierwszy. Red przechyla głowę i sprawdza dół tułowia.

258

Wygląda to jak przekrój poprzeczny kanapki: skóra jak dwa kawałki chleba, a wszystkie organy wewnętrzne jak nadzienie w środku. Wnętrznosci lśnią silnymi odcieniami koloru czerwonego, błękitnego, fioletowego, żółtego i czarnego; smród zgniłej żółci wisi w powietrzu.

Red krzywi się. Cały ten farsz, cały ten brud jest również we mnie, myśli.

Pępek znajduje się około cala nad linią przecięcia. Srebrny Język wybrał najlepsze miejsce do cięcia: drogę najmniejszego oporu tuż nad biodrami, przez jelita, dzięki czemu jedyną kością, z jaką musiał się uporać, był kręgosłup.

Red patrzy zmęczonym wzrokiem na resztę ciała Simona. Poplamione krwią slipy wyglądają absurdalnie na górze kikuta, nie zaś na środku ciała.

Dłonie i kostki nóg są związane, tak żeby Simon nie mógł skutecznie walczyć.

Red nie musi patrzeć na twarz, ale jednak to robi.

Oczy Simona Barkera nie są szeroko otwarte z przerażenia, są zaciśnięte z bólu.

Wyobraź sobie amputację bez narkozy. W dawnych czasach wiązali cię i dawali kawałek drewna między zęby, żebyś nie odgryzł sobie języka z bólu. Srebrny Język nie potrzebował tego. Sam najpierw odciął ci język. Zakład, że powstrzymało cię to od krzyków?

Red zastanawia się, jak długo Simon umierał.

Podnosi się i rozgląda po pokoju. Panuje w nim nienaganny porządek. Czasopisma ułożone na stoliku przy kanapie. Biurko zamknięte. Obrazy wiszące idealnie równo

na ścianach.

I jasna plama szalika na podłodze przy głowie Simona.

Red przygląda się z bliska. To biało-czerwony piłkarski szalik z wyszytym napisem: ŚWIĘCI. Został rozpostarty na podłodze. Nie złożony, tylko celowo rozpostarty.

Rozpostarty, jakby po to, by nie został przegapiony.

Żadnych znaków przez pięć miesięcy i nagle dwa komunikaty jednego dnia. Słowo „próżny” tego nie oddaje.

259

Red patrzy przez ramię. Jez i Kate stoją przy drzwiach.

- Jez, na którą drużynę piłkarską mówi się „Święci”?
- „Święci”? Southampton. Dlaczego pytasz?
- Dlatego, że jest tutaj szalik. Patrzcie. Kate i Jez podchodzą ostrożnie.
- W życiu bym nie pomyślała, że Simon Barker był kibicem piłkarskim-mówi Kate.- Musiał uważać ten sport za strasznie prostacki.
- Bo ja wiem - powątpiewa Jez. - Kibicowanie jest ostatnio w modzie. Politycy wprost pchają się, żeby pokazać, że są zwykłymi ludźmi. Tyle że wszyscy, nie wiedzieć czemu, uparli się, żeby kibicować Chelsea.
- Więc dlaczego nie Simon? - pyta Red. - Jeśli już miałby kibicować jakiejś drużynie, to właśnie Chelsea. Było nie było, to jego okręg wyborczy.
- Ludzie kibicują drużynom piłkarskim z tysiąca powodów. Może urodził się w Southampton. Może jego dziadek był ich długoletnim fanem. Kto wie?
- Hm... Może.

Red patrzy raz jeszcze na szalik.

To nie nazwa drużyny. To wskazówka.

Święci. Nie Southampton.

Święci.

Święty Bartłomiej, ze swoją skórą w dłoni.

Wraca myślami do galerii. Wtedy rzuciło mu się w oczy słowo „apostoł”. Ale było tam jeszcze jedno słowo, którego znaczenia nie dostrzegł.

Święci.

I nagle Red już wie. Znajduje ostatni kawałek układanki.

„Rozwiązanie problemu jest niczym udane polowanie; daje dziką radość, radość, do której jesteśmy zrodzeni”.

Znużenie mija. Red odwraca się do Kate i Jeza.

- Skurwieli drze sobie z nas łacha. Spójrzcie na to. Jak myślicie, co to znaczy?
- Święci?
- Właśnie. Kim są wszyscy apostołowie? Świętymi.
- Wszyscy z wyjątkiem Judasza - prostuje Kate. - On jest kimś wręcz przeciwnym.
- No dobrze, wszyscy z wyjątkiem tego jednego. Co akurat nie ma znaczenia.
- Więc wszyscy są świętymi. I co z tego? - pyta Jez.
- Nie rozumiesz? Byli apostołami, ale również świętymi. A co święci mają?

Red odpowiada na swoje pytanie, zanim oni mogą to zrobić.

- Dni i zawody, których są patronami. I założę się, że Srebrny Język pracuje właśnie po tej linii. Założę się, o co chcecie, że według tych kryteriów dobiera swoje ofiary. Patrzy na zegarek.

- O której otwierają księgarńie?

Rozdział siedemdziesiąty szósty.

Uzyskałem najwyższą ocenę na egzaminie na poziomie zaawansowanym z religioznawstwa. Egzaminator napisał, że wiem, cytuję: „zdumiewająco”, koniec cytatu, dużo o chrześcijaństwie. A na studiach siedziałem całymi dniami w bibliotece, czytając książkę za książką, wszystkie o religii, wierze i dziejach idei. Nauczyciele akademicy, którzy uczyli mnie teologii, uważali mnie za wyjątkową mendę. Ciągłe pytałem ich o dogmaty, wiarę i takie tam. Nie pozwalałem im na kłamstwa. Nie pozwalałem im nawet na chwilę odpoczynku. Kwestionowałem każde zdanie, które wypowiadali. Niektórzy uważali mnie za małego kutasa, który robi to tylko po to, żeby się popisać, ale oczywiście tak nie było. Chciałem się czegoś dowiedzieć. To było dla mnie ważne.

I mimo wszystko na koniec otrzymałem dyplom z wynikiem ledwie dostatecznym. Powiedzieli mi, że i tak mam szczęście, że nie dostałem najniższej oceny. A ja spytałem: jak to możliwe, że miałem najwyższą ocenę na poziomie zaawansowanym, a potem,

260

261

po trzech latach, okazuję się tak beznadziejny? Stwierdzili, że nie odpowiedziałem napytania na egzaminie. Święta racja. Te pytania były gównem. Wykładowcy chcieli, żebyśmy powtarzali ich argumenty i schlebiali im, a wtedy dawali dyplom z najwyższą oceną. Taka akademicka wersja paktu Fausta z Mefistofelem. Ty piszesz, co chcemy, a my stawiamy ci dobrą ocenę. Wiemy, że to, co piszesz, niekoniecznie jest tym, co myślisz, ponieważ wszyscy jesteśmy inteligentnymi ludźmi, więc trzeba być skończonym idiotą, żeby szcycić się faktem, że dosłownie przytaczasz nasze argumenty bez choćby śladu oryginalnej myśli, ale pieprzyć to. Wygodne małe porozumienie dla zachowania status quo i synekur wykładowców. A tak wielu ludzi dało się na to nabrać. Ci ludzie, moi rówieśnicy, wszyscy z dobrymi mózgami w głowach, zapredali dusze. Najpierw egzaminatorom, a potem tym w City, prawu albo bankowości. Pamiętajcie, że to były późne lata osiemdziesiąte. Czasy, gdy wyszliście z uniwersytetu i wyobrażaliście sobie, że świat do was należy. Próbowałem zakwestionować pewne rzeczy i pobudzić ludzi do myślenia, ale oni byli zbyt wpatrzeni w siebie.

Czytałem na okrągło Biblię, próbując zrozumieć sens tego wszystkiego. I im więcej czytałem, tym więcej widziałem w sobie Jezusa. Tylko że nie możesz tego powiedzieć głośno, bo zaraz obwołają cię wariatem. Spójrzcie, jak traktowany jest David Icke*.

* David Icke - jeden z najbardziej znanych amerykańskich ekstremistów religijnych. Ale to prawda. We własnym kraju trudno być prorokiem. Jezus był mniej rozumiany przez współczesnych mu niż ktokolwiek inny w historii. I właśnie tak się czułem. Początkowo nie chciałem o tym myśleć. To nie jest ten rodzaj rzeczy, do których chcesz się przyznać. „Och, jestem nowym Mesjaszem”, Ponieważ to ogromna

odpowiedzialność. Ale, koniec końców, staje się to nieuniknione. Chcecie wiedzieć, dlaczego myślę, że jestem Mesjaszem, prawda? Bądź co bądź każdy może tak o sobie powiedzieć. Popatrzcie na wszystkich tych szarlatanów, którzy zakładają sekty, a potem doprowadzają swoich wiernych do zbiorowych samobójstw. Ale ja jestem Mesjaszem. Wiem, że jestem. Powiem wam dlaczego, kiedy przyjdzie na to czas.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy.

Red porządkuje swoje notatki i spogląda ponad biurkiem.

- Dobra, szybko, zanim powiem wam, co znalazłem. Kate, czy zdaniem Lubezkiego w ciałach było coś niezwykłego?

- Poza tym, że były martwe? Red chichocze.

- Tak. Poza tym.

- Nie. Niczego nie znalazł, tak jak wcześniej. Jak zwykle pełne badanie zajmie kilka dni, ale nie robi sobie specjalnych nadziei.

- Jakiej piły, według niego, użyto?

- Jakiegokolwiek, pod warunkiem, że była ostra. Równie dobrze mogła to być mała chirurgiczna, jak i większa piła ręczna. Jedyna rzecz, jaką się udało wywnioskować ze śladów cięcia, to że piła miała drobne ząbki.

- Więc Srebrny Język nie użył piły łańcuchowej?

- Och, nie. Lubezski twierdzi, że każdy w miarę silny mężczyzna jest w stanie przeciąć ludzkie ciało w jakieś dziesięć, piętnaście minut. A wnioskując z uderzeń, jakie zadał Jamesowi Cunninghamowi i Matthew Foxowi, Srebrny Język ma o wiele więcej siły niż „w miarę silny mężczyzna”. Poza tym nie mógł użyć piły łańcuchowej o tej godzinie, nie stawiając na nogi całej ulicy.

- Racja. Jez? Podejrzewam, że sąsiedzi niczego nie widzieli ani nie słyszeli?

- Zgadłeś. Wciąż jest tak, jakbyśmy tropili ducha.

- A czy tak nie jest? - Red odchrząkuje. - Dobra, gotowi?

262

263

Kiwają głowami.

- Postanowiłem przejrzeć literaturę. Poszedłem więc do księgarni w dole ulicy i kupiłem to. - Pokazuje na stos książek na biurku obok niego. - Biblia, Kto jest kim w Biblii i Leksykon świętych. Korzystałem ze wszystkich. Powtórnie zbadałem każdą ofiarę i wiecie, co się okazało? Pasują do siebie idealnie. Idealnie.

- Więc miałeś rację ze świętymi? - pyta Jez.

- W dużej mierze. Zawody ofiar albo odpowiadają zawodom, którym apostołowie patronują, albo są z nimi związane w inny znaczący sposób. Jeśli chodzi natomiast o dni świętych, to trafiłem w dziesiątkę. Dni świętych przypadają na różne daty w zachodnim i wschodnim kalendarzu, ale Srebrny Język oczywiście kierował się zachodnim. Wszystkie one dokładnie pasują.

Spogląda do swoich notatek.

- Jezus miał dwunastu apostołów, a ponadto siedemdziesięciu uczniów do pomocy w

rozpowszechnianiu nauk. Ludzie często używają słów „apostoł” i „uczeń”, jakby to były terminy zamienne, tymczasem nie są. To dwie różne rzeczy. Słowo „apostoł” wywodzi się z greki i znaczy tyle co „wysłannik”, natomiast słowo „uczeń” oznacza „pobierającego nauki”. Skoro już o tym mowa - skoro nasz morderca myśli, że jest nowym Mesjaszem - słowo „Mesjasz” wywodzi się z hebrajskiego i oznacza „pomazańca”, co może mieć jakieś dodatkowe znaczenie. Ale wróćmy do naszych ofiar. Zaczęłem od pierwszego ciała, od Filipa. Biblijny Filip był jednym z pierwszych uczniów Jezusa, a przedtem prawdopodobnie uczniem Jana Chrzciciela. Z tego, co wiem, nie jest patronem jakiegoś konkretnego zawodu, ale ze wszystkich apostołów to właśnie on był najbardziej związany z cudownym rozmnożeniem chleba.

- Stąd wybór cateringowca - szepcze Kate.

- Właśnie. W szóstym rozdziale Ewangelii świętego Jana jest wzmianka o Filipie, którego Jezus pyta, jak nakarmić pięć tysięcy osób. Dzień świętego Filipa przypada pierwszego maja. Pamiętacie godziny śmierci, które Lubezski i Slattery ustalili dla Filipa Rhodesa i Jamesa Cunninghama? Stwierdzili, że Philip

264

został zabity między północą a drugą w nocy, Cunningham zaś między trzecią a piątą nad ranem - to znaczy, obaj na początku nowego dnia. To dotyczy wszystkich ofiar. Wszystkie one zostały zamordowane niedługo po północy. Srebrny Język chciał mieć pewność, że wszystkie będą żyć przynajmniej do świtu. Znalazłem jeszcze coś, choć to akurat może być zbieg okoliczności: Filip jest apostołem, który wychodzi do Greków, gdy chcą oni poznać Jezusa. A kiedy Filip pyta Jezusa, czy pokaże im Ojca, wiecie, co Jezus odpowiada? „Kto mnie zobaczył, zobaczył także i ojca”.

- Nie rozumiem - mówi Jez.

- To pewnego rodzaju myśl przewodnia - wyjaśnia Red. - Przypomniałem sobie, co powiedziałem tej kobiecie u Samarytan, tej, która odebrała telefon o śmierci Jude'a Hardcastle'a. Wiecie, że jest ona jedyną osobą, która rozmawiała z mordercą i przeżyła. „Kto mnie zobaczył, zobaczył także i ojca”. Jedynymi osobami, które zobaczyły Srebrnego Języka, są jego ofiary. W jego rozumieniu, kiedy go widzą, widzą swego Odkupiciela. To tak jak to, co mówiłeś o Powtórny Przyjściu, Jez. Kate otwiera usta, by coś powiedzieć.

- Nie przejmuj się - kontynuuje Red. - Potem będzie jeszcze gorzej. Następną ofiarą był James Cunningham, biskup. Zidentyfikowaliśmy go jako Jakuba Młodsze, ponieważ ten ostatni został zabity w podobny sposób - załuczony na śmierć pałką folusznika. Sprawdziłem, co można znaleźć o Jakubie Młodszym, i nie było tego wiele. Często utożsamia się go z kilkoma osobami: po pierwsze, z Jakubem, którego matka stała przy Chrystusie wiszącym na krzyżu, po drugie, z autorem listu świętego Jakuba, i po trzecie - i najważniejsze - z Jakubem, „bratem pana”, któremu ukazał się po swym zmartwychwstaniu Chrystus i który jest często nazywany pierwszym biskupem Jerozolimy.

Kate gwizdże przez zęby. Jez potrząsa w zdumieniu głową. Red kontynuuje.

- W każdym razie, Jakub Młodszy został załuczony na

265

śmierć pałą folusznika po skazaniu na ukamienowanie przez Sanhedryn w roku 62. Dniem tego świętego jest - niespodzianka! - pierwszy maja. Nadażacie?

Potwierdzają.

- To dobrze. Następny człowiek, który został zabity, to James Buxton - drogą eliminacji, Jakub Starszy. Razem z Piotrem i Janem Jakub był świadkiem Przemienienia Pańskiego i trwogi konania w ogrodzie Getsemani. Był również pierwszym apostołem, który zginął za wiarę chrześcijańską, i jedynym apostołem, którego śmierć jest odnotowana w Biblii.

- Zaraz, zaraz. Przecież w Ewangeliach jest mowa tylko o śmierci Jezusa? - dziwi się Jez.

- Tak. O śmierci Jakuba jest wzmianka w Dziejach Apostolskich. Tutaj, w rozdziale 12, „W tym także czasie” - w roku 43, jak wynika z jednej z tych ksiąg - „Herod zaczął prześladować niektórych członków Kościoła. Ściął mieczem Jakuba, brata Jana”. Pamiętacie, jak nie dawało nam spokoju to, że na miejscu zbrodni nie znaleźliśmy muszli, kija pielgrzyma ani bukłaka? Wcale nie musieliśmy ich znaleźć. W tym przypadku bowiem chodzi o rodzaj śmierci. James Buxton został pozbawiony głowy, tak jak Jakub Starszy. Zapewne Herod myślał, że prześladowanie chrześcijan przysporzy mu popularności wśród Żydów.

- A inne kryteria pasują? - pyta Jez.

- Tak. Jakub Starszy jest patronem kilku grup: pielgrzymów, chorych na reumatyzm i żołnierzy - nawet tych nowych, świeżo po Sandhurst. Grób Jakuba znajduje się w kościele Santiago w Compostella w Hiszpanii, a jego kult rozprzestrzenił się wraz z pielgrzymkami do Compostela między dwunastym a piętnastym wiekiem. Jedynie Jerozolima i Rzym przyciągały więcej pielgrzymów. Średniowieczni pielgrzymi wszywali muszle w szaty, uważając je za talizmany przynoszące szczęście. Poemat Waltera Raleigh Pielgrzymka, który napisał w nocy przed ścięciem, zaczyna się od słów: „Daj mi mą muszlę spokoju pełną”. A dniem świętego Jakuba jest 25 lipca.

266

- W jaki sposób Srebrny Język znalazł tych wszystkich ludzi? - pyta Kate.

- O tym później - mówi Red. - Następny w kolejce do śmierci jest Bartłomiej - albo Natanael, jak nazywa go święty Jan. O nim wiemy już o wiele więcej. Po śmierci Jezusa prawdopodobnie udał się do Indii oraz Armenii, gdzie został żywcem obdarty ze skóry w Derbendzie nad Morzem Kaspijskim. Z powodu rodzaju śmierci stał się patronem garbarzy i w ogóle wszystkich, którzy pracują ze skórą. Dzień tego świętego to 24 sierpnia. Znowu pasuje.

Następny po nim to Mateusz, chociaż przez Marka i Łukasza w ich Ewangeliach nazywany jest Lewim. Mateusz był celnikiem

- nie w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, czyli urzędnikiem pobierającym cło, ale poborcą podatkowym żydowskiego pochodzenia, który pracował dla Heroda Antypasa w Galilei. Poborcy podatkowi byli powszechnie znienawidzeni i objęci bojkotem towarzyskim. Miejskowa ludność nienawidziła ich nie tylko dlatego, że byli postrzegani jako sługusy znienawidzonych okupantów rzymskich, ale również dlatego, że stosowali, dla uzupełnienia dochodu, wymuszenie. Fach Mateusza jest wymieniony w pierwszej Ewangelii przez samego Jezusa.

- A Matthew Fox pracował w urzędzie skarbowym - mówi Jez.
- Właśnie. To dlatego pasował do wzoru. Święty Mateusz
- patron poborców podatkowych i księgowych. Dzień tego świętego to 21 września.
- Czy to ten sam Mateusz, który napisał pierwszą Ewangelię? - pyta Kate.
- Być może. Opinie są podzielone. - Red podnosi szybko wzrok, by sprawdzić, czy nie mają więcej pytań, po czym mówi dalej: - I tak docieramy do dzisiejszych zdobyczy. Juda i Szymon, obaj mający swój dzień dzisiaj, 28 października. Weźmy najpierw Judę - czy też Tadeusza, jak chcą niektórzy. Obecnie Juda cieszy się popularnością jako patron beznadziejnych spraw. Wiecie dlaczego? Dlatego, że jego imię jest tak podobne do imienia Judasza, że tylko całkowicie zrozpaczeni mogą go wzywać.

267

- Stąd Samarytanie - mówi Kate. - Ostatnia deska ratunku. Ładnie to sobie wymyślił.
- Prawda? - śmieje się Red. - Nie można naszemu Srebrnemu Językowi odmówić odrobiny poczucia humoru. Także jeśli chodzi o Szymona. W ostatnich dwóch wiekach przed Chrystusem judaizm podzielił się na sekty, z których najbardziej wpływowymi byli faryzeusze i saduceusze. Szymon należał do trzeciej grupy, zelotów, którzy składali się z - uwaga! - nieugiętych i wojowniczych konserwatystów. Jez zaczyna się głośno śmiać.
- To Simon Barker jak malowany, że się tak wyrażę.
- Dlaczego wymienia się ich razem? - pyta Kate.
- Wygląda na to, że razem wyruszyli do Persji, gdzie obaj zginęli śmiercią męczeńską w Sufian.

Red odkłada papiery na biurko, po czym porządkuje je na nowo.

- To wszyscy, jak do tej pory.
- Jakim cudem Srebrnemu Językowi udaje się ich dopaść?
- dziwi się Kate. - Jeśli byłaby to tylko kwestia znalezienia ludzi o odpowiednich imionach i zabicia ich, kiedy będzie można, wtedy nie byłoby to takie trudne. Ale jeśli szuka również odpowiednich zawodów i wiąże to jeszcze z określonymi datami, musi mieć wszystko dopracowane do najdrobniejszego szczegółu. Co, jeśli jedna z jego ofiar wyjechałaby na wakacje albo w podróż służbową czy coś w tym stylu? Przecież zniszczyłoby to cały ten misterny plan. Musiałby wszystko odwołać - albo odłożyć do przyszłego roku, kiedy znów ten święty będzie miał swój dzień.
- Wydaje mi się - mówi Jez powoli - że on widzi wolę bożą w fakcie, że wszystkie ofiary były dostępne.
- Zaczynam myśleć, że może mieć rację - wzdycha Red.
- Dobry Bóg jak do tej pory nie jest po naszej stronie, prawda? Ale jestem pewien, że szczęście się jeszcze do nas uśmiechnie.
- Dlaczego? - pyta Kate.
- Możemy obrócić te ściśle parametry, jakie wyznaczył

268

sobie Srebrny Język, przeciwko niemu. Pamiętacie, jacy byliśmy zrozpaczeni, kiedy myśleliśmy, że dobiera ofiary tylko według imion? Dając nam ten klucz ze świętymi, drastycznie zawęził obszar naszych poszukiwań. Wiemy już teraz, kiedy uderzy, i mamy naprawdę dobre rozeznanie, w jakich ludzi będzie celował.

- Ale skoro dał nam klucz - mówi Jez - musi być cholernie pewien, że i tak go nie złapiemy.
 - To prawda. Ale może też za bardzo ufać we własne siły. Im więcej mamy informacji, tym większe są nasze szanse. Zabił już siedmiu. Zostało pięciu apostołów, ale tylko czterech świętych.
 - Ponieważ Judasz nie jest świętym - dopowiada Kate.
 - Właśnie.
 - Wydaje mi się, że nie powinniśmy wykluczać Judasza - stwierdza Jez.
 - Wcale tego nie robię - mówi Red. - Ale powinniśmy się skoncentrować na tym, co wiemy. - Podnosi kolejną stertę kartek. - O, proszę. Tu są ci, którzy jeszcze zostali. Andrzej, Jan, Piotr i Tomasz. Zbierałem materiały na ich temat trochę pośpiesznie, ale podzielię się z wami wszystkim, co znalazłem. Niektóre rzeczy mogą okazać się nieistotne. Jest tu trochę zbędnego materiału. Mogę zaczynać?
- Kiwają głowami.
- Najpierw Andrzej. Był rybakiem z zawodu i bratem Piotra, co może, choć nie musi, mieć jakieś znaczenie. Wątpię, żeby nasz człowiek poszedł tym tropem.
 - Dlaczego? - pyta Kate.
 - Z dwóch powodów. Po pierwsze, zabicie jednego brata może spowodować, że drugi będzie się miał na baczności, po drugie, mieliśmy już braci i nic to nie znaczyło.
 - Mieliśmy?
 - Tak. Jakub Starszy był bratem Jana. Ale James Buxton miał tylko jednego brata, Nicka - tego, który znalazł jego ciało. Więc niekoniecznie powinniśmy traktować fakt posiadania braci zbyt dosłownie. Wracając do Andrzeja. Był on pierwszym, którego Jezus powołał, i na listach apostołów, które pojawiają się
- 269
- w Ewangeliach, jest zawsze w pierwszej czwórce. Podobnie jak Filip, był uczniem Jana Chrzciciela, zanim stał się apostołem Chrystusa. Kiedy Jan Chrzciciel uznał, że Jezus jest Synem Bożym, Andrzej to usłyszał, poszedł do Piotra i powiedział, że znaleźli Mesjasza. Również podobnie jak Filip, Andrzej jest szczególnie związany z cudownym rozmnożeniem chleba. Był tym, który znalazł chłopca z chlebami jęczmiennymi i rybami. Red upija łyk kawy.
- Andrzej zginął śmiercią męczeńską w Patras, na północno--zachodnim wybrzeżu Achai, gdzie został ukrzyżowany na krzyżu w kształcie litery X. Według legendy głosił z krzyża słowo przez dwa dni, zanim umarł. Jego szczątki zostały później wywiezione z Patras do Szkocji przez biskupa Patras, któremu anioł przykazał, że ma jechać na północny zachód, dopóki nie otrzyma znaku, by się zatrzymać. Ostatecznie zatrzymał się w Fife, gdzie pochował szczątki Andrzeja i zbudował nad grobem kościół. Potem powstało tam miasto St Andrew. Andrzej jest patronem rybaków i Szkocji - krzyż świętego Andrzeja znajduje się na szkockiej fladze.
 - Biały X na niebieskim tle - mówi Jez. - Rzeczywiście.
 - Następny jest Jan, drugi członek triumwiratu, który był świadkiem Przemienienia Pańskiego i trwogi konania w ogrodzie. Często nazywany jest „umiłowanym uczniem” i silnie obecny we wszystkich Ewangeliach. Jan był tym, któremu Jezus przykazał opiekować się swoją matką Marią, i był pierwszym z uczniów, który

zobaczył pusty grób po zmartwychwstaniu. Jan uważany jest za autora czwartej Ewangelii i Apokalipsy, która została napisana na greckiej wyspie Patmos. Jaskinia, w której doznał objawienia, jest wciąż widoczna niedaleko klasztoru, który nosi jego imię. Jan jest patronem teologów, pisarzy i tych wszystkich, którzy pracują przy produkcji książek. Ale jego śmierć stanowi dla nas pewien problem.

- Dlaczego? - to znowu Kate.

- Dlatego, że ze wszystkich apostołów on jeden umarł śmiercią naturalną. Był prześladowany przez rzymskiego cesarza Domicjana - wliczając w to legendarną ucieczkę przed zanurze-

270

niem w kotle z wrzącym olejem - ale uratował się i pojechał do Efezu, gdzie zmarł w podeszłym wieku. Jego grobowiec znajduje się niedaleko Efezu, w obecnym Selcuk. W średniowieczu pył z tego grobowca uważany był za lekarstwo na wszelkie choroby.

- Więc myślisz, że jeśli dożył późnej starości, Srebrny Język go pominie? Nie będzie sobie nim zawracał głowy? - pyta Jez.

- Nie. Nawet przez chwilę tak nie myślałem. Jan jest integralną częścią planu. Jest przynajmniej tak samo ważny jak inni apostołowie, a być może nawet ważniejszy od większości z nich. Srebrny Język znajdzie na to jakiś sposób.

Kate stuka ołówkiem o zęby.

- Ale jaki?

- Tego akurat nie wiem. Będziemy musieli się nad tym zastanowić. Na razie jednak zajmijmy się tym, co wiemy. Następny jest Piotr. Jest najważniejszym z apostołów. Na każdej liście znajduje się zawsze na pierwszym miejscu. Podobnie jak jego brat Andrzej, był z zawodu rybakiem. To właśnie Andrzej zaprowadził Piotra do Chrystusa. Piotr miał naprawdę na imię Szymon, to Chrystus zmienił mu imię na Piotr.

- Dlaczego?

- Z powodu greckiego słowa petros, znaczącego „skała”. Jezus powiedział, że Piotr jest skałą, na której zbuduje swój Kościół. Piotr jest również tym, który otrzymał „klucze królestwa niebieskiego”. Był apostołem, który jako pierwszy uznał Jezusa za Mesjasza, pierwszy zobaczył Go po zmartwychwstaniu, pierwszy czynił cuda. To on też wyznaczył następcę Judasza. Jednak każdy kij ma dwa końce. Na przykład, to Piotr był tym, któremu nie udało się chodzić z Jezusem po jeziorze, i został przez niego nazwany człowiekiem „małej wiary”. On również był jedynym apostołem, którego żona została wspomniana w Biblii, chociaż to znowu może mieć, a może nie mieć znaczenia.

- Jak dotąd chyba miało - mówi Kate. - Wszystkie nasze ofiary żyły samotnie.

- Philip miał narzeczoną - zauważa Jez.

271

- Tak, ale nie był żonaty. To pewna różnica.

- Porozmawiamy o tym później - przerywa im Red, chcąc kontynuować. - Piotr był prześladowany za czasów Nerona i został ukrzyżowany w Rzymie w 64 roku.

Ukrzyżowano go głową w dół, ponieważ nie uważał się za równego Jezusowi i nie chciał, by spotkał go taki sam los jak Jego. Ciało Piotra zostało pochowane w Rzymie

w katedrze, którą potem nazwano jego imieniem. Piotr jest patronem papieży i - tak jak Andrzej - rybaków. Zwykle jest przedstawiany na obrazach z pękiem kluczy - do królestwa niebieskiego - lub z kogutem, dla upamiętnienia tego, że wyparł się Jezusa trzy razy, zanim zapiał kogut.

- To jak loteria - mówi Jez. - Srebrny Język może wybrać z tego cokolwiek. Piotr daje mu pełen magazynek amunicji.

- Zgadza się. Na szczęście ten, który nam jeszcze został, nie wydaje się mieć tak wielkiego zestawu symboli. Piotra będzie najtrudniej znaleźć, ale jestem pewien, że będzie to możliwe.

- A kto nam jeszcze został? - pyta Kate.

- Tylko Tomasz. Niewierny Tomasz, oczywiście. Był tym, który nie wierzył w Zmartwychwstanie do momentu, gdy dotknął rany zmartwychwstałego Chrystusa. To jest u Jana, w rozdziale 20: „Inni więc uczniowie mówili do niego: »Widzieliśmy Pana!« Ale on rzekł do nich: »Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę«. Po śmierci Jezusa udał się najdalej ze wszystkich apostołów. Przypuszcza się, że dotarł do południowych Indii, nawet dalej niż Bartłomiej. Został zabity włócznią i pochowany w Maliapur niedaleko Madrasu. Mówiło się, że zbudował pałac dla króla Indii - to dlatego stał się patronem architektów. Przy zachodnim wejściu katedry w Exeter jest ukazany z włócznią i kątownicą.

- Cóż, przynajmniej to powinno być łatwe - mówi Kate. - Architekt o imieniu Thomas, który ma być przeszyty włócznią. Potrzebna nam tylko data.

- O cholera - mówi Red. - Ale ze mnie idiota. Zapomniałem sprawdzić, kiedy wypadają dni tych świętych.

272

Sięga po Leksykon świętych.

- Który był ostatni? Tomasz. Przewraca gorączkowo kartki.

- Tomasz. 21 grudnia. Spogląda do swoich notatek.

- Pozostali to Andrzej, Jan i Piotr. Wraca do leksykonu.

- O, tutaj jest. Andrzej. 30 listopada. Przewraca kartki.

- Jan. 27 grudnia. Znów przewraca kartki.

- I Piotr. 29 czerwca.

- 29 czerwca? - wykrzykują równocześnie Kate i Jez.

- Tak. 29 czerwca. A co...

I nagle Red rozdziawia usta, bo dociera do niego, co to znaczy.

- O mój Boże - szepcze. - Jednego przegapiliśmy.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy.

- Nie mogliśmy - upiera się Jez.

- Owszem, mogliśmy - mówi Red. - A nawet musieliśmy.

- Może Srebrny Język próbował go zabić i mu się nie udało - snuje przypuszczenia Kate. - Może Piotr wyprowadził się albo co.

Red potrząsa głową.

- Nie. Nie wydaje mi się. Przecież sama to przed chwilą mówiłaś - cała ta sprawa oparta jest na niezwykle precyzyjnym planowaniu. Dobrze wiemy, jak skrupulatny potrafi być Srebrny Język. Jak dotąd nie popełnił najmniejszego błędu. Z pewnością mu nie przepuścił. Gdzieś musi być ofiara o imieniu Peter. To dlatego morderca podrzucił nam klucz ze świętymi. Chce, żebyśmy wiedzieli. Bawi się z nami.

273

- Ale wszystkie ofiary znajdowaliśmy co najwyżej kilka godzin po śmierci - mówi Jez. - A ten Peter powinien być zabity - dzieli dłonią miesiące - cztery miesiące temu. Więc jeśli Peter nie żyje, Srebrny Język musiał go ukryć. Dlaczego? Dlaczego ukrył właśnie jego?

- Nie mam pojęcia - mówi Red. Szpera w notatkach, dopóki nie znajduje Piotra. - Cholernie typowy. W przypadku Piotra jest najwięcej możliwości. Może być trudno go znaleźć, bo jest tak dużo rzeczy, które mogą być ważne. - Przegląda niecierpliwie tekst, mrużąc pod nosem. - Rybak... najważniejszy z apostołów... klucze królestwa niebieskiego... ukrzyżowany głową w dół... jedyny, który miał żonę.

Ukrzyżowany głową w dół. Red uderza pięścią w biurko.

- To jest to. Został ukrzyżowany głową w dół. Gdybyśmy znaleźli Petera, zaraz po tym, jak został zabity, od razu rozpracowalibyśmy wzór. Ukrzyżowanie nieodmiennie kojarzy się z religią. A ukrzyżowanie głową w dół jest na tyle rzadkie, że wzbudziłoby podejrzenia nawet w debilu. Gdybyśmy znaleźli Petera, wzór byłby zbyt oczywisty.

Sprawdza daty.

- Peter powinien być trzecią ofiarą. Gdybyśmy odkryli, w myśl jakiego wzoru działa Srebrny Język już po trzeciej ofierze, mógłby mieć poważne trudności z namierzeniem kolejnych celów, nie? Więc ukrył Petera, a my marnowaliśmy czas, posuwając w dupę pedziów. Wybiera, co nam powiedzieć i kiedy to zrobić. Podsuwa nam klucz ze świętymi, a zataja Petera.

- Chyba jednak musi to być gdzieś odnotowane, prawda? - mówi Kate. - To znaczy, nie możesz zabić kogoś w czerwcu i liczyć na to, że nikt tego nie odkryje aż do października.

- Chyba że Peter był jakimś włóczęgą, którego zniknięcia nikt nie zauważył - mruczy pod nosem Jez.

- Może - zgadza się Red - ale bardziej prawdopodobne, że Peter miał jakąś pracę. Jak dotąd, wszystkie ofiary były gdzieś zatrudnione. - Odwraca się do Kate. - Idź do wydziału osób zaginionych. Zbierz dane wszystkich osób, których zaginięcie zgłoszono od 29 czerwca. Na wszelki wypadek weźmy jakiś miesiąc od tej daty. Daje to nam wszystkich zaginionych od końca czerwca do początku sierpnia. Trzeba wziąć poprawkę na to, że początkowo można było myśleć, że zaginiony wyjechał na urlop albo zachorował czy coś w tym stylu. Powiedz im, żeby przede wszystkim szukali londyńczyka o imieniu Peter. Jeśli nikogo takiego nie znajdą, rozszerzymy kryteria. Zostań z nimi i nie przychodź, dopóki czegoś nie znajdziecie.

- A co z zawodami? - pyta Jez. - Komu patronuje święty Piotr?

Red patrzy do notatek.

- Ślusarzom, rybakom i papieżom. - Uśmiecha się. - Myślę, że przynajmniej ostatniego mamy z głowy. Nawet Watykan miałby kłopoty z ukrywaniem czegoś

takiego. - Spogląda na Kate. - Nie przejmuj się za bardzo zawodami. Szukaj najpierw zaginionych, dopiero potem sprawdzaj, czy pasują do zawodów. Prawdopodobnie nasz Peter będzie ślusarzem albo kimś związanym z rybami, ale niech to nie będzie czynnikiem decydującym. Piotr też był na przykład skałą. Równie dobrze nasz człowiek może więc być kamieniarzem. Ale, tak jak już mówiłem, dopasuj zaginionego do zawodu, nie odwrotnie.

- Rozumiem. - Kate kończy zapisywać instrukcje, po czym wstaje. - Jeszcze jedno - mówi.

- Co takiego?

- Jeśli miał żonę, tak jak biblijny Piotr, jakim cudem nie zauważyła, że zniknął?

- Może to ona zgłosiła jego zaginięcie. Może byli w separacji. Może Srebrny Język również ją zabił. Kto wie?

- Nie - mówi Jez. - Nie mógł zabić również jej. To nie pasowałoby do wzoru. Byłoby to dla niego... obrzydliwe. Zabicie kogoś spoza grona wybrańców mogłoby zbrukać jego arcydzieło.

274

275

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty.

Kate wraca dokładnie godzinę później.

- Jezu, musiałam użyć całego swego kobiecego wdzięku, żeby zbajerować chłopaków w wydziale zaginionych. Wcale nie byli zachwyceni, że ktoś próbuje wepchać się poza kolejnością, tym bardziej że osoba, której szukamy, zapewne nie żyje od prawie czterech miesięcy. W końcu jakoś sobie z nimi poradziłam, ale to była istna droga przez mękę. I zgadnijcie, co znalazłam.

- Co?

- Między końcem czerwca a początkiem sierpnia zaginęło szesnastu mężczyzn o imieniu Peter. Odrzuciliśmy od razu dwunastu z nich, bo byli spoza Londynu. Zostało czterech. Dwóch z nich znaleziono, całych i zdrowych. A z pozostałych dwóch jeden okazał się ośmioletnim chłopcem.

- Czy to nie ten, no, jak mu tam? - usiłuje sobie przypomnieć Jez. - Ten, który zginął z osiedla w Tower Hamlets? No, wiecie, o chłopaku było w gazetach. Peter Stokes. O, tak się nazywał.

- Tak, to on. Nikt nie wie, co się z nim stało, chociaż miejscowa policja uważa, że nie żyje. Tak czy owak, jest za młody. Zostaje więc tylko jeden i myślę, że to nasz człowiek.

Wręcza im kopie wydruku.

- Proszę. Peter Simpson. Hilldrop Road, Holloway. Ślusarz. Pasuje jak ulał.

- Jak jasna cholera - przyznaje Red. - Jedziemy do Holloway.

Kate odchrząkuje.

- Tylko jedno jest dziwne.

- Co takiego?

- Petera Simpsona nie znaleźliśmy od razu, a dopiero wtedy, gdy zmieniliśmy kryteria poszukiwań.
- To znaczy?
- Polecieś mi szukać zaginionych między 29 czerwca a 1 sierpnia. Znaleźliśmy go dopiero wtedy, gdy poprosiłam o cofnięcie

276

daty początkowej. Zaginięcie Petera Simpsona zostało zgłoszone 25 czerwca - cztery dni przed jego prawdopodobną śmiercią. Red i Jez gapią się na nią bezmyślnie.

- Zgłoszono jego zaginięcie, zanim został zabity? - upewnia się Jez.
- Tak.
- Może ludzie z wydziału zaginionych się pomylili. Może wpisali złą datę albo co.
- Nie. Sprawdzili w komputerze, kiedy został wprowadzony do kartoteki. 25 czerwca, o 16.03.
- Kto zgłosił zaginięcie? - pyta Red.
- Kobieta, która mieszka nad nim. Nazywa się Sandra Moore.
- Cóż, chodźmy w takim razie porozmawiać z panią Moore.

Rozdział osiemdziesiąty.

- Stephen, proszę cię, przestań.

Sandra Moore pochyla się, by zdjąć swego czteroletniego syna z nóg Kate, których używał jako zaimprovizowanego miejsca wspinaczki.

Kate uśmiecha się.

- Nic się nie stało. Naprawdę.

Sandra łapie Stephena i bierze go na stronę. Szepcze mu coś do ucha ostro i nagłaco, po czym otacza ręką jego szyję w geście, który jest na poły wyrazem macierzyńskich uczuć i na poły hamującym środkiem zaradczym.

- Przepraszam państwa.
- Proszę mówić - zachęca ją Red.
- Dobrze. To jeden z klientów Pete'a mnie zaalarmował. Prawdopodobnie Pete podjął się jakiejś roboty i się nie wywiązał, więc ten facet zadzwonił do niego i nikt nie odpowiadał, więc w końcu się do niego wybrał. Byłam właśnie w domu, załatwiając swoje własne sprawy...

277

Akurat, myśli Red, założę się, że podglądałaś przez dziurkę od klucza.

- .. kiedy pojawił się ten facet i dzwonił do domofonu raz po raz, i słysząc go było w całym bloku - ściany są tu bardzo cienkie - a potem zaczął wydzwaniać do wszystkich, to znaczy do wszystkich mieszkań, po kolei, i odebrałam, a on powiedział, że chce się widzieć z Pete'em, i wtedy sobie uświadomiłam, że nie widziałam Pete'a już od kilku dni, więc wpuściłam tego gościa i zaczęliśmy pukać do jego drzwi, i nikt nie odpowiadał. I ten człowiek powiedział, że to bardzo niepodobne do Pete'a - myślę, że Pete pracował już kiedyś dla niego, więc znał go dobrze, a Pete zawsze był bardzo solidny - więc daliśmy znać na policję i przyszedł taki młody posterunkowy, w mundurze i w ogóle, i otworzył drzwi jednym z tych kluczy

uniwersalnych, co to je wasi ludzie noszą przy sobie. Zawsze mówiłam Pete'owi, że powinien dać mi klucz, na wypadek gdyby coś się stało, jak nie byłoby go w domu albo co, i zawsze mi obiecywał, ale nic poza tym.

- I co znaleźliście?

- Cóż, w każdym razie nie Pete'a. Na stole w kuchni leżała kartka, na której napisał, że nie wytrzyma już tego dłużej i że po śmierci Karen...

- Kto to jest Karen?

- Jego żona.

- Jego żona nie żyje?

- O tak. Na początku tego roku zginęła w wypadku samochodowym. Och, to było straszne. Po prostu straszne. Taka miła kobieta. Byli małżeństwem zaledwie kilka miesięcy. Nawet nie mieli czasu, żeby stać się rodziną. Pete chyba nigdy nie pogodził się z jej śmiercią. To znaczy, najwyraźniej się nie pogodził, skoro odszedł, prawda? To właśnie napisał w tym liście. Że chce być sam i mieć czas, żeby przemyśleć kilka spraw, i że postanowił zniknąć na trochę, i że nie powinniśmy próbować go odnaleźć, i że wróci w odpowiednim czasie, i że wszystko będzie dobrze, że nie zamierza się zabić czy coś w ten deseń, i że przeprasza za kłopot wszystkich ludzi, u których miał umówioną robotę.

- Czy widziała pani ten list?

- O tak. Posterunkowy najpierw go przeczytał, a potem pokazał go mnie.

- I jest pani pewna, że to był charakter pisma Petera?

- O tak. Pete ma bardzo ładny charakter pisma. Pewnie dlatego, że ma bardzo sprawne ręce i w ogóle.

- Czy według pani Peter był - jest - człowiekiem, który mógł sobie coś zrobić?
Sandra Moore nie zauważa przejęzyczenia Reda.

- Nie. Zdecydowanie nie. Jak już mówiłam, był bardzo solidny. Ale nie myślał jasno po śmierci Karen. Kto wie, co działo się w jego głowie? Ludzie dziwnie reagują na takie rzeczy, no nie? Żyj i pozwól żyć, jak ja to mówię.

- I nie miała pani od tamtej pory żadnych wiadomości od Petera?

- O nie. Ani słowa. Pamiętam, jak powiedziałam do posterunkowego, że przynajmniej wiemy, co się stało. A on na to, że nie, że i tak musimy zgłosić jego zaginięcie, bo nie wiemy, gdzie jest. Takie jest podobno prawo.

- Tak. Czy pamięta pani nazwisko tego posterunkowego? Sandra marszczy brwi i kręci powoli głową.

- Nie. To było tak dawno...

- Nieważne. Czy wie pani, co się stało z mieszkaniem Petera?

- Nic. To znaczy, oficjalnie to on wciąż w nim mieszka, no nie? To ciągle jego mieszkanie. On po prostu wyjechał na trochę.

- Więc nie zostało wynajęte ani sprzedane?

- O nie. W ogóle nikt tam nie wchodził, z tego co wiem.

- Dobrze.

Red wstaje, za nim podnoszą się Kate i Jez.

- Pani Moore, okazała nam pani wielką pomoc. Dziękujemy.

- Nie ma sprawy, proszę pana. Jeśli jeszcze będę mogła się do czegoś przydać...

- To bardzo uprzejmie z pani strony. Dziękuję. Zamyka za nimi drzwi, zostawiając

ich w mroku korytarza.

278

279

Jez szuka po omacku włącznika światła i wciska go mocno. Światło zapala się. Rozlega się ciche bzyczenie, gdy regulator czasowy we włączniku wraca do zera. Red głośno myśli.

- Tak więc, w dniu, kiedy przyszedł policjant i znalazł list, nikogo nie było w domu. Ale to pewnie był 25 czerwca, dzień, w którym zgłoszono zaginięcie Petera.

- Pod warunkiem, że policjant zgłosił je tego samego dnia - zauważa Kate.

- Tak, oczywiście. Ale nawet jeśli tak nie zrobił, to niczego nie zmienia. To znaczy, jeśli nawet zaginięcie Petera zostało zgłoszone dopiero po kilku dniach, to list musiał być znaleziony 24 albo 23 czerwca.

- Wiecie, nad czym się zastanawiam?-pyta Jez. - Wszystkie ofiary zostały zabite w swoich domach i tam znaleziono ich ciała. Żadna nie została wywieziona na wysypisko śmieci, wyrzucona do rzeki czy coś w tym stylu. A w domu Petera nic nie ma.

- Tego nie wiemy - mówi Kate. - Jeszcze tam nie byliśmy. Red odwraca się i puka mocno do drzwi Sandry Moore.

Kobieta otwiera je natychmiast, tak szybko, że niechybnie stała tuż za nimi i podsłuchiwała.

- Pani Moore, powiedziała pani, że z tego co pani wie, nikogo nie było w mieszkaniu Petera od momentu, gdy zostało zgłoszone zaginięcie, tak?

- Tak. Właśnie tak.

- Dziękuję.

Niechętnie zamyka drzwi. Schodzą po schodach, więc nie może więcej podsłuchać. Światło gaśnie, gdy znajdują się piętro niżej. Włączniki są na każdym piętrze; Jez naciska najbliższy i światło znów się zapala.

- Wiecie, co myślę? - mówi Red. - Srebrny Język nie chciał, żebyśmy zbyt szybko znaleźli ciało Petera, prawda? Ale zarazem musiał mieć pewność, że w końcu je znajdziemy. Ciało musiało być w tym domu. Tyle że ktoś mógł zauważyć zniknięcie Petera i przyjść do niego w jakiejś sprawie. Z kolei gdyby ukrył gdzieś ciało, psułoby to klarowność całego wzoru. Wszystkich zabijał w ich domach. Jego własne kryteria drastycznie zawężyły mu pole działania. Musiał zabić Petera w jego domu 29 czerwca. To był imperatyw: data i miejsce.

Oto, co zrobił. Włamał się do mieszkania Petera tydzień przed 29 czerwca, zmusił go do napisania listu, a potem uprowadził go i gdzieś przetrzymywał. Tydzień to wystarczająco długo dla kogoś - w tym przypadku dla faceta, który zlecił Peterowi jakąś robotę - żeby zauważyć zniknięcie, zawiadomić policję, przeszukać mieszkanie, znaleźć list i zgłosić zaginięcie. Sprawa zamknięta. Ludzie znikają każdego dnia, to nic wielkiego. A potem, 29 czerwca, wrócił do mieszkania z Peterem i zabił go. Po prostu. Wszyscy myślą, że Peter błąka się po świecie, próbując zapomnieć o śmierci Karen. Więc nikt nie ma powodu, żeby zaglądać do jego mieszkania. A ponieważ nikt tam nie zaglądał, nikt też nie znalazł ciała.

- Twoim zdaniem ciało jest w mieszkaniu? - pyta zdumiony Jez.

- Założę się, o co chcecie, że tak. To jedyne rozwiązanie, które pasuje.
- W takim razie - mówi Kate - jest tu od czterech miesięcy. Wiecie, jak w tym mieszkaniu musi śmierdzieć?

Red patrzy na nich.

- Ja pierniczę. Ale co zrobić, za to nam przecież płacą.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy.

Idą w dół Hilldrop Road, szukając sklepu z alkoholem.

Po drugiej stronie ulicy mieści się Holloway Community Education Centre. Przez oszklony fronton widzą próbę miejscowego chóru gospel. Słodka muzyka duszy, która koi zatroskane dusze policjantów.

Znajdują sklep na końcu ulicy, kupują ćwiartkę whisky i kie-

280

281

rują się do mieszkania Petera. Przed drzwiami Red otwiera butelkę i mówi:

- Ochłapcie się zdrowo. Wokół ust i w nozdrzach. Zużyjcie tyle, ile będziecie w stanie. Nie jest to dużo, ale lepsze to niż nic.

Whisky piecze ich w nosie, ostra i cierpka. Miód w porównaniu z bagnistym odorem śmierci.

- Dobrze, że dzisiaj rano nie mieliśmy czasu, żeby się ogolić - wzdycha Jez, wkładając butelkę do kieszeni. - Piekłoby teraz, jak wszyscy diabli.

- Mów za siebie - śmieje się Kate. - Ja się dziś rano goliłam.

- Słynna kobieta z brodą! - wykrzykuje Jez. - Damy cię do cyrku i zbijemy na tobie fortunę.

Ona uśmiecha się lekko do niego, a on przyciąga ją i cmoka w czoło. Red przez chwilę czuje się nieswojo. Widzi, że Kate i Jez lgną do siebie, nawet w czymś tak aseksualnym, jak dodający otuchy uścisk, i wie, że pomiędzy nimi dzieje się coś wyjątkowego. Może jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy, może jeszcze nic z tym nie zrobili, ale fakt jest faktem.

Jez odsuwa się od Kate.

- Wszystko gra? - pyta, a ona szybko kiwa głową. Red nabiera powietrza.

- Dobra. Do roboty.

Brzęczy małym pękiem kluczy uniwersalnych i wkłada pierwszy z nich do zamka.

Wchodzi gładko. Kręci nim nieznacznie w obie strony. Zamek nie zaskakuje.

- Cholera.

Drugi pasuje idealnie. Red obraca go mocno w prawo, czując kliknięcie przebiegające po palcach, gdy mechanizm zaskoczył, po czym pcha drzwi. Ani drgną. Red pcha mocniej, ale drzwi nadal się nie ruszają.

- Może nie przekręciłeś klucza do końca - sugeruje Jez.

- Coś ty. Klucz już dalej nie chciał iść. A w drzwiach nie ma innego zamka. Coś musi tarasować drzwi po drugiej stronie.

282

Red opiera się ramieniem o drzwi i pcha. Drzwi odchylają się odrobinę u góry.

- Na podłodze jest jakaś przeszkoda-mówi Red. Odwraca się do Jeza. - No, dalej, panie triatlonisto. Użyj tych swoich muskularnych nóg.

Jez kopie trzy razy w drzwi, mocno, i w końcu wylatują. Drzazgi odrywają się z hałasem od framugi. Ciepły, zepsuty odór śmierci przedziera się przez woń whisky. Jez krzywi się z obrzydzeniem i zatyka dłonią usta. Jego oczy są szeroko otwarte ponad palcami.

Red patrzy na niego i Kate.

- Wszystko gra?

Kate potakuje. Jez odrywa dłoń od ust.

- O cholera. Starłem większość whisky. Poczekajcie chwilę. Wyjmuje z kieszeni butelkę, odkręca ją, przykłada dłoń do otworu, przechyla, a potem przykłada dłoń do ust i nosa.

- Już lepiej. Dzięki.

Wolno, ostrożnie wchodzą do mieszkania, jakby byli nurkami głębokomorskimi poruszającymi się po nieznanym świecie. Pokazują, zamiast mówić, szepczą, zamiast krzyżeć. Nie ma potrzeby, by byli cicho, ale odruchowo milczą, tu, w tym mieszkaniu, w którym od czterech miesięcy nie padło ani jedno słowo.

Powietrze jest ciężkie i duszące, a z powodu szczelnie zaciągniętych zasłon panuje ciemność.

Red sięga dłonią do włącznika przy drzwiach i naciska. Nie ma prądu.

- Można się było tego spodziewać, światło odcięte - szepcze Kate.

Red kiwa w odpowiedzi głową.

Jez przechodzi obok nich do holu. Patrzy na drugą stronę drzwi wejściowych i na coś pokazuje. Red i Kate podążają wzrokiem za jego dłonią i widzą stosy kopert, porozrzucanych w niezgrabne piramidy brązu i bieli. To właśnie one blokowały drzwi. Nagromadzona poczta do trupa, o którym nikt nie wiedział, że tu jest.

283

Jez odwraca się i wpada na Kate, pozbawiając ją równowagi. Dziewczyna chwyta ręką za krawędź drzwi, by nie upaść, i sapie, zaskoczona.

- Co jest? - syczy Red.

- Zobaczcie. Warstwa gumy, dookoła drzwi.

Czarna guma, jak dętka od roweru, wyciągnęła się i zwisa razem z brązową taśmą maskującą.

- To miejsce było hermetycznie zamknięte, dlatego smród się z niego nie wydostawał i nie zaalarmował mieszkańców - mówi Jez.

- Sprytna chłopaczyna - stwierdza Red.

- Ja czy Srebrny Język? - pyta Jez.

- On, ty głupku. Większość ludzi nie miałaby wątpliwości, o kim mówię.

Zaczynają przeszukiwać mieszkanie, szybko i sprawnie. Paski gumy otaczają również okna. W salonie nie zauważają nic niezwykłego. Podobnie jak w kuchni. Oraz w łazience.

W końcu znajdują ciało Petera w sypialni, pokoju położonym najdalej od drzwi wejściowych i ostatnim pomieszczeniu, które przeszukują. Prowizoryczny krzyż oparty o przeciwległą ścianę i ohydne, rozkładające się ciało zawieszona na nim

głową w dół, jak wyliniały nietoperz. Skóra na ciele jest pokryta ciemnozielonymi i czarnymi cętkami, z białymi plamami w miejscach, gdzie widać larwy much. Twarz jest opuchnięta i nabrzmiała jak balon. Zamiast oczu - czarne dziury. Ciężka, ciemnobrązowa krew zakrzepła na zwłokach, tworząc rowy, wiodące z dziur na skrzyżowanych stopach i rozpostartych rękach, gdzie gwoździami przybito ciało do krzyża.

Na podłodze między drzwiami a zwłokami leży czarne linoleum. Red zaczyna po nim iść, lecz czuje pod stopami coś śliskiego.

I wtedy dopiero widzi, że to nie linoleum.

To zakrzepła krew, na której utworzył się kożuch, jak na gorącej czekoladzie.

284

Rozdział osiemdziesiąty drugi.

Poniedziałek, 29 czerwca 1998.

Srebrny Język pociągnął mocno za sznur, który związywał dwa kawałki drewna pod kątem prostym. Nawet nie drgnęły. Dobra robota.

Peter Simpson patrzył na niego. Jego oczy były wielkie jak spodeczki, bielejąc nad kawałkami taśmy maskującej, którą zaklejone miał usta. Peter musiał wiedzieć, że Srebrny Język zamierza go zabić. Od samego początku pokazywał Peterowi swoją twarz: każdego wieczoru po powrocie z pracy i każdego ranka, kiedy do niej szedł. Dwa razy dziennie, przez calutki tydzień.

Nikt, kto widział jego twarz i poznał jego prawdziwą tożsamość, nie przeżył- Jeśli zobaczyłeś tę twarz, choćby raz, mogłeś być pewien, że czeka cię śmierć. Gdyby Srebrny Język zamierzał puścić Petera wolno, nie pokazywałby mu swojej twarzy. Ale skoro mu ją pokazał, nie zamierzał go puścić. Nie żywego, w każdym razie. Może to tydzień w zamknięciu pozbawił Petera woli walki. Tydzień, który spędził rozciągnięty na łóżku w domu Srebrnego Języka, domu świętego. Przywiązany za ręce i nogi. Usta zakneblował mu, rzecz jasna, kawałkiem gumy, tak że nie mógł zaalarmować sąsiadów jakimś stukaniem czy krzykami.

Tydzień w zamknięciu i w milczeniu. Srebrny Język nie odezwał się do Petera ani słowem, odkąd zmusił go do napisania listu, w którym informował o wyjeździe, a potem podstawił mu eter pod nos.

Peter wpuścił go, rzecz jasna. Tak jak wszyscy. Pretekst, jakim się posługiwał, zawsze się sprawdzał. Ostatecznie był prawdziwy.

Srebrny Język wolałby prostszy sposób, aby sobie z tym poradzić. Więzienie Petera przez tydzień nie było najlepszym pomysłem. Ale w ten sposób ułożyły się daty. Tak chciał los.

Nie było tak źle. Przy odrobinie szczęścia powinien dopaść przynajmniej połowę z nich, zanim ktokolwiek go rozpracuje.

285

A nawet wtedy, nawet, gdy już będą wiedzieć, wciąż nie będą go mogli złapać. Taka jest wola boża.

A teraz był znowu w tym okropnym mieszkaniu Petera w Holloway, pod osłoną nocy,

z zalepionymi oknami i frontowymi drzwiami.

Na miejscu Petera, gdyby leżał związany i zakneblowany, podczas gdy ktoś robiłby dla niego krzyż, próbowałby wszystkiego, by się stąd wydostać. Męczennicy nie powinni ot tak, po prostu, leżeć sobie i umierać. Powinni odejść w blasku chwały. To dlatego są męczennikami.

Staruszek Cunningham przynajmniej próbował. Wziął go przez zaskoczenie, kiedy zarzucił na niego koszulę nocną i żwawo wybiegł z sypialni. Przynajmniej próbował. Nie tak, jak ten tchórzliwy wypierdek mamuta. Było mu prawie przykro, że musi zabić Cunninghama.

Ale jeśli taka jest wola boża... Bóg wybrał ich dla niego, a jeśli niektórzy z nich są mniej warci niż inni, widać tak musi być. Właśnie w tym rzecz, prawda? Zwykli, szarzy ludzie stają się niezwykli poprzez akt męczeństwa. Wszyscy apostołowie pierwszego Mesjasza byli zwykłymi ludźmi. To wezwanie Jezusa ich odmieniło. Tak jak on odmieniał tych wybranych teraz. Przemiana. Ze zwykłego człowieka w męczennika.

Podniósł się z podłogi, na której leżał krzyż, i po raz pierwszy odezwał się do Petera.
- „Piotr zaś siedział zewnątrz na dziedzińcu. Podeszła do niego jedna służąca i rzekła: »I ty byłeś z Galilejczykiem Jezusem«. Lecz on zaprzeczył temu wobec wszystkich i rzekł: »Nie wiem, co mówisz«. A gdy wyszedł ku bramie, zauważyła go inna i rzekła do tych, co tam byli: »Ten był z Jezusem Nazarejczykiem«. I znowu zaprzeczył pod przysięgą: »Nie znam tego Człowieka«. Po chwili ci, którzy tam stali, podeszli i rzekli do Piotra: »Na pewno i ty jesteś jednym z nich, bo i twoja mowa cię zdradza«. Wtedy począł się zaklinać i przysięgać: »Nie znam tego Człowieka«. I w tej chwili kogut zapiał. Wspomniał Piotr na słowo Jezusa, który mu powiedział: »Zanim kogut zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz«. Wyszedł na zewnątrz i gorzko zapłakał".
Srebrny Język uklęknął i zbliżył swą twarz do twarzy Petera. Klej na taśmie maskującej, którą zakneblował mu usta, czuć było nieświeżą rybą.

- Znasz Jezusa?

Żadnej reakcji. Peter nie był nawet przerażony. Najwidoczniej bawił w jakiejś odległej hiperprzestrzeni, w której strach przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ wszystko jest strachem i wszystko zawsze nim będzie.

- Odpowiedz. Skiń głową, jeśli Go znasz. Potrząśnij głową, jeśli nie. I nawet nie myśl o tym, żeby kłamać, bo i tak będę wiedział, jeśli skłamiesz. Spróbujmy jeszcze raz. Znasz Jezusa?

Peter ruszył głową nieznacznie z boku na bok.

- Czy to oznacza nie? Kiwnięcie.

- Tak, że nie, czy tak, że tak?

Zmieszanie wygrało ze strachem na twarzy Petera. Srebrny Język roześmiał się.

- Och, oczywiście. Nie możesz odpowiedzieć. Jesteś zakneblowany. Przepraszam. Moja wina. Niejasno sformułowałem pytanie. Zaczniemy jeszcze raz- Postaraj się, żebym nie miał żadnych wątpliwości, czy kiwasz głową, czy nią potrząsasz. Znasz Jezusa?

Potrząśnięcie.

- Znasz Jezusa ? Potrząśnięcie.

- Znasz Jezusa ? Potrząśnięcie.

- „Wspomniał Piotr na słowo Jezusa, który mu powiedział: »Zanim kogut zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz«. Wyszedł na zewnątrz i gorzko zapłakał”.

Stało się - Piotr się zaparł. Srebrny Język działał teraz szybko.

Przeciagnał Petera i położył na krzyżu, leżącym wciąż na podłodze.

286

287

Przewrócił go na brzuch. Otworzył kluczem kajdanki, zdejmując je z jego nadgarstków.

Rozpostarł szeroko ramiona Petera, podczas gdy on wciąż próbował poruszyć mięśniami sztywnymi z powodu tygodniowego unieruchomienia.

Przywiązał jeden z nadgarstków do krzyża, przytrzymując drugi stopami. Następnie to samo zrobił z drugim nadgarstkiem.

Zdjął kajdanki ze stóp. Skrzyżował je. Za kostki przywiązał do krzyża.

Ręce i stopy Petera uformowały trójkąt. Peter musiał być związany, w przeciwnym razie ciężar jego ciała mógłby wyrwać mięso z dłoni w miejscach, gdzie będą przybite gwoździami.

Wziął koniec krzyża przy stopach Petera i podniósł go.

Człowiek na krzyżu waży swoje, ale Srebrny Język był silny.

Oparł krzyż o ścianę.

Krew napłynęła Peterowi do głowy, twarz poczerwieniała. Jego oczy napełniły się łzami.

- „Wyszedł na zewnątrz i gorzko zapłakał”.

Srebrny Język podszedł do stołu w kuchni i wziął z niego młotek, uderzając nim łagodnie o wierzch dłoni.

Potem uniósł gwoździe. Trzy sześciocalowe.

Zobaczył drganie klatki piersiowej Petera i w ostatniej chwili zerwał mu z ust taśmę.

Peter przekrzywił głowę i zwymiotował na podłogę. Gdy torsje ustały, Srebrny Język z powrotem zatkał mu usta taśmą.

- Siedzi po prawicy Ojca i powtórnie przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych.

Oparł czubek pierwszego gwoździa na prawej dłoni.

Peter spojrzał i odwrócił wzrok w bezradnym przerażeniu.

Cztery szybkie uderzenia młotka, przebijające skórę, kości i drewno, i gwoździe wyszedł z drugiej strony. Palce Petera zacisnęły się mocno wokół gwoździa, ścięgna przedramienia były teraz napięte jak struny skrzypiec.

Cztery następne uderzenia w lewą dłoń. Sześć, by przejść przez skrzyżowane stopy.

Krew lała się obficie na podłogę. Srebrny Język miał jej trochę na sobie. Nieważne.

Łatwo ją zmyje. Policja mogła sobie szukać zakrwawionego ubrania, i tak nic nie znajdzie. Mógłby pomachać im ciuchami przed nosem, a oni wciąż by nie wiedzieli. Był taki przebiegły, a oni tacy głupi.

A poza tym był Mesjaszem.

Wrócił do stołu kuchennego, odłożył młotek i wziął skalpel.

Znów podszedł do Petera. Zerwał taśmę z twarzy i dopadł do ust, dwie części jednego płynnego ruchu. Przeciął pod językiem, w dół dwóch boków, a potem znów z tyłu.

- Krzycz, ile wlezie, chłopczyku, bo nic już więcej nie powiesz- Nic nie powiesz i nic

nie zjesz. Chyba że będąc ze mną.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci.

Piątek, 30 października 1998.

Jez przegląda raport Lubezkiego z autopsji Petera Simpsona.

Peter został zabity zbyt dawno temu, żeby móc precyzyjnie ustalić datę śmierci, ale to nieważne. I tak znają ją tak dobrze, jakby Peter został zabity na ich oczach.

Raport brzmi znajomo, a zarazem przygnębiająco. Brak pozostawionych włókien.

Brak włosów. Brak nasienia. Brak krwi innej niż zabitego. Brak śliny.

Osiem ciał i nawet jednego śladu. Jez zastanawia się, czy samo to nie stanowi jakiejś wskazówki.

Przynajmniej te trzy ostatnie morderstwa udało im się utrzymać w tajemnicy. Media podały, że Simon Barker umarł na atak serca, Samarytanie na pewno zachowują milczenie w sprawie Jude'a Harcastle'a, a Sandra Moore wciąż jest święcie przekonana, że Peter Simpson wyjechał i któregoś dnia wróci.

Kate wchodzi do pokoju z trzema kubkami herbaty. Stawia je na najbliższym biurku i dmucha na palce.

288

289

- Kurczę, sparzyłam się. - Rozgląda się po pokoju. - Gdzie Red?

- U psychologa.

- Och, to zawsze wprawia go w świetny nastrój. Myślałam, że zmienił termin.

- Bo zmieniał. Już dwa razy. Za trzecim razem nawet nie próbował. Pani psycholog gotowa zostać po godzinach, byle tylko Red jej się tym razem nie wymknął.

- No cóż, w takim razie jego herbata wystygnie.

Kate podchodzi do biurka Jeza i pochyla się nad jego ramieniem.

- Czy to raport z autopsji Simpsona?

- Mhm.

- Znalazł coś?

- Zupełnie nic. Srebrny Język po prostu nie zostawia śladów.

Kate prycha i wraca do swojego biurka.

Telefon Reda dzwoni. Nie przerywając czytania raportu, Jez podnosi słuchawkę i wybiera kod, żeby przenieść połączenie na swój aparat.

- Clifton.

- Czy mógłbym rozmawiać z detektywem inspektorem Metcalfe'em?

Męski głos. Lekko rozciągający samogłoski. Trudny do określenia.

- Niestety, ma ważne zebranie. Czy mogę w czymś pomóc?

- Czy pracuje pan przy śledztwie nad mordercą apostołów?

- Tak.

- Ja... ja znam kogoś, kto może być tym mordercą.

- Kto mówi?

- Wolałbym nie podawać swojego nazwiska. Ale mogę powiedzieć panu, kto według mnie jest mordercą, jeśli pan chce.

Pięćdziesiąt funciaków, że to kolejna ślepa uliczka, myśli Jez. Osiem ciał bez śladu i nagle anonimowa informacja wiedzie nas prosto do Srebrnego Języka. Akurat.

- Jasne, że chcę.

- Nazywa się Israel.

Jez podnosi brwi. Israel. Co za oryginalne imię. Będą mieli z tego niezły polew.

- Israel, a jak dalej?

- Nie, tylko Israel. Używa tylko imienia.

- Tylko imienia?

- Właśnie. Tak jak Pele albo Cher. Jez z trudem tłumi śmiech.

- I co ten Israel robi?

- Jest głową kościoła.

- Jak się ten kościół nazywa?

- Kościół Nowego Tysiąclecia.

- Proszę chwilę poczekać. - Jez wciska guzik, sprawiając, że zapala się czerwone

światelko, po czym zwraca się do Kate: - Nie napotkaliśmy na żaden Kościół

Nowego Tysiąclecia, kiedy sprawdzaliśmy sekty, prawda? Prowadzi go podobno

facet o imieniu Israel.

Kate potrząsa głową.

- Nie. Jestem pewna, że pamiętalibyśmy.

- Też tak sobie pomyślałem. - Jez powtórnie naciska guziczek. Światelko gaśnie. -

Gdzie mieści się siedziba tego Kościoła?

- Kensington. Zaraz obok High Street.

- Proszę pana, nie chcę, żeby to zabrzmiało sceptycznie, ale sprawdziliśmy naprawdę bardzo dużo Kościołów i żaden z nich nie odpowiadał temu opisowi.

- To dlatego, że on jest bardzo tajny. Nie manifestujemy swojej obecności.

- My? Czy jest pan członkiem tego kościoła?

- Tak, jestem.

- Więc dlaczego pan dzwoni?

- Dlatego, że się boję. Israel bez przerwy mówi o gniewie bożym i o tym, jak przygotować się na Powtórne Przyjście. Jego Powtórne Przyjście. Tak w ogóle był spokojny, ale ostatnio stał

290

291

się naprawdę... gwałtowny. To znaczy, w swoich mowach. Bo czy fizycznie, to nie wiem.

- Czy mieszkanie razem?

- Nie, ale nie możemy się przyznawać, że jesteśmy członkami tego Kościoła. Nie wszyscy są przygotowani na prawdziwe słowo, tak jak my. To dlatego dzwonię anonimowo. Prowadzimy studium biblijne i mamy posiłki w kościele w pewne dni tygodnia, ale nie mieszkamy razem.

- Czy ma pan dokładny adres siedziby?

- Tak.

- Czy w takim razie mógłby pan mi go podać?

- Tak, oczywiście. Phillimore Terrace. Numer 32. W lewo od High Street. Wielki czerwony dom. Nie można go przegapić.

- Mówił pan, zdaje się, że to kościół.
- Cóż, w pewnym sensie.
- To znaczy?
- To jest dom, a w tym domu jest kościół.
- W domu?
- Tak.

Jez gwizdże przez zęby.

- W jakie dni tygodnia odbywa się studium biblijne?
- We wtorek, piątek i niedzielę.
- W piątek? To dzisiaj.
- Tak. Zaczyna się o siódmej trzydzieści.
- O siódmej trzydzieści wieczorem?
- Tak.
- W takim razie - Jez spogląda na zegarek - za godzinę.
- Tak.
- Będzie pan tam? Chwila milczenia. W końcu:
- Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie.
- Proszę pana, bardzo by nam pan pomógł, gdyby zgodził się pan na spotkanie...
- Nie mogę. Pan mnie nie rozumie. Nie możemy rozmawiać o kościele poza jego czterema ścianami. Nie możemy mówić, że

292

jesteśmy jego członkami. Nie możemy nawet ujawniać, że taki kościół istnieje. Israel zabiłby mnie, gdyby odkrył, że wszystko to zrobiłem. Zabiłby mnie.

- Czy mam to rozumieć dosłownie? To, że mógłby pana zabić?
- Mmm... Tak, myślę, że tak.
- Za co miałby pana zabić? Za wspomnianie o jego Kościele czy za sugerowanie, że jest mordercą?

Mężczyzna odpowiada nie wprost.

- Wie pan, co często powtarza Israel?
- Co?
- Że Jezus Chrystus został zdradzony przez jednego ze swoich apostołów.

Rozdział osiemdziesiąty czwarty.

Red wciąż jest na sesji terapeutycznej, więc Kate i Jez idą na Phillimore Terrace sami.

Po jednej stronie ulicy podupadająca świetność wielkich domów, po drugiej - nowe, połyskliwe, kamienne budynki, które jeszcze nie są zniszczone przez czas i miejskie spaliny. Jez i Kate idą pomiędzy nowym i starym światem, obok bladobrazowej kamiennej siedziby Kensingtonskiego Kościoła Reformowanego i kierują kroki pod numer 32.

Jez naciska dzwonek. Wewnątrz słychać ciężkie kroki.

Głos grzmi, jeszcze zanim otwierają się drzwi. Potężny głos, dobywający się gdzieś z trzewi i tym głębszy, im bliżej jest ust.

- Wejdźcie, moje dzieci.

Jest olbrzymi. Olbrzymi. Co najmniej sześć stóp osiem cali. Jego ogromna głowa zwieńczona jest ciemnożółtą czupryną z czarnymi odrostami. Spod podwiniętych rękawów koszuli wystają przedramiona niczym dębowe poręcze, a ręce o rozpiętości skrzydeł albatrosa zakończone są dłońmi niczym szynki.

293

Zastawia sobą prawie całe wejście. Wokół niego żarzy się aureola - to światło z holu obrysowuje krawędzie jego ciała. Konsternacja i wrogość malują się na jego twarzy. Jego baryton dudni ze złością.

- Spodziewałem się kogoś innego. Kim jesteście?

- Czy pan Israel? - pyta Kate.

- Pytałem, kim jesteście. Grzeczność nakazuje odpowiedzieć.

Kate pokazuje odznakę, trzymając ją na wysokości swoich piersi, a jego pasa.

- Detektywi inspektorzy Jez Clifton i Kate Beauchamp. Jest ponad stopę wyższy od Kate i prawdopodobnie dwa razy cięższy, ale Kate nawet przed nim nie drgnie.

- Tak, to ja jestem Israel. Czego chcecie?

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Obawiam się, że w tej chwili jest to niemożliwe.

- Obawiam się, że będzie musiało stać się możliwe.

- Musicie przyjść kiedy indziej.

- Nie. Teraz. Ale jeśli pan chce, zanim z panem porozmawiamy, wysłuchamy pana studium biblijnego.

Zmiana w świetle za Israelem, kiedy się porusza - nie przypuszczał, że wiedzą o studium.

Przez chwilę wydaje im się, że Israel kurczy się, zanim uświadamiają sobie, że po prostu zrobił krok do tyłu, żeby ich wpuścić.

Drzwi zamykają się za nimi. Kate i Jez idą za Israelem po schodach. Ciemnozielony dywan jest otoczony przez ciemnoczerwone ściany, na których wiszą obrazy w ramach, wznoszące się jak reklamy nad ruchomymi schodami w metrze. Są to małe, stylizowane kwasoryty przedstawiające mężczyzn z brodami i w długich szatach, którzy różnią się od siebie, ale z pewnością są członkami jednej grupy. Przyćmione światła rzucają cienie na krawędzie schodów.

Dopiero przy piątym obrazie, portrecie mężczyzny trzymającego w ręce wielki klucz, Jez uświadamia sobie, kto na nich jest.

Apostołowie.

294

Piotr z wielkim kluczem. Tomasz z kątownicą. Szymon z piłą. Innych nie od razu można rozpoznać.

Jez szturcha Kate, wskazując głową na obrazy. Dziewczyna unosi ze zdziwieniem brwi. U szczytu schodów Israel skręca w lewo i wchodzi do nowocześnie urządzonego, białego pokoju, zupełnie nie pasującego do reszty domu. To tak, jakby przeszło się z klubu dla dżentelmenów prosto do sali operacyjnej. Najwyraźniej to biuro Israela. Ogromne szklane biurko na środku, dwie kanapy stojące pod kątem prostym w przeciwległym rogu i wbudowany w ścianę telewizor powyżej drzwi na

lewo. Z sufitu świecą jarzeniówki.

Israel przysuwa krzesła dla Jeza i Kate, po czym zajmuje miejsce za biurkiem, zanurzając swoje wielkie cielsko w czarnym, skórzanym fotelu obrotowym, który w pierwszej chwili przekrzywia się, zanim ostatecznie łapie równowagę.

- Czym mogę służyć?

Pytanie zostało zadane Jezowi, ale to Kate odpowiada.

- Jak już mówiłam, chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Czego one dotyczą?

- Ogólnie rzecz biorąc, chodzi nam o...

Dzwonek do drzwi przerywa Kate. Sapie cicho, poirytowana.

- Przepraszam - mówi Israel. - To chyba ludzie, z którymi państwa pomyliłem. Zaraz wracam.

Maniery i sposób wysławiania Israela są teraz nienaganne, wciąż jednak nie jest zbyt sympatyczny. Dźwiga swe cielsko z fotela i wychodzi.

Jez patrzy na biurko: komputer z ustawionym na nim monitorem i drukarką stojącą na osobnym stoliku, trzywarstwowa, z czarnego włókna szklanego półka na listy z papierem listowym, kopertami i pocztówkami, skórzana suszka z bibułą w tym samym kolorze ciemnej czerwieni co ściany na zewnątrz. Wszystko w idealnym porządku.

Słyszą, jak na dole otwierają się drzwi i wchodzi nowo przybyli. Trzy głosy wymieniają pozdrowienia - wyróżniający się baryton Israela miesza się z łagodniejszymi głosami dwóch kobiet.

295

Kate wstaje z krzesła i wychodzi z biura na schody. Patrzy w dół do holu, lecz wszystko, co widzi, to czubki ich głów. Nawet gdy się patrzy z góry, tleniona czupryna Israela wznosi się wysoko ponad dwoma siwymi głowami kobiet, z którymi rozmawia. Kate wraca do biura.

- Kto to? - pyta Jez. Dziewczyna wzrusza ramionami.

Schody trzeszcza, gdy Israel wraca na górę. Zaczyna mówić, zanim jeszcze wchodzi do pokoju.

- Proszę o wybaczenie. To były dwie ostatnie osoby, które przyszły na studium biblijne. To oznacza, że musimy zaczynać za pięć minut i naprawdę wolałbym się nie spóźnić. Może zechcecie państwo przyłączyć się do nas i usiąść gdzieś z tyłu? To zwykle trwa około dwudziestu minut. Nie lubię ich przetrzymywać.

Po raz pierwszy Kate jest odrobinę zaniepokojona.

- Hm... Dziękujemy, ale nasza oferta nie była poważna. Wystarczy nam, jeśli poczekamy na pana tutaj.

- O nie. Serdecznie zapraszam. - Israel uśmiecha się, ale w jego oczach nie ma uśmiechu. - Nie mam nic do ukrycia. Nigdy nic nie wiadomo. Może nawet zechcecie się do nas przyłączyć po tym, co usłyszycie.

Schodzą za Israelem po schodach, mijając obrazy z apostołami. W ścianie naprzeciw drzwi wejściowych znajdują się małe drzwiczki pomalowane na taki sam, ciemnoczerwony kolor, jak ściany, tak że trzeba się naprawdę przypatrzeć, żeby je w ogóle dostrzec.

Israel otwiera drzwiczki i idzie dalej. Musi równocześnie schylić głowę i zgiąć

kolana, żeby się zmieścić w drzwiach. Kate i Jez wchodzą za nim do korytarza wyłożonego drewnem polakierowanym na brązowo, a potem znów schodzą. Na dole jest rząd wieszaków, na większości z nich wiszą płaszcze. Ich buty stukają głośno, kiedy dywan się kończy i zaczyna się kamienna podłoga.

296

- Jesteśmy na miejscu - mówi Israel, nie odwracając się. - Kaplica mieści się w piwnicy.

Migoczące światło świec stojących na ołtarzu i wiszących wokół na ścianach słabo oświetla ściany pomalowane w czerwono-niebiesko-fioletowe pasy i zasłony ze złotymi krawędziami wiszące pomiędzy lustrami w kształcie kościelnych okien. Nad ołtarzem znajduje się olbrzymi obraz przedstawiający Israela z ramionami rozpostartymi jak Chrystus na krzyżu i z aureolą wokół tlenionej czupryny.

Wszystko to wygląda tak, że Jez o mało nie wybucha śmiechem. Kaplica sprawia wrażenie, jakby była projekcją tego, co nastolatek uważa za magiczne i mistyczne. Jez prawie spodziewa się świecących naklejek gwiazd i planet na suficie. To... po prostu kicz, uznaje, z braku lepszego słowa.

W sali jest około dwudziestu osób. Wszyscy siedzą twarzą do ołtarza, tyłem do Jeza i Kate, i wszyscy są ubrani w jednakowe szaty z kapturami w kolorze indygo. Nie ma ławek ani krzeseł. Wierni siedzą na podłodze i czują się w ten sposób jeszcze mniejsi w obliczu swego ponadwymiarowego boga.

Israel podchodzi wolno do ołtarza.

- Moje dzieci, mamy dziś dwoje gości. - Pokazuje na Kate i Jeza. - Będą uczestniczyć w naszym studium biblijnym.

Twarze bez wyrazu, jednolite w swojej cielejącej potulności, odwracają się, by popatrzeć na policjantów. Israel nie wyjaśnia, dlaczego Jez i Kate są tutaj, i nikt też nie pyta.

Jez przygląda się twarzom pod kapturami. Mniej więcej tyle samo mężczyzn i kobiet. Zastanawia się, czy pomiędzy nimi jest tajemniczy telefoniczny informator, a jeśli tak, który to. Czeka na jakiś znak. Coś - cokolwiek - co pozwoli go zidentyfikować, dopasować twarz do głosu.

Nic z tego.

Jez pochyla się nad Kate i szepcze. Jego usta muskają przy tym koniuszek jej ucha.

- Israel nie pytał jeszcze, dlaczego tu jesteśmy i skąd wiemy o studium biblijnym.

Nie wydawał się też zainteresowany tym,

297

co będziemy robić. Albo więc tracimy czas, albo -jeśli to on jest Srebrnym Językiem - jest tak niesłychanie pewny siebie, że specjalnie dla nas przygotował to przedstawienie.

- Jest też na tyle duży i silny, żeby zabić tamtych ludzi - odszeptuje Kate. - Ale jak udałooby mu się zniknąć niepostrzeżenie z miejsca zbrodni? Ludzie nie zapominają kogoś tak wielkiego jak on.

- To prawda. Ale Srebrny Język bawi się z nami podobnie jak Israel. Głoszenie, że jest się synem bożym, to nie przestępstwo. Zdaje się do nas mówić: możecie przyjść popatrzeć, ale nie możecie mi nic zrobić. Wasze prawo nic dla mnie nie znaczy.

Możecie ze mnie drwić, możecie mi współczuć, gardzić mną lub się mnie bać, ale nie

możecie mnie tknąć.

Głos Izraela zagłusza szept Jeza. Wierni zwracają głowy z powrotem ku niemu.

- „I ujrzałem na prawej ręce zasiadającego na tronie księgę zapisaną wewnątrz i na odwrocie zapieczętowaną na siedem pieczęci. I ujrzałem potężnego anioła, obwieszczającego głosem donośnym: »Kto godzien jest otworzyć księgę i złamać jej pieczęcie?«

Jez przechyliła głowę i znów przysuwa usta do ucha Kate.

- Apokalipsa świętego Jana, rozdział 5.

- Jestem pod wrażeniem. Prowadziłeś badania na ten temat?

- Ja nie. Ale on chyba tak. Zacytował to z pamięci.

- Faktycznie.

Głos Izraela jest pełen mocy. James Earl Jones* i Luciano Pavarotti razem wzięci.

* James Earl Jones - aktor amerykański obdarzony niskim, władczym głosem (podkładał m.in. głos Dartha Vadera w filmie George'a Lucasa Gwiezdne wojny).

- To ja mam siedmioro oczu i siedmioro rogów. Ja jestem Słowo Boże. Ja jestem Słowo i Słowo jest mną. Ja jestem Barankiem, którego święty Jan widział w Objawieniu. Ja jestem jego wcieleniem. To ja złamię siedem pieczęci, a kiedy to zrobię, jedyni, którzy ocaleją, to ci, którzy są dziś tutaj. Wy, wy wszyscy,

298

którzy każdego dnia wstępujecie do jaskini zbójców, którą jest to, co nazywamy społeczeństwem, które uważa pychę, chciwość, nieczystość, zazdrość, nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu, gniew i lenistwo za rzeczy godne pochwały, a nie potępienia. Wy, którzy stąpacie między ogniem piekielnym, ale którzy jesteście nietknięci, albowiem macie wiarę. Jezus Chrystus nie zamykał swoich apostołów za ścianami świątyni.

Izrael patrzy, pierwszy raz od początku studium, na Jeza i Kate.

- Nie, Jezus Chrystus nie zamykał swoich apostołów. Odwrotnie, wysyłał ich w świat, by czynili dzieło. Posyłał ich do niewierzących, żeby uwierzyli. Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział 10. Pamiętacie? „Idźcie raczej do owiec, które poginęły z domu Izraela. Idźcie i głoscie: »Bliskie już jest królestwo niebieskie«. Uzdrawiajcie chorych, wskrzeszajcie umarłych, oczyszczajcie trędowatych, wypędzajcie złe duchy. Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie... Oto Ja was posyłam jak owce między wilki. Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębice!" Izrael pochyla się w kierunku pierwszego rzędu, a wszystkie głowy w sali w odpowiedzi pochylają się również, naśladując go nawet w tak drobnej kwestii.

- To wy jesteście moimi apostołami.

Tym razem dłuższe spojrzenie na detektywów. Kiedy Jez zaczyna się denerwować, w powietrzu jest tak namacalne napięcie, że Kate kładzie mu rękę na ramieniu, częściowo dla ostrzeżenia, częściowo dla dodania otuchy. Dwa uczucia wyrażone jednym gestem.

Izrael znów mówi do swej trzódki, jakby była ona jedyna na świecie.

- Wy jesteście moimi apostołami. Wy wszyscy. Wy jesteście tymi, którzy czynią dzieło. Wy jesteście tymi, którzy pójdą w świat, żeby głosić Słowo. Możecie jeszcze nawet o tym nie wiedzieć. Na razie proszę was, żebyście ukrywali nasze istnienie. To

się zmieni. Potem, gdy nadejdzie czas, wszyscy się dowiedzą. Ale wy jesteście tymi, którzy ocaleją, albowiem byliście posłuszni Prorokowi. Wiecie, co stanie się z tymi, którzy nie byli posłusz-

299

ni Prorokowi. Pamiętacie, co stało się z Korachem, który nie był posłuszny Mojżeszowi? Ziemia otwarła się pod nim i pogrzebała go żywcem. I wiecie, co stało się z niewierzącymi. Pozwólcie, że przypomnę stu mężczyzn, którzy kpili z proroka Eliasza. Wezwał on ogień z nieba, który spalił ich w swym gniewie. Tak się to dzieje. To dlatego nie toleruję w Kościele dwóch typów ludzi - wichrzycieli i niewierzących. To dyskwalifikuje nas pod obydwojma względami, myśli Jez.

- Niewierzący i wichrzyciele mówią, że poddają was praniu mózgu. I wiecie co? Mają rację. Tak właśnie robię. Kiedy tu przychodzicie, macie umysły pełne różnych myśli i idei. Uczycie się Objawienia Jezusa Chrystusa. Uczycie się go, albowiem jestem jedynym -jedynym - któremu dane zostało zrozumienie jego znaczenia. Zostałem wybrany, aby zrozumieć Słowo, i zostałem wybrany, by je przekazywać. Słowa, które wypowiadałem, oczyściły wasze umysły. Oczyściły je z brudu, na który jesteście narażeni każdego dnia. Z oczyszczeniem zaś przychodzi wiara. Wasze umysły są czyste. Macie zrobione pranie mózgu. Jesteście czysti. I dlatego, że jesteście czysti, zostaniecie ocaleni, kiedy złamię siedem pieczęci.

Israel nie patrzy już na zgromadzonych. Głowę ma podniesioną, a ręce lekko zaciśnięte. Wygląda, jakby znajdował się w czymś w rodzaju transu.

- To już niedługo. Już niedługo przyjdą w nocy cztery widma. Czterej jeźdźcy poszybują na ziemię. Nie mają ciał. Nic ich nie powstrzyma. Pierwszy jeździec jedzie na białym koniu, lśniącym na tle czerni wiecznej nocy. Jeździec ma na głowie koronę ze szczerego złota, w ręku dzierży łuk. Strzela raz po raz, jego strzały przeszywają ciało i kości. Nigdy nie chybia. Zwycięza i nikt nie ośmiela się mu przeciwstawić. Po nim pojawia się koń barwy ognia. Siedzącemu na nim dano błyszczący miecz, którym macha i zakreśla łuki szerokie i śmiertelne. A gdzie przejeżdża, tam rzeź następuje, a pokój odchodzi z ziemi. Ludzie wzajemnie się zabijają, a brat z bratem i ojciec z synem zwierają się w śmiertelnej walce. Nad stosami trupów i umierających pojawia się jeździec na czarnym koniu. Jego bronią jest klęska głodu, bezlitosne, kaśliwe widmo głodu. Tych, których oszczędził miecz, zabiera głód, przewlekły i dręczący. Ludzkie żołądki kurczą się, a potem puchną w bólu, a oni umierają powoli, stopniowo, modląc się o koniec na długo, nim przyjdzie. Po otwarciu czwartej pieczęci najeżdża straszny jeździec. Okryty milczeniem. Koń jest trupio blady, a za nim podążają jeźdźcy z Otchłani. Tam, gdzie przejedzie, nie zostawia nadziei. A imię siedzącego na nim Śmierć i żąda swojej własności. Mór idzie za nim i czwarta część ziemi upada. Po otwarciu piątej pieczęci bezgłowe ciała upominają się o sprawiedliwość. „Dokądże?“, pytają. „Dokądże to będzie trwało?“ I nie otrzymują odpowiedzi, bo żadnej odpowiedzi nie mogą otrzymać. Potem stało się wielkie trzęsienie ziemi i słońce stało się czarne, a księżyc cały stał się jak krew. Ci, którzy uszli przed łukiem, mieczem, głodem i morem, krzyczą w rozpacz. Nadchodzi ze wschodu, błyszcząc jak słońce. Ostry miecz pojawia się w jego ustach. Ludzie mówią do gór i do skał, żeby ich skryły. A każda góra i wyspa z miejsc swych poruszone. Siódma pieczęć. Ostatnia. Zapanowała cisza, skrywająca pustynny krajobraz. Nic

żywego nie ocalało, ani w miastach, ani na wsiach, ani w najwyższych górach, ani w najgłębszych oceanach. Nawet wiatr zamarł. Świat bez życia, a bez życia nie ma źródła życia. Zaprawdę, taki będzie koniec.

Israel rozwiera dłonie i wolno otwiera oczy.

- To wszystko. Dzieci, idźcie i przygotujcie się do wieczornego posiłku. Będziemy wieszczać za piętnaście minut.

Zgromadzeni wstają i zaczynają wychodzić. Ich głowy są ukryte pod kapturami, więc nie patrzą na Kate i Jeza. Gdy przechodzą przez drzwi, jeden z nich potyka się o rąbek swojej szaty. Upadając, odruchowo łapie się najbliższej osoby.

Tą osobą jest Jez.

Mężczyzna łapie Jeza za klapę marynarki. Obaj spadają na podłogę. Jez, odwracając się, żeby nie wylądować na plecach, wystawia rękę, by złagodzić upadek. Czuje ostry ból, gdy przejeżdża dłonią po kamiennej podłodze.

300

301

Tłum koloru indygo wokół nich rozpycha się, jak bydło w zagrodzie, pomagając Jezowi i drugiemu mężczyźnie wstać. Ręce czyszczą szare plamy kurzu z garnituru Jeza.

Tłum rusza, porywając człowieka, który upadł.

Jez odwraca się do Kate.

- Widziałaś to?

Obok niego pojawia się Israel.

- Bardzo przepraszam za ten wypadek. Mam nadzieję, że nic się panu nie stało?

- Nie, nic. Dziękuję. - Jez przygląda się dłoni. - Tylko trochę krwi w miejscu, gdzie rozciąłem skórę. Wygląda gorzej niż jest w rzeczywistości. Myślę, że przeżyję. Uśmiecha się.

Israel się nie uśmiecha. Patrzy na rękę Jeza. Na czubku jego nosa pojawiają się kropelki potu.

- Co się stało? - pyta Kate. Israel odsuwa się od Jeza.

- Krew. Nie mogę znieść widoku krwi. Niech pan to zakryje. Proszę.

Jez i Kate patrzą na niego ze zdziwieniem.

- Poważnie... nie żartuję... Jestem chory na hemofilię... Nie mogę na to patrzeć... To mnie...

Israel pada na podłogę bez przytomności.

Rozdział osiemdziesiąty piąty.

Jez i Kate siedzą obok siebie przy stoliku w rogu zatłoczonego pubu, coraz bardziej pijani.

Barman sięga ponad głowę i uderza w gong.

- Ostatnie zamówienia. Zamykaamy! Kate wskazuje na pianę na dnie kufła Jeza.

- Jeszcze jedno?

- A, niech będzie. Już i tak kac mnie nie minie.

- To samo?

- Tak.

- Piwo tuczy, Jez.

- Tak mówią. Ale zawiera też węglowodany. Idealne dla sportowców.

Kate marszczy nos, wstając. Chwieje się lekko i musi przytrzymać się pleców mężczyzny siedzącego przy sąsiednim stoliku, żeby się nie przewrócić.

- Przepraszam - mówi. - Jestem trochę wstawiona. - Podchodzi do baru, koncentrując się na każdym kroku.

Są w małym pubie przy Kensington Church Street. Oazie zdrowia psychicznego, mniej niż ćwierć mili od dziwnego Kościoła Nowego Tysiąclecia i jego przywódcy, mającego pełną władzę nad sercami i umysłami swych wiernych, którzy są tak przekonani o jego boskości, że zrobiliby dla niego wszystko. Mającego pełną władzę nad życiem i śmiercią. Zupełnie jak Srebrny Język.

Tyle tylko, że Israel oczywiście nie jest Srebrnym Językiem. Mogli sobie darować rozmowę z nim po tym, jak stracił w ich obecności przytomność. Rana na dłoni Jeza miała co najwyżej cal długości i przestała krwawić po kilku minutach. Ale Israel zareagował tak, jakby Jez na jego oczach podciął sobie żyły.

Krew na miejscach zbrodni. Oceany krwi.

Ktoś tak silnie reagujący na małą ranę nie może być człowiekiem, którego szukają. A jeśli Israel naprawdę jest chory na hemofilię, z jeszcze jednego powodu nie może być Srebrnym Językiem. Nie mógłby ryzykować, że któraś z ofiar zrani go podczas walki, nawet lekko.

Kiedy Israel doszedł do siebie, i tak go przesłuchali. Czy pamięta pan, co pan robił w te noce? Israel mógł sprawdzić większość nocy w swoim dzienniku, ale i bez niego wiedział, że w czasie, gdy popełniono dwa pierwsze morderstwa, był w Stanach. Czy ma pan na to jakiś dowód? Oczywiście. Proszę, oto paszport. Stempel przylotu na JFK z datą 18 kwietnia 1998. Stempel wylotu z O'Hare z datą 9 maja 1998. Od soboty do

soboty, trzy tygodnie. Dziękujemy panu bardzo. Przepraszamy za kłopot. Israel nawet nie spóźnił się na kolację ze swoją trzódką. Zastanawiali się przez chwilę, czy to niejeden z członków zgromadzenia popełnił te morderstwa na jego polecenie, ale wszyscy wyznawcy Izraela wyglądali tak potulnie, że ten pomysł wydał im się niedorzeczny. Mogą to jednak sprawdzić w poniedziałek rano.

Po tym nieudanym przesłuchaniu Jez i Kate zaszywają się w kącie pubu Elephant and Castle, podczas gdy piątkowo wieczorny tłum gości odpływa i przyplywa falami. W zasadzie nie rozmawiają o śledztwie, ale wciąż znajduje się ono na tyle blisko, że bez trudu mogą wykonać przejście do tematu, który jest ich obsesją już od pół roku.

Wychodzą od rozmowy o stanie psychicznym Reda i jego terapii, po czym zaczynają dyskutować o terapiach w ogóle i o tym, jak to brytyjska niechęć do psychiatrów sprawia, że potrzebujący nie mają z kim porozmawiać, co z kolei wiedzie ich do omówienia roli Samarytan, po czym przechodzą do rozmowy na temat morderstwa Jude'a i kończą omówieniem ogólnych zagadnień prywatności i anonimowości w dzisiejszym świecie.

Kate wraca z pićm. Lager dla niego, wódka z tonikiem dla niej. Lager przelewa się przez krawędź kufla, gdy dziewczyna siada.

- Red powiedział mi pewnego dnia coś zabawnego - mówi.
- Co takiego?
- To znaczy, mówiąc: pewnego dnia, miałam na myśli kilka miesięcy temu. Jeszcze latem.
- Co ci powiedział?
- Spytał, czy mamy romans.
- „My”, to znaczy kto?
- Ty i ja.
- I co ty na to?

Kate szuka odpowiedzi w swojej szklance. Klarowność wódki zmacona przez cytrynę.

- Nie pamiętam. Nieważne.

304

Zbierała się na odwagę, by to powiedzieć, gdy była przy barze, a teraz tłumi to w sobie.

- No, co ty, Kate. Nie możesz się wycofać. Co mu odpowiedziałaś?
- Zaprzeczyłam.
- Uwierzył?
- Nie wiem.

Jez robi łyk piwa. Obserwuje ją znad krawędzi kufla.

- Chyba wie, że masz chłopaka?
- Oczywiście, że wie. Ale...
- Ale co?
- Cóż, to nie takie niespotykane.
- Co?
- Romanse w pracy.
- Racja.
- Nie byłibyśmy pierwszymi ludźmi w historii Yardu, którzy biorą sobie do serca hasła o zacieśnianiu stosunków między wydziałami.
- Wewnątrz wydziału, Kate, nie między wydziałami. Kate śmieje się.

Rubikon do przejścia. Karty są na stole, ale wciąż nie odkryte. Mogą oboje zatrzymać się w tym miejscu i jej duma wyjdzie bez szwanku. Patrzą na siebie w milczeniu.

Kate skacze na głęboką wodę.

- Tak w ogóle - mówi - to wiem, że za dużo wypłam piwa...
- Wódki.
- Ach, tak - chichocze. - Wódki. Wiem, że za dużo wypłam wódki, ale chcę ci powiedzieć, że uważam cię za naprawdę atrakcyjnego faceta i naprawdę chciałabym cię pocałować. O Boże. Czuję się jak nastolatka.
- Masz chłopaka - mówi Jez łagodnie.
- Wiem. Ale nasz związek umiera, Jez.
- I kim ja mam być dla ciebie? Skokiem w bok?
- Jez, nie mów tak. Nie wiesz - nie możesz wiedzieć - ile

305

myślę o tobie. Ty to ty, a David to David, i to, co myślę o tobie, nie ma nic wspólnego z tym, co myślę o nim. To, co właśnie powiedziałaś... to obraża nas oboje. Jez wstaje.

- Nie mogę myśleć z pełnym pęcherzem - mówi. - Idę się odlać. Zaraz wracam.

Przeciąga dłonią po jej ramionach, kiedy przeciska się obok niej, a ona unosi dłoń, żeby dotknąć jego dłoni. Koniuszki jej palców przez moment dotykają jego kłykci.

Przelotny dotyk, myśli, a szaleję z pożądania.

Trzy miejsca przy pisuarach są zajęte, więc Jez idzie do kabiny na końcu. Ostre, małe literki nad spłuczką. Jez czyta, załatwiając się.

„Budowlańcy są cholernie dobrzy w łóżku to był jeden z nich krótkie ciemne włosy wielkie mięśnie pod koszulką i pogadaliśmy trochę powiedział że ma na imię Steve i postawił mi piwo nie potrafiłmy utrzymać rąk przy sobie a potem poszliśmy do jego mieszkania i pierdoliliśmy się do upadłego był jak dynamit”.

Napisane w męskiej toalecie. Prawie jak w Coleherne.

Do czasu gdy Jez kończy, trzech gości przy pisuarach znika. Wkłada ręce pod kran z zimną wodą, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze nad umywalką. Czerwone żyłki w białkach oczu, gdzie alkohol sączy się do mózgu.

Wiedział, że prędzej czy później to się stanie, a zlekceważył to. To, przynajmniej po części, jego wina. Musi ją elegancko spławić.

Wraca do sali, siada naprzeciw niej. Kate pochyla się do przodu.

- Powiedziałaś ci, co myślę, Jez. Twoja kolej.

- Kate. Kate Kate Kate.

Jej milczenie zmusza go do mówienia.

- Wydaje mi się, że to nie jest dobry pomysł, Kate. Dziewczyna dalej milczy.

- Niezależnie od tego, jak wam się układa, masz chłopaka i...

- To mój problem, Jez. Nie znasz go, więc to nie jest tak, że zdradzasz przyjaciela czy co tam. To, co robię bez wiedzy Davida, to moja decyzja i mój problem.

Jez podnosi ręce i zaczyna raz jeszcze.

- Dobrze, już dobrze. Zostawmy to. I tak uważam, że to nie jest dobry pomysł.

Dopóki nie złapaliśmy Srebrnego Języka, nie powinniśmy się angażować. Pracujemy razem, Kate. Nie potrzeba nam więcej napięć. A poza tym to byłoby nie w porządku wobec Reda. Teraz, kiedy nie ma Duncana, zostało nas tylko troje. Wyobraź sobie, jak Red będzie się czuł, gdy odkryje, że dwie trzecie jego zespołu pieprzy się ze sobą.

- Daj spokój. Nie będzie miał nic przeciwko.

- Owszem, będzie.

- Dlaczego? Dlatego, że Susan go zostawiła?

- Nie, nie o to chodzi. Chodzi o to, że wszyscy pracujemy naprawdę dobrze i nie chcę zakłócić delikatnej równowagi, która panuje między nami. Nie chcę, żeby Red poczuł się wyobcowany.

- Jez, wciskasz mi kit i dobrze o tym wiesz. Co jest nie tak? Jesteś gejem albo co?

Jez śmieje się.

- Nie bądź niemądra.

- Cóż, kto wie. Facet, który rozwiązał sprawę Colina Irelanda. Cóż by to była za ironia losu, gdybyś okazał się „jednym z nich”? Nic dziwnego, że tak dobrze ci poszło z Irlandem. Wystarczy znać jednego...

- Colin Ireland nie był gejem, Kate, ani ja nim nie jestem.
 - Wydaje mi się, że za bardzo protestujesz.
 - Kate...
 - Założę się, że wszyscy chłopcy w Coleherne kochają cię, panie Mięśniaku. - Spluwa, nagle złośliwa i ostra w pijackim odrzuceniu.
- Jez wstaje.
- Nie zamierzam dłużej tego słuchać. Wierz sobie, w co chcesz.
 - Och, z pewnością będę. Możesz być o to spokojny.
 - Wychodzę. Jeśli chcesz, żebym odprowadził cię do taksówki, jestem do dyspozycji.
 - Nie, dzięki. Znajdę sobie do ochrony jakiegoś prawdziwego mężczyznę.

306

307

Jez wychodzi szybko, zapina płaszcz w jesiennym chłodzie i idzie w dół ulicy, nie oglądając się.

Chłopak Kate. Naruszenie równowagi zespołu. Narażenie na szwank śledztwa. To wszystko prawdopodobne, ale to nie są prawdziwe powody, i Kate wie o tym równie dobrze jak on.

Rozdział osiemdziesiąty szósty.

Światu potrzebny jest nowy Mesjasz- Wiem, powiecie, że Niemcy mówili to samo pod koniec Republiki Weimarskiej i dostali Hitlera. To porównanie jest jednak zaściankowe i zbyt świeckie. Światu potrzebny jest nowy Mesjasz, podobnie jak potrzebny mu był Chrystus dwa tysiące lat temu. Światu potrzebny jest wybawca. Ktoś, kto weźmie na siebie całe cierpienie i ból, i zmaże tablicę do czysta, tak że ludzkość będzie mogła zacząć od nowa. Popatrzcie dookoła. Przyjrzyjcie się temu, co dzieje się dziś na świecie, i powiedzcie mi, Że to nie jest przegniłe. Bo jest. Jest przegniłe do cna.

Nie ma już moralności. Nie ma poczucia wartości. Mieliśmy ducha lat osiemdziesiątych - bezwstydnym materializm, chciwość popłaca - ale kiedy nadeszła recesja, wszystko wzięło w łeb. Zostaliśmy zniczym. Żadnego przywództwa. Tylko moralna pustka. Nie widzicie? Wybieramy polityków, żeby nami zarządzili, a oni nabijają kabzy łapówkami i kłócą się o drobne partyjne sprawy. Międzynarodowe koncerty mają więcej siły i bogactwa niż połowa państw na świecie i odpowiadają jedynie przed niewielką kliką bogatych i mających wpływy. Zniewalają Trzeci Świat dla własnych korzyści i indoktrynują wszechogarniającym kapitalizmem te wszystkie państwa, których istnieniu zagrażają, tak żeby musiały one małpować nasze najgorsze przyzwyczajenia po to, by przetrwać. Popatrzcie na Rosję, Chiny, Brazylię - wszystkie idą tą samą drogą co Zachód, gdzie bogaci się bogacą, a biedni biednieją. I dlatego rodzi się zbrodnia. Bo ten gówniany świat sprawia, że chcemy mieć rzeczy, których mieć nie możemy, a potem dziwi

308

się, dlaczego stajemy się agresywni. Dlatego komunizm to nie był zły pomysł.

Rzeczy, do których ludzie aspirowali w komunizmie - bycie dobrym rolnikiem lub robotnikiem - byty osiągalne. Związek Radziecki był oparty na sierpie i młocie. Nasz świat opiera się na efektywnych samochodach i plastikowych blondynkach. Bądź lepszy. Bądź bogatszy. Odnieś większy sukces. A ludzie nie potrafią żyć zgodnie z tymi nakazami. Więc próbują to osiągnąć, idąc na skróty, zabierając to, co należy do innych. Zbrodnia, przemoc i narkotyki - i tak już od pokoleń.

Świat produkuje wystarczająco dużo żywności, żeby nakarmić całą populację. Ale jedna trzecia tej populacji głoduje. I wiecie co? Nikogo to nie obchodzi. Malutką mniejszość, którą to obchodzi - tę, która prowadzi kampanie przeciwko degradacji środowiska, chodzi do kościoła lub pomaga biednym - traktuje się jak bandę pomyleńców. Reszta świata po prostu pogrążona jest w apatii i coraz bardziej zacieśnia swój horyzont. Tak dłużej być nie może.

Jestem tym, który coś z tym robi. Jestem tym, który zmienia świat.

Rozdział osiemdziesiąty siódmy.

Poniedziałek, 2 listopada 1998.

Jedyne wolne miejsce do zaparkowania, jakie udaje im się znaleźć, jest położone na samym końcu. Szósta rano, a parking Billingsgate jest już prawie pełen. Kilka akrów aktywności w sercu śpiącego miasta.

Termometr na tablicy rozdzielczej samochodu Reda wskazuje, że na zewnątrz są dwa stopnie powyżej zera, nie licząc mroźnego wiatru. Pierwsze nagłe ochłodzenie zwiastujące zimę.

- No, dalej - mówi Jez. - Chodźmy złapać kilku niegrzecznych chłopców.

Kate wysiada z samochodu, nie patrząc na niego. Ona i Jez nie zamienili dzisiaj ani słowa. Jeśli nawet Red coś zauważył, nie skomentował tego.

309

Pochyleni z powodu wiatru, idą przez parking w stronę targu rybnego Billingsgate.

Wysoko nad nimi światła ostrzegawcze na szczycie spiczastego dachu Canary

Wharf's błyszczą niebiesko i regularnie. Z parkingu kamiennymi schodkami na górę i na dół idzie nie kończąca się procesja ludzi dźwigających szare kartonowe pudła.

Schodzą po schodach w idealnym porządku, a kiedy są już na dole, rozbiegają się na wszystkie strony prosto do swoich samochodów.

Red, Kate i Jez przeciskają się przez ten ludzki przenośnik taśmowy i wchodzą do środka. Światło i ruch w czasie, kiedy większość ludzi wciąż leży nieruchomo w ciemnościach. Tragarze w białych kurtkach krzątają się za wózkami załadowanymi pudłami ze srebrnymi jaskółkami morskimi i lucjanami kaszmirskimi. Podłoga jest mokra, a zapach ryb tak silny, jakby pompowano go przez klimatyzację.

Wchodzą jedną z klatek schodowych na galerię na pierwszym piętrze z widokiem na całą halę. Mieszczą się tam biura. Większość numerów telefonów na drzwiach zawiera prefiks 01, numer kierunkowy do Londynu, który wyszedł z użycia osiem lat wcześniej.

Na końcu galerii znajduje się biuro kierownika działu londyńskiego. Rzeźbiony herb walczy o przestrzeń na drzwiach z zamkiem szyfrowym. Drzwi są uchylone. Red

popycha je i wchodzi do środka. W biurze jest tylko jedna osoba, niski mężczyzna z przetłuszczonymi włosami i palcami z żółtobrunatnymi plamami od nikotyny. Palący się papieros zwisa na krawędzi szklanej popielniczki obok niego.

- Słucham?
- Szukam kierownika.
- Znalazł go pan.
- Jestem detektyw Metcalfe, a to są detektywi inspektorzy Clifton i Beauchamp.
- Derek Welch. Witam.
- Szukamy osób o imieniu Andrew. Welch przygląda mu się zmrużonymi oczami.
- Słucham?
- Chcielibyśmy porozmawiać ze wszystkimi osobami w tym budynku, które noszą imię Andrew.
- A zna pan nazwisko? Red wzdycha.
- Zdaje się, że pan nie zrozumiał. Nie szukamy nikogo konkretnego. Chcemy porozmawiać z każdą osobą, która ma na imię Andrew. Czy ma pan tutaj system nagłaśniający?
- Tak.
- Czy mógłby pan w takim razie poprosić do siebie wszystkie osoby o imieniu Andrew?
- Czy to pilne?
- Panie Welch, czy myśli pan, że gdyby tak nie było, nachodzilibyśmy pana o tej nieludzkiej porze?

Welch wzrusza ramionami i przemierza swój gabinet. Wyjmuje mikrofon z żółtego interkomu wtopionego w ścianę i wciska guzik.

- Proszę wszystkie osoby o imieniu Andrew o niezwłoczne zgłoszenie się do biura kierownika. Powtarzam, wszystkie osoby o imieniu Andrew mają się niezwłocznie zgłosić do biura kierownika.

Jeż wychodzi na galerię, skąd może zobaczyć targ. Kilka osób spogląda z zaskoczeniem na siebie albo w stronę głośników. Dwóch ludzi - nie, trzech - kieruje się do wyjścia z hali targowej. Przeważająca większość nie zwraca najmniejszej uwagi na komunikat. Pewnie z pięć minut trzeba byłoby tutaj ogłaszać alarm, zanim wszyscy by zareagowali.

W ciągu kilku minut w biurze Welcha pojawia się czterech mężczyzn o imieniu Andrew. Jeden młody, Andrew Turner. Dwaj w średnim wieku, Andrew Marshall i Andrew Guildford. Jeden stary, Andrew Routledge. Niczym się nie wyróżniają. Wszyscy są pierwszorzędnymi celami. Zapach ryb dobywa się z ich ubrań.

Red przedstawia siebie, Jeza i Kate.

- To, co zamierzam powiedzieć, może się panom wydać jakimś ponurym żartem. Zapewniam jednak, że jestem jak najdalszy od żartów. Zapewne wszyscy słyszeliście o tak zwanym mordercy apostołów, prawda?

310

311

Wszyscy czterej kiwają głowami.

- Odkąd historia wyszła na światło dzienne, udało nam się odkryć kilka ważnych...

szczegółów, które pozwalają z dużą dokładnością przewidzieć, kto będzie następnym celem mordercy. Wiemy już teraz, że wybierając ofiary, bierze on pod uwagę nie tylko imiona. Ważni są dla niego również święci - a szczególnie dni i zawody, którym patronują. Jak być może, panowie, wiecie, święty Andrzej jest patronem rybaków. Dlatego zjawiliśmy się tutaj. Jesteśmy pewni, że osoba, którą wybierze morderca, jest związana z przemysłem rybnym. Dzień świętego Andrzeja przypada 30 listopada - za niecały miesiąc.

Czterej mężczyźni o imieniu Andrew gapią się na niego z otwartymi ustami.

- Nie twierdzą, że akurat musi paść na któregoś z panów. Jestem pewien, że w Londynie całe setki mężczyzn o imieniu Andrew pracują w sklepach i supermarketach rybnych. Będziemy z nimi wszystkimi rozmawiać przez następne dwa tygodnie. Znajdują się oni w takim samym niebezpieczeństwie jak każdy z panów. To zwykłe środki ostrożności. Czy któryś z panów jest żonaty?

Marshall i Guildford, ci w średnim wieku, podnoszą ręce.

- A pan? - zwraca się Red do Andrew Turnera.

- Nie. Jeszcze nie. - Uśmiecha się zmieszany zza młodzieńczego trądziku.

- Pan też nie? - pyta z kolei Andrew Routledge'a.

- Moja żona nie żyje.

- Przykro mi.

Andrew Routledge wzrusza ramionami.

- Umarła dawno temu...

- Pytam dlatego - mówi Red - że jak dotąd morderca atakował samotnych mężczyzn.

- Więc ja i Marsha nie musimy się martwić? - pyta Andrew Guildford.

- Nie posunąłbym się tak daleko. Samotni mężczyźni byli jego celem do tej pory. W każdej chwili to się może zmienić.

- Czy będziemy mieć ochronę policji?-pyta Andrew Turner.

312

- Jak już mówiłem, ryzyko jest naprawdę niewielkie. Z pewnością rozumiecie, że nie dysponujemy tyloma ludźmi, żeby ochraniać jednocześnie setki potencjalnych ofiar, licząc na to, że któraś z tych osób jest tą wybraną. Proszę was jedynie, żebyście przedsięwzięli nadzwyczajne środki ostrożności około 30 listopada. Jeśli to możliwe, postarajcie się, panowie, nie być tego dnia sami. Nie wychodźcie też sami na dwór. Sprawdźcie wszystkie okna i drzwi. Nie otwierajcie nieznajomym. I dzwońcie do nas, gdy tylko będzie trzeba.

Red sięga do kieszeni na piersi i wyjmuje cztery wizytówki. Rozkłada je w dłoni jak krupier i podaje mężczyznom.

- Czy powinniśmy zaopatrzyć się w broń? - pyta Andrew Marshall.

- Oficjalnie nie mogę się na to zgodzić - mówi Red. - Tu nie Ameryka: nie ma konstytucyjnie zagwarantowanego prawa do posiadania broni. Jeśli zostaniecie zatrzymani na ulicy z nożem w kieszeni, możecie zostać oskarżeni o posiadanie niebezpiecznego narzędzia. Jeśli jednak będziecie trzymać przy łóżku kij baseballowy... będzie to rozsądne zabezpieczenie.

Zanim ktoś zdąży zadać pytanie, dodaje:

- No dobrze, panowie, nie chcę was już dłużej odrywać od pracy. Jak już mówiłem, ryzyko jest naprawdę niewielkie. Wiem, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić, ale proszę,

nie pozwólcie, żeby ta perspektywa wisiała nad wami przez następne tygodnie, rujnując wam życie. Bardziej prawdopodobne jest, że wygracie w totka, niż że to wy okażecie się tą osobą, której szuka morderca. Proszę też, żebyście zachowali tę rozmowę w tajemnicy. Nie chcemy, żeby ta wiadomość dostała się do mediów, ponieważ mogłoby to rozwścieczyć mordercę, a wtedy, kto wie, czym by się to skończyło.

Czterech mężczyzn o imieniu Andrew w milczeniu wraca do pracy. Red daje wizytówkę również Welchowi i dziękuje za udostępnienie gabinetu. Welch, palący już następnego papierosa, wypuszcza smugę dymu w potwierdzeniu.

- O każdej porze dnia i nocy - zapewnia.

313

Idą do samochodu. Wciąż jeszcze jest ciemno. Kate odwraca się do Reda.

- Mówiłeś poważnie o tym totku?

- Oczywiście, że nie. Ale musimy ostrzec kilkuset ludzi. Jeśli każdemu z nich mówiłbym dokładnie co ich - i nas - czeka, musielibyśmy wybudować pieprzony bunkier.

- Zastanawiam się, jakie według ciebie są szanse na to, że jeden z tych ludzi, których ostrzegamy, będzie następną ofiarą - mówi Jez.

Red patrzy na niego.

- Większe niż pięćdziesiąt procent.

Rozdział osiemdziesiąty ósmy.

Kate czeka, aż Red wyjdzie z pokoju, i dopiero wtedy się odzywa.

- Jez - mówi niepewnie.

Spogląda na nią znad biurka. Unosi brwi, lecz nie mówi nic, nie okazując pomocy.

- Naprawdę jest mi bardzo przykro z powodu tamtej nocy. Straciłam panowanie nad sobą. Nie powinnam była powiedzieć tego, co powiedziałam. To było... dziecinne.

Dziecinne i głupie.

Jez wzrusza ramionami.

- Nie ma sprawy. Ty byłaś pijana. Ja byłem pijany. Zapomnijmy o tym.

- To nie takie proste, Jez. Odtrąciłeś mnie.

- Kate, masz chłopaka. Nie przyszło mi do głowy, że mówiłaś serio.

- Teraz już wiesz, że tak. Czy mógłbyś mi więc teraz, kiedy już i tak nic gorszego nie może mnie spotkać, powiedzieć, dlaczego nie jesteś zainteresowany?

- Przecież już mówiłem. Mówiłem ci w pubie.

- Nie, w pubie wciskałeś mi jakiś pieprzony kit.

- Kate, nie zamierzam się z tobą kłócić. Wiesz, że uważam cię za cudowną kobietę, ale wydaje mi się to nie w porządku...

- To samo mówiłeś w...

- I nadal tak uważam. Nawet jeśli mi nie wierzysz. Ty powiedziałaś swoje, a ja swoje. Jesteśmy dalej przyjaciółmi?

- Jez, nie o tym rozmawialiśmy... Przerzywa, bo w pokoju pojawia się Red.

- Więc jak, jesteście przyjaciółmi? - nie ustępuje Jez. Red patrzy pytająco na niego, a potem na Kate.

Kate wzdycha. Wie, że jeśli teraz odtrąci Jeza, straci go całkowicie.

- Jesteśmy.

Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty.

Interludium.

Przez dwa tygodnie trałują-by posłużyć się stosowną do sytuacji terminologią - w każdym sklepie rybnym i supermarkecie w Londynie. Ciężka i niewdzięczna praca, polegająca na wyjaśnianiu dwadzieścia-trzydzieści razy dziennie, na czym polega niebezpieczeństwo, jakie środki zaradcze przedsięwziąć i pod jakie numery dzwonić. Czują się jak domokrażcy, powtarzający w nieskończoność te same zwroty. Bardziej prawdopodobne, że wygracie w totka. To tylko zwykłe środki ostrożności. Nie otwierajcie drzwi nieznanym.

Red uzmysławia wszystkim konieczność zachowania tajemnicy. Nie mówcie nikomu, a już szczególnie pieprzonym mediom, bo jeśli rozwścieczycie albo zakpicie z tego faceta, skutki mogą być nieobliczalne. Apeluje do ich instynktu samozachowawczego i, o dziwo, odnosi to skutek. Każdego dnia Red ze strachem wertuje gazety, bojąc się, że zobaczy wyraz „ryby” w tytule jakiegoś artykułu, ale nikt nie puszcza farby.

Red nie chce, by Srebrny Język wiedział, co robią. Ma niczego się nie domyślać, a podejrzewać wszystko.

Tymczasem każdy dzień przybliża ich do dnia świętego An-

314

315

drzeja. Pierwszy raz wiedzą, kiedy Srebrny Język znów uderzy i Red czuje się z tą wiedzą nieswojo. Sam już nie wie, co gorsze: ostrzec kogoś i potem odkryć, że i tak został zabity, czy odkryć, że ofiarą jest ktoś, o kim nie myśleli. Co będzie bardziej bolesne: być przechytrzonym raz jeszcze, czy stwierdzić, że, nawet z ograniczonymi możliwościami, Srebrny Język wciąż ma przewagę?

Początkowo Red myśli, że każdy trop, nieważne jak mały, jest lepszy niż potykanie się w ciemności, jak to było przez prawie pół roku. Teraz znają plan mordercy.

Wiedzą, co nadchodzi. Wiedzą, kiedy, wiedzą w przybliżeniu, kto, wiedzą w przybliżeniu, gdzie.

Tylko że wciąż nie mogą z tym nic zrobić.

To właśnie ta niemożność tak irytuje Reda. Dysponować wiedzą, ale zdawać sobie sprawę, że jest zbyt mała, by mogła pomóc im cokolwiek osiągnąć.

To tak, jakbyś przeciągał most przez rzekę. Zaczynasz na obu brzegach i budujesz, budujesz, budujesz, aż dwie części sięgają do siebie jak Leander i Hero poprzez Hellespont. A potem nagle odkrywasz, że nie masz wystarczająco materiału, żeby skończyć, i wciąż pośrodku jest szczelina, zbyt szeroka, żeby ją przeskoczyć. Cała konstrukcja jest bez zarzutu, jeśli nie liczyć tej szczeliny - a to właśnie ta szczelina decyduje o tym, czy most będzie przydatny, czy też wszelkie wysiłki zdadzą się psu na budę.

Czasami Red zastanawia się, co właśnie w tej chwili może robić Srebrny Język. Lubi myśleć, że wiodą podobne życie, nie jeśli chodzi o codzienne zwyczaje -jedzenie, spanie, mycie - ale rzeczy ogólne, bardziej prywatne i intymne. Kiedy Red budzi się w pustym łóżku o czwartej nad ranem z obrazem pozbawionych języków ciał przed oczami, czy Srebrny Język widzi ten sam obraz w tej samej chwili? Kiedy Red przegląda listę osób o imieniu Andrew, zatrzymując się przy każdym po kolei, czy Srebrny Język myśli właśnie o nich?

Red i Srebrny Język. Dwie strony monety. Czerń i biel. Pozytyw i negatyw. Chrystus i szatan.

30 listopada. Godzina Zero. Czy też raczej: godzina A.

Poniedziałek. Początek tygodnia. Koniec życia.

316

W biurze mają dwa kalendarze ściennie. Kartki na jednym są już wydarte do następnego dnia świętego. Kartki drugiego zdzierane są na bieżąco, dzień po dniu. Red wrywa kartki drugiego kalendarza. Każdy poniedziałek oznacza początek nowego tygodnia i koniec poprzedniego. To daje wielokrotność siódemki, jak siedem grzechów głównych.

9 listopada. Trzy tygodnie do końca. Trzy tygodnie, miły, bezpieczny dystans. Dłużej niż letnie wakacje albo igrzyska olimpijskie.

16 listopada. Dwa tygodnie. Jeszcze chwila wytchnienia. Wciąż czas, by coś znaleźć. Coś lub kogoś.

23 listopada. Tydzień. Teraz już blisko. Długi czas w polityce. Nie za długi w sprawie, którą prowadzą od siedmiu miesięcy.

Ale wystarczy chwila, żeby nastąpił przełom.

I nagle tygodnie zamieniają się w dni, dni w godziny, a minuty w sekundy. To tak, jakby czas równocześnie pędził i włókł się.

Piątek 27 listopada przychodzi i odchodzi. Red patrzy przez okno o wpół do szóstej po południu i widzi Londyn wyjeżdżający na weekend. Dwa dni wolnego: spanie do późna, oglądanie meczów, konieczność znoszenia niedzielnego obiadu u rodziny, a potem z powrotem w poniedziałkowy kierat, zrzedząc łagodnie na to lub tamto; rutyna, która podtrzymuje prozę życia.

Red nie ma dwóch dni wolnego. Przez te dwa dni obja się po pustym domu albo siedzi w biurze, robiąc te same rzeczy po raz setny. Ćwiczenia z czystej daremności. Karetki i jednostki policji są postawione w stan najwyższej gotowości.

Red leży w łóżku w niedzielę w nocy i patrzy, jak cyfry na jego zegarku elektronicznym przechodzą bezgłośnie z 11.59 na 12.00, zmieniając niedzielę w poniedziałek.

Już czas.

317

Rozdział dziewięćdziesiąty.

Poniedziałek, 30 listopada 1998.

Oczekiwanie na telefon jest chyba najbardziej skutecznym antidotum na sen, jakie

wynaleziono.

Red leży całkiem rozbudzony w ciemności przez dwie godziny, zanim ostatecznie poddaje się po nierównej walce z bezsennością. Zmęczenie dopadło każdą część jego ciała z wyjątkiem umysłu. O drugiej nad ranem wstaje z łóżka, człapie do kuchni i nastawia czajnik.

Co ma zrobić?

Dokądś pójść.

Tylko dokąd? Które miejsce jest najbardziej prawdopodobne?

Przed jego oczami pojawia się żółty dach Billingsgate.

To tam zaczęli, ponieważ to miejsce przyszło im pierwsze do głowy. A skoro tam zaczęli, to mogą tam również skończyć.

Znaleźli w Billingsgate cztery osoby o imieniu Andrew, a w innych zakładach nie więcej niż po dwie. W takim razie Billingsgate.

Red wraca do sypialni i wkłada ubranie, które miał na sobie wczoraj.

Wczoraj.

Dni są w zasadzie odcinkami czasu podzielonymi przez sen, nie przez następstwo nocy i dni. Więc jeśli nie śpisz, dni stają się dłuższe.

Sprawdza, czy telefon komórkowy jest przypięty do paska, i wypija pospiesznie kawę. Płyn parzy go w język.

Vauxhall mknie jak widmo przez puste ulice. Red włącza radio. Przerzuca kanały na bładozielonym elektronicznym wyświetlaczu, od Capital, poprzez Radio 1 do Virgin i z powrotem.

Prezenter w Capital zapowiada nagranie Joan Osborne, które Red rozpoznaje. Nuci pod nosem, a potem zaczyna śpiewać, chociaż nie miał dotąd pojęcia, że zna tekst. Wsluchuje się w słowa piosenki i zastanawia, dlaczego przedtem nie zwrócił na nie uwagi.

Jeśli Bóg miałby twarz,

jak by wyglądała ?

Chciałbyś ją zobaczyć,

jeśli oznaczałoby to, że musisz uwierzyć

w niebo, Jezusa, świętych i proroków?

Jego głos podnosi się, gdy zaczyna się refren.

A gdyby Bóg był jednym z nas,

a gdyby Bóg miał zwykłą twarz,

gdyby Bóg jeździł autobusem,

wracał do domu, wiedząc, że

nikt już do niego nie zadzwoni,

nikt czasu swego nie roztrwoni.

I tylko niebo o nim wie i papież w Rzymie może też-

Prezenter, który wydaje się zdolny jedynie do prawienia komplementów, zaczyna mówić długo przed końcem piosenki. Red wyłącza radio wściekły na kretyna wygadującego brednie i resztę drogi do Billingsgate pokonuje, mając za całe towarzystwo jedynie złe przeczucia.

Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy.

Welch nie wydaje się specjalnie zdziwiony, widząc Reda. Proponuje mu krzesło (zgoda) i kawę (odmowa), po czym mówi:

- To dzisiaj, prawda?
- Tak. Nikogo nie brakuje?
- Nie. Zupełnie nikogo.
- Czy sprawdził pan osobiście, czy wszyscy mężczyźni, którzy nas interesują, są tutaj?
- Osobiście nie. Może pan zejść i sam sprawdzić, jeśli pan chce.

318

319

i

- Wie pan, na których stoiskach pracują?
- Oczywiście.

Welch wychodzi z Redem z gabinetu na galerię, z której widać cały targ.

- Po prawej powinien być Andrew Marshall. Jest tragarzem. Gdzieś tam się kręci, nie jest przypisany do żadnego konkretnego stoiska. Andrew Routledge pracuje tam, pod zegarem. Można go stąd zobaczyć.

Welch pokazuje. Red podąża wzrokiem za jego palcem i widzi starego wdowca pakującego ryby do białej skrzynki.

- Dobra. Widzę go.
- Andrew Guildford pracuje na stoisku przy drzwiach, tym z napisem OWOCE MORZA. Mają tam każde dziwaczne gówno, o jakim pan tylko zamarzy. Nie widzę go... Nie, jednak jest. Tam. Odwrócony do nas plecami. Pochylony. Prostuje się... o, właśnie. Ma pudełko w rękach. Widzi go pan?
- Tak.
- Kto jeszcze został?
- Andrew Turner. Ten młody chłopak.
- A, tak. Pracuje... zaraz... w tamtym rogu, na stoisku obok baru. Nie widzę go teraz. Ale jest za to Andrew Marshall, właśnie przechodzi obok. Tragarz z pustym wózkiem. Widzi pan?

- Tak.
- Więc zginął nam tylko chłopak. Zginął.
- Oczywiście - mówi dalej Welch - może być wszędzie. Może brać coś z magazynu, mógł pójść do ubikacji albo na herbatę. Możliwe, że...

Przerywa. Red jest już w połowie korytarza.

Przemysłowych rozmiarów termos z herbatą w barze syczy głośno, gdy Red rozmawia z jednym z kolegów Andrew Turnera.

- Andy? Tak, pracuje tutaj. Ale jeszcze się nie pokazał. Leniwy gnojek. Pewnie zaspał.
- O której powinien tu być?

320

- O drugiej. Mówiłem już, że pewnie zaspał. Red patrzy na zegarek. Jest za piętnaście trzecia.

O drugiej. Czterdzieści pięć minut temu. Jezu Chryste.

- Zna pan może jego adres?

- Co?

- Jego adres.

- Ja nic nie wiem, ja tu tylko sprzątam. Musi pan iść do kierownika, tam, na pierwsze piętro. On ma nasze namiary.

Red biegnie z powrotem na górę i wpada do gabinetu Welcha w momencie, gdy ten zapala papierosa.

- Adres Andrew Turnera. Szybko!

Red wie, że powinien był go wziąć, kiedy go przesłuchiwał, zamiast tracić teraz cenne minuty na wyjaśnianie czegokolwiek.

- Zaraz go znajdę - mówi Welch. - A co? Nie ma go?

- Nie. Nie ma. A teraz dawaj ten pieprzony adres. Welch patrzy na Reda z rosnącym zrozumieniem.

- O mój Boże.

Sięga za siebie i otwiera drugą szufladę starej szarej szafki. Kartkuje akta z papierosem między zębami.

- Targett... Tucker... Turner. Jest.

Welch wyjmuje cienką, brązową tekturową teczkę i podaje ją Redowi. Jego ręce drżą. Adres Andrew Turnera znajduje się na pierwszej stronie. Donbey House, mieszkanie 53, Wolesley Street, SE1. Po drugiej stronie Tamizy, przy Jamaica Road.

A potem Red wybiega; jego stopy ślizgają się na mokrej kamiennej posadzce, podnosi wysoko kolana i oddycha chrapliwie w lodowatym powietrzu, biegnąc przez parking, po czym zostawia za sobą piętnaście stóp gumy, wyjeżdżając przez główną bramę.

321

Rozdział dziewięćdziesiąty drugi.

Ostatni raz Red jechał na południe przez Tower Bridge, gdy wracał z domu Barta Millera i był korek. Tym razem jest bliski znalezienia ciała i przejeżdża most z prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Donbey House jest budynkiem komunalnym. Andrew Turner mieszka na ostatnim piętrze. Red wbiega po schodach na samą górę, a potem skręca w prawo. Mijane drzwi dostrzega kątem oka, a jego stopy stukają głośno o betonową podłogę. Nikt nie reaguje. Budynki komunalne w ubogich dzielnicach są wymarzoną miejscem do zabicia kogoś. Nikt nie wyjdzie pomóc mężczyźnie krzyczącemu z bólu, bojąc się, że może stać się następnym na liście. Lepiej nie widzieć i nie słyszeć. To problem kogoś innego, nie ich.

Mieszkanie Andrew znajduje się na końcu korytarza, po prawej. Niebieskie drzwi. Nie ma sensu dzwonić.

Zamek jest lichey. Red otwiera drzwi pierwszym kopnięciem.

Andrew tam jest, właśnie tam, zupełnie jakby czekał na Reda. Krzyż opiera się o przeciwległą ścianę, a Andrew wisi na nim, każdą kończyną przybity do jego ramion

tworzących literę X.

Zwyczajny krzyż odpowiada kształtowi ciała, krzyż w kształcie litery X nie daje oparcia głowie ani tułowiowi. Zwisają więc one do przodu, będąc zbyt dużym obciążeniem dla dłoni i rozrywając je na strzępy.

Red podchodzi bliżej.

Srebrny Język nie dał mu szansy. Po dwa gwoździe w każdej stopie i każdej dłoni. Po to, by Andrew był mocno przytwierdzony i żeby wykrwawił się na śmierć trochę szybciej. Krew zbiera się na podłodze pod ramionami krzyża.

Dlaczego? Dlaczego Andrew pozwolił, by mu się to przytrafiło?

Red staje na niezakrwawionym kawałku podłogi, przykuca i patrzy do góry na twarz Andy'ego. Kąt, pod jakim wisi głowa, sprawia, że jego policzki wyglądają na spuchnięte, a oczy są wytrzeszczone. Krople krwi na ustach z powodu odciętego języ-

322

ka tworzą małe banieczki i kapią z jego dolnej wargi na podłogę.

Małe banieczki.

Red zrywa się na równe nogi tak szybko, że omal nie uderza o głowę Andrew.

Przykłada dłoń do szyi chłopaka. Dwa palce na skórze.

Jest. Pod palcami. Słaby, ale niezaprzeczalny.

Puls.

Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci.

Red przez telefon wzywa karetkę.

Ściągnąć Andrew. Sprawić, że będzie znów normalnie oddychał.

Gdyby Red ściągnął Andrew z krzyża, mógłby zapobiec uduszeniu. To uduszenie, a nie utrata krwi jest najczęstszą przyczyną śmierci na krzyżu. Przybicie ręki do krzyża ogranicza dopływ powietrza do płuc przez napięcie klatki piersiowej i przepony.

Trudniej się oddycha, mniej tlenu dostaje się do mięśni, ramiona nie utrzymują ciężaru i głowa oraz tułów opadają. To z kolei powoduje jeszcze większe obciążenie już i tak osłabionego układu oddechowego. Błędne koło, które może skończyć się tylko w jeden sposób.

Chyba że ktoś przedtem je przerwie.

Red chwytając jeden z gwoździ tkwiących w prawej dłoni Andrew i próbuje go wyciągnąć. Nie może. Gwóźdź jest zbyt śliski od krwi, by Red mógł go dobrze ścisnąć, a poza tym jest przybity tak mocno, że jego ostry koniec wystaje po drugiej stronie drewnianego ramienia.

Red rozgląda się po pokoju. Potrzebuje jakiegoś narzędzia. Na przykład kombinerek. Nigdzie w zasięgu wzroku ich jednak nie ma. Ani na stole, ani na półkach, ani na krzesłach. Tak jakby miały być. Kombinierki raczej nie są rzeczą, którą zawsze ma się pod ręką.

323

Muszą gdzieś być. Ale jeśli Red zacznie przetrząsać mieszkanie, szukając ich, może naruszyć integralność miejsca zbrodni. Może zatrzeć ślady.

Trzeba wybierać. I to szybko.

Nie ma co się zastanawiać. Było już osiem morderstw i żadnego śladu. Niby dlaczego tym razem miałyby być inaczej? A jeśli Andrew przeżyje, będzie jedyną osobą, która widziała Srebrnego Języka i ocalała. To, co im powie, może być bezcenne.

Tylko że im nie powie, bo nigdy już nic nie powie.

Przez chwilę Red zastanawia się, czy pozwolić chłopakowi umrzeć. Nikt nie będzie wiedział, tylko on. Andrew jest nieprzytomny. Nawet nie wie, że Red tutaj jest. Jeśli przeżyje, będzie cierpiał przez całe życie, samotnie, w milczeniu, wciąż na nowo przeżywając doświadczenie bardziej bolesne, niż większość ludzi może sobie wyobrazić.

Ludzie usypiają zwierzęta, gdy nie mogą zaradzić ich cierpieniu.

Ale czy to właśnie nie o to chodzi? Andrew nie jest zwierzęciem. Wciąż ma świadomość, inteligencję i uczucia.

To nie podlega wyborowi Reda. Musi zrobić wszystko, by utrzymać tego człowieka przy życiu.

Nie baw się w Boga. Wystarczy już, że robi to ktoś inny.

Red przedziera się przez małe mieszkanie jak tornado, szukając kombinerek.

Wyrywa szuflady z prowadnic i wyrzuca ich zawartość na podłogę, przegarnia rzeczy szybko i niecierpliwie dłońmi i stopami. Przebiega palcami po puszkach z fasolką, latarkach, butelkach keczupu i żarówkach znajdujących się w kredensie, tracąc tylko cenne chwile.

W końcu znajduje kombinerki pod zlewem w kuchni. Średnich rozmiarów, z rączkami powleczonymi dołkowaną czerwoną gumą. Wystarczą.

Najpierw ręce Andrew. Prawa.

Red przybliży kombinerki do pierwszego gwoździa, pod główką, tak żeby kombinerki się nie ześlizgnęły. Poprawia chwyt i ciągnie ze wszystkich sił.

324

Zrazu gwóźdź się nie rusza, a potem nagle Red czuje, że się poddaje i wyslizguje się przez dłoń z cichym odgłosem.

Andrew lekko opada i Red widzi kawałki ciała wokół drugiego tkwiącego w tej dłoni gwoździa.

Kurwa. Kurwa kurwa kurwa. Jak mógł być taki głupi? Powinien najpierw położyć krzyż na podłodze, żeby zdjąć ciężar z ramion Andrew.

Red schyla się, ścisną dwa końce krzyża przy stopach chłopaka i ciągnie za nie mocno. Hałaśliwy zgrzyt, gdy krzyż, zostawiając postrzępione brązowe smugi na ścianie, zsuwa się na podłogę.

Andrew leży teraz na plecach i Red szybko przewraca jego głowę na bok, żeby nie udławił się własną krwią. Teraz będzie ciężiej wyjąć gwoździe, ponieważ Red będzie musiał ciągnąć je do góry, wbrew prawu ciężenia. Ale będzie mógł się podeprzeć.

Zapiera się stopami, schyla, zaciska kombinerki na gwoździu tkwiącym w dłoni Andrew i szarpie.

Bez skutku.

Szarpie raz jeszcze i tym razem się udaje.

Słyszy odległe wycie syren, opadające i wznoszące się w swym zawodzeniu.

Karetki.

Red działa teraz szybko.

Chwył, szarpnięcie. Chwył, szarpnięcie. Chwył, szarpnięcie. Chwył, szarpnięcie.

Ręce Andrew są wolne.

Red układa je wzdłuż tułowia chłopaka i wsłuchuje się w jego oddech.

Cisza. Najmniejszego podmuchu powietrza na policzku Reda.

Andrew przestał oddychać.

Usta-usta. To powinno pomóc.

Usta-usta z człowiekiem bez języka.

Red kładzie palce na ustach Andrew i wyciera je z krwi na tyle, na ile można. Jeden z jego palców ociera się o łyżeczkę. Wyciąga ją i kieruje twarz Andrew do góry.

Nie może tego zrobić. Po prostu nie może przyłożyć swoich ust do krwawej papki na twarzy chłopaka.

325

Musi jednak to zrobić.

Ściska nos Andrew i pochyla swoją twarz nad tym, co zostało z jego ust.

Wdech. Wdech. Wdech.

Ręce na klatce piersiowej Andrew, jedna na drugiej.

Ucisk. Ucisk. Ucisk.

Z powrotem do twarzy.

Wdech. Wdech. Wdech.

Odgłos kroków na korytarzu.

Ucisk. Ucisk. Ucisk.

Głos za ramieniem Reda.

- My to zrobimy, proszę pana.

Załoga karetki bierze się do tego szybko i sprawnie, zgodnie z tym, jak jest wyszkolona. Maski tlenowe i kroplówki wokół ciała. Nosze na podłodze obok krzyża.

Jeden z sanitariuszy podnosi kombinerki z podłogi i po krótkiej walce wyciąga gwoździe, które wciąż przytwierdzały stopy Andrew do krzyża. Inaczej nie mogliby go przenieść na nosze.

Red opiera się o drzwi, wyczerpany.

Sanitariusz robiący sztuczne oddychanie podnosi wzrok i mówi do Reda poprzez krew wokół ust.

- Straciliśmy go.

Red w okamgnieniu jest przy nim.

- Niemożliwe - mówi bezmyślnie. - Miał puls.

- Przykro mi, proszę pana. Ten człowiek nie żyje.

Rozdział dziewięćdziesiąty czwarty.

Lubezski jest stanowczy.

- Red, to nie twoja wina. Nic nie mogłeś zrobić.

- Nieprawda. Mogłem go od razu położyć na podłodze. Mogłem wcześniej zacząć mu robić sztuczne oddychanie. Mogłem...

- Red! - Głos Lubezkiego jest tak ostry, że wszyscy wzdrygają się nerwowo. - Posłuchaj. Andrew Turner wisiał już na tym krzyżu jakieś trzy godziny, zanim go znalazłeś. Żył jeszcze tylko dlatego, że był młody i zdrowy. Większość ludzi umarłaby po godzinie. Gdyby Srebrny Język zaatakował zamiast niego tego starego z Billingsgate...

- Andrew Routledge'a.

- O, właśnie. Gdyby więc zaatakował Andrew Routledge'a, stary nie żyłby na długo, zanim się tam pojawił. Żadnym sposobem - powtarzam: żadnym - nie mogłeś zrobić więcej, niż zrobiłeś. Gdy go znalazłeś, był już martwy.

- Nieprawda. Miał puls.

- Nie rozumiemy się, Red. Kiedy mówię, że Andrew był już martwy, mam na myśli, że był w trakcie nieodwracalnego procesu umierania. Możemy mówić o uszkodzeniu mózgu, śpiączce, stanie ciągłej vegetacji. Nie byłby nawet świadom tego, co mu zrobiłeś - czy też raczej: co zrobiłeś dla niego. Nie ma na tym świecie lekarza, który mógłby zatrzymać proces umierania w tym stadium. To była po prostu kwestia czasu.

- On ma rację, Red - mówi Jez. - Nie możesz się obwiniać.

- Ale wiedziałem, że to będzie Billingsgate - upiera się Red. - Wiedziałem.

Powinienem pojechać tam wcześniej. Powinienem sprawdzić, czy wszyscy byli od początku zmiany. Andrew Turnera nie było od czterdziestu pięciu minut, zanim to odkryłem. Powinno się wszcząć alarm po czterdziestu pięciu sekundach.

- Te czterdzieści pięć minut nie zrobiłoby żadnej różnicy - mówi Lubezki łagodnie.

- Jeśli już chcesz kogoś obwiniać, Red, obwiniaj potwora, który to zrobił.

Odpowiedzialność za te śmierci ponosi tylko i wyłącznie on. Nie bierz na siebie winy za którąkolwiek z nich. - Lubezki wstaje. - Mówię poważnie, Red. Złap tego... szaleńca.

- W tym cały problem - mówi Red. - To nie szaleniec. Gdyby nim był, już byśmy go mieli. Nie popełniaj tego błędu i nie traktuj go jak wariata. On doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

326

327

Lubezki wzrusza ramionami.

- Co tylko chcecie. Mogę być patologiem. Mogę być nawet psychologiem, jeśli zajdzie potrzeba. Ale nie psychiatrą. Muszę już iść. Prześlę wam później wyniki pełnej sekcji i, oczywiście, badań mikroskopowych, chociaż nie sądzę, żebyśmy coś znaleźli. Tak - dodaje, wyprzedzając to, co chce powiedzieć Red - postąpiłeś słusznie. Zatarcie ewentualnych śladów było niczym w porównaniu z szansą uratowania Andrew życia. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

- Tylko że ja go nie uratowałem, a mogłem zniszczyć dowody kluczowe dla sprawy. I jedno, i drugie spieprzyłem. Gdybym go zostawił, może byście coś znaleźli.

- A ty przez resztę życia cierpiełbyś na bezsenność. A teraz nie myśl już o tym.

Lubezki kładzie dłoń na ramieniu Reda w niezręcznym wyrazie uczuć, po czym wychodzi z pokoju. Red wzdycha.

- Dobra, zaczynamy - mówi bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

- Mam pewną teorię... - zaczyna Kate, stukając ołówkiem o zęby.

- Słucham.

- Myślę, że Srebrny Język jest policjantem.

Red kiwa wolno głową. Jez pociera dłonią podbródek.

- Nie wyglądasz na zaskoczonego.

- Bo nie jestem - mówi Red. - Sam już o tym myślałem. Ale powiedz mi, co myślisz ty.

- To nie było nagłe objawienie czy coś w tym stylu. To suma różnych rzeczy, które się we mnie odkładały co jakiś czas. Po pierwsze, to, co jest zastanawiające - brak śladów na ciałach. Dwa, może trzy morderstwa bez śladów można by przypisać łutowi szczęścia, ale ich było - ile? - już dziewięć, włączając dzisiejsze, i nigdzie nic nie znaleźliśmy. Ten, kto popełnia te morderstwa, wie, czego szukamy i czego ma unikać. Jest całkowicie niemożliwe, żeby ktoś nie mający pojęcia o pracy policji i ekipy technicznej mógł tak długo nas zwodzić. Gdyby udało nam się

328

znaleźć jakiś ślad i nie moglibyśmy go dopasować do żadnego, który mamy w kartotece, mogłoby to właśnie oznaczać, że morderca jest policjantem. Bo to, że mamy do czynienia z nowym, nie notowanym przestępcą, nie wydaje mi się zbyt prawdopodobne. Tyle że do tej pory nie udało nam się znaleźć żadnego śladu.

- Zwróć uwagę, że nie tak trudno znaleźć ten rodzaj informacji, jeśli tylko się wie, gdzie szukać - mówi Jez. - Można to znaleźć w bibliotekach i w Internecie. Jest cała masa świrów, którzy tropią policyjne śledztwa, podsłuchują zastrzeżone kanały radiowe i czerpią wskazówki z odcinków Nowojorskich gliniarzy. Nie mówiąc już o wszystkich byłych policjantach, byłych żołnierzach, ochroniarzach, lekarzach, pielęgniarkach i tak dalej, którzy nabierają tej wiedzy w czasie pracy.

- Dobrze - mówi Kate. - Zgadzam się. Ale to nie wszystko. Tylko kiedy spojrzysz na to jako na część większej całości, to jakoś wszystko pasuje do siebie.

- Kate, to nie tak, że się z tobą nie zgadzam. Po prostu bawię się w adwokata diabła. Byliśmy już w tylu ślepych uliczkach, że nie chcemy się w nie wpieprzyć po raz kolejny.

- Wystarczy - przerywa Red. - Kontynuuj, Kate.

- Po drugie, nie mamy dosłownie żadnego kontaktu ze Srebrnym Językiem. Bo to, z czym mieliśmy do czynienia przy okazji morderstw Jude'a Hardcastle'a i Simona Barkera, raczej trudno nazwać kontaktem. On nawet nie próbuje się z nami komunikować. To naprawdę niezwykle. Większość seryjnych morderców kontaktuje się z policją, bezpośrednio albo pośrednio. Ireland dzwonił. Berkowitz pisał listy. Heirens pisał po ścianach. Oczywiście, nie wszyscy seryjni mordercy to robią. Ale w tym przypadku, w którym w grę wchodzi misja o charakterze religijnym, powinniśmy coś mieć: cytaty z Biblii, rysunki krzyża. Cokolwiek. Jak wszystkie religie, chrześcijaństwo jest pełne symboliki. A my nie mamy nic. Dziwne, prawda? Chyba że Srebrny Język jest policjantem. Po pierwsze, gdyby nim był, bałby się, że jakakolwiek próba kontaktu może go wydać, że ktoś może rozpoznać jego charakter pisma albo ulubione wyrażenie, cokolwiek. To nie problem, gdy pracujesz

329

w fabryce, gdzie nikt nie ma dostępu do akt sprawy. Gdy jednak jesteś policjantem, ogromnie ryzykujesz, jeśli zaczniesz zostawiać wiadomości. Lepiej po prostu

milczeć. Skoro już o tym mówimy: nie zapominajcie, że niektórzy mordercy zostawiają wiadomości tylko po to, żeby sobie zadrwić z policji. Widzą w policji swojego wroga: ich celem jest zagranie na nosie władzy. Jeśli Srebrny Język jest policjantem, to może nie mieć zastosowania. Nie chce być złapany, ale zarazem nie chce zaznaczać zbyt wyraźnie różnicy między swoim działaniem a działaniem policji. Czy to, co mówię, ma sens?

- Jasne - mówi Red.

- Dobrze. I wreszcie, po trzecie, i prawdopodobnie najważniejsze - szczególnie po dzisiejszym dniu. Cały czas zastanawiamy się, w jaki sposób Srebrny Język dostaje się do mieszkań swoich ofiar. Cóż prostszego, jeśli się jest policjantem? Jeśli chcesz kogoś zabić, najprościej to zrobić u niego w domu. Za zamkniętymi drzwiami, gdy jest mało prawdopodobne, że ktoś cię zobaczy albo coś ci przeszkodzi. Ale najpierw musisz się dostać do jego domu. Gdy jesteś policjantem, okazuje się to dziecinnie proste. Ot, przychodzisz i mówisz: „Bardzo mi przykro, że panu przeszkadzam, ale dostaliśmy zgłoszenie o tym czy tamtym i musimy sprawdzić kilka rzeczy”. I już jest twój. Mówiliśmy, że to późna noc. Ludzie nie otwierają drzwi nieznanemu, nie o tej porze i nie w mieście. Otwierają komuś, kogo znają, albo stróżom prawa; z powodu zaufania albo ze strachu.

- Powiedziałaś: „szczególnie po dzisiejszym dniu” - mówi Jez. - Dlaczego?

- Dlatego, że Andrew Turner wiedział, że ktoś może go ścigać. Był pierwszą ofiarą, która została ostrzeżona, a i tak Srebrny Język go dopadł. Postawcie się w jego sytuacji. Wie, że musi być ostrożny. Więc siedzi w domu, prawdopodobnie chce przeczekać te kilka godzin, które mu zostały do wyjścia do Billingsgate. Rozlega się dzwonek. Lubezski powiedział, że Andrew wisiał na krzyżu mniej więcej od północy. To w sumie nie jest aż taka późna pora, ale wystarczająco późna, zwłaszcza

330

gdy mieszka się w budynkach komunalnych. Zaczyna się denerwować. Otwiera drzwi na łańcuchu i widzi policjanta. „Przepraszam, że pana niepokoję, ale chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Mogę wejść i rzucić okiem, czy wszystko gra?” Andrew oddycha z ulgą i wpuszcza go. I jest on ostatnią osobą, jaką widzi za życia.

Red zasłania dłonią twarz, wsadzając nos pomiędzy palce. Morderca policjant. Tylko tego im było trzeba.

- To ma sens - mówi. - Kupuję to. A ty, Jez?

- Tak. Zdecydowanie tak. Myślę, że to najlepsza teoria, jaką mieliśmy od wieków.

- Dziękuję - mówi Kate bez śladu sarkazmu w głosie.

- Czekają nas niezłe nudy - stwierdza Red. - Musimy przejrzeć akta każdego londyńskiego policjanta. Zaczniemy od centrum Londynu i będziemy się posuwać na zewnątrz, jeśli nic nie znajdziemy tutaj. Zaczniemy od grafików. Chcę mieć dane ze wszystkich komisariatów dotyczące tego, kto był na wieczornej i nocnej zmianie w nocy z 30 kwietnia na 1 maja, z 28 na 29 czerwca, z 24 na 25 lipca, z 23 na 24 sierpnia, z 20 na 21 września, z 27 na 28 października i ostatniej nocy. Odrzućcie wszystkich, którzy pracowali w te noce. Nawet jeśli mieli zajętą tylko jedną z siedmiu. To samo zróbcie ze wszystkimi żonatymi.

- A to dlaczego? - pyta Jez.

- Ten facet odcina języki i zabiera je ze sobą. Przychodzi do domu cały we krwi. To naprawdę niemożliwe, żeby ktoś mieszkał razem z nim i nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Poza tym pamiętajcie, że on uważa się za Mesjasza - i to dosłownie. Jezus nie był żonaty. Nasz człowiek prawdopodobnie myśli, że żadna kobieta nie jest go warta.

- Bo ja wiem... - powątpiewa Jez. - Peter Sutcliffe był żonaty.

- Tak, ale był kierowcą ciężarówki na dalekich trasach. Zabijał na drodze, z dala od domu, i nigdy niczego nie zabierał. Zgadzam się, że moje teorie nie zawsze są niezawodne, ale czas nas goni i nie chcę zawracać sobie głowy dodatkowymi podejrzanymi. Podzielimy się robotą. Zawsze możemy wrócić i sprawdzić

331

też żonaty, jeśli za pierwszym razem nic nie znajdziemy. Ale teraz chcemy zacieśnić krąg podejrzanych tak, jak się tylko da.

- Dobrze - mówi Jez. - Niech i tak będzie.

- Tych, którzy przejdą przez dwa sita - to znaczy, nie byli na służbie i nie są żonaci - przesłuchamy. Zapytamy ich o alibi. Większość będzie je miała. Tych, którzy nie będą mieć, będziemy wałkować dalej. Jasne?

Jez i Kate kiwają głowami.

- Tymczasem sprawdzimy, jak powiedzie nam się z architektami o imieniu Thomas. Przejrzę żółte strony w poszukiwaniu biur projektowych, a potem pójdę się zobaczyć ze wszystkimi Thomasami. Taka sama procedura jak w przypadku rybaków, tyle że będzie mniej roboty. Nie sądzę, żeby w Londynie było tylu architektów co rybaków.

- Żebyś się nie zdziwił - mówi Kate. - Chodziłam kiedyś z jednym architektem.

- Wszystkich architektów biorę na siebie - dodaje Red - wy natomiast zajmiecie się naszym wewnętrznym śledztwem.

- Zamierzasz mówić architektom, żeby uważali na policjantów? - pyta Kate.

Red zastanawia się chwilę.

- Nie... chyba nie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie mogę mówić zwykłym obywatelom, żeby nie słuchali policji.

- Nie musisz tego robić. Możesz im po prostu powiedzieć, żeby tej nocy nie otwierali nikomu drzwi.

- Ale musiałbym zaznaczyć, że to dotyczy również policji.

- Wcale nie. Po prostu połącz nacisk na słowo „nikomu”.

- Kate, każdy otworzy drzwi policjantowi, który chce sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie przyjdzie im do głowy, że mówiąc „nikomu”, mam na myśli również policjantów. Na miłość boską, mówimy o architektach, a nie o dealerach narkotyków. Prawdopodobnie większość z nich nigdy nawet nie dostała mandatu za przekroczenie prędkości.

332

- Sam sobie przeczysz, Red. Jeśli są tak niewinni, możesz ich w ten sposób ochronić. Możesz im powiedzieć - a przynajmniej zasugerować - że nasz główny podejrzany jest policjantem.

- Nie.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Dlatego, że... - Red podnosi ręce-jeśli im to powiem, jeden z nich może się wygadać. Powie o tym swojej żonie, a ona sąsiadce z za płotu, a ta z kolei swojemu kuzynowi, który pracuje w „Evening Standard”, i zanim się obejrzymy, już będzie o tym we wszystkich gazetach. „Od tej pory możemy ignorować każdego stróża prawa”. To narazi policję na śmieszność.
 - Ale...
 - Kate, jeśli masz ochotę się kłócić, idź do komisarza. Powie ci dokładnie to samo.
 - Red, nie mogę uwierzyć, że tak reagujesz. Wiemy, że morderca jest policjantem, a ty...
 - Nie, Kate. Tu się właśnie mylisz. My nic nie w i e m y. My tylko myślimy, że Srebrny Język jest policjantem, ale nie mamy co do tego pewności. Nie zamierzam narażać na szwank pracy wszystkich stołecznych policjantów tylko dlatego, że mamy jakąś teorię, która, aczkolwiek możliwa, pozostaje nie udowodniona.
 - Nie praw mi kazań, Red.
 - Więc nie próbuj nakłonić mnie do zrobienia czegoś, czego zrobić nie mogę.
- Red wstaje.
- Przepraszam. Sam już nie wiem. I tak źle, i tak niedobrze.
 - Więc co mamy robić? - pyta Jez.
 - To proste. Znaleźć go, zanim on znajdzie ich.

Rozdział dziewięćdziesiąty piąty.

Zdają sobie sprawę, że nie mogą atakować społeczeństwa, nie starając się go zmienić. Dlatego postanowiłem wstąpić w szeregi

333

policji i robić to, co robię. Pomagam w bardzo małym stopniu, wykonując jeden z niewielu zawodów, które w tym całym bałaganie są coś warte. Pomagamy usunąć małą część szumowin, którymi dławi się społeczeństwo. Wyłapujemy najgorszych przestępców - nie, wyłapujemy najbardziej oczywistych przestępców, a to przecież duża różnica - / oczyszczamy ulice. Ale to wszystko, co robimy. A to przecież niezbyt dużo. Nie resocjalizujemy tych przestępców ani nie czynimy ich lepszymi. My tylko zapewniamy na jakiś czas odpoczynek od nich. Zapobiegamy, ale nie leczymy. I dlatego mówię o pomaganiu w bardzo niewielkim stopniu.

Wstąpiłem do policji, bo myślałem, że mogę zmienić świat. Przez pierwszy rok naprawdę się w to wierzy. To wielka radość, kiedy łapiesz przestępcę albo ratujesz komuś życie. Ale stopniowo to cię przerasta. Kiedy walczymy z tym głównym dzień po dniu, zaczynamy zdawać sobie sprawę, że to, co robimy, nic nie znaczy w ogólnym układzie rzeczy. Więc albo się akceptuje, że zawsze tak będzie, albo próbuje zmienić sposób, w jaki się pracuje tak, żeby to coś znaczyło. To właśnie robię. Ponieważ ludzie już nie słuchają, chyba że naprawdę podkreśli się głos i rzuci im to prosto w twarz. Świat jako całość nie zmądrzeje nagle i nie uwolni się od odretwienia, bo jakiś gość chodzi z małą grupą ludzi głoszących Słowo. Ludzie mają to w nosie. Spójrzcie na Koresha i Świątynię Słońca. Spójrzcie na tych od Hale-Bopp*. Wszyscy oni nic nie znaczyli.

* Odkrycie komety Hale-Bopp zaowocowało wzmożoną działalnością ruchów religijnych, głoszących bliski koniec świata.

Jeśli ludzie w ogóle ich zauważają, to patrzą na nich z pełną rozbawienia litością. Nie chcę, żeby ktoś się nade mną litował. Mogą mnie nienawidzić, ale nie żałować. Popatrzcie do gazet. Jestem najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju. Mógłbym pierdnąć i byłby to główny temat w Nine O 'Clock News. Bo to, co robię, sprawia, że ludzie siadają i zaczynają myśleć. Będą mnie pamiętać. Będą pamiętać i będą myśleć, i w końcu zrozumieją, że

334

mam rację. Mam ich uwagę. To ważna sprawa. Reszta to bułka z masłem.

Rozdział dziewięćdziesiąty szósty.

Dwadzieścia pięć dni do Bożego Narodzenia. Dwadzieścia jeden dni do kolejnego ataku Srebrnego Języka.

Grudzień, coroczny hołd oddawany świątecznemu konsumpcjonizmowi: jasne światła i błyszczące z podniecenia twarzyczki dzieci. Czasami, kiedy Red musi odpocząć, wychodzi ze Scotland Yardu, idzie na drugą stronę ulicy do domu handlowego Army & Navy i patrzy z rozbawieniem, jak mężczyźni próbują znaleźć prezenty dla swoich żon lub narzeczonych. Dziwi się, że nikt nie zrobił jeszcze o tym komedii. Mogłaby na przykład nosić tytuł: Zabójstwo na stoisku perfumeryjnym numer 13.

Ze wszystkich sklepów na Victoria Street chyba tylko The Body Shop zlitował się nad goniącymi w piętę mężczyznami. Red nie wie, jak oficjalnie nazywa się ten zestaw produktów, ale zawsze myśli o nim jako o „koszyku z rzeczami” -jest to koszyk pełen tych wszystkich balsamów, kremów, mydełek i perfum, o których mężczyźni myślą, że kobiety je lubią, dostępny w trzech lub czterech wariantach cenowych. Wejdz, zdecyduj się, ile chcesz wydać, weź koszyk, zapłać i wyjdź. Jednoprzystankowe zakupy, dokonane dokładnie w półtorej minuty.

Red spędza dużo czasu, próbując kupić coś dla Susan. Nie widział jej, odkąd go opuściła, chociaż rozmawiają przez telefon dość często. Wyprowadziła się od Shelley i wynajmuje mieszkanie gdzieś niedaleko Potter's Bar, za M25. Wstępnie umówili się na drinka przed Bożym Narodzeniem, ale jeszcze muszą ustalić dokładną datę. Red wie, że lepiej nie umawiać się na jakiś konkretny czas i miejsce, bo zgodnie z prawem Murphy'ego i tak będzie musiał odwołać to spotkanie w ostatniej chwili. Z tego wniosek, że w ogóle nie zdołają się spotkać. Zresztą i tak będzie wszystko na niego.

335

Yard wrze od pogłosek o bożonarodzeniowej szopce jednego z marginalnych ugrupowań islamskich. Fałszywe alarmy bombowe zdarzają się często: pojedynczy telefon, który w jednej chwili może sparaliżować komunikację w południowo-wschodnim Londynie. Ale wśród fałszywych może znaleźć się jeden prawdziwy, więc nie mogą sobie pozwolić na to, by któryś zignorować.

Podobnie jest z tym, co robią teraz Red, Jez i Kate. Godzinami szukają czegoś, co prawie na pewno do niczego nie doprowadzi, i tylko strach przed tym, że przeoczą jakiś mały szczegół, a potem okaże się, że miał on kluczowe znaczenie, sprawia, że w ogóle to robią. Red obdzwania wszystkie biura projektowe, których numery znajduje w książce telefonicznej i w bazie krajowego stowarzyszenia architektów. Za każdym razem do każdego Thomasa wygłasza tę samą mowę, aż w końcu zna ją na pamięć. Zaczyna myśleć, że zmienia się w pieprzoną papugę.

Ale gdy tylko kusi go, żeby nie zawracać sobie głowy tą czy tamtą firmą, bo są to dwuosobowe biura projektowe i na pewno nie będzie tam nikogo o imieniu Thomas, od razu myśli o tym, jak się będzie czuł, jeżeli jednak jest tam jakiś Thomas i to on zostanie zamordowany. Nie mówić im wszystkiego - jakiegokolwiek są tego powody - to jedno. W ogóle im nic nie mówić - to coś zupełnie innego. Oprócz tego dwudziestego grudnia wszystkie komisariaty w stolicy będą w stanie najwyższej gotowości.

Kate i Jez tworzą komputerową bazę danych wszystkich policjantów w centralnym Londynie, a potem powoli ją redukują. Pierwszy tydzień spędzają w biurze przed monitorami, a potem zaczynają wychodzić - przesłuchują ludzi, ustalają alibi, sprawdzają i jeszcze raz sprawdzają. W trzecim tygodniu sprowadzają ludzi do Yardu. Red przesłuchuje ich wszystkich sam, ale wie, że to strata czasu. Niezależnie od tego, czy przykładowie współpracują, czy skarżą się, że oddali policji dwadzieścia pięć lat ciężkiej pracy, wszyscy są niewinni. Redowi wystarczy na nich spojrzeć, by to wiedzieć.

Red uważa - czy też raczej ma nadzieję - że kiedy go zobaczy, będzie wiedział, że to on. Od razu będzie wiedział, tak jak ludzie, którzy spotykają na przyjęciu swoich przyszyłych małżonków i wiedzą od pierwszej chwili, że spędzą z nimi resztę życia.

Red zna już Srebrnego Języka. Wie, co myśli, na co ma nadzieję i czego się boi. Zna go w ogólnym zarysie. Nie zna szczegółów. Nie wie, gdzie Srebrny Język mieszka, co lubi robić w weekendy.

Ale przede wszystkim Red nie wie, jak Srebrny Język wygląda.

Rozdział dziewięćdziesiąty siódmy.

Piątek, 18 grudnia 1998.

Red idzie do pubu, tylko po to, by nie siedzieć w pustym domu. Jest coś niewymownie żalosego w upijaniu się przed telewizorem, myśli. Lepiej już idź do pubu, nawet jeśli miałbyś siedzieć i do nikogo się nie odzywać.

Pub jest zatłoczony, pełen młodych ludzi rozmawiających głośno przy stolikach. W odległym kącie kilka osób gra w bilard, a kule uderzają o siebie z głośniejszym „klak klak”. Red znajduje wolny stół przy barze i zamawia podwójną whisky oraz piwo. Po whisky nie ma już śladu, a piwo jest już w połowie wypite, gdy ktoś siada na stołku obok niego, potrącając go w ramię. Red podnosi wzrok.

- Nie przeszkadzam, koleś?

Nowo przybyły odwraca się do niego twarzą. Ma na sobie granatową kurtkę, jego

oczy są przekrwione. Woda albo drągi.

Patrzy na Reda przez kilka chwil, po czym rzuca na ladę plastikową torbę.

- Mam tu oskórowanego królika - mówi, pokazując na torbę. - Jeśli ze mną wygrasz, jest twój.

Barman, nalewający guinnessa kilka kurków dalej, sztywnieje.

- Jeśli ze mną wygrasz, jest twój - powtarza mężczyzna. Red wie, że najlepiej by było nie reagować. Ale nie może

,

336

337

ignorować gościa, który siedzi z nim twarzą w twarz. Nie może też wstać i wyjść, bo okaże w ten sposób słabość, a facet i tak za nim pójdzie. Nie może spróbować mu tego wyperswadować, bo gość może być na prochach.

Red wstaje i wali faceta pięścią w twarz. Uderza go tak mocno, że ten odbija się plecami od baru i upada na podłogę, ściskając torbę, która się otwiera. Królik wysuwa się na wykładzinę. Red jest nieco zaskoczony tym, że w torbie naprawdę był królik. A potem kopie mężczyznę raz w pachwinę i raz w głowę, czując przez skórę butów trzask łamanego nosa.

Barman przeskakuje przez kontuar i łapie Reda za ramiona. Red obraca się, żeby zabrać marynarkę z barowego stołka, ale się nie opiera. Pozwala mężczyźnie doprowadzić się do drzwi i wypchnąć gwałtownie na ulicę. Idzie do domu, nie oglądając się. Nie jest zdenerwowany, nie trzęsie się ani nie boi, tylko myśli, jakie to cudowne uczucie czasem komuś wpieprzyć.

Rozdział dziewięćdziesiąty ósmy.

Sobota, 20 grudnia 1998.

Rysunek na biurku przed Thomasem Fairweatherem jest pokryty czerwonymi liniami. Liniami, które sam narysował.

Firma architektoniczna, dla której pracuje, projektuje kompleks kinowy w Rivadh, a on jest szefem zespołu, który zajmuje się tym projektem. Poleciał jednemu z młodszych pracowników zrobić szkic, żeby początkujący architekt nabrał doświadczenia, i teraz musiał poprawić wszystkie błędy. Stąd te czerwone linie. Stojący za nim komputer tworzy trójwymiarowy model kompleksu. Zajmie mu to kilka godzin.

Patrzy na zegarek. Za piętnaście dwunasta. Zimna kawa rozchlapuje się, gdy podnosi kubek. Podchodzi do okna i patrzy na ulice Hampstead.

338

W mieście składającym się z wiosek, Hampstead to jedyne miejsce, któremu udało się zachować swój charakter. Wszystko tu jest inne niż w pozostałych dzielnicach Londynu. Małe trójkąty trawy na skrzyżowaniach sugerują raczej krajobraz wiejski niż miejskie ulice. Pagórkowate jezdnie są antytezą miejskiego planowania. Nawet tabliczki na budynkach są zupełnie inne: białe litery na czarnym tle, a nie odwrotnie.

Poświata wokół żarówek na wiktoriańskich latarniach. Jeszcze jedna rzecz charakterystyczna dla Hampstead: to jedno z nielicznych miejsc w Londynie, które najlepiej wygląda w zimnie i wilgoci. Jasne słońce działa na otwartych przestrzeniach, a ulice Hampstead są ocienione przez ciemne domy i niskie drzewa. Intymnie lub klaustrofobicznie, nieważne, jak to nazwiesz, ważne, że Hampstead jest najlepsze, gdy ludzkie oddechy układają się w dymki, a liście na drzewach są usiane kroplami deszczu.

Zgrzytliwy dźwięk dzwonka sprawia, że Thomas wzdryga się nerwowo.

Boso podchodzi do drzwi i patrzy przez judasz. Policjant, jego twarz zniekształcona w rybim oku wizjera. Thomas otwiera drzwi, nie zwalniając łańcucha.

- Pan Fairweather?

- Tak.

- Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko u pana w porządku.

- W porządku? A czemu miałoby nie być?

- Czy kilka tygodni temu nie odwiedził pana detektyw inspektor Metcalfe? Mówił o mordercy apostołów?

- Co? A, tak, przypominam sobie. Zaszedł tu któregoś popołudnia. Przez niego spóźniłem się na spotkanie.

Czy nie mówił, że znajduje się pan w niebezpieczeństwie?

- Wspominał coś o jakimś szaleńcu, który uważa się za Jezusa, ale mówił też, że szansa, że zostanę przez niego zabity, jest mniej więcej taka, jak na wygraną w totka.

- To prawda. Mimo to sprawdzamy wszystkich, których odwiedził inspektor, żeby mieć pewność, że są dostatecznie zabezpieczeni. Czy mógłbym rzucić okiem na pana dom? Przepra-

339

szam za najście o tak późnej porze, ale wie pan, jak to jest... strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Święta racja. Proszę. - Fairweather zdejmuje łańcuch i otwiera drzwi. - Gość w dom...

Policjant wchodzi do środka. Przez ramię ma przewieszoną długą czarną torbę.

- O tej porze? - dziwi się Thomas, pokazując na torbę.

- Tak. Za kilka godzin kończę służbę i idę prosto do mojej dziewczyny. Mam tu ciuchy na zmianę i coś, żeby ładnie pachnieć pod pachami.

Thomas śmieje się.

- Czy mam pana oprowadzić?

- Proszę.

Thomas oprowadza policjanta po parterze domu. Policjant sprawdza wszystkie zamki w drzwiach i zamknięcia w oknach, ale niczego nie dotyka.

Zatrzymują się w kuchni, gdzie policjant kładzie torbę na podłodze i sięga do środka.

- Jest jeszcze piętro - mówi Thomas. - Ale musimy uważać, żeby nie obudzić...

Ból, ostry i kłujący, od ciosu w czaszkę za uchem, a potem ciemność.

Powrót do przytomności następuje tak niedostrzegalnie, że przez kilka chwil Thomas nie jest nawet pewien, czy w ogóle nastąpił. Otwiera oczy, a wciąż jest ciemno.

Tyle że ta ciemność nie jest tak jednolitą czernią, jak ta pod jego powiekami. Może wyróżnić szary prostokąt w miejscu, gdzie zapewne jest okno.

Okno w jego sypialni. Thomas leży w swoim łóżku. Czuje chłód na nogach i klatce piersiowej i ucisk gumy wokół pasa.

Majtki. Jedyna rzecz, którą ma na sobie. Nie licząc sznurów, które przywiązują jego kostki i lewy nadgarstek do łóżka.

Zaczynają docierać do niego też inne rzeczy. Na przykład ból głowy w miejscu, gdzie został uderzony. Słyszy też własny oddech.

Tylko że dobiega on z odległości kilku stóp, więc nie może być jego.

Thomas wstrzymuje oddech, a odgłos dobiega dalej. Wdech, wydech. Równomierny.

W pokoju jest ktoś jeszcze.

Policjant przyszedł sprawdzić zamki...

Thomas zgina prawy łokieć na łóżku i próbuje się dźwignąć. Czyjaś ręka natychmiast pcha go z powrotem.

Thomas zmusza się do powiedzenia czegoś. Czegokolwiek. Pierwszej rzeczy, jaka przychodzi mu do głowy.

- Kto tu jest? Cisza.

- Jesteś policjantem? Cisza.

- Co mi się stało? Wreszcie nadchodzi odpowiedź.

- Uderzyłeś się w głowę.

- Która godzina?

Błysk fosforyzującego zegarka na ręce. Dziesięć po dwunastej. Już poniedziałek.

- Widzisz coś?

- Tak.

- Trzymaj oczy otwarte. Rozejrzyj się trochę. Wzrok przyzwyczai się do ciemności.

To głos policjanta.

Thomas rozgląda się, kształty pojawiają się i przybierają postać znanych rzeczy.

Krzesło przy oknie, komoda pod lustrem. Jednolita ciemność przechodząca w szarość.

Srebrny Język siedzi na skraju łóżka. Jest obnażony do pasa,

340

341

a prześcieradło marszczy się pod nim. Na dłoniach ma gumowe rękawiczki.

Na łóżku obok niego widać podłużny, ciemny kształt. Torba.

Srebrny Język szpera w niej i wyjmuje coś kwadratowego i błyszczącego. Kawałek plastiku. Wstaje z łóżka, kładzie plastik i siada na nim.

- Co robisz? Bez odpowiedzi.

Srebrny Język znów zagląda do torby.

Błysk metalu w półświetle.

Nóż.

O Boże, nie. Boże, proszę, nie.

Thomas zaciska powieki.

Nie nóż. Wszystko tylko nie nóż.

- Thomas. Popatrz na mnie. Thomas otwiera jedno oko.

Srebrny Język zagłębia nóż we własnym ciele.

Przejeżdża nim wzdłuż prawego boku, poniżej żeber. Na białej skórze pojawia się idealnie prosta czerwona linia krwi, a potem kapie jak krople deszczu na szyby okienne.

Srebrny Język wyciera ostrze noża o rękę i wkłada go z powrotem do torby. Sprawia wrażenie, jakby nie czuł bólu.

Białka jego oczu obracają się w stronę Thomasa.

- „Jeżeli nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę”. Dotyka prawej ręki Thomasa.

- Podnieś rękę.

Thomas czuje, jak ciągnie jego rękę.

Srebrny Język przejeżdża palcami Thomasa po swojej ranie. Najpierw sunie lekko po krawędziach, a potem zanurza ją w lepka, ciepła, wilgotną krew.

- „Nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym. Uwierzyłeś dlatego, ponieważ Mnie ujrzałeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.

Raz jeszcze przejeżdża koniuszkami palców Thomasa po ranie, a potem bierze plastik.

342

Srebrny Język kładzie rękę Thomasa na kawałku plastiku i siada na niej.

- Nie boli? Thomas potrząsa głową.

- To dobrze. Przykro mi, ale jestem pewien, że rozumiesz, że musiałem to zrobić.

Thomas nie rozumie. Nic a nic.

Wciąż siedząc na ręce Thomasa, Srebrny Język wkłada nóż z powrotem do torby, a wyjmuje coś innego. Thomas nie widzi, co to jest.

Srebrny Język pochyła się nad Thomasem.

- Otwórz je, Thomas.

Światła samochodu przejeżdżającego za oknem omiatają przedmiot, który trzyma w ręce. Skalpel. Thomas zaciska wargi.

- Thomas, proszę, otwórz usta. Żadnej reakcji.

- Otwieraj tę swoją pierdoloną gębę! Nie nie NIE.

Uderzenie nadchodzi tak szybko, że Thomas nawet tego nie zauważa, nie ma czasu, żeby się zasłonić albo odsunąć. Lewa ręka Srebrnego Języka uderza szybko w jego pierś, tuż pod splotem słonecznym. Powietrze ucieka z płuc Thomasa, gwizdząc jak pociąg ekspresowy. Uderzenie sprawia, że jego szczęki rozwierają się dla nabrania powietrza.

Skalpel jest w ustach Thomasa, przedziera się przez frenum i wzdłuż krawędzi języka. krew bucha z jego ust. Teraz cięcie w dole gardła.

Thomas usiłuje krzyknąć, ale już nie może.

Jego język jest w dłoni Srebrnego Języka.

Srebrny Język wyjmuje z torby słoik do połowy napełniony cieczą, odkręca pokrywkę, wrzuca do środka język Thomasa i zakręca z powrotem. Słoik wkłada do torby, a potem znów coś z niej wyjmuje.

343

Wciąż całym ciężarem na łóżku, tak że Thomas nie może ruszyć prawą ręką, Srebrny Język odzywa się do Thomasa po raz ostatni.

- Tomasz, włócznia, ponieważ został przebity włócznią.

Srebrny Język trzyma włócznię za górę drzewca jak kij bilardowy. Gdy podnosi ją nad głowę, zmienia uchwyt jak do rzutu oszczepem, z ręką nad drzewcem.

Włócznia robi „wiuuuuu” w powietrzu i wbija się w brzuch Thomasa.

Tępe uderzenie, chwilę przed nadejściem bólu, jak wtedy, gdy uderzasz się w palec u nogi i wiesz, że za dwie sekundy końcówki twoich nerwów będą w ogniu, ale wciąż musisz znosić te dwie sekundy w straszliwym stanie zawieszenia.

Srebrny Język wyciąga włócznię z ciała Thomasa, a potem zanurza ją raz jeszcze, tak że oba uderzenia zlewają się w jedno, odbijając się falą wstrząsową. Krew z arterii tryska jak fontanna. Thomas jęczy, gdy włócznia rozrywa go na tysiąc kawałków wszystko trawiącego, czystego bólu. Poprzez agonię nadciąga cień Śmierci oferującej wieczny odpoczynek i Thomas sięga ku niej w uścisku powitalnej rozpacz.

Rozdział setny.

- Wujku?

Cichy głos dobiegający spoza pokoju. Dziecięcy głos.

Srebrny Język odwraca głowę. Mdłe, żółte światło sączy się przez szparę w drzwiach.

Zostawia włócznię wbity w ciało Thomasa i schodzi z łóżka. Jego bok jest wciąż zakrwawiony w miejscu zranienia, więc naciąga na siebie z powrotem górę stroju, czując ciepło tam, gdzie krew przyklepia jego skórę do materiału.

Nie została tu ani jedna kropla jego krwi. To dobrze.

Cień przesłania światło. Podchodzi do drzwi sypialni trzema szybkimi krokami.

344

Dziecko otwiera drzwi.

- Wujku?

Srebrny Język staje w drzwiach. Dziecko patrzy na niego, zadzierając głowę.

Chłopiec. Sześć- może siedmioletni, w brązowej piżamie z wzorem w lokomotywy.

Jego oczy są podpuchnięte i wąskie od snu, a włosy sterczą w blond kosmykach.

„Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie i nie przeszkadzajcie im: do takich bowiem należy królestwo Boże”.

Srebrny Język kuca, tak że jego twarz znajduje się na wysokości twarzy dziecka.

- Twój wujek jest chory. Podam mu lek. Wszystko będzie dobrze.

Chłopiec patrzy na niego bardziej z ciekawością niż z podejrzliwością. Zjawia w czerni z żółtymi rękawiczkami na dłoniach, jak olbrzymi trzmiel.

Srebrny Język wyprostowuje się i wyciąga do chłopca rękę.

- Chodź. Położę cię z powrotem do łóżka.

Dziecko wzdyga się i Srebrny Język uświadamia sobie dlaczego. Rękawiczki ma całe we krwi Thomasa. Nie widać jej na jego czarnym stroju, za to na żółtych rękawiczkach - i owszem.

- To krew twojego wujka. Jest ranny, ale sprawiłem, że poczuje się lepiej. Wszystko będzie dobrze. Powinieneś wrócić do łóżka. Położę cię.

Srebrny Język pozwala się prowadzić dziecku przez korytarz, idąc krok za nim, tak żeby nie miało styczności z krwią Thomasa. Każdy jego krok to dwa kroki chłopca. Wchodzą do ostatniego pokoju po prawej stronie. Malutkiego pokoiku, prawie nieumeblowanego i najwidoczniej nie zamieszkanego. Pokój gościnny. Chłopiec wchodzi do łóżka i naciąga kołdrę po szyję.

- Nie martw się o wujka Thomasa - mówi Srebrny Język. - Wszystko będzie dobrze. Dziecko kiwa głową, po czym odwraca się od niego, gotując się do snu.

345

Srebrny Język gasi lampkę przy łóżku, zamyka drzwi i wraca do pokoju Thomasa. Thomas leży teraz bez życia na łóżku, a włącznia sterczy z ciała jak maszt radiowy. Wyszarpuje włącznię z ciała i chowa ją do czarnej torby.

Wyjmuje srebrną łyżeczkę. Numer dziesięć. Wkłada ją Thomasowi do ust.

Jego policyjny mundur leży starannie złożony na krześle w kącie pokoju. Włoży go z powrotem, gdy już skończy. Ale jeszcze nie skończył. Jest jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

Jedynе odchylenie, na jakie sobie pozwala. Jedyna skaza na jego arcydziele.

Prawa ręka Thomasa wciąż leży na plastikowej płachcie.

Jego krew, krew Chrystusa, znajduje się na tej płachcie i na palcach Thomasa.

Nigdzie więcej.

Wszystkie dowody musi zabrać ze sobą.

Srebrny Język wyjmuje z torby nóż i odcina prawą dłoń Thomasa na wysokości nadgarstka.

Rozdział sto pierwszy.

Red nie pamięta twarzy Thomasa Fairweathera, ale wie, że musiał go ostrzegać. Data i godzina spotkania z pewnością są zapisane w bazie danych.

Gdybyż tylko ostrzegł go przed policjantami...

Potrząsa głową. Podjął decyzję, a podjął ją z ważnych powodów. Owe powody są teraz tak samo ważne jak i przedtem. Poza tym wciąż nie mają żadnego dowodu, że Srebrny Język jest policjantem. Teoria Kate ma sens, ale trzytygodniowe solidne sprawdzanie kartotek nic nie dało.

Ciało Thomasa Fairweathera znalazła jego siostra Camilla Weekes niedługo po ósmej rano. Jej syn Tim - siostrzeniec Thomasa - był tu podczas tej jatki. Chłopiec został u Thomasa,

346

ponieważ Camilla i jej mąż bankowiec wyjechali na weekend do Cotswolds. Camilla przyjechała wcześniej rano, żeby zabrać Tima, zanim Thomas wyjdzie do pracy.

Matka i syn są teraz razem na dole w kuchni; trudno powiedzieć, które z nich bardziej przerażone. Towarzystwa dotrzymuje im posterunkowy.

Lubezski wchodzi do sypialni, chuchając w dłoń.

- Boże miłosierny - mówi. - Ale lodówka na dworze. Patrzy na ciało Thomasa.

- Dlaczego ma odciętą prawą dłoń? - pyta. Red spogląda na niego zmęczonym

wzrokiem.

- Historia niewiernego Tomasza. Lubezski patrzy bezmyślnie.
- Tomasz nie wierzył w zmartwychwstanie, dopóki nie zobaczył Jezusa we własnej osobie i - co ważniejsze - dopóki go nie dotknął-wyjaśnia Red.-Uwierzył dopiero wtedy, gdy dotknął dłoni Jezusa w miejscu, gdzie gwoździe przybiły ją do krzyża, i jego boku, który został przebity przez rzymskiego żołnierza. - Spogląda na ciało. - Wydaje mi się, że właśnie to stało się ubiegłej nocy.
- Zmusił Thomasa, żeby go dotknął?
- Tak. Zapewne zranił się - albo w dłonie, albo w bok. Bardziej prawdopodobne, że w bok, bo taką ranę łatwiej ukryć. Gdyby poranił sobie dłonie, musiałby je zabandażować, a to by zwracało na niego uwagę.
- Chyba że nosiłby rękawiczki.
- Ale czasem musiałby je zdejmować, prawda? Wewnątrz budynków. Inaczej wyglądałby dziwnie, tak samo jak z bandażami. Tak więc myślę, że przeciął sobie bok, a potem kazał się dotknąć, tak żeby Tomasz uwierzył.

Myśli Lubezskiego biegną tymi samymi torami.

- Thomas miał jego krew na swoich rękach, a Srebrny Język nie mógł sobie pozwolić na to, żebyśmy ją znaleźli. Więc odciął dłoń Thomasa i zabrał ją ze sobą.
- Właśnie.

347

- Ale jeśli się zranił, to mógł zostawić gdzieś tutaj trochę swojej krwi.
- Red wskazuje na krwawą jatkę na łóżku.
- Jeśli potrafisz tu znaleźć kilka kropel krwi, profesorze, to jesteś pieprzonym geniuszem. Osobiście uważam, że nie zostawił żadnych śladów.
 - Cóż, musi mieć dużo szczęścia, jeśli rani się i nie zostawia śladów.
 - Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Teraz już to wiemy. W jego misji nie ma miejsca na najmniejszy błąd. To dziesiąte morderstwo, a dziewięć poprzednich to były morderstwa doskonałe.

Red przebiega dłonią po włosach.

- Idę do kuchni zobaczyć, jak się czuje mały Tim.
- Kto?
- Siostrzeniec Thomasa. Był tu zeszłej nocy.
- O mój Boże. Czy coś widział?
- Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu minut przyjadą Kate i Jez, powiedz im, gdzie jestem.

Schodzi do kuchni. Camilla wygląda zaskakująco normalnie w dzinsach i grubym niebieskim swetrze. Siedzi na składanym krześle z Timem na kolanach i tuli jego głowę do piersi. Zielona lokomotywa na kołnierzyku piżamy Tima wystaje spod koca w kratkę, w który jest owinięty. Camilla spogląda na Reda oczami spuchniętymi od łez.

- Pani Weekes. Jak się pani miewa? - pyta detektyw, czując całą niestosowność tego pytania.

Kobieta nie odpowiada.

Przy szafkach kuchennych stoi posterunkowy. Red odwraca się do niego.

- Może napijesz się herbaty? , - Tak, sir.

Posterunkowy wyciąga rękę i włącza czajnik. Red wznosi oczy do nieba.

- Nie o to mi chodziło, głupku. Chciałem, żebyś zostawił nas samych.

348

- Och, przepraszam. Myślałem...

- Dobrze, już dobrze. A teraz spadaj.

Posterunkowy opuszcza głowę i wychodzi z kuchni. Red stawia krzesło naprzeciwko Camilli i pochyla się do przodu z łokciami opartymi na kolanach i palcami splecionymi pod brodą.

Zadaje pierwsze pytanie cicho, niemal wszeptując je w nią.

- Jaki był Thomas? Kobieta przełyka łyżę.

- To był dobry człowiek. Ciężko pracował. Może nie był orłem, ale ciężko pracował i ludzie go lubili. On... on na to nie zasługiwał.

- Nikt nie zasługuje na coś takiego.

- Wiem.

Ręce Camilli gładzą głowę Tima.

- Co z małym?

- Kiepsko.

- Czy widział... ?

Red pokazuje na górę. Na piętro. Sypialnię Thomasa. Ciało. Camilla kiwa głową.

- Ciało czy zabójcę? - pyta Red.

- Na pewno ciało. Znalazłam go w pokoju Thomasa, kiedy przyjechałam rano.

- Jak się pani dostała do środka?

- Otworzyłam drzwi, kiedy nikt nie odpowiadał. Mam swoje klucze.

- I znalazła pani Tima w pokoju Thomasa?

- Tak.

- Co robił?

- Stał tam. Patrzył na ciało.

- Ale nie wie pani, czy widział zabójcę?

- Panie inspektorze, od kiedy go znalazłam, nie odezwał się ani słowem.

Red pochyla się jeszcze bardziej, uważając jednak, żeby nie dotknąć kobiety.

- Hej, Tim - mówi cicho.

349

Chłopiec odwraca nieznacznie głowę na piersi mamy. Łypie na Reda jednym przestraszonym okiem.

- Wszystko będzie dobrze - mówi Red, czując, że znów powiedział coś nie na miejscu.

Tim patrzy na Reda jeszcze przez chwilę, a potem odwraca głowę. Red widzi, że jego oczy rozszerzają się w przerażeniu i zdziwieniu z powodu czegoś za nim. Camilla też to zauważa. Red słyszy jej sapnięcie.

Odwraca się.

W drzwiach stoi dwóch ludzi. Jez, który najwidoczniej właśnie przyjechał, bo nawet nie rozpiął jeszcze swojej wełnianej kurtki, i Lubezski.

Lubezski jest cały we krwi. Cały. Jego biała koszula ma czerwone plamy i jest przyklejona do brzucha tam, gdzie przesiąkła. Krew po lewej stronie twarzy i na rękach. Wygląda jak pracownik rzeźni.

- Co, do...?! - wykrzykuje Red.
- Przyszedłem tylko powiedzieć, że jadę do domu się przebrać - mówi Lubezski.
- Co, do cholery, ci się stało?!
- Przepraszam. Klęczałem na łóżku, oglądając ciało i straciłem równowagę. - Patrzy bezradnie na Camillę. - Wylądowałem pośrodku całego tego morza krwi.

Tim krzyczy.

Wrzeszczy.

Dźwięk, jaki wydobywa się z jego ust, jest wysoki i dziki, jakby pochodził z zupełnie innego wymiaru. Wokół mocno zaciśniętych oczu chłopca pojawiają się zmarszczki, a jego migdałki drgają czerwono w gardle.

Ręce Camilli przesuwają się po głowie syna, kiedy próbuje go uspokoić. Lubezski stoi nieruchomo jak skała, zakrwawiony i zmieszany. Red wypycha go z kuchni.

- Jezu Chryste, Lubezski. Spierdalaj stąd!

Musiał podnieść głos, żeby słycać go było ponad krzykiem Tima.

350

- Ja...

- Straciłeś rozum? Zobacz, jak na twój widok zareagował ten dzieciak. Dalej. Spadaj. A następnym razem użyj tej swojej pieprzonej mózgownicy.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że tu jest dziecko. Chciałem ci tylko powiedzieć...

- Daruj sobie. Nie chcę tego słyszeć. Zobaczymy się w Yardzie. Dalej. Idź do domu i przebierz się.

Lubezski odwraca się i wychodzi przez drzwi frontowe.

- Jasna cholera - mówi Jez.

- Ciało jest na górze. - Red jest cały roztrzęsiony. - Możesz je obejrzeć.

Jez idzie na górę. Red wraca do kuchni.

- Nie wiem, co powiedzieć, pani Weekes. Bardzo, naprawdę bardzo mi przykro.

Camilla piorunuje go wzrokiem.

- Mnie też.

Głowa Tima wtulona jest w jej piersi, a jego małe ręce zaciśnięte są wokół jej szyi.

Nie porusza się.

Cokolwiek Tim widział lub nie widział zeszłej nocy, i tak nikomu już o tym nie powie. W każdym razie nie na tyle szybko, żeby to mogło mieć jakieś znaczenie.

Tim zapadł w katatonię.

Rozdział sto drugi.

Nie jest trudno wybrać ofiary, jeśli się wie, gdzie szukać. Policyjne kartoteki, listy wyborcze, spisy adresowe, cokolwiek. Niesamowite, jak wiele informacji można znaleźć, jeśli się tylko chce. Wiedziałem, czego szukać, i szukałem, aż znajdowałem. Najpierw musiałem ich zidentyfikować, potem obserwować, upewnić się, czy mieszkają sami, sprawdzić, co robią, i to wszystko. Niektóre z moich pierwotnych wyborów - trzy, zdaje się -

351

były chybione. Musiałem z nich zrezygnować i zaczynać od początku.

A ci, którzy zostali wybrani? Teoretycznie mogą być niedostępni w wyznaczonych dniach. Mogą być na przykład na wakacjach. Gdyby tak było, to oznaczałoby, że Bóg nie chciał, aby stali się męczennikami. Ale zawsze tam są, czyli jednak Bóg tak chce. Kiedy wchodzi do ich domów, mam na sobie policyjny mundur, żeby mieć pewność, że mnie wpuszczą. Łatwiej byłoby iść po cywilnemu z odznaką, ale to zwiększa ryzyko. Każdy może powiedzieć, że jest policjantem w cywilu. Ludzie sprawdzają, kiedy przychodzi do nich policjant nie w mundurze. Każą ci czekać na progu, a sami dzwonią na komisariat. Nie robią tego, kiedy jesteś w mundurze.

Oczywiście podczas samego aktu męczeństwa nie mam na sobie munduru. Koszula i spodnie mogłyby zostawić włókna na ciałach. I zawsze się upewniam, że nie zabieram włókien z domu, kiedy wychodzę. Nigdy nie byliście w moim domu, prawda? Nie ma tam luźnych włókien. Podłogi są z gołych desek. Nie mam dywanów ani chodników. Wolę rolety od zasłon, kołdry od koców. Nie ma nic, co mógłbym ze sobą zabrać z domu na miejsce przemiany. Przed każdym aktem męczeństwa idę do domu i upewniam się, że jestem czysty, więc nie ma dowodów z jakiegokolwiek innego miejsca, w którym byłem. A jeśli przenoszę włókna z jednego miejsca zbrodni na drugie, kiedy muszę dokonać dwóch zabójstw jednej nocy, to nic nie szkodzi. Policja i tak wie, że w obu miejscach była ta sama osoba.

Tyle że nie wie, kim jest ta osoba. To wszystko.

Rozdział sto trzeci.

Red stoi w pokoju i wyszczekuje rozkazy niczym starszy sierżant.

- Jeszcze raz przejrzyjcie listę policjantów. Sprawdźcie, którzy byli na służbie ostatniej nocy, i wykreślcie ich z listy. Wtedy zobaczymy, kto został. Musieliśmy kogoś pominąć. I idźcie do pracowni policyjnej w Hampstead. Chcę mieć listę wszystkich wczorajszych zgłoszeń telefonicznych i wszystkich odpowiedzi na nie. Musimy się upewnić, że pasują.

- Może się mylę - mówi Kate. - Może to wcale nie policjant.

- Może i nie. Ale twoja teoria miała sens, kiedy po raz pierwszy ją wypowiadałaś.

To, że Srebrny Język nie wszedł nam prosto w ręce, o niczym jeszcze nie przesądza. A teraz nie mamy wielu innych pomysłów. Więc będziemy szukać.

Jez odwraca się do komputera i otwiera bazę danych, której używają z Kate. Są to dwie listy: jedna - wszystkich oficerów policji stołecznej i druga-tych, którzy przeszli obydwie selekcje Reda. Drukuje tę drugą.

- Czy ktoś ma dziurkacz? - pyta. - Chcę to włożyć do segregatora.

Red kręci głową.

- Duncan miał dziurkacz - mówi Kate. - Pewnie wciąż jest w jego biurku.

- Jeszcze go nie opróżniliśmy? - dziwi się Red.

- Nie - odpowiada Jez. - Zrobiłem do niego kupę, dając w ten sposób wyraz uczuciom, które żywię do Duncana.

- Nie zrobiłeś tego, prawda? - mówi Kate, szeroko otwierając oczy.

Jez patrzy na nią jak na idiotkę.

- Nie. Oczywiście, że nie. Choć muszę przyznać, że o tym myślałem.

Biurko Duncana ma trzy szuflady oraz nieruchomą nadstawkę. Jez otwiera górną szufladę i przegląda jej zawartość.

- Czy nie powinniśmy mu tego wszystkiego odesłać?
- Pewnie tak - odpowiada Red. - Ale to nie znajduje się na pierwszym miejscu na mojej liście rzeczy do wykonania.

- Popatrzcie tylko na całe to gówno - mówi Jez. - Pasta do butów, obcinarka do paznokci, kasetka z Planetami Holsta,

352

353

patyczki bawełniane do czyszczenia uszu, scyzoryk, torebki zLemsipem...

- Jez - przerywa mu Kate - to nie jest The Generation Game*, wiesz? Zamknij się.

* The Generation Game - zwariowany teleturniej rodzinny emitowany w BBC.

- Where Love Has Gone Harolda Robbinsa w tanim wydaniu, kto by pomyślał, co? Kilka widokówek, list od...

Milknie. Red i Kate patrzą na niego.

- Co? - pyta Red. - Co tam znalazłeś? Jez rozwija list. Przebiega oczami po tekście.

- O. Mój. Boże! - mówi, rozdzielając słowa.

Kate podchodzi do biurka Duncana. Jez wręcza jej list.

Kate rozpoznaje nazwę w nagłówku. Kościół Nowego Tysiąclecia, 32 Philimore Terrace, Londyn W8. Data: 12 lutego 1998 roku.

- Co to jest? Co tam jest napisane? - pyta Red z drugiego końca pokoju.

- To z tego zwariowanego kościoła, w którym byliśmy z Jezem w październiku - mówi Kate. - Tego z tym wielkoludem, który najpierw gadał o siedmiu pieczęciach, a potem zemdłał, kiedy Jez się skaleczył w rękę.

Kate czyta głośno.

- Drogi Panie Warren... dziękujemy za zainteresowanie... Spotkania studium biblijnego odbywają się trzy razy w tygodniu - wtorek, piątek, niedziela... bla bla bla... uczestnictwo nie jest obowiązkowe, ale oczywiście zachęcamy do niego... datki zależne od tego, na co pana stać... wyznawcy ze wszystkich grup społecznych... bla bla bla... Z poważaniem...

Podpis to jedno słowo, z zawijasem na końcu. Israel. Kate spogląda na Jeza.

- Nie rozumiem. Dlaczego Duncan miałby tu trzymać ten list? Chyba nie byłby tak nieostrożny, co?

- Czy jest autentyczny? - pyta Red.

354

- Tak - potwierdza Jez. - Widziałem taki papier listowy na biurku Israela, kiedy go przesłuchiwałem. To na pewno od niego. Napisane do Duncana, wysłane na skrytkę pocztową Yardu. Pewnie nie chciał, żeby Israel znał jego domowy adres.

- Może udawał - zastanawia się Kate. - No wiecie, udawał prawdziwego wyznawcę kultu, żeby zdobyć informacje.

Red kiwa głową.

- To nie nasza działka. Tym powinno się zająć raczej MI5. Komórka anty wywrotowa.

- Myślałam, że MI5 miało się zajmować tylko polityką - mówi Kate.

- No właśnie. „Miało się zajmować” to dobre określenie. Ale w zasadzie każdy, kto może być wywrotowcem, znajduje się na liście. Nie musisz umieć posługiwać się semteksem, żeby się na niej znaleźć. Ci chłopcy, których aresztowaliśmy w Speakers' Corner, na pewno znajdują się w aktach MI5, gwarantuję ci to.

- Ale jeśli Duncan jest członkiem Kościoła Nowego Tysiąclecia - mówi Jez - to dlaczego go tam nie spotkaliśmy?

Kate wzrusza ramionami.

- Może akurat tego dnia nie mógł przyjść. Może miał weekend z Samem. Przecież byliśmy tam w piątek. Może... Jez, chyba nie sądzisz, że to Duncan dał nam ten cynk, co?

- Nie. To nie był jego głos. Nawet gdyby go jakoś zniekształcił, na pewno bym go rozpoznał.

- W każdym razie - mówi Red - zdaje się, że Duncan jest - a przynajmniej rozważał zostanie - członkiem jakiegoś apokaliptycznego Kościoła. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Nie możemy go aresztować na takiej podstawie. To jeszcze nie oznacza, że miał coś wspólnego z morderstwami. Sprzedał historię gazetom, owszem, ale wstąpienie do Kościoła to jeszcze nie przestępstwo. Potrzebujemy porządnego dowodu.

- Jakiego na przykład? - pyta Kate.

Przez chwilę milczą, rozważając, co by nim mogło być.

- Mam! - wykrzykuje nagle Jez.

- Co?

355

- Lista kart kredytowych.

- Jaka lista?

- No, wiecie. Dane tych, którzy kupili srebrne łyżeczki. Zobaczmy, czy go tam nie ma.

Jez przegląda papiery zgromadzone na biurku Duncana, którego używają jako zapasowego, odkąd Duncan został wyrzucony.

- Tutaj. - Podnosi segregator z pomarańczowego kartonu. - To jest to.

- Ale jego nie było na tej liście - mówi Kate. - Sprawdziliśmy wszystkich.

- Nie my. On. Duncan. To on zajmował się zbieraniem informacji na temat łyżeczek.

Kate przyciska dłoń do ust.

- Ale na pewno wyrzuciłby swoje nazwisko, gdyby się tam pojawiło.

- Prawdopodobnie. Ale nazwiska przychodziły masowo. Mógł nieświadomie umieścić je w bazie danych. Jeśli przychodziły same nazwiska, tylko z pierwszą literą imienia, mógł nie zauważyć. Warren to dość pospolite nazwisko. W takim wypadku wykreśliłby je z już wydrukowanej listy jako sprawdzone.

Jez przegląda kartki.

- Zaczynaj lepiej od końca - radzi Red. - Tam będą nazwiska na „W”, prawda?

- Nie są ułożone w porządku alfabetycznym - odpowiada Jez. - Są w takiej kolejności, w jakiej przychodziły ze sklepów.

Przesuwa palcem po kartkach.

- No, dalej... - mamrocze. - Dalej...

Nazwiska były napisane na komputerze, potem wydrukowane, a w końcu, po sprawdzeniu, przekreślane. Lista ma czternaście stron.

Na przedostatniej stronie Jez znajduje to, czego szukał.

W jednej trzeciej strony od dołu jedno z nazwisk zostało wykreślone grubym czarnym flamastrem. A nawet nie tyle wykreślone, co kompletnie zamazane.

Jez odwraca kartkę i podstawia ją do światła.

- A niech mnie - mówi.

Zbierają się wokół niego.

Z tyłu kartki widzą to, co Duncan tak bardzo starał się ukryć. Warren D. Numer karty kredytowej i szczegóły dotyczące zakupu.

- Transakcja odbyła się w czwartek, 1 maja 1997 roku - mówi Red.-Dokładnie rok przed tym, jak wszystko się zaczęło. A to bydlę.

- Ale dlaczego? - zastanawia się Kate. - Dlaczego Duncan pozwolił, żeby ta informacja znalazła się na tej kartce? Dlaczego po prostu tego nie skasował?

- Kto wie - mówi Red. - Jeśli to nie była pomyłka, to może podniecała go świadomość, że ma tak oczywisty dowód przeciwko sobie, podczas gdy jego koledzy siedzą kilka kroków dalej. Mówiłaś o graniu na nosie policji, Kate. Co jeszcze gorszego mógłby zrobić?

Pociąga nosem z obrzydzeniem.

- Dawajcie go tu. Mają go.

- Poczekajcie chwilę - mówi Jez. - Jeśli zrobimy nalot na jego dom całą eskadrą, nie wiadomo, co zrobi. Jeśli tam w ogóle jest, oczywiście. A jeśli go nie ma, ryzykujemy, że się dowie, że wpadliśmy na jego trop. Na pewno dowie się od sąsiadów, jeśli nie z innego źródła. Ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to sprawić, żeby uciekł albo żeby zrobił coś głupiego. Chcemy go złapać czysto i prosto. Lepiej nie robić długiego obleżenia, tylko po to, żeby po dwunastu godzinach odkryć, że popełnił samobójstwo.

- Co więc proponujesz? - pyta Red.

- Obserwację. Trzeba zobaczyć, co jest grane. Coś subtelnego i nienatrętnego.

- Zgłaszasz się na ochotnika?

- Tak. Wiem, gdzie mieszka. Pójdę tam i zobaczę, co się dzieje. Jeśli jest w domu, dam wam znać i będziemy go mogli zdjąć. Jeśli go nie ma, postawimy obserwatorów, aż wróci.

- Nie pójdziesz sam.

- Dlaczego nie?

356

357

- Jez, jeśli Duncan jest Srebrnym Językiem, to pamiętaj, że zabił już dziesięć osób. Nie pozwolę ci zmierzyć się z nim w pojedynkę.

- Nie idę się z nim zmierzyć. Nie będę mu wchodził w drogę. Nie dowie się nawet, że tam jestem.

- Idę z tobą.

- Nie wygłupiaj się. Im więcej nas tam będzie, tym większe prawdopodobieństwo, że to schrzaniemy. Dwa razy bardziej prawdopodobne, że zobaczy dwóch niż jednego. I pamiętaj, że to ty go wylałeś. Możliwe, że dostanie pierdolca, jak cię zobaczy. Pójdę sam. Jestem młodszy, sprawniejszy i groźniejszy niż wy.

- Dobrze. Możesz iść i sprawdzić, czy tam jest. Jak już to zrobisz, daj znać. Wtedy dostaniesz dalsze instrukcje. Ale masz tylko obserwować. Nie wchodź do jego domu. Nie chcę, żeby wiedział, że tam w ogóle jesteś. Nie chcę żadnego pieprzonego bohaterstwa. Jasne?

- Jak słońce.

Rozdział sto czwarty.

Dom Duncana jest pusty. Jez czeka dziesięć minut na końcu drogi, tylko po to, żeby się upewnić.

Duncan mieszka w ślepej uliczce biegnącej od North Pole Road. Kiedy Jez nadjeżdża, dzieci grają na ulicy w piłkę. Kobieta w wojskowej kurtce obserwuje je, stojąc w drzwiach domu. Ma farbowane blond włosy i ściągniętą twarz. Nie patrzy na Jeza. Kiedy dzieci kończą grę, a kobieta wchodzi do środka, Jez wysiada z samochodu i podchodzi do domu Duncana.

Na brązowych drzwiach widnieje wykonany z mosiądzu numer 21, a nad frontowym oknem wisi kosz. Jez przyciska twarz do okna i zagląda do środka.

Żadnego śladu życia. Żadnych świateł, dźwięków, zupełnie nic. Dom sprawia wrażenie pustego.

358

Jez odchodzi na krok od okna i rozgląda się wokół. Cóż za przygnębiające miejsce, myśli. Agenci nieruchomości określają je jako North Kensington, ponieważ słowo „Kensington” automatycznie kojarzy się z bogactwem i dobrym smakiem. Fakt, że Kensington High Street jest przynajmniej trzy mile na południe stąd, najwyraźniej nie ma znaczenia. Inni nazywają to miejsce East Acton, co nie brzmi tak snobistycznie, ale przynajmniej nie mijają się z prawdą. Tak naprawdę ulica leży w samym środku White City, znanego z centrum telewizyjnego BBC i niczego więcej.

Dom Duncana stoi na samym końcu uliczki. Wąski przesmyk prowadzi wzdłuż boku domu do małego podwórka wyłożonego płytami chodnikowymi. Jez idzie tym przesmykiem, bokiem, żeby ominąć dwa pojemniki na śmieci.

Przygląda się domowi od tyłu. Szklane drzwi patio są zamknięte. Okna na pierwszym piętrze również. Plastikowa rynna. Gdy łapie za nią, wygina się w rękę. Nie utrzyma go.

Przydałyby mu się klucze Reda, ale oczywiście nie mógł go o nie poprosić. Nie pozwolił mu wchodzić do domu Duncana. To część umowy.

Gdyby chciał, żeby wszystko odbyło się zgodnie z umową, zadzwoniłby do Reda i powiedział mu, by wysłał ekipę śledczą. Ale jeśli będą czekać, aż wróci Duncan, mogą tu tkwić przez parę dni. Mógł wyjechać na święta.

Jez patrzy na drzwi patio.

Pieprzyć to, myśli. Nagnij zasady. Miej wyniki. Cel uświęca środki.

Drzwi patio powinny się łatwo otworzyć. Zamki są zainstalowane w klamkach, więc można je otworzyć od wewnątrz bez klucza. Trzeba tylko podnieść klamkę, kiedy drzwi są zamknięte. Tak więc wystarczy wybić szybkę, nacisnąć klamkę i już będzie w środku.

Chce mieć to już z głowy.

Wraca do samochodu i otwiera bagażnik. Podnosi dywanik i bierze lewarek.

Powraca przesmykiem do ogrodu Duncana.

Dwa szybkie uderzenia lewarkiem i w szkle wokół zamka

359

w drzwiach robi się pajęczyna pęknięć. Jez naciąga rękaw na dłoń i wybija otwór na tyle duży, żeby zmieściła się w nim jego ręka. Szkło spada na linoleum w środku. Jez dosięga wewnętrznych drzwi i naciska klamkę. Przesuwa drzwi. Poruszają się gładko po dobrze naoliwionych prowadnicach.

Ostrożnie idzie po zbitym szkle na podłodze i przechodzi cicho przez kuchnię.

Dom nie jest duży - przeszukanie wszystkich pokoi zajmuje Jezowi dziesięć minut.

Dom jest posprzątany. Wszystko czyste i porządne. Duncan musiał wyjechać.

To tak, jakby był włamywaczem. Szperanie w czyimś życiu bez jego wiedzy.

Przeglądanie półek z książkami i otwieranie szafek. Możliwość wybrania tego, co się weźmie, a co zostawi.

Jez nie przestaje nadśluchować dźwięków, które mogłyby mu powiedzieć, czy

Duncan nagle nie powrócił. Teraz już wie, dlaczego włamywacze tak często robią w gatki.

Strach i nienawiść w White City.

Jez był już we wszystkich pokojach i widział wszystko, co chciał zobaczyć. Stoi w kuchni przy stłuczonej szybie drzwi patio i wybiera numer Reda w swojej komórce.

- Metcalfe.

- To ja.

- Gdzie jesteś?

- W domu Duncana.

- W środku? Jak, do kurwy nędzy, się tam dostałeś?

- Przez drzwi patio.

- Były otwarte?

- Teraz są.

- Jez, ty pieprzony kretynie. Mówiłem ci, że masz tam nie wchodzić.

- Red, nie martw się. Mamy go.

- Co takiego?

- Mamy go. Tu się wprost roi od dowodów. To na pewno on. Duncan to Srebrny Język.

360

Rozdział sto piąty.

Pracują szybko i cicho. Patrząc z ulicy, przy której stoi dom Duncana, nikt nie domyśliłby się, że wewnątrz tyle się dzieje. Nie ma samochodów policyjnych z pomarańczowymi i niebieskimi paskami. Z krótkofalówek nie dobywają się zdenerwowane głosy. Żadnych helikopterów warczących nad głowami. Nic, co mogłoby pokazać Duncanowi, że coś się dzieje, gdyby wrócił. Wejdzie przez drzwi frontowe i wtedy go dopadną.

Policyjny szklarz wstawia szybę w drzwiach patio, a Kate załatwia antydatowany nakaz rewizji.

Znajdują narzędzia zbrodni w szafce pod schodami, każde zawinięte w plastikową torbę i schowane za stosem skrzynek po owocach. Jest tam siedem różnych narzędzi - drewniana pałka, którą James Cunningham został zakatowany na śmierć, miecz, którym odciął głowę Jamesowi Buxtonowi, nóż, którym obdarto ze skóry Barta Millera, maczeta, która załatwiła Matthew Foxa, chirurgiczna piła, która przecięła Simona Barkera na pół, kij baseballowy, który odebrał życie Jude'owi Hardcastle'owi, i w końcu włócznia, która zeszłej nocy przytwierdziła Thomasa Fairweathera do łóżka. Każde z narzędzi zostało wyczyszczone, choć drewno częściowo oparło się szorowaniu - plamki krwi są wciąż widoczne na pałce i kiju baseballowym.

Na półkach w salonie znajdują dwie książki z zaznaczonymi fragmentami. Pierwsza to egzemplarz Biblii z prostymi jak od linijki kreskami mazaka biegnącymi pod fragmentami Ewangelii dotyczącymi powołania apostołów, zaparcia się Piotra i niedowiarstwa Tomasza. Druga książka to Leksykon świętych, taki jak ten, który Red kupił po znalezieniu ciała Simona Barkera i Jude'a Hardcastle'a. Jedenaście haseł zostało zaznaczonych na boku strony tym samym czerwonym flamastrem. Tylko jedno hasło - dotyczące świętego Jana - ma być jeszcze wypełnione.

W jednej z szuflad w sypialni Duncana znajdują egzemplarz „Sunday Timesa”. Strony są podziurawione, tam gdzie wyrazy lub litery zostały wycięte z tekstu.

361

Jedynymi rzeczami, których nie mogą znaleźć, są języki zabitych, pozostałe srebrne łyżeczki i narzędzie, tak małe i ostre, żeby można nim było odcinać języki.

- Musiał je wziąć ze sobą - mówi Jez. - Co oznacza, że nie wróci tu, dopóki nie zamorduje Johna - 27 grudnia. To za sześć dni.

Red przytakuje. Jest zatopiony we własnych myślach.

Osiem miesięcy. Osiem miesięcy poczucia prawie niewybaczalnego nieudacznictwa, ponieważ nie umiał zapobiec zbrodniom. Osiem miesięcy, podczas których jego zaniebawiane małżeństwo legło w gruzach. I wszystko przez człowieka, któremu ufał. Człowieka, którego wybrał - osobiście wybrał - do swojego zespołu. Człowieka, który nie tylko rzucił to zaufanie Redowi w twarz, ale w dodatku obrócił je do góry nogami i wykorzystał do swoich celów. Duncan był częścią zespołu od samego początku. Przez cały czas wiedział, dokąd zmierzały podejrzenia. W każdej chwili, gdy zbliżali się za bardzo do prawdy, potrafił zwieść ich na inną ścieżkę lub zmylić tropy.

A potem, gdy Red i tak odkrył wzór, według którego działa, Duncan poszedł obrażony do „News of the World” i sprzedał im tę historię. Własną historię.

Tyle że ominął najlepszy kawałek. To, że ten, który nawijał, był tym, który zabijał.

Człowiek, który był poza podejrzeniami i który ciągle uważał się za kogoś stojącego ponad prawem.

Red chce spędzić sam na sam z Duncanem popołudnie w sali bez okien. Chce

wiedzieć nie tyle, dlaczego Duncan to zrobił, ile, jak udało mu się prowadzić podwójne życie. Zespół czterech ludzi, w którym jeden zachowuje sekret tak ważny dla całego istnienia zespołu, że aż wydaje się to niewiarygodne.

Co z ciebie za człowiek, że patrzyłeś, jak poruszamy się po omacku w ciemnościach,

i nie okazałeś nam żadnej litości?

A kiedy się już tego dowie, Red przykuje Duncana kajdankami do krzesła i stłucze go na kwaśne jabłko. Nie robi tego dla zrozumienia lub dowiedzenia się czegoś. Zrobi to z zemsty, czystej i pierwotnej.

362

Choćby za to, że budzi się codziennie rano, balansując na krawędzi szaleństwa. Nie zostanie jednak ani minuty sam na sam z Duncanem, nie mówiąc już o całym popołudniu. Może otrzyma odpowiedzi na swe pytania, ale nie będzie mu dana satysfakcja z fizycznego wyładowania się. W sali zawsze będzie ktoś jeszcze, dla pewności.

Red odwraca się na pięcie i wychodzi na patio.

Rozdział sto szósty.

- Niczego nie ujawniamy, koniec kropka.

- Ale tym razem jest inaczej - mówi Jez. - Wcześniej nie mieliśmy nazwiska. Kiedy szukaliśmy policjanta o nie znanym nazwisku i twarzy, to, co mówiłeś o niewystawianiu na ryzyko dobrego imienia policji, miało sens. Rozumiem, że nie mogłeś powiedzieć: „Jeśli do państwa domu przyjdzie policjant, nie ufajcie mu”. Ale teraz jest inaczej. Zamieścimy zdjęcie konkretnej osoby. To, że był kiedyś policjantem, nie ma znaczenia. Nie zmieni to ani na jotę reputacji stołecznej policji. Teraz to zwykłe polowanie na mordercę. „To jest Duncan Warren, poszukiwany za zabójstwo. Jeśli wiesz, gdzie jest albo go gdzieś zobaczysz, zadzwoń na policję. W żadnym wypadku do niego nie podchodź”. Tego typu rzeczy. Nie ma powodu, żebyśmy to dłużej ukrywali, Red.

- Owszem, jest.

- Jaki?

- Chcę mieć Duncana. Żywego i w areszcie. Nie chcę żadnego ryzyka. Nie chcę nawet, żeby wiedział, że go podejrzewamy. Po raz pierwszy ma się dowiedzieć, że go podejrzewamy wtedy, kiedy będzie leżał twarzą do ziemi, a ja będę mu czytał jego pieprzone prawa.

- Red, podchodzisz do tego zbyt osobiście - mówi Kate.

- A racja, kurwa, racja. Dziwię się tylko, że wy nie. Przez

363

ostatnie osiem miesięcy nie sprawiał, że wasze życie było zabawą, co?

- Nie o to chodzi.

- Nieprawda. O to właśnie chodzi. O to, kurwa, chodzi.

- A co z kolejną ofiarą? Jana przypada za niecały tydzień, a my nawet jeszcze nie zaczęliśmy ostrzegać ludzi.

- I nie zaczniemy.

- Co?

- Popatrz na to w ten sposób, Kate. Spędziliśmy całe tygodnie, ostrzegając rybaków o imieniu Andrew i architektów o imieniu Thomas, że tej i tej nocy mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie. A i tak ich dopadł. Dwa razy mu się udało. Mogło to być

piętnaście albo dwadzieścia razy, a on i tak by ich dopadł. Mieliśmy określone parametry, jeśli chodziło o tych dwóch. A wiesz, co mamy teraz? Kogoś o imieniu John, kto jest związany z pisaniem lub wydawaniem książek. Czy wiesz, jak szerokie są te kryteria? Mówimy o pisarzach, dziennikarzach, wydawcach, agentach, poligrafach, a nawet producentach papieru. Mówimy o autorach bestsellerów sprzedających miliony książek i o profesorach, którzy piszą niejasne techniczne podręczniki. Mówimy o redaktorze „The Times” i o współpracownikach magazynu „Hot Dip Galvanising”*. Wystarczy?

* „Hot Dip Galvanising” - „Poradnik Galwanizatora”.

- Ja...

- I nie wiemy nawet, jak to tym razem zrobi. Święty Jan umarł ze starości, pamiętasz? Był jedynym apostołem, który nie zginął śmiercią męczennika. Nie mam pojęcia, jak nasz przyjacielski, pieprzony Mesjasz rozwiąże ten mały techniczny problem. Możemy ostrzegać, kogo nam się żywnie podoba, i przyniesie to taki sam efekt jak poprzednio - czyli zerowy. Ujawniając wszystko prasie, sprawimy tylko, że Duncana będzie trudniej schwytać. Jeśli pokażemy jego zdjęcie w Crimewatch*, ukryje się tak, że nigdy go nie znajdziemy.

* Crimewatch - magazyn kryminalny nadawany przez telewizję BBC.

364

A propos, nie wiemy nawet, gdzie jest w tej chwili. Jez, udało ci się złapać Helen?

- Zostawiłem wiadomość na sekretarce.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Przed chwilą to zrobiłem.

- Więc spróbuj raz jeszcze. Teraz.

Jez podnosi słuchawkę i wybiera numer Helen.

- Znowu sekretarka - mówi, odkładając słuchawkę. Kate powraca do swojej sprzeczki z Redem.

- Nie wierzę, że to powiedziałeś, Red. Pozwalasz Duncanowi na zabicie Johna.

- Nieprawda. Ja po prostu wybieram mniejsze zło.

- Mówisz, że jeszcze jedno zabójstwo nie ma znaczenia.

- Nie. Nie pozwolimy ot tak, po prostu, na to morderstwo. Myślisz, że chcę, żeby mógł sobie zaznaczyć kolejną kreskę na pasku? Już i tak wystarczająco długo udawało mu się nas zwodzić. Ale nie możemy go ostrzec. Żadnego publicznego polowania. O tym mówię.

- Wydaje mi się, że nie masz racji.

- Kate, gównie mnie obchodzi, co ci się wydaje. Tak to zrobimy. Jeśli chcesz, żebyś odnotował twój sprzeciw...

- Żebyś wiedział, że chcę...

- ...to uważaj go za odnotowany. Pamiętaj, kto tu jest szefem. Jeśli to spieprzę, to z radością wezmę winę na siebie. Ale nie wezmę odpowiedzialności za akcję, co do której nie jestem przekonany.

- Jez też się z tobą nie zgadza. Co, jeśli zagłosujemy?

- To nie jest pieprzona demokracja, Kate. Nawet jeśli mnie przegłosujecie, i tak zrobimy to, co ja mówię.

- Więc nie zamierzasz nas posłuchać?

- Zawsze cię słucham, Kate. Nie było chwili podczas tego śledztwa, kiedy cię nie słuchałem. Podobnie zresztą jak Jeza. Ale to, że was słucham, nie oznacza, że muszę się z wami zgadzać.

- On ma rację, Kate - mówi Jez.

- Nie ma.

365

- Ma. Musimy to skończyć. Musimy dopaść Duncana. Bez względu na koszty.

- Nie wierzę. Dwie minuty temu twierdziłaś, że powinniśmy wszystko ujawnić.

Dzwoni telefon Jeza. Podnosi rękę, żeby uciszyć Kate, i podnosi słuchawkę.

- Clifton... O, witaj, Helen, dzięki za telefon... Nie, wcale... Po prostu zastanawiałem się, czy wiesz, gdzie jest Duncan... Nie, muszę z nim o czymś porozmawiać... Tak, właśnie, nudne policyjne sprawy, właśnie tak... Naprawdę? Ale nie wiesz, dokąd pojechał?... Żadnych szczegółów?... Nie, pewnie i tak by ci ich nie zdradził, prawda?... Wiesz, kiedy wróci?... Oczywiście, że tak... Nowy Rok?... Dzięki wielkie... Posłuchaj, czy moglibyśmy z kolegami wpaść do ciebie dziś wieczorem? Na kilka minut... Wolałbym ci to wyjaśnić na miejscu... Możemy przyjść teraz, jeśli bardziej ci to odpowiada... Nie, nie, w porządku... Możesz mi podać adres?... Dobrze. Do zobaczenia za pół godziny. Cześć.

Odkłada słuchawkę.

- Helen mówi, że Duncan wyjechał na święta. Nie wie, dokąd, nawet nie wie, w którą stronę, i nie ma z nim żadnego kontaktu. Nie ma między nimi jakiejś wielkiej miłości, sami wiecie. Nie wie dokładnie, kiedy Duncan chce wrócić, ale przypuszcza, że przed Nowym Rokiem.

- Dlaczego?

- Bo dostaje na weekend Sama. Odbierze go wieczorem w Nowy Rok. Czyli w piątek.

- Przyjedzie po niego do Helen? - pyta Red.

- Tak.

- Na pewno?

- Na pewno. Red zaciera rękę.

- No to go mamy. Właśnie tam go zwiniemy.

- Ustaliłem z Helen, że zaraz przyjedziemy. Red już wkłada płaszcz.

366

- Świetnie. Chodźmy więc.

- Poczekajcie - mówi Kate. - Duncan nie wróci do Nowego Roku? John ma zostać zabity 27 grudnia. To prawie tydzień przed powrotem Duncana. Masz zamiar pozwolić mu na morderstwo?

Red stawia kołnierz płaszcz i zawiązuje z przodu szalik.

- Kate, już to przedyskutowaliśmy. Wiemy, gdzie i kiedy Duncan będzie. Znamy go na tyle, żeby wiedzieć, że za nic w świecie nie zrezygnuje z weekendu z Samem.

Będzie tam, jak dwa i dwa to cztery. Tam go złapiemy, jeśli nie uda się wcześniej.

Mam nadzieję, że nie będziemy musieli poświęcić kolejnej osoby. Zadowolona? Jeśli masz z tym jakiś problem...

- To trudno - mówi Jez, kończąc za Reda zdanie.

Rozdział sto siódmy.

Red ma dosyć kuchni. Jego dzień rozpoczął się w kuchni Thomasa Fairweathera z małym Timem wrzeszczącym wniebogłosem na widok Lubezkiego pokrytego krwią, a kończy tutaj - piją herbatę z Helen, podczas gdy on planuje pojmanie jej byłego męża.

- Duncan nigdy nie wchodzi do środka, kiedy przyjeżdża po Sama - mówi Helen. - Przyjeżdża równo o szóstej, a ja i Sam czekamy na niego na ulicy przed domem.
- Nigdy nie wchodzi do środka? - upewnia się Red. - Nawet na filiżankę herbaty albo do toalety?
- Nigdy. Nie chcę, żeby się tu kręcił, i wydaje mi się, że on też nie bardzo miałby na to ochotę. Wiecie, to dom Andy'ego. Duncan i on niezbyt się rozumieją. Podobnie zresztą jak Duncan i ja. Gdyby nie Sam, w ogóle byśmy się nie widywali.
- Czy Duncan wychodzi z samochodu, kiedy przyjeżdża?
- Tak. Zamieniamy kilka słów na chodniku.
- Głównie ze względu na Sama?

367

- Nie. Wyłącznie ze względu na Sama.
- Więc jeśli ty i Sam nie czekalibyście na zewnątrz na Duncana, uznałby to za dziwne?
- Tak, tak mi się wydaje.
- To trochę komplikuje sprawę.
- Dlaczego?
- Bo to oznacza, że będziemy musieli dopaść Duncana na zewnątrz.
- Dopaść go? Myślałam, że chcecie z nim porozmawiać o „nudnych policyjnych sprawach”?

Rany koguta. Red zapomniał, że Jez użył tego sformułowania, kiedy rozmawiał z Helen przez telefon. Teraz jest już za późno. Będzie musiał wszystko wyjaśnić.

- No... niezupełnie. Chyba lepiej powiem ci prawdę. I tak wkrótce się dowiesz. Czytałaś pewnie w gazetach o „mordercy apostołów”?

- Oczywiście. Kto nie czytał.
- Cóż, uważamy, że to Duncan jest tym mordercą. Helen otwiera usta. Nic zabawnego dowiedzieć się, że były mąż jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem w kraju, nawet jeśli się tego męża nienawidzi.

- Tak podejrzewacie?
- Nie. My jesteśmy tego pewni. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.
- Skąd ta pewność?
- Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć, Helen, ale znaleźliśmy narzędzia zbrodni w jego domu i mamy dowód na to, że kupił sre... pewne przedmioty, które znaleźliśmy przy ciałach.
- Jezu Chryste.
- Przypuszczam, że za niego właśnie się uważa.

Helen wstaje i podchodzi do zlewu, gdzie polewa twarz wodą z kranu. Pozwalają, żeby się pozbięrała. Oddycha gęboko, po czym wraca do stołu.

- I chcecie go złapać, kiedy przyjdzie po Sama? - pyta.

368

- Nie wiemy, gdzie jest. Szukamy go, ale to jedyne miejsce, w którym na pewno będzie.

- Ale... on chyba nie będzie próbował mi zrobić krzywdy, prawda? Albo Samowi? Albo Samowi? Dwa słowa, które mówią im o Helen Rowntree więcej, niż chciałyby, żeby wiedzieli. Najpierw ja. Dopiero potem moje dziecko.

- Nie. Na pewno nie. Powiem ci coś w tajemnicy. Rozumiesz, w razie czego, nie było rozmowy. Otóż na jednym z miejsc zbrodni znalazło się dziecko i Duncan go nie tknął. Były też inne osoby w pobliżu. Narzeczone i bracia, którzy z łatwością mogli się tam znaleźć. On zabija tylko ludzi, którzy pasują do jego wielkiego planu. Zabija tylko apostołów. Uważamy, że wszystko inne... jak ty to ująłeś, Jez?

- Bruka jego arcydzieło.

- Właśnie.

- Ile osób zabił? - pyta Helen.

Red zastanawia się, czy powiedzieć jej całą prawdę, następnie postanawia, że musi.

- Jak dotąd dziesięć.

- Dziesięć? Myślałam, że tylko siedem.

- Wiem. Udało nam się utrzymać ostatnie trzy zabójstwa w sekrecie. Ten rozgłos w mediach nie bardzo nam służył. Mieliśmy więcej szczęścia, kiedy się od tego uwolniliśmy.

- Trzy następne morderstwa. Ładne mi „więcej szczęścia”.

- Może. Ale przynajmniej teraz wiemy, kim jest zabójca - choć lepiej, żeby Duncan nie wiedział, że go tropimy. Więc jeśli do ciebie zadzwoni lub spróbuje się skontaktować...

- Prawdopodobieństwo, że Duncan będzie chciał się ze mną skontaktować, jest takie samo jak to, że będzie chciał lecieć na Księżyc. Jak już mówiłam, nie widywalibyśmy się w ogóle, gdyby nie Sam. Dzwoni do mnie tylko po to, żeby umówić się na spotkanie z małym. Skoro mamy już umówione spotkanie w Nowy Rok, nie będzie musiał dzwonić.

Red podnosi dłoń.

369

- Dobrze. Ale nie możesz o tym pisać ani słówka.

- Myślisz, że chcę, żeby ten człowiek łąził po ulicach choć minutę dłużej, niż to jest konieczne?

- Jasne, że nie. Ale właśnie to miałem na myśli. Nikomu nie możesz nic mówić. Nawet Andy'emu, a zwłaszcza Samowi.

- Muszę im powiedzieć. Jeśli będziecie korzystać z domu Andy'ego, muszę mu powiedzieć.

-- Proszę cię, Helen. Im mniej ludzi wie, tym mniejsze ryzyko, że coś się nie uda. I

nie chodzi o to, na ile ufasz tej czy innej osobie. Staramy się zminimalizować ryzyko.

- Co zamierzacie zrobić?

- W Nowy Rok o osiemnastej macie jak zwykle czekać na Duncana. Wokół będą policjanci w cywilu i snajperzy. Wszyscy przebrani i w ukryciu. Nie zobaczycie żadnego z nich. Duncan również. Przyjedzie po Sama. Kiedy wyjdzie z samochodu i będzie szedł w waszym kierunku, nagle pojawi się tuzin uzbrojonych policjantów.

- I to wszystko?

- Tak, to wszystko.

- A jeśli złapie Sama albo mnie? Może spróbować użyć nas jako... jak się to nazywa, jak na wojnie w Zatoce?

- Żywe tarcze - wtrąca się Jez.

- Właśnie. Żywe tarcze. Może wziąć nas na zakładników i postawić na linii ognia.

- Helen, zespół, który tu będzie, jest najlepszy w kraju, a może nawet w Europie. Ćwiczą takie sytuacje codziennie.

- Nie bardzo mi się podoba wizja zostania zakładniczką, jeśli mam być szczerą.

- Nie dojdzie do tego. Jeśli Duncan zrobi ruch w twoją lub Sama stronę, postrzelimy go w nogę. Tak, żeby go zranić, nie zabić.

- Czy wasz zespół jest przeszkolony na wypadek wzięcia zakładników?

- Oczywiście, że tak. Ale, jak już mówiłem, nie dojdzie do tego. Obiecuję. Będziemy mieli przewagę liczebną i do tego weźmiemy go przez zaskoczenie. Nie będzie miał najmniejszej szansy.

370

- Nie ma innego sposobu, żeby to zrobić?

- Nie. Chyba że go wcześniej znajdziemy. Jeśli by się tak stało, to nie musielibyśmy cię w to wciągać.

- Dlaczego więc go nie szukacie?

- Bo nie chcemy ryzykować, żeby się dowiedział, że jesteśmy na jego tropie. To największa szansa, jaką mamy, Helen. Znamy czas i miejsce.

- A co z ryzykiem, moim i Sama?

- Gdybym uważał, że ryzyko jest większe niż minimalne, to nie byłoby tej akcji.

- Jesteś pewien?

- Szczerze mówiąc, więcej ryzykujesz, przechodząc przez ulicę.

Tak jak Andrew Turner i Thomas Fairweather mieli większą szansę na to, że wygrają w totka, niż że zostaną zamordowani przez Srebrnego Języka.

Helen patrzy Redowi prosto w oczy.

- Czy to jedyne wyjście?

- Tak.

- I jesteś pewien, że to Duncan?

- Tak.

- Dobrze. Zrobię to.

Rozdział sto ósmy.

Boże Narodzenie 1998.

Red siedzi na końcu ławki z przodu kościoła.

Obok niego - rodzina, tradycyjna komórka w tym najbardziej tradycyjnym dniu.

Rodzice wyglądają na trzydziści kilka lat, a dzieci - córka i syn - nie przekroczyły dziesięciu. Dzieci szepczą do siebie podekscytowane. Matka nachyla się, żeby je uciszyć, i uśmiecha się do Reda przeprasząco. Oddaje uśmiech i gestem pokazuje, że mu to nie przeszkadza.

371

Ale przeszkadza mu to. To znaczy, nie dzieci same w sobie, ale fakt, że przypominają mu one o Timie, siostrzeńcu Thomasa Fairweathera. Mały Tim, który nie odezwał się słowem od czasu, gdy podniósł wrzask na widok Lubezkiego, cztery dni wcześniej. Chłopiec i jego rodzice wyjechali na święta, ale Red ustalił, że Tim zobaczy się z najlepszym psychiatrą dziecięcym Scotland Yardu, jak tylko wrócą.

W kościele jest zimno. Red wciąż ma na sobie płaszcz, ale nie miałby nic przeciwko temu, żeby się do kogoś przytulić. Najlepiej do Susan. Nie udało im się pójść na drinka, a ona odrzuciła ofertę wspólnego spędzenia świąt. Ma jeszcze w pamięci ich rozmowę. Susan była rozważna, a on - romantyczny.

.- To tylko jeden dzień, Susan. Pamiętasz, jak było miło w zeszłym roku, tylko my dwoje? Otwieranie prezentów, pijaństwo i wygłupianie się.

- O to właśnie chodzi, Red. To jedyny dzień w roku, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To wtedy świat zatrzymuje się i możemy zapomnieć o troskach życia. I tylko pławić się w nostalgii za tym, jaki był cudowny zeszły rok, i skończyć, przekonując się nawzajem, że wszystko jest w porządku. Ale jak tylko wystawimy to na próbę, wszystko się rozpadnie i będzie nam gorzej niż wcześniej.

Obudził się więc dziś rano z tępym bólem właściwym tym, którzy spędzają święta w samotności, i położył się w wannie, patrząc, jak jego łzy mieszają się z gorącą wodą. Wszystko, co musiał zrobić, to włożyć głowę pod powierzchnię i otworzyć usta.

Móglby skończyć to wszystko, właśnie tam, właśnie wtedy.

Red nie powiedział Susan o Duncanie, bo nie chciał, żeby skrytykowała jego akcję.

Powiedziała, że wróci i porozmawia z nim, jak tylko znajdą zabójcę. Jeśli zapłata za czekanie jest to, że Susan wróci do niego, to wytrzyma jeszcze jeden tydzień.

Głos księdza zagłusza jego myśli.

- Módlmy się.

Red pochyła się do przodu, ale nie klęka. Od klękania drętwieją mu nogi.

Co teraz robisz, Duncan, właśnie w tym dniu? Co robi ktoś, kto uważa się za

Mesjasza w dniu, kiedy chrześcijanie świętują narodziny jego poprzednika?

Poszedłeś do kościoła, anonimowy wśród zgromadzonych, którzy są zupełnie nieświadomi tego, że wraz z nimi modli się ktoś, kto zabił dziesięć razy w imię religii, którą wyznaje? Czy może, samotny, przygotowujesz się na ostatniego świętego?

Całkowicie samotny, jak Red.

Ksiądz zaczyna melodyjnym głosem czytać z modlitewnika.

- Przyjmij nasze modlitwy, Niebieski Ojczy, przez Twojego Syna, naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, i kiedy idziemy za jego przykładem, i jesteśmy posłuszni jego słowu, uświęć te dary... Uświęć zatem te dary łaską Ducha Twojego, aby stały się dla nas Ciałem i Krwią Pana naszego Jezusa Chrystusa. On to, gdy

dobrowolnie wydał się na mękę, tej nocy, której był wydany, wziął chleb i dzięki Tobie składając, łamał i rozdawał swoim uczniom, mówiąc: Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy. To jest bowiem ciało moje, które za was będzie wydane. Podobnie po wieczerzy wziął kielich i ponownie dzięki Tobie składając, podał swoim uczniom, mówiąc: Bierzcie i pijcie z niego wszyscy. To jest bowiem kielich krwi mojej nowego i wiecznego przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów. To czyńcie na moją pamiątkę.

Zebrani mamroczą odpowiedź.

Red nie zwraca na to uwagi. Raz jeszcze czyta w modlitewniku fragmenty modlitwy. „Uświęć zatem te dary łaską Ducha Twojego, aby stały się dla nas Ciałem i Krwią Pana naszego Jezusa Chrystusa. To czyńcie na moją pamiątkę”.

Nagle w sercu Reda rodzi się pragnienie przyjęcia komunii. Nigdy nie był zbyt religijny, ale teraz wszystko się zmieniło. Gdzieś tam znajduje się fałszywy Mesjasz. Najpierw komunię przyjmuje chór, tak by mógł śpiewać hymny, gdy komunię będą przyjmować pozostali. Potem wierni podchodzą do ołtarza, w pierwszej kolejności ci siedzący na począt-

372

373

ku. Kolejka przesuwa się do przodu, rozchodząc się przy ołtarzu, jak rzeka wpływająca do ujścia. Księża poruszają się do przodu i do tyłu, wkładając opłatki do złożonych dłoni, a brzeg kielicha do ust i wycierając go po każdej kolejce.

Red znajduje miejsce dokładnie pośrodku ołtarzowej bariery i wyciąga dłoń.

Ksiądz podchodzi do niego i wkłada w jego dłonie hostię.

- Ciało Chrystusa.

Red bierze opłatek, wkłada do ust i zaczyna żuć. Dopiero po chwili czuje smak na języku. Niektórzy zatrzymują opłatki, żeby zanurzyć je w komunijskim winie, nie chcąc pić prosto z kielicha. Ksiądz ponownie podchodzi.

- Krew Chrystusa.

Red wyciąga dłoń po kielich i robi łyk. Zostaje przy ołtarzu jeszcze kilka chwil, oczy ma zamknięte, modląc się. Proszę, Boże, myśli. Proszę, pozwól nam go złapać.

Rozdział sto dziewięć.

Poniedziałek, 28 grudnia 1998.

Red kładzie ręce za głowę i przekazuje od niechcienia ostatnie wieści.

- Dorwał ostatniego.

- Kogo? - pyta Kate.

- Gdzie? - pyta Jez.

- John Macdonald, pisarz i dziennikarz. Znaleziony wczoraj po południu, około wpół do piątej. Wszystkie ślady takie jak zawsze: odcięty język, srebrna łyżeczka włożona w usta, rozebrany do bielizny.

- Dlaczego po nas nie zadzwoniłeś?

- Nie było sensu.

- Jak to, nie było sensu? Daj spokój, Red. Mogliśmy przynajmniej puścić w obieg zdjęcie Duncana z notatką...

374

- Kate. To nic by nie dało.

- ...żeby uważać na tego człowieka. Wtedy John Macdonald mógłby mieć jakieś szansę.

- Nie miałyby.

- Łatwo ci mówić. Zdaje się, że masz Duncana za niepokonanego superpsychologa, odpornego na wszystko, co mówimy i robimy. Ale tak nie jest, Red. Wcale nie.

- Kate. W tym wypadku nic nie mogliśmy zrobić.

- Skąd ta pewność?

- Bo John Macdonald zmarł dwa lata temu.

- Dwa lata temu? Myślałam, że powiedziałeś, że zginął wczoraj.

- Nie. Powiedziałem, że wczoraj znaleziono jego ciało. Zmarł 27 grudnia 1996 roku. Zmarł, nie został zabity. Zmarł w wieku lat siedemdziesięciu ośmiu z przyczyn naturalnych. Wczoraj, w drugą rocznicę śmierci, znaleziono jego ciało leżące na grobowcu na cmentarzu Highgate.

- Duncan wyciągnął ciało z grobu?

- To był grobowiec. Wystarczyło, że odsunął kamień.

Po dziesięciu morderstwach niektóre rzeczy nadal mogą szokować. Wyciąganie ciał dawno zmarłych osób i bezczeszczenie ich to właśnie jedna z nich.

- Kto znalazł ciało? - pyta Jez.

- Jeden z grabarzy. Wracał z pogrzebu, kiedy je zauważył.

- I nikt nic ani nikogo tam nie widział?

- Nie.

Jez marszczy czoło.

- Ale przecież jeśli John nie żyje od dwóch lat, powinien zostać z niego tylko szkielet, prawda?

- Normalnie tak. Ale on został zabalsamowany.

- O mój Boże!

- Niektóre z organów wewnętrznych wyjęto w czasie balsamowania, ale język został.

- Aż do wczoraj.

- Tak. Aż do wczoraj.

375

- Czyli to już wszystkich jedenastu świętych?

- Tak. Chyba że coś pominęliśmy.

- I to wszystko? Po prostu teraz przestanie?

- A co innego ma do roboty? Ma już wszystkich swoich świętych.

Do pokoju wchodzi posłaniec, pchając wózek. Wyciąga stos listów spiętych gumką, kładzie go na biurku Reda i wychodzi.

Red ściąga gumkę i podnosi nożyk do otwierania listów. Posłaniec wraca, trzymając w ręku dużą brązową kopertę.

- Przepraszam, sir. Zapomniałem o tym. Był za duży, żeby owinać go gumką.

Red bierze przesyłkę. Jest ciężka. Jego nazwisko i adres wypisane są literami wyciętymi z gazet i przytwierdzone taśmą klejącą. Od razu myśli o „Sunday Timesie”

w sypialni Duncana, o stronach z powycinanymi literami.

Red spogląda na posłańca.

- Poczekaj. Czy to zostało sprawdzone?

- Tak, sir. Prześwietlone i sprawdzone. Ochrona mówi, że jest nieszkodliwe.

- Dobrze. Dziękuję.

Posłaniec wychodzi. Red przekłada kopertę z ręki do ręki. Nie wystają z niej żadne druty. Nie ma tłustych śladów, więc materiał wybuchowy nie mógł przesiąknąć.

Przystawia pakunek do nosa i pociąga. Nie czuje zapachu migdałów ani marcepana.

Jeśli ochrona mówi, że wszystko jest w porządku, to prawdopodobnie tak właśnie

jest. Red odwraca kopertę do góry nogami i patrzy na stempel. Londyn, SW1, 23

grud. 1998. SW1 to Westminster. Scotland Yard znajduje się w Westminsterze.

Duncan musiał być w promieniu jednej mili, kiedy to wysłał, a oni nawet o tym nie wiedzieli.

Red przebiega palcami po powierzchni koperty. Pod skrzypiącą warstwą pianki wewnątrz wyczuwa trzy twarde cylindry. Każdy ma kilka cali długości.

Kate i Jez obserwują go z uwagą.

- Co to jest? - pyta Jez.

376

- Nie mam pojęcia. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Red bierze do ręki nożyk do listów i przecina kopertę. Sięga do środka i jego palce natrafiają na szorstki papier i coś twardego pod nim. Jeden z cylindrów. Musi być owinięty papierem.

Cylinder nie jest gładki, ale rowkowany w regularnych odstępach. Coraz dziwniejsze.

Jego palce zagłębiają się i znajdują dwa inne cylindry. Wyciąga wszystkie trzy naraz.

Monety.

Trzy rulony po dziesięć monet każdy, owinięte w papier bankowy. Trzy rulony o różnych kształtach i rozmiarach.

Red rozdziera papier każdego rulonu. Monety grzechoczą o biurko.

10 dziesięciopensówek. 10 dwudziestopensówek. 10 pięćdziesięciopensówek.

Trzydzieści srebrników.

Rozdział sto dziesiąty.

Red wpatruje się w monety leżące przed nim na biurku.

- „Wtedy jeden z Dwunastu, imieniem Judasz Iskariota, udał się do arcykapłanów i rzekł: »Co chcecie mi dać, a ja wam Go wydam«. A oni wyznaczyli mu trzydzieści srebrników”.

Dudnienie w głowie.

Zamyka oczy i przyciska mocno pięści do skroni. Chce mu się rzygać.

Otwiera oczy. Monety wciąż tam są.

Jedenastu świętych oraz ten jeden. Najsłynniejszy zdrajca w dziejach ludzkości.

Tak, wziąłem pieniądze Richarda Logana. Ale nie dlatego wydałem Erica. Wydałem go, bo byłem przekonany, że właśnie to należy zrobić. Wygrałem bitwę z własnym sumieniem i straci-

łem brata. Wziąłem pieniądze Logana, ale to nie były pieniądze splamione krwią. Rozdałem je.

Filip powieszony, Jakub zatłuczony, Piotr ukrzyżowany, Jakub ścięty, Bartłomiej obdarty ze skóry, Mateusz zasztyletowany, Szymon przepiłowany, Juda zatłuczony, Andrzej ukrzyżowany, Tomasz przebity włócznią i Jan zbezczeszczoney.

Jestem następny.

Red nigdy wcześniej nie czuł czystego strachu. Staje na miejscu zbrodni i wyobraża sobie, co czują ofiary w chwili, gdy zdają sobie sprawę z tego, że umrą. Zastanawia się, jak sobie dawały radę z tą wiedzą i czy w ogóle dawały sobie z nią radę. Ale sam nigdy nie czuł tak czystego przerażenia. Aż do tej pory.

Ruch zauważony kątem oka. Ktoś wchodzi do pokoju.

Duncan, wylatujący z czeluści własnej duszy wprost na nich.

To nie Duncan. To pani psycholog. Mała kobieta, a nie potężny mężczyzna. Nie miała już kiedy przyjść.

Red czuje raczej, niż widzi, jak Jez zatrzymuje ją w drzwiach. Słyszy jego głos.

- Proszę stąd wyjść.
- Chcę porozmawiać z Redem. To zajmie tylko...
- Wyjdź stąd!

Pani psycholog wycofuje się, zmieszana i urażona. Kate obejmuje Reda.

- Dostaniesz ochronę. Ukryjemy cię. Wszyscy tutaj wiedzą, jak wygląda Duncan. Nie zbliży się do ciebie nawet na milę, obiecuję. Dostaniemy go. Złapiemy.

Polowanie na myśliwego. Monety są wciąż na stole, leżą tam tak, jak je rozrzucił.

- Ja... chcę trochę wody.
- Przyniosę - ofiaruje się Kate.
- Pójdę i załatwię jakieś... - mówi Jez.
- Nie.

W głosie Reda słychać błaganie.

- Nie. Wczoraj był w Highgate. Teraz może być tutaj. Proszę... proszę, nie zostawiajcie mnie samego.

Red nigdy o nic nie błagał, nikogo, w każdym razie nie pamięta.

- Idź po wodę, Kate - mówi Jez. - Ja zostanę tutaj. Red opada na krzesło. Kate i Jez patrzą na siebie ponad jego głową.

Telefon Reda dzwoni ochryple w ciszy. Jez podnosi słuchawkę.

- Halo?
- Czy mogę rozmawiać z detektywem inspektorem Metcalfe'em?
- Obawiam się, że ma teraz ważne spotkanie.
- A czy można go z niego odwołać?
- Obawiam się, że nie można mu przeszkadzać.
- To bardzo pilne.
- Mówiłem, że nie można mu przeszkadzać.
- Trzeba. Proszę. To naprawdę konieczne.

Jez przykrywa słuchawkę dłonią i patrzy na Reda.

- Ktoś bardzo chce z tobą rozmawiać. Mówi, że to naprawdę konieczne.

Widzi wyraz twarzy Reda i dodaje szybko:

- To nie Duncan. Red wzrusza ramionami.
- Porozmawiam, czemu nie. Jez wręcza mu słuchawkę.
- Metcalfe.
- Detektyw Redfern Metcalfe?
- Przy telefonie.
- Tu... Tu twój brat Eric.

Rozdział sto jedenasty.

Kiedy Red ostatni raz widział Erica, ten był za drutami kolczastymi i wieżami strażniczymi Highpoint. Teraz przebywa w Pentonville, które stanowi w porównaniu z tamtym więzieniem pozytywną odmianę. Jego eleganckie białe budynki wtapiają się

379

w północnolondyńskie otoczenie, a okoliczni mieszkańcy nie zwracają na nie uwagi. Highpoint dominuje, Pentonville się wkomponowuje.

Red kładzie zegarek, klucze i drobne na białej plastikowej tacy i przechodzi przez bramkę z wykrywaczem metalu. Urządzenie piszczy wysokim dźwiękiem. Jeden ze strażników więziennych zagraża mu drogę.

- Sir, proszę wrócić i spróbować jeszcze raz. Red robi to, ale detektor wciąż wyje. Wtedy zdaje sobie sprawę dlaczego. Jego policyjna odznaka. Wyciąga ją z wewnętrznej kieszeni, kładzie na tacy i przechodzi przez bramkę po raz trzeci. Tym razem żadnych pisków.

Zabiera swoje rzeczy z tacy i podnosi ramiona, kiedy strażnik go przeszukuje.

Żadnych wyjątków, nawet dla oficera policji.

- Dziękuję, sir. Proszę przejść przez te drzwi i zamknąć je za sobą. Następne drzwi otworzą się dopiero, kiedy pierwsze zostaną zamknięte. Ktoś będzie pana stamtąd eskortował.

Red przechodzi przez drzwi i zamyka je za sobą. Czuje się, jakby był w komorze ciśnień.

Ciche bzyczenie i otwierają się drzwi wewnątrz. Po drugiej stronie stoi następny strażnik. Idzie z Redem korytarzem.

- Na pewno zna pan zasady, sir. Proszę nie próbować niczego podawać więźniowi.

Ktoś przez cały czas będzie po drugiej stronie drzwi. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę krzyknąć.

- Ostatnio, kiedy odwiedzałem brata, próbował mnie zabić. Wolałbym nie zostawać z nim sam na sam.

- Wiemy o tym, sir. Jego kostki i nadgarstki będą skute.

- Ale w pomieszczeniu nie będzie nikogo oprócz nas?

- Nie, sir. Pana brat zażądał spotkania w cztery oczy.

- Czy powiedział dlaczego?

- Powiedział, że ma jakąś poufną informację przeznaczoną wyłącznie dla pana uszu.

- To samo powiedział mi przez telefon. A, pieprzyć to. Jeśli jest skutki, na pewno wszystko będzie w porządku. Dziękuję.

Pokój widzeń jest mały i skromny, zupełnie jak sale przesłu-

380

chań w Scotland Yardzie. Strażnik pokazuje mu salę, a potem zostawia go sam na sam z myślami.

Red podchodzi do okna i wygląda przez kraty. Ponury widok na dachy, tak szare jak dzisiejszy dzień. Wraca do stołu i siada.

Nie czuje zdenerwowania, jakie prawdopodobnie powinien czuć, głównie dlatego, że wszystko dzieje się tak szybko. Ciało Johna, trzydzieści srebrników, a potem telefon od Erica, wszystko nakłada się jedno na drugie i obmywa Reda niczym fale.

Coś, o czym musisz się natychmiast dowiedzieć. Tak powiedział Eric przez telefon. To nie pułapka. Zbyt oczywiste, żeby nią było.

Więc co?

Drzwi się otwierają i do sali wchodzi mężczyzna ubrany w dżinsy i bluzę. W rękę trzyma kopertę, a kajdanki wokół kostek i nadgarstków grzechocą, kiedy się porusza. Eric.

To z pewnością Eric, ale nie jest to już brat Reda. To tak, jakby spotkało się w końcu kogoś, kogo widziało się wcześniej tylko na zdjęciach, jakby stworzyło się wyobrażenie z obrazów na papierze - lub, jak w tym wypadku, ze wspomnień pielęgnowanych i niepokojących przez lata.

Drzwi zamykają się i bracia Metcalfe'owie znajdują się razem w tym samym pomieszczeniu po raz pierwszy od siedmiu milionów minut.

Eric siada naprzeciwko Reda. Bez powitania. W jego oczach widać niezmierzone pokłady nienawiści.

To on mnie poprosił, żebym tutaj przyszedł, myśli Red, nie odwrotnie. Pozwól mu powiedzieć to, co chce.

Eric przesuwając kopertę na drugi koniec stołu. Przesuwając, a nie wręczając, tak żeby ich palce nie zetknęły się nawet na chwilę.

- To przyszło dziś rano.

Zwykła biała koperta, już otwarta, z literami wyciętymi z gazety, wysłana: Londyn SW1, 23 grud. 1998. Tak jak koperta z monetami.

Wewnątrz Red znajduje złożoną na troje kartkę papieru. Rozkłada ją. Gazetowe litery o różnych rozmiarach i czcionkach. Red czyta.

381

„Czyż nie wybrałem was dwunastu? A jeden z was jest diabłem" (Jan 6, 70). Wiesz, kto jest diabłem, Ericu. Twoja własna krew i ciało, które Cię zdradziły. To on jest tym złym, nie Ty. Znam prawdę, wiem, co on myśli. Chce być jednym z nas, ale nie ma odwagi. Więc zdradza, nie tylko Ciebie i mnie, ale nawet siebie samego. Diabeł, który udaje, że jest po stronie aniołów. Do czasu, kiedy to przeczytasz, będę miał już jedenastu z dwunastu. Potrzebuję jeszcze tylko jednego. Twojego brata. Twojego Judasza.

W liście nie pada ani razu nazwisko Erica, na końcu nie ma też podpisu.

Cóż za samokontrola w tym liście. Wiadomości od zabójców są zwykle rozkojarzone, szalone, niespójne. Ale nie ta. Ten człowiek wie dokładnie, co robi.

Red sięga do kieszeni i wyciąga z paczki papierosa. Robi gest w kierunku Erica.

- Zapalisz? Eric kręci głową.

- A w ogóle palisz?

- Czasami.

Red zapala papierosa i pokazuje na list.

- Co chcesz z tym zrobić? Eric wzrusza ramionami.

- Zabierz go. Jest o tobie. Nie ma ze mną nic wspólnego.

- Oczywiście, że ma, Ericu. Jest zaadresowany do ciebie. Wspomina ciebie.

- Jest o mnie jedynie w tym sensie, że mówi o tym, co TY mi zrobiłeś. Został wysłany do mnie, żebyś ty go przeczytał. Nie chcę go.

Red ponownie przygląda się nierównym literom.

Pierdolić Duncana. Pierdolić go.

Przekręca kółko na zapalniczce i przytrzymuje jeden z końców listu w błękitnym płomieniu. Pomarańczowe języki ognia wspinają się w powietrzu, kiedy czarne, zwęglone linie przechodzą po papierze. Red trzyma kartkę, dopóki nie czuje gorąca na palcu, a potem upuszcza ją do jednej z popielniczek na stole. Patrzą, jak kartka drży i kurczy się.

- Czy to nie był jakiś ważny dowód? - pyta Eric.

- I tak wiem, kto to wysłał.

- Twoja sprawa. Zapada milczenie.

- Tylko po to chciałem się z tobą zobaczyć-mówi w końcu Eric. - Pewnie masz od cholery roboty.

Tyle rzeczy Red chce powiedzieć i wszystkie okazują się bezużyteczne. Słowa nie mogą same leczyć ani naprawiać. Kartka zwęglą się w popielniczce. Red pokazuje na nią.

- Nie mów o tym nikomu, dobrze? Masz rację. To był dowód... Nie... nie powinienem był tego palić.

Eric wzrusza ramionami.

- Jak sobie chcesz.

Red wstaje i podchodzi do drzwi. Puka dwa razy i strażnik otwiera.

Red i Eric nie żegnają się.

Red usiłuje nie obejrzeć się za siebie, kiedy wychodzi, tylko po to, żeby udowodnić sobie, że jest wystarczająco silny. Ale nie potrafi. Tak jak wiele lat temu w Highpoint, tak i tym razem w końcu mięknie. Kiedy zaczyna iść korytarzem, spogląda na pokój widzeń. Eric wpatruje się w puste krzesło przed sobą.

Red idzie szybko korytarzem. Chce wydostać się z więzienia, miasta, tego kraju.

Chce odlecieć daleko do świata, w którym ma znowu dwadzieścia jeden lat i w którym moment szaleństwa w Cambridge nigdy nie przydarzył się jego bratu. Chce odzyskać swoje życie.

Dopiero w samochodzie, w drodze do Scotland Yardu, Red zdaje sobie sprawę, że nie zapytał Erica, czy zgadza się z tym, co Duncan napisał w liście. Ale wie, że nie zapytał, bo nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

382

383

Rozdział sto dwunasty.
Wtorek, 29 grudnia 1998.

Red stoi na brzegu małego jeziora i rozgląda się wokół. Hen, na zachodzie widzi dwa domy, a na północnym wschodzie trzeci. Trzy domy jak rozbitkowie w ogromnej płaskości pól. Czuje się, jakby był w górzystej Szkocji, a nie na wsi w Essex. Jedyna widoczna droga biegnie nitką pomiędzy wioskami Kelvedon i Silver End, zahaczając o ich podjazd. Z odległości mili widać każdego.

Dlatego też przywieźli tu Reda.

Wszystkie policyjne domy bezpieczeństwa opierają się na zasadzie trzech „s”: spokój, sekret, straż - ale na tym podobieństwa się kończą. Niektóre domy znajdują się w samym centrum miast, gdzie dobrodziejstwo anonimowości w zapracowanej i nie znającej się społeczności przewyższa ryzyko najścia lub wykrycia. Inne domy bezpieczeństwa znajdują się na wsi, gdzie bardziej prawdopodobne jest, że sąsiedzi zauważą przyjazd i odjazd obcych, ale gdzie można znaleźć stopień odizolowania, o którym w środowisku miejskim można tylko pomarzyć.

Home Farm należy do tej drugiej kategorii. Dla przypadkowego obserwatora nie ma w niej nic niezwykłego. Położony na trzy i pół akrowej działce, z sadem i jeziorem, przy którym w tej chwili stoi Red, dom jest zamieszkiwany przez uroczą parę emerytów - Henry'ego i Penny Sparrowów, którzy są dobrze znani w miasteczku Kelvedon i posiadają eklektyczną kolekcję pamiątek morskich, którą trzymają w stodole w połowie podjazdu.

Przy bliższym spojrzeniu można jednak zauważyć kilka dziwnych rzeczy: dziesięciostopowy rów biegnący wokół Home Farm; reflektory, które wystają z ziemi w równych odległościach; dwie kamery wideo, które skierowane są w dwie strony na drogę. A kiedy w Home Farm przebywa gość potrzebujący opieki, można zauważyć mężczyzn z policyjnymi owczarkami niemieckimi trzymanymi krótko na smyczy, którzy patrolują posiadłość, i usłyszeć skrzeczenie częstotliwości radiowych.

384

Home Farm jest większa, niż to się wydaje z zewnątrz. Ma pięć sypialni, z czego w czterech mogą spać wygodnie po dwie osoby, oraz cztery łazienki. Wszystkie łóżka są w tej chwili zajęte. Oprócz Reda i Sparrowów, jest tam sześciu ludzi z Trzeciego Oddziału Ochrony Potencjalnych Ofiar. Kiedy Home Farm jest używana jako kryjówka, do służby tam zgłasza się na ochotnika wielu chętnych - głównie dlatego, że Penny Sparrow była kiedyś kucharką i jej kulinarna sława rozniosła się w policji. Ludzie, którzy opiekują się Redem, zmieniają się przy kuchennym stole przy wysoko napełnionych talerzach i zanoszą się śmiechem na myśl o swoich kolegach z Drugiego OPO, którzy w tej chwili są na diecie kebabowej i curry na wynos, ponieważ opiekują się informatorem narkotykowym w Streatham.

Przywieźli Reda do Home Farm w porze lunchu poprzedniego dnia, kilka godzin po jego wizycie u Erica w Pentonville. Nie chciał tu przyjechać, ale wiedział, że nie ma wyjścia. Jest celem seryjnego mordercy, będącego wciąż na wolności, i jako takiego komisarz umieścił go pod policyjną ochroną, dopóki Duncan nie zostanie złapany. Red zdołał wymóc na komisarzu tylko jedno ustępstwo: pozwolenie na udanie się do

domu Helen Rowntree w Nowy Rok i bycie obecnym w chwili, gdy Duncan zostanie aresztowany. Nawet na to komisarz przystał niechętnie. Red w końcu przekonał go, wykazując, że w czasie aresztowania w Stoke Newington będzie więcej uzbrojonych policjantów niż obecnie w KeWedon.

W każdym razie i tak niewiele jest rzeczy, które Red może robić w Londynie. Nie ma wyjścia, musi czekać na Nowy Rok. Wtedy przesłuchają Duncana, formalnie oskarżają go o dziesięć morderstw i przekażą sprawę prokuraturze. Śledztwo zostanie zamknięte, Susan wróci i będą mogli bezpiecznie rozpocząć wszystko od nowa, wiedząc, że Duncan nie dostanie swojego Judasza.

Zanim opuścił Londyn, Red poszedł do dwóch bibliotek - jednej, mieszczącej się na pierwszym piętrze Westminster City Hall na Victoria Street, i drugiej, obok dworca autobusowego przy

385

Buckingham Palace Road - i wypożyczył wszystkie książki, jakie znalazł, ze słowem „Judasza” lub „apostoła” w tytule. Musiał się tam udać w kamizelce kuloodpornej w towarzystwie dwóch ludzi trzymających półautomatyczne pistolety Heckler & Koch, co wywołało niejaki popłoch wśród korzystających ze zbiorów bibliotecznych.

Teraz Red rzuca ostatnie spojrzenie na jeziorko w to rześkie grudniowe popołudnie, kiedy słońce blednie, a oddech owczarka tworzy dymek w zimnym powietrzu, po czym wraca do środka Home Farm i zaczyna czytać o człowieku, którego ogrom zdrady podobno przewyższył.

Tak jak w galerii, gdzie po raz pierwszy rozszyfrował Srebrnego Języka, tak też i teraz największą uwagę Reda przyciągają reprodukcje. Wśród książek, które pożyzył, znajduje się jedna, poświęcona wizerunkowi Chrystusa i jego apostołów w sztuce. Najwięcej miejsca, jak nietrudno się domyślić, zajmują wydarzenia związane ze zdradą Judasza - ostatnia wieczerza i pojmanie Jezusa w Getsemani. Red przewraca kartki książki powoli, widząc, jak różni artyści ujmowali ten sam temat. Różnorodność interpretacji, od sztywnego formalizmu we wczesnej sztuce bizantyjskiej do pełnego pasji renesansu.

Oglądając obrazy, Red uświadamia sobie, że najdłużej patrzy nie na te najsłynniejsze, ale na te, które w jakiś sposób podważają konwencjonalne spojrzenie na czyn Judasza. Nie porusza go mistrzowskie dzieło Leonarda da Vinci ukazujące apostołów zszokowanych po tym, jak Jezus ogłosił, że jeden z nich go zdradzi, ponieważ Judasz Leonarda jest chciwy i obmierzły, kiedy trzyma trzos z pieniędzmi na stole przed sobą. Kilka stron dalej Judasz znowu pojawia się jako stereotypowy chciwiec bez duszy i skrupułów, tym razem za sprawą Signorellego, który ukazuje go w momencie, kiedy sekretnie umieszcza hostię w trzosie. Ma nieszczerze oczy i kościstą czaszkę;

Zamiast tego uwagę Reda przyciągają tacy artyści jak Rubens, dei Roberti i Holbein, którzy ukazywali Judasza w różnych odcieniach szarości, a nie w całkowitej czerni jako wcielenie zła.

386

U Rubensa apostołowie stoją ściśnięci, aby znaleźć się bliżej Jezusa, a ich błyszczące twarze odbijają się w aureoli wokół głowy Mesjasza. Tylko Judasz, owinięty wielkim złotym płaszczem, stoi plecami do światła i twarzą odwróconą od Chrystusa - nie ze

wstydu, ale w zmieszaniu z powodu wyznaczonej mu roli człowieka, którego postępek zapewni Mesjaszowi nieśmiertelność, a jemu samemu wieczne potępienie. Judasz Rubensa to rozumna moc i płonąca pasja, człowiek uszlachetniony strachem swych własnych myśli.

Taki jest też Judasz namalowany przez dei Robertiego. Siedzący przy końcu trójbocznego stołu, przy którym mistrz i jego uczniowie rozmawiają w małych grupkach, Judasz odwraca od pozostałych wzrok - umęczona brodata postać, sama wobec koszmaru swego przeznaczenia. Holbein zaś przedstawia Judasza trzymającego się stołu, jakby chciał go przewrócić w sprzecznie wobec swej zdrady, anioł rebelii zagniewany na swój los.

Kilka stron dalej Red znajduje kolejny obraz Holbeina, tym razem ukazujący trwożę konania w ogrodzie Getsemani. Chrystus Holbeina to lustrzane odbicie jego Judasza z Ostatniej Wieczerzy: są tak podobni, że mogliby być braćmi, a nawet bliźniakami. Z tym że podczas gdy jeden idzie do nieba, drugi trafia do piekła.

Red zauważa jeszcze jedną rzecz: Judasz według powszechnego wyobrażenia miał rude włosy.

Red czyta wszystko, co ma o Judaszu Iskariocie.

A wokół słów maluje obrazy.

Oto, co z tego wynika.

Rozdział sto trzynasty.

Czwartek, 7 kwietnia.

AD 30, Jeruzalem.

- Jeden z was mnie zdradzi-

Wokół stołu, przy którym jeszcze przed chwilą toczyły się rozmowy, nagle zapadła cisza. Świece rzucały migoczące poma-

387

rańczowe światło na twarze mężczyzn siedzących na wiklinowych ławach wokół niskiego stołu, a te straszne słowa odbijały się od ciężkich belek w ścianach i suficie. Szymon przykucnął, jakby spodziewał się, że zdrajca uderzy już za chwilę. Tomasz kręcił powoli głową w niedowierzaniu. Inni apostołowie patrzyli po sobie z konsternacją i przerażeniem.

Jezus siedział pomiędzy nimi i wyglądał, jakby już był w innym świecie. Nie przesunął po nich wzrokiem. Patrzył prosto przed siebie, nieco w górę, na coś, czego nie dane im będzie nigdy ujrzeć.

Piotr siedział po prawej stronie Jezusa, a Jan po lewej. Z wyglądu nie mogli bardziej się różnić: Piotr, mądry, brodaty starzec, którego rysy twarzy były ściągnięte nawet podczas odpoczynku; i Jan, młodzieniec ze świeżą twarzą, którego głowa spoczywała na piersi Jezusa.

Piotr pochylił się nad Janem i zasyczał:

- Kto to jest? O kim mówi?

Jan spojrział na niego leniwie. Z całej dwunastki on wydawał się najmniej zmartwiony. Był ulubionym apostołem Jezusa, umiłowanym. Z pewnością nie mógł

być oskarżony o zdradę Mesjasza.

Jan wzruszył ramionami. Piotr zasyczał więc ponownie:

- Zapytaj naszego Pana.

Jan popatrzył łzawym wzrokiem na Jezusa.

- Panie, kto to jest?

Jezus nie spojrział na niego. Tak jakby nie usłyszał pytania. A potem, kiedy Jan miał już je powtórzyć, powiedział:

- Ten, który ze mną rękę zanurza w misie, on mnie zdradzi. Wszyscy patrzyli na Jezusa. A on spoglądał wciąż prosto przed siebie, niepomny na nic.

Tradycja nakazywała, żeby gospodarz wieczerzy paschalnej podał swoim gościom kawałek chleba zanurzonego w hazareth, ostrym czerwonym sosie. Tradycja ta sięgała pierwszej Paschy, podczas której Jozue świętował przybycie ludu wybranego do Kanaan i zapomocą chleba wyrażał swoją wdzięczność i przyjaźń tym, którzy przeżyli z nim exodus.

388

Piotr ponownie przerwał milczenie. Tym razem zwrócił się do Tomasza, siedzącego po jego prawej stronie, i coś wymamrotał. Tomasz, mający po drugiej stronie Filipa, odpowiedział. Z tych ziaren zawiązała się rozmowa, falująca najpierw w jedną, potem w drugą stronę, aż wszyscy apostołowie zaczęli rozmawiać ze sobą w dwu- i trzyosobowych grupkach.

Co miał na myśli? Kto go zdradzi? Komu go wyda?

Ich słowa napływały i odpływały, rozbijając się jednak o człowieka pośrodku, on zaś zdawał się nic nie słyszeć.

Odczekał kilka minut, dopóki wszyscy nie zajęli się rozmową, a potem spojrział na mężczyznę siedzącego naprzeciwko niego.

Judasz Iskariota popatrzył na swojego Pana i już wiedział.

To było tak, jakby Jezus i Judasz zostali połączeni tunelem światła, który wykluczał wszystkich innych. Tunel ten nie rozmywał się na krawędziach i końcach, po prostu się urywał. W jednym miejscu był, a w następnym już go nie było, samoistny byt oddzielony od innych bytów.

Jezus zanurzył chleb w hazareth i podał go Judaszowi.

Nie przesunął go ani nie położył na stole, tak żeby Judasz go stamtąd zabrał. Trzymał go pomiędzy swoim kciukiem a palcem wskazującym, tak że Judasz musiał go od niego wziąć.

Judasz wyciągnął rękę. Jego kawałek chleba. Jego przeznaczenie.

Ich palce zetknęły się na chwilę i wraz z tym krótkim fizycznym kontaktem na śmiertelne barki Judasza spadła nieziemska odpowiedzialność.

Tunel światła nagle zniknął i w tej samej chwili ucichły rozmowy.

- Co chcesz zrobić, czyń prędzej - powiedział Jezus do Judasza.

Judasz poczuł, że wstaje z ławy. To było tak, jakby prowadziła go jakaś wyższa moc.

Pozostali wpatrzyli się w niego. Widział ich twarze zwrócone ku niemu w zdumieniu, ale nie widział ich rysów. Tylko twarz Mesjasza była wyraźna.

389

Ktoś, chyba Andrzej, spytał, czy Judasz zanieś datki na biednych.

Oczywiście. Wszyscy w czasie Paschy muszą wypić cztery kielichy wina; pierwszy w czasie poświęcenia (kidusz), drugi podczas święta baranka (haggadsz), trzeci po modlitwie dziękczynnej i czwarty w czasie końcowych modlitw. Ponadto muszą pić z czterech różnych naczyń, co symbolizuje cztery królestwa, które Księga Daniela zidentyfikowała jako prześladowców Żydów: Chaldeję, Medię, Babilonię i Rzym. Nawet najbiedniejsi z biednych musieli wypić swoje kielichy. Jeśli nie było ich na nie stać, otrzymywali datki. Ale nikt nie odchodził bez nich.

Judasz był skarbnikiem Dwunastu. Był człowiekiem z trzosem. Jeśli ktoś miał być wysłany z datkami, to właśnie on.

Niech inni myślą, że po to właśnie wychodzi. Tylko on i Mesjasz znali prawdę. To ich prywatna umowa.

W tej chwili Judasz Iskariota czuł się samotny jak nigdy dotąd.

Dom, w którym odbywała się ich Pascha, należał do jednego ze sług Józefa z Arymatei. Ustalili, że w podzięce zostawią mu barani udziec.

Judasz szybko przeszedł przez bramę i znalazł się w miejskim gwarze: Syjon w wieczór paschalny. Syjon, najstarsza część miasta, labirynt fortec i bazarów, tarasów na dachach i zapadniętych podwórek. Dzielnica była niedostępna dla rzymskich żołnierzy: przejścia pomiędzy domami były zbyt wąskie, aby mogli oni paradować w pełnej zbroi, a tylko ci z nich, którym życie było niemiłe, ryzykowali przyjście tu bez broni.

Było tak, jakby cały świat przybył do Jeruzalem. Ponad sto tysięcy pielgrzymów wcisnęło się do miasta, przewyższając tym samym liczbę mieszkańców ponad trzykrotnie. Tłoczyli się w każdym schronieniu, jakie tylko mogli znaleźć - wychylali się z namiotów, siedzieli na dachach jak stada ptaków lub po prostu na chodnikach. Wszyscy pielgrzymi musieli się znajdować tej nocy w granicach miasta, bo mogli jeść paschalnego baranka tylko

390

w samym Jeruzalem. Każdy posiłek był taki sam, tak jak jest powiedziane w Księdze Wyjścia.

Judasz przemierzał wąskie uliczki, a moc go wiodła. Ogień, na którym były pieczone baranki, trzeszczał i strzelał w zimnym nocnym powietrzu i czuć było specyficzny zapach szarańczy gotowanej w solance. Zgiełk miasta dźwięczał mu w uszach, hałas wszczynany przez obnośnych sprzedawców, heroldów, pasterzy, kupców, śpiewaków i zwierzęta. Przedzierał się przez tłum tak szybko, jak to tylko możliwe, z dłonią mocno zaciśniętą na trzosie.

W końcu dotarł na dziedziniec świątyni, gdzie nawet o tej porze wciąż zarzynano baranki dla ogromnego tłumu oczekujących. Rzeźnicy uwijali się jak w ukropie, brodząc w krwi po kostki. Judasz przyglądał się chwilę, jak trzymali baranki głową w dół i podcinali im gardła, przeryzując tchawice, dopóki nie tryskały czerwone fontanny, a zwierzęta wpadały w konwulsje w ostatnich chwilach życia.

Krwi baranka, która gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nade mną.

Okrażył główny dziedziniec i skierował się w stronę refektarza świątyni, w którym wieczerali arcykapłani. Nikt nie zagroził mu drogi.

Sięgnął do dużych drewnianych drzwi refektarza i popchnął je. Refektarz był salą o masywnym sklepieniu, w której ustawiono równolegle do siebie trzy długie stoły. Po

obu stronach stołów siedział tłum biesiadników. Za nimi, ustawiony pod kątem prostym, na podeście stał wysoki stół, zarezerwowany dla najstarszych arcykapłanów.

Judasz podszedł do tego stołu. Wydawało mu się, że oczy wszystkich zwrócone były na niego.

Wszedł na podwyższenie. Miejsca do siedzenia znajdowały się tylko po jednej stronie stołu, tak żeby nikt nie siedział odwrócony plecami do tych na dole.

Judasz zatrzymał się pośrodku, przed kapłanem Kajfaszem. Za Kajfaszem stał Jonatan, kapitan straży świątyni. Rozmowy przycichły, a w końcu całkiem się urwały. Kajfasz popatrzył na Judasza, ale nic nie powiedział.

391

To Judasz przemówił w ciszy.

- Przychodzę, żeby wydać Pana mego, Jezusa Chrystusa.

Jonatan zebrał pięciuset mężczyzn, żeby poszli do ogrodu Getsemani.

Kiedy wyprowadzał ich ze świątyni, było jeszcze ciemno, oprócz broni nieśli więc latarenki. W Złotej Bramie spotkali centurię rzymskich żołnierzy, specjalnie utworzoną przez tetrarchę Heroda Antypasa. Centuria owa formalnie znajdowała się pod dowództwem Jonatana.

Sześciuset mężczyzn skierowało się do doliny Kidron. Przeszli obok grobów cmentarza Jehosafat, a potem zaczęli brodzić po kolana w ospałym strumieniu krwi i zwierzęcych wnętrzności, który płynął z ołtarza świątyni. Było ślisko, a smród gnijącego mięsa wbijał się w nozdrza.

Rozdzielili się przy grobie Absaloma. Centuria poszła doliną w kierunku mostu, który łączył miasto Jeruzalem z ogrodami oliwnymi. Zamkną ten most, kiedy apostołowie już nim przejdą. Jonatan szedł ze swoimi ludźmi na wzgórze, w kierunku drzewek oliwnych. Stamtąd Judasz poprowadził ich do groty, w której miał być Jezus.

Jezus nie powiedział Judaszowi, że tam będzie, ale Judasz i tak to wiedział.

Wyczuwał Jego obecność. Był na tyle blisko, by Go wyczuć, ale nie na tyle blisko, żeby Go dotknąć. Jezus ciągnął go ku nieubłaganemu przeznaczeniu.

Trzos wypełniony trzydziestoma srebrnikami - zapłatą za zdradę - ciążył mu w dłoni. Zapłata czyniła umowę wiążącą. Bez niej Judasz mógłby odejść w każdej chwili. Nie, żeby mógł to zrobić, oczywiście. To, co czynił, czynił nie z własnej woli. Nie zastanawiał się nad wzięciem tych pieniędzy. Leżały w jego trzosie wraz z pieniędzmi apostołów.

Jezus czekał na nich niedaleko groty, pod osłoną małego zagajnika. Za nim stało trzech najbardziej zaufanych apostołów: Piotr, który gromił ich z za swojej brody, oraz Jakub i Jan, którzy mu wtórowali. Ich oskarżenia Judasz czuł jak najostrzejsze włócznie.

Mesjasz był spokojny po trwodze konania w ogrodzie.

- Kogo szukacie? - zapytał.

- Jezusa z Nazaretu - dobiegł głos zza pleców Judasza. To Jonatan.

- Ja jestem.

Żadnego wahania. Ukrywania się.

Szeregi po lewej stronie Judasza zmieniły szyk, a w zimnym zmierzchu błysnęła stal. Miecz Piotra przeciął powietrze przy głowie strażnika i ucho mężczyzny, wirując, spadło na ziemię.

Spomiędzy drzew wyskoczyli pozostali apostołowie. Prowadził ich Szymon.

Piotr stał z mieczem wyciągniętym przed siebie, warcząc na strażników.

Mesjasz stał pomiędzy apostołami a strażami świątyni. Sędzia, a zarazem nagroda.

Zwrócił się do Piotra. Jego głos był ostry, ale opanowany.

- Schowaj miecz do pochwy; kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

I nagle Judasz zrozumiał.

Jezus stał wśród tych, którzy chcieli go pojmać, a z nim była potęga nieba, tak ogromna, że umniejszała i ośmieszała malutkie aspiracje otaczających go śmiertelników. A jednak nie użył swej mocy. Wiedział, że to wszystko musi go spotkać. Poddał się woli ludzi, którzy w porównaniu z nim byli pyłkiem.

Jezus zrobił gest w kierunku apostołów, ale zwracał się do Jonatana.

- Powiedziałem wam, że ja jestem. Jeżeli więc mnie szukacie, pozwólcie tym odejść.

Strażnicy podeszli powoli i ostrożnie, jakby oczekiwali zasadzki. Położyli drżące ręce na Jezusie. Kiedy przekonali się, że się nie opiera, związali mu ręce i stopy, po czym zabrali go ze sobą.

Judasz patrzył w ślad za nimi. Kiedy się odwrócił, apostołów już nie było.

Ogród był teraz pusty, nie licząc jednego człowieka; człowieka, który stał twarzą w twarz z potwornością swego uczynku.

392

393

Judasz zabrał trzydzieści srebrników z powrotem do świątyni.

Kajfasz był w swojej siedzibie wraz z Annaszem i innymi kapłanami saduceuszy.

Popatrzyli na niego z obojętnością. Odegrał już swoją rolę - teraz był dla nich niczym.

Judasz położył trzos na stole i spojrzał na Kajfasza.

- Zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinną.

Kajfasz podniósł trzos i obrócił go w palcach. Po czym oddał Judaszowi.

- Co nas to obchodzi? To twoja sprawa.

Kajfasz umył ręce. To nie było jego przeznaczenie. Nie na nim ciążyła ta nieziemska odpowiedzialność.

Judasz wyszedł szybko i skierował się do ołtarza na Dziedzińcu Kapłanów, gdzie otworzył trzos i rozrzucił srebrniki. Przerażony wybiegł ze świątyni i przez Bramę Żałobnika, a potem, przemierzywszy przedmieścia, skierował się do Złotej Bramy, gdzie, zaledwie kilka godzin temu, straż świątyni spotkały centurię Heroda.

W końcu dotarł do skały nad doliną Hinnom i dopiero tam się zatrzymał. Tłące się sterty odpadków znaczyły ziemię wokół niego.

Nigdy nie chciał, żeby tak to się skończyło.

Nie wiedział oczywiście, że tak będzie. Dano mu do odegrania rolę i ją zagrał. I będzie ją grał aż do końca, a nawet dłużej.

Teraz pozostawała mu już tylko jedna możliwość.

Jezus wiedział, co się z nim stanie. Wiedział, że główni kapłani, którzy byli ogniwem pomiędzy Rzymianami a ludem, oddadzą go w ręce Rzymian tak szybko, jak to

możliwe. Rzymianie uważali, że to kapłani byli odpowiedzialni za wszelkie rozruchy. Nie pozwolą, żeby Jezus stał się ogniskiem zapalnym zamieszek, nie w tej hubce z krzesiwem, którą było Jeruzalem w czasie Paschy.

Jezus wiedział, że musi umrzeć, żeby ludzkość została zbawiona. Tylko poprzez oczyszczenie grzechów świata w jego cierpieniu zbawienie mogło się dokonać. Mógł to zatrzymać w ogrodzie Getsemani, ale tego nie zrobił.

Wszyscy odegrali swoje role.

A co z rolą Judasza ?

Popełnił najohydniejszą zbrodnię w prawie żydowskim -

394

wydał niewinną krew. Mesjasz, którego zdradził, nie popełnił żadnego przestępstwa.

A jednak Judasz wydał go w ręce oprawców. Nieważne, że każdy z dwunastu mógł zostać do tego wybrany. Został naznaczony i musi to odpokutować.

Podszedł do drzewa na samym brzegu skały. Wziął pas ze swojej szaty i zawiązał pętlę. Przerzucił pas przez gałąź, która wisiała opodal, związał mocno i pociągnął, żeby sprawdzić jej wytrzymałość.

Dobrze się trzymała. Umieścił pętlę na Szyi-

Wraz z końcem życia przychodzi męstwo w śmierci. Człowiek może dowieść swojej wartości ostatnim uczynkiem życia. Człowiek, którego dusza leci na Kalwarię, aby błagać o przebaczenie Mesjasza, którego zdradził.

Judasz Iskariota zszedł z występu skalnego i powiesił się.

Rozdział sto czternasty.

Piątek, 1 stycznia 1999.

Miasto jest spokojne. Jak zawsze w Nowy Rok. Nie tylko z powodu zbiorowego kaca po ostatniej nocy, ale także z powodu uświadomienia sobie w zimnym świetle dnia, że świat jest dokładnie taki sam, jaki był dwanaście godzin wcześniej. Toasty za Nowy Rok wznosi się, wierząc ze ślepym optymizmem, że następnych dwanaście miesięcy będzie lepszych niż te, które właśnie mijają, ale gdzieś w głębi duszy każdy wie, że ta chwila, która oznacza początek nowego roku, nie jest żadnym punktem zwrotnym. To po prostu moment w czasie jak każdy inny, bez specjalnego znaczenia. Ułamek sekundy, podczas którego wypowiedzasz sakramentalne „tak” lub kiedy rodzi się twoje pierwsze dziecko, lub kiedy twój ukochany wydaje ostatnie tchnienie - to są chwile, które zmieniają życie, a nie wybicie północy obwieszczające początek przedostatniego roku tysiąclecia.

Red siedzi w kuchni Helen, a te myśli obracają się w jego

395

głowie, jak ubrania wirujące w pralce. Jest tu od drugiej po południu, żeby się upewnić, że wszystko gra. Woli się nie pokazywać i nie wychodzi w ogóle z domu, na wypadek gdyby Duncan pojawił się wcześniej lub postanowił najpierw sprawdzić teren. W rezultacie kieruje akcją na ślepo, wsłuchując się w krótkofalówki leżące na stole kuchennym. Wraz z nim siedzi dwóch uzbrojonych policjantów. Red występuje tutaj w podwójnej roli: kierującego akcją i głównego celu, co trochę mu ciąży.

Dom stoi po południowej stronie Evering Road, na rogu z Maury Road. Ponieważ Maury Road jest jednokierunkowa, Duncan ma cztery możliwości wjazdu, ale tylko trzy wyjazdu.

Nie pozostawili niczego przypadkowi.

Trzy budynki dalej stoi nie oznakowany biały van, z trzema policjantami w kamizelkach kuloodpornych i policyjnych czapkach baseballówkach w kratę, którzy są uzbrojeni w pistolety Heckler & Koch. Odetną każdą drogę ucieczki na zachód w kierunku stacji Rectory Road.

Granatowy ford sierra stoi zaparkowany dziesięć jardów na wschód od skrzyżowania Evering i Maury, a szary vauxhall zwrócony jest na południe jednokierunkowego odcinka Maury Road. W każdym samochodzie siedzi dwóch uzbrojonych policjantów. Odetną drogę ucieczki kolejno na wschód i na północ.

Dwóch snajperów czeka w sypialni Helen i Andy'ego na piętrze, a dwóch kolejnych na klatce schodowej bloku naprzeciwko. Klatka została zamknięta, a na jej drzwiach wywieszono tabliczkę krzyczącą dużymi żółtymi literami: WSTĘP WZBRONIONY NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Na ulicy znajduje się jedyna policjantka w zespole. Jest to zarazem jedyna osoba z zespołu, która jest w tej chwili widoczna. Opatulona po szyję Rosę Buckley spaceruje przed blokiem z wózkiem. W wózku jest pistolet Heckler & Koch.

Dwanaście osób obstawia każdy róg, wszyscy utrzymują ze sobą kontakt radiowy. Snajperzy i ludzie w vanie mają słuchawki z małymi mikrofonami przy ustach, które w każdej chwili mogą zdjąć, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. Czterech mężczyzn w sa-

396

mochodach dostraja swoje policyjne krótkofalówki. Rosę ma mikrofon przyczepiony do kołnierza, tak że może do niego mówić, nie ruszając głową. Każdy, kto zobaczy, że porusza ustami, dojdzie do wniosku, że rozmawia z dzieckiem w wózku. Nikt nie wie, że jej dziecko zrobione jest w całości z metalu i może strzelać na odległość czterdziestu metrów.

Duncan zazwyczaj przyjeżdża z południa, Maury Road. To jedyna droga, której nie obstawili samochodami, nie chcąc, żeby coś zwęszył.

Jeżeli operacja ma zakończyć się powodzeniem, Duncan musi zbliżyć się do domu, niczego nie podejrzewając. Musi wysiąść z samochodu i podejść do Helen i Sama, którzy będą na niego czekać. Ostatnia rzecz, jakiej by chcieli, to żeby został w samochodzie, a potem zafundował im szalony pościg przez Stoke Newington.

Do kuchni wchodzi Helen, mocno trzymając Sama za rękę. Red patrzy na zegarek. Za piętnaście szóstą. Jeszcze piętnaście minut.

- Lepiej wyjdź - mówi. - Może Duncan będzie wcześniej. Na dworze jest zajebisty ziąb. Nie będzie chciał, żebyście marzli.

- Nie licz na to.

- Dobrze. Nie będzie chciał, żeby Sam marzył. Cień uśmiechu pojawia się na twarzy Helen.

- To już bardziej prawdopodobne.

Red spogląda na Sama. Chłopiec wygląda bardziej na podnieconego niż przestraszonego. Krótkofalówki skrzypiały całe popołudnie i widział dwóch

snajperów w sypialni matki, kiedy szedł do łazienki.

Red wstaje z krzesła i kuca przed Samem, przypominając sobie momentalnie małego Tima Weekesa, z którym spotkał się dziesięć dni wcześniej. Kolejna kuchnia, kolejna era.

Mały Tim, który, być może, widział, jak ojciec Sama morduje kogoś z zimną krwią, i który od tamtej pory nie powiedział ani słowa.

397

Red wraca do teraźniejszości.

- Wiesz, dlaczego są tutaj ci wszyscy ludzie, Sam?

- Tak.

- Dlaczego?

- Przyszli po mojego tatę.

- Chcemy tylko zadać mu kilka pytań, to wszystko. Kiedy opuścił policję, zostawił parę nie załatwionych spraw. Chcemy je teraz wyjaśnić. A przyszliśmy tutaj, bo to jedyne miejsce, w którym na pewno twój tata będzie.

Co za gówniane wyjaśnienia, Red. To dziecko to nie półgłówek. Oglądało wystarczająco dużo telewizji, żeby wiedzieć, że nie posyła się dwunastu uzbrojonych policjantów, żeby „zadać kilka pytań”.

- Wiesz, że masz nic nie mówić, kiedy przyjedzie tata? Sam kiwa głową.

- Mama ci to powiedziała? Kolejne skinienie.

- To bardzo ważne. Rób to, co ona, a nic ci się nie stanie. Nikomu nic się nie stanie.

Red przybliży twarz do twarzy chłopca.

- Ufasz swojej mamie, prawda? Kiwnięcie głową.

- Dobry chłopak.

Jedna z krótkofalówek na stole syczy. To Rosę.

- Podejrzany samochód jedzie w kierunku Evering Road. Red wstaje.

- Szybko - mówi. - Idźcie.

Helen tak mocno ściska Sama za rękę, że kostki jej dłoni robią się białe. Oboje wybiegają z kuchni. Red podnosi krótkofalówkę.

- Opisz ten samochód, Rosę.

- Granatowy fiat, numer rejestracyjny: golf 7 4 6 tango ostrze brawo. W środku jeden mężczyzna.

- Jak wygląda?

- Jest w kapeluszu. Twarz częściowo niewidoczna. Nie widzę dokładnie.

398

Duncan nie jeździ granatowym fiatem, ale nigdy dosyć ostrożności.

- Nie wydaje mi się, żeby to był on, ale nie spuszczać go z oczu.

Dziesięć sekund milczenia i znowu głos Rosę.

- Fiat oddała się w kierunku Rectory Road. To nie nasz człowiek.

- Zrozumiałem.

- Czy on nie mógłby się pospieszyć? Nogi mi już odmarzły. Sekundnik na zegarku Reda kreśli letargiczne kółka.

Tyle rzeczy może się nie udać. Helen mogą ponieść nerwy. Sam może spróbować ostrzec Duncana. Sąsiad może przechodzić w nieodpowiednim momencie. Duncan może się wystraszyć i w ogóle nie pojawić. A jeśli wie?

Skąd miałby wiedzieć? Nie może. Ale przecież zamordował dziesięć osób, a my nic nie wiedzieliśmy.

Reda zaczyna z nerwów boleć brzuch. Skończmy już z tym.

Głucha cisza w krótkofalówce. Mają się odzywać tylko wtedy, gdy zobaczą samochód.

Szósta.

No, dalej.

Helen wydmuchuje dymki z każdym oddechem. Zęby Sama szczękają. Red dotyka megafonu, który zniszczy wieczorną ciszę i odbuduje jego zrujnowane życie. Ma zostać w środku, dopóki nie będzie po wszystkim. Ale to on przeczyta Duncanowi jego prawa.

Minuta po.

Helen mówiła, że Duncan nigdy się nie spóźnia. Nigdy przenigdy.

A jednak.

Wie.

Boże, spraw, żeby nie wiedział. Proszę, niech coś się w końcu uda.

Trzy po szóstej.

Znowu rozlega się głos Rose.

399

- Szare volvo sedan. Jedzie teraz Maury Road.

- W którą stronę?

- Z południa.

Tak jak zawsze Duncan.

- Podaj numer rejestracyjny, Rose.

- Chwileczkę... Hotel 9 3 8 woda uniform papier.

- To on. Zaczyna się.

Red odsuwa krzesło i chwyta megafon. Znowu mówi do krótkofalówki.

- Widzisz go, Rose?

- Jak cholera.

- Dobrze. Ty mówisz. Powiesz, kiedy wchodzimy.

Głos Rose jest zniekształcony przez zakłócenia i zdenerwowanie.

- Volvo zatrzymuje się na skrzyżowaniu z Evering Road... daje znak skrętu w lewo...

skręca w Evering Road... Sam macha. .. samochód zwalnia, dojeżdżając do Helen i Sama...

samochód się zatrzymuje, parkuje przy innym wozie... Silnik wyłączony...

Drzwi od strony kierowcy otwierają się... Podejrzany wysiada... Już wysiadł...

Ruszamy!

Wszystko dzieje się w jednej chwili.

Rose wyciąga pistolet z wózka. Tylne drzwi białego vana zostają otwarte kopniakiem i trzech ludzi wyskakuje na ulicę. Pozostali leżą już na zewnątrz, przy drzwiczkach samochodów. W sypialni i na klatce snajperzy celują w skronie Duncana.

Red stoi w drzwiach niczym anioł zemsty. Przyciska megafon do ust.

- Ręce za głowę i na chodnik. Nie próbuj się opierać. Jesteś otoczony.

Duncan rozgląda się i widzi nieruchome celowniki broni wymierzone w jego głowę i serce.

Odwraca się do dwojga ludzi przed sobą. Wyraz twarzy Helen jest nieczytelny, ale na

twarzy Sama maluje się czysta rozpacz.

Ponownie przez megafon rozlega się głos Reda: - Połóż się na ziemi. Nie próbuj stawiać oporu albo zostaniesz postrzelony.

Duncan umieszcza ręce za głowę i powoli kładzie się na chodniku.

Rozdział sto piętnasty.

- Nie zrobiłem tego. Kurwa, ja tego nie zrobiłem. - Duncan przesuwając dłoń po twarzy. - Nie wierzę.

Red nachyla się przez stół.

- Spróbujmy raz jeszcze.

Żadnej zabawy w dobrego i złego gliniarza. Żadnych białych świateł świecących w twarz podejrzanego. Żadnych lusterek weneckich, za którymi znajdują się eksperci.

Tylko Red i Duncan oraz, w rolach statystów, dwóch posterunkowych, którzy stoją nieporuszeni po obu stronach drzwi. Popielniczka kipi niedopałkami marlboro.

Już dwa razy przerabiali historię Duncana. Magnetofon na stole pomiędzy nimi przesuwając taśmę, gotowy nagrać wszystkie nieścisłości. Potem zbierze się to wszystko do kupy.

Niełatwo jest wydobyć z Duncana przyznanie się do winy. Zna wszystkie techniki przesłuchań stosowane przez policję, bo sam stosował je niezliczenie wiele razy.

Zabił dziesięć osób, więc raczej nie załamie się, kiedy nagle ktoś będzie dla niego nieprzyjemny. A jeszcze nie skończył swojego dzieła. Nie dostał Judasza. Jeśli przetrzyma ich wystarczająco długo i z jakichś powodów będą musieli go wypuścić, to będzie miał jeszcze szansę.

- Zaczynamy punkt po punkcie, od początku. Duncan wzrusza ramionami.

- Już ci wszystko powiedziałem.

- Gdzie byłeś przez ostatnie dziesięć dni?

400

401

- Już ci mówiłem. W domku w Lake District.

- Z kim?

- Sam.

- Czyj ten domek?

- Wynająłem go.

- Od kogo?

- Z agencji.

- Za pieniądze, które dostałeś od „News of the World”? Duncan milczy. Red kontynuuje.

- Masz na to jakiś dowód?

- Tak, oczywiście. Możesz sprawdzić w agencji, która mi go wynajęła. - Pokazuje na wizytówkę leżącą na stole. - Proszę. Dawałem wam już ich numer.

- Mogłeś się zameldować i wyjechać.

- Mogłem, ale tego nie zrobiłem.

- Czy ktoś cię widział, gdy tam byłeś?
- Przypuszczam, że tak.
- Kto na przykład?
- Choćby właściciele pubów. Piłem w kilku pubach. Głównie w Ullswater. Możesz to sprawdzić.
- Ktoś jeszcze?
- Ludzie, których spotykałem.
- Co to za jedni?
- Inni turyści.
- Czy mają jakieś nazwiska?
- Nie znam ich.
- Jakie to wygodne.
- Na miłość boską! To byli ludzie, których spotykałem po drodze. Nie pytałem ich o nazwiska. Rozmawia się kilka minut, a potem idzie w swoją stronę.
- Więc turyści są nie do odnalezienia. Niewiele to pomoże.
- Dlaczego nie zamieścicie ogłoszenia, w którym zapytacie, czy ktoś mnie widział? Z moim zdjęciem. Może to coś da.
- Widywałeś ich za dnia?

402

- Tak.
- Więc nikt nie może stwierdzić, gdzie byłeś nocami?
- Właściciele pubów. Już ci mówiłem.
- Ale nie pamiętasz, w którym byłeś której nocy?
- Nie bardzo. Oprócz Bożego Narodzenia. Tej nocy byłem w Blue Boar w Ullswater.
- Tylko tego jesteś pewien?
- Byłem na wakacjach. Chodziłem, dokąd mi się podobało. Nie zapisywałem, co robię każdego dnia. Nie wiem, czy pamiętasz, że straciłem pracę. Chciałem się na chwilę wyrwać.

Red zmienia temat.

- Srebrne łyżeczki pochodzą z kompletu. Kupiłeś jeden z takich kompletów.
- Nie.
- Tak. Zapłaciłeś za niego kartą American Express 1 maja 1997 roku. Mamy zapis transakcji.
- Już ci mówiłem. Karta została skradziona. Ten, kto to zrobił, musiał nią zapłacić za łyżeczki. Zgłosiłem zaginięcie karty. Wiesz o tym.
- Tak. Sprawdziliśmy w American Express. Kradzież zgłoszono 2 maja. Dzień po tym, jak kupiłeś łyżeczki.
- Dopiero wtedy odkryłem, że karta zginęła.
- Ostatnia zanotowana transakcja tą kartą przed 1 maja odbyła się w sobotę 26 kwietnia. Kupiłeś na stacji Texaco na Wood Lane benzynę za 23,76. Przyznajesz się do tego zakupu?
- Tak, oczywiście. To najbliższa stacja od mojego domu.
- Twierdzisz więc, że karta zaginęła między 26 kwietnia a 1 maja?
- Tak.
- I nie zauważyłeś tego aż do 2 maja?

- Zgadza się
 - To trochę dziwne.
 - Dlaczego? Po prostu nie używałem karty w tym tygodniu. Codziennie sprawdzasz karty, Red?
 - I zginęła ci tylko ta jedna karta?
- 403
- Tak.
 - Jeden kawałek zielonego plastiku z napisem American Express? Nic więcej?
 - Nic.
 - Dziwne. Twierdzisz, że ukradziono ci kartę, ale osoba, która podobno ci ją ukradła, nie wzięła pieniędzy ani innych kart.
 - Zgadza się.
 - Bo tak właśnie działają złodzieje, prawda, Duncan? Zamiast podprowadzić ci portfel i zwiewać, gdzie pieprz rośnie, marnują czas na wyciągnięcie jednej karty. Nie żartuj.
 - Według mnie, to ma sens.
 - Jaki?
 - W ten sposób nie zauważyłem kradzieży od razu. Gdyby zginął cały portfel, to bym się spostrzegł, prawda? Zgłosiłbym kradzież karty i nie byłaby ona ważna, gdy tajemniczy gość poszedł kupić łyżeczki.
 - Kto, według ciebie, ukradł kartę?
 - To mógł być każdy. Tamtego tygodnia byłem na dwudniowej konferencji. Było gorąco. Moja marynarka wisiała prawie przez cały czas na oparciu krzesła. Ktoś mógł ją wtedy zwędzić.
 - Czy byłeś u organizatorów konferencji, kiedy zdałeś sobie sprawę, że karta zniknęła?
 - Tak.
 - I co?
 - Powiedzieli, że jej nie znaleźli.
 - A kiedy zobaczyłeś swoje nazwisko na liście kart kredytowych, zamazałeś je. Powiedz, że tak robi niewinny człowiek. Powiedz. Boja w to nie wierzę.
 - Zobaczyłem swoje nazwisko. Nie wiedziałem, skąd się tam wzięło. Wymazałem je instynktownie. Byłem niewinny, ale wiedziałem, że trudno będzie mi wyjaśnić, co moje nazwisko tam robi.
 - Jeżeli byłeś niewinny, mogłeś się przyznać, nic nie ryzy-
- 404
- kując. Na przykład mówiąc: „To moja karta, ktoś ją ukradł, nie wiem kto”.
- Tak. Oczywiście. Gdybym miał to zrobić jeszcze raz, tak bym właśnie postąpił. Ale nie zrobiłem. Byłem skołowany. Podjąłem pochopną decyzję, a potem musiałem się jej trzymać.
 - Nawet jeśli to prawda, to i tak nie wyjaśnia to wszystkiego.
 - Postanowiłeś mnie uznać za winnego, prawda, Red? Przychodzisz tu ze wszystkim poukładanym już w głowie i nic, co zrobię lub powiem, już tego nie zmieni, prawda? Duncan podnosi się z krzesła.
 - Siadaj.

Głos Duncana również się podnosi.

- Nie zrobiłem tego. Zostałem wrobiony. Po to, żeby policja kogoś dostała.
- Siadaj, do kurwy nędzy.
- Dlaczego nie słuchasz?
- Siadaj! Do kurwy nędzy, usiądźże wreszcie! I to już! Posterunkowi robią krok do przodu. Duncan patrzy na nich, a potem na Reda, po czym wraca na krzesło. Posterunkowi cofają się.

Głos Reda jest napięty.

- Posłuchaj, słoneczko. Sprzedałeś tę pieprzoną historię „News of the Screws”* za dwadzieścia patyków.

* Przekreślony tytuł „News of the World”, czyli „Wiadomości ze Świata”. „News of the Screws” - „Wiadomości Kurewskie”.

Ufaliśmy ci, a ty plunąłeś nam prosto w twarz. Więc wybac, jeśli nie widzę nic śmiesznego w tym, że zaczynam dostawać od ciebie listy, w których nazywasz mnie Judaszem.

- Nie wysyłałem do ciebie żadnych listów.
- Ależ tak, do kurwy nędzy, właśnie, że wysyłałeś. Znaleźliśmy „Sunday Timesa” z wyciętymi literami w twoim domu. Te litery dokładnie pasują do tych na kopercie pełnej monet, którą mi przysłałeś.

Nie wspominaj o liście do Erica, myśli Red. Zachowuj się tak,

405

jakbyś go nie czytał. Nie ryzykuj pomyślnego końca tej sprawy, przyznając, że zniszczyłeś ważny dowód.

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie wysyłałem ci ani listów, ani monet.

Red przechodzi dalej.

- Jest też list do ciebie z Kościoła Nowego Tysiąclecia, 32 Phillimore Terrace, Londyn W8. Datowany 12 lutego 1998.

- Już ci mówiłem. Nie dostałem żadnego listu. Nie wiem nawet, co to za Kościół.
- Gówno prawda! Dobrze wiesz. Gromada świrów prowadzona przez gościa, który nazywa się Israel - faceta, który napisał do ciebie ten list - który uczy o siódmej pieczęci i o tym, że Baranek Boży powtórnie przyjdzie. Nazywa swoich wiernych apostołami. Miejsce wymarzone dla kogoś, kto uważa się za Mesjasza, nie sądzisz?
- Nigdy tam nie byłem. Nigdy o nich nie słyszałem. Nie wiem, co mam więcej powiedzieć.

- A może opowiesz o narzędziach zbrodni, które znaleźliśmy w szafce pod schodami?

- Nie moje.

- Żadne z nich?

- Nie.

- Drewniana pałka?

- Nie.

- Miecz?

- Nie. .

- Nóż? Maczeta? Piła? Kij baseballowy? Włócznia? - Red teraz już prawie krzyczy.

Udaje mu się trochę opanować.

- Nie, nie i jeszcze raz nie.
- Więc po prostu ot, tak sobie się tam pojawiły?
- Już ci mówiłem. Nie należą do mnie.
- Duncan, gdybyś był mną - gdybyś siedział po tej stronie stołu - uwierzyłbyś komuś, kto mówiłby to, co właśnie mi powiedziałeś? Nie masz alibi ani na jedną noc, podczas których były zabójstwa. Jedynym alibi, jakie mógłbyś mieć, są weekendy, 406

które spędziłeś z Samem. Ale jedynym morderstwem popełnionym pomiędzy osiemnastą w piątek a osiemnastą w niedzielę było zabójstwo Jamesa Buxtona. A w ten akurat weekend Sam nie był z tobą. Spędzacie ze sobą tylko jeden weekend w miesiącu i to akurat nie był ten weekend.

- Red, wszystkie te zabójstwa były dokonywane w niedzielę w nocy...
- Nie. Kiedy były dokonywane-kiedy ty ich dokonywałeś -był już zawsze poniedziałek. Więc w weekendy, które spędzałeś z Samem, miałeś ponad sześć godzin, po tym, jak go wysadzałeś pod domem Helen, na to, żeby się przygotować.
- Ja...
- Nie. Posłuchaj mnie. Znaleźliśmy siedem narzędzi zbrodni w twoim domu. Znaleźliśmy niepodważalny dowód na to, że kupiłeś srebrne łyżeczki. Znaleźliśmy list potwierdzający twój związek z sektą, której ideologia zgadza się z tą wyznawaną przez mordercę. Bang bang bang. Trzy główne punkty, wszystkie niepodważalne. Byłeś z nami, Duncan. Wiedziałeś, o czym myślimy. Mogło ci się udać, bo byłeś poza podejrzeniami. Dlatego przestałeś być ostrożny. Na przykład zostawiłeś narzędzia zbrodni w swoim domu, zamiast się ich pozbyć - chociaż wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że chciałeś je zatrzymać na pamiątkę. A teraz nie przedstawiłeś ani jednego dowodu, który mógłby cię oczyścić. Pasujesz jak ulał, Duncan. I to niezależnie od tego, co zrobiłeś z moim życiem i małżeństwem. Już za samo to z chęcią zobaczyłbym cię w piekle.
- Red, wiem, że chcesz mieć ofiarę - zwłaszcza mnie - ale nie zrobiłem tego. Mówisz, że znalazłeś wszystko w moim domu. Ale gdzie są języki? Gdzie jest skalpel? Gdzie jest ostatnia łyżeczka?
- Ty mi to powiedz. Ty to wiesz.
- Nie ma ich w moim domu, bo Srebrny Język wciąż ich potrzebuje. A ja nie jestem Srebrnym Językiem.
- Żyjesz tylko po to, żeby mnie dostać. Ale to ci się nie uda. Red nagle ma dosyć. Wstaje.

407

- Duncanie Warrenie, zamierzam postawić cię przed prokuratorem pod zarzutem popełnienia dziesięciu morderstw. Zostaniesz w areszcie do rozpoczęcia sprawy. A potem Red robi coś, czego nigdy nie udało mu się dokonać z jego bratem Erikiem: wychodzi z pokoju, nie oglądając się.

CZEŚĆ TRZECIA.

Wiem, co jest prawdą, i wiem, co myślicie.

The Stone Roses, Fools Gold.

Rozdział sto szesnasty.
Czwartek, 1 kwietnia 1999.

Życie w Scotland Yardzie toczy się zwykłym trybem. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy znaleziono w Londynie trzy martwe prostytutki i media huczą o nowym Kubie Rozpruwaczu.

Jest po ósmej, kiedy Red kończy pracę. Idzie do pokoju Jeza.

- Napijesz się piwa?

Jez przegląda zdjęcia ostatniej ofiary zabójcy prostytutek. Straszny widok.

- Tak. Chyba mi się przyda.

Idą do pubu za rogiem i siadają przy stoliku z dwoma dużymi piwami.

- Jakie plany na Wielkanoc? - pyta Jez.

- Susan i ja spędzimy święta u przyjaciół w New Forest. Susan już tam jest.

Obiecałem, że dojadę jutro. Na kilka dni opuszczę naszego milusiego dziwkobójcę.

- Nie ma nic przeciwko temu, że tak późno przyjeżdżasz?

- Chyba nie. Odkąd Duncan został aresztowany i wróciła do mnie, dała sobie na wstrzymanie. Jak wiesz, tydzień nam zajęło uporanie się ze wszystkim, ale od tego czasu dobrze nam się układa.

- W pewnej chwili wydawało ci się, że już ją straciłeś, prawda?

Red nadyma policzki, po czym wypuszcza powietrze.

- Chyba tak. Nie myślałem tak o tym wtedy, bo byłem zbyt pochłonięty śledztwem.

Ale gdybym się nad tym zastanowił, to tak - pewnie tak bym to nazwał.

- Zdecydowanie wzięłeś sobie tę sprawę z Duncanem do serca.

411

- A racja, kurwa, racja. Widzieliście, co się ze mną działo. Byłem bliski załamania nerwowego. Trudno jest nie nienawidzić kogoś, kto ci coś takiego zrobił. Ty i Kate wydawaliście się znosić to dużo lepiej.

- Myślę, że po prostu lepiej się maskowaliśmy. Pamiętaj poza tym, że to ciebie, a nie nas Duncan chciał zabić. Te monety i list do Erica... to było naprawdę podłe. W każdym razie już po wszystkim. Za skazanie i dożywocie dla Duncana.

Stukają się kuflami i piją.

- Kiedy rozprawa? - pyta Jez.

- Chyba w listopadzie. Bóg jeden wie, dlaczego trwa to tak długo. Myślałem, że bardziej ewidentnej sprawy już być nie może.

- Oprócz tego, że Duncan utrzymuje, że jest niewinny.

- Sprytne, prawda? Jeśli nie przyzna się teraz do winy, będzie miał cały proces na to, żeby całemu światu powiedzieć, że to zrobił. Wykrzyczy to z najdrobniejszymi szczegółami. Pomyśl o rozgłosie, jakim się będzie cieszył, o całych połączeniach gazet i godzinach czasu antenowego. Cała ta pieprzona planeta chce to wiedzieć. To proces Rose West razy sto. Jeśli się przyzna ot tak, po prostu, to wszystko skończy się w kilka godzin i nie będzie miał szansy, żeby opowiedzieć swoją historię.

- Dobrze, że wstawiliśmy wtedy tę szybę.

- Jaką szybę?
- Tę, którą stłukłem, kiedy wchodziłem do jego domu. Red śmieje się.
- A, tak. Tę szybę.
- To by dopiero było, gdyby się wywinął, bo sąd podważył dowody. Przecież nie mieliśmy nakazu rewizji. Kate musiała zdobyć antydatowany.

Red macha do Jeza żartobliwie kuflem.

- Nie rób tego więcej, młody człowieku. Pamiętaj, postąpiłeś właściwie. Źle, ale właściwie. Jako twój przełożony powinienem wlepić ci naganę za włamanie. Jako twój kolega uważam, że zrobiłeś bardzo dobrze. Znalezienie tego wszystkiego naprawdę

412

się przydało. Duncan mógł się wywinąć ze skradzioną kartą Amex i listem z sekty, ale nie wywinie się z siedmioma narzędziami zbrodni, przechowywanymi pod schodami.

- Tak. Ale nie mówmy już o nim. To zamierzchłe dzieje. Przez następne dziesięć minut rozmawiają o pracy, a potem

Red przeciąga się i ziewa.

- Muszę już iść, przyjacielu. Padam na nos ze zmęczenia.

- Dobra. Kiedy wracasz?

- Mam nadzieję, że dopiero po świętach. Według grafiku we wtorek, choć obawiam się, że wydarzenia mogą mnie sprowadzić wcześniej.

- Cóż, będę w pobliżu. Więc... do zobaczenia, kiedy się zobaczymy.

Wracają w milczeniu do Scotland Yardu i rozstają się przy wejściu na parking.

- Muszę się jeszcze przebrać, a potem wskakuję na swój stary rowerek-mówi Jez.-Ty pewnie, jak zwykle, wsiądziesz do swojej limuzyny i zatrujesz atmosferę w drodze do domu.

- Jez, zapewniam cię, że to, co wydobywa się z mojej rury wydechowej, jest mniej trujące niż to, co wydobywa się spod twoich pach.

Jez śmieje się.

- Pierdol się.

- Ty też się pierdol. Miłego weekendu. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Red wchodzi przez drzwi na parking i już go nie ma.

Rozdział sto siedemnasty.

Pusty dom, pusta lodówka. Cholera. Będzie musiał wyjść po coś do jedzenia.

Red idzie do holu i prawie potyka się o obraz oparty o ścianę. Już dawno miał go zawiesić. Na ścianie widnieje krzyżyk zrobio-

413

ny ołówkiem, a młotek i gwoździe leżą na podłodze obok obrazu, z jakiegoś jednak powodu nie udało mu się wbić młotkiem gwoździa i skończyć całego procesu. Zrobi to później.

Rzuca się na sofę i ziewa.

Musi się przespać. Ale najpierw musi coś zjeść. W głowie kłębią mu się

przypadkowe myśli.

W ustach czuje smak piwa. Pozostałość z pubu, w którym był z Jezem. Dobry chłopak z tego Jeza. Dzięki jego włamaniu mogli zamknąć sprawę.

Jez najlepiej z nich znosił stres. Podczas gdy Red ciągle się załamywał, Jez był twardy jak skała.

Co on takiego powiedział w pubie? Coś o braniu tego do siebie.

„Pamiętaj poza tym, że to ciebie, a nie nas Duncan chciał zabić. Te monety i list do Erica... to było naprawdę podłe”. Nagle Red przytomnieje.

Monety i list do Erica.

List do Erica.

Red zrywa się na równe nogi.

Skąd, do diaska, Jez wie o liście do Erica?

Red nikomu o nim nie wspominał. To był dowód, który spalił, chociaż nie powinien był tego robić. Nie wspominał o nim nikomu w Yardzie ani tym z Trzeciego OOPO, którzy go pilnowali w Home Farm.

Więc skąd Jez o nim wie?

Jez był w pokoju, kiedy Eric zadzwonił tego ranka. Cholera, to przecież Jez odebrał telefon.

Może wtedy mu powiedziałem.

Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem. Nie wiedziałem, czego chce Eric, dopóki nie pojechałem do Pentonville.

I z pewnością nie powiedziałem o tym nikomu potem. Nie wspominałem o tym liście nawet podczas przesłuchania Duncana, bo nie chciałem, żeby wiedział, że go czytałem.

Red bierze słuchawkę i wybiera numer informacji.

- Informacja, słucham?

414

- Proszę o numer więzienia Pentonville, Londyn NI. Komputerowy kobiecy głos podaje numer dwa razy. Red

zapisuje go na kartce przy telefonie i od razu dzwoni.

Sześć długich sygnałów.

Dziewiąta wieczorem w wigilię Wielkiego Piątku. Nic dziwnego, że się nie spieszą do telefonu.

No, dalej.

Rozlega się męski głos, najwyraźniej znudzony.

- Więzienie Jej Królewskiej Mości w Pentonville.

- Chciałbym rozmawiać z naczelnikiem.

- Obawiam się, że naczelnik w tej chwili nie może...

- Tu detektyw inspektor Metcalfe ze Scotland Yardu. Muszę rozmawiać z naczelnikiem w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Nic mnie nie obchodzi, co on teraz robi. Musi mu pan przerwać.

- Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje?

- Mam wysłać vana z mundurowymi, żeby się pan przekonał?

- Dobrze, już dobrze. Łączę.

W słuchawce słychać Greensleeves.

Głos kolejnego mężczyzny. Tym razem poirytowany.

- Halo?
- Czy pan naczelnik?
- Tak.
- Tu detektyw inspektor Metcalfe...
- Pana brat jest naszym podopiecznym.
- Tak. Zgadza się. Muszę z nim pilnie porozmawiać.
- Inspektorze, wszyscy więźniowie są zamknięci aż do jutrzejszego ranka. Dopiero wtedy mogę go tu przyprowadzić.
- Musi pan. Muszę z nim porozmawiać jeszcze dzisiaj. W ciągu najbliższych dziesięciu minut.
- To takie ważne?
- On może mi powiedzieć coś, co zmieni bieg trwającego od dziewięciu miesięcy śledztwa.
- I potrzebuję pan tej informacji właśnie dzisiaj?
- Tak. Jutro może być za późno.

415

- Dobrze. Proszę podać mi swój numer. Strażnicy przyprowadzą Erica i zadzwoni do pana.
 - Dziękuję. Bardzo dziękuję. Czyta swój numer.
 - Proszę nie odchodzić od telefonu - mówi naczelnik i rozłącza się.
- Red patrzy w ścianę. Strach ściska mu żołądek jak ośmiornica. Włącza telewizor i przerzuca kanały. Nic wartego oglądania. Ostry dźwięk telefonu. Łapie za słuchawkę.
- Halo?
 - Cześć, kochanie. Jak się masz? - rozlega się głos Susan.
 - Wszystko w porządku. Posłuchaj, oddzwonię do ciebie, dobrze? Czekam na bardzo ważny telefon.
 - Jasne. Chciałam tylko zapytać, kiedy przyjeżdżasz.
 - Jutro rano, mam nadzieję. Oddzwonię za piętnaście minut.
 - Na pewno wszystko gra?
 - Tak. Ale nie mogę przegapić tego telefonu.
 - Dobrze. Porozmawiamy później. Rozłącza się. Serce wali mu jak młotem.
- Ile czasu zabierze im sprowadzenie Erica? Pięć, może dziesięć minut. Muszą iść do celi, zawołać go, zaprowadzić do telefonu... Nieznośny ból oczekiwania. Trzyma rękę na słuchawce. No, dalej. DALEJ! Telefon dzwoni.
- Halo?
 - Inspektorze Metcalfe, mamy tu pańskiego brata.
 - Proszę go dać. Hałas w tle.
 - Tu Eric.
 - Jak się masz?
 - Czego chcesz?
 - Pamiętasz ten list, który dostałeś?
 - Ten, który spaliłeś?
 - Tak. Ten.

416

- Oczywiście, że pamiętam.
- Nie mówiłeś o nim nikomu, prawda?
- Nie.
- Na pewno?
- Na pewno. Prosiłeś, żebym tego nie robił, więc nie zrobiłem.
- Nikomu o nim nie pisałeś ani słówka?
- Której części słowa „nie” nie rozumiesz? Nikomu nie mówiłem. Jasne?
- Tak. Dzięki.
- Coś jeszcze?
- Nie, to wszystko. Tylko to chciałem wiedzieć. Dzięki. Red odkłada słuchawkę. Ani on, ani Eric nie mówili nikomu o liście. Co oznacza, że tylko trzy osoby na świecie wiedzą, że ten list w ogóle istniał. Ich dwóch i osoba, która go wysłała. Jeśli zatem Jez wie o liście, istnieje tylko jedna możliwość. To Jez go wysłał.

Rozdział sto osiemnasty.

Drzwi wejściowe na dole otwierają się, po czym zamykają.

Red opiera się o ścianę i próbuje pozbierać myśli. Co robić?

Powinien wyjechać. Wrzucić parę rzeczy do walizki i spieprzać stąd.

Drzwi Shalego otwierają się i zatrząskują głośno.

Wymyśl coś. Byle szybko.

Jego umysł jest pusty.

Red idzie do łazienki, wkłada ręce pod zimną wodę i spryskuje twarz.

Muzyka w pokoju Shalego buczy przez podłogę, niemożliwie głośna.

Nie teraz. Na Boga, tylko nie teraz!

417

Red przyciska dłonie do uszu i stara się uciszyć muzykę tak, żeby mógł pomyśleć.

Linia basu wali w jego mózg.

Shali. Pierdolony, egoistyczny skurwiel.

Red nie może myśleć w takim hałasie.

Dobra. Pójdzie się rozmówić z Shalim.

Podchodzi do drzwi i otwiera je.

Za drzwiami stoi mężczyzna ubrany w bawełniane spodnie i dżinsową kurtkę zapiętą pod szyję.

Jez.

Rozdział sto dziewiętnasty.

Jez trzyma w ręku białą szmatkę.

Red próbuje coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Jez robi krok w jego kierunku. Biała szmatka szybko zbliża się do twarzy Reda.

Kiedy Jez przykłada materiał do jego nosa i ust, Red czuje ostrą woń chloroformu. A potem jest już tylko ciemność.

Rozdział sto dwudziesty.

Nigdy nie myślałem, że zostanę złapany, tylko raz - w kuchni domu Thomasa Fairweathera, w której byli Camilla i mały Tim. Wtedy, kiedy wszedłem z Lubezskim, który był cały we krwi. Pamiętacie ? Pamiętacie, jak Tim krzyczał? Nie dlatego, że zobaczył Lubezkiego. Krzyczał, bo zobaczył mnie. Wyszedł na korytarz, kiedy czyniłem Thomasa męczennikiem. Wzięłem go za rękę i zaprowadziłem z powrotem do łóżka. A potem zobaczył mnie

418

jeszcze raz, następnego dnia, kiedy już wiedział, co się stało z jego wujkiem. Pewnie myślicie, że miałem szczęście, że Tim wciąż nic nie mówi o tej nocy. Ja wolę myśleć, że stało się tak z woli Boga. Tak jak i z woli Boga doszedłem tak daleko i nikt mi nie przeszkodził. Ponieważ trzy rzeczy sprawiły, że zacząłem uważać się za nowego Mesjasza. Dwie z tych rzeczy były widoczne dla każdego, na długo zanim wszystko to się zaczęło.

Po pierwsze, moje nazwisko. Moje inicjały. Jez Clifton. J.C. Jezus Chrystus.

A gdybyście spojrzeli do moich akt osobowych w Yardzie, zobaczylibyście, kiedy się urodziłem. 25 grudnia 1966 roku. Czyli teraz mam 32 lata. Tyle mniej więcej miał Chrystus, kiedy umarł na krzyżu.

Te dwie rzeczy były dla wszystkich widoczne. Ale to tylko znaki, nic więcej. Trzecia rzecz jest większa, o wiele większa. Trzecia rzecz przesądziła o wszystkim.

Ale o tej trzeciej rzeczy mogę porozmawiać tylko z moim Judaszem.

Rozdział sto dwudziesty pierwszy.

Kiedy Red odzyskuje przytomność, leży w kuchni pod ścianą. Jedynym źródłem światła są świece migoczące na stole, więc kilka chwil zajmuje mu przyzwyczajenie wzroku.

Patrzy na zegar na ścianie. Minęła jedenasta. Był nieprzytomny ponad dwie godziny. Stół kuchenny został nakryty dla trzynastu osób. Po każdej stronie jest sześć nakryć i jedno u szczytu stołu.

Na stole stoją słoje. Nie ma ich tylko w miejscu u szczytu stołu i zaraz obok niego, po prawej stronie. Zamiast tego znajdują się tam talerze z mięsem.

To są małe, szklane słoje, z czymś pływającym w środku.

419

Red wstaje, przygląda się z bliska najbliższemu słoju i widzi jego zawartość.

Język.

Jedenaście słoii z jedenastoma językami.

Nagle w drzwiach pojawia się Jez.

Z niektórymi ludźmi jest tak, że kiedy nagle przekraczają pewne granice, twoje

postrzeżenie ich zmienia się raz na zawsze. Kiedy pierwszy raz widzisz, jak ktoś dobrze wychowany wpada we wściekłość, taką prawdziwą wściekłość, albo kiedy po raz pierwszy widzisz, jak ktoś nie okazujący uczuć załamuje się i zaczyna płakać, potem nigdy już nie patrzysz na tego kogoś tak jak kiedyś. Coś się zmieniło i to nieodwracalnie.

Kiedy Red patrzy na Jeza, czuje się tak, jakby widział nieznajomego. Twarz ma rysy Jeza, ale ma ona wyraz, który nie należy do Jeza, jakiego Red zna. Red widział twarz Jeza wykrzywioną w złości, śmiechu i bólu, ale nigdy nie widział, żeby wyglądała tak... tak pusto. Wyraz twarzy, który nie jest żadnym wyrazem. Po prostu pustka. To nie Duncan. Wcale nie Duncan. To Jez.

Jez ma na sobie kostium pływacki. Red przez chwilę zastanawia się dlaczego, ale zaraz potem ogarnia go podziw: na czarnym materiale nie widać krwi, a guma nie zostawia włókien. Doskonały strój do zabijania.

Jez wchodzi do pokoju.

- Usiądę u szczytu stołu. Ty usiądziesz po mojej prawej stronie. Drzwi frontowe są zamknięte, a ja jestem większy i silniejszy od ciebie. Lepiej więc nie próbuj niczego głupiego.

Red obchodzi stół i siada niezgrabnie na krześle, które wskazał Jez. Zachowaj spokój, myśli. Niech on mówi.

Języki w słojach śmieją się z Reda w parodii zastawy stołowej.

Nie patrz na języki. Skup się na Jezie.

Czarna torba Jeza leży na podłodze przy jego krześle.

Duża torba. Na tyle duża, żeby mógł przynieść w niej jedzenie i słoje. I co tam jeszcze potrzebuje na dzisiejszą noc.

Jez schyla się i wyciąga coś z torby. Kawalek purpurowego

420

materiału, złożony cztery razy. Strzepuje go i nakłada przez głowę.

Purpurowa szata. Taka, jaką Chrystus miał na sobie w drodze na Kalwarię.

Na stole przed nimi stoją dwie odkorkowane butelki wina. Jez siada i nalewa po kieliszku.

- Pierwszy z czterech - mówi. - Rytuał paschalny nakazuje, by wszyscy, nawet najbiedniejsi z biednych, wypili cztery kieliszki wina.

Red smakuje. Kwaśnawe ciepło przebiega po jego zębach i języku.

Języku. Boże, nie.

Na środku stołu znajdują się cztery małe miseczki z ziołami. Jez sięga po nie.

- Gorzkie zioła do baraniny - mówi. - Pokruszone liście laurowe, majeranek, bazylia i chrzan. Jedzone na pamiątkę czasów, gdy Żydzi byli w egipskiej niewoli.

Posypuje ziołami mięso na talerzu Reda, a potem na swoim.

- Proszę. Jedz.

Jedzą w ciszy. Baranina jest sucha i trudna do przelknięcia, więc Red musi popijać winem.

Czuje tylko pustkę w tej ciszy; żaden spójny plan nie układa mu się w głowie. Stara się rozluźnić, mając nadzieję, że plan sam do niego przyjdzie; potem się koncentruje i próbuje coś wymyślić. Żadna z metod nie działa. Jego umysł zamknął się w samoobronie, bo nie może znieść okropności tego, co się dzieje wokół.

Na talerzu za miseczkami z ziołami leżą kawałki chleba. Jez bierze jeden z nich, dzieli go na pół i podaje jedną połowę Redowi.

- „A gdy oni jedli, Jezus wziął chleb i odmówiwszy błogosławieństwo, połamał i dał uczniom, mówiąc: »Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało moje«".

Red spogląda na chleb w rękę, a potem na Jeza.

To tylko kawałek chleba.

Jez patrzy na niego nieustępliwie.

Przełknij dumę, Red. Przełknij chleb.

421

Red wkłada chleb do ust i zaczyna żuć. Jest nie kwaszony. Przaśny. Zmywa smak winem. Jez ponownie napełnia kieliszek.

- „Następnie wziął kielich i odmówiwszy dziękczynienie, dał im, mówiąc: »Pijcie z niego wszyscy, bo to jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana«".

Patrzy na Reda.

-Pij-

- To chyba nie jest twoja...

-Pij-

Red dotyka ustami krawędzi kieliszka, pozwalając, by wino zmoczyło mu usta.

Jez zjada swój kawałek baraniny. Red nie spieszy się ze swoim. Jez patrzy, jak Red je. Nie wydaje się, żeby mu się spieszyło. Kiedy Red w końcu niechętnie odkłada nóż i widelec, Jez mówi:

- Zdejmij buty.

- Co?

- Zdejmij buty.

Red odsuwa krzesło, tak żeby jego nogi wydostały się spod stołu, i zzuwa buty.

- Teraz skarpetki.

Red zdejmuje skarpetki i kładzie je na butach. Jedna spada na podłogę.

Jez sięga w dół i podnosi plastikową miskę wypełnioną wodą z mydlinami. Klęka przed Redem i stawia miskę przed jego nogami na podłodze. Woda kołysze się z boku na bok, ale się nie przelewa.

Jez sięga za siebie i podnosi mały ręczniczek, który przewiesza sobie przez ramię. Potem macza obie dłonie w wodzie i sięga po prawą stopę Reda.

- Tylko spróbuj coś zrobić, a połamię ci nogi. Rozumiesz? Red kiwa głową.

Jez bierze stopę Reda w ręce i zaczyna ją myć. Najpierw myje grzbiet stopy, gdzie ścięgna rozchodzą się jak wachlarz w kierunku pięciu palców, potem podeszwę, a wreszcie między palcami.

Kiedy kończy myć prawą stopę, powtarza cały rytuał z lewą. Robi to delikatnie i z czułością, równocześnie mówiąc cicho i monotonicznie:

- „Wstał od wieczerzy i złożył szaty. A wzięwszy prześcieradło nim się przepasał. Potem nalał wody do miednicy. I zaczął umywać uczniom nogi i ocierać prześcieradłem, którym był przepasany... Powiedział do niego Jezus: »Wykapany potrzebuje tylko nogi sobie umyć, bo cały jest czysty. I wy jesteście czysti, ale nie wszyscy«. Wiedział bowiem, kto Go wyda, dlatego powiedział: »Nie wszyscy jesteście czysti«".

Jez wyciera ręcznikiem stopy Reda. Kiedy kończy, wstaje i siada na krześle.

- Dlaczego? - pyta Red.

Jedno pytanie. Całe życie w odpowiedzi.

- Co dlaczego?

- Dlaczego? Dlaczego uważasz się za Mesjasza? Jez uśmiecha się i Red wie, że czekał na to pytanie.

- Umarłem, a potem narodziłem się na nowo.

- Co takiego?

- Zmartwychwstałem.

- Jez, o czym ty mówisz?

- Umarłem w Wielki Piątek, a trzeciego dnia znów powstałem.

- Wielki Piątek jest dopiero jutro. - Red spogląda na zegar. Jest za dwadzieścia dwunasta. - Prawie dzisiaj.

- Nie jutro. W Wielki Piątek dawno temu. W Wielki Piątek roku 1982, jeśli chodzi o ścisłość.

Jez podnosi brwi, jakby ta data miała coś dla Reda znaczyć.

- Nie pamiętasz? - pyta.

- Nie pamiętam czego?

Jez nie odpowiada wprost. Patrzy na niebieskawy płomień najbliższej świecy.

- W Wielki Piątek miałem wypadek. Zapadłem w śpiączkę na trzy dni. Byłem podłączony do maszyn podtrzymujących życie. Przez cały ten czas nie mogłem samodzielnie oddychać, jeść, widzieć, słyszeć. Byłem uwięziony pod powierzchnią życia.

422

423

Lekarze uważali, że umrę, że to tylko kwestia czasu. Zamierzali przekonać moich rodziców, żeby wyrazili zgodę na wyłączenie aparatury.

Patrzy z powrotem do góry.

- Chcieli mnie odłączyć, Red. Red nic nie mówi.

- Ale wtedy, w wielkanocną niedzielę, ocknąłem się. Tak po prostu. W jednej chwili byłem w śpiączce, a w następnej - w pełni żywy, tak jakby nic się nie stało. Pierwszy lekarz, który mnie zobaczył, myślał, że jestem duchem. O mało nie dostał ataku serca.

- I byłeś zdrowy?

- Tak, byłem zdrowy. Całkowicie. W szpitalu nie mogli uwierzyć, że nie miałem żadnych obrażeń. Myśleli, że w najlepszym przypadku będę miał poważne uszkodzenia mózgu, ale nie miałem. Przeszedłem wszystkie możliwe badania i wszystkie z pomyślnymi wynikami. Nie miałem nawet najmniejszych uszkodzeń mózgu.

Nie byłbym tego taki pewien, myśli Red.

- Lekarze mówili, że to zakrawa na cud. Nie. Mówili, że to był cud.

Red zaczyna rozumieć.

Jez milczy przez kilka sekund, a potem znowu mówi.

- Nie chcesz wiedzieć, co to był za wypadek?

- Tak, oczywiście.

Coś kołacze w głowie Reda. Coś chce się przebić na powierzchnię.

Jez mówi dalej.

- Zostałem potrącony przez samochód, ale kierowca się nie zatrzymał. Pojechał dalej.

Red zaczyna coś niejasno kojarzyć.

- Pojechał dalej, Red. Potrącił mnie i uciekł. W Wielki Piątek. W Cambridge.

Coś przebija się do świadomości Reda. I Red już wie. Ułamek sekundy przed tym, jak Jez zaczyna mówić, Red już wie.

- To ty prowadziłeś ten samochód, Red. To ty mnie potrąciłeś.

Jez nachyla się.

- To ty wydałeś mnie na śmierć.

Rozdział sto dwudziesty drugi.

Red pamięta to, jakby zdarzyło się wczoraj.

Chłopak na chodniku, ubrany w spodnie od dresu i luźną bluzę, z włosami sklejonymi od deszczu. Przechodzący przez ulicę i potykający się o piłkę, przewracający się najpierw twarzą na asfalt. Red naciskający na hamulce, zablokowane koła, panika, samochód obracający się wokół własnej osi. Dwa uderzenia pod samochodem. Ciało we wstecznym lusterku.

I Red sprawdzający, czy nikt go nie widział, zanim pojechał dalej, za róg, a potem dalej, w życie.

To Jez był tym chłopcem.

- Boże, Jez, tak mi przykro. Ja... Ja nie myślałem wtedy logicznie. Właśnie wracałem z widzenia z Erikiem. Próbowałem mnie zabić. Nie byłem właściwie skoncentrowany. Za późno cię zauważyłem. Byłem zmęczony. A po tym, jak cię potrąciłem, zobaczyłem ciało na ulicy i po prostu spanikowałem.

- Nie przepraszaaj, Red. Gdybyś mnie nie potrącił, nie umarłbym i nie zmartwychwstał. Nie wiedziałbym, że jestem Mesjaszem.

- Ale nawet się nie zatrzymałem, żeby ci pomóc, gdy leżałeś na drodze. To było niewybaczalne. Mogłem się zatrzymać. Powinienem się być zatrzymać.

Jez wzrusza ramionami.

- Niezbadane są wyroki boskie.

- Skąd wiedziałeś, że to ja prowadziłem samochód? Jez odpowiada nie wprost.

- Jak już mówiłem, te trzy dni w śpiączce, kiedy właściwie już nie żyłem, były niezaprzeczalnym dowodem na to, że jestem

424

425

Mesjaszem. Ilekroć próbowałem zaprzeczać swemu powołaniu - a próbowałem - wracałem myślami do tego wydarzenia. Nie żyłem przez trzy dni - od Wielkiego Piątku do niedzieli wielkanocnej, a potem zmartwychwstałem. I jedynym sensem tego wypadku była moja rezurekcja, pozwalająca mi żyć znowu i przeprowadzić to, do czego zostałem wybrany. To był znak. Rozumiesz? Red kiwa głową. Jez

kontynuuje.

- To był znak woli bożej, a to oznaczało, że musiał być jeszcze ktoś, kto był narzędziem w rękach Boga. Doszedłem do wniosku, że jeśli wypadek był ważny, to wszystko w nim było ważne - łącznie z ludźmi z nim związanymi. Osoba, która prowadziła samochód, była narzędziem w ręku Boga. To nie była po prostu jakaś tam osoba, która ot, tak sobie, prowadziła ten samochód. To był ktoś. Ta osoba została wybrana, podobnie jak ja. Musiałem dowiedzieć się, kim ona jest. Nie zatrzymałeś się, żeby mi pomóc, bo próbowałeś walczyć ze swoim przeznaczeniem. Bałeś się go.

- Bałem się, że pójdę do więzienia. Tego się bałem.

- Nie, Red. Nie rozumiesz. Ziemskie konsekwencje były nieważne. Przez przeznaczenie rozumiem boski plan. Bałeś się, więc uciekłeś i się ukryłeś, mając nadzieję, że jeśli tak zrobisz, kto inny przejmie twoją rolę. Ale, podobnie jak ja, nie mogłeś uciec przed przeznaczeniem. Musiałem cię znaleźć. Wkrótce po tym jak wstąpiłem do policji, poddałem się hipnozie, aby odzyskać wspomnienia skryte głęboko w moim umyśle.

- I co się stało?

- W stanie hipnozy przypominałem sobie wypadek. Wcześniej miałem tylko jakieś przebłyski, pełne wspomnienie musiałem utracić w czasie śpiączki. Dopóki nie poddałem się hipnozie, nie pamiętałem zbyt dużo. W hipnozie zobaczyłem twoją twarz, kiedy samochód jechał w moją stronę. Twoja twarz wydała mi się znajoma - oczywiście, że była, ty i twój brat miesiącami byliście w gazetach - ale nie mogłem od razu sobie jej skojarzyć. To tak, jakbym miał w głowie film, który mogłem przewijać, kiedy chciałem. Kiedy go zatrzymałem, otrzymałem klarowny obraz

426
tablic rejestracyjnych. Podąłem ten numer hipnotyzerowi, a on go zapisał. Potem sprawdziłem numer w rejestrze w Swansea.

- Kiedy to było?

- Wkrótce po moim wstąpieniu do policji. Bodajże w 1990.

- Ale wtedy już nie miałem tego samochodu.

- Oczywiście. Dlatego też poprosiłem o ustalenie, kto był jego właścicielem przez ostatnie dziesięć lat. Właścicieli było trzech: ty, osoba, od której kupiłeś samochód, i osoba, której go sprzedałeś. Ale w czasie wypadku to ty byłeś zarejestrowany jako właściciel. Zobaczyłem twoje nazwisko i przypominałem sobie, skąd znam twoją twarz. Wtedy wszystko nabrało sensu.

- Co masz na myśli? Co nabrało sensu?

- W Ewangeliach Judasz Iskariota był ukazany jako narzędzie boskiej woli. Swoim postępkami, jakkolwiek godnym potępienia by on się wydawał chrześcijanom przez wieki, zapewnił ludzkości zbawienie. Dwa tysiące lat później zostałeś wybrany, żeby zrobić dokładnie to samo. To twój postępek uświadomił mi, że jestem Mesjaszem. Jesteś bardzo podobny do Judasza, Red. Nie widzisz tego? Wydanie brata policji i wzięcie nagrody. Trzydzieści kawałków, prawda? Trzydzieści. Nawet to było symboliczne. Wszystko idealnie pasowało. Idealnie. To był ostateczny dowód na to, że, podobnie jak ja, zostałeś wybrany - ja po to, żeby zbawił ludzkość, a ty po to, żebyś był narzędziem, dzięki któremu będzie to możliwe.

- Ale przecież ja nie ciebie zdradziłem, Jez. Jeśli już, to... -. Nie. Nie zdradziłeś.

Jeszcze. Ale to zrobisz.

- Skąd wiesz?

- Bo potrafisz to zrobić. Zdradziłeś własnego brata. Dowiodłeś, że jesteś zdolny do tego, żeby to zrobić.

. - Nie zdradziłem Erica. Popełnił przestępstwo. Musiał być ukarany.

- Zdradziłeś go. Wysłuchałeś spowiedzi własnego brata, a potem poszedłeś na policję.

- Byłem w sytuacji bez wyjścia.

- Właśnie. Właśnie. Tak jak Judasz Iskariota. Dobrze znasz

427

historię Judasza. Wiem o tym, Red. Zapoznałeś się z nią, kiedy byłeś w kryjówce w KeWedon. Sam mi mówiłeś. Masz rację. Nie miałeś wyjścia. Cokolwiek byś zrobił, byłoby to złe. Zrobiłeś to, co uważałeś za najlepsze. Wybrałeś coś, co sam uważałeś za mniejsze zło. Utrzymać czyn brata w sekrecie i odmówić Charlotte Logan sprawiedliwości, która jej się należała, czy wydać go i zdradzić własną rodzinę? Szczerze współczuję, Red. Nie chciałbym być postawiony przed takim wyborem. Na szczęście Bóg wyznaczył mi inną rolę.

Red otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Jez nie dopuszcza go do głosu.

- Przegapiłeś coś jeszcze, Red. W zasadzie nawet dwie rzeczy. Po pierwsze, wziąłeś pieniądze. Nagrodę, którą zaoferował ojciec Charlotte Logan. Wziąłeś pieniądze, tak jak Judasz. To była taka ludzka rzecz. Wydałeś brata policji i wziąłeś pieniądze - zrobiłeś to tak, jak robisz inne rzeczy, z mnóstwa powodów, zarówno szlachetnych, jak i płytkich. Dałeś pieniądze ojcu, tak jak Judasz próbował oddać swoje pieniądze Kajfaszowi. Ale najważniejsze jest, że je wziąłeś. Po drugie, jest coś, co na pewno sobie uświadamiasz. Kiedy wydałeś Erica, zdradziłeś nie tylko jego, ale i siebie.

Wiesz, o czym mówię?

Wie. Aż za dobrze.

- Znam cię, Red. Wiem, co pokazujesz, a co skrywasz. I wiem, że w więzieniu siedzi niewłaściwy brat. Eric nie jest złym człowiekiem. Popełnił błąd. Miał wypadek. Ale z tobą jest inaczej. Siedzi w tobie diabeł, Red. To dlatego jesteś taki dobry w tym, co robisz. I to również czyni cię tak słabym. Widziałem cię na miejscach zbrodni, gdy wyobrażałeś sobie, co się stało. Kiedy byłem całkowicie zajęty powoływaniem swoich apostołów, na chwilę przerwałem i przyjrzyłem się tobie. Podobałoby ci się robić to, co robiłem.

Red nie może wymyślić żadnej odpowiedzi, więc zadaje pytanie:

- Dlaczego wybrałeś Duncana na kozła ofiarnego?

- Miał pecha. Nic więcej. Musiałem mieć kartę kredytową,

428

żeby kupić srebrne łyżeczki. Jego była pierwsza, jaką znalazłem. Pewnego dnia wszedłem po prostu do jego pokoju, kiedy go akurat nie było, i wyjąłem ją z kieszeni jego marynarki.

- Dlaczego nie zapłaciłeś gotówką?

- Zbyt podejrzane. Kto kupuje za gotówkę komplet srebrnych łyżeczek? A poza tym nie było mnie na nie stać.

- A Duncana było?

- Oczywiście, że nie. Ale nie musiał za nie płacić, prawda? To ci z American Express pokryli koszty, a oni mogli sobie na to pozwolić. Zawsze zwracają pieniądze, kiedy dokonano zakupów na skradzione karty. Im to rybka, a dzięki temu mają lojalnych klientów.

- Ale nie wiedziałeś, że wybiorę Duncana do zespołu.

- Nie, nie wiedziałem. To było moje szczęście. Ułatwiło mi to wrobienie go. Ale wiedziałem, że kiedy zobaczy swoje nazwisko na liście, zareaguje w ten sposób. Ja też bym tak zrobił, gdybym był na jego miejscu. Spanikował. Pomyślał, że dużo lepiej będzie po prostu ukryć szczegóły, niż je wyjaśniać. Prawdopodobnie myślał, że nigdy nie wyjdzie to na światło dzienne. Sam ci to wszystko powiedział, kiedy go przesłuchiwałeś.

- A ja mu nie wierzyłem.

Nieznaczny uśmiech pojawia się na ustach Jeza.

- Teraz za to wierzysz.

- Owszem.

- Potem już wszystko było proste. List z Kościoła Nowego Tysiąclecia - cóż, oczywiście go podrobiłem. Wziąłem papier i kopertę z biurka Israela, kiedy byliśmy tam z Kate. Israel zszedł, żeby kogoś wpuścić, a Kate wyszła na schody, żeby sprawdzić kogo. Byłem sam w pokoju przez dziesięć, najwyżej piętnaście sekund. Wtedy to wziąłem. To było spontaniczne działanie. Zobaczyłem podpis Israela na faksie, który leżał na jego biurku, i był tak nieczytelny, że wiedziałem, że łatwo będzie go skopiować. Po prostu bazgroł. Tak naprawdę to nawet nie sprawdziłeś, czy list był prawdziwy, tak bardzo chciałeś, żeby Duncan okazał się winny.

- A ty podrzuciłeś narzędzia zbrodni do jego domu?

- Tak.

429

- Nic dziwnego, że chciałeś tam iść sam.

- Właśnie. Przez chwilę myślałem, że pójdziesz ze mną albo wyślesz Kate, a to by wszystko zniszczyło. Pojechałem do domu, zabrałem rzeczy i zjawiłem się u Duncana. Gdy już tam przyjechałeś, narzędzia zbrodni były dla ciebie oczywistym dowodem jego winy. Gdyby wtedy Duncan wszedł do domu, zabiłbyś go, Red.

- Tak, wiem. Dobrze, że był wtedy mile stamtąd... - Red przerywa. - Nie czujesz się winny, Jez?

- Z jakiego powodu?

- Wrobienia Duncana.

- Nie. Nigdy za bardzo go nie lubiłem. On zresztą też za mną nie przepadał. Może widział moje prawdziwe oblicze, nie zdając sobie z tego sprawy. Ale z pewnością nie czułem się winny po tym, jak sprzedał nas „News of the Screws”. To było niewybaczalne. Dwóch Judaszy w jednym zespole. Miałem duży wybór.

- Więc nie ciąży ci to na sumieniu?

- Co?

- To, że Duncan spędził trzy miesiące w więzieniu za coś, czego nie zrobił.

- Sumienie to przesąd, Red, a przesady biorą się ze strachu. Nie, nie ciąży mi to.

Zresztą i tak uwolnią Duncana, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

Kiedy prawda wyjdzie na jaw.

- Jak to zamierzasz zrobić, Jez? W jaki sposób dopilnujesz, żeby prawda wyszła na jaw?

Jez patrzy przyjacielowi głęboko w oczy i mówi mu.

Rozdział sto dwudziesty trzeci.

- „Wtedy Judasz, który Go wydał, widząc, że Go skazano, opamiętał się, zwrócił trzydzieści srebrników arcykapłanom i starszym i rzekł: »Zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinną«. Lecz oni odparli: »Co nas to obchodzi? To twoja sprawa«. Rzu-

ciwszy srebrniki ku przybytkowi, oddalił się, potem poszedł i powiesił się”.

Minęła północ. W końcu nadszedł Wielki Piątek.

Red ma na sobie tylko slipki, a jego dłonie są związane za plecami. Siedzi na drewnianej balustradzie, która otacza podest schodów. Gruby sznur zawija się wokół jego szyi i biegnie w dół po jego plecach do balustrady. Balustrada sprawia wrażenie solidnej. Jediną rzeczą, która złamie się po drodze w dół, jest kark Reda.

Jez stoi obok niego. Wcisnął na swoją głowę koronę cierniową i kilka kropel krwi spływa wolno po czole w kierunku brwi. Wydaje się tego nie dostrzegać. Na podłodze za nim stoi talerz z jedzeniem.

Red walczy ze strachem. Nie chce go okazać. Nie chce dać Jezowi tej satysfakcji.

Jez trzyma w prawej ręce telefon komórkowy, a w lewej skalpel. Srebrna łyżeczka - ostatnia z dwunastu - leży na podłodze przy jego stopach.

Rozwiązuje dłonie Reda i podaje mu telefon.

- Wiesz, prawda? Wiesz, że musisz mnie zdradzić? Red kiwa głową.

- Powiedz to.

- Tak - mówi Red. - Wiem, że muszę cię zdradzić.

Jez odrywa kawałek chleba i zanurza go w małej miseczce z czerwonym sosem.

- „Ten, który ze mną rękę zanurza w misie, on mnie zdradzi”. Podaje Redowi kawałek chleba, zaciskając swoje dłonie na jego palcach. Przystawia usta do ucha Reda.

- „Co chcesz czynić, czyń prędzej”. Twoja ostatnia zdrada, Red. Zrób to. Wydaj mnie władzom. Zadzwoń na policję. Zadzwoń do Kate. Tak, zadzwoń do Kate. Powiedz jej, co zrobiłem. Wydaj mnie policji. Przyjadą, gdy już będziesz martwy, i zrobią mi proces, tak jak Rzymianie Jezusowi. Wtedy cały świat się dowie. Dalej. Dzwoń na policję.

- A potem mnie powieszysz?

- Nie. Sam się powieszysz.

431

- A jeśli odmówię?

- Nie możesz. Nie zrobisz tego. To twoje przeznaczenie. Ruchome piaski misji Jeza wciągają Reda. Tylko że w tym

wypadku walka nie sprawia, że idzie się szybciej na dół. Walcz, a może przeżyjesz. Odpuść sobie, a będziesz zgubiony. Red wybiera numer Kate.

- Kate Beauchamp, słucham.

- Kate, tu Red.
 - Cześć, Red. Jak się masz?
- Jej głos jest tak kurewsko normalny, jakby pochodził z innej planety.
- Kate... To nie Duncan. To Jez.
 - Co? Co nie Duncan?
 - To nie Duncan jest zabójcą. Mordercą apostołów. To Jez. To on.
 - Red, o czym ty, na Boga, mówisz?
 - Jest tutaj ze mną. Zaraz mnie powiesi. Boże, Kate... musisz mi pomóc.
 - Gdzie jesteś?
 - Jestem...

Jez wyrywa telefon z ręki Reda i wyłącza go.

- A teraz powieś się.
- Jestem... Kate będzie wiedziała, że w domu. Zabijał wszystkie ofiary w ich domach. Luźne myśli, które kołatają Redowi w głowie.

Philip Rhodes powieszony w Fulham w zeszłym roku. Zwisający z podestu. Skończy się tak, jak się zaczęło, ciałem bez życia zwisającym z podestu.

Kate mogła mu nie uwierzyć. Ona i Jez... Może być ostatnią osobą, która by uwierzyła.

Wiadomo, że nie można sprawić, iż ktoś powiesi się wbrew swojej woli. Po prostu się nie da. Nikt nie rzuci się w słodką wieczność sam. Trzeba albo go do tego zmusić, albo zrobić jakąś sztuczkę.

A tu nie ma żadnych sztuczek ani żadnego przymusu.

432

Red się nie powiesi. Nie zagra roli Judasza. Jeśli Jez chce, żeby Red zawisnął, będzie musiał sam go powiesić.

Red patrzy na Jeza.

- Pierdol się.

Widzi Jeza w dole tunelu światła, w którym ścierają się ich wole. Siła woli Jeza uderza w pierś Reda i wiruje wokół jego głowy; boski wiatr, który próbuje zepchnąć go z balustrady i w zapomnienie. Red opiera się huraganowi.

Nie złam się. Nie poddawaj.

Red trzyma się balustrady, jakby chwycił się samej istoty życia.

W tej chwili Jez uświadamia sobie, że jego Judasz nie odegra powierzonej mu roli.

To jest chwila, w której Red wie, że wygrał.

I wtedy Jez kładzie ręce na ramionach Reda i popycha go do przodu. Red powoli przekręca się do pozycji poziomej. W ramionach czuje ból, kiedy próbuje zatrzymać spadające ciało, a palce wyciąga do balustrady, do swego wybawienia. Nabiera prędkości, zaczyna spadać. Dłońmi sięga do szyi, łapiąc stryczek, zanim zdążył się zacisnąć. Ból w kostkach i koniuszkach palców jest rozdzierający, kiedy pętla się zaciska.

Dziesięć palców między szyją a sznurem. Krucha bariera pomiędzy życiem a śmiercią.

Red przebiera bezradnie nogami w powietrzu, próbując jakoś wyszarpnąć sznur z balustrady. Sznur wżyna się w szyję, zmuszając jego głowę do ruchów do przodu i do tyłu. Otwiera usta, żeby oddychać.

Jez nachyla się nad balustradą. Skalpel błyszczy w jego dłoni.

Usta Reda są bezbronne, gorączkowo łapie powietrze.

Na twarzy Jeza widać całkowite skupienie, jego głowa jest tak blisko głowy Reda, że niemal mogliby się pocałować.

Skalpel w ustach Reda.

Ostry smak krwi, kiedy ostrze nacina język, tak jak Red wyobrażał to sobie, kiedy poszedł sam do domu Philipa Rhodesa.

Ostatnia szansa.

Red wyszarpuje palce prawej dłoni spod sznura i zwija je

433

w pięść. Pętla nagle zaciska się i Red przekręca głowę w drugą stronę, żeby zmniejszyć napięcie.

Wymachuje na oślep prawą pięścią, w rozpaczliwej nadziei. Czuje trzask kostek na chrząstce. Jez krzyczy w pełnym zdziwienia bólu, puszcza skalpel i przyciska dłonie do zakrwawionej twarzy. Skalpel ześlizguje się do tyłu gardła. Red czuje rosnącą panikę.

Połknę ostrze, o mój Boże, połknę je i rozpruje każdą część moich wnętrzności.

Red przekręca głowę, żeby zmniejszyć napór sznura i językiem wypycha skalpel z powrotem do przodu ust. Ostrze usadawia się po wewnętrznej stronie zębów.

Sięga do ust i wyciąga skalpel.

Jez odejmuje dłonie od twarzy. Z nosa leci mu krew. Pochyla się i chwytą lewą rękę Reda, próbując wyszarpnąć jego palce spod pętli.

Jeśli Red nie utrzyma tej ręki wewnątrz pętli, zginie.

Skalpel jest wciąż w prawej ręce Reda. Zamierza się na Jeza. Ostrze przecina gumowy strój i zagłębia się w jego prawym boku, dokładnie tam, gdzie Jez zranił się, kiedy siedział na łóżku Thomasa Fairweathera w grudniu.

Jez krzyczy. Rana się otworzyła. Puszcza palce Reda, łapie się za bok i upada pod ścianę.

Red próbuje przeciąć sznur nad głową. Sznur chwieje się od jego ruchów. Nie udaje mu się przycisnąć go na tyle mocno, żeby go przeciąć.

Muszę przytrzymać sznur. Wtedy go przetnę. Ale nie mogę trzymać sznura i go przecinać jedną ręką. Potrzebuję drugiej ręki, żeby go przytrzymać. Ale moja druga ręka jest jedyną rzeczą, która trzyma mnie przy życiu.

Jez wciąż leży pod ścianą, próbując zatamować krew lejącą się z boku.

Red nie ma wyboru.

Wyszarpuje rękę spod pętli. Natychmiastowy napór, wokół całej szyi. Zaraz się udusi. Szybko.

434

Sięga lewą ręką nad głowę i łapie sznur. Naciska skalpelem dokładnie pod swoim małym palcem, w miejscu, gdzie sznur jest najbardziej napięty i zaczyna przecinać. Nie ma powietrza w płucach, a jego tchawica zaczyna się zamykać pod wpływem nacisku. Czarny pył wiruje mu przed oczami.

No, dalej.

Straci przytomność, zanim się uratuje. Straci przytomność i będzie po nim.

NO, DALEJ!

Kątem oka dostrzega ruch. Jez wstaje, znowu pochyła się nad barierką. Krew błyszczy na jego stroju pływackim.
Sięga do prawej ręki Reda, tej ze skalpelem.
Red czuje ból w palcach, kiedy Jez próbuje zsunąć jez ostrza.
Red zaraz straci przytomność. Przywołuje go wieczna ciemność.
I wtedy ostatnie włókno sznura pęka i Red spada na podłogę sześć stóp niżej.

Rozdział sto dwudziesty czwarty.

Dwaj mężczyźni, zakrwawieni, ale nieugięci.
Red leży na podłodze i drżącymi rękami poluźnia pętlę. Jez, zataczając się, schodzi po schodach, zostawiając nierówny, krwawy szlaczek na ścianie, o którą się ociera.
Red zdejmuje pętlę i rzuca ją na podłogę.
Jez jest na ostatnim stopniu, prawie przy nim.
Red podnosi się i wymachuje skalpelem.
- Cofnij się, Jez.
- Nie mogę.
- Nie jestem twój, Jez. Nie pójdę z tobą.
- Nie możesz z tym walczyć. Nie możesz walczyć z tym, czym być musisz.

435

Nie możesz walczyć z tym, czym być musisz. Narzędzie w rękach Boga.

Nie możesz walczyć z tym, kim jesteś.

Jez chce być jednym z nas, ale nie śmie. Diabeł, który udaje, że jest po stronie aniołów.

Ciekawe, co bym czuł, zabijając cię? Może mógłbym odgryźć ci nos albo odciąć ci ucho? Krew trysnęłaby mile w górę. Jaki dźwięk wydałbyś z siebie w momencie, gdy życie by z ciebie uchodziło?

- I ty... ty masz czelność nazywać mnie Judaszem? - charczy Red.

Czuje narastającą wściekłość. Zaczyna się jak fala przyływu daleko w morzu, niewidoczna, kiedy przybiera na szybkości i sile, a potem wznosi się i uderza w falochrony samokontroli Reda.

Wściekłość dodaje mu sił.

Nie mogę tego utrzymać dłużej, zalewa mnie, nie mogę tego utrzymać...

Jez znowu trzyma się za bok. Wciąga powietrze przez zęby zaciśnięte z bólu.

Red odrzuca skalpel i atakuje Jeza gołymi rękami. Żądza zemsty znajduje ujście w ciosach pięści i kopnięciach nóg, jak podczas bijatyki w pubie, ale tym razem Red uderza na całego. Jez leży na podłodze, a światło eksploduje w jego głowie. Głuche odgłosy dobywają się z żeber i nerek, kiedy próbuje zwinąć się w kłębek. Łapie głośno powietrze, kiedy but Reda kopie go w jądra. Ciernie kłują go w czoło - ból, tyle bólu poprzez krew sączącą się z boku, zamroczony, majaczący, wirujący, nie widzi nic...

Bicie ustaje tak nagle, jak nagle się zaczęło.

Jez leży na ziemi i słyszy oddalające się kroki Reda.

Cisza.

Próbuje się ruszyć, ale nie może. Jest zbyt słaby. Ma połamane kości.

Czuje miękki dywan na policzku.

Kroki - tym razem coraz głośniejsze.

436

Red stawia Jeza pod ścianą. Ból, kiedy protestują połamane kości.

Jedno słowo do ucha Jeza:

- Rozbierz się.

Jez stara się odpowiedzieć papkowatymi ustami.

- Nie mogę. Nie mogę... się ruszyć. Złamane. Zwisa oparty o ścianę, kiedy Red go puszcza i odchodzi. Próbuje otworzyć oczy. Jego lewe oko jest zupełnie zamknięte, a widzenie w prawym jest ograniczone z powodu bólu i krwi.

Ale widzi to, co leży na podłodze kilka stóp dalej. To, po co poszedł Red.

Młotek i gwoździe. W umyśle Jeza rozbrzmiewa alarm. Przekrzywiona korona cierniowa kłuje go w skroń i policzek.

Red wraca. W dłoni ma skalpel.

Tnie kostium pływakki, dopóki nie leży w strzępach u stóp Jeza.

Jez ma na sobie teraz tylko slipki, jak wszystkie jego ofiary.

Red przyciska twarz do jego twarzy.

- Uważasz się za Mesjasza? Jez kiwa głową.

Red mówi ponownie, znacząc twarz Jeza swoją śliną:

- Świetnie. Więc umrzesz, kurwa, tak, jak na Mesjasza przystało.

Ciągnie Jeza do podwójnych drzwi, które prowadzą z kuchni do salonu. Zamyka je.

Potem chwyta lewą rękę Jeza i ciągnie ją, póki ta nie biegnie równoległe do podłogi.

Dłoń Jeza dotyka framugi drzwi.

Gwoździe nie wejdą łatwo w betonową ścianę, ale wejdą we framugę.

Red czuje napięcie skóry Jeza na jego wyciągniętej dłoni, kiedy przykładą do niej gwoźdź. Trzyma gwoźdź pomiędzy drugim i trzecim palcem lewej ręki, a młotek odchyła do tyłu prawą.

Uderza w gwoźdź ze wszystkich sił i przestaje dopiero wtedy, gdy główka gwoździa prawie znika w dłoni.

Jez krzyczy, krzyczy coraz głośniej.

437

Red milczy, nieugięty, kiedy w końcu zabija.

Dwa gwoździe w prawą dłoń. Lewą rękę na drugą stronę framugi. Jeszcze dwa gwoździe w lewą dłoń.

Skrzyżuj kostki Jeza i wbij przez nie dwa gwoździe, rozszczepiając ścięgna Achillesa, torując drogę do drzwi pod nimi.

Człowiek na krzyżu z koroną cierniową na głowie.

Spoza krzyków Jeza wydobywają się słowa; zrazu trudne do zrozumienia, potem stają się wyraźne.

- Eli, Eli, le'ma sabach-tha'ni? Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?

Pierś Jeza napina się z wysiłku oddychania. Patrzy w górę i wypowiada swoje ostatnie słowa:

- Stało się to bowiem, aby się wypełniło Pismo. Red jest niewzruszony, kiedy

nachyla się i mówi:

- „Ukrzyżowali tam Jego i złoczyńców, jednego po prawej, drugiego po lewej Jego stronie”.

Zdejmuje koronę cierniową ze skroni Jeza.

- Nie jesteś Synem Człowieczym, Jez. Jesteś kupą gówna, która umarła obok niego.

Rozdział sto dwudziesty piąty.

Domofon brzęczy w ciszy. Red podchodzi i podnosi słuchawkę.

- Tak?

Głos Kate jest głośny i zaspany.

- Red. Tu Kate. Co się dzieje?

- Wejdz na górę - mówi i wciska guzik, żeby ją wpuścić. Kate wbiega po schodach i zatrzymuje się nagle, kiedy widzi go stojącego w drzwiach.

- Jezu Chryste, Red. Jesteś cały we krwi. Co się, na Boga, stało? Gdzie jest Jez?

Odsuwa się, żeby ją wpuścić, i daje jej kilka chwil, by mogła pobyć sam na sam z ciałem człowieka, którego kochała. Kiedy

wchodzi, widzi ją siedzącą pod ścianą w kuchni. Przysiada obok niej. Kate nie porusza się, nie próbuje się od niego odsunąć. Wie, że musiał to zrobić, widziała, co zrobił Jez; może też sobie wyobrazić, przez co musiał przejść Red w nie kończącym się bólu ubiegłych kilku godzin.

- Przykro mi, Kate - mówi. - Nie wiedziałem, że to on. Nie chciałem, żeby to był on. Kate tuli się do jego ramienia. Red czuje, jak jej usta poruszają się, gdy pyta:

- Co się stało?

Obejmuje ją i kładzie policzek na czubku jej głowy. Dużo czasu zajmie mu odpowiedzenie na to pytanie. - Powiem ci na komisariacie - mówi.

Rozdział sto dwudziesty szósty.

Piątek, 21 kwietnia 2000.

Zaciek w oknie celi Reda rośnie.

Red leży na łóżku z rękami pod głową. Dalekie głosy odbijają się echem przez przestronne korytarze na zewnątrz, mieszając się z myślami, które kołatają mu w głowie.

Dziś Wielki Piątek. Ponad rok, od kiedy poszedł z Kate na Paddington Green i przyznał się do zamordowania detektywa inspektora Jeremy'ego Clifftona, prosząc tylko o to, żeby Kate była obecna podczas przesłuchania.

Kiedy cała historia wyszła na jaw, odwiedziło go mnóstwo ludzi, a wszyscy oni mówili mu to samo: działałeś w samoobronie; miałeś do czynienia z psychopata; oddałeś społeczeństwu ogromną przysługę. Susan, Lubezski, a nawet komisarz, wszyscy odwiedzili go i odeszli z niczym. Wszystko jedno, czy go błagali, schlebiali mu, czy próbowali zastraszyć. Pozostał nieczuły na ich słowa.

Obrońca uważał, że nie powinien przyznawać się do winy.

438

439

Red był innego zdania. Adwokat zmienił taktykę, mówił o chwilowej niepoczytalności lub zmniejszonej odpowiedzialności. Red pozostał niewzruszony. Jakąkolwiek linię obrony przybierał adwokat, Red obstawał przy swoim: nie byłem niepoczytalny, a moja odpowiedzialność nie była zmniejszona. Zabiłem z zimną krwią i dokładnie wiedziałem, co robię.

Pierwsze cięcie jest najgłębsze. Pierwsze zabójstwo najtrudniejsze. Po pierwszej krwi staje się to coraz łatwiejsze. Red przesłuchiwał wystarczająco wielu zabójców, żeby to wiedzieć.

Zrobił to i spodobało mu się. To dlatego z radością przyjął wyrok: dożywocie. Bo podobało mu się zabicie Jeza. Przewija taśmę wspomnień w głowie i za każdym razem to uczucie powraca z tą samą falującą, orgazmiczną intensywnością.

Moc życia i śmierci. Raz dana, nigdy nie odebrana. Raz użyta i nieodwracalna.

To siła rozumu, zdolność odróżniania dobra od zła różni człowieka od innych naczelnych. Red używa rozumu, póki go jeszcze ma. Spojrzał w twarz rzeczywistości i to sprawiło, że opuścił głowę. Woli mieć pewność, że jest gdzieś, gdzie jego szaleństwo trzymane jest pod kluczem.

To go zabije, ale dzięki temu on nie zabije już nikogo.

Tak jest lepiej.

Koniec